

Margaret Weis, Tracy Hickman

Kroniki Smoczej Lancy – Tom I

Smoki jesiennego zmierzchu

(Przekład: Dorota Żywno)

*Dla Laury,
Prawdziwej Laurany*
Tracy Hickman

*Dla moich dzieci,
Dawida i Elizabeth Baldwin,
Za ich odwagę i wsparcie*
Margaret Weis

KANTYCZKA SMOKA

*Ustyszcie mędrca, gdy jego pieśń zstępuje
jak niebios deszcz lub łzy
i zmywa lata, kurz wielu historii
Z szlachetnej opowieści o Smoczzej Lancy.
Bowiem w odległych wiekach, obcych pamięci i słowu,
o pierwszej zorzy świata, gdy trzy księżyce wzniosły się znad łona lasu,
smoki, straszliwe i wielkie wydały wojnę temu światu Krynn.*

*Lecz wśród ciemności smoków,
wśród naszego wołania o jasność
do pustej twarzy wznoszącego się wysoko czarnego księżyca,
rozbłyśło światło w Solamnti,
rycerz prawy i mocny,
który wezwał samych bogów
i wykuł potężną Smoczą Lancę, przesywając duszę
smoczego rodzaju, przepędzając cień jego skrzydeł
znad rozjaśniających się brzegów Krynnu.*

*Tak oto Huma, rycerz sołamnijski,
zwiastun światłości, pierwszy lansjer,
wiedziony swym światłem dotarł do podnóża gór Khalikst,
do kamiennych stóp bogów,
do przyczajonej ciszy ich świątyni.
Wezwał stwórców lancy, wziął
ich straszliwą moc, by zgnieść straszliwe zło,
by wepchnąć wijącą się ciemność
Z powrotem w głąb tunelu smoczjej gardzieli.*

*Paladine, wielki bóg dobra
lśnił u boku Humy,
dodając sił lancy jego silnego prawego ramienia
i Huma, w blasku tysiąca księżyców,*

*przepędził Królową Ciemności,
przepędził rój jej wrzeszczących zastępów
z powrotem do nieczułego królestwa śmierci, gdzie ich przekleństwa
spadały na nicość i nicość
w głębiach pod rozjaśniającą się ziemią.*

*Tak skończył się grzmotem wiek snów
i rozpoczął wiek potęgi,
Gdy Istar, królestwo światła i prawości, powstało na wschodzie,
gdzie białe i złote minarety
wznosiły się ku słońcu i chwale słońca,
ogłaszając odejście zła,
a Istar, które niańczyło i matkowało długim latom dobra,
lśniło jak meteor
na białym niebie sprawiedliwych.*

*A jednak w pełni słońca
król-kapłan Istar ujrzał cienie:
W nocy widział drzewa jako istoty ze sztyletami, strumienie
poczerniały i zgęstniały pod milczącym księżycem.
Szukał w księgach ścieżek Humy,
zwojów, znaków, zaklęć,
oby i on też mógł wezwać bogów, mógł uzyskać
ich pomoc w swych świętych celach,
mógł oczyścić świat z grzechu.*

*I wtedy nadszedł czas mroku i śmierci,
gdy bogowie odwrócili się od świata.
Ognista góra spadła na Istar jak kometa,
miasto rozpękło się niczym czaszka w płomieniach,
góry wystrzeliły z Żyznych niegdyś dolin,
morza zalały groby gór,
westchnienia pustyni rozległy się na opuszczonych dnach mórz,
trakty Krynnu rozpadły się*

i stały się ścieżkami zmarłych.

Tak oto rozpoczął się wiek rozpacz.

Splątały się drogi.

W zgliszczach miast zamieszkały wichry i burze piaskowe,

równiny i góry stały się naszym domem.

Kiedy starzy bogowie stracili swą moc,

wznieśliśmy wołanie do pustego nieba

ku zimnej zasłonie szarości, do uszu nowych bogów.

Niebo jest spokojne, ciche, niewzruszone.

Jeszcze nie usłyszeliśmy ich odpowiedzi.

Starzec

Tika Waylan wyprostowała się z westchnieniem i poruszyła ramionami, żeby rozluźnić obolałe mięśnie. Wrzuciła namydloną szmatę do wiadra z wodą i rozejrzała się po pustym pomieszczeniu.

Coraz trudniej było utrzymać starą gospodę. Wiele serdeczności wtarto w ciepły, drewniany wystrój wnętrza, lecz nawet serdeczność i łój nie mogły ukryć pęknięć i szpar w zużytych stołach ani zapobiec temu, by czasami gość nie usiadł na drzazdze. Gospoda Ostatni Dom nie była zbyt kowna, nie przypominała niektórych w Haven, o jakich słyszała. Była za to wygodna. Żywe drzewo, we wnętrzu którego ją wybudowano, otulało ją czule swymi prastarymi ramionami, a ściany i urządzenia tak starannie wmontowano w gałęzie drzewa, że nie można było poznać, gdzie kończyło się dzieło natury, a zaczynało ludzkie. Kontuar zdawał się falować i płynąć jak polerowana fala wokół żywego drzewa, które go podtrzymywało. Witraże w okienkach rzucały na salę gościnne błyski żywych kolorów.

Zbliżało się południe, nikły cienie. Gospoda Ostatni Dom wkrótce otworzy swe podwoje dla gości. Tika rozejrzała się i uśmiechnęła z zadowolenia. Stoły były czyste i wypucowane. Zostało jej jeszcze tylko zamiecenie podłogi. Zaczęła właśnie odsuwać ciężkie drewniane ławy, gdy z kuchni wyszedł Otik, owiany wonną parą.

– Szykuje się kolejny rzeński dzień – tak pod względem pogody, jak i interesów – rzekł, wciskając swój niemały brzuch za kontuar. Zaczął rozstawiać kufle, pogwizdując przy tym wesoło.

– Wołałabym, żeby interesy nieco się ochłodziły, a pogoda ociepliła – powiedziała Tika, ciągnąc ławę.

– Uchodziłam sobie wczoraj nogi i dostałam mało podziękowań, a jeszcze mniej napiwków! Co za ponura banda! Wszyscy nerwowi, podskakują na każdy dźwięk. Wczoraj wieczorem upuściłam kufel – i przysięgam – Retark wyciągnął miecz!

– Ba! – parsknął Otik. – Retark jest gwardzistą poszukiwaczy z Solace. Oni są zawsze nerwowi. Ty też byś była, gdybyś pracowała dla Hedericka, tego fanat ...

– Uważaj – ostrzegła Tika.

Otik wzruszył ramionami. – Najwyższy Teokrata nie usłyszysz nas, chyba że nauczy się latać. Pierwej usłyszałbym stuk jego butów na schodach, niż on mnie. – Tika jednak zauważyła, że ciągnął dalej ściszone głosem. – Mieszkańcy Solace już długo nie będą się na to godzić, popamiętasz moje słowa. Ludzie znikają, zaciągani nie wiadomo gdzie. Smutne czasy. – Potrząsnął głową. Potem poweselał. – Ale dobre dla interesów.

– Dopóki nie zamknie nam lokalu – rzekła ponuro Tika. Chwyciła za miotłę i zaczęła energicznie zamiatać.

– Nawet teokraci muszą napchać sobie brzuchy i sflukać z gardeł ogień piekielny wraz z siarką – zachichotał Otik. – Takie bezustanne prawienie ludziom kazań o nowych bogach musi przyprawiać go o straszne pragnienie – przychodzi tu co wieczór.

Tika przestała zamiatać i oparła się o szynkwias.

– Otiku – rzekła poważnie opanowanym tonem – powiadają jeszcze o czym innym – o wojnie. O wojskach zbierających się na północy. No i ci dziwni ludzie w kapturach, którzy kręcą się po mieście u boku Najwyższego Teokraty i zadają pytania.

Otik popatrzył czule na dziewiętnastolatkę i poklepał ją po policzku. Zastępował jej ojca od czasu, gdy jej prawdziwy ojciec znikł w tajemniczych okolicznościach. Pociągnął ją za rudy kosmyk włosów.

– Wojna. Bzdury – parsknął. – Pogłoski o wojnie krążą od czasów kataklizmu. To tylko plotki. Może wymyślił je Teokrata, żeby łatwiej mu było rządzić ludźmi.

– Sama nie wiem – Tika zmarszczyła czoło. – Ja...

Otworzyły się drzwi.

Tika i Otik oboje drgnęli ze strachu i odwrócili się w stronę drzwi. Nie usłyszeli kroków na schodach, a to było niesamowite! Gospodę Ostatni Dom zbudowano wysoko w gałęziach mocarnego drzewa vallen, tak jak każdy inny dom w Solace, JŁ wyjątkiem kuźni. Ludzie postanowili zamieszkać w konarach drzew w czasach strachu i zamętu, jakie zapanowały po kataklizmie. Tak oto Solace stało się drzewnym miasteczkiem, jednym z prawdziwie pięknych cudów, jakie zostały na Krynnie. Solidne drewniane kładki łączyły domostwa i sklepy usadowione wysoko nad ziemią, gdzie pięć setek ludzi żyło swym codziennym życiem. Gospoda Ostatni Dom była największym budynkiem w Solace i wznosiła się czternaście metrów nad ziemią. Schody okalały sękaty pień prastarego drzewa vallen. Jak Otik wspomniał, każdego gościa gospody można było usłyszeć, na długo zanim można było go ujrzeć.

Jednak ani Tika, ani Otik nie usłyszeli starca.

Stał w drzwiach, wsparty na wytartej lasce dębowej i rozglądał się po gospodzie. Na głowę miał naciągnięty obszarpany kaptur prostej, szarej szaty, w którego cieniu widać było tylko błyszczące jak u jastrzębia oczy.

– Czym mogę służyć, dziadku? – Tika spytała przybysza, spojrzawszy z obawą na Otika. Może ten starzec jest szpiegiem poszukiwaczy?

– Ech? – Stary człowiek zmrużył oczy. – Otwarte?

– No... – zawahała się Tika.

– Oczywiście – rzekł Otik, uśmiechając się szeroko. – Wejdz, Siwobrody. Tika, poszukaj krzesła dla naszego gościa. Musi być zmęczony po takiej długiej wspinaczce.

– Wspinaczce? – Podrapawszy się po głowie, staruszek rozglądając się po ganku, a potem spojrzawszy na dół. – Och, tak. Wspinaczka. Bardzo dużo schodów... – Wgramolił się do środka, a potem żartobliwie pogroził kijem Tice. – Bierz się do roboty, dziewczyno. Sam potrafisz znaleźć krzesło.

Tika wzruszyła ramionami, sięgnęła po miotłę i zaczęła zamiatać, nie spuszczać starca z oczu.

Stał na środku gospody rozglądając się, jakby chciał się upewnić co do miejsca i ustawienia każdego stołu i krzesła w pomieszczeniu. Główna sala była duża, miała kształt fasolki i owijała się wokół pnia drzewa vallen. Mniejsze konary drzewa stanowiły wsparcie dla podłogi i sufitu. Ze szczególnym zainteresowaniem starzec patrzył na kominek, który znajdował się w głębi sali w mniej więcej trzech czwartych odległości od drzwi. Był to jedyny kamienny element, wyraźnie roboty krasnoludzkiej, tak wyciosany, że wydawał się częścią drzewa, wijącą się w naturalny sposób wśród gałęzi na górze. Skrzynia obok paleniska wypełniona była po brzegi szczapami sznuro-drzewa i bierwionami sosnowymi przywiezionymi z wysokich gór. Żadnemu mieszkańcowi Solace nawet nie przyszłoby do głowy palić w piecu drewnem ich własnych wielkich drzew. W kuchni znajdowało się drugie wyjście, czternastometrowa przepaść, ale niektórym klientom Otika bardzo to odpowiadało. Starcowi również.

Mamrotał pod nosem pełne zadowolenia uwagi, badając wzrokiem kolejne miejsca. Potem, ku zdumieniu Tiki, rzucił nagle laskę, zawinął rękawy szaty i zaczął przestawiać meble!

Tika przestała zamiatać i oparła się na miotle. – Co robisz? Ten stół zawsze stał tam!

Długi, wąski stół stał na środku głównej sali. Starzec pociągnął go po podłodze, przysunął pod pień olbrzymiego drzewa vallen, tuż naprzeciw kominka, i odstał o krok, by podziwiać swe dzieło.

– Tak – mruknął. – Ma być bliżej kominka. Teraz przynieś jeszcze dwa krzesła. Potrzebuję sześciu.

Tika odwróciła się do Otika. Chciał zaprotestować, ale w tym momencie w kuchni coś nagle błysnęło. Wrzask kucharki oznajmił, że znowu zapalił się tłuszcz. Otik pośpieszył w stronę wahadłowych drzwi do kuchni.

– On jest nieszkodliwy – sapnął, mijając Tikę. – Pozwól mu na wszystko, na co będzie

miał ochotę... w granicach rozsądku. Może wydaje przyjęcie.

Tika westchnęła i przyniosła staruszkowi dwa krzesła, zgodnie z tym, czego sobie życzył. Postawiła je tam, gdzie wskazał.

– A teraz – rzekł starzec, rozglądając się bystro – przynieś jeszcze dwa krzesła – tylko mają być wygodne – i postaw tutaj. Tu, obok kominka, w tym ciemnym kącie.

– Wcale nie jest ciemny – zaprzeczyła Tika. – Przecież jest w pełnym słońcu!

– Ach... – staruszek zmrużył oczy – ale będzie ciemny dziś wieczorem, prawda? Kiedy zapłonie ogień...

– Chyba tak... – Tice zabrakło słów.

– Przynieś krzesła. Dobra z ciebie dziewczynka. I jeszcze jedno, o, tutaj. – Staruszek wskazał miejsce dokładnie przed kominkiem. – Dla mnie.

– Wydajesz przyjęcie, staruszkule? – spytała Tika, dźwigając najwygodniejsze w gospodzie, mocno wysiedziane krzesło.

– Przyjęcie? – Pomysł ten zdawał się rozbawiać starca. Staruszek zachichotał. – Tak, dziewczyno. To będzie przyjęcie, jakiego Krynne nie widział od czasów kataklizmu! Bądź gotowa, Tiko Waylan. Bądź gotowa!

Poklepał ją po ramieniu, potargał jej włosy, a następnie odwrócił się i siadł na krzesło aż mu kości zatrzeszczały.

– Kufel piwa – zażyczył sobie.

Tika poszła nalać piwa. Dopiero kiedy przyniosła staruszkowi napój i wróciła do zamiatania, zatrzymała się i zastanowiła, jak to możliwe, że znał jej imię.

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział I

Starzy przyjaciele spotykają się. Nieuprzejmi intruzi

Flint Fireforge osunął się na porośnięty mchem głaz. Stare kości podtrzymywały krasnoluda wystarczająco długo i nie chciały czynić tego dalej bez słowa skargi.

– Nie powinienem był wyjeżdżać – burknął Flint, spoglądając w rozpościerającą się poniżej dolinę. Mówił na głos, choć w pobliżu nie było żywej duszy. Długie lata samotnych wędrówek nauczyły go zwyczaju mówienia do siebie. Klepnął się po obu kolanach. – I niech mnie diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek jeszcze ruszę się stąd – oświadczył zdecydowanie.

Staremu krasnoludowi, który wędrował cały dzień w jesiennym chłodzie, wygodnie było na ogrzonym popołudniowym słońcem głazie. Flint odprężył się i wygrzewał kości, rozkoszując się ciepłem słońca i miłymi myślami – wrócił bowiem do domu. Rozejrzał się, pieszcząc czule wzrokiem znajomy krajobraz. Górskie zbocze w dole tworzyło jedną stronę misy wśród wysokich gór odzianych w cudną, jesienną szatę. Drzewa vallen w dolinie płonęły kolorami jesieni, jaskrawą czerwienią i złotem, które przechodziły w fiolet oddalonych szczytów Kharolis. Bezchmurne, lazurowe niebo między drzewami odbijało się w wodach jeziora Crystalmir. Znad czubków drzew wznosiły się cienkie smużki dymu, jedyny znak istnienia Solace. Miękka, snująca się mgiełka otulała dolinę słodką wonią dymu domowych ognisk.

W czasie odpoczynku Flint wyciągnął z plecaka kawałek drewna i błyszczący sztylet. Jego dłonie poruszały się bez udziału świadomości. Od niepamiętnych czasów wśród jego ludu istniała potrzeba nadawania wedle własnego uznania kształtu temu, co było go pozbawione. On sam był dość wziętym kowalem, zanim zaprzestał pracy kilka lat temu. Przyłożył nóż do drewna, a potem, gdy coś przyciągnęło jego uwagę, opuścił beczynn timer. Przyjrzał się dymowi wznoszącemu się z nad niewidocznych w dole kominów.

– Moje domowe palenisko wygasło – rzekł cicho Flint. Otrząsnął się, rozgniewany swoją sentymentalnością, i zaczął zawzięcie strugać drewno. Burknął głośno – Mój dom stoi pusty. Pewno dach przeciekł i zalało mi meble. Idiotyczna wyprawa! Najgłupsza rzecz w moim życiu. Po stu czterdziestu ośmiu latach powinienem się czegoś nauczyć!

– Nigdy się niczego nie nauczysz, krasnoludzie – odpowiedział mu głos z oddali. – Choćbyś dożył dwustu czterdziestu ośmiu lat!

Upuściwszy kawał drewna, krasnolud spokojnym ruchem przeniósł dłoń ze sztyletu na rękojeść topora i spojrzał na drogę. Głos wydawał mu się znajomy, a był to pierwszy znajomy głos, jaki usłyszał od bardzo dawna. Nie potrafił go jednak umiejscowić w pamięci. Zmrużył

oczy, patrząc w zachodzące słońce. Zdawało mu się, że widzi sylwetkę mężczyzny idącego drogą. Flint wstał i cofnął się w cień wysokiej sosny, by lepiej widzieć. Chód owego mężczyzny nacechowany był wdziękiem – elfim wdziękiem, jak powiedziała by Flint, a jednak jego ciało miało krępa muskulaturę człowieka, a zarost był zdecydowanie ludzki. Spod zielonego kaptura przebłyskiwała tylko opalona twarz i brązoworuda broda. Przez jedno ramię przewieszony miał długi łuk, a u lewego boku przypasany miecz. Odziany był w strój z miękkiej skóry starannie wyciskanej w zawiłe wzory, tak lubiane przez elfów. Żaden jednak elf na Krynnie nie mógłby zapaść brody... żaden elf, z wyjątkiem...

– Tanis? – powiedział z wahaniem Flint do zbliżającego się mężczyzny.

– We własnej osobie. – Brodatą twarz przybysza rozpromienił serdeczny uśmiech. Otworzył ramiona i zanim krasnolud zdołał go powstrzymać, uściskał Flinta tak, że aż podniósł go nad ziemię. Krasnolud przycisnął przyjaciela na chwilę do piersi, a potem przypomniawszy sobie o dostojności, wysliznął się z objęć półelfa.

– Nie nauczyłeś się manier przez te pięć lat – burknął krasnolud. – Nadal nie masz szacunku dla mego wieku ani godności. Dźwigasz mnie jakbym był workiem kartofli. Mam nadzieję, że nikt znajomy nas nie widział.

– Wątpię, czy wielu nas pamięta – powiedział Tanis, czułym wzrokiem mierząc przysadzistego przyjaciela. – Czas nie płynie dla ciebie i mnie, stary krasnoludzie, tak samo, jak dla ludzi. Pięć lat dla nich to długo, a dla nas to chwila. – Uśmiechnął się potem. – Nie zmieniłeś się.

– Nie można tego samego powiedzieć o innych. – Flint usiadł na kamieniu i znów zabrał się do rzeźbienia. Popatrzył spode łba na Tanisa. – Po co ci ta broda? I tak byłeś wystarczająco brzydki.

Tanis podrapał się po podbródku. – Bywałem w krainach, gdzie nieprzyjaźnie patrzy się na tych, którzy mają w sobie elfią krew. Broda – podarunek od mego ojca-człowieka – rzekł z gorzką ironią – okazała się wielce przydatna przy ukrywaniu mego pochodzenia.

Flint mruknął pod nosem. Wiedział, że to niezupełnie prawda. Choć półelf nienawidził zabijania, Tanis nie należał do tych, którzy zapaśćliby brodę, by unikać walki. Poleciały strużyny.

– Bywałem w krainach, gdzie nieprzyjaźnie patrzy się na każdego, bez względu na jego krew. – Flint obrócił kawałek drewna w dłoni, przyglądając mu się. – Jesteśmy już jednak w domu. To wszystko już za nami.

– Słyszałem co innego – rzekł Tanis, ponownie naciągając kaptur, by słońce nie świeciło mu w oczy. – Szlachetni poszukiwacze wybrali męża imieniem Hederick, by jako

Najwyższy Teokrata rządził w Solace, a ten swą nową religią zamienił miasteczko w siedlisko fanatyzmu.

Tanis i krasnolud razem odwrócili się i spojrzeli w cichą dolinę. Zaczęły zapalać się światła, tak że w lesie widać było już domy na drzewach. Nocne powietrze było nieruchome, spokojne i słodkie, przesycone leciutką wonią dymu z domowych palenisk. Co jakiś czas dobiegały ich słabo słyszalne głosy matek wołających dzieci na kolację.

– Nie słyszałem niczego złego o Solace – rzekł cicho Flint.

– Prześladowania religijne... inkwizycja... – głos Tanisa zabrzmiał złowieszczo z głębi kaptura. Był to głos głębszy i bardziej ponury od tego, jaki Flint zapamiętał. Krasnolud zmarszczył brwi. Jego przyjaciel zmienił się przez te pięć lat. A elfowie nigdy się nie zmieniają! No tak, ale Tanis był tylko w połowie elfem – dzieckiem przemocy, gdyż jego matkę zgwałcił człowiek w czasie jednej z licznych wojen, które podzieliły rozmaite rasy Krynnu w latach chaosu, jaki nastąpił po kataklizmie.

– Inkwizycja? Wieść głosi, że zajmuje się tylko tymi, którzy sprzeciwiają się Najwyższemu Teokracie – rzekł wzgardliwie Flint. – Nie wierzę w bogów poszukiwaczy – nigdy nie wierzyłem – ale nie obnoszę się ze swoimi poglądami po ulicy. Siedz cicho, a zostawię cię w spokoju – tak brzmi moje życiowe hasło. Szlachetni poszukiwacze mimo wszystko są mądrymi i cnotliwymi mężczyznami. Tylko to jedno zgniłe jabłko w Solace psuje cały kosz. A tak przy okazji, znalazłeś to, czego szukałeś?

– Jakiś ślad pradawnych, prawdziwych bogów? – spytał Tanis. – Czy spokój ducha? Które masz na myśli?

– Zakładam, że jedno idzie w parze z drugim – mruknął Flint. Obrócił kawałek drewna w dłoni, wciąż niezadowolony z jego proporcji. – Czy będziemy tu stać przez całą noc i wachać dym z palenisk? Czy może wreszcie pójdziemy do miasteczka i zjemy kolację?

– Idziemy – Tanis machnął ręką. Razem zaczęli schodzić po ścieżce, a długie kroki Tanisa zmuszały krasnoluda do Zrobienia dwóch przy każdym jego jednym. Choć upłynęło wiele lat od czasu, gdy podróżowali razem, Tanis nieświadomie zwolnił kroku, a Flint również nieświadomie przyspieszył.

– Więc nic nie znalazłeś? – dopytywał się Flint.

– Nic – odparł Tanis. – Jak odkryliśmy dawno temu, jedynie klerycy i kapłani na tym świecie służą fałszywym bogom. Słyszałem opowieści o cudownym uzdrawianiu, lecz wszystko to były oszustwa i magia. Na szczęście nasz przyjaciel Raistlin nauczył mnie, na co zwracać uwagę...

– Raistlin! – sapnął Flint. – Ten błąd, chuderlawy czarodziej. Sam jest na wpół

szarlatanem. Wiecznie jęczy, stęka i wsadza nos w nie swoje sprawy. Gdyby nie opiekował się nim bliźniaczy brat, ktoś już dawno położyłby kres jego czarom.

Tanis wdzięczny był za to, że broda skryła jego uśmiech.

– Sądzę, że ów młodzieniec był lepszym czarodziejem, niż ci się wydaje – powiedział.

– No i musisz przyznać, że długo i nieznużenie pomagał wszystkim, których oszukali fałszywi klerycy – tak samo jak ja. – Westchnął.

– Za co, bez wątpienia, nie dostałeś wielu podziękowań,

– mruknął krasnolud.

– Bardzo niewiele – powiedział Tanis. – Ludzie chcą w coś wierzyć, nawet jeśli w głębi duszy wiedzą, że to kłamstwo. A co z tobą? Jak udała ci się podróż do ojczyzny?

Flint maszerował bez słowa, krzywiąc się ponuro. Wreszcie wymamrotał: – Nie powinienem był wyruszać z domu – i spojrzał na Tanisa, a jego oczy – ledwo widoczne pod zasłoną gęstych, siwych, krzaczastych brwi – dały znać półelfowi, że rozmowa zmierza w niepożądanym kierunku.

Tanis dostrzegł ich wyraz, lecz i tak zadał pytanie. – A co z kapłanami krasnoludów? Te historie, które słyszeliśmy?

– To nieprawda. Kapłani zniknęli trzysta lat temu podczas kataklizmu. Tak mówi starszyzna.

– Podobnie u elfów – zadumał się Tanis.

– Widziałem...

– Psst! – Tanis uniósł rękę ostrzegawczym gestem.

Flint raptownie zatrzymał się. – Co tam? – szepnął.

Tanis wskazał ręką. – Tam, w zagajniku.

Flint rzucił okiem na drzewa, jednocześnie sięgając po topór bojowy przytroczone na plecach.

Czerwone promienie zachodzącego słońca błysnęły krótko na kawałku metalu, który zamigotał gdzieś wśród drzew. Tanis dostrzegł go, potem stracił z oczu, a później znów zauważył. Jednakże w tym właśnie momencie zaszło słońce, nasycając niebo świetlistym fioletem. Między drzewa zakradł się mrok nocy.

Flint zmrużył oczy i spojrzał w ciemność. – Nic nie widzę.

– Ja widziałem – powiedział Tanis. Wpatrywał się w miejsce, gdzie zauważył błysk metalu i stopniowo swym elfim wzrokiem zaczął wykrywać ciepły, czerwony blask, jakim promieniują wszystkie żywe istoty, lecz który widzialny jest tylko dla elfów. – Kto tam jest? – zawołał Tanis.

Przez dłuższy czas jedyną odpowiedzią był niesamowity odgłos, na dźwięk którego półelfowi włosy zjeżyły się na karku. Był to głuchy, świszczący dźwięk, z początku cichy, lecz potem przybrał na sile, aż stał się wysokim, przenikliwym gwizdem. Wraz z nim dobiegł ich czyjś głos.

– Elfi wędrowcze, zawróć z drogi i porzuć krasnoluda. Jesteśmy duchami tych biedaków, których Flint Fireforge zostawił na podłodze karczmy. Czy zginęliśmy w walce?

Głos ducha wzniósł się jeszcze wyżej, a w ślad za nim towarzyszący mu straszny świst.

– Nie! Umarliśmy ze wstydu, przekłęci przez ducha winnego grona za to, że nie umieliśmy wypić więcej niż podgórski krasnolud.

Flintowi z wściekłości drżała broda, a Tanis, wybuchnąwszy śmiechem, zmuszony był chwycić rozgniewanego krasnoluda za ramię, by powstrzymać go od szarży na oślep w zarośla.

– Przekłete niech będą oczy elfów! – upiorny głos poweselał. – I przekłete brody krasnoludów!

– Któżby inny mógł to być? – jęknął Flint. – Tasslehoff Burrfoot!

W zaroślach rozległ się cichy szelest i na ścieżce stanęła mała postać. Był to kender, przedstawiciel rasy uważanej przez wielu na Krynnie za równie dokuczliwą, co komary. Drobnokościści kenderzy rzadko dorastali do wzrostu powyżej metra dwudziestu centymetrów. Ten szczególny kender był mniej więcej wzrostu Flinta, lecz drobna budowa i wiecznie dziecinna twarz czyniły go z wyglądu mniejszym. Odziany był w jaskrawoniebieskie nogawice, które stanowiły ostry kontrast z futrzaną kamizelą i prostą koszulą z samodziału. W brązowych oczach błyszczały wesole, złośliwe iskierki, a uśmiech zdawał się sięgać od jednego czubka szpiczastego ucha do drugiego. Kender pochylił głowę w drwiącym ukłonie, pozwalając, by długa kita brązowych włosów – jego duma i radość – majtnęła mu przed nosem. Potem wyprostował się ze śmiechem. Metaliczny błysk, który wypatrzyły bystre oczy Tanisa, rzuciła klamerka jednej z rozlicznych toreb zawieszonych na ramionach kendera i u jego paska.

Tas szczyrzył do nich zęby w uśmiechu, wspierając się na swym hoopaku. Właśnie ta laska była źródłem niesamowitego dźwięku. Tanis powinien rozpoznać go natychmiast, bowiem wielokrotnie widział, jak kender odstraszał niedoszłych napastników, wywijając nią w powietrzu, co powodowało upiorny świst. Hoopak, wynalazek kenderów, podkuty był miedzią i ostro zakończony, natomiast na szczycie rozdwojony i zaopatrzony w skórzany pasek, co tworzyło procę. Sama laska wykonana była z giętkiego, leszczynowego pręta.

Wzgardzony przez wszystkie inne rasy Krynnu hoopak był nie tylko pożytecznym narzędziem i bronią dla kendera – był jego odznaką. „Nowe drogi wymagają hoopaka”, głosiło popularne powiedzenie kenderów. Natychmiast po nim padało inne z ich powiedzonek: „Żadna droga nie jest stara”.

Tasslehoff nagle podbiegł do nich, rozkładając szeroko ramiona.

– Flint! – Kender pochwyił krasnoluda w objęcia i uściskał go. Zażenowany Flint niechętnie odpowiedział uściskiem, po czym szybko cofnął się. Tasslehoff zaśmiał się, a potem spojrzał w górę na półelfa.

– Kto to? – sapnął zdumiony. – Tanis! Nie poznałem cię z brodą! – Wyciągnął do niego krótkie rączki.

– Nie, dzięki – powiedział Tanis, śmiejąc się. Machnięciem ręki odpędził kendera. – Nie chciałbym stracić sakiewki.

Z nagłym przerażeniem na twarzy Flint sięgnął pod kaftan. – Ty łobuzie! – ryknął i rzucił się na kendera, który zgięty wpół zanosił się od śmiechu. Obaj upadli w kurz.

Roześmiany Tanis chciał już ściągnąć Flinta z kendera, gdy powstrzymał się i obejrzał zaniepokojony. Za późno posłyszał srebrzyste pobrzękiwanie uprzęży i rzenie konia. Półelf położył dłoń na rękojeści miecza, lecz już stracił wszelką przewagę, jaką mogła dać mu czujność.

Klnąc pod nosem, Tanis nie mógł zrobić nic innego, jak stać i przyglądać się postaci, która wyłaniała się z mroku. Dosiadała ona małego kuca o owłosionych nogach, który szedł ze spuszczonego łbem, jakby wstydził się za swego jeźdźca. Twarz jeźdźca otaczały fałdy szarej, plamistej skóry. Para różowych, świńskich oczek spoglądała na nich spod hełmu o wojskowym wyglądzie. Wiotkie fałdy tłustego ciała wylewały się pomiędzy fragmentów krzykliwej, pretensjonalnej zbroi.

Specyficzny odór dotarł do Tanisa, który skrzywił nos z odrazy. „Hobgoblin!” – odnotował jego umysł. Półelf poluzował miecz i kopnął Flinta, lecz krasnolud w tym momencie kichnął straszliwie i usiadł na kenderze.

– Koń! – rzekł Flint, znów kichając.

– Za tobą – odparł cicho Tanis.

Usłyszawszy ostrzegawczą nutę w głosie przyjaciela, Flint podniósł się. Tas pośpiesznie uczynił to samo.

Hobgoblin dosiadający kuca przyglądał im się z drwiącą i butną miną na płaskiej twarzy. W jego różowych oczkach połyskiwały ostatki słońca.

– Widzicie, chłopcy – stwierdził hobgoblin, kalecząc wspólną mowę – z jakimi

głupcami mamy do czynienia w Solace?

Rozległ się chrapliwy śmiech dochodzący spomiędzy drzew za plecami hobgoblina. Pięciu goblinich żołnierzy w prostackich mundurach wyszło pieszo. Stanęli po obu stronach konia swego przywódcy.

– A teraz... – Hobgoblin nachylił się w siodle. Tanis ze straszliwą fascynacją przyglądał się, jak łęk siodła całkiem pogrąża się w olbrzymim brzuchu stwora. – Jestem Małomistrz Toede, przywódca sił chroniących Solace przed niepożądanymi elementami. Nie macie prawa chodzić po obszarze miasta po zapadnięciu zmroku. Jesteście aresztowani. – Małomistrz Toede schylił się, by zamienić kilka słów z goblinem obok niego. – Przynieście mi laskę z błękitnego kryształu, jeśli znajdziecie ją przy nich – rozkazał w zgrzytliwym języku goblinów. Tanis, Flint i Tasslehoff spojrzeli na siebie pytająco. Każdy z nich znał nieco mowę goblinów, Tas lepiej od pozostałych. Czy nie przesłyszeli się? Laska z błękitnego kryształu?

– Gdyby stawiali opór – dodał Małomistrz Toede, przechodząc dla lepszego efektu na wspólną mowę – zabijcie ich.

Powiedziawszy to szarpnął wodze, smagnął wierzchowca szpicrutą i pogalopował w stronę miasta.

– Gobliny! W Solace! Ten nowy Teokrata ma za co odpowiadać! – Flint splunął. Podniósł rękę, wyciągnął topór bojowy z pokrowca na plecach i zaparł się mocno nogami na ścieżce, kołyszając się lekko, by złapać równowagę. – Doskonale – oświadczył. – Zbliżcie się.

– Radzę wam, wycofajcie się – rzekł Tanis, przerzucając płaszcz przez ramię i wyciągając miecz. – Mamy za sobą długą podróż. Jesteśmy głodni, znużeni i już spóźnieni na spotkanie z przyjaciółmi, których dawno nie widzieliśmy. Nie mamy ochoty dać się aresztować.

– Ani zabić – dodał Tasslehoff. Nie wyciągnął żadnej broni, lecz stał, przyglądając się goblinom z ciekawością.

Nieco zaskoczone gobliny popatrzyły na siebie z niepokojem. Jeden rzucił posępne spojrzenie na drogę, gdzie zniknął ich wódz. Gobliny były przyzwyczajone do zaczepiania handlarzy i wieśniaków wędrujących do miasteczka – lecz nie do wyzywania na pojedynek uzbrojonych i najwyraźniej wprawnych wojowników. Jednakże między goblinami a wszystkimi innymi rasami Krynnu istniała zadawniona nienawiść. Wyciągnęli więc długie, krzywe pałasze.

Flint wyszedł naprzód, mocno zaciskając dłonie na rękojeści topora. – Jednej tylko istoty nienawidzę bardziej niż krasnoludów źlebowych – mruknął – a jest nią goblin!

Goblin rzucił się na Flinta, mając nadzieję, że zbije go z nóg. Flint machnął toporem z morderczą celnością i precyzją. Głowa goblina potoczyła się w kurzu, a ciało osunęło się na ziemię z łomotem.

– Co takie zgniłki jak wy robią w Solace? – spytał Tanis, parując zwinnie niezgrabne pchnięcie następnego goblina. Ostrza ich mieczy skrzyżowały się i zatrzymały na chwilę, a potem Tanis odepchnął goblina. – Pracujecie dla Najwyższego Teokraty?

– Teokraty? – goblin zagulgotał ze śmiechu. Wymachując dziko orężem, biegł w stronę Tanisa. – Tego idioty? Nasz Małomistrz pracuje dla... uhh! – Stwór nadzieję na miecz Tanisa. Jęknął, a potem osunął się na ziemię.

– Do diabła! – zaklął Tanis i spojrzał z bezsilną wściekłością na martwego goblina. – Niezdarny dureń! Nie chciałem go zabijać – tylko dowiedzieć się, kto go wynajął.

– Dowiesz się, kto nas wynajął – wcześniej, niż masz na to ochotę – warknął kolejny goblin, rzucając się na rozproszonego półelfa. Tanis szybko odwrócił się i rozbroił stwora. Kopnął go w żołądek i goblin zwałił się na ziemię.

Kolejny goblin skoczył na Flinta, zanim krasnolud zdążył odzyskać równowagę po morderczym wymachu. Zatoczył się do tyłu, próbując ją odzyskać.

Wtedy rozległ się piskliwy głos Tasslehoffa. – Te szumowiny będą walczyć dla każdego, Tanisie. Rzuć im ochłap psiego mięsa raz na jakiś czas, a będą twoi na zaw...

– Psiego mięsa! – wychrypiał goblin i odwrócił się rozwścieczony od Flinta. – A może kenderzego mięsa, ty piszczący pokurczu! – Goblin poczłapał w kierunku pozornie bezbronnego kendera, chcąc złapać go za kark sinoczerwonymi dłońmi. Tas, ani na chwilę nie tracąc niewinnej, dziecinnej miny, sięgnął pod kozuszkową kamizelę, wyciągnął sztylet i rzucił nim – wszystko to jednym ruchem. Goblin złapał się za pierś i upadł z jękiem. Pozostałe gobliny uciekły z tupotem klapiących stóp. Potyczka dobiegła końca.

Tanis schował miecz do pochwy, krzywiąc się ze wstrętem od smrodu ciał. Przypominał mu zepsute ryby. Flint wycierał czarną krew goblina z ostrza topora. Tas patrzył z żalem na goblina, którego zabił. Trup leżał twarzą do ziemi, przygniatając sobą sztylet.

– Wydostanę go dla ciebie – zaproponował Tanis, chcąc odwrócić ciało.

– Nie. – Tas skrzywił się. – Nie chcę go już. Wiesz, że nigdy nie pozbyłbym się tego smrodu.

Tanis pokiwał głową. Flint ponownie wsunął topór do pokrowca i wszyscy trzej ruszyli w drogę.

W miarę jak zapadał zmrok, światła w Solace świeciły coraz jaśniej. Zapach dymu unoszący się w powietrzu chłodnej nocy podsuwał myśli o jedzeniu i ciepłe oraz bezpiecznym

schronieniu. Towarzysze przyspieszyli kroku. Przez długi czas nie odzywali się słowem, wciąż słysząc w myślach echo okrzyku Flinta: „Gobliny. W Solace”.

Jednakże na końcu niepohamowany kender zachichotał. – Poza tym – rzekł – ten sztylet był własnością Flinta!

Rozdział II

Powrót do gospody. Wstrząs. Złamana przysięga

Ostatnimi czasy niemal każdemu w Solace udawało się zaglądać do gospody Ostatni Dom w wieczornych godzinach. Ludzie czuli się bezpieczniej w tłumie.

Solace od dawna na skrzyżowaniu dróg wędrowców. Przybywali z północnego wschodu z Haven, stolicy poszukiwaczy. Przybywali z królestwa elfów Qualinesti na południu. Czasami przybywali ze wschodu, zza jałowych równin Abanasinii. W całym cywilizowanym świecie wiadano, że Ostatni Dom to dach nad głową dla podróżnego i skupisko wszelkich nowin. Do tej właśnie gospody skierowało swe kroki trzech przyjaciół.

Olbrzymi, powyginany pień wznosił się ponad otaczające go drzewa. Kolorowe szybki w oknach migotały jasno na tle mroku drzewa vallen, a zza okien docierały na dół odgłosy życia. Choć wśród vallenów Solace zapadała zimna, jesienna noc, podróżnicy poczuli, jak wspomnienia przyjaźni ogrzewają ich dusze, zmywając znużenie i smutki wędrówek.

Tego wieczoru w gospodzie panował taki tłok, że trójka przyjaciół musiała ciągle odsuwać się, by przepuszczać mężczyzn, kobiety i dzieci. Tanis zauważył, że ludzie spoglądali na niego i jego towarzyszy z podejrzliwością, a nie serdecznością, z jaką powitaliby ich pięć lat temu.

Oblicze Tanisa spochmurniało. Nie o takim powrocie do domu marzył. Nigdy w ciągu pięćdziesięciu lat, jakie spędził w Solace, nie wyczuwał takiego napięcia. Pogłoski, jakie sły-szał o tym, że wśród poszukiwaczy szerzy się zło i przekupstwo, muszą być prawdziwe.

Pięć lat temu, ludzie zwący siebie „poszukiwaczami” („szukamy nowych bogów”) byli luźną organizacją kapłanów praktykujących swą nową religię w miasteczkach Haven, Solace i Gateway. Tanis był zdania, że szli błędną drogą, lecz przynajmniej byli uczciwi i szczerzy. Jednakże w następnych latach, w miarę rozkwitu swej religii, kapłani zdobywali coraz większe znaczenie. Wkrótce zaczęła ich interesować nie tyle chwała w następnym życiu, co władza na Krynnie. Z błogosławieństwem ludu przejęli rządy w osadach.

Dotknięcie wyrwało Tanisa z zamyślenia. Odwrócił się i zobaczył, że Flint w milczeniu wskazuje na dół. Spojrzawszy tam, Tanis dostrzegł strażników maszerujących czwórkami. Uzbrojeni po zęby maszerowali z poczuciem własnej ważności.

– Przynajmniej to ludzie, nie gobliny – rzekł Tas.

– Ten goblin parsknął szyderczo, kiedy wspomniałem o Najwyższym Teokracie – zadumał się Tanis. – Tak, jakby służyli komuś innemu. Ciekaw jestem, co tu się dzieje.

– Może nasi przyjaciele będą wiedzieli – powiedział Flint.

– Jeśli tu są – dodał Tasslehoff. – Wiele mogło się wydarzyć w ciągu pięciu lat.

– Zastaniemy ich tu, jeśli żyją – dodał pod nosem Flint. – Złożyliśmy świętą przysięgę, że spotkamy się po pięciu latach i opowiemy, czego dowiedzieliśmy się o szerzeniu się zła na świecie. Pomyśleć, że wróciliśmy do domu i zastaliśmy zło na własnym progu!

– Bądź cicho! – Kilku przechodniów tak zaniepokoiły słowa krasnoluda, że Tanis potrząsnął głową. – Lepiej nie mówmy tu o tym – poradził półelf. Dotarwszy na samą górę schodów, Tas otworzył drzwi na oścież. Fala światła, zgiełku, gorąca i znajomego zapachu korzennych ziemniaków Otika buchnęła im prosto w twarz. Ciepło owiało ich i mile otuliło. Otik stał za kontuarem tak, jak go zapamiętali, i nie zmienił się, może tylko trochę przytył. Gospoda również wydawała się nie zmieniona, poza tym że stała się przytulniejsza.

Tas, przeszukawszy tłum bystrym wzrokiem kendera, wrzasnął i pokazał ręką na drugi koniec sali. Coś jeszcze również nie zmieniło się – blask ognia migoczący na wypolerowanym do połysku hełmie ze skrzydłami smoka.

– Kto to? – zapytał Flint, usiłując coś dostrzec.

– Caramon – odparł Tanis.

– Więc Raistlin też tu będzie – powiedział Flint bez zbytej serdeczności w głosie.

Tasslehoff już prześlizgiwał się między szemrzącymi grupkami ludzi, ledwo zauważany przez mijanych z powodu drobnej postury i zwinności. Tanis miał tylko serdeczną nadzieję, że kender nie „przywłaszcza” sobie przedmiotów należących do klientów gospody. Nie chodziło o kradzież, ależ skąd – Tasslehoff byłby głęboko urażony, gdyby ktoś nazwał go złodziejem. Ciekawość kendera była jednak niezaspokojona, a rozmaite interesujące drobiazgi stanowiące cudzą własność jakoś same wpadały do rąk Tasa. Ostatnią rzeczą, jakiej Tanis życzyłby sobie dziś wieczorem, były kłopoty. Zanotował w pamięci, żeby porozmawiać potem z kenderem na osobności.

Półelf i krasnolud przedzierali się przez tłok z większym trudem niż ich mały przyjaciel. Zabrano niemal wszystkie krzesła i zajęto wszystkie stoliki. Ci, którzy nie mogli znaleźć miejsc siedzących, rozmawiali przyciszonymi głosami na stojąco. Ludzie ponuro przyglądali się Flintowi i Tanisowi, podejrzliwie lub z ciekawością. Nikt nie przywitał się z Flintem, choć wielu było starymi klientami krasnoludzkiego kowala. Mieszkańcy Solace mieli teraz swe własne kłopoty i wyglądało na to, że Tanis i Flint zostali uznani za obcych.

Usłyszeli ryk dochodzący z drugiego końca sali, od strony stolika, gdzie leżał smoczy hełm połyskujący w blasku ognia. Posępną twarz Tanisa rozjaśnił uśmiech na widok

olbrzymiego Caramona, który podnosił w niedźwiedzim uścisku malutkiego Tasa.

Flint, brnący w morzu klamerek od pasków, mógł to sobie tylko wyobrazić, słuchając dudniącego głosu Caramona, który odpowiadał na piskliwe powitanie Tasslehoffa. – Caramon powinien pilnować sakiewki – burknął Flint – albo policzyć swoje zęby.

Krasnolud i półelf wreszcie precyzyjnie się przez tłum ludzi przy długim barze. Stolik, przy którym siedział Caramon, odsunięto pod pień drzewa. Prawdę mówiąc, stał on w dziwnym miejscu. Tanis zastanawiał się, czemu Otik przesunął go, skoro wszystko inne zostało po staremu. Nie miał jednak czasu na dalsze rozmyślenia, bowiem teraz on został zgnieciony serdecznym powitaniem wielkiego wojownika. Tanis pospiesznie zdjął z pleców długi łuk i kołczan ze strzałami, żeby Caramon nie połamał ich jak wiązki chrustu w swych objęciach.

– Mój przyjacielu! – Caramon miał wilgotne oczy. Chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz rozrzewnienie nie pozwoliło mu. Tanis również przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa, bo Caramon tak go zdusił muskularnymi ramionami, że zabrakło mu tchu.

– Gdzie jest Raistlin? – spytał, kiedy odzyskał zdolność mówienia. Bliźniacy nigdy się nie rozstawali.

– Tam. – Caramon skinął głową w kierunku szczytu stołu. Potem zmarszczył brwi. – On się zmienił – wojownik ostrzegł Tanisa.

Półelf spojrział w kąut utworzony przez nieregularny występ drzewa vallen. Panował w nim mrok i przez chwilę nic nie mógł dostrzec, oślepiiony blaskiem ognia. Potem ujrzał wątłą, siedzącą postać, otuloną w czerwone szaty, mimo żaru buchającego z pobliskiego kominka. Postać ta miała kaptur nasunięty na twarz.

Tanis poczuł nagłą niechęć do rozmowy sam na sam z młodym czarodziejem, lecz Tasslehoff odbiegł w podskokach w poszukiwaniu barmanki, a Caramon podnosił właśnie Flinta. Tanis podszedł do szczytu stołu.

– Raistlin? – rzekł z dziwnym przecuciem.

Postać w szacie podniosła głowę. – Tanis? – szepnął mężczyzna, powoli zsuwając kaptur z głowy.

Półelf jęknął i odsunął się o krok. Przyglądał mu się z przerażeniem. Twarz, która obróciła się ku niemu z mroku, była jakby wyjęta z koszmaru. Zmienił się, powiedział Caramon! Tanis wzdrygnął się. „Zmieniony” – to za mało powiedziane! Biała skóra czarodzieja nabrała złotego odcienia. Połyskiwała w blasku ognia nieco metalicznie, co nadawało twarzy wygląd upiornej maski. Twarz wychudła, a kości policzkowe były podkreślone strasznymi cieniami. Wargi zaciskały się w ciemną, wąską kreskę. Tanisa jednak

najbardziej wstrząsnęły oczy mężczyzny, które przyszpiliły go swym straszliwym spojrzeniem. Były to bowiem oczy niepodobne do oczu żadnego żyjącego człowieka, jakiego Tanis widział. Czarne źrenice miały kształt klepsydr! Bładobłękitne tęczęwki, które pamiętał Tanis, błyszczały teraz złotem!

– Widzę, że mój wygląd cię zaskoczył – szepnął Raistlin. Na jego wąskich wargach pojawił się cień uśmiechu.

Siadając naprzeciwko młodzieńca, Tanis przełknął ślinę. – W imię prawdziwych bogów, Raistlinie...

Flint klapnął obok Tanisa. – Podrzucano mnie dzisiaj do góry więcej razy niż... na Reorxa! – Flint wybałuszył oczy. – Cóż to za dzieło złego? Czy jesteś przeklęty? – jęknął krasnolud, gapiąc się na Raistlina.

Caramon usiadł obok brata. Podniósł kufel piwa i posłał spojrzenie Raistlinowi. – Powiesz im, Raist? – rzekł cicho.

– Tak – powiedział Raistlin, przeciągając głoski z sykiem, od którego Tanisa przeszedł dreszcz. Młodzieniec przemawiał cichym, świszczącym głosem, niewiele donośniejszym od szeptu, jakby nie miał więcej sił na wypowiedanie słów. Długimi, nerwowymi dłońmi, które miały ten sam złoty kolor, co jego twarz, bawił się od niechcenia resztkami jedzenia na talerzu.

– Czy pamiętasz, jak rozstaliśmy się pięć lat temu? – zaczął Raistlin. – Wraz z bratem planowaliśmy tak tajną podróż, że nie mogłem powiedzieć nawet wam, moi drodzy przyjaciele, dokąd się udajemy.

W jego łagodnym głosie pobrzmiwała nutka sarkazmu. Tanis przygryzł wargę. Raistlin nigdy – przez całe swe życie – nie miał żadnych „drogich przyjaciół”.

– Zostałem wybrany przez Par-Saliana, głowę mego zakonu, abym poddał się próbie – ciągnął Raistlin.

– Próba! – powtórzył zdumiony Tanis. – Ale byłeś przecież za młody. Miałeś – ile – dwadzieścia lat? Próbie poddawani są tylko czarodzieje, którzy studiowali latami...

– Możesz wyobrazić sobie mą dumę – rzekł chłodno Raistlin, rozdrażniony tym, że mu przerwano. – Mój brat i ja udaliśmy się do tajemnego miejsca – owianych legendą Wież Wielkiej Magii. I tam przeszedłem próbę. – Głos czarodzieja załamał się. – I tam nieomal zginałem!

Caramon zatkał, najwyraźniej pod wpływem jakiegoś silnego uczucia. – To było straszne – zwałisty mężczyzna zaczął mówić drżącym głosem. – Odnalazłem go w tym okropnym miejscu i zobaczyłem, że krwawi z ust, kona! Wziąłem go na ręce i...

– Dość, bracie! – cichy głos Raistlina smagnął jak bicz. Caramon skulił się. Tanis dostrzegł, że złote oczy młodego czarodzieja zwężają się, a chude dłonie zaciskają. Caramon zamilkł i wypił piwo, spoglądając niespokojnie na brata. W stosunkach pomiędzy bliźniakami widoczne było napięcie, niepokój, którego wcześniej nie było.

Raistlin zaczerpnął głęboko tchu i ciągnął. – Kiedy oprzytomniałem – powiedział – moja skóra nabrała tego koloru – to znak mego cierpienia. Moje ciało i moje zdrowie zostały nieodwracalnie zniszczone. A moje oczy! Spoglądam przez źrenice w kształcie klepsydr i widzę przeto czas dotykający wszystkich rzeczy. Patrząc na ciebie, Tanisie – szepnął czarodziej – widzę, jak umierasz powoli, minuta po minucie. W ten sam sposób widzę wszelkie inne żywe istoty.

Chuda, szponiasta dłoń Raistlina zacisnęła się na ramieniu Tanisa. Półelf zadrżał od chłodnego dotyku i chciał się odsunąć, lecz złote źrenice i zimna ręka trzymały go mocno.

Czarodziej nachylił się, a jego oczy pały gorączkowym blaskiem. – Ale mam teraz moc! – szepnął. – Par-Salian powiedział mi, że nadejdzie dzień, gdy moja siła będzie kształtować świat! Mam moc i... – wskazał dłonią – laskę Magiusa.

Tanis spojrzął i zobaczył laskę opartą o pień vallen w zasięgu ręki Raistlina. Była to zwykła drewniana laska. Na jej czubku połyskiwała kryształowa kula przytrzymywana przez złotą łapę wyrzeźbioną na kształt smoczycich pazurów.

– Czy warto było? – spytał cicho Tanis.

Raistlin popatrzył na niego, a potem rozsunął wargi w grymasie, który był karykaturą uśmiechu. Zabrał dłoń z ramienia Tanisa i schował ręce w rękawach szaty. – Oczywiście! – zasyczał czarodziej. – Od dawna pożądałem mocy ... i nadal jej pożadam. – Odchylił się, a jego chuda postać wtopiła się w cień, tak że Tanis widział tylko jego złote oczy, które błyszczały w świetle ognia.

– Piwa! – rzekł Flint, chrząknął i oblizał wargi, jakby chcąc pozbyć się przykrego posmaku w ustach. – Gdzie ten kender? Pewnie skradł barmankę...

– Już jesteśmy – wesoło zawołał Tas. Za nim pojawiła się wysoka, rudowłosa, młoda dziewczyna, niosąc tacę pełną kufli.

Caramon szczyrzył zęby. – Hej, Tanisie – zagrzemiał – zgadnij, kto to? Ty też, Flincie. Jeśli wygracie, stawiam kolejkę.

Rad, iż mógł się oderwać od posępnej opowieści Raistlina, Tanis popatrzył na roześmianą dziewczynę. Jej twarz okalały rude, kędzierzawe włosy, zielone oczy śmiały się, a nos i policzki były lekko upstrzone piegami. Tanisowi wydawało się, że przypomina sobie te oczy, lecz poza tym miał pustkę w głowie.

– Poddaję się – powiedział. – No, ale przecież dla elfów ludzie zmieniają się tak szybko, że łatwo się gubimy. Mam sto dwa lata, a' nie dalibyście mi więcej jak trzydzieści. Mnie te sto lat wydawało się nie dłuższe niż trzydzieści. Ta młoda kobieta musiała być dzieckiem, kiedy odeszliśmy.

– Miałam czternaście lat. – Dziewczyna roześmiała się i postawiła tacę na stole. – Caramon zwykł mówić, że jestem tak brzydka, że ojciec będzie musiał zapłacić komuś, żeby się ze mną ożenił.

– Tika! – Flint uderzył pięścią w stół. – Stawiasz, ty wielki gamoni! – wskazał na Caramona.

– To nieuczciwe! – Olbrzym zaśmiał się. – Podpowiedziała ci.

– Upływ czasu udowodnił, że nie miał racji – rzekł Tanis z uśmiechem. – Przebyłem wiele dróg, a ty jesteś jedną z najśliczniejszych dziewczyn, jakie widziałem na Krynnie.

Tika zaczerwieniła się z radości. Potem jej twarz spochmurniała. – Tak przy okazji, Tanisie... – sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła przedmiot w kształcie walca – ...to przy szło dziś dla ciebie. W niecodziennych okolicznościach.

Tanis zmarszczył brwi i wziął przedmiot. Był to niewielki pokrowiec na zwój, zrobiony z czarnego, pięknie wypolerowanego drewna. Powoli wyjął z niego cienki płat pergaminu i rozwinął go. Serce załomotało mu boleśnie na widok czarnych, grubych liter napisanych odręcznie.

– To od Kitiary – rzekł wreszcie zduszonym głosem, świadom jego nienaturalnego brzmienia. – Nie przybędzie.

Zapadła cisza. – To koniec – powiedział Flint. – Krąg został przerwany, przysięga złamana. To przyniesie nieszczęście. – Pokręcił głową. – Nieszczęście.

Rozdział III

Rycerz solamnijski. Starzec urządza przyjęcie

Raistlin nachylił się. Spojrzał na Caramona, a myśli przemknęły między nimi bez słów. Był to nieczęsto spotykany widok, gdyż tylko w chwili wielkich osobistych trudności lub niebezpieczeństwa bliski kontakt bliźniaków wychodził na jaw. Kitiara była ich starszą siostrą przyrodnią.

– Kitiara nie złamałaby przysięgi, gdyby nie wiązała jej inna, silniejsza. – Raistlin powiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli.

– Co pisze? – spytał Caramon.

Tanis zawahał się, a potem oblizał suche wargi. – Obowiązki wobec nowego pana zatrzymują ją. Przesyła wyrazy żalu i najlepsze życzenia dla nas wszystkich oraz wyrazy miłości... – Tanis poczuł ściskanie w gardle. Kaszlnął. – Wyrazy miłości dla braci i dla... – Przerwał, a następnie zwinął rulon. – To wszystko.

– Wyrazy miłości dla kogo? – zapytał z ożywieniem Tasslehoff. – Auu! – Rzucił wściekle spojrzenie na Flinta, który nadepnął mu na nogę. Kender dostrzegł, że Tanis zaczerwienił się. – Och – westchnął, czując się głupio.

– Czy wiecie, kogo ma na myśli? – Tanis spytał braci. – O jakim nowym panu wspomina?

– Kto wie, co myśli Kitiara? – Raistlin wzruszył ramionami. – Ostatni raz widzieliśmy ją tutaj, w gospodzie, pięć lat temu. Udawała się na północ, razem ze Sturmem. Od tego czasu nie mieliśmy od niej żadnych wieści. A co do nowego pana, powiedziałbym, że wiemy już, dlaczego złamała przysięgę złożoną nam: przysięgła wierność komu innemu. W końcu jest przecież najemniczką.

– Tak – przyznał Tanis. Wsunął z woj z powrotem do pokrowca i popatrzył na Tikę. – Mówiłaś, że przybył w dziwnych okolicznościach? Opowiedz mi.

– Jakiś człowiek przyniósł go późnym rankiem. Przynajmniej wydaje mi się, że był to człowiek. – Tika zadrżała. – Od stóp do głów okutany był we wszelkiego rodzaju odzienie. Nawet nie widziałam jego twarzy. Miał syczący głos i mówił z dziwnym akcentem. „Dostarcz to niejakiemu Tanisowi Pół-elfowi” – rzekł. Odpowiedziałam mu, że cię tu nie ma i nie było od kilku lat. „Dziś będzie” – powiedział mężczyzna i wyszedł. – Tika wzruszyła ramionami. – Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Ten staruszek, który tam siedzi, widział go. – Wskazała na starca siedzącego w fotelu przed kominkiem. – Możesz zapytać, czy zauważył coś jeszcze.

Tanis odwrócił się i popatrzył na starca, opowiadającego bajki rozmarzonemu

dziecku, które wpatrywało się w płomień. Flint dotknął jego ramienia.

– Nadchodzi ktoś, kto powie ci więcej – rzekł krasnolud.

– Sturm! – powiedział serdecznie Tanis, odwracając się ku drzwiom.

Wszyscy, z wyjątkiem Raistlina, obejrzeni się. Czarodziej znów pogрузił się w mrok.

W drzwiach stała wyprostowana sztywno postać w kolczudze i pełnej zbroi płytowej ze znakiem Zakonu Róży na napierśniku. Bardzo wielu bywalców gospody odwróciło się i zmierzyło go wrogim spojrzeniem. Mężczyzna ten był rycerzem solamnijskim, a rycerze solamnijscy popadli w niełaskę na północy. Pogłoski o ich deprawacji dotarły nawet tak daleko na południe. Ci nieliczni, którzy poznali w Sturmie wieloletniego byłego mieszkańca Solace, wzruszyli ramionami i powrócili do picia. Ci, którzy go nie znali, nadal gapili się. W czasach pokoju sam widok wchodzącego do gospody rycerza w pełnej zbroi był czymś niezwykle. Tym bardziej niecodzienny był widok rycerza w pełnej zbroi pochodzącej praktycznie z czasów kataklizmu!

Sturm przyjął owe spojrzenia za hołd należny swej godności. Starannie przyglądał wielkie, gęste wąsy, które jako prastary symbol rycerstwa były równie przestarzałe, co jego zbroja. Nosił odznaki rycerzy solamnijskich z niekwestionowaną dumą i miał dość sił i umiejętności, by obronić tę dumę. Choć ludzie w gospodzie gapili się na niego, nikt, kto raz spojrział w spokojne, chłodne oczy rycerza, nie ośmielił się zadrwić czy rzucić uwłaczającej uwagi.

Rycerz przytrzymał otwarte drzwi wysokiemu mężczyźnie i kobiecie otulonej w grube futra. Kobieta musiała podziękować Sturmowi, bowiem skłonił się jej w uprzejmy, staroświecki sposób, wedle zwyczaju od dawna martwego we współczesnym świecie.

– Spójrzcie na to – Caramon pokręcił głową z podziwem. – Szlachetny rycerz pomaga pięknej damie. Ciekawe, skąd wytrzasnął tych dwoje.

– Oni są barbarzyńcami z równin – powiedział Tas, stając na krześle i wymachując rękoma do przyjaciela. – To strój plemienia Que-Shu.

Najwyraźniej dwoje barbarzyńców nie przyjęło propozycji, jaką złożył Sturm, ponieważ rycerz znów uklonił się i opuścili ich. Szedł przez zatłoczoną gospodę otoczony atmosferą dumy i dostojeństwa, jakby zbliżał się do króla, który miał go pasować na rycerza.

Tanis wstał. Sturm podszedł najpierw do niego i wziął przyjaciela w objęcia. Tanis mocno przycisnął go do piersi, czując serdeczny uścisk silnych, żyłastych ramion rycerza. Potem odsunęli się i przyglądali się sobie przez krótką chwilę.

Sturm nie zmienił się, pomyślał Tanis, ma tylko więcej zmarszczek wokół smutnych oczu i więcej siwizny w brązowych włosach. Płaszcz jest nieco bardziej postrzępiony. Stara

zbroja ma kilka nowych wgnieceń. Lecz falujące wąsy rycerza – jego duma i radość – były długie i sumiaste jak zawsze, tarcza jak zwykle wypolerowana do połysku, a brązowe oczy jak zawsze pełne ciepłej serdeczności na widok przyjaciół.

– A ty masz brodę – powiedział Sturm z rozbawieniem.

Następnie rycerz odwrócił się, by przywitać Caramona i Flinta. Tasslehoff pobiegł przynieść piwa, bowiem Tikę wezwano do obsługiwanie innych klientów, których wciąż przybywało.

– Bądź pozdrowiony, rycerzu – szepnął Raistlin ze swego kąta.

Sturm spoważniał odwróciwszy się, by przywitać drugiego bliźniaka. – Witaj, Raistlinie – rzekł.

Czarodziej zrzucił kaptur i światło padło na jego twarz. Sturm był zbyt dobrze wychowany, by okazać zdumienie poza cichym westchnieniem. Mimo to jego oczy rozszerzyły się. Tanis zdał sobie sprawę, że młody mag czerpie cyniczną przyjemność z przyglądania się zakłopotaniu swych przyjaciół.

– Przynieść ci coś, Raistlinie? – spytał Tanis.

– Nie, dziękuję – odrzekł czarodziej, ponownie pogrążając się w cieniu.

– On praktycznie nic nie je – powiedział Caramon zmartwionym tonem. – Chyba żywi się powietrzem.

– Niektóre rośliny żywią się powietrzem – stwierdził Tasslehoff, wracając z piwem dla Sturma. – Widziałem je. Wiszą nad ziemią. Ich korzenie czerpią pokarm i wodę z atmosfery.

– Naprawdę? – Caramon wybałuszył oczy.

– Sam nie wiem, kto jest większym idiotą – powiedział z niesmakiem Flint. – Jesteśmy już wszyscy. Jakie macie wieści?

– Wszyscy? – Sturm spojrzał pytająco na Tanisa. – A Kitiara?

– Nie przyjdzie – odpowiedział spokojnie Tanis. – Mieliśmy nadzieję, że ty nam coś powiesz.

– Nie ja. – Rycerz sposepniał. – Podróżowaliśmy razem na północ i rozstaliśmy się wkrótce po przepłynięciu kanału morskiego do Starej Solamнии. Powiedziała, że wybiera się odszukać krewnych swego ojca. Wtedy widziałem ją ostatni raz.

– W takim razie, to już wszyscy. – Tanis westchnął. – A twoi krewni, Sturmie? Znalazłeś swego ojca?

Sturm zaczął wspominać, lecz Tanis tylko jednym uchem przysłuchiwał się opowieści Sturma o wędrowce po krainie jego przodków, Solamнии. Tanis myślami był przy Kitiarze. Ze

wszystkich przyjaciół ją najbardziej pragnął ujrzeć. Po pięciu latach prób zapomnienia o jej ciemnych oczach i krzywym uśmiechu odkrył, iż tęskni za nią z każdym dniem coraz bardziej. Dzika, porywcza, obdarzona gorącym temperamentem mistrzyni miecza stanowiła przeciwieństwo Tanisa. Była także człowiekiem, a miłość człowieka i elfa zawsze kończyła się tragedią. Mimo to Tanisowi nie łatwiej przyszłoby wyrzucić ze swego serca Kitiarę, niż pozbyć się ludzkiej połowy swej krwi. Otrząsnąwszy się ze wspomnień, zaczął przysłuchiwać się temu, co mówi Sturm.

– Słyszałem pogłoski. Niektóre mówią, że mój ojciec zginął. Inne, że żyje. – Spochmurniał na twarzy. – Nikt jednak nie wie, gdzie on jest.

– A twoje dziedzictwo? – spytał Caramon.

Sturm uśmiechnął się, a melancholijny uśmiech złagodził rysy jego dumnej twarzy. – Mam je na sobie – odparł po prostu. – To moja zbroja i mój oręż.

Tanis spojrzał i zobaczył, że rycerz nosi wspaniały, choć nieco staroświecki, oburęczny miecz.

Caramon wstał, żeby spojrzeć przez stół. – Piękna rzecz, – powiedział. – Teraz już takich nie robią. Mój miecz złamał się w walce z ogrem. Theros Ironfeld dorobił mi dziś nowe ostrze, lecz drogo musiałem za to zapłacić. Więc jesteś już rycerzem?

Sturm przestał się uśmiechać. Ignorując pytanie, gładził czule rękojeść miecza. – Legenda mówi, że miecz ten złamie się tylko wtedy, gdy ja się załamie – rzekł. – Tylko tyle zostało po moim ojcu...

Nagle wtrącił się Tas, który nie słuchał go. – Kim są ci ludzie? – zapytał kender przenikliwym szeptem.

Tanis podniósł głowę, gdy dwoje barbarzyńców minęło ich stolik, idąc w kierunku wolnych krzeseł stojących w ciemnym kącie przy kominku. Mężczyzna był najwyższym człowiekiem, jakiego widział Tanis. Caramon, przy swoich stu osiemdziesięciu trzech centymetrach wzrostu, sięgałby mu zaledwie do ramienia. Natomiast Caramon był prawdopodobnie dwa razy szerszy w barach, a jego bicepsy były trzy razy większe. Mimo iż mężczyzna opatulony był w futra, jakie noszą barbarzyńcy, wyraźnie widać było, że jest chudy jak na swój olbrzymi wzrost. Jego twarz, choć smągła, miała blady odcień, jak u osoby, która przeszła chorobę lub wielkie cierpienia.

Jego towarzyszką, kobietą, której skłonił się Sturm, była tak zawinięta w oblamowaną futrem pelerynę z kapturem, że trudno było cokolwiek o niej powiedzieć. Ani ona, ani jej towarzysz nie spojrzeli nawet na Sturma, kiedy przechodzili obok. Kobieta niosła zwykłą laskę ozdobioną piórami na barbarzyńską modę. Mężczyzna niósł mocno wytarty plecak.

Usiedli na krzesłach, owinęli się swymi pelerynami i rozmawiali przyciszonymi głosami.

– Spotkałem ich, kiedy błakali się na drodze w pobliżu miasta – powiedział Sturm. – Kobieta wyglądała na bliską wyczerpania, a mężczyzna był w nie lepszym stanie. Przypro-wadziłem ich tu, powiedziałem, że mogą dostać jedzenie i nocleg. To dumni ludzie i nie przyjęliby, jak sądzę, mej pomocy, lecz byli zagubieni, zmęczeni i... – Sturm ściszył głos – ..w dzisiejszych czasach są na drogach takie rzeczy, których lepiej nie spotkać po zmroku.

– Spotkaliśmy kilku takich, wypytujących o laskę – powiedział Tanis posepnie. Opisał spotkanie z Małomistrzem Toede.

Chociaż Sturm uśmiechał się, słysząc opis bitwy, potrząsnął głową. – Strażnik poszukiwaczy przed gospodą wypytywał mnie o laskę – rzekł. – Z błękitnego kryształu, prawda?

Caramon pokiwał głową i położył dłoń na chudym ramieniu brata. – Zatrzymał nas jeden z tych obmierzłych strażników – powiedział wojownik. – Chcieli zarekwirować laskę Raistlina – uwierzycie w to – „w celu przeprowadzenia dalszego śledztwa”, tak powiedzieli. Pogroziłem im mieczem i wtedy zmienili zdanie.

Raistlin odsunął rękę od dłoni brata, a jego wargi wykrzywił pogardliwy uśmieszek.

– Co by się stało, gdyby zabrali twą laskę? – Tanis zapytał Raistlina.

Czarodziej spojrział na niego z mroku swego kaptura, w którym błyszcząły złote oczy. – Zginęliby straszną śmiercią – szepnął mag – i to nie od miecza mego brata!

Półelf poczuł, że przechodzi go zimny dreszcz. Ciche słowa czarodzieja bardziej przerażały niż brawura jego brata. – Ciekawe, dlaczego ta laska z błękitnego kryształu jest taka ważna, żeby gobliny dla niej zabijały? – zadumał się.

– Wieść niesie, że będzie jeszcze gorzej – rzekł cicho Sturm. Przyjaciele przysunęli się bliżej, żeby go słyszeć. – Na północy zbierają się wojska. Wojska dziwnych istot – nie-ludzkich istot. Mówi się o wojnie.

– Ale co? Kto? – spytał Tanis. – Słyszałem o tym samym.

– Ja też – dodał Caramon. – Prawdę mówiąc, słyszałem...

Kiedy rozmowa potoczyła się dalej, Tasslehoff ziewnął i odwrócił się. Łatwo nudzący się kender zaczął się rozglądać po gospodzie w poszukiwaniu nowej rozrywki. Jego spojrzenie padło na staruszka, który wciąż snuł przy ogniu opowieści dla dziecka. Starzec miał już więcej słuchaczy – Tas zauważył, że dwoje barbarzyńców również przysłuchiwało się. A potem otworzył usta ze zdumienia.

Kobieta zrzuciła kaptur i blask ognia padł na jej twarz i włosy. Kender przyglądał jej się z podziwem. Twarz kobiety przypominała twarz marmurowego posągu o klasycznie

czystej, chłodnej urodzie.

Szczególny podziw kendera wzbudziły jej włosy. Tas nigdy przedtem nie widział takich włosów, zwłaszcza wśród ludu równin, który zazwyczaj był ciemnowłosy i ciemnoskóry. Złotnik tkający nici z płynnego srebra i złota nie potrafiłby stworzyć czegoś tak pięknego, jak srebrnozłote, połyskujące w świetle ognia włosy tej kobiety.

Jeszcze jedna osoba słuchała starca. Był to mężczyzna bogato odziany w brązowożłote szaty poszukiwacza. Siedział przy małym, okrągłym stoliku i pił grzane wino. Przed nim stało już kilka opróżnionych kubków. W chwili gdy kender obserwował go, zawołał skwaszonym tonem, żeby przynieść mu następny.

– To Hederick – szepnęła Tika, przechodząc obok stołu przyjaciół. – Najwyższy Teokrata.

Mężczyzna znów zawołał, patrząc ze złością na Tikę. Podbiegła prędko, by go obsłużyć. Warknął coś do niej, wypominając kiepską obsługę. Wydawało się, że miała ochotę odpowiedzieć mu ostro, lecz przygryzła wargę i nie pisnęła ani słowa.

Opowieść staruszka dobiegła końca. Chłopiec westchnął. – Czy wszystkie twoje historie o starych bogach są prawdą, dziadku? – zapytał z ciekawością.

Tasslehoff zobaczył gniewny grymas Hedericka. Kender miał nadzieję, że nie będzie robił przykrości staruszkowi. Tas dotknął ramienia Tanisa, żeby zwrócić jego uwagę, i kiwnął głową w stronę poszukiwacza z błyskiem w oczach mówiącym, że mogą być kłopoty.

Przyjaciele odwrócili się. Wszystkich natychmiast obezwładniła uroda kobiety z równin. Przyglądali jej się w milczeniu.

Głos starego człowieka niósł się wyraźnie ponad szmerem rozmów w gospodzie. – Zaiste, dziecię, moje opowieści są prawdziwe. – Starzec popatrzył prosto na kobietę i jej wysokiego opiekuna. – Zapytaj tych dwoje. Oni noszą w sercach takie opowieści.

– Naprawdę? – chłopiec z zapalem zwrócił się do kobiety. – Czy możesz mi coś opowiedzieć?

Kobieta ponownie zaszyła się z niepokojem w cień, zobaczywszy, że Tanis i jego przyjaciele przyglądają się jej. Mężczyzna przysunął się do niej opiekuńczo i sięgnął po broń. Zmierzył grupę wrogim spojrzeniem, szczególnie ciężkozbrojnego wojownika Caramona.

– Nerwowy drań – stwierdził Caramon, sięgając po swój miecz.

– Rozumiem go – rzekł Sturm. – Strzeże takiego skarbu. Tak przy okazji, on naprawdę ochrania ją. Z ich rozmowy wywnioskowałem, że jest kimś w rodzaju królewskiej osoby w ich plemieniu. Chociaż, sądząc po spojrzeniach, jakie sobie posyłają, przypuszczam, że łączy ich coś więcej.

Kobieta uniosła rękę gestem protestu. – Przykro mi. – Przyjaciele musieli nadstawiać uszu, by posłyszeć jej cichy głos.

– Nie umiem snuć opowieści. Nie mam do tego talentu. – Posługiwała się wspólną mową, choć z obcym akcentem.

Na pełnej zapału twarzy dziecka odmalowało się rozczarowanie. Staruszek poklepał chłopca po plecach, a potem spojrział kobiecie prosto w oczy. – Może nie umiesz snuć opowieści

– powiedział miłym tonem – lecz potrafisz śpiewać pieśni, prawda, córko wodza? Zaśpiewaj dziecku swą pieśń, Goldmoon. Wiesz, którą.

Nie wiadomo skąd w dłoniach starca zjawiła się lutnia. Podał ją kobiecie, która spoglądała na niego ze strachem i zdumieniem.

– Skąd... znasz me imię, panie? – spytała.

– To nie jest ważne. – Starzec uśmiechnął się łagodnie.

– Zaśpiewaj nam, córko wodza.

Kobieta wzięła lutnię w dłonie, które wyraźnie drżały. Jej towarzysz zdawał się protestować szeptem, lecz nie usłyszała go. Nie mogła oderwać spojrzenia od czarnych, błyszczących j oczu starca. Powoli, jakby w transie, zaczęła trącać struny lutni, i Gdy melancholijne tony rozległy się w gospodzie, rozmowy ucichły. Wkrótce oczy wszystkich spoczęły na kobiecie, lecz i ona nie dostrzegała tego. Goldmoon śpiewała tylko dla starca.

Step jest niezmierny,

Lato pieśń śpiewa,

Księżniczka Goldmoon

Pokochała pasterza.

Jej ojciec jest wodzem

Rozdzielić ich pragnie:

Step jest niezmierny, lato pieśń śpiewa.

Trawa w stepie faluje,

Szary jest nieba skraj,

Wódz wysyła Riverwinda

Daleko, gdzie wschodni jest kraj,

By szukał potężnej magii
Na brzegu poranka,
Trawa w stepie faluje, szary jest nieba skraj.

O, Riverwindzie, dokąd odszedłeś?
O, Riverwindzie, nadchodzi jesień.
Czekam nad rzeką
I czuwam o wschodzie,
Lecz słońce wschodzi nad górami samotnie.

Blednie barwa stepu,
Letni wiatr kona,
On wrócił, a w jego oczach
Ciemność kamieni jest pogrążona.

Niesie błękitną laskę
Lśniąca jak lodowiec:
Blednie barwa stepu, letni wiatr kona.

Trawa w stepie jest krucha,
Jak płomień jest płowa,
Wódz szyderstwem odpowiada
Na Riverwinda słowa.

Rozkazuje swym ludziom
Ukamienować młodego wojownika:
Trawa w stepie jest krucha, jak płomień jest płowa.

Trawa w stepie wyblakła,
Nadszedł czas jesieni.
Dziewczyna podchodzi do kochanka,
Słyszy świst kamieni.

Laska rozbłyska błękitnym światłem

I oboje znikają:

Trawa w stepie wyblakła, nadszedł czas jesieni.

Gdy po raz ostatni trąciła struny dłonią, w sali zapadła przejmująca cisza. Odetchnąwszy głęboko, oddała starcowi lutnię i ponownie cofnęła się w cień. – Dziękuję ci, moja droga – rzekł starzec z uśmiechem.

– Czy teraz już możesz opowiedzieć mi bajkę? – spytał chłopczyk żałośnie.

– Oczywiście – odpowiedział staruszek i rozsiadł się w swym fotelu. – Dawno, dawno temu, wielki bóg, Paladine...

– Paladine? – przerwało dziecko. – Nigdy nie słyszałem o bogu zwanym Paladine.

Siedzący przy pobliskim stole Najwyższy Teokrata parsknął pogardliwie. Tanis obejrzał się na Hedericka, który poczerwieniał na twarzy i patrzył wściekle. Staruszek jakby tego nie dostrzegął.

– Paladine jest jednym ze starych bogów, dziecię. Od dawna już go nikt nie czci.

– Dlaczego on odszedł? – zapytał chłopczyk.

– On nie odszedł od nas – odparł starzec, a jego uśmiech posmutniał. – Ludzie odeszli od niego w mrocznych czasach kataklizmu. Za zniszczenie świata obwiniali bogów, a nie siebie samych, jak powinni byli. Czy słyszałeś Kantyczkę smoka!

– O, tak – powiedział chłopiec z zapałem. – Uwielbiam historie o smokach, chociaż tato mówi, że smoki nigdy nie istniały. A ja i tak w nie wierzę. Mam nadzieję, że kiedyś zobaczę smoka!

Wydawało się, że twarz staruszka postarzała się i posmutniała. Starzec pogładził chłopca po włosach. – Uważaj na czego sobie życzysz, moje dziecko – powiedział cicho. Potem umilkł.

– A bajka... – ponaglał chłopiec.

– Ach, tak. Tak więc, dawno, dawno temu Paladine słyszał modlitwę wielkiego rycerza, Humy...

– Tego Humy z Kantyczki!

– Tak, właśnie tego. Huma zabłądził w lesie. Błąkał się po nim i błąkał, aż ogarnęła go rozpacz, bowiem myślał, że już nigdy nie ujrzy swej ojczyzny. Pomodlił się do Paladine o pomoc i nagle pojawił się przed nim Biały Jeleń.

– Czy Huma go zastrzelił? – spytał chłopiec.

– Już chciał, lecz nie miał serca. Nie mógł strzelić do ta wspaniałego zwierzęcia. Jeleń oddalił się skokiem. A potem trzymał się i obejrzał na niego, jakby czekał. Huma zaczął iść za

nim. Dniem i nocą szedł śladami jelenia, aż ten zaprowadził go do ojczyzny. Rycerz złożył podziękowania bogu Paladine...

– Bluźnierstwo! – wrzasnął ktoś głośno. Odsunięte krzesło upadło z trzaskiem. Tanis odstawił kufel piwa i podniósł głowę. Wszyscy przy stole oderwali się od picia, by spojrzeć na pijanego Teokratę.

– Bluźnierstwo! – Chwiejący się na nogach Hederick wskazał ręką na starca. – Heretyk! Psuje naszą młodzież! Postawię cię pod sąd, starcze! – Poszukiwacz zatoczył się do tyłu, a potem zrobił chwiejny krok naprzód. Rozejrzał się sali z pompatyczną miną. – Zawołajcie strażę! – Machną ręką, przesadnie gestykulując. – Niech aresztują tego mężczyznę i tę kobietę za śpiewanie nieprzyzwoitych piosenek. To z pewnością czarownica! Skonfiskuję tę laskę! – Zataczając się, poszukiwacz zbliżył się do barbarzyńskiej kobiety, która zmierzyła go pełnym odrazy spojrzeniem. Niezdarnie wyciągnął rękę po laskę.

– Nie – rzekła chłodno kobieta zwana Goldmoon. – Ona jest moja. Nie możesz jej zabrać.

– Czarownico! – parsknął poszukiwacz. – Ja jestem Najwyższym Teokratą! Biorę, co chcę!

Ponownie chciał chwycić laskę. Towarzyszący kobiecie wysoki mężczyzna wstał. – Córka wodza mówi, że jej nie weźmiesz – rzekł szorstko i odepchnął poszukiwacza.

Pchnięcie nie było mocne, lecz pijany Teokratą całkiem stracił równowagę. Usiłował ją odzyskać, wymachując na oślep ramionami. Wychylił się do przodu – za mocno – potknął się o swe urzędowe szaty i wpadł głową naprzód w huczący ogień.

Ogień buchnął gwałtownie, a potem rozszedł się mdlący zapach przypalonego ciała. Ciszę, jaka zapanowała wśród osłupiałych ludzi, przerwał wrzask rozszalałego Teokraty, który zerwał się na równe nogi i zaczął wirować opętańczo. Stał się żywą pochodnią! Tanis i inni siedzieli, nie mogąc się ruszyć z miejsca, sparaliżowani wstrząsającym wypadkiem. Tylko Tas miał dość przytomności umysłu, by podbiec z zamiarem udzielenia pomocy. Teokratą jednakże wrzeszczał i wymachiwał rękoma, podsycając tylko płomienie, które spalały jego ubranie i ciało. Wydawało się, że nie ma sposobu, by mały kender mógł mu pomóc.

– Masz! – Starzec chwycił ozdobioną piórami laskę barbarzyńców i podał ją kenderowi. – Przewróć go. Potem będziemy mogli ugasić ogień.

Tasslehoff wziął laskę. Zamachnął się nią z całej siły i uderzył Teokratę prosto w pierś. Mężczyzna upadł na podłogę. Tłum westchnął. Sam Tasslehoff stał z otwartymi ustami i ściskając w ręku laskę, spoglądał na zdumiewający widok u swych stóp.

Płomienie zgasły natychmiast. Szaty mężczyzny były całe, bez żadnych uszkodzeń. Jego skóra była zdrowa i różowa. Teokrata podniósł się do pozycji siedzącej, a na jego twarzy odmalowała się trwoga i zdumienie. Popatrzył na swoje ręce i szaty. Na skórze nie było żadnego śladu. Na szacie nie dymił najmniejszy nawet węgielek.

– Uzdrowiła go! – oświadczył głośno starzec. – Laska! Spójrzcie na laskę!

Spojrzenie Tasslehoffa padło na laskę, którą miał w rękach. Była wykonana z błękitnego kryształu i emitowała jaskrawe błękitne światło! Staruszek zaczął wykrzykiwać. – Zawołajcie strażę! Aresztujcie kendera! Aresztujcie barbarzyńców! Aresztujcie ich przyjaciół! Widziałem, jak przyszli z tym rycerzem – wskazał na Sturma.

– Co takiego? – Tanis zerwał się na równe nogi. Oszalałeś, starcze?

– Zawołajcie strażę! – Wieść już się rozeszła. – Widzieliście...? Laskę z błękitnego kryształu? Znaleźliśmy ją. Teraz zostawią nas w spokoju. Wezwijcie strażę!

Teokrata z wysiłkiem podniósł się na nogi. Na jego bladą twarz wystąpiły czerwone plamy. Barbarzyńska kobieta i jej towarzysz wstali z wyrazem lęku i niepokoju na twarzach.

– Przeklęta czarownico! – Głos Hedericka drżał z gniewu. – Uzdrowiłaś mnie złą mocą! Tak jak ja spale się, by oczyścić me ciało, tak ty spłoniesz, by oczyścić swą duszę! Powiedziawszy to, poszukiwacz wyciągnął rękę i zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, włożył ją ponownie do ognia! Dławił się z bólu, lecz nie krzyknął. Potem odwrócił się i ścisnąc zwęgloną i poczerniałą rękę, przepchnął się chwiejnym krokiem przez szemrzący tłum z obłąkańczym wyrazem zadowolenia na wykrzywionej bólem twarzy.

– Musicie stąd uciekać! – Zasapana Tika podbiegła do Tanisa. – Wszyscy w mieście polowali na tę laskę! Ci zakapturzeni ludzie powiedzieli Teokracie, że zniszczą Solace, jeśli przyłapią kogoś na przechowywaniu jej. Mieszkańcy miasteczka oddadzą was w ręce straży!

– Ale to nie nasza laska! – zaprotestował Tanis. Posłał wściekłe spojrzenie starcowi i zobaczył, że ten rozsiadł w swoim fotelu z wyrazem zadowolenia na twarzy. Starzec uśmiechnął się do Tanisa i puścił do niego oko.

– Myślisz, że oni ci uwierzą? – Tika załamywała ręce. – Spójrz!

Tanis obejrzał się. Ludzie przyglądali im się wrogo. Niektórzy chwycili mocniej kufle. Inni położyli dłonie na rękojeściach mieczy. Okrzyki dobiegające z dołu ściągnęły jego spojrzenie ponownie ku przyjaciołom.

– Nadchodzą strażnicy! – krzyknęła Tika.

Tanis wstał. – Będziemy musieli wyjść przez kuchnię.

– Tak! – pokiwała głową. – Tam od razu nie zajrzą. Tylko pośpieszcie się. Wkrótce otoczą gospodę.

Pomimo lat rozłąki przyjaciele nadal potrafili w chwili zagrożenia reagować jak zgrany zespół. Caramon nałożył swój błyszczący hełm, wyciągnął miecz, zarzucił plecak na ramiona i pomógł wstać bratu. Raistlin wychodził zza stołu ze swoją laską w dłoni. Flint ścisnął w rękach topór bojowy i patrzył ponuro spod brwi na gapiów, którzy wahali się, czy zaatakować tak dobrze uzbrojonych ludzi. Tylko Sturm siedział i spokojnie popijał piwo.

– Sturm! – ponaglił go Tanis. – Chodź już! Musimy uciekać!

– Uciekać? – Rycerz spojrział ze zdumieniem. – Przed tą hołotą?

– Tak. – Tanis zamilkł; kodeks honorowy rycerza nie pozwalał na ucieczkę przed niebezpieczeństwem. Musiał go jakoś przekonać. – Sturmie, ten człowiek jest religijnym fanatykiem. Prawdopodobnie spaliłby nas na stosie! Poza tym... – z pomocą przyszła mu nagła myśl – ... trzeba chronić damę.

– Dama, oczywiście. – Sturm wstał natychmiast i podszedł do kobiety. – Pani, jestem do twych usług. – Ukłonił się. Dwornego rycerza nie można było popędzać. – Wydaje się, że wszyscy jesteśmy w tych samych opałach. Twa laska naraziła nas na znaczne niebezpieczeństwo – ciebie, pani, na największe. Znamy dobrze tę okolicę: wychowaliśmy się tutaj. Wy, jak wiem, jesteście obcy w tych stronach. Byłoby dla nas zaszczytem, gdybyśmy mogli towarzyszyć tobie, pani, i twemu dzielnemu przyjacielowi, i bronić waszego życia.

– Chodźcie! – poganiała Tika, ciągnąc Tanisa za rękę. Caramon i Raistlin już byli przy drzwiach do kuchni. – Idź po kendera – rzekł do niej Tani s.

Tasslehoff stał, jakby zapuścił korzenie w podłogę, i gapił się na laskę, która szybko powracała do poprzedniego, buro-brązowego koloru. Tika złapała Tasa za czub na głowie i pociągnęła w stronę kuchni. Kender wrzasnął i wypuścił laskę.

Goldmoon szybko podniosła ją i przycisnęła mocno do piersi. Choć była wystraszona, kiedy spojrzała na Tanisa i Sturma, jej oczy były bystre i spokojne. Najwyraźniej szybko myślała o czymś. Jej towarzysz powiedział szorstkie słowo w ich języku, a ona potrzęsła głową. Zmarszczył brwi i uczynił gest cięcia dłonią. Warknęła coś krótko w odpowiedzi i mężczyzna zamilkł, choć miał pochmurną twarz.

– Pójdziemy z wami – powiedziała Goldmoon do Sturma we wspólnej mowie. – Dziękujemy za propozycję.

– Tędy! – Tanis wypychał ich przez wahadłowe drzwi do kuchni, w ślad za Tika i Tasem. Obejrzał się za siebie i zobaczył, że niektórzy z tłumu posunęli się naprzód, lecz bez zbytniego pośpiechu.

Zdumiona kucharka popatrzyła na przyjaciół biegnących przez kuchnię. Caramon i Raistlin już znajdowali się przy wyjściu, które było niczym więcej, jak dziurą wyciętą w

podłodze. Do mocnego konara nad otworem przywiązana była lina i spuszczone czternaście metrów w dół do samej ziemi.

– Aha! – wykrzyknął Tas ze śmiechem. – Tędy piwo wjeżdża na górę, a śmieci zjeżdżają na dół. – Złapał za linę i bez trudu zszedł po niej.

– Przykro mi – Tika przepraszała Goldmoon – ale to jedyna droga ucieczki.

– Potrafię zejść po linie. – Potem kobieta uśmiechnęła się i dodała: – Muszę jednak przyznać, że ostatni raz robiłam to wiele lat temu.

Podawała laskę towarzyszowi i mocno chwyciła linę. Zaczęła schodzić po niej, zręcznie przekładając rękę za ręką. Kiedy już była na ziemi, jej towarzysz rzucił jej laskę, skoczył na linę i przez otwór w podłodze zsunął się na dół.

– A jak ty zejdziesz, Raist? – zapytał Caramon z wyrazem zatroskania na twarzy. – Mógłbym cię znieść na plecach...

Oczy Raistlina rozbłyły gniewem, który zaskoczył Tanisa. – Sam potrafię zejść! – zasyczał czarodziej. Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, podszedł do krawędzi i skoczył w przepaść. Wszyscy jęknęli i spojrzeli na dół, spodziewając się ujrzeć Raistlina rozbitego na miazgę. Zamiast tego zobaczyli, jak młody czarodziej łagodnie opada na ziemię z łopotem szat. Kryształ wieńczący jego laskę jarzył się silnym blaskiem.

– Na jego widok ciarki mnie przechodzą! – burknął Flint do Tanisa.

– Pośpiesz się! – Tanis pchnął krasnoluda naprzód. Flint chwycił linę. Następny był Caramon, pod którego wielkim ciężarem zaczął trzeszczeć konar, do którego przywiązano linę.

– Zejdę ostatni – rzekł Sturm, wyciągając miecz.

– Dobrze. – Tanis wiedział, że nie ma sensu się sprzeczać. Przewiesił przez ramię długi łuk i kołczan ze strzałami, złapał linę i zaczął schodzić. Nagle ześliznęły mu się dłonie. Zsunął się po linie, nie mogąc nic poradzić na to, że zdarła mu skórę z dłoni. Wylądował na ziemi i krzywiąc się, spojrzął na swe ręce. Jego dłonie były otarte do żywego ciała i krwawiły. Nie miał jednak czasu, by o tym teraz myśleć. Spojrzał w górę i zobaczył schodzącego Sturma.

W otworze pokazała się twarz Tiki. – Idźcie do mojego domu – poruszała wargami, wskazując drogę wśród drzew. Potem znikła.

– Znam drogę – powiedział Tasslehoff z błyskiem podniecenia w oczach. – Chodźcie za mną.

Pośpieszyli za kenderem, słysząc kroki straży na schodach do gospody. Tanis, który nie był przyzwyczajony do chodzenia po ziemi w Solace, wkrótce zgubił się. Nad głową

widział kładki i lampy uliczne migoczące wśród liści. Stracił zupełnie orientację, lecz Tas szedł pewnie, wybiegając to z tej, to z tamtej strony zza olbrzymich pni drzew vallen. Odgłosy zamieszania w gospodzie przycichły.

– Przekiekamy noc u Tiki – Tanis szepnął do Sturm, przedzierając się przez leśne poszycie. – Na wypadek, gdyby ktoś rozpoznał nas i postanowił przeszukać nasze domy. Do jutra rana wszyscy o tym zapomną. Zabierzemy barbarzyńców do mojego domu, gdzie będą mogli odpocząć kilka dni, Potem moglibyśmy wysłać ich do Haven, gdzie rada szlachetnych poszukiwaczy może z nimi porozmawiać. Może nawet wybiorę się z nimi – ta laska wzbudziła moją ciekawość.

Sturm pokiwał głową. Potem spojrzął na Tanisa i posłał mu jeden ze swych nieczęstych, smutnych uśmiechów. – Witaj w domu – powiedział rycerz.

– Ty też. – Półelf wyszczerzył się w uśmiechu.

Obaj nagle zatrzymali się, po ciemku wpadając na Caramona.

– Chyba już jesteśmy na miejscu – rzekł Caramon.

W świetle ulicznych lamp, które zwisały z konarów drzewa, zobaczyli, jak Tasslehoff wdrapuje się po gałęziach niczym krasnolud źlebowy. Pozostali poszli w jego ślady nieco wolniej. Caramon pomógł bratu. Tanis, zacisnąwszy zęby z powodu bólu dłoni, wspinał się powoli przez szybko przerzedzające się jesienne listowie. Tas wciągnął się przez barierkę na ganku ze zręcznością włamywacza, pomknął do drzwi i rozejrzał się po kładce. Nikogo nie zauważywszy, dał znak pozostałym. Następnie obejrzał zamek w drzwiach i uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Wyciągnął coś z jednej ze swych sakiewek. Po kilku sekundach drzwi do domu Tiki stały otworem.

– Wejdźcie, proszę – rzekł, bawiąc się w gospodarza.

Tłocząc się, weszli do wnętrza małego domku. Wysoki barbarzyńca był zmuszony schylić głowę, żeby nie uderzyć nią; w sufit. Tas zaciągnął zasłony. Sturm znalazł krzesło dla damy, a wysoki barbarzyńca podszedł i stanął za nią. Raistlin rozgrzebał ogień w palenisku.

– Stań na warcie – powiedział Tanis. Caramon skinął głową. Wojownik już usytuował się przy oknie i wyglądał w mrok. Blask latarni ulicznej wpadał przez zasłony do pokoju i rzucał na ściany czarne cienie. Przez długą chwilę nikt się nie odzywał.

Tanis usiadł. Spojrzął na kobietę. – Laska z błękitnego kryształu – odezwał się cicho. – Uleczyła tego mężczyznę. W jaki sposób?

– Nie wiem. – Kobieta zająknęła się. – Mam ją dopiero od niedawna.

Tanis spuścił spojrzenie na swe ręce. Krwawiły w miejscach, gdzie lina zdarła mu skórę. Wyciągnął je do niej. Poblądła kobieta powoli dotknęła go laską. Laska zapłonęła

błękitnym światłem. Tanis poczuł, że przechodzi go lekki wstrząs. Na jego oczach krew znikła z dłoni, skóra wygładziła się, nie zostawiając blizn, a ból zelżał i wkrótce znikł zupełnie.

– Prawdziwe uzdrowienie! – rzekł z pełnym lęku podziwem.

Rozdział IV

Otwarte drzwi. Ucieczka w ciemność

Raistlin przysiadł na kominku, rozcierając chude dłonie nad niewielkim ogniem. Jego złote oczy wydawały się błyszczeć mocniej od płomieni. Wpatrywał się uważnie w laskę z błękitnego kryształu, która spoczywała na kolanach kobiety.

– Co o tym sądzisz? – spytał Tanis.

– Jeśli jest szarlatanką, to bardzo dobrą – stwierdził zamyślony Raistlin.

– Robaku! Śmiesz nazywać córkę wodza szarlatanką! – Rosły barbarzyńca zrobił krok w stronę Raistlina, ściągnąwszy ciemne brwi w grymasie wściekłości. Caramon wydał niski, gardłowy dźwięk i odsunąwszy się od okna, stanął za bratem.

– Riverwindzie... – Goldmoon położyła dłoń na ramieniu mężczyzny, który przysunął się bliżej do jej krzesła. – Proszę. On nie miał nic złego na myśli. To normalne, że oni nam nie ufają. Nie znają nas.

– A my nie znamy ich – warknął mężczyzna.

– Mógłbym ją obejrzeć? – rzekł Raistlin.

Goldmoon skinęła głową i podała mu laskę. Czarodziej sięgnął po nią długą, kościstą ręką, wyciągając chciwie szczupłą dłoń. Jednak w chwili, gdy Raistlin dotknął laski, błysnęło jaskrawe, niebieskie światło i rozległ się trask. Czarodziej gwałtownie cofnął rękę, krzyknąwszy z bólu i zaskoczenia. Caramon skoczył naprzód, lecz brat powstrzymał go.

– Nie, Caramonie – szepnął ochryple Raistlin, rozcierając zranioną rękę. – Ta pani nie miała z tym nic wspólnego. Rzeczywiście, kobieta spoglądała na laskę ze zdumieniem.

– W takim razie co to było? – spytał wyprowadzony z równowagi Tanis. – Laska, która leczy i rani jednocześnie?

– Po prostu zna swoich. – Raistlin obliznął wargi, a oczy mu błyszczały. – Spójrzcie. Caramonie, weź laskę.

– Nie ja! – Wojownik cofnął się, jakby przed wężem.

– Weź laskę! – rozkazał Raistlin.

Ociągając się, Caramon wyciągnął drżącą rękę. Jego ramię dygotało tym bardziej, im palce bliższe były celu. Zamknąwszy oczy i zacisnąwszy zęby w oczekiwaniu na ból, dotknął laski. Nic się nie stało. Caramon otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Chwycił laskę, podniósł ją w swej wielkiej dłoni i uśmiechnął się szeroko.

– No i widzicie. – Raistlin wykonał gest niczym iluzjonista, który popisuje się sztuczką przed tłumem widzów. – Tylko dobrzy prostaczkowie czystego serca – rzekł to ze

zjadliwym sarkazmem – mogą dotknąć tej laski. To prawdziwie święta laska uzdrawiania, pobłogosławiona przez jakiegoś boga. To nie czary. Żaden magiczny przedmiot, o jakim sły-
szałem, nie ma mocy uzdrawiania.

– Cicho! – rozkazał Tasslehoff, który zajął miejsce Caramona przy oknie. – Straże Teokraty! – ostrzegł przyciszonym głosem.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy już słyszeli kłapiące kroki goblinów na kładkach wśród gałęzi drzew vallen.

– Przeszukują dom po domu! – szepnął z niedowierzaniem Tanis, przysłuchując się łomotaniu pięściami w sąsiednie drzwi.

– Poszukiwacze domagają się prawa wstępu! – wychrypiał czyjś głos. Chwila ciszy, a potem ten sam głos powiedział:

– Nikogo nie ma w domu, czy mamy wyważyć drzwi kopniakiem?

– Nie – odparł inny głos. – Donieśmy tylko o tym Teokracie, niech sam sobie wyważa drzwi. Gdyby nie były zamknięte, to co innego – wtedy wolno nam wejść.

Tanis spojrział na drzwi naprzeciwko. Poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Mógłby przysiąc, że zamknęli drzwi i zaciągnęli zasuwę... a teraz były lekko uchylone! – Drzwi! – szepnął. – Caramonie...

Wojownik stał już za nimi, odwrócony plecami do ściany i gimnastykował swe wielkie dłonie.

Kłapiące kroki ucichły na zewnątrz. – Poszukiwacze domagają się prawa wstępu! – Gobliny zaczęły walić pięściami w drzwi, a potem przerwały, zaskoczone, gdy te ustąpiły.

– Tu jest pusto – powiedział jeden z nich. – Chodźmy dalej.

– Nie masz wyobraźni, Grum – powiedział ten drugi.

– To dla nas okazja, by zdobyć parę sztuk srebra.

Zza otwartych drzwi wysunęła się głowa goblina. Jego spojrzenie padło na Raistlina, który siedział spokojnie z laską wspartą na ramieniu. Goblin warknął ze strachu, a potem zaczął się śmiać.

– Oho! Patrzcie, co znalazłem! Laska! – Goblinowi zabłyszczały oczy. Zrobił krok w stronę Raistlina, a jego kolega wepchnął się do środka tuż za nim. – Oddaj mi tę laskę!

– Oczywiście – szepnął mag. Wyciągnął laskę przed siebie. – *Shirak* – powiedział. Kryształowa kula rozbłysła jasno. Gobliny wrzasnęły i zamknęły oczy, jednocześnie sięgając niezgrabnie po miecze. W tym momencie Caramon wyskoczył zza drzwi, chwycił goblina za karki i stuknął ich głowami o siebie z obrzydliwym trzaskiem. Cuchnące ciała goblinów osunęły się bezwładnie na podłogę.

– Nie żyją? – zapytał Tanis, gdy Caramon nachylił się nad nimi, żeby obejrzeć ich w świetle laski Raistlina. – Obawiam się, że tak – rzekł wielki mężczyzna. – Uderzyłem ich za mocno.

– No to ich mamy z głowy – powiedział ponuro Tanis.

– Zamordowaliśmy dwóch kolejnych strażników Teokraty. Poderwie całe miasto przeciw nam. Teraz już nie wystarczy, jeśli przeczekamy w ukryciu kilka dni – musimy stąd uciekać! A wy

– zwrócił się do barbarzyńców – chodźcie lepiej z nami.

– Niezależnie od tego, gdzie się wybieramy – mruknął poirytowany Flint.

– Dokąd wędrowaliście? – Tanis zapytał Riverwinda.

– Udaliśmy się w podróż do Haven – odpowiedział niechętnie barbarzyńca.

– Tam są mędrcy – rzekła Goldmoon. – Mieliliśmy nadzieję, że będą umieli powiedzieć nam coś o tej lasce. Widzisz, ta pieśń, którą zaśpiewałam – to prawda: laska ocaliła nam życie.

– Będziesz musiała opowiedzieć nam o tym później – przerwał Tanis. – Kiedy ci strażnicy nie odmeldują się, wszystkie gobliny w Solace zaczną biegać po drzewach. Raistlinie, zgaś światło.

Czarodziej wypowiedział kolejne słowo. – *Dumak*. – Kryształ zamigotał, a potem światło zgasło.

– Co zrobimy z ciałami? – zapytał Caramon, trącając martwego goblina czubkiem buta. – A co z Tiką? Czy ona nie będzie miała kłopotów?

– Zostaw trupy. – Tanis myślał szybko. – I porąb drzwi. Sturmie, przewróć kilka krzeseł. Zrobimy tak, żeby wyglądało, że wdarliśmy się tutaj i pobiliśmy z tymi typami. W ten sposób Tika nie będzie miała zbyt dużych nieprzyjemności. To bystra dziewczyna, da sobie radę.

– Będzie nam potrzebne jedzenie – stwierdził Tasslehoff. Pobiegł do kuchni i zaczął szperać po półkach, wpychając do toreb bochenki chleba i wszystko, co wyglądało na jadalne. Rzucił Flintowi bukłak pełny wina. Sturm przewrócił kilka krzeseł. Caramon ułożył ciała goblinów tak, żeby wydawało się, że zginęli w zacieklej walce. Mieszkańcy równin stali przed dogasającym ogniem i niepewnie spoglądali na Tanisa.

– No, a co teraz? – zapytał Sturm. – Dokąd się udamy?

Tanis zawahał się, rozważając w myślach wszystkie możliwości. Mieszkańcy równin przybyli ze wschodu – a jeśli ich historia była prawdziwa i plemię chciało ich zabić – nie będą mieli ochoty wracać tamtędy. Drużyna mogłaby udać się na południe, do królestwa elfów,

lecz Tanis czuł dziwną niechęć do powrotu do swej ojczyzny. Wiedział też, że elfowie nie byliby zachwyceni widokiem obcych w swym ukrytym mieście.

– Pójdziemy na północ – powiedział wreszcie. – Odprowadzimy tych dwoje do rozdroży, a tam zastanowimy się, co zrobić dalej. Oni mogą iść na południowy zachód, do Haven, jeśli będą chcieli. Ja mam zamiar wybrać się dalej na północ i dowiedzieć się, czy pogłoski o gromadzących się wojskach są prawdziwe.

– I być może spotkać tam Kitiarę – szepnął przebiegle Raistlin.

Tanis zaczerwienił się. – Czy odpowiada wam ten plan?

– zapytał, rozglądając się.

– Choć nie jesteś najstarszym z nas, Tanisie, jesteś najmądrzejszy – rzekł Sturm. – Pójdziemy za tobą – jak zawsze.

Caramon pokiwał głową. Raistlin już szedł w stronę drzwi. Flint zarzucił na ramię bukłak z winem i mamrotał pod nosem.

Tanis poczuł łagodny dotyk dłoni na ramieniu. Odwrócił się i spojrzał w przejrzyste, błękitne oczy pięknej, barbarzyńskiej kobiety.

– Jesteśmy wdzięczni – powiedziała Goldmoon powoli, jakby nie była przyzwyczajona do wyrażania podziękowań. – Rzykujecie dla nas życiem, a jesteśmy przecież dla was obcy. Tanis uśmiechnął się i uściśnął jej dłoń. – Nazywam się Tanis. Bracia to Caramon i Raistlin. Rycerz nazywa się Sturm Brightblade. Flint Fireforge niesie wino, a Tasslehoff Burrfoot to ten, który tak sprytnie otworzył zamek. Ty masz na imię Goldmoon, a on nazywa się Riverwind. Widzisz, już nie jesteśmy sobie obcy.

Na twarzy Goldmoon pojawił się zmęczony uśmiech. Poklepała Tanisa po ramieniu, a potem ruszyła w stronę drzwi, wspierając się na lasce, która ponownie wyglądała zwyczajnie i nie rzucała się w oczy. Tanis odprowadził kobietę spojrzeniem, a potem podniósł wzrok i zobaczył, że Riverwind przygląda mu się. Ciemna twarz barbarzyńcy przypominała nieprzeniknioną maskę.

– Cóż – poprawił się w duchu Tanis – niektórzy z nas nie są już sobie obcy.

Wkrótce wszyscy wyszli w ślad za Raistlinem. Tanis stał przez chwilę samotnie w zdemolowanym pokoju i przyglądał się ciałom goblinów. To miał być spokojny powrót do domu po gorzkich latach samotnej wędrówki. Pomyślał o swoim wygodnym domu. Pomyślał o wszystkich rzeczach, które planował zrobić – które planował zrobić razem z Kitiarą. Pomyślał o długich, zimowych nocach, o opowieściach przy ogniu w gospodzie, a potem powrotach do domu, wspólnym śmianiu się pod futrzanymi nakryciami i przesypianiu

ośnieżonych poranków.

Tanis kopnięciem rozrzucił żarzące się węgle. Kitiarą nie wróciła. Jego ciche miasteczko najechały gobliny. On sam uciekał w mrok nocy przed bandą religijnych fanatyków, a wszystko wskazywało na to, że nie będzie już mógł nigdy tu powrócić. Elfowie nie zauważają upływu czasu. Żyją setki lat. Dla nich pory roku mijają jak przelotne deszcze. Ale Tanis był w połowie człowiekiem. Wyczuwał nadchodzącą zmianę jak niemiły niepokój, który ogarnia ludzi przed burzą. Westchnął i pokręcił głową. Potem wyszedł przez rozbite drzwi, które kołysały się za nim obłąkańczo na jednym zawiasie.

Rozdział V

Pożegnanie z Flintem. Lecą strzały. Wiadomość wśród gwiazd

Tanis jednym skokiem przesadził ganek i zszedł na ziemię przez gałęzie drzewa. Pozostali czekali na dole, kuląc się w mroku z dala od światła rzucanego przez latarnie uliczne, które kołysały się na gałęziach nad ich głowami. Zerwał się chłodny wiatr wiejący z północy. Tanis obejrzał się za siebie i zauważył też inne światła, blask latarek, jakimi przyświecały sobie grupy przeszukujące domy. Naciągnął kaptur na głowę i przyspieszył kroku.

– Zmienił się wiatr – powiedział. – Do rana zacznie padać deszcz. – Zmierzył wzrokiem grupkę przyjaciół, widząc ich w upiornym, dziko tańczącym blasku latarni kołyszących się na wietrze. Na twarzy Goldmoon malowało się zmęczenie. Oblicze Riverwinda kryła maska stoickiej wytrzymałości, lecz jego barki przygarbiało znużenie. Wstrząsany dreszczami Raistlin oparł się o pień drzewa i z trudem łapał oddech.

Tanis skulił się na wietrze. – Musimy znaleźć jakieś schronienie – stwierdził. – Miejsce, gdzie odpoczniemy.

– Tanisie... – Tas pociągnął półelfa za płaszcz. – Moglibyśmy popłynąć łódką. Do jeziora Crystalmir nie jest daleko. Po drugiej stronie są jaskinie, a poza tym zaoszczędzilibyśmy jutro marszu.

– Doskonały pomysł, Tas, ale nie mamy łodzi.

– To żaden problem. – Kender błysnął zębami w uśmiechu. Jego mała twarzyczka i ostre, szpiczaste uszy sprawiały, że w tym niesamowitym świetle wyjątkowo przypominał chochlika. Tanis zdał sobie sprawę, że Tas doskonale się bawi. Miał ochotę potrząsnąć kenderem i udzielić mu surowej reprimendy, przypominając, jak wielkie niebezpieczeństwo im grozi. Półelf jednakże wiedział, że nie miałyby to sensu: kenderzy nie znają pojęcia strachu.

– Łódka to dobry pomysł – powtórzył Tanis po chwili zastanowienia. – Ty prowadzisz. I nie mów Flintowi – dodał. – Ja się tym zajmę.

– Jasne! – zachichotał Tas i pomknął do pozostałych. – Chodźcie za mną – zawołał cicho i znów ruszył przed siebie. Flint poczłapał za kenderem, mamrocząc w głąb brody. Goldmoon ruszyła za krasnoludem. Riverwind zmierzył szybkim, przenikliwym spojrzeniem wszystkich w grupie, a potem pośpieszył za nią.

– On nam chyba nie ufa – zauważył Caramon.

– A ty ufałbyś? – spytał Tanis, spoglądając na muskularnego mężczyznę. Smoczy

hełm Caramona połyskiwał w migotliwym świetle, a wiatr łopoczący jego peleryną odsłaniał zbroję z naszywanych pierścieni. Długi miecz stukał o jego masywne uda, krótki łuk i kołczan ze strzałami wisiały na ramieniu, a zza pasa wystawał sztylet. Jego tarcza była powgniatana i poszczerbiona od wielu walk. Olbrzym był przygotowany na wszystko.

Tanis spojrział na Sturm dumnie noszącego godło rycerzy, którzy popadli w niełaskę ponad trzysta lat temu. Chociaż Sturm był zaledwie cztery lata starszy od Caramona, surowe, zdyscyplinowane życie rycerza, trudy życia spowodowane ubóstwem i melancholijne poszukiwania ukochanego ojca postarzyły rycerza nadmiernie. Mając zaledwie dwadzieścia dziewięć lat, Sturm wyglądał na czterdzieści.

Tanis pomyślał: na ich miejscu też bym nam nie ufał.

– Jaki masz plan? – zapytał Sturm.

– Płyniemy łódką – odpowiedział Tanis.

– Ohoho! – zaśmiał się Caramon. – Powiedziałeś już o tym Flintowi?

– Nie. Zostaw to mnie.

– Skąd weźmiemy łódkę? – zapytał podejrzliwie Sturm.

– Będiesz szczęśliwszy nie wiedząc – odparł półelf. Rycerz zmarszczył brwi. Jego spojrzenie padło na kendera, który daleko przed nimi skakał od jednego cienia do drugiego.

– Nie podoba mi się to, Tanisie. Najpierw zostaliśmy mordercami, a teraz mamy się stać złodziejami.

– Ja się nie uważam za mordercę – parsknął Caramon.

– Gobliny się nie liczą.

Tanis dostrzegł ponure spojrzenie, jakim rycerz zmierzył Caramona. – Mnie się to też nie podoba, Sturmie – dodał pośpiesznie, mając nadzieję, że zapobiegnie kłótni. – Ale to kwestia konieczności. Spójrz na mieszkańców równin – trzymają się na nogach tylko dzięki dumie. Spójrz na Raistlina... – Ich spojrzenia padły na czarodzieja, który powłócząc nogami, brnął w suchych liściach, nigdy nie wychylając się z cienia. Całym ciężarem ciała wspierał się na swej lasce. Czasami jego wychudła piersią wstrząsał suchy kaszel.

Twarz Caramona spochmurniała. – Tanis ma rację – rzekł cicho. – Raist dłużej tego nie zniesie. Muszę iść do niego.

– Opuściwszy rycerza i półelfa pośpieszył, by dogonić zgarbionego bliźniaka, który otulał się swą szatą.

– Pozwól, że ci pomogę, Raist – doszedł ich szept Caramona.

Raistlin potrząsnął zakapturzoną głową i odsunął się gwałtownie od brata. Caramon wrzucił ramionami i opuścił rękę. Olbrzymi wojownik został jednak w pobliżu swego

wątego brata, gotów pomóc mu, gdyby tylko było to konieczne.

– Cemu on się na to godzi? – spytał przyciszonym głosem Tanis.

– Rodzina. Więzy krwi. – Głos Sturma był pełen smutku. Wydawało się, że chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz wtedy spojrzał na elfią twarz Tanisa z ludzkim zarostem i zamilkł. Tanis zauważył to spojrzenie i wiedział, o czym myśli rycerz. Rodzina, więzy krwi – to sprawy, których osierocony półelf nie mógł znać.

– Chodźmy – powiedział nagle Tanis. – Zostajemy w tyle.

Wkrótce wyszli spomiędzy drzew vallen w Solace i zagłębili się w sosnowy las otaczający jezioro Crystalmir. Tanis posłyszał stłumione okrzyki, które dobiegały z oddali za nimi. – Znaleźli ciała – wyraził przypuszczenie. Sturm posepnie pokiwał głową. Nagle wydało się, że Tasslehoff wyrósł z ciemności tuż pod nosem półelfa.

– Dróżka prowadząca do jeziora ma niecałe dwa kilometry – stwierdził Tas. – Będę czekał na was na jej końcu. – Machnął ręką w bliżej nie określonym kierunku, a następnie znikł, zanim Tanis zdążył odezwać się słowem. Półelf obejrzał się w kierunku Solace. Zdawało mu się, że widzi następne światła, a wszystkie zbliżały się do nich. Drogi były prawdopodobnie już odcięte.

– Gdzie jest ten kender? – burknął Flint, gdy zanurzyli się w lesie.

– Tas będzie czekał na nas nad jeziorem – odparł Tanis.

– Jezioro? – Flint otworzył szeroko oczy z zaniepokojenia. – Jakie jezioro?

– W okolicy jest tylko jedno jezioro, Flincie – powiedział Tanis, z całych sił powstrzymując się, by nie uśmiechnąć się do Sturma. – Chodź już. Musimy iść dalej. – Dzięki swemu elfiemu wzrokowi dostrzegał rozległy, czerwony zarys Caramona i drobniejszy, czerwony kształt jego brata, którzy znikali w gęstym lesie przed nimi.

– Sądziłem, że tylko posiedzimy jakiś czas w lesie. Flint przepchnął się obok Sturma, żeby poskarżyć się Tanisowi.

– Popłyniemy łodzią. – Tanis szedł naprzód.

– Nie ma mowy! – ryknął Flint. – Nie wsiądę do żadnej łódki!

– Ten wypadek wydarzył się dziesięć lat temu! – powiedział rozsierdzony Tanis. – Posłuchaj, zabronię Caramonowi się ruszać.

– Absolutnie nie ma mowy! – stwierdził Flint zdecydowanie. – Żadnych łodzi. Poprzysiągłem sobie.

– Tanisie – dobiegł go z tyłu szept Sturma. – Światła.

– A niech to! – Półelf zatrzymał się i odwrócił. Musiał zaczekać chwilę, zanim dostrzegł światła majaczące wśród drzew. Pościg wyszedł poza Solace. Przyspieszył kroku,

by dogonić Caramona, Raistlina i mieszkańców równin.

– Światła! – zawołał przenikliwym szeptem. Caramon obejrzał się i zaklął. Riverwind podniósł rękę gestem zrozumienia. – Obawiam się, że będziemy musieli przyspieszyć kroku, Caramonie... – zaczął Tanis.

– Damy sobie radę – oświadczył krzepki mężczyzna, nie przejmując się tym. Podtrzymał brata, obejmując ramieniem jego chude ciało, praktycznie niosąc go. Raistlin kaszłał cicho, ale szedł. Sturm dogonił Tanisa po chwili. Przedzierając się przez zarośla, słyszeli sapiącego z tyłu Flinta, który gniewnie mruczał pod nosem.

– On nie pójdzie z nami, Tanisie – rzekł Sturm. – Flint śmiertelnie boi się łodzi od czasu, gdy Caramon przypadkowo nieomal utopił go. Nie było cię wtedy przy tym. Nie widziałeś, jak wyglądał, kiedy go wyciągnęliśmy.

– Pójdzie – rzekł Tanis, oddychając z trudem. – Nie pozwoli nam, młodzikom, samym pójść na spotkanie niebezpieczeństwa. Sturm pokręcił głową bez przekonania.

Tanis ponownie się obejrzał. Nie zobaczył świateł, lecz wiedział, że są już zbyt głęboko w lesie, by je dostrzec. Małomistrz Toede może nikomu nie zaimponuje swoją inteligencją, lecz nie trzeba wiele rozumu, by domyślić się, że drużyna może popłynąć wodą. Tanis zatrzymał się gwałtownie, żeby nie wpaść na kogoś. – Co tam? – szepnął.

– Jesteśmy na miejscu – odparł Caramon. Tanis odetchnął z ulgą, spoglądając na ciemną toń jeziora Crystalmir. Powierzchnię wody burzyły spienione wiatrem fale.

– Gdzie jest Tas? – zapytał ściszym głosem.

– Wydaje mi się, że tam. – Caramon wskazał na ciemny przedmiot, który unosił się na falach blisko brzegu. Tanis ledwo dostrzegł czerwony, ciepły zarys kendera siedzącego w wielkiej łodzi.

Gwiazdy płonęły lodowatym blaskiem na błękitnoczarnym niebie. Czerwony księżyc, Lunitari, wznosił się nad wodą jak okrwawiony paznokcieć. Jego towarzysz na nocnym niebie, Solinari, już wstał i malował jezioro płynnym srebrem.

– Będziemy wspaniałym celem! – rzekł poirytowany Sturm.

Tanis widział, jak poszukujący ich Tasslehoff skręca to w tę, to w inną stronę. Półelf schylił się i po omacku poszukał w ciemności kamyka. Znalazł go i rzucił go do wody. Kamyk plusnął zaledwie kilka metrów przed łódką. W odpowiedzi na znak Tanisa, Tas skierował łódź ku brzegowi.

– Zamierzasz wszystkich nas wsadzić do jednej łódki! – stwierdził z przerażeniem Flint. – Oszalałeś, półelfie!

– To duża łódź – powiedział Tanis.

– Nie, ja nie popłynę. Nawet gdyby to była jedna z legendarnych, białoskrzydłych łodzi z Tarsis, i tak nie popłynąłbym! Wolę już spotkać się z Teokratą!

Tanis zignorował złośczonego się krasnoluda i dał znak Sturmowi. – Każ wszystkim wsiadać do łodzi. Wrócimy za chwilę.

– Nie za długo – ostrzegł Sturm. – Posłuchaj.

– Słyszę – odpowiedział ponuro Tanis. – Idź już.

– Co to za odgłosy? – Goldmoon zapytała rycerza, który podszedł do niej.

– Poszukujące nas oddziały goblinów – odpowiedział Sturm. – Tymi gwizdami utrzymują kontakt po rozdzieleniu się. Wchodzą właśnie do lasu.

Goldmoon pokiwała głową na znak zrozumienia. Rzekła kilka słów do Riverwinda w ich języku, najwyraźniej kontynuując rozmowę, którą przerwał Sturm. Wysoki mieszkaniec równin ściągnął brwi i zrobił gest dłonią w kierunku lasu za nimi.

Stara się przekonać ją, żeby opuścili nas, domyślił się Sturm. Może wystarczająco zna się na życiu w lesie, by ukrywać się przed pościgiem goblinów przez wiele dni, ale wątpię w to.

– Riverwind, gue-lando! – powiedziała ostrym tonem Goldmoon. Sturm zobaczył, że twarz Riverwinda wykrzywił grymas gniewu. Bez słowa odwrócił się i pomaszerował do łodzi. Goldmoon westchnęła i popatrzyła za nim z głębokim smutkiem na twarzy.

– Czy mogę pomóc w jakiś sposób, o pani? – zapytał łagodnie Sturm.

– Nie – odparła. Potem powiedziała z żalem, jakby do siebie. – On włada moim sercem, lecz ja jestem jego władczynią. Kiedyś, gdy byliśmy młodzi, wydawało nam się, że potrafimy o tym zapomnieć. Byłam jednak „córką wodza” za długo.

– Dlaczego on nam nie ufa? – zapytał Sturm.

– Podziela wszelkie uprzedzenia naszego ludu – odrzekła Goldmoon. – Mieszkańcy równin nie ufają tym, którzy nie są ludźmi. – Obejrzała się. – Tanis nie może ukryć swego elfiego pochodzenia pod zarostem. Poza tym jest jeszcze krasnolud i kender.

– A ty, pani? – spytał Sturm. – Dlaczego ty nam zaufałaś? Czy nie masz tych samych uprzedzeń?

Goldmoon odwróciła się twarzą do niego. Widział jej oczy, ciemne i migotliwe jak jezioro za jej plecami. – Kiedy byłam dziewczynką – powiedziała głębokim, ściszone głosem – byłam księżniczką mego narodu. Byłam kapłanką. Czczono mnie jako boginię. Wierzyłam w to. Uwielbiałam to. A potem coś się wydarzyło... – Umilkła, a oczy zaszyły jej mgłą wspomnień.

– Co to było? – spytał cicho Sturm.

– Zakochałam się w pasterzu – odparła Goldmoon, spoglądając na Riverwinda. Westchnęła i podeszła do łodzi.

Sturm przyglądał się, jak Riverwind wchodzi do wody, by przyciągnąć łódkę bliżej brzegu, a tymczasem Raistlin i Caramon dotarli do skraju jeziora. Raistlin otulał się swą szatą i dygotał.

– Nie mogę zamoczyć stóp – szepnął ochryple. Caramon nie odpowiedział. Objął po prostu brata wielkimi ramionami, uniósł go z łatwością, jakby ten był dzieckiem, i posadził go w łódce. Mag skulił się na rufie łodzi i nie podziękował nawet słowem.

– Przytrzymam ją – powiedział Caramon do Riverwinda. – Wsiadaj. – Riverwind wahał się chwilę, a potem szybko wspiął się przez burtę. Caramon pomógł potem wejść Goldmoon. Riverwind pochwyił ją i przytrzymał, kiedy łódź zakołysała się lekko. Mieszkaniec równin usiadł przy sterze za Tasslehoffem.

Kiedy Sturm zbliżył się do niego, Caramon zapytał rycerza, co się tam dzieje.

– Flint oświadczył, że woli spłonąć, a nie wsiądnąć do łódki – w ten sposób przynajmniej zginie w cieple, a nie zziębnięty i mokry.

– Pójdę tam i przytargam go – powiedział Caramon.

– Pogorszyłybyś tylko sytuację. To ty go wtedy nieomal utopiłeś, pamiętasz? Niech Tanis się tym zajmie – on tu jest dyplomata.

Caramon pokiwał głową. Obaj mężczyźni stali w milczeniu, czekając. Sturm widział, jak Goldmoon spogląda na Riverwinda, milcząco błagając go o pomoc, lecz mieszkaniec równin nie zważał na jej spojrzenia. Tasslehoff, kręcąc się niespokojnie na swym miejscu, zamierzał już wykrzyknąć pytanie przenikliwym głosem, lecz surowe spojrzenie rycerza uciszyło go. Raistlin wtulał się w fałdy swej szaty, starając się stłumić nieopanowany atak kaszlu.

– Idę tam – oświadczył wreszcie Sturm. – Gwizdy rozlegają się coraz bliżej. Nie możemy już dłużej zwlekać. – W tym właśnie momencie zobaczył, że Tanis ścisną dłoń krasnoludowi na pożegnanie i zaczyna biec w stronę łodzi. Flint został tam, gdzie był, w pobliżu skraju lasu. Sturm pokręcił głową. – Mówiłem Tanisowi, że krasnolud nie popłynie.

– Uparty jak krasnolud, tak mówi stare przysłowie – mruknął Caramon. – A ten miał sto czterdzieści osiem lat na to, by stać się jeszcze bardziej uparty. – Olbrzymi mężczyzna pokręcił głową z żalem. – Będzie mi go brakowało, to pewne. Nie jeden raz ocalił mi życie. Pozwólcie mi pójść po niego. Jedno uderzenie w podbródek i nawet nie będzie wiedział, czy jest na łodzi, czy we własnym łóżku.

Nadbiegł zadyszany Tanis i usłyszał ostatni komentarz. – Nie, Caramonie – rzekł. – Flint nigdy by nam tego nie wybaczył. Nie martw się o niego. Wraca na swoje wzgórza. Wsiadajcie do łódki. Widziałem kolejne światełka zbliżające się w naszym kierunku. Zostawiliśmy takie ślady w lesie, że znalazłby je nawet ślepy krasnolud żlebowy.

– Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy się zamoczyli – powiedział Caramon, trzymając łódź za burtę. – Ty i Sturm, wsiadajcie. Ja popchnę.

Sturm już był w środku. Tanis poklepał Caramona po plecach, a potem wspiął się przez burtę. Wojownik zepchnął łódkę na jezioro. Był już w wodzie po kolana, kiedy posłyszeli wołanie z brzegu.

– Zatrzymajcie się! – Flint wybiegł pomiędzy drzew i pędził ku nim. Jego ledwie widoczna sylwetka majaczyła na tle zalanego księżycową poświatą brzegu. – Zaczekajcie na mnie! Już idę!

– Zatrzymaj się! – krzyknął Tanis. – Caramonie! Zaczekaj na Flinta!

– Spójrz! – Sturm na wpół wstał i wyciągnął rękę.

Wśród drzew pojawiły się światła dymiących pochodni w rękach goblinich strażników.

– Gobliny, Flincie! – krzyknął Tanis. – Za tobą! Uciekaj! – Krasnolud nawet nie pytał, tylko spuścił głowę i pogalopował w kierunku brzegu, przytrzymując jedną ręką hełm, żeby mu nie spadł.

– Będę go osłaniał – powiedział Tanis, zsuwając łuk z ramienia. Obdarzony elfim wzrokiem, był jedynym, który dostrzegał gobliny wśród blasku pochodni. Założywszy strzałę na cięciwę łuku, Tanis wstał, a Caramon przytrzymał łódkę, żeby się nie kotysała. Tanis strzelił w kierunku zarysu wodza goblinów. Strzała utkwiała w jego piersi i goblin upadł na twarz. Pozostałe gobliny zwolniły nieco i sięgnęły po swoje łuki. Tanis założył następną strzałę w chwili, gdy Flint dotarł do brzegu jeziora.

– Zaczekajcie! Już idę! – wysapał krasnolud, wskoczył do wody i zatonął jak kamień.

– Łap go! – krzyknął Sturm. – Tas, wiosłuj do tyłu. Tam jest! Widzisz? Te bańki... – Caramon rozpaczliwie rozchlapał wodę, szukając krasnoluda. Tas usiłował podwiosłować, lecz ciężar w łodzi okazał się za wielki dla kendera. Tanis strzelił ponownie, spudłował i zaklął pod nosem. Gobliny zbiegały chmarą ze wzgórza.

– Mam go! – zawołał Caramon, wyciągając ociekającego wodą i plującego krasnoluda za kołnierz jego skórzanego kaftana. – Przestań się wyrywać – powiedział do Flinta, który wymachiwał rękoma na wszystkie strony. Krasnolud jednakże wpadł w zupełną panikę. Strzała goblina stuknęła o kolczą zbroję Caramona i utkwiała w niej, jak wyskubane pióro.

– Dość tego! – burknął wyprowadzony z równowagi wojownik i jednym zamachem muskularnych ramion wrzucił krasnoluda do łodzi, która odsuwała się od niego. Flint chwycił ławkę i trzymał się jej mocno, a dolna część jego ciała wystawała jeszcze za burtę. Sturm złapał go za pasek i wciągnął na pokład w chwili, gdy łódka przechyliła się niepokojąco. Tanis niemal stracił równowagę i zmuszony był upuścić łuk i przytrzymać się burty, żeby nie wpaść do wody. Strzała goblina utkwiała w górnej jej części, o mało co nie przeszywając dłoni Tanisa.

– Podpłyn z powrotem do Caramona, Tas! – zawołał Tanis.

– Nie mogę! – wrzasnął zmagający się z łódką kender. Jeden nieopanowany wymach wiosłem nieomal wyrzucił Sturma za burtę.

Rycerz wyciągnął kendera z zajmowanego miejsca. Chwycił za wiosła i sprawnie obrócił łódź tak, żeby Caramon mógł złapać za burtę. Tanis pomógł wojownikowi wgramolić się do środka, a potem krzyknął do Sturma – Wiosłuj! – Rycerz pociągnął z całych sił, wychylając się daleko do tyłu podczas zanurzania wiosel w wodę. Łódź odbiła szybko od brzegu, odprowadzana wrzaskami rozgniewanych goblinów. Następne strzały przeleciały ze świstem obok łodzi, gdy ociekający wodą Caramon usiadł ciężko obok Tanisa.

– Gobliny ćwiczą dziś strzelanie do celu – mruknął Caramon, wyszarpując strzałę ze swojej kolczugi. – Na tle wody widać nas jak na dłoni.

Szukając po omacku upuszczonego łuku, Tanis zauważył, że Raistlin podnosi się. – Schowaj się! – ostrzegł Tanis, a Caramon chciał podejść do brata, lecz czarodziej posłał im obu pałające niechęcią spojrzenie i wsunął dłoń do sakwy, którą nosił przy pasie. Delikatnymi palcami wyjął szczyptę jakiejś substancji w chwili, gdy kolejna strzała utkwiała w ławce obok niego. Raistlin nie zwrócił na to uwagi. Tanis już chciał go przewrócić, kiedy zdał sobie sprawę, że czarodziej pogрузzył się w skupieniu niezbędnym do rzucenia zaklęcia. Przeszkodzenie mu teraz mogło mieć drastyczne konsekwencje, mogło spowodować, że czarodziej zapomni zaklęcie albo, co gorsze, rzuci je w sposób niewłaściwy.

Tanis zacisnął zęby i przyglądał się. Raistlin uniósł szczupłą, wątlą dłoń i wypuszczony spomiędzy palców składnik zaklęcia opadł powoli na dno łódki. Piasek, zauważył Tanis.

– *Ast tasarak sinuralan krynawi* – wyszeptał Raistlin, a potem powoli zatoczył dłonią łuk równoległy do brzegu. Tanis obejrzał się w stronę lądu. Gobliny jeden po drugim upuszczaly łuki i przewracały się, jakby Raistlin dotykał każdego z nich po kolei. Strzały przestały lecieć. Dalsze gobliny zawyły z wściekłości i podbiegły bliżej. Jednak dzięki silnym ramionom wiosłującego Sturma, łódź znalazła się już poza zasięgiem ich łuków.

– Świetna robota, braciszku! – powiedział serdecznie Caramon. Raistlin mrugnął i zdawał się powracać do rzeczywistości, a potem osunął się do przodu. Caramon przytrzymał go i obejmował przez chwilę. Potem Raistlin usiadł i odetchnął głęboko, co wywołało atak kaszlu.

– Nic mi nie będzie – wyszeptał, odsuwając się od Caramona.

– Co im zrobiłeś? – zapytał Tanis, szukając strzał wroga, aby wyrzucić je za burtę. Gobliny czasami zatrwały groty swych strzał.

– Uśpiłem ich – zasyczał Raistlin przez zęby, którymi szczekał z zimna. – A teraz muszę nieco odetchnąć. – Oparł się o burtę łódki.

Tanis przyjrzał się czarodziejowi. Raistlin rzeczywiście zyskał na mocy i umiejętnościach. Chciałbym móc mu zaufać, pomyślał półelf.

Łódź sunęła przez pełne blasku gwiazd jezioro. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszeli, był cichy, rytmiczny odgłos wiosel zanurzanych w wodzie i suchy, męczący kaszel Raistlina. Tasslehoff odkorkował bukłak, którego Flint jakimś cudem nie zgubił w czasie szalonej ucieczki, i usiłował nakłonić zziębniętego, drżącego krasnoluda, żeby wypił choć łyk. Jednakże skulony na dnie łódki Flint dygotał tylko i spoglądał na wodę.

Goldmoon wtuliła się głębiej w swoją futrzaną pelerynę. Ubrana była w typowe dla jej ludu spodnie z miękkiej skóry jelonka, ozdobioną frędzlami wierzchnią spódnicę i kaftan ściągnięty paskiem. Jej wysokie buty były zrobione z miękkiej skóry. Kiedy Caramon wrzucił Flinta do łodzi, woda nalała się do środka przez burtę. Przemoczone skórzane ubranie oblepiło ją, tak że wkrótce Goldmoon zmarzła i zaczęła dygotać.

– Weź mój płaszcz – powiedział Riverwind w ich języku, zdejmując pelerynę z niedźwiedziego futra.

– Nie – potrząsnęła głową. – Ty cierpiełeś na gorączkę. Ja nigdy nie choruję, wiesz o tym. Ale... – spojrzała na niego i uśmiechnęła się – możesz objąć mnie ramieniem, wojowniku. Ciepło naszych ciał ogrzeje nas oboje.

– Czy to królewski rozkaz, córko wodza? – szepnął żartobliwie Riverwind, przyciągając ją do siebie.

– Tak – odparła, przytulając się do jego mocarnego ciała z westchnieniem zadowolenia. Wzniosła spojrzenie ku rozgwieżdżonemu niebu, a potem zeszytniała i jęknęła, strwożona.

– Co się stało? – zapytał Riverwind, spoglądając w górę.

Pozostali w łodzi, choć nie zrozumieli ich rozmowy, usłyszeli westchnienie Goldmoon i dostrzegli jej spojrzenie utkwione w nocnym nieboskłonie.

Caramon szturchnął brata i powiedział – Raist, co to jest? Ja nic nie widzę.

Raistlin wyprostował się, zsunął kaptur, a potem zakaszłał. Kiedy spazm minął, czarodziej spojrział uważnie w nocne niebo. Potem znieruchomiał i otworzył szeroko oczy. Wyciągnąwszy chudą, kościstą rękę, Raistlin chwycił Tanisa za ramię i przytrzymał go mocno, gdy półelf mimowolnie usiłował się wyrwać z uścisku trupiej dłoni maga. – Tanisie... – wyrzęził Raistlin, ledwo dysząc. – Gwiazdozbiory...

– Co takiego? – Tanis był szczerze zaskoczony bladością metalicznie złotawej skóry czarodzieja i gorączkowym błyskiem jego dziwnych oczu. – Co się stało z gwiazdozbiorami?

– Znikły! – wychrypiął Raistlin i wpadł w atak kaszlu. Caramon objął go ramieniem i przycisnął mocno do siebie. Wyglądało to niemal tak, jakby olbrzymi mężczyzna usiłował przytrzymać rozpadające się ciało wątłego brata. Raistlin wrócił do siebie i wytarł usta dłonią. Tanis dostrzegł, że jego palce były ciemne od krwi. Raistlin zaczerpnął głęboko tchu, a potem odezwał się.

– Konstelacja znana jako Królowa Ciemności i ta, którą zwą Walecznym Wojownikiem. Obie znikły. Ona zstąpiła na Krynn, Tanisie, a on przybył, żeby z nią walczyć. Wszystko, co złego słyszeliśmy, okazało się prawdą. Wojna, śmierć, zniszczenie... – Jego głos przerodził się w następny wybuch kaszlu.

Caramon podtrzymał go. – Daj spokój, Raist – rzekł uspokajającym tonem. – Nie denerwuj się tak. To tylko jakieś tam gwiazdy.

– Tylko jakieś tam gwiazdy – powtórzył bezmyślnie Tanis.

Sturm zaczął znów wiosłować szybko w stronę drugiego brzegu.

Rozdział VI

Noc w jaskini. Spór. Tanis podejmuje decyzję

Nad jeziorem zaczął dąć chłodny wiatr. Z północy sunęły ciężkie chmury, zasłaniając czarne dziury w niebie, jakie ziały w miejscach po gwiazdach, które spadły. Przyjaciele skulili się w łodzi i owinęli mocniej płaszczami, osłaniając się przed deszczem, który właśnie zaczął siąpić. Caramon zajął miejsce obok Sturm przy wiosłach. Potężny wojownik usiłował porozmawiać z rycerzem, lecz Sturm nie zwracał na niego uwagi. Wiosłował w ponurym milczeniu, od czasu do czasu mrużąc coś do siebie po solamnijsku.

– Sturmie! Tam, między tymi wielkimi głazami na lewo! – zawołał Tanis, wskazując ręką.

Sturm i Caramon pociągnęli mocno za wiosła. W deszczu trudno było dostrzec skały i przez chwilę wydawało się, że zgubili się w ciemności. Wtedy głazy nagle zamajaczyły tuż przed nimi. Tanis wyskoczył za burtę i przyholował łódź do brzegu. Padał ulewny deszcz. Przyjaciele wyszli z łodzi mokrzy i zziębnięci. Krasnoluda trzeba było wynieść, bowiem ze strachu zeszywniał jak nieżywy goblin. Riverwind i Caramon ukryli łódkę w gęstych zaroślach. Tanis poprowadził pozostałych stromą ścieżką do niewielkiego otworu w skalnej ścianie. Goldmoon popatrzyła nań z powątpiewaniem. Przypominał zaledwie sporą szczelinę w skale. Jednak wewnątrz grotka okazała się dość duża, by wszyscy mogli wyciągnąć się wygodnie.

– Ładny dom. – Tasslehoff rozejrzał się. – Niezbyt dużo mebli.

Tanis uśmiechnął się do kendera. – Na tę noc wystarczy. Nie sędzę, żeby nawet krasnolud się uskarżał. A jeśli tak, odeślemy go spać do łodzi!

Tas posłał wesoły uśmiech półelfowi. Dobrze było znów widzieć starego Tanisa. Przyjaciół wydawał mu się nietypowo markotny i niezdecydowany, niepodobny do silnego przywódcy, jakiego pamiętał z dawnych czasów. Jednak teraz, kiedy znów wyruszyli na wędrówkę, znów zapalił się blask w oczach półelfa. Tanis skruszył skorupę posepności i objął dowodzenie, wracając na swe zwykłe miejsce. Potrzebna mu była ta przygoda, żeby mógł się oderwać od swych problemów – obojętnie, na czym one polegały. Kender, który nigdy nie rozumiał wewnętrznej rozterki Tanisa, cieszył się, że przytrafiła im się taka przygoda.

Caramon wyniósł brata z łodzi i położył go najłagodniej jak umiał na miękkim, ciepłym piasku pokrywającym podłogę jaskini. Riverwind tymczasem rozpałał ogień. Wilgotne drewno syczało i trzaskało, lecz wkrótce zapaliło się. Smużka dymu wznosiła się ku sklepieniu i wydostawała na zewnątrz przez szczelinę. Mieszkaniec równin zamaskował

wejście do groty roślinnością i opadłymi gałęziami, przesłaniając światło rzucane przez ogień i skutecznie chroniąc wnętrze przed deszczem. On tu doskonale pasuje, pomyślał Tanis, przyglądając się pracującemu barbarzyńcy. Mógłby być niemal jednym z nas. Westchnąwszy, półelf skupił uwagę na Raistlinie. Ukłękł przy nim i przyjrzał się młodemu magowi z troską. Błada twarz Raistlina połyskująca w migotliwym blasku ognia przypomniła półelfowi czasy, gdy wraz z Flintem i Caramonem ledwo uratowali Raistlina z rąk rozwścieczonego tłumu, który zamierzał spalić czarodzieja na stosie. Raistlin usiłował ujawnić matactwa fałszywego kapłana, który wyciągał pieniądze od wieśniaków. Zamiast wyrzucić swój gniew na szalbierza, wieśniacy napadli Raistlina. Jak już Tanis wspominał Flintowi – ludzie chcą w coś wierzyć.

Caramon zakrzętnął się wokół brata, narzucając mu na ramiona swój ciężki płaszcz. Ciałem Raistlina wstrząsał kaszel, a z ust ciekła mu strużka krwi. Jego oczy miały gorączkowy blask. Goldmoon przyklękła obok niego z kubkiem wina w dłoni.

– Czy możesz to wypić? – spytała łagodnie.

Raistlin pokręcił głową, spróbował przemówić, zakaszłał i odsunął jej rękę. Goldmoon rzuciła spojrzenie na Tanisa. – Może... moja laska? – zapytała.

– Nie – wykrztusił Raistlin. Gestem polecił Tanisowi zbliżyć się. Nawet siedząc obok, Tanis ledwo słyszał słowa czarodzieja, którego urywane zdania przeplatane były ciężkimi westchnieniami i atakami kaszlu. – Laska nie uzdrowi mnie, Tanisie – wyszeptał. – Nie marnujcie jej dla mnie. Jeśli to pobłogosławiony artefakt... jego święta moc jest ograniczona. Moje ciało było ofiarą, jaką uczyniłem dla magii. Szkody są nieodwracalne. Nic nie może pomóc... – zamilkł i zamknął oczy.

Nagle buchnął ogień, bowiem do groty wdarł się wiatr. Tanis podniósł głowę i zobaczył Sturm, który odsuwał gałęzie, wchodząc do jaskini. Rycerz na wpół niósł ślaniającego się Flinta, pod którym ugiwały się nogi. Sturm puścił go przy ognisku. Obaj byli przemoczeni do suchej nitki. Sturm najwyraźniej miał już dość krasnoluda i, jak zauważył Tanis, całej drużyny. Tanis

przyglądał mu się z z troskaniem, rozpoznając objawy mrocznej depresji, w jaką czasami wpadał rycerz. Sturm cenił karność i porządek. Zniknięcie gwiazd – zakłócenie naturalnego stanu rzeczy – wstrząsnęło nim poważnie.

Tasslehoff owinął kocem krasnoluda, który siedział skulony na podłodze groty i tak szczerkał zębami, że aż grzechotał jego hełm. – Ł-ł-łódka ... – tylko tyle potrafił powiedzieć. Tas nalał mu kubek wina, który krasnolud wypił chciwie.

Sturm popatrzył na krasnoluda z niechęcią. – Wezmę pierwszą wartę – rzekł i ruszył w

stronę wyjścia z jaskini.

Riverwind wstał. – Stanę na warcie razem z tobą – powiedział szorstko.

Sturm znieruchomiał, a następnie powoli odwrócił się do wysokiego mieszkańca równin. Tanis widział twarz rycerza, której rysy ostro uwidocznił blask ognia, rysując ciemne linie wokół jego surowych ust. Choć rycerz był mniejszej postury niż Riverwind, otaczająca go atmosfera szlachetności i sztywna postawa czyniła ich nieomal równymi sobie.

– Jestem rycerzem solamnijskim – rzekł Sturm. – Moje słowo to mój honor, a mój honor to moje życie. Dałem słowo, jeszcze w gospodzie, że będę bronić ciebie i twojej pani. Jeśli wątpisz w moją przysięgę, poddajesz w wątpliwość mój honor, a tym samym obrażasz mnie. Nie mogę pozwolić na taką zniewagę.

– Sturmie! – Tanis zerwał się na nogi.

Nie spuszczać z oczu mieszkańca równin ani na chwilę, rycerz uniósł dłoń. – Nie wtrącaj się, Tanisie – rzekł Sturm. – Więc, cóż to będzie... miecze, noże? W jaki sposób walczą barbarzyńcy?

Pełen stoickiego spokoju wyraz twarzy Riverwinda nie uległ zmianie. Zmierzył rycerza uważnym spojrzeniem ciemnych oczu. Potem przemówił, starannie dobierając słowa. – Nie miałem zamiaru poddawać w wątpliwość twojego honoru. Nie znam ludzi i ich miast i powiem ci szczerze – zdejmuję mnie twoga. To strach przemawia przeze mnie. Boję się od chwili, gdy powierzono mi laskę z błękitnego kryształu. Najbardziej obawiam się o Goldmoon. – Mieszkaniec równin spojrział na kobietę, a w jego oczach odbijały się płomienie. – Bez niej zginę. Jak mogłem zaufać... – głos mu się załamał. Maską obojętności pękła i rozsypała się w proch pod naporem zmęczenia i bólu. Nogi się pod nim ugięły i barbarzyńca poleciał w przód. Sturm pochwycił go.

– Nie mogłeś – powiedział rycerz. – Rozumiem. Jesteś zmęczony i chory. – Pomógł Tanisowi ułożyć mieszkańca równin na tyłach groty. – Odpocznij teraz. Ja stanę na warcie. – Rycerz odsunął gałęzie i bez jednego słowa wyszedł na deszcz.

Goldmoon przysłuchiwała się wymianie słów w milczeniu. Teraz przeniosła ich skromny dobytek na tył jaskini i uklękła u boku Riverwinda. Objął ją ramieniem i przygarnął do siebie, wtulając twarz w jej złotosrebrne włosy. Para pograżyła się w mroku groty. Otuleni peleryną Riverwinda, wkrótce oboje usnęli, Goldmoon z głową wspartą na piersi wojownika.

Tanis westchnął z ulgą i odwrócił się do Raistlina. Czarodziej zapadł w niespokojny sen. Czasami szeptał dziwne słowa w języku magii i wyciągał dłoń, by dotknąć swej laski. Tanis rozejrzał się. Tasslehoff siedział przy ogniu i przeglądał swoje „znalezione” przedmioty. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, rozłożywszy swoje skarby na podłodze

jaskini przed sobą. Tanis dostrzegł błyszczące pierścionki, kilka osobliwych monet, piórko lelka kozodoja, kawałki sznurka, naszyjnik z paciorków, lalkę z mydła i gwizdek. Jeden z pierścionków wydawał mu się znajomy. Ten pierścień elfiej roboty podarowała Tanisowi dawno temu pewna osoba, której wspomnienie starał się trzymać jak najdalej od swych myśli. Był to przepięknie grawerowany, delikatny pierścionek ze złotych, wijących się listków bluszczu.

Tanis zakradł się do kendera, idąc po cichu, by nie obudzić pozostałych. – Tas... – postukał kendera po ramieniu. – Mój pierścień...

– Doprawdy? – zapytał Tasslehoff z niewinnym wyrazem szeroko otwartych oczu. – To twoje? Jak to dobrze, że go znalazłem. Musiałeś go zgubić w gospodzie.

Tanis wziął pierścionek z kwaśnym uśmiechem, a potem usiadł obok kendera. – Tas, czy masz mapę tych okolic?

Kenderowi rozbłysły oczy. – Mapę? Jasne, Tanisie. Oczywiście. – Zgarnął wszystkie swoje cenne przedmioty, wrzucił je do sakwy i wyjął z innej torby ręcznie rzeźbiony w drewnie pokrowiec na zwoje. Wyciągnął z niego rulon map. Tanis już przedtem widział kolekcję kendera, ale nigdy nie przestawała go zdumiewać. Musiała być ich chyba ze setka, na każdym rodzaju materiału, od cienkiego pergaminu, przez miękką skórę koźlęcą, do olbrzymiego liścia palmy karłowatej.

– Myślałem, że znasz osobiście każde drzewo w tej okolicy. – Tasslehoff przeglądał swe mapy, czasami zatrzymując wzrok dłużej na tych, które lubił najbardziej.

Półelf potrząsnął głową. – Mieszkam tu od wielu lat – powiedział – lecz, powiedzmy szczerze, nie znam żadnych mrocznych, tajemnych ścieżek.

– Nie znajdziesz takich wielu do Haven. – Tas wyciągnął mapę ze sterty i wygładził ją na podłodze jaskini. – Droga do Haven przez dolinę Solace jest najkrótsza, to pewne.

Tanis przyglądał się mapie w świetle przygasającego ogniska. – Masz rację – powiedział. – Ta droga jest nie tylko najkrótsza – wygląda na to, że jest to jedyna droga nadająca się do marszu. Zarówno na północ, jak i na południe od nas leżą góry Kharolis, a tam nie ma przełęczy. – Zmarszczywszy brwi, Tanis zwinął mapę i oddał ją kenderowi. – Dokładnie tak samo pomyśli sobie Teokrata.

Tasslehoff ziewnął. – Cóż – stwierdził, wkładając mapę ostrożnie do pokrowca – to problem dla głów mądrzejszych od mojej. Ja szukam tylko wrażeń. – Schowawszy pokrowiec do torby, kender ułożył się na podłodze groty, podciągnął kolana pod brodę i wkrótce usnął spokojnym snem małych dzieci i zwierzątek.

Tanis spojrział na niego z zazdrością. Chociaż był obolały ze zmęczenia, nie potrafił

odprężyć się na tyle, by móc zasnąć. Większość pozostałych już spała, wszyscy z wyjątkiem wojownika, który czuwał nad bratem. Tanis podszedł do Caramona.

– Kładź się spać – szepnął. – Ja będę czuwał przy Raistlinie.

– Nie – rzekł ogromny wojownik. Nachylił się i łagodnie podciągnął płaszcz na ramionach brata. – On może mnie potrzebować.

– Musisz przecież przespać się trochę.

– Prześpię się. – Caramon uśmiechnął się szeroko. – Sam idź spać, niańko. Twoim dzieciom niczego nie potrzeba. Spójrz, nawet krasnolud już usnął.

– Nie muszę patrzeć – powiedział Tanis. – Jego chrapanie pewno słyszy nawet Teokrata w Solace. Cóż, mój przyjacielu, nie tak wyobrażałem sobie spotkanie, na które umówiliśmy się pięć lat temu.

– A cóż jest takie, jak sobie wyobrażaliśmy? – spytał cicho Caramon, spoglądając na brata.

Tanis poklepał mężczyznę po ramieniu, a potem położył się i zawinawszy się w obszerny płaszcz, wreszcie usnął.

Mijała noc – powoli dla stojących na warcie, szybko dla tych, którzy spali. Caramon zastąpił na warcie Sturma, Caramona zastąpił potem Tanis. Burza nie ustawała przez całą noc, a wiatr zmienił jezioro w morze pokryte spienionymi bałwanami. Rozszczerzone błyskawice jaśniały w ciemności jak płonące drzewa. Cały czas biły gromy. O świcie burza ustała i półelf ujrzał, jak wstaje szary, zimny dzień. Deszcz przestał padać, lecz ciężkie chmury wciąż wisiały nisko. Na niebie nie pokazało się słońce. Tanisa ogarnęło narastające uczucie niepokoju. Nie widział końca ciemnych chmur gromadzących się na północy. Jesienne burze były rzadkością, szczególnie tak gwałtowne. Również wiatr był chłodny i wydawało się, że ulewa nadciągnęła z północy, podczas gdy zazwyczaj chmury sunęły na wschód, przez równiny. Wyczulonego na porządek natury Tanisa dziwna pogoda zaniepokoiła niemal tak samo, jak upadłe gwiazdy Raistlina. Czuł potrzebę wyruszenia, chociaż był dopiero wczesny poranek. Wszedł do środka, żeby zbudzić pozostałych.

W szarym świetle poranka grota wyglądała chłodno i ponuro, pomimo trzaskającego ogniska. Goldmoon i Tasslehoff przygotowywali śniadanie. Riverwind stał na tyłach jaskini i wytrząsał futrzaną pelerynę Goldmoon. Tanis spojrzął na niego. W chwili gdy wszedł Tanis, mieszkaniec równin zamierzał coś powiedzieć Goldmoon, lecz umilkł, zadowolając się znaczącym spoglądaniem na nią w trakcie pracy. Goldmoon spuściła oczy, a jej twarz była blada i zatroskana. Tanis zdał sobie sprawę, że barbarzyńca żałuje, że wczoraj w nocy pozwolił sobie na taką swobodę.

– Obawiam się, że nie ma zbyt wiele jedzenia – stwierdziła Goldmoon, wsypując kaszę do garnka z gotującą się wodą.

– Spiżarnia Tiki nie była zbyt dobrze zaopatrzona – dodał przepaszająco Tasslehoff. – Mamy bochenek chleba, trochę suszonej wołowiny, pół spleśniałego sera i kaszę. Tika widocznie jada w mieście.

– Riverwind i ja nie zabraliśmy prowiantu – powiedziała Goldmoon. – Nie spodziewaliśmy się doprawdy wyruszenia w tę podróż.

Tanis miał zamiar zapytać ją jeszcze o pieśń i laskę, lecz pozostali zaczęli się budzić, poczuwszy zapach jedzenia. Caramon ziewnął, przeciągnął się i wstał. Podszedł do garnka, zajrzał do niego i jęknął. – Kasza owsiana? To wszystko?

– Na obiad będzie jeszcze mniej – śmiał się niefrasobliwie Tasslehoff. – Zaciśnij pasa. I tak rośnie ci brzuch.

Olbrzymi mężczyzna westchnął żałośnie.

Skąpe śniadanie o zimnym poranku spożyto w ponurym nastroju. Sturm, odmówiwszy zupełnie jedzenia, wyszedł stanąć na warcie. Tanis widział rycerza siedzącego na skale i posępnie wpatrującego się w ciemne chmury, które ciągnęły się smugami nad nieruchomą taflą jeziora. Caramon zjadł szybko swoją porcję, pożarł porcję brata, a następnie przywłaszczył sobie porcję Sturma, kiedy rycerz oddalił się. Potem olbrzymi mężczyzna siadł i z żalem przyglądał się pozostałym, którzy kończyli swoje jedzenie.

– Zjesz to? – zapytał, wskazując na porcję chleba należącą do Flinta. Krasnolud spojrzał na niego wrogo. Tasslehoff, widząc spojrzenie wojownika wędrujące ku jego talerzowi, wepchnął chleb do ust, nieomal zadławiwszy się przy tym. Przynajmniej siedzi cicho, pomyślał Tanis, ciesząc się z chwili wytchnienia od przenikliwego głosu kendera. Przez cały poranek Tas dokuczał Flintowi niemiłosiernie, nazywając go „kapitanem okrętu” i „bosmanem”, wypytyjąc o cenę ryb oraz ile wzięłby za przewiezienie ich z powrotem przez jezioro. Flint wreszcie rzucił w niego kamieniem i Tanis wysłał Tasa nad jezioro, żeby szorował garnki.

Półelf poszedł na tył jaskini.

– Jak się czujesz, Raistlinie? – zapytał. – Będziemy musieli wkrótce wyruszyć.

– Czuję się dużo lepiej – odrzekł czarodziej swym cichym, szepczącym głosem. Pił jakiś ziołowy wywar, który sam przyrządzał. Tanis zobaczył zielone, pierzaste listki pływające w parującej wodzie. Napar rozsiewał gorzki, przenikliwy zapach. Raistlin krzywił się, pijąc go.

Tasslehoff wrócił w podskokach do jaskini, grzechocząc głośno garnkami i cynowymi

talerzami. Tanis zacisnął zęby, słysząc ten hałas, i chciał już skarcić kendera, lecz potem zmienił zdanie. Nic by to nie pomogło.

Zauważywszy zdenerwowanie Tanisa, Flint wyrwał naczynia kenderowi i zaczął je pakować.

– Zachowuj się poważnie – syknął krasnolud do Tasslehoffa – bo inaczej złapię cię za ten czub na głowie i powieszę na drzewie, jako ostrzeżenie dla wszystkich kenderów...

Tas sięgnął ręką i wyciągnął coś z brody krasnoluda.

– Spójrz! – kender z radością podniósł coś do góry. – Wodorosty! – Flint z rykiem wściekłości rzucił się na kendera, lecz Tas zwinnie uskoczył mu z drogi.

Rozległ się szelest odsuwanych gałęzi, które zasłaniały wejście, i wszedł Sturm. Jego twarz była mroczna i posępna.

– Przestańcie! – rzekł Sturm, patrząc srogo na Flinta i Tasa. Wąsy mu drżały. Zwrócił surowe spojrzenie na Tanisa.

– Tych dwóch słyhać było wyraźnie aż nad jeziorem. Sprowadzą do nas wszystkie gobliny na Krynnie. Musimy stąd odejść. Dokąd więc się udajemy?

Zapadła nieprzyjemna cisza. Wszyscy przerwali swoje zajęcia i spojrzeli na Tanisa. Tylko Raistlin wycierał swój kubek białą szmatką, czyszcząc go z przesadną wręcz starannością. Nie przerwał pracy i nie podniósł oczu, jakby wcale go to nie interesowało.

Tanis westchnął i podrapał się po brodzie. – Teokrata w Solace jest skorumpowany. To już wiemy. Korzysta z pomocy tej gobliniej hołoty, żeby utrzymać władzę. Gdyby dostał łaskę, użyłby jej dla własnego zysku. Od lat szukaliśmy znaku istnienia prawdziwych bogów. Zdaje się, że znaleźliśmy go. Nie mam zamiaru oddać go temu oszustowi z Solace. Tika powiedziała, że wierzy, iż szlachetnych poszukiwaczy z Haven wciąż interesuje prawda. Może oni będą umieli powiedzieć nam coś o tej lasce, skąd ona pochodzi i jaka jest jej moc. Tas, daj mi tę mapę.

Wysypawszy zawartość kilkunastu swoich toreb na posadzkę, kender wreszcie odnalazł potrzebny pergamin.

– Znajdujemy się tu, na zachodnim brzegu Crystalmiru – kontynuował Tanis. – Na północ i południe rozciągają się pasma gór Kharolis, tworzących obrzeża doliny Solace. W żadnym z tych łańcuchów górskich nie ma znanych przełęczy, z wyjątkiem drogi przez przełęcz Gateway na południe od Solace...

– Która niemal z pewnością jest już opanowana przez gobliny – mruknął Sturm. – Są przełęcze na północnym wschodzie...

– To po drugiej stronie jeziora! – powiedział z przerażeniem Flint.

– Tak – Tanis starał się powstrzymać od wesołości – po drugiej stronie jeziora. Ale one prowadzą na Równiny, a nie sędzę, żebyście chcieli pójść w tamtym kierunku. – Spojrzał na Riverwinda i Goldmoon. – Droga na zachód prowadzi przez Szczyty Strażnicze i Wąwóz Cieni do Haven. Wydaje mi się, że to najbardziej rozsądny kierunek podróży.

Sturm zmarszczył brwi. – A jeśli tamtejsi szlachetni poszukiwacze są nie lepsi od tego w Solace?

– Wtedy udamy się na południe do Qualinesti.

– Qualinesti? – Riverwind popatrzył wrogo. – Kraina elfów? Nie! Tam ludziom nie wolno wchodzić. Poza tym droga do niej jest ukryta...

Chrapliwy, syczący dźwięk przerwał ich dyskusję. Wszyscy odwrócili się na dźwięk głosu Raistlina. – Jest taka droga. – Jego głos brzmiał cicho i drwiąco, a złote oczy połyskiwały w chłodnym świetle poranka. – Ścieżki Mrocznej Puszczy. Prowadzą wprost do Qualinesti.

– Mroczna Puszcza? – powtórzył zaniepokojony Caramon. – Nie, Tanisie! – Wojownik pokręcił głową. – Mogę walczyć z żywymi choćby codziennie – ale nie z umarłymi!

– Umarłymi? – zapytał skwapliwie Tas. – Opowiedz mi, Caramonie...

– Bądź cicho, Tas! – rzekł ostro Sturm. – Mroczna Puszcza to szaleństwo. Nie wyszedł z niej jeszcze nikt, kto do niej wkroczył. Chciałbyś, magu, abyśmy tam zanieśli nasz skarb?

– Zaczekajcie! – odezwał się gwałtownie Tanis.

Wszyscy umilkli. Nawet Sturm się uspokoił. Spojrzał na spokojną, myślącą twarz Tanisa i jego migdałowe oczy, w których kryła się mądrość wielu lat wędrówek. Rycerz często usiłował dojść w głębi swej duszy, czemu akceptuje przewodnictwo Tanisa. W końcu był to tylko półelfi bękart. Nie pochodził ze szlacheckiego rodu. Nie nosił zbroi ani tarczy z dumnym herbem. A jednak Sturm słuchał jego rozkazów, kochał go i szanował, jak żadnego innego człowieka na tej ziemi. :

Życie było dla solamnijskiego rycerza mrocznym całunem. Nie mógł nawet udawać, że je zna czy rozumie, chyba że poprzez kodeks rycerski, wedle którego żył. Est Sularus oth Mithas – „Mój honor to moje życie”. Kodeks ten definiował honor i stanowił znacznie pełniejszy, bardziej szczegółowy i surowszy zbiór reguł, niż jakikolwiek inny na Krynnie. Kodeks ten przetrwał nienaruszony przez siedemset lat, lecz Sturm obawiał się w głębi duszy, że któregoś dnia, kiedy dojdzie do ostatecznej bitwy, kodeks nie będzie zawierał odpowiedzi. Wiedział, że jeśli ten dzień nadejdzie, u jego boku będzie Tanis, który utrzyma rozpadający

się świat. Jeśli bowiem Sturm był posłuszny nakazom kodeksu, Tanis żył nimi.

Głos Tanisa wyrwał rycerza z zamyślenia. – Przypominam wam wszystkim, że ta laska nie jest „naszym skarbem”. Zgodnie z prawem, laska należy do Goldmoon – jeśli do kogośkolwiek może należeć. Nie mamy do niej większych praw niż Teokrata w Solace. – Tanis zwrócił się do Goldmoon. – A jaka jest twoja wola, pani?

Goldmoon spojrzała najpierw na Tanisa, potem na Sturma, a wreszcie na Riverwinda. – Znasz moje zdanie – powiedział chłodno barbarzyńca. – Lecz... ty jesteś córką wodza.

– Wstał. Nie zważając na jej błagalne spojrzenia, wymaszerował na zewnątrz.

– Co on chciał powiedzieć? – spytał Tanis.

– Chce, żebyśmy opuścili was i zabrali laskę do Haven

– odparła ściszone głosem Goldmoon. – Mówi, że narażacie nas na większe niebezpieczeństwo. Będziemy bezpieczniejsi sami.

– Narażamy na niebezpieczeństwo! – wybuchł Flint. – Nie byłoby nas tutaj wcale, nie utopiłbym się prawie – już drugi raz! – gdyby nie-nie... – krasnolud zaczął się pieniść ze złości.

Tanis podniósł dłoń. – Dość tego. – Podrapał się po brodzie. – Z nami będziecie bezpieczniejsi. Przyjmiecie naszą pomoc?

– Ja, tak – odrzekła poważnie Goldmoon – przynajmniej na jakiś czas.

– Dobrze – zgodził się Tanis. – Tas, ty znasz drogę przez dolinę Solace. Będiesz naszym przewodnikiem. I pamiętaj, nie jesteśmy na majówce!

– Tak, Tanisie – powiedział kender potulnie. Zgarnął swe liczne sakwy i powiesił je sobie przy pasku i na ramionach. Mijając Goldmoon, ukląkł szybko i poklepał ją po dłoni, a potem wybiegł z grotu. Pozostali szybko zebrali swoje rzeczy i poszli za nim.

– Znowu będzie padać – burknął Flint, spoglądając na zaciągnięte chmurami niebo. – Powinienem być zostać w Solace. – Mrucząc pod nosem, ruszył do wyjścia, poprawiając topór bojowy na plecach. Tanis, który czekał na Goldmoon i Riverwinda, uśmiechnął się i potrząsnął głową. Przynajmniej niektóre rzeczy nigdy nie zmieniały się, a wśród nich krasnoludowie.

Riverwind wziął od Goldmoon ich tobołki i zarzucił je sobie na ramię. – Upewniłem się, że łódź jest dobrze ukryta i zabezpieczona – powiedział do Tanisa. – Tego poranka jego twarz znów zakrywała maska wyrażająca stoicki spokój. – Na wypadek, gdybyśmy jej potrzebowali.

– Dobry pomysł – odrzekł Tanis. – Dziękuję...

– Gdybyś zechciał pójść pierwszy. – Riverwind wskazał dłonią. – Pójdę na końcu i

zatrę za nami ślady.

Tanis zamierzał coś powiedzieć, choćby podziękować mieszkańcowi równin, lecz Riverwind odwrócił się już i zabrał się do pracy. Idąc ścieżką, półelf pokręcił głową. Słyszał, jak za jego plecami Goldmoon odzywa się cicho w swoim języku. Riverwind odpowiedział jednym, szorstkim słowem. Tanis usłyszał westchnienie Goldmoon, a potem wszystkie słowa zostały zagłuszone przez szelest gałęzi, którą Riverwind zacierał ich ślady.

Rozdział VII

Historia laski. Dziwni kapłani. Upiorne wrażenia

Bujne lasy doliny Solace tworzyły zielony, tętniący życiem gąszcz. Pod gęstym sklepieniem drzew vallen rozrastał się ostokrzew i zielonomur. Ziemię gęsto pokrywały dokuczliwe pnącza płåtownika. Trzeba było stąpać wśród nich z wielką ostrożnością, bo inaczej owijały się znieścacka wokół kostek i unieruchamiały bezbronną ofiarę do czasu, aż została pożarta przez któregoś z licznych drapieźników żyjących w dolinie, w ten sposób dostarczając płåtownikowi tego, co mu było potrzebne do życia – krwi.

Ponad godzinę zajęło drużynie wyrąbywanie sobie przejścia i przedzieranie się przez zarośla do gościńca prowadzącego do Haven. Wszyscy byli podrapani, obszarpani i zmęczeni, więc widok długiego pasma ubitej ziemi, którym podróżni wędrowali aż za Haven, był miły ich oczom. Dopiero kiedy zatrzymali się w pobliżu drogi na odpoczynek, zauważyli brak dźwięków. Wokół panowała cisza, jakby wszystkie stworzenia wstrzymały oddech, czekając na coś. Teraz, kiedy dotarli już do traktu, jakoś nikomu szczególnie nie było spieszo wyjść z ukrycia w zaroślach.

– Myślisz, że tu jest bezpiecznie? – zapytał Caramon, wyzierając zza krzaków.

– Bezpiecznie czy nie, musimy tędy pójść – powiedział opryskliwie Tanis – chyba że potrafisz latać, albo chcesz wracać do lasu. Przez godzinę przeszliśmy kilkaset metrów. W takim tempie powinniśmy dojść do rozstajnych dróg za tydzień.

Ogromny mężczyzna zaczerwienił się, zawstydzony. – Nie chciałem...

– Przepraszam. – Tanis westchnął. On również popatrzył na drogę. Wielkie drzewa vallen tworzyły ciemny korytarz w szarym świetle poranka. – Nie podoba mi się to bardziej niż tobie.

– Rozdzielamy się czy zostajemy razem? – Sturm chłodno i rzeczowo przerwał rozmowę, którą uważał za zbędną pogawędkę.

– Zostajemy razem – odparł Tanis. Potem, po chwili namysłu, dodał: – Mimo to, ktoś powinien pójść na zwiady...

– Ja pójdę – zgłosił się na ochotnika Tas, wyskakując z krzaków pod łokciem Tanisa. – Nikt nie będzie podejrzewał kendera podróżującego samotnie.

Tanis zastanowił się poważnie. Tas miał rację – nikt nie będzie go podejrzewał. Wszyscy kenderzy byli зараżeni bakcyłem podróżowania i wędrowali po całym Krynnie w poszukiwaniu przygód. Tas jednak miał niepokojący zwyczaj zapominania o swojej misji i odchodził, jeśli coś ciekawszego przyciągnęło jego uwagę.

– Zgoda – rzekł wreszcie Tanis. – Ale pamiętaj, Tasslehoffie Burrfoot, miej oczy otwarte i bądź czujny. Nie schodź z drogi i przede wszystkim... – Tanis utkwił w oczach kendera surowe spojrzenie – ...trzymaj ręce z dala od cudzych rzeczy.

– Chyba, żeby należały do piekarzy – dodał Caramon.

Tas zachichotał, przedarł się przez ostatnie kilka metrów zarośli i wyszedł na gościniec. Obwieszony dyndającymi sakwami, odszedł w podskokach, robiąc hoopakiem dziury w błocie. Posłyszeli jeszcze jak nuci podróżną piosenkę kenderów.

Prawdziwa miłość twa to łódź żaglowa

Co w naszym porcie stoi.

Jej żagle wznieś, na pokład wejdź,

Nikt pracy się nie boi;

Latarnia morska błyszczy dla niej,

I ciepło nasz brzeg wróży;

Płyniemy nią do przystani –

Każdego portu w czas burzy.

Żeglarze stoją w porcie,

Wśród zuchów tęga mina,

Spragnieni jak krasnolud złota

Czy centaur byle wina.

Bo każdy żeglarz kocha ją,

I pędzi, gdzie rzuciła cumy,

Każdy ma nadzieję, że to on

Wejdzie na pokład pełen dumy.

Z uśmiechem na ustach Tanis odczekał kilka minut po wysłuchaniu ostatniej frazy piosenki Tasa, nim wyruszył w drogę. Wreszcie wszyscy wyszli na gościniec równie wylęknięci, co trupa nieudolnych aktorów stojąca przed nieprzychylną publicznością. Mieli uczucie, że przyglądają im się wszyscy na Krynnie.

Głęboki mrok panujący pod liśćmi barwy płomieni sprawiał, że nie sposób było zobaczyć cokolwiek w lesie już kilka metrów od drogi. Sturm wysforował się naprzód i szedł

samotnie w gorzkim milczeniu. Tanis wiedział, że choć rycerz wznosił głowę dumnie, przedzierał się przez mrok swego przygnębienia. Następny szedł Caramon z Raistlinem. Tanis nie spuszczał maga z oczu, martwiąc się, czy będzie w stanie dotrzymać im kroku.

Raistlin miał pewne trudności z przedostaniem się przez zarośla, lecz teraz radził sobie zupełnie dobrze. Jedną ręką ścisnął laskę, na której się wspierał, a w drugiej trzymał otwartą książkę. Tanis początkowo zastanawiał się, co też czarodziej może czytać, a potem zorientował się, że to jego księga czarów. Przekleństwem czarodziejów jest, iż muszą stale studiować i codziennie powierzać zaklęcia swej pamięci. Magiczne słowa płoną w umyśle, a potem migoczą i gasną, gdy zaklęcie zostanie rzucone. Każdy czar spala odrobinę fizycznej i psychicznej energii czarodzieja, aż do jego całkowitego wyczerpania, po czym mag musi odetchnąć, zanim będzie mógł znów posłużyć się swymi zaklęciami.

Flint człapał z drugiej strony Caramona. Zaczęli się sprzeczać po cichu o wypadek na łodzi, który miał miejsce dziesięć lat temu.

– Żeby próbować łapać ryby gołymi rękoma... – mruczał z niesmakiem Flint.

Tanis zamykał pochód, idąc obok mieszkańców równin. Obserwował Goldmoon. Widząc ją z bliska w przyćmionym świetle pod drzewami, dostrzegł zmarszczki pod jej oczami, które sprawiały, że wyglądała starzej niż na swoje dwadzieścia dziewięć lat.

– Nie mieliśmy łatwego życia – zwierzyła mu się Goldmoon w trakcie wędrówki. – Riverwind i ja kochamy się od wielu lat, lecz prawo naszego ludu mówi, że wojownik, który pragnie poślubić córkę swego wodza, musi dokonać jakiegoś wielkiego czynu, aby udowodnić, że jest jej godny. Z nami było jeszcze gorzej. Rodzinę Riverwinda wypędzono z plemienia wiele lat temu za odmowę oddawania czci naszym przodkom.

Jego dziadek wierzył w pradawnych bogów, którzy istnieli przed kataklizmem, choć niewiele śladów ich istnienia mógł znaleźć na Krynnie. Mój ojciec postanowił nie dopuścić do tego, bym poślubiła kogoś tak niskiego stanu. Poleciał więc Riverwindowi wykonać niemożliwe zadanie – wysłał go, by odnalazł jakiś przedmiot obdarzony świętą mocą, który udowodniłby istnienie tych prastarych bogów. Oczywiście mój ojciec nie wierzył w istnienie takiego przedmiotu. Miał nadzieję, że Riverwind poniesie śmierć, a ja pokocham kogoś innego. – Rzuciła spojrzenie na wysokiego wojownika idącego obok niej i uśmiechnęła się. Jego twarz jednak miała nieprzystępny wyraz, a wzrok skierowany był w dal. Uśmiech kobiety zgasł. Westchnąwszy, wróciła do swej opowieści, mówiąc po cichu bardziej do siebie, niż do Tanisa.

– Riverwind nie wracał długie lata. W moim życiu zapanowała pustka. Czasami myślałam, że serce mi pęknie. A potem, zaledwie tydzień temu, wrócił. Był ledwie żywy,

majaczył z powodu trawiącej go gorączki. Słaniając się, wszedł do naszego obozowiska i upadł u mych stóp. Jego czoło płonęło. W rękę ścisnął kurczowo laskę. Musieliśmy podwazyć mu palce, bowiem nawet nieprzytomny, nie chciał jej wypuścić.

Majaczył w gorączce o mrocznym miejscu, zrujnowanym mieście, gdzie śmierć ma czarne skrzydła. A potem, gdy niemal oszalał ze strachu i przerażenia, a służba musiała przywiązać mu ręce do łóżka, przypomniał sobie kobietę, panią spowitą w błękitne światło. Powiedział, że przyszła do niego w tym mrocznym miejscu, uzdrowiła go i dała mu tę laskę. Kiedy przypomniał sobie o niej, uspokoił się i gorączka ustąpiła.

Dwa dni temu... – przerwała. Czyżby rzeczywiście zdarzyło się to dwa dni temu? Wydawało się, że minęły wieki! Westchnęła i kontynuowała. – Wręczył laskę memu ojcu, mówiąc mu, że dostał ją od bogini, choć nie zna jej imienia. Mój ojciec spojrział na laskę – Goldmoon podniosła ją – i rozkazał jej uczynić coś – cokolwiek. Nic się nie stało. Rzucił ją z powrotem Riverwindowi, oświadczając, że jest oszustem, i nakazał swym ludziom ukamienować go za bluźnierstwo!

Mówiąc to, Goldmoon pobladała. Riverwind miał posępne i zachmurzone oblicze.

– Członkowie plemienia zwiążali Riverwinda i zaciągnęli go pod Ścianę Płaczu – rzekła niemal szeptem. – Zaczęli ciskać kamienie. A on popatrzył na mnie z bezmierną miłością i krzyknął, że nawet śmierć nas nie rozdzieli. Nie mogłam znieść myśli, że będę żyć sama, bez niego. Pobiegłam do niego. Kamienie uderzyły w nas... – Goldmoon przyłożyła dłoń do czoła, krzywiąc się na wspomnienie bólu, a Tanis zauważył świeżą, nierówną bliznę na jej opalanej skórze. – Rozbłysło oślepiające światło. Kiedy Riverwind i ja odzyskaliśmy wzrok, staliśmy na drodze w pobliżu Solace. Laska jarzyła się błękitno, a potem przygasła i straciła kolor, aż stała się taka, jaką teraz widzicie. Wtedy postanowiliśmy udać się do Haven i zapytać mędrców w świątyni, czy nie wiedzą czegoś o tej lasce.

– Riverwindzie – zapytał zaniepokojony Tanis – co zapamiętałeś z owego zrujnowanego miasta? Gdzie ono się znajduje?

Riverwind nie odpowiedział. Spojrział na Tanisa kątem ciemnych oczu i nietrudno było zgadnąć, że myślami był daleko. Potem popatrzył w mrok gąszczu drzew.

– Tanis Półelf – rzekł wreszcie. – Tak się nazywasz?

– Wśród ludzi takie noszę imię – odparł Tanis. – Moje elfie imię jest długie i trudno je ludziom wypowiedzieć.

Riverwind zmarszczył brwi. – Dlaczego nazywają cię pół-elfem, a nie półczłowiekiem? – zapytał.

Tanis odczuł to pytanie jak uderzenie w twarz. Niemal widział, jak pada pod nim na

ziemię, i z trudem opanował się, by nie przemówił przez niego gniew. Wiedział, że Riverwind zadaje to pytanie umyślnie. Nie było jego zamiarem, by zabrzmiało to jak obraza. Tanis domyślił się, że była to próba. Starannie dobrał słowa.

– Według ludzi, pół elfa to tylko część całej istoty. Pół człowieka to kaleka.

Riverwind zastanowił się nad tym, a wreszcie skinął głową raz, niespodziewanie, a potem odpowiedział Tanisowi.

– Wiele lat wędrowałem – rzekł. – Często nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Prowadziło mnie słońce, księżycy i gwiazdy. Moja ostatnia podróż przypomina zły sen. – Milczał przez chwilę. Kiedy przemówił ponownie, zabrzmiało to tak, jakby mówił z wielkiej odległości. – To było kiedyś piękne miasto, którego białe budowle wspierały marmurowe kolumny. Teraz wygląda tak, jakby olbrzymia ręka podniosła je i zrzuciła na dół ze szczytu góry. Miasto jest teraz bardzo stare i bardzo złe.

– Śmierć na czarnych skrzydłach – powiedział cicho Tanis.

– Wyłoniła się niczym bóstwo z ciemności, a poddane jej istoty oddawały jej cześć wrzaskiem i wyciem. – Twarz mieszkańca równin zbladła, mimo iż była spalona słońcem. Mimo chłodu poranka na jego czole perlił się pot. – Nie mogę więcej o tym mówić! – Goldmoon położyła dłoń na jego ramieniu i napięcie z jego twarzy ustąpiło.

– I w tym koszmarze pojawiła się kobieta, która dała ci łaskę? – dopytywał się Tanis.

– Ona mnie uzdrowiła – powiedział po prostu Riverwind. – Ja umierałem.

Tanis uważnie przyjrzał się lasce, którą Goldmoon trzymała w dłoni. Była to zwykła, pospolita laska, której nawet nie zauważał, póki nie ściągnięto jego uwagi na nią. Na czubku miała wyrzeźbiony dziwny znak, a wokół niego były przywiązane pióra – takie, jakie cenią barbarzyńcy. A przecież widział, jak lśni błękitnym blaskiem! Poczł jej uzdrawiającą moc. Czy to dar prastarych bogów przysłany im na pomoc w czas potrzeby? A może to coś złego? W końcu, co on wie o tych barbarzyńcach? Tanis pomyślał o tym, co twierdził Raistlin – że tylko ludzie czystego serca mogą jej dotknąć. Potrząsnął głową. To dobrze brzmiało. Chciałby w to uwierzyć...

Zagłębiając się w rozważaniach Tanis poczuł, że Goldmoon dotyka jego ramienia. Podniósł głowę i zobaczył Sturm i Caramona dających mu znaki. Półelf zdał sobie sprawę, że wraz z mieszkańcami równin został daleko z tyłu. Ruszył z miejsca biegiem.

– Co tam?

Sturm wskazał. – Wracaj zwiadowca – powiedział zwięźle. Tasslehoff biegł drogą w ich kierunku. Machnął ręką trzy razy.

– W krzaki! – rozkazał Tanis. Drużyna pośpiesznie zbiegła z drogi i wskoczyła w

zarośla rosnące wzdłuż południowej strony gościńca – wszyscy, z wyjątkiem Sturma.

– Chodź! – Tanis położył dłoń na ramieniu rycerza. Sturm odsunął się od półelfa.

– Nie będę się chował w rowie! – stwierdził chłodno rycerz.

– Sturmie... – zaczął Tanis, walcząc z narastającym gniewem. Zdusił gorzkie słowa, które nie przyniosłyby nic dobrego, a mogły wyrządzić nieodwracalne szkody. Zacisnąwszy usta, odwrócił się od rycerza i czekał w ponurym milczeniu na kendera.

Tas nadbiegł pędem, a wszystkie jego torby i sakwy podskakiwały jak oszalałe. – Kapłani! – wysapał. – Grupa mnichów. Ośmiu.

Sturm parsknął. – Sądziłem, że przynajmniej batalion goblinów. Wydaje mi się, że potrafimy sobie poradzić z grupą duchownych.

– Nie jestem pewien – rzekł Tas z powątpiewaniem. – Widywałem kapłanów ze wszystkich zakątków Krynnu, ale takich jeszcze nie widziałem. – Obejrzał się niespokojnie na drogę, a potem popatrzył na Tanisa z niezwykłą powagą w brązowych oczach. – Czy pamiętasz, co Tika powiedziała o tych dziwnych ludziach w Solace – tych, co kręcą się wokół Hedericka? Że są zakapturzeni i noszą grube szaty? To właśnie dokładny opis tych mnichów! I wiesz co, Tanisie, na ich widok ogarnia mnie upiorne wrażenie. – Kender wzdrygnął się. – Za kilka chwil zobaczycie ich.

Tanis spojrzął na Sturma. Rycerz uniósł brwi. Obaj wiedzieli, że kenderzy nie odczuwają strachu, natomiast są bardzo wrażliwi na charakter innych istot. Tanis nie przypominał sobie, aby widok jakiegokolwiek istoty na Krynnie wywołał u Tasa „upiorne wrażenie” – a bywał już z kenderem w niejednej niemiłej sytuacji.

– Nadchodzą – powiedział nagle Tanis. Wraz ze Sturmem i Tasem zaszyli się w cień drzew na lewo, przyglądając się kapłanom wyłaniającym się zza zakrętu. Byli jeszcze zbyt daleko, by półelf mógł coś o nich powiedzieć, poza tym że posuwali się bardzo powoli, ciągnąc za sobą wielki wózek.

– Może powinieneś porozmawiać z nimi, Sturmie – powiedział cicho Tanis. – Potrzebujemy informacji o drodze przed nami. Ale uważaj, mój przyjacielu.

– Będę uważał – rzekł Sturm, uśmiechając się. – Nie zamierzam niepotrzebnie narażać się na śmierć.

Rycerz uściśnął na moment ramię Tanisa, przeprasząc go bez słów, a potem opuścił dłoń, by poluzować miecz w starodawnej pochwie. Przeszedł na drugą stronę gościńca i oparł się o połamane drewniane ogrodzenie, spuszczać głowę, jakby odpoczywał. Tanis stał przez chwilę niezdecydowanie, a następnie odwrócił się i przedarł przez krzaki. Tasslehoff deptał mu po piętach.

– Co tam? – mruknął Caramon, gdy się pojawili. Ogromny wojownik poprawił pas sprawiając, że cały jego arsenał zadzwonił głośno. Reszta towarzyszy przywarła do siebie, kryjąc się za gęstymi zaroślami, widząc jednakże wyraźnie drogę.

– Cicho. – Tanis ukląkł pomiędzy Caramonem i Riverwindem, który czaił się w krzakach jakieś półtora metra na lewo od Tanisa. – Kapłani – szepnął. – Grupka ich zbliża się gościńcem. Sturm wypyta ich.

– Klechy! – parsknął pogardliwie Caramon i przykucnął wygodnie na piętach. Raistlin jednak poruszył się niespokojnie.

– Duchowni – szepnął w zamyśleniu. – Nie podoba mi się to.

– Co masz na myśli? – zapytał Tanis.

Raistlin popatrzył na półelfa z głębi mroku swego kaptura. Tanis dostrzegał tylko złote oczy czarodzieja ze źrenicami w kształcie klepsydr, inteligentne i chytrze zmrużone.

– Osobliwi duchowni – Raistlin przemawiał z wyszukaną cierpliwością, jakby mówił do dziecka. – Laska posiada uzdrawiającą moc kapłańską – moc, jakiej nie widziano na Krynnie od czasów kataklizmu! Caramon i ja widzieliśmy kilku z tych zakapturzonych i owiniętych płaszczami ludzi w Solace. Czy nie wydaje ci się dziwne, mój przyjacielu, że ci mnisi i ta laska pojawili się w tym samym czasie i tym samym miejscu, choć przedtem nie widziano żadnego z nich? Być może rzeczywiście ta laska należy się im wedle prawa.

Tanis rzucił przelotne spojrzenie na Goldmoon. Zmartwienie rzucało cień na jej twarz. Z pewnością musiała myśleć o tym samym. Znów spojrzął na drogę. Otulone płaszczami postaci zbliżały się powolnym krokiem, ciągnąc za sobą wóz. Sturm usiadł na barierce i przyglądał wąsy.

Towarzysze czekali w milczeniu. Nad ich głowami gromadziły się szare chmury, niebo pociemniało i wkrótce przez gałęzie drzew zaczęła kapać woda.

– No i masz...pada – burknął Flint. – Nie dość, że muszę siedzieć w krzakach niczym ropucha, na dodatek jeszcze zmoknę do suchej nitki...

Tanis spojrzął wściekle na krasnoluda. Flint zamamrotał i ucichł. Wkrótce przyjaciele nie słyszeli niczego, poza deszczem stukającym o mokre już liście i bębniącym w tarcze i hełmy. Był to zimny, monotony deszcz, z rodzaju tych, od których przemakają nawet najgrubsze płaszcze. Strużka wody spływała po smoczym hełmie Caramona i pociekła mu po karku. Raistlin zaczął trząść się i pokaszliwać, zasłaniając usta dłonią, by stłumić hałas, aż wszyscy spojrzeli na niego z niepokojem.

Tanis popatrzył na drogę. Podobnie jak Tas, w ciągu swych stu lat życia na Krynnie nigdy nie widział kogoś podobnego do tych mnichów. Byli wysocy, mieli około metra

osiemdziesięciu wzrostu. Długie szaty spowijały ich ciała, a płaszcze z kapturami zasłaniały szaty. Nawet ręce i stopy mieli owinięte szmatami przypominającymi bandażę, jakimi zakrywają rany trędowaci. Gdy zbliżyli się do Sturm, rozejrzeli się niespokojnie. Jeden z nich spojrzał prosto w krzaki, gdzie ukrywali się towarzysze. Widać było jedynie ciemne, błyszczące oczy w szparach między bandażami.

– Bądź pozdrowiony, rycerzu solamnijski – powiedział we wspólnej mowie pierwszy z duchownych. Jego głos brzmiał pusto i sycząco – jak głos nieludzkiej istoty. Tanisa przeszedł dreszcz.

– Witajcie, bracia – odpowiedział Sturm, również w mowie wspólnej. – Przebyłem dziś wiele kilometrów, a jesteście pierwszymi podróżnymi, jakich napotykam. Doszły mnie dziwne wieści, więc spragniony jestem nowin o drodze przede mną. Skąd przybywacie?

– Pochodzimy ze wschodu – odparł kapłan. – Lecz dziś droga prowadzi nas z Haven. Chłodny dziś i niemły dzień na podróżowanie, cny rycerzu, i pewnie dlatego nie spotkaliście nikogo na drodze. My sami nie wyruszylibyśmy w taką podróż, gdyby nie powodowała nami konieczność. Nie minęliśmy was po drodze, a więc musicie przybywać z Solace, panie rycerzu.

Sturm skinął głową. Kilku mnichów stojących za wozem odwróciło się do siebie twarzami i mruknęło coś. Pierwszy z kapłanów przemówił do nich w dziwnym, gardłowym języku. Tasslehoff potrząsnął głową, tak samo jak pozostali; nikt z nich wcześniej nie słyszał tej mowy. Duchowny przeszedł znów na wspólną mowę. – Ciekaw jestem, o jakich to wieściach wspominaliście, cny rycerzu.

– Powiadają o wojskach na północy – odpowiedział Sturm. – Udaję się w tamte strony, do mojej ojczystej Solamni. Nie chciałbym natrafić na wojnę, na którą mnie nie zaproszono.

– Nic o tym nie słyszeliśmy – odrzekł kapłan. – O ile wiemy, droga na północ jest przejezdna.

– Tak to jest, kiedy słucha się pijanych towarzyszy – Sturm wzruszył ramionami. – O jakiej to konieczności wspomnieliście, która wypędza braci na tak podłą pogodę?

– Szukamy pewnej laski – wyjawiał z ochotą mnich. – Laski z błękitnego kryształu. Słyszeliśmy, że taką widziano w Solace. Wiecie może coś o niej?

– Tak – odpowiedział Sturm. – Słyszałem o takiej lasce w Solace. Od tych samych kompanów usłyszałem wieść o armiach na północy. Czy mam wierzyć w te historie, czy nie?

Zdawało się, że duchowny przez chwilę był zbity z tropu. Rozejrzął się niespokojnie, jakby nie wiedział, jak zareagować.

– Powiedz mi – rzekł Sturm, opierając się swobodnie o barierkę – czemu szukacie laski z błękitnego kryształu? Solidny, drewniany kij przecie pasowałby wam lepiej, czcigodni bracia.

– To święta, uzdrawiająca laska – odparł z powagą duchowny. – Jeden z naszych braci jest ciężko chory; umrze bez błogosławionego dotyku tej świętej relikwii.

– Uzdrawiająca? – Sturm uniósł brwi. – Święta laska uzdrowiciela byłaby niezmiernie cenna. Jak to się stało, że zgubiliście tak rzadki i cudowny przedmiot?

– Nie zgubiliśmy go! – warknął mnich. Tanis dostrzegł, że obandażowane dłonie zaciskają się w gniewie. – Skradziono ją naszemu świętemu zakonowi. Trafiliśmy po śladach podłego złodzieja do osady barbarzyńców na równinach, lecz tam ślad się urywał. Wieść jednak niesie, że coś dziwnego dzieje się w Solace, toteż tam się udajemy. – Wskazał na tył wózka. – Ta niemiła podróż jest dla nas zaledwie niewielką ofiarą w porównaniu z cierpieniem i męką, jaką znosi nasz brat.

– Obawiam się, że nie mogę wam pomóc... – zaczął Sturm.

– Ja mogę wam pomóc! – odezwał się czysty głos obok Tanisa. Półelf wyciągnął rękę, lecz było już za późno. Goldmoon wstała z krzaków i stanowczym krokiem zbliżała się do gościńca, odsuwając z drogi gałęzie drzew i kolczaste pnącza. Riverwind wstał skokiem i rzucił się na przełaj przez zarośla w ślad za nią.

– Goldmoon! – Tanis zaryzykował głośny szept.

– Muszę się dowiedzieć! – tylko tyle powiedziała.

Postyszawszy głos Goldmoon, kapłani spojrzeli na siebie znacząco i pokiwali zakapturzonymi głowami. Tanis wyczuł kłopoty, lecz zanim zdołał coś powiedzieć, podniósł się Caramon.

– Nie będą mnie barbarzyńcy zostawiać w rowie, kiedy sami się bawią! – stwierdził Caramon i zanurzył się w zarośla w ślad za Riverwindem.

– Czyście wszyscy poszaleli? – huknął Tanis. Złapał Tasslehoffa za kołnierz koszuli i przyciągnął go z powrotem, gdy kender zamierzał radośnie skoczyć za Caramonem. – Flicie, pilnuj kendera. Raistlinie...

– Nie musisz się o mnie martwić, Tanisie – szepnął mag. – Nie mam zamiaru tam iść.

– Doskonale. Nie oddalaj się stąd. – Tanis wstał i powoli ruszył naprzód, ogarnięty coraz silniejszym „upiornym wrażeniem”.

Rozdział VIII

Poszukiwanie prawdy. Niespodziewane odpowiedzi

Mogę wam pomóc. – Donośny głos Goldmoon zabrzmiał jak czysty dźwięk srebrnego dzwoneczka. Córka wodza ujrzała wstrząśniętą twarz Sturm; ostrzeżenie Tanisa nie uszło jej uwadze.

Nie był to jednak postępek nierozsądnej histeryczki. Goldmoon była od tego daleka. Była władcą w swym plemieniu pod każdym względem, z wyjątkiem oficjalnego tytułu, od dziesięciu lat – od chwili, gdy na jej ojca niczym grom spadła choroba, która odebrała mu zdolność wyraźnego mówienia i władania prawą ręką i nogą. Goldmoon sprawowała rządy nad swym ludem w czasie wojny z sąsiednimi plemionami i w czasach pokoju. Udaremniła próby odebrania jej władzy siłą. Wiedziała, że to, co teraz robi, jest niebezpieczne. Ci dziwni kapłani wzbudzali w niej odrazę, lecz było jasne, że wiedzieli coś na temat laski. Musiała poznać odpowiedź.

– Jestem powierniczką laski z błękitnego kryształu – rzekła Goldmoon, podchodząc do przywódcy kapłanów z dumnie podniesioną głową. – Nie ukradliśmy jej jednak; podarowano ją nam.

Riverwind stanął po jednej jej stronie, Sturm po drugiej. Z krzaków wyskoczył Caramon i stanął za jej plecami, kładąc dłoń na rękojeści miecza. Na jego twarzy malował się pełen zapału uśmiech.

– To ty tak twierdzisz – powiedział duchowny cichym, drwiącym głosem. Utkwił w brązowej, pospolitej lasce chciwe spojrzenie błyszczących, czarnych oczu i wyciągnął obandażowaną dłoń, by ją pochwycić. Goldmoon szybko przycisnęła laskę do piersi.

– Ta laska została wyniesiona z miejsca, gdzie panuje wielkie zło – rzekła. – Uczynię, co w mojej mocy, by pomóc waszemu konającemu bratu, lecz nie oddam laski ani wam, ani nikomu innemu, dopóki nie będę w pełni przekonana, że macie do niej prawo.

Mnich zawahał się i obejrzał na swoich towarzyszy. Tanis dostrzegł, że ukradkiem sięgają nerwowo do szerokich, płóciennych pasów, którymi przewiązywali swe luźne szaty. Były to nadzwyczaj szerokie pasy, jak zauważył Tanis, a pod nimi kryły się jakieś dziwne wypukłości – z pewnością nie były to modlitewniki. Zaklął w bezsilnej złości, żałując, że Sturm i Caramon nie patrzą baczniej. Sturm sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego, a Caramon trącał go łokciem, jakby dzielił się z nim jakimś dowcipem. Tanis uniósł ostrożnie łuk i nałożył strzałę na cięciwę.

Kapłan wreszcie spuścił głowę pokornym gestem i schował dłonie w rękawy. –

Będziemy wdzięczni za każdą pomoc, jakiej możesz udzielić naszemu biednemu bratu – odezwał się stłumionym głosem. – A potem mam nadzieję, że wraz ze swymi towarzyszami wrócisz z nami do Haven. Obiecuję, że przekonasz się, iż łaska trafiła w twe ręce bezprawnie.

– Pójdziemy tam, gdzie się nam spodoba, bracie – warknął Caramon.

Głupiec! pomyślał Tanis. Półelf zastanowił się, czy by nie krzyknąć ostrzegawczo, lecz postanowił pozostać w ukryciu na wypadek, gdyby jego rosnące obawy potwierdziły się.

Goldmoon i przywódca zakapturzonych ludzi obeszli wóz. Riverwind nie opuszczał jej ani na krok. Caramon i Sturm zostali w pobliżu przodu wozu. Kiedy Goldmoon i mnich doszli na jego tył, duchowny złapał Goldmoon obandażowaną dłoń i pociągnął ją w stronę wozu. Kobieta wyrwała mu się i sama podeszła. Kapłan skłonił się pokornie i podniósł płachtę zasłaniającą tył wozu. Trzymając laskę przed sobą, Goldmoon zajrzała do środka.

Tanis zauważył gwałtowny ruch. Goldmoon krzyknęła. Błysnęło błękitne światło i rozległ się wrzask. Goldmoon odskoczyła do tyłu, a Riverwind zasłonił ją swym ciałem. Mnich przyłożył do ust róg i zadał weń, wydając długie, przeciągłe dźwięki.

– Caramonie! Sturmie! – zawołał Tanis, unosząc łuk. – To pułap... – Ogromny ciężar spadł na półelfa z góry i obalił go na ziemię. Silne ręce usiłowały chwycić go za gardło i wpychały mu twarz w mokre liście i błoto. Palce znalazły wreszcie zaczepienie i zaczęły się zaciskać. Tanis walczył, żeby złapać oddech, lecz w nosie i ustach miał błoto. Widząc już przed oczami gwiazdy, drapał rozpaczliwie ręce, które usiłowały zgnieść mu krtań. Człowiek ten miał niewiarygodnie silny uścisk. Tanis czuł, że traci przytomność. Napiął mięśnie, szykując się na ostateczne, rozpaczliwe szarpnięcie, a potem posłyszał ochrypy krzyk i trzask gruchotanych kości. Ręce rozluźniły uścisk i ktoś ściągnął z niego ciężar.

Tanis z trudem podniósł się na kolana i dyszał boleśnie. Wymarłszy błoto z twarzy, podniósł głowę i zobaczył Flinta z kłódą w ręku. Krasnolud jednak nie spoglądał na niego. Patrzył na ciało u jego stóp.

Spojrzenie Tanisa powędrowało za wzrokiem zdumionego krasnoluda. Półelf wzdrygnął się z przerażenia. To nie był człowiek! Z grzbietu stwora wyrastały błoniaste skrzydła. Jego ciało było pokryte gadzią łuską, olbrzymie dłonie i stopy zakończone były szponami, lecz potwór chodził wyprostowany niczym człowiek. Nosił kunsztowną zbroję, w której mógł poruszać skrzydłami. Jednak dopiero widok jego twarzy przyprawił Tanisa o dreszcz, jako że nie przypominała ona oblicza żadnej żywej istoty, jaką widział przedtem, ani na Krynnie, ani w swych najstraszniejszych snach. Stwór miał ludzką twarz, lecz odnosiło się wrażenie jakby jakaś złowroga istota wykrzywiła ją na kształt gadziego pyska!

– Na wszystkich bogów – szepnął Raistlin, podczołgawszy się do Tanisa. – A cóż to

takiego?

Zanim Tanis zdążył odpowiedzieć, kątem oka dostrzegł jaskrawy błysk błękitnego światła i usłyszał krzyk Goldmoon.

Zajrzawszy do wozu, Goldmoon przez jedną chwilę zastanawiała się, jakaż to straszna choroba mogła pokryć ludzkie ciało łuskami. Podeszła, by dotknąć nieszczęsnego mnicha laską, lecz w tym momencie stwór rzucił się na nią i złapał laskę w szponiastą dłoń. Goldmoon odskoczyła, lecz istota była szybka i zacisnęła pazurzystą łapę na lasce. Błysnęło oślepiające światło. Stwór zawył z bólu i odsunął się, wymachując poczerniałą dłonią. Riverwind wyciągnął miecz i skoczył przed córkę swego wodza.

Teraz usłyszała jednak jego jęk i zobaczyła, że ręka z mieczem opada bezwładnie. Cofnął się na uginających się nogach, nie czyniąc wysiłku, by się bronić. Obandażowane ręce szorstko pochwyciły Goldmoon od tyłu. Okropna, pokryta łuskami dłoń zasłoniła jej usta. Wydzierając się z uścisku, kątem oka dostrzegła Riverwinda. Zdjęty przerażeniem wpatrywał się szeroko rozwartymi oczami w stwora na wozie. Miał śmiertelnie Wadą twarz, a jego oddech był szybki i płytki – wyglądał jak człowiek, który budzi się z koszmaru, by stwierdzić, iż stał się on rzeczywistością.

Goldmoon, silne dziecię rasy wojowników, kopnęła kapłana, który ją trzymał od tyłu, celując w kolano. Zręczny kopniak zaskoczył przeciwnika i strzaskał mu rzepkę. Gdy tylko napastnik poluzował uścisk, Goldmoon obróciła się gwałtownie i uderzyła go laską. **Ze** zdumieniem dostrzegła, że kapłan osunął się na ziemię, jakby powalił go cios, którego mógłby pozazdrościć krzepki Caramon. Spojrzała ze zdziwieniem na laskę, która teraz jarzyła się jasnym błękitem. Nie było czasu na zastanawianie się – otaczały ją kolejne potwory. Zakręciła szerokiego młynca świecącą laską, odpędzając ich w ten sposób. Lecz na jak długo?

– Riverwindzie!

Wołanie Goldmoon wyrwało mieszkańca równin z przerażenia. Odwróciwszy się, dostrzegł, że kobieta cofa się w kierunku lasu, opędzając się laską od zakapturzonych kapłanów. Złapał jednego z nich od tyłu i cisnął nim z całej siły o ziemię. Następny skoczył na niego, podczas gdy trzeci rzucił się na Goldmoon.

Rozbłysło błękitne światło.

Na moment przed krzykiem Tanisa Sturm zdał sobie sprawę, że kapłani zastawili pułapkę, i wyciągnął miecz. Przez drabinki starego wozu zobaczył szponiastą rękę sięgającą po laskę. Rzucił się naprzód, by przyjść z pomocą Riverwindowi. Rycerz był jednak zupełnie nie przygotowany na to, jak mieszkaniec równin zareaguje na widok stwora na wozie. Sturm zobaczył, że Riverwind odsuwa się bezradnie chwiejnym krokiem, a potwór chwyta topór

bojowy w zdrową dłoń i skacze wprost na barbarzyńcę. Riverwind nie uczynił nic, by się bronić. Patrzył po prostu oniemiały, a broń zwisała mu bezwładnie w dłoni.

Sturm wbił miecz w plecy stwora. Potwór wydał z siebie wrzask i odwrócił się raptownie, by zaatakować, wyrывая rycerzowi broń z ręki. Pieniając się i bulgocząc w agonalnym szale, stwór zacisnął ręce wokół zaskoczonych rycerza i przewrócił go na błotnistą drogę. Sturm wiedział, że ściskający go stwór kona, i walczył z przerażeniem i wstrętem, które ogarniało go od dotyku jego oślizłej skóry. Wrzaski ucichły. Sturm poczuł, że ciało potwora sztywnieje. Rycerz odsunął trupa i szybko chciał wyciągnąć miecz z grzbietu stwora. Broni nie można było wyszarpnąć! Popatrzył na nią ze zdumieniem i pociągnął za miecz z całych sił, wspierając nawet obutą w wysoki but stopę o ciało, by lepiej go uchwycić. Broń utknęła na dobre. Z wściekłości zaczął walić stwora pięściami, a potem odstąpił o krok, zdjęty strachem i odrazą. Potwór obrócił się w kamień!

– Caramonie! – zawołał Sturm, gdy następny z dziwnych kapłanów rzucił się na niego, wymachując toporem bojowym. Sturm uchylił się, poczuł ostry ból, a potem został oślepiiony strugą krwi, która zalała mu oczy. Potknął się, nic nie widząc, i upadł, przygnieciony jakimś miażdżącym ciężarem.

Caramon, który stał z przodu wozu, chciał pójść z pomocą Goldmoon, kiedy usłyszał krzyk Sturma. Wtedy dwa stwory rzuciły się na niego. Wymachując krótkim mieczem, aby nie dopuścić ich do siebie, Caramon lewą ręką wyciągnął sztylet. Jeden z duchownych skoczył ku niemu i wtedy Caramon machnął ostrzem, zadając głębokie cięcie. Poczł smród zgnilizny i ujrzał obrzydliwie zieloną plamę rozlewającą się po mnisich szatach, lecz rana zdawała się tylko rozdrażniać stwora. Potwór wciąż zbliżał się, a jego szczęki, które były szczękami gada, a nie człowieka, ociekały śliną. Przez chwilę Caramona ogarnęła panika. Walczył już z trollami i goblinami, ale widok tych ohydnych kapłanów całkowicie odebrał mu odwagę. Człł się zagubiony i samotny, lecz wtedy posłyszł podtrzymujący na duchu szept tuż obok.

– Jestem tu, mój bracie – spokojny głos Raistlina rozległ się w jego myślach.

– Najwyższy czas – wysapał Caramon, wygrażając potworowi mieczem. – Cóż to za wstrętni duchowni?

– Nie dźgaj ich! – ostrzegł pośpiesznie Raistlin. – Zmieniają się w kamień. To nie duchowni. To jakiegoś rodzaju jaszczuroludzie. Dlatego nosili kaptury i szaty.

Choć odmienni jak światło i mrok, bliźniacy świetnie walczyli jako zespół. Nie wymieniali wielu słów w czasie walki – kontaktowali się myślami szybciej, niż mogłyby nadażyć języki. Caramon odrzucił sztylet i miecz i naprężył wielkie bicepsy. Widząc, że

Caramon rzuca broń, stwory ruszyły do natarcia. Szmaty, którymi były owinięte, rozluźniły się i łopotały groteskowo. Caramon skrzywił się na widok pokrytych łuskami ciał i szponiastych dłoni.

– Gotów – rzekł do swego brata.

– *Ast tasark simiralan krynawi* – powiedział Raistlin cicho i rzucił w powietrze garść piasku. Stwory zatrzymały swój szalony bieg, potrząsnęły głowami w otepieniu, gdy zaczął ogarniać je magiczny sen... a potem zmrużyły oczy, W ciągu kilku chwil odzyskały przytomność i ponowiły atak!

– Są odporne na magię! – szepnął zdumiony Raistlin. Jednakże ta krótka chwila, gdy niemal spały, wystarczyła Caramonowi. Zacisnąwszy wielkie dłonie na ich chudych, gadzich szyjach, wojownik stuknął ich głowami o siebie. Ciała zwały się na ziemię – już jako martwe posągi. Caramon obejrzał się i zauważył dwóch następnych mnichów przestępujących skamieniałe ciała swych braci. W owiniętych szmatami dłoniach ściskali błyszczące, krzywe miecze.

– Stań za mną – rozkazał Raistlin ochryplym szeptem. Caramon schylił się i podniósł swój sztylet i miecz. Schował się za brata, przepełniony obawą o jego bezpieczeństwo, wiedząc jednocześnie, że Raistlin nie może rzucić zaklęcia, jeśli będzie mu stał na drodze. Raistlin wbił wzrok w stwory, które rozpoznawszy czarodzieja, zwolniły kroku i spojrzały na siebie, obawiając się bliżej podejść. Jeden przypadł do ziemi i wczołgał się pod wóz. Drugi skoczył naprzód z mieczem w rękę, mając nadzieję, że przebije nim czarodzieja, zanim ten rzuci zaklęcie, lub przynajmniej wytrąci go ze skupienia niezbędnego przy posługiwaniu się magią. Caramon zaryczał. Raistlin zdawał się nie słyszeć ani nie widzieć żadnego z nich. Powoli uniósł ręce. Zetknąwszy dłonie kciukami, rozsunał chude palce na kształt wachlarza i powiedział: – *Kair tangus miopiar*. – Przez jego wątłe ciało przepłynęła magia i stwór stanął w płomieniach.

Oprzytomniawszy po początkowym szoku, Tanis usłyszał krzyk Sturm i przedarł się przez krzaki, wybiegając na drogę.

Zamachnął się płazem miecza jak maczugą i uderzył stwora, który przygniatał Sturm do ziemi. Kapłan upadł z wyciem i Tanis mógł odciągnąć rannego rycerza w zarośla.

– Mój miecz – wymamrotał oszołomiony Sturm. Bezskutecznie usiłował wytrzeć krew lejącą mu się po twarzy.

– Przyniesimy go – obiecał Tanis, zastanawiając się, jak to uczyni. Oglądając się na drogę, dostrzegł następne stwory nadbiegające z lasu w ich kierunku. Tanis poczuł suchość w ustach. Musimy się stąd wydostać, pomyślał, walcząc z ogarniającą go paniką. Wysiłkiem

woli zatrzymał się i odetchnął głęboko. Potem odwrócił się do Flinta i Tasslehoffa, którzy biegli za nim.

– Zostańcie tutaj i pilnujcie Sturma – polecił. – Ja pójdę zebrać wszystkich. Wrócimy do lasu.

Nie czekając na odpowiedź, Tanis wyskoczył na gościniec, lecz wtedy rozbłysły płomienie zaklęcia Raistlina i zmuszony był rzucić się na ziemię.

Z wozu zaczął się unosić dym, bowiem słoma, na której leżał stwór, zajęła się ogniem.

– Zostańcie tutaj i pilnujcie Sturma. Też coś! – burknął Flint, zaciskając dłoń mocniej na drzewcu topora. Przez chwilę wydawało się, że stwory zbliżające się drogą nie zauważyły krasnoluda, kendera ani rannego rycerza leżącego w cieniu drzew. Całą ich uwagę przyciągały dwie małe grupki walczących wojowników. Flint jednak wiedział, że to tylko kwestia czasu. Wsparł się mocniej nogami w grunt. – Zrób coś dla Sturma – powiedział rozdrażnionym głosem do Tasa. – Bądź choć raz użyteczny.

– Próbuję – odparł Tasslehoff urażonym tonem. – Ale nie potrafię zatamować krwotoku. – Wytarł oczy rycerzowi umiarkowanie czystą chusteczką. – No i jak, widzisz już teraz? – zapytał z troską.

Sturm jęknął i próbował usiąść, lecz ból, który wybuchł w jego głowie, spowodował, że znów osunął się na ziemię. – Mój miecz – powiedział.

Tasslehoff obejrzał się i zobaczył dwuręczny miecz Sturma wystający z pleców skamieniałego mnicha. – To fantastyczne! – powiedział zafascynowany kender. – Spójrz, Flincie! Miecz Sturma...

– Wiem, ty kenderski przygłupie! – ryknął Flint, widząc stwora biegnącego w ich stronę z wzniesionym do ciosu mieczem.

– Pójdę go przynieść – powiedział wesoło Tas do Sturma, klękając przy nim. – Za chwilę wracam.

– Nie... – wrzasnął Flint, zdając sobie sprawę, że Tas nie mógł widzieć atakującego kapłana. Straszny, krzywy miecz potwora zatoczył błyszczący łuk, zbliżając się do karku krasnoluda. Flint zamachnął się toporem, lecz w tym momencie Tasslehoff – nie spuszcżając z oczu miecza Sturma – wstał. Hoopak kendera uderzył krasnoluda pod kolanami, podcinając Flintowi nogi. Miecz stwora świsnął niegroźnie nad głową krasnoluda, który krzyknął z zaskoczenia i upadł do tyłu na Sturma.

Słyszając, że krasnolud krzyczy, Tasslehoff obejrzał się i zdumiał na widok osobliwej sceny: kapłan atakował Flinta, który z jakiegoś powodu leżał na plecach i wymachiwał nogami, zamiast stać i walczyć.

– Co robisz, Flincie? – krzyknął Tas. Od niechcienia uderzył stwora swym hoopakiem w brzuch, potem przyłożył mu po łbie, gdy ten przechylił się do przodu, a potem przyjrzał się, jak nieprzytomny potwór pada na ziemię.

– Masz ci los! – rzekł rozdrażniony Tas do Flinta. – Czy ja mam za ciebie walczyć? – Kender odwrócił się i znów poszedł w stronę miecza Sturma.

– Walczyć! Za mnie! – Rozsierdzony krasnolud zawzięcie usiłował wstać. Hełm zsunął mu się na czoło, zasłaniając oczy. Flint odsunął go do tyłu w chwili, gdy kolejny mnich zderzył się z nim, ponownie go przewracając.

Tanis zastał Goldmoon i Riverwinda zwróconych do siebie plecami. Goldmoon swą laską odpędzała stwory. Trzy leżały martwe u jej stóp, a ich kamienne szczątki poczerniały od błękitnego ognia laski. Miecz Riverwinda utkwiał w torsie kolejnego posągu. Mieszkaniec równin zdjął z ramienia jedyną broń, jaka mu została – swój krótki łuk – i trzymał go napiętego

w gotowości. Stwory na razie trzymały się na uboczu i omawiały strategię przyciszonymi, niezrozumiałymi głosami. Wiedząc, że za chwilę zaatakują mieszkańców równin, Tanis rzucił się ku nim i zadał jednemu cios od tyłu płazem miecza, a następnie zamachnął się na drugiego.

– Chodźcie! – krzyknął do mieszkańców równin. – Tędy!

Kilka stworów odwróciło się w stronę, z której nadszedł nowy atak. Inne wahały się. Riverwind strzelił z łuku i powalił jednego, a potem chwycił Goldmoon za rękę i razem pobiegli do Tanisa, przeskakując skamieniałe ciała swych ofiar.

Tanis zaczekał, aż go miną, powstrzymując potwory płazem miecza. – Masz, weź ten sztylet! – zawołał do Riverwinda, kiedy barbarzyńca przebiegał obok niego. Riverwind pochwyił broń, odwrócił ją i uderzył jednego ze stworów w szczękę. Dźgnął rękojeścią ku górze i złamał mu kark. Następny błysk błękitnego światła oznajmił, że Goldmoon użyła laski, by zepchnąć kolejnego stwora z drogi. A potem już znaleźli się w lesie.

Drewniany wóz palił się już silnym ogniem.

Tanis dojrzał drogę przez zasłonę dymu. Na widok ciemnych, skrzydlatych postaci, które lądowały na ziemi w odległości około ośmiuset metrów po obu stronach walczących, przeszedł go dreszcz. Odcięto im drogę w obu kierunkach. Utkną w pułapce, jeśli natychmiast nie uciekną do lasu. Dotarł do miejsca, gdzie zostawił Sturma. Była tam już Goldmoon i Riverwind, a także Flint. Gdzie są pozostali? Przebijał wzrokiem gęsty dym, mrużąc łzawiące oczy.

– Pomóż Sturmowi – powiedział Goldmoon. Potem zwrócił się do Flinta, który

bezsukutecznie usiłował wyszarpnąć topór z piersi skamieniałego potwora. – Gdzie są Caramon i Raistlin? I gdzie jest Tas? Kazałem mu przecież zostać tu...

– Ten przeklęty kender omal mnie nie zabił! – wybuchł Flint. – Mam nadzieję, że go porwali! Mam nadzieję, że rzuca go psom na pożarcie! Mam nadzieję...

– Na bogów! – zaklął doprowadzony do rozpacz Tanis. Poszedł przez dym w stronę miejsca, gdzie ostatnio widział Caramona z Raistlinem i wpadł na kendera, który ciągnął za sobą miecz Sturm. Broń była niemal tej samej wielkości co Tasslehoff, który nie mógł jej unieść, więc ciągnął ją po błotnistej drodze.

– Skądżeś go wziął? – zapytał zdumiony Tanis, kaszląc od gęstego dymu, który kłębił się wokół.

Tas uśmiechnął się rezolutnie, a po twarzy ściekały mu łzy wywołane gryzącym dymem. – Ten stwór obrócił się w proch – powiedział radośnie. – Och, Tanisie, to było cudowne. Podszedłem i szarpnąłem za miecz, ale nie mogłem go wyciągnąć, więc szarpnąłem jeszcze raz i...

– Nie teraz! Wracaj do pozostałych! – Tanis złapał kendera i pchnął go naprzód. – Widziałeś Caramona i Raistlina?

W tej właśnie chwili posłyszał głęboki głos wojownika dochodzący z kłębow dymu. – Tu jesteśmy – wysapał Caramon. Jednym ramieniem obejmował brata, który nie mógł opanować kaszlu. – Czy zabiliśmy je wszystkie? – zapytał wesoło wielki mężczyzna.

– Nie, nie zabiliśmy – odpowiedział ponuro Tanis. – Prawdę mówiąc, musimy uciekać przez las na południe. – Objął Raistlina z drugiej strony i razem pośpieszyli do miejsca, gdzie pozostali przyjaciele stali stłoczeni przy drodze, krztusząc się od dymu, lecz wdzięczni za jego zasłonę.

Sturm już był na nogach. Miał bladą twarz, ale ból głowy ustąpił, a rana przestała krwawić. – Laska go uleczyła? – Tanis zapytał Goldmoon.

Kobieta kaszlnęła. – Niezupełnie. Wystarczająco, by mógł iść.

– Ma... swoje granice – wychrypiał Raistlin.

– Tak – przerwał Tanis. – No cóż, idziemy na południe, w głąb puszczy.

Caramon potrząsnął głową. – To Mroczna Puszcza... – zaczął.

– Wiem, wolałbyś raczej walczyć z żywymi – przerwał Tanis. – A co teraz o tym myślisz? Wojownik nie odpowiedział.

– Następne potwory zbliżają się z obu kierunków. Nie zdołalibyśmy odeprzeć kolejnej napaści. Nie wejdziemy jednak do Mrocznej Puszczy, jeśli nie będziemy zmuszeni. Niedaleko stąd znajduje się szlak zwierzyny, którym możemy dojść do Szczytu Oka Wyznawcy.

Stamtąd zobaczymy drogę na północ i we wszystkie inne strony.

– Moglibyśmy pójść na północ aż do jaskini. Łódź jest tam ukryta – zaproponował Riverwind.

– Nie! – krzyknął zduszonym głosem Flint. Bez jednego słowa krasnolud odwrócił się i popędził do lasu, biegnąc na południe tak szybko, jak pozwalały mu na to krótkie nogi.

Rozdział IX

Ucieczka! Biały Jeleń

Drużyna przedzierała się przez gęsty las najszybciej, jak mogła i wkrótce dotarła do ścieżki. Caramon przejął prowadzenie i trzymając miecz w dłoni, uważnie badał wzrokiem każdy cień. Za nim szedł brat, trzymając dłoń na ramieniu Caramona i zaciskając wargi w grymasie ponurej zawziętości. Pozostali szli ich śladami, również z wyciągniętą bronią. Nie ujrzeli już jednak potworów.

– Dlaczego nas nie ścigają? – zapytał Flint po godzinie marszu.

Tanis podrapał się po brodzie – zastanawiał się nad tym samym. – Nie muszą – odparł wreszcie. – Jesteśmy w pułapce. Bez wątplenia zablokowali wszystkie wyjścia z tego lasu. Z wyjątkiem Mrocznej Puszczy...

– Mrocznej Puszczy? – powtórzyła cicho Goldmoon. – Czy rzeczywiście musimy tam iść?

– Może nie będzie to konieczne – rzekł Tanis. – Rozejrzemy się ze Szczytu Oka Wyznawcy.

Nagle usłyszeli głos Caramona, który szedł przed nimi. Podbiegłszy naprzód, Tanis zobaczył, że Raistlin upadł.

– Nic mi nie będzie – szepnął czarodziej. – Muszę jednak odpocząć.

– Wszystkim nam się przyda chwila wytchnienia – powiedział Tanis.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy usiedli na ziemi znużeni i wciągali powietrze szybkimi, urywanymi haustami. Sturm zamknął oczy i oparł się o omszały głaz. Miał straszliwie bladą twarz. Krew zakrzepła na jego długich wąsach i skleiła mu włosy. Rana, która była poszarpanym rozcięciem, powoli siniała. Tanis wiedział, że rycerz prędzej umrze, niż poskarży się choć słowem.

– Nie martw się – rzekł ochryple Sturm. – Daj mi tylko chwilę spokoju. – Tanis na moment uściśnął dłoń rycerza i podszedł do Riverwinda, by usiąść obok niego.

Żaden nie odzywał się przez długą chwilę, a potem Tanis stwierdził: – Walczyłeś już z tymi stworami, prawda?

– W zrujnowanym mieście – Riverwind wzdrygnął się. – Wszystko przypomniałem sobie, kiedy spojrzałem do wnętrza wozu i ujrzałem tego potwora ohydnie szczerzącego zęby do mnie! Przynajmniej... – Przerwał i potrząsnął głową. Potem uśmiechnął się blado do Tanisa. – Przynajmniej teraz wiem, że nie straciłem rozumu. Te straszne stwory naprawdę istnieją – a czasami wątpiłem w to.

– Mogę sobie wyobrazić – szepnął Tanis. – A więc te istoty rozprzestrzeniają się po całym Krynnie, chyba że twoje zrujnowane miasto znajduje się gdzieś w pobliżu.

– Nie. Przybyłem do Que-Shu ze wschodu. Miasto było daleko od Solace, za moimi ojczystymi równinami.

– Jak sądzisz, co miały na myśli mówiąc, że doszły twoimi tropami do naszej osady? – zapytała powoli Goldmoon, przyciskając policzek do rękawa jego skórzanego kaftana i wsuwając dłoń pod jego ramię.

– Nie martw się – powiedział Riverwind i wziął ją za rękę. – Tamtejsi wojownicy poradzą sobie z nimi.

– Riverwindzie, czy pamiętasz, co miałeś powiedzieć? – ponagliła go.

– Tak, masz rację – odrzekł Riverwind, gładząc jej złoto-srebrne włosy. Spojrzał na Tanisa i uśmiechnął się. Na chwilę z jego twarzy znikła pozbawiona wyrazu maska i Tanis dostrzegł serdeczność w głębi brązowych oczu mężczyzny. – Dziękuję tobie, Półelfie, i wam wszystkim. – Przesunął spojrzeniem po wszystkich. – Ocaliliście nam życie niejedyn raz, a ja byłem niewdzięczny. Ale – tu przerwał – to wszystko takie dziwne!

– A będzie jeszcze dziwniejsze. – Głos Raistlina zabrzmiał złowieszczo.

Drużyna zbliżała się do Szczytu Oka Wyznawcy. Już z drogi widzieli, jak wznosi się nad lasem. Rozszczępiony szczyt góry przypominał dłonie złożone do modlitwy – stąd nazwa. Deszcz przestał padać. W lesie panowała martwa cisza. Przyjaciół ogarnęło wrażenie, że wszystkie leśne zwierzęta i ptaki opuściły ten kraj, zostawiając po sobie tylko niesamowitą, pustą ciszę. Wszyscy czuli się nieswojo, z wyjątkiem być może Tasslehoffa, toteż oglądali się wciąż przez ramię, sięgając po broń na widok cieni.

Sturm domagał się, żeby iść w tylniej straży, lecz w miarę nasilania się bólu głowy zaczął zostawać z tyłu. Ogarnęły go zawroty głowy i mdłości. Wkrótce zupełnie stracił poczucie tego, gdzie jest i co robi. Wiedział tylko, że musi iść dalej i nieustępliwie stawiać nogę za nogą, by posuwać się naprzód, jak jeden z automatów Tasa.

Jak to było z tą historią Tasa? Sturm usiłował ją sobie przypomnieć przez mgłę bólu. Te automaty służyły czarnoksiężnikowi, który wezwał demona, żeby porwał kendera. Bzdura, jak wszystkie opowieści kendera. Sturm z wysiłkiem uczynił następny krok. Bzdura. Jak te bajki starca – tego starca w gospodzie. Opowieści o Białym Jeleniu i starych bogach – Paladine. Opowieści o Humie. Sturm przycisnął dłonie do pulsujących skroni, jakby nie chcąc dopuścić, by pękająca mu z okropnego bólu głowa rozpadła się na kawałki. Huma...

Będąc dzieckiem, Sturm zachłannie słuchał opowieści o Humie. Jego matka – córka rycerza solamijskiego, poślubiona rycerzowi – nie знаła innych historii, które mogłaby

opowiadać synowi. Sturm pomyślał o matce, bowiem cierpienie przypomniało mu, jak troskliwie opiekowała się nim, gdy był chory czy skaleczył się. Ojciec Sturma wysłał swą żonę i syna na wygnanie, ponieważ chłopiec – jego jedyny dziedzic – stanowił cel dla tych, którzy pragnęli ujrzeć rycerzy Solamnii startych na zawsze z oblicza Krynnu.. Sturm i jego matka schronili się w Solace. Sturm łatwo nawiązywał kontakty, a szczególnie zaprzyjaźnił się z innym chłopcem, Caramonem, który podzielał jego zainteresowanie rzemiosłem wojennym. Jednak dumna matka Sturma gardziła pospólstwem. Tak więc, kiedy zachorowała na gorączkę, przy łożu jej śmierci nie było nikogo, z wyjątkiem kilkunastoletniego syna. Poleciła syna opiece ojca – jeśli jego ojciec jeszcze żył, w co Sturm zaczynał wątpić. Po śmierci matki chłopiec stał się doświadczonym wojownikiem pod opieką Tanisa i Flinta, którzy adoptowali Sturma, tak jak nieoficjalnie adoptowali Caramona i Raistlina. Wraz z Tasslehoffem, uwielbiającym podróże kenderem, i od czasu do czasu, z piękną i nieposkromioną przyrodnią siostrą bliźniaków, Kitiarą, Sturm i jego przyjaciele eskortowali Flinta podczas jego wędrówek po Abanasinii, kiedy jeszcze zajmował się kowalstwem.

Jednakże pięć lat temu towarzysze postanowili rozstać się, by zbadać prawdziwość pogłosek o rozprzestrzenianiu się zła. Przysięgli, że spotkają się ponownie w gospodzie Ostatni Dom. Sturm udał się na północ, do Solamnii, z zamiarem odnalezienia swego ojca i dziedzictwa. Niczego nie znalazł i ledwo uszedł

z życiem – zabierając miecz i zbroję po ojcu. Podróż do ojczyzny była dla niego przerażającym doświadczeniem. Sturm wiedział, z jaką pogardą odnoszono się do rycerzy zakonnych, lecz kiedy zdał sobie sprawę z tego, jak bardzo są znienawidzeni, był wstrząśnięty. Huma, Zwiastun Jasności, rycerz solamnijski, przepędził siły ciemności dawno temu, w czasach wieku snów, i tak rozpoczął się wiek potęgi. Potem nastąpił kataklizm, kiedy bogowie opuścili ludzkość – jak głosiła powszechna opinia. Ludzie zwrócili się po pomoc do zakonu rycerzy – tak, jak w przeszłości zwrócili się do Humy. Lecz Huma umarł dawno temu. Rycerze mogli tylko bezradnie przyglądać się, jak z niebios spada deszcz grozy, a Krynn rozpada się. Lud błagał rycerzy o pomoc, lecz ci nie mogli nic uczynić i tego ludzie im nigdy nie wybaczyli. Stojąc przed zrujnowanym zamkiem rodowym, Sturm poprzysiągł sobie, iż oczyści honor rycerzy solamnijskich – nawet gdyby znaczyło to, że musi poświęcić życie, aby tego dokonać.

Jak ma jednak to osiągnąć, walcząc z bandą mnichów, zastanawiał się gorzko. Ścieżka gasła mu przed oczami. Potknął się, lecz szybko odzyskał równowagę. Huma walczył ze smokami. Niech to będą smoki, marzył Sturm. Uniósł wzrok. Liście rozpląnęły się w złotą mgłę i wiedział już, że za chwilę straci przytomność. Wtedy zmrugał oczy. Obraz nagle wyostrzył

się.

Przed nim wznosił się Szczyt Oka Wyznawcy. Wraz z towarzyszami stał u stóp prastarej, polodowcowej góry. Widział szlaki wijące się po zalesionych zboczach, dróżki zostawione przez mieszkańców Solace, którzy docierali nimi do miejsc piknikowych po wschodniej stronie góry. Tuż obok jednego z dobrze wydeptanych szlaków stał biały jeleń. Sturm przyjrzał mu się. Było to najszlachetniejsze zwierzę, jakie rycerz widział w swym życiu. Rogacz był olbrzymi, wyższy od każdego innego jelenia, na jakie rycerz polował. Dumnie wznosił łeb, a jego wspaniałe poroże lśniło jak korona. Jego ciemnobrązowe oczy kontrastowały z nieskazitelną bielą sierści. Jeleń przyglądał się uważnie rycerzowi, jakby go znał. Potem, potrząsnąwszy lekko głową, pobiegł skokami na południowy wschód.

– Stój! – zawołał ochryple rycerz. Pozostali odwrócili się raptownie, z niepokojem sięgając po broń. Tanis zawrócił biegiem. – Co się stało, Sturmie? Rycerz mimowolnie przyłożył dłoń do zbolącej głowy.

– Przepraszam, Sturmie – powiedział Tanis. – Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś tak bardzo chory. Możemy odpocząć. Znajdujemy się u stóp Szczytu Oka Wyznawcy. Mam zamiar wdrapać się na górę i rozejrzeć, czy...

– Nie! Spójrz! – Rycerz chwycił Tanisa za ramię i odwrócił go. Wskazał ręką. – Widzisz? Biały Jeleń!

– Biały jeleń? – Tanis spojrzał w kierunku, który wskazywał rycerz. – Gdzie? Ja nic nie...

– Tam – rzekł cicho Sturm. Zrobił kilka kroków naprzód, w stronę zwierzęcia, które zatrzymało się i zdawało się czekać na niego. Jeleń pokiwał wielkim łbem. Odskoczył znowu, tylko kilka kroków, a potem ponownie odwrócił głowę ku rycerzowi. – On chce, żebyśmy poszli za nim – westchnął Sturm. – Jak Huma!

Reszta drużyny zebrała się już wokół rycerza i badała go spojrzeniami, które wahały się od mocno zatroskanych, do wyraźnie powątpiewających.

– Nie widzę jelenia żadnego koloru – stwierdził Riverwind, rozglądając się po lesie ciemnymi oczami.

– To od rany w głowę. – Caramon pokiwał głową jak oszukańczy uzdrowiciel. – Daj spokój, Sturm, połóż się i odpocznij dopóki...

– Ty skończony głupcze! – rycerz krzyknął do Caramona. – Skoro cały twój rozum mieści się w żołądku, może to i lepiej, że go nie widzisz. Pewno zabiłbyś go i ugotował! Mówię wam – musimy iść jego śladami!

– To szaleństwo spowodowane raną w głowę – szepnął Riverwind do Tanisa. –

Widywałem to często.

– Nie jestem pewien – powiedział Tanis. Milczał przez kilka chwil, a kiedy przemówił, widać było, że czyni to niechętnie. – Choć sam nie widziałem Białego Jelenia, towarzyszyłem osobie, która go widziała, i szedłem jego śladem, zupełnie jak w opowieści tego starca. – Z roztargnieniem pogładził pierścionek ze splecionych liści bluszczu, który nosił na lewej dłoni. Myślami był przy złotowłosej elfiej pannie, która płakała, gdy opuścił Qualinesti.

– To co, mamy iść za zwierzęciem, którego nawet nie widzimy? – zapytał Caramon, otwierając usta ze zdumienia.

– Nie byłoby to najdziwniejsze z tego, co już robiliśmy

– stwierdził zgryźliwie Raistlin swym cichym głosem. – Pamiętaj jednak, że to ten starzec opowiedział nam historię o Białym Jeleniu i to on nas w to wpakował...

– Wpakował nas w to nasz własny wybór – odparł ostro Tanis. – Mogliśmy oddać łaskę Najwyższemu Teokracie i wykręcić się gadaniem; z gorszych już sytuacji wywijaliśmy się zgrabną mową. Twierdzą, że powinniśmy pójść za Sturmem. Najwyraźniej został wybrany, tak jak Riverwind został wybrany, by otrzymać łaskę...

– Ale on nawet nie prowadzi nas we właściwym kierunku!

– oponował Caramon. – Wiesz równie dobrze jak ja, że przez zachodnią część lasu nie prowadzą żadne szlaki. Nikt tamtędy nie chodzi.

– Tym lepiej – rzekła nagle Goldmoon. – Tanis powiedział, że te stwory z pewnością obstały drogi. Może to jest wyjście. Uważam, że powinniśmy pójść za rycerzem. – Odwróciła się i ruszyła ze Sturmem, nawet nie oglądając się na pozostałych

– najwyraźniej przyzwyczajona do posłuszeństwa. Riverwind wzruszył ramionami i potrząsnął głową, krzywiąc się ponuro, lecz pomaszerował za Goldmoon, a pozostali poszli w jego ślady.

Rycerz zostawił za sobą dobrze wydeptane szlaki wiodące na Szczyt Oka Wyznawcy i szedł w kierunku południowo-wschodnim, wspinając się po zboczu. Początkowo wydawało się, że Caramon ma rację – nie było widać żadnej ścieżki. Sturm przedzierał się przez zarośla jak szalony. A potem nagle rozpostarł się przed nimi szeroki szlak pod górę. Tanis popatrzył nań ze zdumieniem.

– Kto lub co przetarło ten szlak? – zapytał Riverwinda, który również przyglądał mu się ze zdumioną miną.

– Nie mam pojęcia – stwierdził mieszkaniec równin. – Szlak jest stary. To zwalone drzewo spoczywa tu od tak dawna, że zapadło się do połowy w ziemię i porosło mchem oraz

pnąciami. A mimo to nie widzę żadnych tropów – z wyjątkiem śladów Sturm. Nie ma znaku, aby przechodził tędy jakiś człowiek czy zwierzę. Dlaczego więc szlak nie zarósł?

Tanis nie umiał udzielić odpowiedzi na to pytanie i nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Sturm szybko parł naprzód, tak że drużyna o mało co nie straciła go z oczu.

– Gobliny, łodzie, jaszczuroludzie, niewidzialne jelenie – co będzie następne? – Flint poskarżył się kenderowi.

– Chciałbym zobaczyć tego jelenia – powiedział z żalem Tas.

– Stuknij się w głowę – parsknął krasnolud. – Chociaż w twoim przypadku pewno nie zauważylibyśmy różnicy.

Przyjaciele szli za Sturm, który wspinał się, ogarnięty jakimś szalonym uniesieniem, zupełnie zapomniawszy o bólu i ranie. Tanis miał trudności z dogonieniem rycerza. Kiedy jednak udało mu się, ogarnął go niepokój na widok gorączkowego błysku w oczach Sturm. Rycerza niewątpliwie coś prowadziło. Droga zmierzała ku szczytowi góry. Tanis zauważył, że szlak prowadził przez szczelinę między kamiennymi „dłońmi”, przez którą, o ile wiedział, nikt jeszcze nie przeszedł.

– Zaczekaj chwilę – wysapał, biegnąc, by dogonić Sturm. Domyślał się, że musi być już południe, choć słońce wciąż kryło się za postrzępionymi, szarymi chmurami. – Odpocznijmy. Mam zamiar rozejrzeć się stamtąd po okolicy. – Wskazał na półkę skalną wystającą ze zbocza góry.

– Odpoczynek... – powtórzył nieprzytomnie Sturm, zatrzymując się, żeby odetchnąć. Wpatrywał się przed siebie przez chwilę, a potem zwrócił do Tanisa. – Tak. Odpocznijmy. – Oczy błyszczały mu jasno.

– Dobrze się czujesz?

– Doskonale – odpowiedział nieobecny tonem Sturm, a następnie zaczął krążyć po trawie, łagodnie głaszcząc i przyglądając wąsy.

Tanis śledził go przez moment niezdecydowanym spojrzeniem, a potem wrócił do pozostałych, którzy właśnie wyłaniali się zza niewielkiego wzniesienia.

– Odpocznijmy tutaj – powiedział półelf. Raistlin westchnął z ulgą i osunął się na mokre liście.

– Zamierzam popatrzeć na północ i zobaczyć, co widać na drodze prowadzącej do Haven – dodał Tanis.

– Pójdę z tobą – zaproponował Riverwind.

Tanis pokiwał głową i we dwóch zeszedli ze ścieżki, udając się w stronę skalnego występu. Tanis spojrzął na wysokiego wojownika w czasie marszu. Zaczynał czuć się pewnie

w towarzystwie surowego, poważnego mieszkańca równin. Sam będąc osobą wybitnie ceniącą dyskrecję, Riverwind szanował prywatność innych i nigdy nie pomyślałby nawet o naruszaniu barier, jakie Tanis wznosił wokół swej duszy. Dzięki temu półelf czuł się tak odprężony, jak po nocy nieprzerwanego snu. Wiedział, że jego przyjaciele – po prostu dlatego, iż byli przyjaciółmi i znali go od dawna – głowili się nad jego związkiem z Kitiarą. Dlaczego postanowił zerwać go tak gwałtownie pięć lat temu? I skąd, w takim razie, jego wyraźne rozczarowanie, kiedy nie pojawiła się? Riverwind oczywiście nic nie wiedział o Kitiarze, lecz Tanis miał wrażenie, że nawet gdyby wiedział, dla mieszkańca równin nie miałoby to znaczenia: to była sprawa Tanisą, nie jego.

Kiedy już znajdowali się w zasięgu wzroku od haveńskiego traktu, przeczołgali się ostatnie kilka metrów, pełznąć po mokrej skale do samej krawędzi występu. Spoglądając w dół, Tanis widział stare dróżki wycieczkowe, które znikwały po drugiej stronie góry. Riverwind wskazał ręką i Tanis zobaczył, że ścieżkami tymi krążyły skrzydlate stwory! To wyjaśniało niesamowitą ciszę w lesie. Tanis ponuro zacisnął wargi. Stwory z pewnością czekają na nich z zasadzką. Sturm i jego biały jeleń prawdopodobnie ocalili im życie. Nie upłynie jednak wiele czasu, zanim stwory odnajdą nowy szlak. Tanis spojrzął w dół i zastygł ze zdumienia – szlaku nie było! Tylko gęsty, nieprzebyty las. Ścieżka zamknęła się za nimi! Musiało mi się przywidzieć, pomyślał i wrócił wzrokiem do traktu ku Haven i licznym stworom wędrującym po nim. Szybko się zorganizowali, pomyślał. Spojrzął dalej na północ i ujrzał nieruchome, spokojne wody jeziora Crystalmir. Następnie jego spojrzenie powędrowało ku horyzontowi.

Zmarszczył brwi. Coś było nie w porządku. Nie potrafił natychmiast tego nazwać, więc nic nie powiedział Riverwindowi, tylko wpatrywał się w nieboskłon. Na półocy gromadziły się gęstsze niż kiedykolwiek, ciemne chmury, których długie, szare palce drapały ziemię. A na ich spotkanie wznosiły się... to było właśnie to! Ścisnąwszy Riverwinda za ramię, Tanis wskazał palcem na północ. Riverwind zmrużył oczy i nie dostrzegł początkowo niczego. A potem zobaczył – czarny dym snujący się ku niebu. Zmarszczył gęste, krzaczaste brwi.

– Ogniska obozowe – powiedział Tanis.

– Wiele setek ognisk – dodał po cichu Riverwind. – To wojenne ogniska. Tam obozuje armia.

– A więc pogłoski się potwierdziły – stwierdził Sturm, kiedy powrócili. – Na północy rzeczywiście jest zgromadzone wojsko.

– Ale jakie wojsko? Czyje? I po co? Kogo mają zamiar zaatakować? – zaśmiał się Caramon z niedowierzaniem. – Nikt nie posłałby armii po tę laskę. – Wojownik urwał. – A

może posłaliby?

– Laska stanowi zaledwie część obrazu – zasyczał Raistlin. – Pamiętaj o gwiazdach, które spadły!

– Opowieści dla dzieci! – parsknął pogardliwie Flint. Odwrócił próżny bukłak, potrząsnął nim i westchnął.

– Moje opowieści nie są dla dzieci – rzekł zaciekle Raistlin, wężowym ruchem podnosząc się z liści. – I dobrze byś uczynił, krasnoludzie, zważając na me słowa!

– Jest tam! Tam jest jeleń! – powiedział niespodziewanie Sturm, spoglądając wprost na wielki głaz – a przynajmniej tak się wydawało jego towarzyszom. – Czas już iść.

Rycerz ruszył pierwszy. Pozostali szybko pozbierali swoje tobołki i pośpieszyli za nim. Gdy wspinali się dalej pod górę szlakiem, który zdawał się materializować przed nimi, zmienił się kierunek wiatru, który zaczął wiać teraz z południa. Był to ciepły podmuch, niosący zapach późno kwitnących, jesiennych, dzikich kwiatów. Rozwiął ciężkie chmury i gdy drużyna podeszła do szczeliny pomiędzy połówkami szczytu, wyłoniło się słońce.

Było już dobrze po południu, gdy zatrzymali się na jeszcze jeden krótki odpoczynek, zanim spróbowali przejść wąską szczeliną między ścianami Szczytu Oka Wyznawcy. Według słów Sturma, musieli tamtędy iść. Rycerz twierdził stanowczo, że jeleń prowadził w tamtym kierunku.

– Wkrótce będzie pora na kolację – stwierdził Caramon. Westchnął głęboko i żałośnie, spuszczać wzrok ku swym stopom. – Mógłbym zjeść własne buty!

– Mnie też zaczynają wydawać się smakowite – powiedział zrzędlawie Flint. – Szkoda, że ten jeleń nie jest z krwi i kości. Mielibyśmy przynajmniej z niego jakiś pożytek, poza tym, że wyprowadza nas na manowce!

– Zamilcz! – Sturm odwrócił się do krasnoluda z nagłym gniewem i zacisnął pięści. Tanis wstał szybko i położywszy dłoń na ramieniu rycerza, powstrzymał go.

Sturm stał, mierząc krasnoluda wściekłym spojrzeniem. Wąsy mu drżały. Potem wyszarpnął się Tanisowi. – Chodźmy już – powiedział.

Kiedy towarzysze weszli do wąskiego wąwozu, ujrzeli po drugiej stronie czyste, błękitne niebo. Południowy wiatr świstał pomiędzy białą stromizną ścian szczytu, który wznosił się nad nimi. Szli ostrożnie, nie raz poślizgując się na drobnych kamyczkach. Na szczęście przesmyk był tak wąski, że z łatwością mogli odzyskać równowagę, wspierając się o strome ściany.

Po niecałych trzydziestu minutach drogi znaleźli się po drugiej stronie Szczytu Oka Wyznawcy. Zatrzymali się i spojrzeli na dolinę poniżej. Bujna łąka spływała zielonymi

falami, które omywały brzegi jasnozielonego lasu osikowego daleko na południu. Zwiastujące burzę chmury zostały za nimi, a na bezchmurnym, lazurowym niebie jaśniało słońce. Po raz pierwszy wszystkim było za gorąco w płaszczach. Tylko Raistlin pozostał owinięty w swą czerwoną pelerynę z kapturem. Przez cały poranek Flint marudził z powodu deszczu, a teraz zaczął skarżyć się na słońce – że za jasne i razi go w Oczy, że pali za mocno i rozgrzewa mu hełm.

– Chodź, zrzucimy krasnoluda z góry – mruknął Caramon do Tanisa.

Tanis uśmiechnął się przebiegle. – Spadając, będzie grzechotał i zdradzi nas.

– Kto tam na dole miałby go usłyszeć? – stwierdził Caramon, wymachując szeroką dłońią w kierunku doliny. – Założę się, że jesteśmy pierwszymi żywymi istotami, które ujrzęły tę dolinę.

– Pierwszymi żywymi istotami – szepnął Raistlin. – Tu masz rację, mój bracie. Spoglądasz bowiem na Mroczną Puszcę.

Nikt się nie odezwał. Riverwind drgnął niespokojnie. Goldmoon ukradkiem przysunęła się do niego i szeroko rozwartymi oczami spoglądała na zielone drzewa w dole. Flint kaszlnął i umilkł, gładząc swą długą brodę. Sturm spoglądał na las z niewzruszonym spokojem. Tak samo Tasslehoff.

– Wcale tak źle nie wygląda – stwierdził kender wesóło. Rozsiadłszy się na ziemi ze skrzyżowanymi nogami, położył na kolanach arkusz pergaminu i kawałkiem węgla drzewnego rysował na nim mapę, próbując zaznaczyć trasę wędrówki przez szczyt.

– Wygląd jest równie zwodniczy, co kender o lekkich palcach – szepnął ochryple Raistlin.

Tasslehoff zmarszczył brwi i chciał się odciąć, lecz dostrzegł spojrzenie Tanisa i powrócił do rysowania. Tanis podszedł do Sturma. Rycerz stał na skalnym występie, a wiatr z południa rozwiewał jego długie włosy i szarpał postrzępionym płaszczem.

– Sturmie, gdzie jest jeleni? Widzisz go teraz?

– Tak – odrzekł Sturm. Wskazał na dół. – Przeszedł przez łąkę; widzę jego ślady w wysokiej trawie. Wszedł tam, pomiędzy osiki.

– Wszedł do Mrocznej Puszczy – szepnął Tanis.

– Kto twierdzi, że to Mroczna Puszcza? – Sturm odwrócił się do Tanisa.

– Raistlin.

– Ba!

– Jest czarodziejem – powiedział Tanis.

– Jest szalony – odparł Sturm. Potem wzruszył ramionami. – Jeśli chcesz, możesz

zostać nawet na zawsze na zboczu tej góry, Tanisie. Ja pójdę za jeleniem – jak Huma – nawet jeśli zaprowadzi mnie do Mroczej Puszczy. – Otuliwszy się płaszczem, Sturm zszedł ze skalnej półki i ruszył krętą ścieżką prowadzącą zboczem w dół.

Tanis powrócił do pozostałych. – Jeleń prowadzi go wprost do lasu – powiedział. – Jak pewny jesteś, Raistlinie, że ten las to rzeczywiście Mrocza Puszcza?

– Jak pewnym można być czegokolwiek, Półelfie? – odparł czarodziej. – Ja nie jestem pewien nawet mego następnego oddechu. Idź jednak przed siebie. Wkrocz do puszczy, z której nie wyszedł jeszcze żaden żywy człowiek. Śmierć jest jedyną pewną rzeczą w życiu, Tanisie.

Półelf poczuł nagłą chęć strącenia Raistlina z urwiska. Rzucił spojrzenie na Sturma, który był już niemal w połowie drogi do doliny. – Idę ze Sturmem – oświadczył nagle. – Nie ponoszę jednak odpowiedzialności za niczyją decyzję w tej sprawie. Reszta z was może iść, jeśli chce.

– Ja idę! – Tasslehoff zwinął mapę i wsunął ją do pokrowca na zwoje. Wstał pośpiesznie, ślizgając się na luźnych kamkach.

– Duchy! – Flint spojrział krzywo na Raistlina, strzelił palcami drwiąco, a następnie pomaszerował i stanął u boku pół-elfa. Goldmoon poszła w jego ślady bez wahania, choć jej twarz była blada. Riverwind przyłączył się do grupy wolniej, z wyrazem zamyślenia na twarzy. Tanisowi ulżyło – wiedział, że barbarzyńcy znają wiele przerażających legend o Mroczej Puszczy. A wreszcie Raistlin wystąpił naprzód tak szybko, że całkowicie zaskoczył swego brata.

Tanis spojrział na maga z lekkim uśmiechem. – Dlaczego idziesz? – nie mógł powstrzymać się od zapytania.

– Ponieważ będę ci potrzebny, Półelfie – zasyczał czarodziej. – Poza tym, gdzie chciałbyś, żebyśmy poszli? Pozwoliłeś, aby zaprowadzono nas tak daleko – nie można już zawrócić. To, co nam proponujesz, Tanisie, to Wybór Ogra: „Zginiesz szybko lub zginiesz powoli”. – Ruszył w dół zbocza. – Idziesz, bracie?

Pozostali spojrzeli niespokojnie na Tanisa, gdy bracia go wyminęli. Półelf poczuł się jak idiota. Raistlin oczywiście miał rację. Najpierw pozwolił, by sprawa wymknęła mu się zupełnie spod kontroli, a potem chciał, żeby wyglądało to na ich decyzję, a nie jego, by mógł iść dalej z czystym sumieniem. Rozgniewany, podniósł kamień i cisnął nim daleko w dół. Dlaczego w ogóle on miał być za to odpowiedzialny? Po co w ogóle wplątywał się w tę historię, skoro chciał tylko odnaleźć Kitiarę i powiedzieć jej, że się zdecydował – kocha ją i pragnie jej. Potrafi zaakceptować jej ludzkie słabości, tak jak nauczył się godzić ze swymi

własnymi.

Lecz Kit nie wróciła do niego. Miała „nowego pana”. Może dlatego...

– Hej, Tanisie? – dobiegł go głos kendera.

– Idę – szepnął.

Słońce zbiegało, chyląc się ku zachodowi, gdy drużyna dotarła do skraju lasu. Tanis przypuszczał, że mieli jeszcze przed sobą przynajmniej trzy lub cztery godziny słońca. Jeśli jeleni nadal będzie prowadził ich po tak prostych i gładkich drogach, może przebędą las przed zapadnięciem zmroku.

Sturm czekał na nich pod osikami, spoczywając wygodnie w zielonym cieniu liści. Przyjaciele powoli schodzili z łąki, bowiem nikomu nie śpieszyło się wejść w gąszcz lasu.

– Jeleń wszedł tędy – rzekł Sturm, wstając i wskazując na wysoką trawę.

Tanis nie zobaczył żadnych śladów. Wypił łyk wody ze swego niemal opróżnionego bukłaka i spojrzał na las. Jak stwierdził

Tasslehoff, puszcza nie sprawiała wrażenia złowroziej. Prawdę mówiąc, wyglądała chłodno i zachęcająco po ostrym blasku jesiennego słońca.

– Może znajdziemy tam jakąś zwierzynę – powiedział Caramon, kołysząc się na piętach. – Oczywiście nie jelenie – dodał pośpiesznie. – Może króliki.

– Nie zabijaj niczego. Nie jedz niczego. Nie pij niczego w Mrocznej Puszczy – szepnął Raistlin.

Tanis popatrzył na maga, którego oczy obdarzone źrenicami w kształcie klepsydr rozszerzyły się. Metaliczna skóra połyskiwała w silnym blasku słońca upiornym kolorem. Raistlin wsparł się na lasce i drżał, jakby było mu zimno.

– Opowiastki dla dzieci – mruknął Flint, lecz w głosie krasnoluda nie było słyhać przekonania.

Chociaż Tanis wiedział, że Raistlin ma skłonności do dramatyzowania, nigdy przedtem nie widział, aby czarodziej był tak przejęty. – Co wyczuwasz, Raistlinie? – spytał cicho.

– Na ten las rzucony jest wielki i potężny czar – szepnął Raistlin.

– Zły? – zapytał Tanis.

– Tylko dla tych, którzy przynoszą zło ze sobą – stwierdził mag.

– W takim razie jesteś jedynym, który powinien obawiać się tego lasu – powiedział chłodno Sturm do czarodzieja.

Caramon zaczerwienił się szpetnie i szarpnął za broń. Dłoń Sturma spoczęła na rękojeści miecza. Tanis chwycił Sturma za ramię w chwili, gdy Raistlin powstrzymał brata

dotknięciem. Czarodziej spojrział uważnie na rycerza błyszczącymi oczyma.

– Zobaczmy jeszcze – rzekł Raistlin, a słowa, które padły spomiędzy jego zaciśniętych zębów, przypominały ledwo słyszalne, syczące dźwięki. – Zobaczmy jeszcze. – Potem, wspierając się ciężko na lasce, Raistlin zwrócił się do brata. – Idziesz?

Caramon rzucił gniewne spojrzenie Sturmowi, następnie wszedł do lasu za swym bliźniaczym bratem. Pozostali udali się w ich ślady, zostawiając tylko Tanisa i Flinta w kołyszącej się, wysokiej trawie.

– Jestem już za stary na to, Tanisie – stwierdził nagle krasnolud.

– Bzdura – odparł półelf, uśmiechając się. – Walczyłeś jak...

– Nie, nie chodzi mi o kości ani mięśnie – krasnolud popatrzył na swe sękaty dłonie – choć są wystarczająco stare. Mam na myśli ducha. Dawniej, zanim pozostali się urodzili, ty i ja weszlibyśmy do zaczarowanego lasu bez zastanowienia. Teraz...

– Rozchmurz się – powiedział Tanis. Starał się, by zabrzmiało to wesoło, lecz był poważnie zaniepokojony niezwykłą posępnością krasnoluda. Przyjrzał się Flintowi z bliska po raz pierwszy od chwili spotkania przed Solace. Krasnolud wyglądał staro, ale Flint przecież zawsze wyglądał staro. Jego twarz, a w każdym razie ta jej część, którą widać było zza siwej brody, wąsów i krzaczastych, białych brwi, była brązowa, pomarszczona i spękana jak stara, wygarbowana skóra. Krasnolud marudził i gderał, lecz przecież Flint zawsze marudził i gderał. Różnicę można było dostrzec w oczach. Nie było w nich już ognistego blasku.

– Nie przejmuj się Raistlinem – rzekł Tanis. – Dziś wieczorem zasiądziemy wokół ogniska i pośmiejemy się z jego opowieści o duchach.

– Pewnie tak. – Flint westchnął. Milczał przez chwilę, a potem powiedział: – Któregoś dnia będę dla ciebie ciężarem, Tanisie. Nie chciałbym, żebyś kiedyś pomyślał „dlaczego ja się zadaję z tym gderliwym, starym krasnoludem?”

– Dlatego, że cię potrzebuję, gderliwy, stary krasnoludzie

– rzekł Tanis, kładąc dłoń na masywnych barkach przyjaciela. Wskazał las, gdzie znikli pozostali. – Jesteś mi potrzebny, Flincie. Oni wszyscy są... tacy młodzi. Ty jesteś jak krzepka skała, o którą mogę wesprzeć się plecami, gdy wymachuję mieczem. Flint poczerwieniał z zadowolenia. Pociągnął się za brodę, a potem kaszlnął i burknął. – Tak, wiesz, zawsze byłeś sentymentalny. Chodź już. Marnujemy czas. Chcę przebyć tę przeklętą puszcze najszybciej, jak to możliwe. – Potem mruknął:

– Całe szczęście, że jest jeszcze jasno.

Rozdział X

Mroczna Puszcza. Martwi kroczą. Czary Raistlina

Jedynie, co Tanis poczuł po wkroczeniu do lasu, to ulga, że jesienne słońce już go nie praży. Półelfowi przyszły na myśl wszystkie legendy, jakie słyszał o Mrocznej Puszczy, historie o duchach opowiadane w nocy przy ogniskach, nie mógł bowiem zapomnieć o złowieszczych słowach Raistlina. Jednakże Tanis nie czuł niczego, poza tym że las ten miał dużo więcej życia od wszystkich innych, w jakich zdarzyło mu się przebywać. Ustąpiła martwa cisza, z jaką się zetknęli wcześniej. Małe zwierzęta popiskiwały w zaroślach, ptaki z łopotem przelatywały nad ich głowami z gałęzi na gałąź. Obok latały owady o radośnie barwnych skrzydłach. Liście szeleściły i poruszały się, a kwiaty kołysały, choć nie dotykał ich podmuch wiatru – zupełnie jakby rośliny upajały się radością życia.

Wszyscy w drużynie weszli do puszczy z bronią pod ręką, ostrożni, uważni i nieufni. Przez jakiś czas próbowali stąpać w taki sposób, by nie szeleścić liśćmi, lecz Tas stwierdził, że według niego to „trochę głupie”, i wszyscy odprężyli się – z wyjątkiem Raistlina.

Szli około dwóch godzin, wędrując lekkim, lecz szybkim krokiem po gładkim i wygodnym szlaku. Cienie rzucane przez chylące się ku dołowi słońce wydłużały się. Tanis poczuł ogarniający go w tym lesie spokój. Nie obawiał się, że dogonią ich tu te okropne, skrzydlate stwory. Wydawało się, że w tej puszczy nie ma miejsca na zło, chyba że, tak jak powiedział Raistlin, przyniosłoby się własne zło ze sobą. Mrok leśnych drzew zdawał się skupiać wokół młodego czarodzieja. Tanis zadrżał i zdał sobie sprawę, że gdy słońce znikło za czubkami drzew, powietrze ochłodziło się. Czas, by rozejrzeć się za miejscem na nocleg.

Tanis wyjął mapę Tasslehoffa, by spojrzeć na nią jeszcze raz przed zapadnięciem zmroku. Mapa była wykonana na elfią modłę, a przez las ciągnęły się słowa napisane płynnym charakterem pisma: „Mroczna Puszcza”. Sama jednak puszcza była niejasno zaznaczona i Tanis nie był pewien, czy słowa dotyczyły tego lasu, czy tego dalej na południu. Raistlin musiał się pomylić, stwierdził Tanis – to nie może być Mroczna Puszcza. A jeśli tak, jej zło jest po prostu wytworem wyobraźni czarodzieja. Maszerowali dalej.

Wkrótce nastał zmierzch, ta pora wieczoru, gdy w gasnącym świetle wszystko staje się tak bardzo wyraźne i widoczne. Drużyna zaczęła się ociągać. Raistlin słał się na nogach i ciężko łapał dech. Twarz Sturma stała się blada jak popiół. Półelf zamierzał właśnie ogłosić nocny postój, gdy – jakby na jego życzenie – szlak doprowadził ich prosto do wielkiej, zielonej polany. Spod ziemi wypływała z bulgotem czysta woda i spływała po gładkich kamieniach, tworząc płytki strumyk. Polanę wyścielała gęsta, miło wyglądająca trawa, a jej

obrzeży strzegły wysokie drzewa. Tymczasem słońce poczerwieniało, potem zaszło, a między drzewa zakradł się mglisty mrok nocy.

– Nie schodźcie ze ścieżki – oświadczył Raistlin, gdy przyjaciele zamierzali już wejść na polanę.

Tanis westchnął. – Raistlinie – rzekł cierpliwie – nic nam się nie stanie. Ścieżkę doskonale widać – jest nie dalej jak trzy metry od nas. Chodź, musisz wypocząć. Wszyscy musimy. Spójrz... – Tanis wyciągnął do niego mapę – nie sądzę, aby to była Mroczna Puszcza. Zgodnie z tym...

Raistlin wzgardliwie zignorował mapę. Pozostali towarzysze zignorowali maga i opuściwszy ścieżkę, zabrali się do rozbijania obozowiska. Sturm osunął się na ziemię, wspierając o pień drzewa. Oczy miał zamknięte z bólu. Caramon zaś przyglądał się głodnym wzrokiem małym, zwinnym ceniom. Na znak Caramona Tasslehoff pomknął do lasu po drewno na ognisko.

Twarz przyglądającego się im czarodzieja wykrzywił sardoniczny uśmiech. – Wszyscy jesteście głupcami. To jest Mroczna Puszcza, jak sami zobaczycie, zanim noc się zakończy. – Wzruszył ramionami. – Jednakże, sam powiedziałaś, że potrzebny mi odpoczynek. Lecz ja nie zejść ze ścieżki. – Raistlin usiadł na szlaku, kładąc laskę obok.

Caramon zaczerwienił się z zażenowania, widząc jak pozostali wymieniają rozbawione spojrzenia. – Och, Raist – powiedział olbrzymi mężczyzna – chodź do nas. Tas poszedł po drewno, a ja może ustrzelę królika.

– Nie strzelaj do niczego! – Raistlin odezwał się głosem silniejszym od szeptu, co sprawiło, że wszyscy drgnęli. – Nie czyni niczemu krzywdy w Mrocznej Puszczy! Ani roślinie, ani drzewu, ptakowi, ani zwierzęciu!

– Zgadza się z Raistlinem – powiedział Tanis. – Musimy spędzić tu noc i nie chciałbym zabijać żadnego zwierzęcia, jeśli nie będziemy do tego zmuszeni.

– Elfowie nigdy nie chcą zabijać i koniec – burknął Flint. – Czarodziej niemal przeraził nas na śmierć, a ty z kolei chcesz, żebyśmy umarli z głodu. Cóż, jeśli coś nas zaatakuje tej nocy, mam nadzieję, że będzie nadawało się do jedzenia!

– Jestem tego samego zdania, krasnoludzie. – Caramon westchnął żałośnie, podszedł do strumyka i spróbował zaspokoić głód, topiąc go.

Tasslehoff wrócił z chrustem. – Nie ciąłem gałęzi – oświadczył Raistlinowi – tylko zbierałem.

Jednak nawet Riverwind nie potrafił zapalić drewna. – To drewno jest mokre – stwierdził w końcu i wrzucił pudełko z krzesiwem z powrotem do plecaka.

– Potrzebujemy światła – powiedział z niepokojem Flint, gdy noc zacieśniła wokół nich pierścień cieni. Odgłosy lasu, które za dnia były się tak niewinne, teraz wydawały się złowieszcze i groźne.

– Nie boisz się chyba dziecinnych opowieści – zasyczał Raistlin.

– Nie! – warknął krasnolud. – Chcę być tylko pewny, że kender nie będzie mi grzebał w plecaku po ciemku.

– Proszę bardzo – rzekł Raistlin z nietypową łagodnością. Wypowiedział słowo magicznego rozkazu: *Shirak*. Białe, białe światło zapłonęło w kryształach na czubku laski czarodzieja. Był to upiorny blask i niewiele rozjaśnił ciemność. Prawdę mówiąc, zdawał się wręcz podkreślać groźbę nocy.

– Proszę, masz światło – szepnął cicho czarodziej. Wbił koniec laski w wilgotną ziemię.

Wtedy właśnie Tanis zdał sobie sprawę, że znikła jego elfia zdolność widzenia. Powinien widzieć ciepłe, czerwone zarysy swych towarzyszy, lecz teraz byli zaledwie ciemniejszymi plamami na tle rozgwieźdzonego mroku polany. Półelf nic nie powiedział o tym pozostałym, ale wrażenie spokoju, jakim się rozkoszował do tej pory, przeszył odłamek strachu.

– Wezmę pierwszą wartę – zaproponował zmęczonym głosem Sturm. – I tak nie powinienem spać ranny w głowę. Znałem kiedyś człowieka, który tak uczynił – nigdy już się nie zbudził.

– Będziemy stać na straży po dwóch – powiedział Tanis. – Ja stanę na pierwszej warcie z tobą.

Pozostali, otworzyli plecaki i zaczęli mościć sobie posłania na trawie. Wyjątkiem był Raistlin. Wciąż siedział na ścieżce, a światło laski padało na jego pochyloną, zakapturzoną głowę. Sturm usiadł pod drzewem. Tanis podszedł do strumyka i pił łąpczywie. Nagle postyszał stłumiony okrzyk z tyłu. Wyciągnął miecz i wstał jednym ruchem. Pozostali już wyciągnęli broń. Tylko Raistlin siedział niewzruszony.

– Odłóżcie miecze – rzekł. – Nie pomogą wam. Tylko potężna, magiczna broń mogłaby wyrządzić krzywdę takim, jak oni.

Otoczała ich armia wojowników. Samo to wystarczyłoby, żeby zmrozić każdemu krew w żyłach. Przyjaciele jednakże daliby sobie z tym radę. Nie potrafili natomiast poradzić sobie z przerażeniem, które ogarnęło ich i poraziło ich zmysły. Każdemu natychmiast przysłała na myśl beztraska uwaga, jaką rzucił Caramon: Mógłbym walczyć z żywymi choćby co dzień, lecz nie z umarłymi.

Ci wojownicy byli martwi.

Ich ciała były obrysowane zaledwie ulotnym, delikatnym białym światłem. Odnosiło się wrażenie, iż ludzkie ciepło, które posiadali za życia, pozostało przy nich w straszliwy sposób i po śmierci. Ciało uległo rozkładowi, zostawiając obraz postaci takim, jak zapamiętała je dusza. Dusza najwyraźniej pamiętała i o innych rzeczach. Każdy wojownik odziany był w starożytną, zapamiętaną zbroję. Każdy wojownik uzbrojony był w zapamiętaną broń, która potrafiła zadać dobrze zapamiętaną śmierć. Ożywieni zmarli nie potrzebowali jednak oręża. Potrafili zabić samym strachem lub dotykiem zimnych jak grób rąk.

Jak możemy walczyć z nimi? – pomyślał szaleńczo Tanis, który nigdy dotąd nie czuł takiego lęku w obliczu wroga z krwi i kości. Ogarnęła go taka panika, że zastanawiał się, czy nie krzyknąć do towarzyszy, by zawrócili i uciekali, ile sił w nogach.

Zły na siebie półelf wysiłkiem woli opanował się i stawił czoła rzeczywistości. Rzeczywistość! Nieomal roześmiał się z ironii losu. Uciekać nie było po co, rozdzieliliby się tylko i zagubili. Muszą zostać i jakoś poradzić sobie. Zaczął iść w stronę upiornych wojowników. Umarli nic nie powiedzieli ani nie uczynili groźnych ruchów. Stali po prostu, zagradzając drogę. Nie sposób było ich policzyć, ponieważ jedni migocząc pojawiali się, podczas gdy inni rozpływali się w mroku, by powrócić, gdy ich towarzysze przygaśli. Nie sprawia to żadnej różnicy, przyznał w duchu Tanis, czując jak oblewa go zimny pot. Jeden z tych umarłych wojowników może uśmiercić nas wszystkich nieznacznym gestem dłoni.

Gdy półelf zbliżył się do wojowników, ujrzał błysk – światło laski Raistlina. Mag, wsparty na swej lasce, stał przed gromadką towarzyszy. Tanis zatrzymał się obok niego. Białe światło kryształu padało na twarz czarodzieja, czyniąc ją niemal tak samo upiorną, co twarze umarłych przed nimi.

– Witaj w Mrocznej Puszczy, Tanisie – rzekł czarodziej.

– Raistlinie... – Tanisowi słowa uwięzły w krtani. Musiał próbować jeszcze kilka razy, nim udało mu się wydobyć dźwięk z wyschniętego gardła. – Kim oni są...

– Widmowi strażnicy – szepnął czarodziej, nie odrywając od nich oczu. – Mamy szczęście.

– Szczęście? – powtórzył z niedowierzaniem Tanis. – Czemu?

– To są duchy ludzi, którzy poprzysięgli dokonać czegoś. Nie dotrzymali przysięgi i teraz skazani są na ciągłe wykonywanie tego samego zadania, dopóki nie wyzwolą się i nie zaznają prawdziwego spoczynku w śmierci.

– W imię otchłani, czemu miałyby to oznaczać, że mamy szczęście? – szepnął ochryple Tanis, wyzwalając strach w wybuchu gniewu. – Być może poprzysięgli oczyścić las

z wszystkich, którzy doń wkroczą!

– To możliwe – Raistlin rzucił przelotne spojrzenie na półelfa – choć uważam, że mało prawdopodobne. Dowiemy się.

Zanim Tanis zdążył coś zrobić, mag odstał o krok od grupy i stanął naprzeciwko widm.

– Raist! – krzyknął Caramon zduszonym głosem, chcąc już przepchnąć się naprzód.

– Zatrzymaj go, Tanisie – rozkazał szorstko Raistlin. – Od tego zależy nasze życie.

Chwytając mocno wojownika za ramię, Tanis spytał Raistlina: – Co masz zamiar uczynić?

– Zamierzam rzucić zaklęcie, które umożliwi nam porozumienie z nimi. Będę słyszał ich myśli. Oni przemówią przeze mnie.

Czarodziej odchylił głowę do tyłu, tak że zsunął mu się kaptur. Wyciągnął ręce i zaczął przemawiać. – *Ast bilak parbi-lakar, Suh tangus moipar?* – szepnął, a potem powtórzył to samo jeszcze trzy razy. Gdy Raistlin przemówił, tłum wojowników rozstał się i wyłoniła się zeń postać jeszcze bardziej wzbudzająca lęk i przerażająca niż pozostałe. Widmo było wyższe od pozostałych i nosiło migotliwą koronę. Jego bladoprzejrzystą zbroję bogato zdobily mroczne klejnoty. Na jego twarzy malował się straszliwy żal i udręka. Zjawa zbliżyła się do Raistlina.

Caramon załkał i odwrócił wzrok. Tanis nie miał śmiałości odezwać się ani krzyknąć, obawiając się, że przeszkodzi magowi i przerwie czar. Widmo uniosło chudą rękę i wyciągało ją powoli, by dotknąć młodego czarodzieja. Tanis zadrżał – dotknięcie widma oznaczało pewną śmierć. Raistlin jednakże był jak w transie i nawet nie poruszył się. Tanis nie był nawet pewien, czy w ogóle zauważa zimną rękę zbliżającą się do jego serca. I wtedy Raistlin przemówił.

– Wy, którzy od dawna jesteście umarli, użyjcie mego żywego głosu, by powiedzieć nam o waszym gorzkim żalu. Potem pozwólcie nam przejść przez ten las, bowiem nie mamy złych zamiarów, co stanie się jasne, jeśli spojrzycie w głąb naszych serc.

Dłoń widma zatrzymała się raptownie. Blade oczy badały uważnie twarz Raistlina. A potem migoczące w ciemności widmo skłoniło się przed czarodziejem. Tanis zaczerpnął tchu ze zdumieniem; już wcześniej wyczuwał potęgę Raistlina, ale to...!

Raistlin skłonił się w odpowiedzi, a następnie zbliżył się, by stanąć obok widma. Jego twarz była niemal tak samo blada, jak oblicze upiornej postaci tuż obok niego. Żywy zmarły i zmarły żywy, pomyślał Tanis i przeszedł go dreszcz.

Kiedy Raistlin przemówił, nie odezwał się już świszczącym szeptem chorowitego

maga. Był to głos niski, mroczny i władczy, który zabrzmiał donośnie w puszczy. Był zimny, pusty i brzmiał tak, jakby wydobywał się spod ziemi. – Kim jesteście wy, którzy nieproszeni wkroczyliście do Mrocznej Puszczy?

Tanis usiłował odpowiedzieć, lecz zupełnie zaschło mu w gardle. Caramon stojący obok niego nawet nie był w stanie podnieść głowy. Wtedy Tanis poczuł, że ktoś poruszył się u jego boku. Kender! Przeklinając się w duchu, chciał złapać Tasslehoffa, lecz było już za późno. Niewielka postać z podskakującym czubem wbiegła w krąg światła rzucanego przez laskę Raistlina i stanęła przed widmem.

Tasslehoff skłonił się z szacunkiem. – Jestem Tasslehoff Burrfoot – powiedział. – Moi przyjaciele – wskazał małą dłońią na grupę – nazywają mnie Tas. Kim ty jesteś?

– To ma niewielkie znaczenie – rozległ się grobowy głos. – Wiedz tylko, żeśmy wojownicy z czasów dawno zapomnianych.

– Czy to prawda, że złamaliście przysięgę i dlatego tu jesteście? – spytał z zaciekawieniem Tas.

– Prawda. Poprzysięgliśmy strzec tej ziemi. Wtedy spadła rozżarzona góra z niebios. Ziemia się rozstała. Zło wypęzło z wnętrza ziemi, a my rzuciliśmy miecze i uciekaliśmy w przerażeniu, dopóki nie dogoniła nas żalosna śmierć. Zawołano nas, byśmy wypełnili swą przysięgę, bowiem zło znów stąpa po tej ziemi. I tu zostaniemy, dopóki zło nie zostanie przepędzone i równowaga przywrócona.

Nagle Raistlin krzyknął przenikliwie i odrzucił głowę do tyłu, a oczy wyróciły mu się tak, iż przyglądający mu się towarzysze widzieli tylko białka. Jego głos stał się głosem tysięcy krzyczących jednocześnie. To spłoszyło nawet kendera, który odstąpił o krok i niespokojnie obejrzał się na Tanisa.

Widmo uniosło rękę władczym gestem i zgiełk umilkł, jakby pochłonęła go ciemność. – Moi ludzie domagają się, by im podać powód, dla jakiego weszliście do Mrocznej Puszczy. Jeśli w złym celu, poznacie, iż sprowadziliście zło na siebie samych, bowiem nie dożyjecie wschodu księżyców.

– Nie, nie w złym. Z całą pewnością nie – powiedział spieszenie Tasslehoff. – Widzisz, to dość długa historia, ale ponieważ jest rzeczą oczywistą, że nigdzie nam się nie śpieszy, a tobie zdecydowanie też nie, więc ci ją opowiem.

Zacznijmy od tego, że byliśmy w gospodzie Ostatni Dom w Solace. Pewno jej nie znasz. Nie jestem pewien, od jak dawna stoi, ale nie było jej w czasach kataklizmu, a na to wygląda, że ty już byłeś. Tak więc, siedzieliśmy sobie i słuchaliśmy staruszka opowiadającego o Humie i on – ten staruszek, nie Huma – powiedział Goldmoon, żeby

zaśpiewała swoją pieśń, a ona zapylała, jaką pieśń, a potem zaśpiewała i poszukiwacz doszedł do wniosku, że będzie krytykiem muzyki, a Riverwind – to tamten wysoki mężczyzna – wpełchnął poszukiwacza do ognia. To był wypadek – nie chciał tego. Ale poszukiwacz zapalił się jak pochodnia! Powinieneś być to widzieć! W każdym razie, ten starzec podał mi laskę i powiedział, że bym go uderzył, i ja go uderzyłem, i laska zamieniła się w błękitny kryształ, i płomienie zgasły i...

– Błękitny kryształ! – Głos widma zadudnił głucho z ust Raistlina, gdy zjawa zaczęła się do nich zbliżać. Tanis i Sturm obaj skoczyli naprzód, chwytając Tasa i ściągnając go z drogi. Widmo jednakże miało zamiar wyłącznie przyjrzeć się drużynie. Jego migoczące oczy spoczęły na Goldmoon. Uniósłszy bladą dłoń, upiór wezwał ją gestem.

– Nie! – Riverwind próbował zatrzymać ją u swego boku, lecz odsunęła się delikatnie i podeszła do widma z laską w dłoni. Armia zjaw otoczyła ich.

Nagle widmo wyciągnęło miecz z półprzejrystej pochwy. Uniosło go wysoko nad głową, a ostrze zapłonęło białym światłem zabarwionym błękitnymi płomieniami.

– Spójrzcie na laskę! – jęknęła Goldmoon.

Laska rozjarzyła się bladym błękitem, jakby odpowiadając mieczowi.

Upiorny król odwrócił się ku Raistlinowi i wyciągnął bladą rękę do czarodzieja w transie. Caramon wydał ochrypły ryk i wyrwał się z rąk Tanisa. Wyciągnawszy broń, rzucił się na umarłego wojownika. Ostrze przeszło migotliwe ciało, lecz to Caramon wrzasnął z bólu i wijąc się, upadł na ziemię. Tanis i Sturm przykłękli obok niego. Raistlin patrzył przed siebie z nie zmienionym, niewzruszonym wyrazem twarzy.

– Caramonie, gdzie... – Tanis trzymał go, rozpaczliwie usiłując zobaczyć, gdzie zwałisty mężczyzna został zraniony.

– Moja dłoń! – Caramon kołysał się w tę i z powrotem, szlochając przy tym i wciskając lewą dłoń – tę, którą włada mieczem – mocno pod prawą pachę.

– Co się stało? – spytał Tanis. Potem, ujrawszy miecz wojownika leżący na ziemi, już wiedział: miecz Caramona pokryty był szronem.

Tanis z przerażeniem podniósł wzrok i ujrzał dłoń widma zaciskającą się mocno na nadgarstku Raistlina. Wątlym ciałem maga wstrząsnął dreszcz, a twarz wykrzywił ból, lecz czarodziej nie upadł. Zamknął oczy, zmarszczki cynizmu i goryczy na jego twarzy wygładziły się i zstąpił na niego spokój śmierci. Tanis przyglądał się temu pełen lęku i podziwu, ledwie świadom ochrypłych wrzasków Caramona. Ujrzał, że twarz Raistlina znów się zmienia i tym razem przepełniają ekstaza. Atmosfera mocy czarodzieja wzmacniała się aż do chwili, gdy zapłonęła wokół niego niemal namacalnym blaskiem.

– Zostaliśmy wezwani – rzekł Raistlin. Powiedział to już swym własnym głosem, choć nie przypominał on żadnego tonu, jakim do tej pory się posługiwał. – Musimy iść.

Czarodziej odwrócił się do nich plecami i wszedł w las, a koścista dłoń upiornego króla wciąż zaciskała się na jego przegubie. Krąg umarłych rozstał się, pozwalając mu przejść.

– Zatrzymajcie ich – jęknął Caramon. Wstał z Wysiłkiem.

– Nie możemy! – Tanis zmagił się z nim, by go zatrzymać, i wreszcie olbrzymi mężczyzna padł w objęcia półelfa, płacząc jak dziecko. – Pójdziemy za nim. Nic mu się nie stanie. Jest przecież magiem. Caramonie, my nie potrafimy tego zrozumieć. Pójdziemy za nim...

Oczy umarłych, którzy przyglądali się przechodzącym obok i wkraczającym do lasu przyjaciom, zamigotały upiornym blaskiem. Widmowe wojsko zwarło szeregi za nimi.

Drużyna znalazła się pośrodku szalejącej bitwy. Słysząc było szcęk oręża, ranni wołali o pomoc. Tak prawdziwa była wrzawa bitewna w ciemności, że Sturm odruchowo wyciągnął miecz. Zgiełk ogłuszył go; rycerz uchylał się i uskakiwał przed ciosami, przekonany, że są wymierzone w niego. W rozpaczy wymachiwał mieczem w czarnej pustce, wiedząc, że jest zgubiony i że nie ma ucieczki. Zaczął biec i wypadł nagle z lasu na pustą, jałową polanę. Przed nim stał samotnie Raistlin. Czarodziej miał zamknięte oczy. Westchnął delikatnie, a potem osunął się na ziemię. Sturm pobiegł do niego, lecz wtedy pojawił się Caramon i niemal przewrócił Sturma, docierając do brata i czule biorąc go w objęcia. Jedni po drugich, pozostali wbiegli na polanę, jakby coś ich tam zapędziło. Raistlin wciąż szeptał dziwne, nieznanym słowom. Widma znikły.

– Raist! – szlochał urywanym głosem Caramon. Powieki czarodzieja drgnęły i podniosły się. – Zakłęcie... wyczerpało mnie.... – szepnął. – Muszę odpocząć....

– I odpoczniesz! – zadudnił czyjś głos. Głos żywej istoty!

Tanis westchnął z ulgą, mimo iż jednocześnie sięgnął po miecz. Wraz z pozostałymi szybko skoczył, by zasłonić Raistlina, odwracając twarz na zewnątrz i wbijając wzrok w ciemność. Wtedy niespodzianie pojawił się srebrny księżyc, jakby czyjaś dłoń wyciągnęła go spod czarnego, jedwabnego szala. Teraz dostrzegli głowę i barki mężczyzny stojącego między drzewami. Jego nagie ramiona były równie wielkie i muskularne, co Caramona. Na karku wiła mu się grzywa długich włosów, a bystre oczy błyszczały chłodno. Drużyna posłyszała szelest w zaroślach i ujrzała błysk grotu włóczni wymierzonej w Tanisa.

– Odłóżcie swój nikczemny oręż – ostrzegł mężczyzna. – Wyście otoczeni i bez widoków na powodzenie.

– To podstęp – szepnął Sturm, lecz kiedy to powiedział, rozległ się donośny trzask i gruchot pękających gałęzi. Pojawili się następni mężczyźni i otoczyli ich, a wszyscy zbrojni byli we włócznie połyskujące w świetle księżyca.

Wtedy wystąpił naprzód pierwszy mąż, a towarzysze, opuściwszy broń, przyjrzeni mu się ze zdumieniem. Mąż ów nie był wcale człowiekiem, lecz centaurem! Miał ludzką postać od pasa w górę, a końskie ciało od pasa w dół. Zbliżył się lekkim, pełnym wdzięku kłusem, a potężne mięśnie falowały na jego masywnej piersi. Na jego władczy gest inne centaury wyszły na ścieżkę. Tanis schował miecz do pochwy. Flint kichnął.

– Waszmościowie pójdą z nami – polecił centaur.

– Mój brat jest chory – rzekł opryskliwie Caramon. – On nigdzie nie może iść.

– Połóż go na mym grzbiecie – rzekł chłodno centaur. – Po prawdzie, gdyby któryś z was był zmęczony, waszmościowie mogą dosiąść nas i pojechać tam, gdzie się udajemy.

– Dokąd nas zabieracie? – spytał Tanis.

– Waszmość nie jest uprawnien zadawać pytania. – Centaur szturchnął włócznią w plecy Caramona. – Czeka nas daleka i szybka podróż. Sugeruję waści siaść na mym grzbiecie. Aliści nie obawiajcie się niczego. – Skłonił się przed Goldmoon, wyciągając przednią nogę i dotykając dłonią zmierzwionych włosów. – Nie stanie się waszmościom krzywda tej nocy.

– Mogę pojechać, Tanisie, proszę? – błagał Tasslehoff.

– Nie ufaj im! – Flint kichnął gwałtownie.

– Ja im nie ufam – mruknął Tanis – ale nie wygląda mi na to, żebyśmy w tej kwestii mieli jakiś wybór – Raistlin nie może iść. Zgoda, Tas. Pozostali też mogą.

Spoglądając na centaury podejrzliwie spode łba, Caramon wziął brata na rękę i posadził go na grzbiecie jednego z pół-ludzi, pół-zwierząt. Osłabiony Raistlin pochylił się do przodu.

– Wsiądź na mój grzbiet – powiedział centaur do Caramona. – Uniosę ciężar waści obu. Waszmości bratu potrzebna będzie twa pomoc, albowiem spieszna będzie podróż tej nocy.

Czerwieniąc się z zakłopotania, ogromny wojownik wgramolił się na szeroki grzbiet centaury, a jego wielgachne nogi zwisały niemal do samej ziemi. Objął Raistlina i centaur ruszył z kopyta. Tasslehoff, chichocząc z radości, wskoczył na centaury i natychmiast ześliznął się z drugiej strony w błoto. Sturm westchnął, podniósł kendera i posadził go na grzbiecie centaury. Następnie, zanim Flint zdążył zaprotestować, rycerz posadził krasnoluda za Tasem. Flint próbował coś powiedzieć, lecz zdołał tylko kichnąć, nim centaur wyruszył. Tanis pojechał z pierwszym centaurem, który wyglądał na przywódcę.

- Dokąd nas zabieracie? – znów zapytał Tanis.
- Do Pani Lasu – odparł centaur.
- Pani Lasu? – powtórzył Tanis. – Kim ona jest – kimś takim, jak wy?
- Ona jest Panią Lasu – odpowiedział centaur i ruszył kłusem.

Tanis chciał zadać kolejne pytanie, lecz z powodu przyspieszonego kroku centaura podskoczył i niemal nie odgryzł sobie języka, zderzając się twardo z centaurzym grzbietem. Czując, iż ześlizguje się do tyłu w miarę przyspieszania tempa, Tanis objął ramionami szeroki tors centaura.

– Waść nie musisz mnie tak ścisnąć wół! – Centaur obejrzał się, a jego oczy zabłyśły w księżycowym świetle. – Moja w tym głowa, by waść nie spadł. Bądź spokojny. Wesprzyj waść swe dłonie na mym zadzie, by się dobrze balansować. Teraz dobrze. Trzymaj się waść mocno nogami.

Centaury opuściły szlak i zanurzyły się w puszczy. Blask księżycy natychmiast utonął w gąszczu drzew. Tanis czuł świszczące obok gałęzie, które szarpały go za ubranie. Mimo to centaur ani nie skręcał, ani nawet nie zwolnił tempa galopu, a Tanis mógł tylko zakładać, iż centaur znał dobrze szlak, którego półelf nie dostrzegał.

Wkrótce centaur zwolnił nieco kroku i wreszcie zatrzymał się. Tanis nic nie widział w oblepiającej go ciemności. Wiedział, że jego towarzysze są w pobliżu, tylko dlatego, że słyszał płytki oddech Raistlina, pobrzękiwanie zbroi Caramona i nieustające kichanie Flinta. Nawet światło laski Raistlina zgasło.

– Na ten las rzucono potężny czar – szepnął cicho czarodziej, gdy Tanis zapytał go o to. – Czar ten rozprasza wszystkie inne.

Niepokój Tanisa wzrósł jeszcze bardziej. – Dlaczego zatrzymujemy się?

– Bo waść już u celu. Zsiadaj – rozkazał grubiańsko centaur.

– Gdzie jesteśmy? – Tanis ześliznął się z szerokiego grzbietu centaura na Ciemie. Rozejrzał się wokół, lecz nic nie dojrzał. Najwyraźniej drzewa nie przepuszczały na ścieżkę nawet najmniejszego skrawka księżycowego czy gwiazdnego światła.

– Stoisz waść pośrodku Mrocznej Puszczy – odparł centaur. – A teraz żegnam i życzę waści wszelkiego dobrego – albo złego – zależy, jak waść zostanie osądzony przez Panią Lasu.

– Zaczekaj chwilę! – zawołał gniewnie Caramon. – Nie możesz nas tak zostawić w środku lasu, ślepych jak nowo narodzone kocięta...

– Zatrzymajcie ich! – rozkazał Tanis, sięgając po miecz. Lecz miecza nie było. Gwałtowne oburzenie Sturma dało mu znać, że rycerz właśnie odkrył to samo.

Centaur zachichotał. Tanis posłyszał stuk kopyt o miękką ziemię i szelest gałęzi drzew. Centaury odeszły.

– I bardzo dobrze! – kichnął Flint.

– Wszyscy jesteśmy? – spytał Tanis, wyciągając rękę i czując dodający otuchy uścisk silnej dłoni Sturma.

– Tu jestem! – pisnął Tasslehoff. – Och, Tanisie, czy to nie było cudowne? Ja...

– Cicho, Tas! – warknął Tanis. – A mieszkańcy równin?

– Tu jesteśmy – rzekł ponuro Riverwind. – Pozbawieni broni.

– Nikt nie ma broni? – zapytał Tanis. – Na niewiele zresztą by się zdała w tej przeklętej ciemności – dodał z goryczą.

– Ja mam swą laskę – rozległ się cicho niski głos Goldmoon.

– I potężna to broń, córko Que-Shu – dobiegł ich głęboki głos. – Broń dobra, której przeznaczeniem jest zwalczać słabość, rany i choroby. – Głos niewidzialnej istoty posmutniał.

– W tych czasach będzie użyta również jako broń przeciw złym istotom, których pragnieniem jest odnaleźć ją i zmieść z powierzchni tego świata.

Rozdział XI

Pani Lasu. Chwila wytchnienia

Kim jesteś? – zawołał Tanis. – Pokaż się!

– Nie uczynimy ci krzywdy – blagował Caramon.

– Oczywiście, że nie. – Głęboki głos był teraz rozbawiony – Nie macie broni. Zwróć ją wam, gdy czas będzie po temu odpowiedni. Nikt nie wchodzi z bronią do Mrocznej Puszczy, nawet rycerz solamnijski. Nie obawiaj się, szlachetny rycerzu. Widzę, że twój oręż jest starodawny i wielkiej wartości! U mnie będzie bezpieczny. Wybacz ten pozorny brak zaufania, lecz nawet wielki Huma złożył Smoczą Lancę u mych stóp.

– Huma! – powtórzył zdumiony Sturm. – Kim ty jesteś?

– Jestem Panią Lasu. – W tej samej chwili, gdy rozległ się głęboki głos, ciemność rozstała się. Pełne szacunku i lęku westchnienie, łagodne jak wiosenny wiatr, wydarło się przyjaciółom, gdy spojrzeli wprost przed siebie. Srebrny blask księżyca jasno oświetlał wysoki, skalny występ, na którym stała klacz jednorożca. Spoglądała na nich chłodno, a jej inteligentne oczy błyszczały nieskończoną mądrością.

Piękno jednorożca przenikało do głębi serca. Goldmoon wkrótce poczuła, iż w oczach stają jej łzy, aż zmuszona była spuścić powieki w obronie przed promienną wspaniałością zwierzęcia. Sierść jednorożca miała srebrną barwę księżycowego światła, róg był z błyszczącej perły, a grzywa przypominała morską pianę. Jej łeb mógłby być wyrzeźbiony z połyskliwego marmuru, lecz żaden człowiek ani nawet krasnolud nie potrafiłby oddać elegancji i wdzięku, jakie zakłute były w pięknych zarysach potężnego karku i muskularnej piersi. Jej nogi były silne, lecz delikatne, kopyta niewielkie i rozszczerzone, jak u kózki. W późniejszych dniach, gdy Goldmoon wędrowała mrocznymi ścieżkami, a w jej sercu królowała pustka rozpaczy i beznadziejności, wystarczyło, że zamknęła oczy i przypomniwała sobie jednorożca, by zaznać pocieszenia.

Jednorożec potrząsnął głową, a potem spuścił ją w dostojnym geście powitania. Przyjaciele, czując się nie na miejscu, skłonili się w odpowiedzi, niezdarni i zażenowani. Jednorożec nagle obrócił się i galopem zbiegł po skałach.

Poczuwszy się jakby zdjęto z niego zaklęcie, Tanis rozejrzał się wokół. Jasne światło księżyca padało na leśną polanę. Wysokie drzewa otaczały ich jak olbrzymi, dobroduszni strażnicy. Półelf doznał głębokiego, niezmaconego poczucia spokoju. Jednakże okolicę przenikał także smutek.

– Odpocznijcie – powiedziała Pani Lasu, schodząc pomiędzy nich. – Jesteście znużeni

i głodni. Wkrótce przyniosą

jedzenie i wodę do mycia. Możecie poniechać ostrożności i obaw tego wieczoru. Tu jest bezpiecznie, jeśli gdziekolwiek tej nocy jest na ziemi bezpiecznie.

Caramon, któremu oczy rozbłysły na wzmiankę o jedzeniu, postawił brata na ziemi. Raistlin osunął się w trawę, oparłszy o pień drzewa. Jego twarz była trupio blada w świetle srebrnego księżyca, lecz oddychał bez wysiłku. Wyglądał nie tyle na chorego, co straszliwie wycieńczonego. Caramon usiadł obok niego i rozglądał się za jedzeniem. Potem westchnął ciężko.

– Pewno znowu jakieś jagódki – odezwał się nieszczęśliwym tonem do Tanisa. – Chcę mięsa – pieczony udziec jeleni, ładny, skwierczący kawałek królika...

– Cicho bądź – upomniał go ledwo słyszalnie Sturm, spoglądając na Panią Lasu. – Pewno z ciebie pierwszego kazałaby zrobić pieczeń!

Z lasu wyszły centaury, niosąc czysty, biały obrus, który rozścieliły na trawie. Inne umieściły na nim świecące, przejrzyste kule z kryształu, które rozjaśniły okolicę.

Tasslehoff przyjrzał się lampom z ciekawością. – To są światła z żuczków!

We wnętrzu kryształowych kul znajdowały się tysiące małych robaczków, z których każdy miał na grzbiecie dwie jarzące się jaskrawo plamki. Żuczki wędrowały po wnętrzu kul, najwyraźniej zadowolając się badaniem swego otoczenia.

Następnie centaury wnieśli miski z chłodną wodą i czyste, białe kawałki tkaniny, by przyjaciele mogli umyć twarze i ręce. Woda odświeżyła ich ciała i umysły, zmywając ślady bitwy. Inne centaury ustawiły krzesła. Caramon przyjrzał im się z powątpiewaniem. Krzesła były wykonane z jednego kawałka drewna. Wyglądały na wygodne, lecz każde miało tylko jedną nogę!

– Siadźcie, proszę – rzekła łaskawie Pani Lasu.

– Nie mogę siąść na czymś takim! – zaprotestował wojownik. – Przewrócę się. – Stał przy brzegu obrusa. – Poza tym obrus jest rozłożony na trawie. Siadę na trawie przy nim.

– Bliżej jedzenia – mruknął Flint pod nosem.

Pozostali spojrzeli niepewnie na krzesła, dziwne, kryształowe lampki z robaczkami i na centaury. Jednakże córka wodza wiedziała, czego się oczekuje od gości. Chociaż wielki świat mógł uważać jej lud za barbarzyńców, plemię Goldmoon miało surowe reguły uprzejmości, których pieczołowite przestrzeganie było świętym obowiązkiem. Goldmoon wiedziała, że kazać gospodarzowi czekać jest obrazą zarówno dla gospodarza, jak i jego hojności. Usiadła więc z gracją królowej. Jednonogie krzesło zakołysało się lekko,

przystosowując się do jej wzrostu i dopasowując do jej figury.

– Usiądź po mej prawicy, wojowniku – powiedziała dostojnie, świadoma licznych spojrzeń, które się na niej skupiały.

Twarz Riverwinda nie wyrażała żadnych uczuć, choć wojownik przedstawiał śmieszny widok, gdy próbował zgiąć swą wysoką postać i zasiąść w tak kruchym na pozór krześle. Jednak gdy już usiadł, wygodnie rozparł się w nim i niemal uśmiechnął z miłym niedowierzaniem.

– Dziękuję wam wszystkim, iż zaczekaliście, aż usiądę – rzekła pośpiesznie Goldmoon, aby ukryć wahanie pozostałych. – Teraz wy możecie zasiąść do stołu.

– Och, nie ma sprawy – zaczął Caramon, zakładając ręce na piersi. – Wcale nie czekałem. Nie mam zamiaru siadać na którymś z tych sfiksowanych krze... – Sturm trącił wojownika ostro łokciem w bok.

– Czcigodna pani – Sturm skłonił się i usiadł z rycerską godnością.

– Skoro on może, to ja też – mruknął Caramon, a jego decyzję przyspieszył fakt, iż centaury zaczęły wnosić jedzenie. Pomógł usiąść bratu, a potem sam zasiadł ostrożnie, upewniwszy się najpierw, że krzesło utrzyma jego ciężar.

Cztery centaury ustawiły się w czterech rogach wielkiego białego obrusa rozścielonego na ziemi. Uniosły go na wysokość stołu, a następnie puściły. Obrus utrzymał się w powietrzu, a jego delikatnie haftowana powierzchnia była równie twarda i mocna, jak każdy z solidnych stołów w gospodzie Ostatni Dom.

– Wspaniale! Jak one to robią? – wykrzyknął Tasslehoff, zaglądając pod obrus. – Pod spodem nic nie ma! – ogłosił, wybałuszając oczy.

Centaury wybuchnęły głośnym śmiechem i nawet Pani Lasu uśmiechnęła się. Następnie centaury położyły na stole talerze z prześlicznie wyrzeźbionego i wypolerowanego drewna. Każdy gość otrzymał nóż i widelec wykonany z rogów jelenia. Półmisek gorącego, pieczonego mięsiwa rozsiewały kuszącą, dymną woń. Pachnące bochenki chleba i ogromne, drewniane misy pełne owoców połyskiwały w delikatnym świetle lamp.

Poczuwszy się bezpiecznie w krześle, Caramon zatarł ręce. Potem uśmiechnął się od ucha do ucha i podniósł widelec. – Achhh! – westchnął z zadowolenia, gdy jeden z centaurów postawił przed nim półmisek pełen pieczonej jeleniny. Caramon wbił widelec w pieczeń i z rozkoszą powąchał parę i sok, które trysnęły z mięsa. Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy mu się przypatrują. Zatrzymał się i rozejrzał wokół.

– Co jest? – zapytał, mrugając oczami. Wtedy jego wzrok spoczął na Pani Lasu. Zaczerwienił się i pośpiesznie odłożył widelec. – Ja... błagam o wybaczenie. Ten jeleni musiał być kimś, kogo znałaś – to znaczy – jednym z twoich poddanych.

Pani Lasu uśmiechnęła się łagodnie. – Nie frasuj się wojownikowi – rzekła. – Jeleń wypełnia swoje życiowe przeznaczenie, dając pokarm łowcy – czy będzie nim wilk, czy człowiek. Nie oplakujemy straty tych, którzy umarli, spełniając swe przeznaczenie.

Tanisowi wydało się, że w chwili gdy to mówiła, ciemne oczy Pani Lasu spoczęły na Sturmie, a przepełniał je tak głęboki smutek, że serce półelfa zmroził strach. Lecz kiedy ponownie odwrócił się ku Pani Lasu, dostrzegł, że wspaniałe zwierzę znów się uśmiecha. – To tylko moja wyobraźnia – pomyślał.

– Skąd mamy wiedzieć, czcigodna pani – spytał z wahaniem Tanis – czy życie jakiejś istoty spełniło swój cel? Znałem bardzo starych ludzi, którzy umarli w goryczy i rozpacz. Widziałem małe dzieci, które umarły przed swym czasem, lecz pozostawiły po sobie takie dziedzictwo miłości i radości, że żal po ich odejściu łagodziła świadomość, że ich krótkie życie tak wiele dało innym.

– Sam sobie odpowiedziałeś, Tanisie Półelfie, dużo lepiej niż ja potrafiłabym – odrzekła z powagą Pani Lasu. – Powiedzmy, że nasze życie nie mierzy się zyskiem, lecz daniem innym.

Półelf chciał odpowiedzieć, lecz Pani Lasu przerwała mu. – Zapomnij na razie o swych troskach. Ciesz się spokojem mojego lasu, póki możesz. Jego czas przemija.

Tanis rzucił przenikliwe spojrzenie Pani Lasu, lecz ona odwróciła uwagę od niego i spoglądała w głąb puszczy oczami zamglonymi smutkiem. Półelf zastanawiał się, co mogła mieć na myśli, i siedział pogrążony w posępnych rozważaniach, dopóki nie poczuł, że ktoś łagodnie dotyka dłonią jego ręki.

– Powinieneś coś zjeść – rzekła Goldmoon. – Twe troski nie znikną po posiłku – a jeśli tak, to tym lepiej.

Tanis uśmiechnął się do niej i zaczął jeść z wielkim apetytem. Posłuchał rady Pani Lasu i na jakiś czas odesłał troski na samo dno umysłu. Goldmoon miała rację: istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że przepadną.

Reszta przyjaciół uczyniła to samo, przyjmując osobliwość otoczenia z opanowaniem godnym bywałych wędrowców. Choć nie było innego napoju poza wodą – ku wielkiemu rozczarowaniu Flinta – chłodny, czysty płyn zmył strach i wątpliwości z ich serc, tak jak zmył krew i brud z ich rąk. Śmiali się, rozmawiali i jedli, ciesząc się towarzystwem przyjaciół. Pani

Lasu nie odezwała się już więcej, lecz przyglądała się każdemu po kolei.

Błada twarz Sturma odzyskała nieco rumieńców. Rycerz jadł z wdziękiem i godnością. Siedząc obok Tasslehoffa, udzielał odpowiedzi na nie kończącą się serię pytań kendera dotyczącą jego ojczyzny. Poza tym, bez nadmiernego zwracania niczyjej uwagi, wydobył z sakwy Tasslehoffa nóż i widelec, które w niewytłumaczalny sposób tam się znalazły. Rycerz siedział tak daleko od Caramona, jak było to możliwe, i czynił wszystko, co w jego mocy, by go nie zauważać.

Widać było wyraźnie, że ogromnemu wojownikowi smakuje posiłek. Zjadł trzy razy więcej, niż ktokolwiek inny, trzy razy szybciej i trzy razy głośniej. Kiedy nie jadł, opisywał Flintowi walkę z trollem, używając kości, którą obgryzał, jako miecza, by ilustrować swe pchnięcia i uniki. Flint pałaszował ze smakiem i mówił Caramonowi, że jest największym kłamcą na Krynnie.

Raistlin, który siedział obok brata, jadł bardzo niewiele, wybierając tylko najdelikatniejsze kęski mięsa, kilka winogron i kawałeczek chleba, który najpierw namoczył w wodzie. Nic nie mówił, tylko przysłuchiwał się uważnie, wchłaniając duszą wszystko, co powiedziano, magazynując do późniejszego porównania i użytku.

Goldmoon spożywała posiłek delikatnie, z wyćwiczoną swobodą. Księżniczka Queshu była przyzwyczajona do jedzenia na widoku publicznym i bez trudu podtrzymywała konwersację. Rozmawiała pogodnie z Tanisem, zachęcając go do opisywania krainy elfów i innych krajów, które zwiedził. Riverwind, siedzący obok niej, czuł się wyjątkowo skrępowany i zażenowany. Chociaż nie był tak głośnym żarłokiem jak Caramon, mieszkaniec równin wyraźnie był przyzwyczajony bardziej do jedzenia przy ognisku ze swymi towarzyszami z plemienia, niż na królewskim dworze. Posługiwał się sztucami niezgrabnie i był świadom, że przy Goldmoon sprawia wrażenie nieokrzesanego. Nie odzywał się i wyglądało na to, że najchętniej wtopiłby się w tło.

Wreszcie wszyscy zaczęli odsuwać talerze i usadowili się wygodnie na dziwnych, drewnianych krzesłach, kończąc obiad kawałkami słodkiego, kruchego ciasta. Ku wielkiej uciechu centaurów Tas zaczął śpiewać podróżną pieśń kenderów. Wtem niespodziewanie przemówił Raistlin. Jego cichy, szepczący głos wśliznął się pomiędzy śmiech i głośne rozmowy.

– Pani Lasu – wysyczał mag – dziś stoczyliśmy walkę z plugawymi stworzeniami, jakich nie widzieliśmy nigdy wcześniej na Krynnie. Czy możesz nam o nich coś powiedzieć?

Atmosfera odpoczynku i radosnej zabawy została zgaszona równie skutecznie, jakby nakrył ją ktoś całunem. Wszyscy sposepniali.

– Te stwory chodzą jak ludzie – dodał Caramon – ale wyglądają jak gady. Mają pazurzaste ręce i stopy, skrzydła i... – ściszył głos – po śmierci zmieniają się w kamień.

Pani Lasu przyjrzała im się ze smutkiem i wstała. Wydawało się, że oczekiwała na to pytanie. – Wiem o tych stworach – odparła. – Kilka z nich weszło do Mrocznej Puszczy z oddziałem goblinów z Haven tydzień temu. Ubrane były w płaszcze i kaptury, bez wątpienia po to, by ukryć swój wstrętny wygląd. Centaury szły ich śladem potajemnie, by upewnić się, że nie wyrządzą nikomu krzywdy, zanim nie rozprawią się z nimi widmowi strażnicy. Centaury doniosły, że stwory te nazywają siebie „smokowcami” i wspominają o przynależności do „Zakonu Draco”.

Czoło Raistlina pokryły zmarszczki. – Draco – szepnął, zastanawiając się. – Lecz kim w takim razie są? Do jakiego gatunku czy rasy należą?

– Nie wiem. Mogę tylko to powiedzieć: nie należą oni do świata zwierzęcego ani do żadnej z ras Krynny.

Upłynęła chwila, nim wszyscy przyjęli to do wiadomości. Caramon mrugnął oczami.

– Ja nie... – zaczął.

– Ona chciała przez to powiedzieć, mój bracie, że nie pochodzą z tego świata – wyjaśnił niecierpliwie Raistlin.

– W takim razie, skąd? – zapytał zaskoczony Caramon.

– To jest pytanie, nieprawdaż? – rzekł chłodno Raistlin.

– Skąd oni pochodzą – i po co przybyli?

– Na to nie umiem odpowiedzieć. – Pani Lasu potrząsnęła głową. – Mogę ci jednak powiedzieć, że zanim widmowi strażnicy położyli kres życiu tych smokowców, powiedzieli oni o wojskach na północy.

– Widziałem je. – Tanis wstał. – Ogniska obozowe... – Słowa mu uwięzły w gardle, gdy uświadomił sobie, co Pani Lasu miała na myśli. – Wojska? Tych smokowców? Muszą być ich tam tysiące! – Teraz wszyscy już wstali i mówili jednocześnie.

– Niemożliwe! – zachnął się rycerz.

– Kto się za tym kryje? Poszukiwacze? Na bogów – ryknął Caramon – mam ochotę udać się do Haven i porozbijać...

– Jedź do Solamni, nie do Haven – doradził głośno Sturm.

– Powinniśny udać się do Qualinóstu – przekonywał Tanis. – Elfowie...

– Elfowie mają swoje własne kłopoty – przerwała Pani Lasu, a jej chłodny głos wywarł kojący wpływ. – Podobnie jak szlachetni poszukiwacze w Haven. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Powiem wam jednak, dokąd musicie się udać, aby znaleźć odpowiedź na

dręczące was pytania.

– Co masz na myśli mówiąc, że powiesz nam, gdzie iść?

– Czerwona szata Raistlina zafalowała, gdy wystąpił powoli naprzód. – Co o nas wiesz? – Mag przerwał, a jego oczy zwięzła nagła myśl.

– Tak, spodziewałam się was – odparła Pani Lasu w odpowiedzi na myśli Raistlina. – Wielka, jaśniejąca istota objawiła mi się dziś na pustkowiu. Powiedziała mi ona, że tej nocy przybędzie do Mrocznej Puszczy osoba niosąca laskę z błękitnego kryształu. Widmowi strażnicy przepuszczą powierniczkę laski i jej towarzyszy – choć nie pozwolili żadnemu człowiekowi ani elfowi, krasnoludowi czy kenderowi wejść do Mrocznej Puszczy od czasów kataklizmu. Miałam przekazać tej, która niesie laskę, tę oto wiadomość: Musicie polecieć prosto przez Góry Wschodniej Ściany. Za dwa dni ta, która niesie laskę, musi znaleźć się w Xak Tsaroth. Tam, jeśli okażecie się godni, otrzymacie największy skarb, jaki dano temu światu.

– Góry Wschodniej Ściany! – Krasnolud otworzył usta.

– Rzeczywiście musielibyśmy lecieć, żeby dotrzeć do Xak Tsaroth za dwa dni. Jaśniejąca istota! Też mi coś! – Pstryknął drwiąco palcami.

Pozostali niepewnie popatrzyli na siebie nawzajem. Wreszcie Tanis przemówił z wahaniem. – Obawiam się, że krasnolud ma rację, Pani Lasu. Podróż do Xak Tsaroth byłaby długa i niebezpieczna. Musielibyśmy wracać przez okolice zamieszkane przez gobliny i tych smokowców.

– A potem musielibyśmy przebyć równiny – Riverwind odezwał się po raz pierwszy od czasu spotkania Pani Lasu. –

Stracilibyśmy życie. – Wskazał na Goldmoon. – Que-Shu są zawziętymi wojownikami i dobrze znają okolicę. Oni czekają. Nigdy nie przedostalibyśmy się tamtędy cali. – Spojrzał na Tanisa. – Poza tym mój lud nie darzy sympatią elfów.

– A po co mamy w ogóle iść do Xak Tsaroth? – odezwał się opryskliwie Caramon. – Największy skarb – cóż to może być? Potężny miecz? Skrzynia pełna stalowych monet? To by się przydało, ale wygląda na to, że na północy szykuje się wojna. Szkoda byłoby, gdyby mnie ominęła.

Pani Lasu poważnie skinęła głową. – Rozumiem wasz dylemat – powiedziała. – Proponuję taką pomoc, jaka jest w mojej mocy. Dopilnuję, byście dotarli do Xak Tsaroth w dwa dni. Pozostaje jednak pytanie, czy zgodzicie się pójść?

Tanis odwrócił się ku pozostałym. Twarz Sturma była ściągnięta i wymizerowana. Rycerz spojrział Tanisowi w oczy i westchnął. – Jeleń przyprowadził nas tutaj – rzekł powoli – być może po to, byśmy wysłuchali tej rady. Jednak serce ciągnie mnie na północ, do mojej

ojczyzny. Jeśli wojska tych smokowców przygotowują się do napaści, moje miejsce jest wśród rycerzy, którzy z pewnością zgromadzą się, by walczyć ze złem. Mimo to nie chciałbym opuszczać cię, Tanisie, ani ciebie, o pani. – Skinął ku Goldmoon, a potem przygarbił się ze zmęczenia i spuścił obolałą głowę, wspierając ją na rękach.

Caramon wzruszył ramionami. – Ja pójdę wszędzie i będę walczył z każdym. Wiesz o tym, Tanisie. A co ty powiesz, bracie?

Lecz Raistlin, wpatrzony w ciemność, nie odpowiedział.

Goldmoon i Riverwind rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami. Pokiwali głowami, a potem Goldmoon rzekła do Tanisa – Pójdziemy do Xak Tsaroth. Doceniamy wszystko, co uczyniliście dla nas...

– Ale nie prosimy już nikogo o pomoc – oświadczył dumnie Riverwind. – To zakończenie naszej wyprawy. Tak, jak zaczęliśmy ją sami, tak i zakończymy ją w samotności.

– I zginiecie w samotności! – rzekł cicho Raistlin. Tanis zadrżał. – Raistlinie – powiedział – chciałbym pomówić z tobą.

Mag odwrócił się posłusznie i odszedł z półelfem w niewielki zagajnik rachitycznych i skarlłowaciałych drzew. Otoczyła ich ciemność.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – powiedział Caramon, niespokojnie śledząc brata wzrokiem.

– I pomyśl tylko o wszystkich kłopotach, w jakie wtedy pakowaliśmy się – przypomniał mu Flint, sadowiąc się z rozmachem na trawie.

– Ciekawe, o czym oni rozmawiają? – powiedział Tasslehoff. Dawno temu kender usiłował podsłuchiwać prywatne rozmowy czarodzieja i półelfa, ale Tanis zawsze przyłapywał go i przepędzał. – Dlaczego nie mogą porozmawiać o tym z nami?

– Ponieważ prawdopodobnie wydarlibyśmy serce Raistlinowi – odrzekł Sturm cichym, pełnym bólu głosem. – Niezależnie od tego, co twierdzisz, Caramonie, w twoim bracie czai się mrok i Tanis już go ujrzał. Za co jestem mu wdzięczny. On potrafi sobie z tym poradzić. Ja nie potrafiłbym.

Caramon nic nie odpowiedział, co mu się przedtem nie zdarzało. Zdumiony Sturm uważnie spojrział na niego. Dawniej wojownik rzuciłby się, żeby bronić brata. Teraz siedział w milczeniu, przejęty czymś, a na jego twarzy malował się wyraz zatroskania. A więc istnieje mrok w Raistlinie i Caramon teraz też już wie, co to jest. Sturm wzdrygnął się, zastanawiając się, co wydarzyło się w ciągu tych pięciu lat, że rzuciło tak posepny cień na niefrasobliwego wojownika.

Raistlin szedł obok Tanisa. Założywszy ręce na piersi, czarodziej ukrył dłonie w

rękawach i spacerował ze spuszczoną w zamyśleniu głową. Tanis wyczuwał żar ciała promieniujący przez czerwone szaty, jakby Raistlina spalał jakiś wewnętrzny ogień. Jak zwykle Tanis czuł się niespokojnie w towarzystwie młodego maga. Lecz obecnie nie znał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić po poradę. – Co wiesz o Xak Tsaroth?

– spytał Tanis.

– Była tam świątynia – świątynia starożytnych bogów

– szepnął Raistlin. Jego oczy błyszczały w niesamowitym

świecie czerwonego księżyca. – Miasto uległo zniszczeniu w czasie kataklizmu, a tamtejszy lud uciekł, przekonany, iż bogowie opuścili go. Pamięć o nim zaginęła. Nie wiedziałem, że jeszcze istnieje.

– Co ujrzałeś, Raistlinie? – spytał cicho Tanis po długiej przerwie. – Spoglądałeś w dal ... co zobaczyłeś?

– Jestem magiem, Tanisie, nie wieszczem.

– Nie traktuj mnie w ten sposób – warknął Tanis. – Upłynęło wiele czasu, lecz nie aż tak wiele. Wiem, że nie masz daru przewidywania przyszłości. Rozmyślałeś, a nie wróżyłeś. I doszedłeś do pewnych wniosków. Chcę je usłyszeć. Masz więcej rozumu od nas wszystkich, nawet jeśli... – przerwał.

– Nawet jeśli jestem spaczony i zwyrodniały. – Głos Raistlina nabrał siły, pobrzmiwając szorstką arogancją. – Tak, jestem bystrzejszy od ciebie – od was wszystkich. I któregoś dnia udowodnię to! Kiedyś wy – z całą swą siłą, wdziękiem i urodą – wy – wy wszyscy, nazwiecie mnie panem! – Jego dłonie zacisnęły się w pięści w głębi szat, a oczy płonęły czerwono w szkarłatnym blasku księżyca. Tanis, przyzwyczajony do takich tyrad, czekał cierpliwie. Czarodziej uspokoił się i rozluźnił zaciśnięte dłonie. – Na razie jednak udzielę ci rady. Co ujrzałem? Te wojska, Tanisie, te wojska smokowców zajmą Solace i Haven i wszystkie ziemie twoich ojców. Oto powód, dla którego musimy udać się do Xak Tsaroth. To, co tam znajdziemy, stanie się przyczyną zguby tych armii.

– Ale jaki cel mają te armie? – zapytał Tanis. – Dlaczego ktoś chciałby zająć Solace i Haven, i Równiny na wschodzie? Czy to robota poszukiwaczy?

– Poszukiwacze? Ha! – parsknął Raistlin. – Otwórz oczy, Półelfie. Ktoś lub coś potężnego stworzyło te istoty – tych smokowców. Z pewnością nie ci idioci poszukiwacze. I nikt nie zadaje sobie tyle trudu, żeby zająć dwa rolnicze miasteczka ani nawet żeby szukać laski z błękitnego kryształu. To wojna zaborcza, Tanisie. Ktoś chce podbić Ansalon! Za dwa dni życie na Krynnie, takie jakim je znaleźliśmy, zakończy się. To głosiły upadłe gwiazdy. Królowa Ciemności powróciła. Mamy do czynienia z wrogiem, który pragnie co najmniej

zniewolić nas, a być może unicestwić całkowicie.

– Co radzisz? – spytał Tanis z ociąganiem. Czuł nadciągającą zmianę, a jak wszyscy elfowie, nie znosił zmian i obawiał się ich.

Raistlin uśmiechnął się krzywo i gorzko, rozkoszując się chwilą swej wyższości. – Radzę natychmiast udać się do Xak Tsaroth. Wyruszyć jeszcze dziś w nocy, jeśli to możliwe, zgodnie z tym, co zaplanowała Pani Lasu. Jeśli nie zdobędziemy tego daru w ciągu dwóch dni – uczynią to smokowcy.

– Jak sądzisz, co to może być za dar? – zastanawiał się Tanis na głos. – Miecz albo monety, jak powiedział Caramon?

– Mój brat jest głupcem – stwierdził chłodno Raistlin. – Ty nie wierzysz w to i ja też nie.

– A więc co? – naciskał Tanis.

Raistlin zmrużył oczy. – Udzieliłem ci rady. Postąpisz, jak będziesz chciał. Ja mam swoje własne powody, żeby tam się udać. Zostawmy sprawę na tym, Półelfie. Czeka nas niebezpieczeństwo. Xak Tsaroth zostało opuszczone trzysta lat temu. Nie sądzę, by długo stało nie zamieszkane.

– To prawda – rozważał Tanis. Stał w milczeniu przez długą chwilę. Czarodziej kaszlnął raz, cicho. – Czy wierzysz, że zostaliśmy wybrani, Raistlinie? – spytał Tanis.

Mag nie wahał się. – Tak. Dano mi to do zrozumienia w Wieżach Wielkiej Magii. Tak powiedział Par-Salian.

– Ale dlaczego? – pytał niecierpliwie Tanis. – My się nie nadajemy na bohaterów – no, może Sturm...

– Ach – westchnął Raistlin. – Lecz kto nas wybrał? I w jakim celu? Zastanów się nad tym, Tanisie Półelfie! Czarodziej skłonił się Tanisowi drwiąco, odwrócił i zniknął w gąszczu, by dołączyć do reszty grupy.

Rozdział XII

Skrzydlaty sen. Dym na wschodzie. Mroczne wspomnienia

Xak Tsaroth – powiedział Tanis. – Taka jest moja decyzja.

– Czy to właśnie doradza czarodziej? – zapytał nachmurzony Sturm.

– Tak – odparł Tanis. – I uważam, że powinniśmy go posłuchać. Jeśli nie dotrzemy do Xak Tsaroth za dwa dni, uczynią to inni i ten „największy dar” może zostać utracony na zawsze.

– Największy dar! – powiedział Tasslehoff z błyskiem w oku. – Pomyśl tylko, Flincie! Bezcenne klejnoty! Albo może...

– Antałek piwa i smażone kartofle Otika – mruknął krasnolud. – I miły, ciepły ogień. Ale nie Xak Tsaroth!

– W takim razie, wszyscy jesteśmy jednego zdania – powiedział Tanis. – Sturmie, jeśli uważasz, że jesteś potrzebny na północy, oczywiście możesz...

– Pójdę z wami do Xak Tsaroth. – Sturm westchnął. – Na północy nie ma niczego dla mnie. Sam się oszukiwałem. Rycerze mego zakonu rozproszyli się, pozaszywali w rozpadających fortecach i walczą z komornikami.

Rycerz skrzywił się z wielkiego bólu i spuścił głowę. Tanis nagle poczuł się zmęczony. Bolał go kark, miał zeszywniałe barki i plecy, drżały mu mięśnie nóg. Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz wtedy poczuł czyjąś łagodną dłoń dotykającą jego ramienia. Obejrzał się i dostrzegł twarz Goldmoon, chłodną i spokojną w blasku księżyca.

– Jesteś znużony, mój przyjacielu – rzekła. – Wszyscy jesteśmy. Cieszymy się jednak, Riverwind i ja, że udajecie się z nami. – Miała silną dłoń. Podniosła głowę i zmierzyła jasnym wzrokiem całą grupę. – Cieszymy się, że wszyscy idziecie z nami.

Tanis, spojrzawszy na Riverwinda, nie był pewien, czy rosty mieszkaniec równin zgadzał się z nią.

– To tylko kolejna przygoda – powiedział Caramon, czerwieniąc się z zażenowania. – Co nie, Raist? – trącił łokciem brata.

Raistlin zlekceważył bliźniaka i spojrzął na Panią Lasu. – Musimy wyruszyć natychmiast – powiedział chłodno mag. – Wspomniałaś o tym, że pomożesz nam przebyć góry.

– W rzeczy samej – odparła Pani Lasu, kiwając głową z powagą. – Ja również cieszę się, że podjęliście taką decyzję. Mam nadzieję, że miła wam będzie moja pomoc.

Pani Lasu uniosła głowę, spoglądając w górę. Drużyna poszła w jej ślady. Nocne

niebo, widoczne przez sklepienie wysokich drzew, usiane było jasno migoczącymi gwiazdami. Wkrótce towarzysze dostrzegli coś lecącego po niebie, co zasłaniało przelotnie gwiazdy.

– Niech ja zostanę krasnoludem źlebowym – rzekł Flint z namaszczaniem. – Latające konie. A co dalej?

– Och! – westchnął głęboko Tasslehoff. Kender osłupiał z podziwu, przypatrując się pięknym zwierzętom, które zataczały koła nad ich głowami, zniżając się coraz bardziej za każdym obrotem. Ich sierść lśniła białobłękitnym blaskiem w świetle księżyca. Tas klasnął w dłonie. Nawet w najśmielszych marzeniach kenderowi nie śniło się latanie. To było warte walki z wszystkimi smokowcami na Krynnie.

Pegazy wylądowały na ziemi, a od łopotu ich pierzastych skrzydeł zerwał się wiatr, który szarpał gałęziami drzew i przygiął trawę do gruntu. Olbrzymi pegaz, którego skrzydła dotykały ziemi, gdy szedł, skłonił się z szacunkiem Pani Lasu. Zachowywał się dumnie i dostojnie. Reszta przepięknych stworzeń skłoniła się po kolei.

– Wzywałeś nas? – zapytał przywódca pegazów Panią Lasu.

– Tych oto moich gości wzywają na wschód sprawy niecierpiące zwłoki. Rozkazuję wam przenieść ich z szybkością wiatru przez Góry Wschodniej Ściany.

Pegaz spojrział na drużynę ze zdumieniem. Statecznym krokiem podszedł, by przyjrzeć się najpierw jednej osobie, a potem następnej. Kiedy Tas podniósł rękę, by pogłaskać wierzchowca po pysku, zwierzę nastawiło oba uszy i odrzuciło wielki łeb do tyłu. Kiedy jednakże pegaz dotarł do Flinta, parsknął z odrazy i zwrócił się do Władczyni Lasu. – Kender? Ludzie? I krasnolud!

– Obejdzie się bez twojej łaski, koniu! – Flint kichnął.

Pani Lasu tylko pokiwała głową i uśmiechnęła się. Pegaz skłonił się w geście niechętnego przyzwolenia. – Dobrze, o pani – odrzekł. Z pełną siłą gracją podszedł do Goldmoon i zaczął zginać przednią nogę, schylając się przed nią nisko, by pomóc przy wsiadaniu.

– Nie, nie kłękaj, szlachetny zwierzu – powiedziała. – Jeździłam już konno, zanim jeszcze nauczyłam się chodzić. Nie potrzeba mi pomocy. – Podawszy Riverwindowi laskę, Goldmoon objęła pegaza za szyję i wskoczyła na jego szeroki grzbiet. Jej srebrnozłote włosy rozwiane przez wiatr wyglądały w księżycowej poświacie jak białe pióra, a jej twarz była czysta i chłodna jak marmur. Teraz rzeczywiście wyglądała jak księżniczka barbarzyńskiego plemienia.

Wzięła laskę od Riverwinda. Wznosząc ją wysoko, zaintonowała pieśń. Riverwind, z

oczami błyszczącymi z podziwu, wskoczył za nią na grzbiet skrzydlatego konia. Objąwszy ją ramionami, przyłączył swój głęboki baryton do jej śpiewu.

Tanis nie miał pojęcia, o czym śpiewają, lecz wydawało mu się, że jest to pieśń zwycięstwa i triumfu. Krew w nim zawrzała i sam z chęcią przyłączyłby się. Jeden z pegazów przycwałował do niego. Podciągnął się i usadowił na jego szerokim grzbiecie przed potężnymi skrzydłami.

Teraz już wszyscy towarzysze, przejęci atmosferą podniosłej chwili, dosiadali swych wierzchowców. Pieśń Goldmoon uskrzydliła ich dusze, gdy pegazy rozłożyły swe olbrzymie skrzydła i chwyciły w nie prądy powietrzne. Wzbijały się coraz wyżej i wyżej, zataczając kręgi ponad lasem. Srebrny i czerwony księżyc skąpały dolinę poniżej i chmury powyżej niesamowitym, pięknym fiołkowym blaskiem, który przechodził w ciemniejszą purpurę nocy. Gdy las zniknął już pod nimi, ostatnim widokiem, jaki towarzysze ujrzeli, była Pani Lasu migocząca jak gwiazda, która spadła z niebios, samotne i zagubione światełko w krainie nadciągającego zmierzchu.

Jednego po drugim wędrowców zaczynała ogarniać senność. Tasslehoff zmagił się z tym magicznie wywołanym snem najdłużej. Zauroczone uderzeniem wiatru w twarz, urzeczony widokiem wysokich drzew, które normalnie wznosiły się wysoko nad nim, a teraz zmniejszone były do rozmiarów dziecinnych zabawek, Tas walczył z sennością jeszcze długo po tym, gdy inni już usnęli. Flint wsparł głowę na jego plecach i chrapał głośno. Goldmoon wtuliła się w objęcia Riverwinda. On opuścił

głowę na jej ramię. Nawet we śnie obejmował ją opiekuńczo. Caramon przechylił się na kark swego konia i sapał donośnie. Jego brat wspierał się o szerokie plecy bliźniaka. Sturm spał spokojnie, a ślady bólu znikły z jego twarzy. Nawet na brodatej twarzy Tanisa nie znać było troski, zmartwienia i odpowiedzialności.

Tas ziewnął. – Nie – wymamrotał, mrugając szybko i szczypiąc się.

– Odpocznij już, mały kenderze – rzekł z rozbawieniem jego pegaz. – Śmiertelnicy nie zostali stworzeni do latania. Ten sen jest dla waszego dobra. Nie chcemy, żebyście wpadli w panikę i pospadali.

– Ja nie spadnę – zaprotestował Tas, znów ziewając. Głowa mu opadła do przodu. Kark pegaza był ciepły i wygodny, futro pachnące i ciepłe. – Nie wpadnę w panikę – szeptał sennie Tas. – Nigdy nie panikuję... – I usnął.

Półelf obudził się gwałtownie i stwierdził, że leży na łące. Przywódca pegazów stał nad nim, spoglądając na wschód. Tanis usiadł.

– Gdzie jesteśmy? – zaczął. – To nie jest miasto. – Rozejrzał się. – Ależ ... nawet nie

przebyliśmy jeszcze gór!

– Przykro mi. – Pegaz odwrócił się do niego. – Nie mogliśmy zanieść was aż do Gór Wschodniej Ściany. Na wschodzie szykuje się jakieś nieszczęście. Mrok przepęlnia powietrze, taki mrok, jakiego nie czułem na Krynnie od niezliczonych...

– Przerwał, spuścił łeb i zaczął niespokojnie grzebać kopytem.

– Nie odważę się polecieć dalej.

– Gdzie jesteśmy? – powtórzył zdezorientowany półelf.

– I gdzie są pozostałe pegazy?

– Odesłałem je do domu. Sam zostałem, by strzec waszego snu. Teraz, skoro już obudziliście się, muszę też wracać do domu. – Pegaz spojrział surowo na Tanisa. – Nie wiem, co zbudziło to wielkie zło na Krynnie. Ufam, że to nie ty ani twoi towarzysze.

Rozpostarł swe wielkie skrzydła.

– Zaczekaj! – Tanis zerwał się na nogi. – Jakie... Pegaz wzbił się w powietrze skokiem, zatoczył dwa kręgi, a następnie odleciał szybko na zachód.

– Jakie zło? – zapytał posepnie Tanis. Westchnął i rozejrzał się. Jego towarzysze spali mocno, leżąc na ziemi w różnych pozach spoczynku. Przyjrzał się horyzontowi, usiłując zorientować się, gdzie jest. Zdał sobie sprawę, że jest już niemal świt. Słońce zaczynało rozświetlać wschód. Znajdował się na płaskim stepie. W zasięgu wzroku nie było ani jednego drzewa, nic, tylko jak okiem sięgnąć, rozległe połacie wysokiej trawy.

Zastanawiając się, co pegaz chciał powiedzieć, mówiąc o nieszczęściu na wschodzie, Tanis usiadł, by popatrzeć na wschód słońca i poczekać, aż jego przyjaciele pobudzą się. Nie martwił się zbytnio o to, gdzie się znajduje, bowiem domyślał się, że Riverwind zna w tej okolicy każde źdźbło. Tak więc wyciągnął się w trawie, twarzą zwrócony ku wschodowi i stwierdził, że od wielu nocy nie czuł się tak wypoczęty, jak po tym dziwnym śnie.

Nagle usiadł raptownie, ponieważ opuściło go uczucie spokoju, a lęk ścisnął mu gardło niewidzialną dłonią. Bowiem ku nowemu, jasnemu słońcu wznosiły się niczym węże trzy kręte, grube kolumny czarnego, tłustego dymu. Tanis zerwał się na nogi. Podbiegł do Riverwinda i potrząsnął nim łagodnie, starając się obudzić mieszkańca równin, nie wrywając Goldmoon ze snu.

– Szsz – szepnął Tanis, przykładając ostrzegawczo palec do warg i wskazując głową na śpiącą kobietę, gdy Riverwind mrugnął i popatrzył na półelfa. Widząc ponurą minę Tanisa, barbarzyńca natychmiast oprzytomniał. Wstał szybko i odszedł na bok z Tanisem, rozglądając się dookoła.

– Co to znaczy? – szepnął. – Jesteśmy na równinach Abanasinii. Wciąż pół dnia drogi

od Gór Wschodniej Ściany. Moja osada jest na wschód stąd...

Przerwał, gdy Tanis pokazał w milczeniu na wschód. Wtedy z ust wyrwał mu się niski, ochryple okrzyk, bowiem ujrzał dym snujący się ku niebu. Goldmoon obudziła się raptownie. Usiadła, spojrzała na Riverwinda najpierw sennie, a potem z rosnącym zaniepokojeniem. Odwróciwszy się, poszła wzrokiem za jego przerażonym spojrzeniem.

– Nie – jęknęła. – Nie! – krzyknęła ponownie. Wstając szybko, zaczęła zbierać swe tobołki. Jej krzyk zbudził pozostałych.

– Co się stało? – Caramon wstał skokiem.

– Ich osada – powiedział cicho Tanis, wskazując ręką.

– Płonie. Najwyraźniej wojska posuwają się szybciej, niż się spodziewaliśmy.

– Nie – rzekł Raistlin. – Pamiętajcie, kapłani smokowców wspominali o tym, że idąc tropem laski, trafili do osady na równinach.

– Mój lud – szepnęła Goldmoon, czując, jak ją opuszczają siły. Osunęła się w ramiona Riverwinda, spoglądając na dym. – Mój ojciec...

– Ruszajmy lepiej. – Caramon rozejrzał się niespokojnie.

– Widać nas z daleka jak klejnot w pępku cygańskiej tancerki.

– Prawda – rzekł Tanis. – Zdecydowanie musimy się stąd oddalić. Ale dokąd mamy iść? – spytał Riverwinda.

– Que-Shu – powiedziała Goldmoon tonem nie znoszącym sprzeciwu. – To po drodze. Góry Wschodniej Ściany są tuż za moją osadą. – Ruszyła przez wysoką trawę.

Tanis obejrzał się na Riverwinda.

– *Marulina!* – zawołał do niej barbarzyńca. Pobiegnął naprzód, chwycił Goldmoon za ramię. – *Nikh pat-takh me-rilar!* – rzekł surowym tonem.

Spojrzała na niego oczami niebieskimi i chłodnymi jak niebo o poranku. – Nie – rzekła zdecydowanie. – Idę do naszej wsi. To nasza wina, jeśli coś się stało. Nie obchodzi mnie, czy czekają tam tysiące potworów. Zginę ze swym ludem, tak jak było moją powinnością. – Głos jej się załamał. Przyglądający się temu Tanis poczuł, że serce mu się kraje ze współczucia.

Riverwind objął ją ramieniem i razem wyruszyli w kierunku wschodzącego słońca.

Caramon chrząknął. – Mam nadzieję, że spotkam tysiąc tych stworów – mruknął, zarzucając na ramię plecak swój i brata. – Hej – stwierdził ze zdumieniem. – Są pełne. – Zajrzał do swego plecaka. – Prowiant na drogę. Na kilka dni. I mój miecz jest z powrotem w pochwie!

– Przynajmniej o jedno nie musimy się martwić – powiedział posepnie Tanis. –

Dobrze się czujesz, Sturmie?

– Tak – odrzekł rycerz. – Czuję się dużo lepiej po tym śnie.

– W takim razie, w porządku. Chodźmy. Flincie, gdzie jest Tas? – Odwracając się, Tanis nieomal przewrócił się, zderzwszy się z kenderem, który stał tuż za nim.

– Biedna Goldmoon – powiedział cicho Tas.

Tanis poklepał go po ramieniu. – Może nie będzie aż tak źle, jak się spodziewamy – rzekł półelf, idąc za mieszkańcami równin przez falującą trawę. – Może wojownicy odparli atak, a to są ogniska celebrujące zwycięstwo.

Tasslehoff westchnął i popatrzył w górę na Tanisa, otwierając szeroko brązowe oczy. – Strasznie kiepski z ciebie kłamca, Tanisie – stwierdził kender. Miał wrażenie, że to będzie bardzo długi dzień.

Zmierzch. Zaszło blade słońce. Żółte i płowe smugi znaczyły jeszcze przez jakiś czas zachodni nieboskłon, a potem zapadła ponura noc. Drużyna kuliła się wokół ogniska, które nie dawało ciepła, bowiem nie istniał taki ogień na Krynnie, który odpędziłby chłód, jaki zagnieździł się w ich duszach. Nie rozmawiali ze sobą, lecz wpatrywali się w płomienie, próbując znaleźć jakiś sens w tym, co ujrzeli, usiłując znaleźć sens w tym, co nie miało sensu.

Tanis przeżył w swym życiu wiele strasznych rzeczy. Jednak spustoszona osada Que-Shu na zawsze utkwiała w jego pamięci jako symbol okropności wojny. Mimo to, kiedy przypominał sobie Que-Shu, widział tylko ulotne obrazy, jakby jego umysł nie chciał objąć całości okropnej wizji. To dziwne, lecz pamiętał stopione kamienie w Que-Shu. Pamiętał je bardzo wyraźnie. Tylko we snach przypominał sobie skręcone i poczerniałe ciała, które leżały wśród dymiących kamieni.

Wielkie kamienne mury, olbrzymie kamienne świątynie i budowle, przestronne kamienne budynki z brukowanymi dziedzińcami i posągami, ogromna kamienna arena – wszystko stopiło się jak masło w gorący, letni dzień. Skała wciąż jeszcze dymiła, choć widać było, że osadę zaatakowano dobry dzień temu. Wyglądało to tak, jakby rozpalony do białości, spopielający wszystko płomień pochłoniął całą osadę. Jakież jednak ogień na Krynnie mógł stopić skałę? Przypominał sobie skrzypiący dźwięk, pamiętał, że usłyszał go i dziwił się, i zastanawiał, co to mogło być, dopóki odnalezienie źródła jedyne go dźwięku w martwej ciszy miasta nie przerodziło się w obsesję. Biegał po zniszczonej osadzie, aż znalazł je. Przypominał sobie, że krzyczał do pozostałych tak długo, aż przyszli. Stanęli, przypatrując się temu, co znajdowało się we wnętrzu stopionej areny.

Ogromne kamienne bloki spłynęły po jednym boku wgłębienia w kształcie misy, tworząc fałdy stopionej skały wokół dna naczynia. Pośrodku – na trawie poczerniałej i

zwęglonej – stała prymitywna szubienica. W spaloną ziemię wbito dwa mocne pale z tak straszliwą siłą, że od uderzenia popękały ich podstawy. Trzy metry nad ziemią do słupów przywiązano poziomą belkę. Drewno było nadwęglone i łuszczyło się. Na szczycie siedziały padlinożerne ptaki. Trzy łańcuchy, wykonane z czegoś, co mogło być żelazem, zanim nie stopiło się i zlało, zwisały z belki, kołysząc się w tę i z powrotem. To była przyczyna skrzywienia. Na każdym łańcuchu zawieszono były zwłoki, najprawdopodobniej za nogi. Nie były to trupy ludzi, ale hobgoblinów. Na szczycie tej makabrycznej konstrukcji przy pomocy złamanej klingi miecza do poprzecznej belki przyczepiono tarczę. Na poobijanej tarczy wydrapano byle jak słowa w prymitywnej wersji mowy powszechnej.

– Oto, co czeka tych, którzy biorą jeńców wbrew moim rozkazom. Zabijaj, albo sam zostaniesz zabity. – Podpisano: Verminaard.

Verminaard. Imię to nic Tanisowi nie mówiło.

Inne obrazy. Przypominał sobie, jak Goldmoon stała pośrodku zrujnowanego domu swego ojca, próbując złożyć fragmenty rozbitego wazonu. Przypominał sobie psa – jedyną żywą istotę, jaką znaleźli w całej osadzie – zwiniętego wokół ciała martwego dziecka. Caramon zatrzymał się, by pogłaskać pieska. Zwierzę skuliło się, a potem polizało dłoń dużego mężczyzny. Potem polizało zimną twarz dziecka, spoglądając na wojownika z nadzieją, oczekując, że ten człowiek naprawi wszystko i sprawi, że jego mały towarzysz zabaw znów będzie biegał i śmiał się. Przypominał sobie, jak Caramon głaskał miękką sierść psa wielkimi dłońmi.

Przypominał sobie, jak Riverwind podniósł kamień i trzymał go bezcelowo, rozglądając się po swej spalonej i obróconej w perzynę osadzie.

Przypominał sobie, jak Sturm stał znieruchomiały przed szubienicą i wpatrywał się rozwartymi oczami w znak, i pamiętał, że rycerz poruszał wargami, jakby modlił się lub poprzysięgał coś w milczeniu.

Przypominał sobie pobrużdżoną ze smutku twarz krasnoluda, który w swym długim życiu widział wiele tragedii. Flint stał pośrodku zniszczonej osady i znalazłszy Tasslehoffa pochlipującego w kącie, poklepywał kendera łagodnie po plecach.

Przypominał sobie, jak Goldmoon rozpaczliwie poszukiwała ocalałych. Czołgała się wśród zwęglonych gruzów i wykrzykiwała imiona, nasłuchując choćby słabych odpowiedzi na jej wołanie tak długo, aż zachrypla i Riverwind w końcu przekonał ją, że to nie ma sensu. Jeśli ktoś przeżył, dawno już stąd uciekł.

Przypominał sobie, jak stał samotnie na środku miasteczka, spoglądając na kupki prochu z grotami strzał i rozpoznał w nich ciała smokowców.

Przypominał sobie dotyk chłodnej dłoni na ramieniu i szepczący głos maga. – Tanisie, musimy już odejść. Nie możemy zrobić nic więcej, a musimy dotrzeć do Xak Tsaroth. Wtedy zemścimy się.

Tak więc opuścili Que-Shu. Wędrowali do późna w nocy, jako że żadne z nich nie chciało zatrzymywać się i każde pragnęło doprowadzić się do stanu wyczerpania, aby skoro wreszcie usną, nie nawiedziły ich żadne złe sny.

Lecz sny i tak ich nawiedziły.

Rozdział XIII

Chłodny poranek. Mosty z pnączy - Ciemna woda

Tanis poczuł szponiaste ręce zaciskające się na jego gardle. Walczył i wrywał się, a potem obudził i dostrzegł Riverwinda, który nachylał się nad nim w ciemności i potrząsał nim bezceremonialnie.

– Co...? – Tanis usiadł.

– Coś ci się śniło – odrzekł ponuro mieszkaniec równin. – Musiałem cię zbudzić. Twoje krzyki ściągnęłyby nam na głowę wojsko.

– Tak, dzięki – wymamrotał Tanis. – Przepraszam. – Usiadł, próbując otrząsnąć się z koszmaru. – Która godzina?

– Jeszcze kilka godzin do świtu – powiedział znużonym głosem Riverwind. Wrócił na poprzednie miejsce i oparł się plecami o sękatę drzewo. Goldmoon spała na ziemi obok niego. Mruczała cicho i kręciła głową, wydając stłumione, płaczliwe odgłosy, niczym zranione zwierzę. Riverwind pogładził ją po srebrnozłotych włosach i uspokoiła się.

– Powinieneś był mnie zbudzić wcześniej – rzekł Tanis. Wstał, rozcierając barki i kark. – To moja warta.

– Czy ty myślisz, że ja mogę spać? – zapytał Riverwind z goryczą.

– Musisz – odparł Tanis. – Będziesz opóźniać nasz marsz, jeśli tego nie uczynisz.

– Mężczyźni z mego plemienia potrafią podróżować wiele dni bez snu – powiedział Riverwind. Wpatrywał się gdzieś w pustkę tęnym, szklanym wzrokiem.

Tanis chciał się sprzeczać, a potem westchnął i ucichł. Wiedział, że nigdy nie będzie w stanie zrozumieć cierpienia, jakiego doznawał mieszkaniec równin. Całkowita utrata rodziny, przyjaciół, całego życia – musiała być przeżyciem tak zastraszającym, że umysł wzbraniał się nawet przed wyobrażeniem sobie tego. Tanis zostawił barbarzyńcę i podszedł do Flinta, który rzeźbił kawałek drewna.

– Mógłbyś się nieco przespać – powiedział krasnoludowi Tanis. – Ja postoję na warcie jakiś czas.

Flint pokiwał głową. – Słyszałem, jak krzyczałeś. – Schował sztylet i włożył kawałek drewna do sakwy. – Bronieś Que-Shu?

Tanis zmarszczył czoło na to wspomnienie. Dygocząc z nocnego chłodu, owinął się peleryną i naciągnął kaptur. – Masz jakieś pojęcie, gdzie się znajdujemy? – zapytał Flint.

– Mieszkaniec równin twierdzi, że idziemy traktem zwanym Stepową Drogą na wschód – odrzekł krasnolud. Położył się wygodnie na ziemi, podciągając koc pod brodę. – To

jakiś stary szlak. Istniał jeszcze przed kataklizmem.

– Podejrzewam, że za dużo wymagalibyśmy od szczęścia, oczekując, iż trakt zaprowadzi nas do Xak Tsaroth?

– Według Riverwinda, tak – wymamrotał sennie krasnolud. – Mówi, że przeszedł tylko niewielką jego część. Ale przynajmniej przejdziemy nim przez góry. – Ziewnął serdecznie i odwrócił się na bok, podkładając płaszcz pod głowę.

Tanis odetchnął głęboko. Noc upływała spokojnie. Nie napotkali żadnych goblinów ani smokowców w czasie szaleńczej ucieczki z Que-Shu. Tak, jak powiedział Raistlin, najwyraźniej smokowcy napadli na Que-Shu, szukając laski, a nie podczas przygotowań do jakiejś bitwy. Zaatakowali, a następnie wycofali się. Tanis przypuszczał, że nadal obowiązują ich termin, który podała Pani Lasu – mają znaleźć się w Xak Tsaroth w ciągu dwóch dni. A jeden dzień już upłynął.

Drżąc, półelf podszedł ponownie do Riverwinda. – Czy masz jakieś pojęcie o tym, jak daleko musimy iść i w jakim kierunku? – Tanis przykucnął obok mieszkańca równin.

– Tak – Riverwind pokiwał głową, przecierając piekące oczy. – Musimy iść na północny wschód, w stronę Nowego Morza. Tam, jak powiadają, znajduje się miasto. Sam nigdy tam nie byłem... – Zmarszczył brwi, a potem potrząsnął głową. – Nigdy tam nie byłem – powtórzył.

– Czy zdołamy dotrzeć tam do jutra? – spytał Tanis.

– Podobno Nowe Morze jest dwa dni drogi od Que-Shu. – Barbarzyńca westchnął. – Jeśli Xak Tsaroth istnieje, powinniśmy dotrzeć do niego w ciągu jednego dnia, choć słyszałem, że stąd do Nowego Morza rozciąga się trudne do przebycia trzęsawisko.

Zamknął oczy, odruchowo gładząc Goldmoon po włosach. Tanis umilkł, mając nadzieję, że mieszkaniec równin usnie. Półelf odszedł po cichu i usiadł pod drzewem, by wpatrywać się w mrok nocy. Zanotował sobie w pamięci, żeby rankiem zapytać Tasslehoffa o mapę.

Kender rzeczywiście miał mapę, lecz na wiele się nie przydała, jako że pochodziła z czasów przed kataklizmem. Nowe Morze w ogóle nie było zaznaczone na mapie, ponieważ pojawiło się dopiero po tym, gdy ziemia się rozstała, a rozpadlinę wypełniły wody oceanu Turbidus. Mimo to widać było, że Xak Tsaroth znajduje się niedaleko traktu zaznaczonego jako Stepowa Droga na wschód. Powinni dotrzeć do niego jeszcze tego popołudnia, jeśli teren nadawał się do przebycia.

Przyjaciele zjedli śniadanie w niewesołym nastroju, zmuszając się do jedzenia, bowiem stracili apetyt. Raistlin zaparzał swoje cuchnące ziółka nad małym ogniskiem, a

spojrzenie jego dziwnych oczu często wędrowało ku lasce Goldmoon. – Jakże cenna się stała – stwierdził cicho – teraz, gdy okupiono ją krwią niewinnych.

– Czy jest tego warta? Czy warta jest życia mego ludu? – spytała Goldmoon, wpatrując się w burobrązową laskę pustym wzrokiem. Zdawało się, że postarzała się przez tę noc. Pod oczami miała szare kręgi.

Nikt z drużyny nie odpowiedział, każdy odwracał głowę w niewygodnej ciszy, jaka zapadła. Riverwind wstał nagle i samotnie odmaszerował do lasu. Goldmoon podniosła głowę i odprowadziła go wzrokiem, a potem opuściła ją, zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła bezgłośnie płakać. – On obwinia siebie. – Potrząsnęła głową. – A ja mu nie pomagam. To nie jego wina.

– Nikt nie jest winien – rzekł powoli Tanis, podchodząc do niej. Położył rękę na jej ramieniu i rozmasował napięcie, które wyczuwał w naprzężonych mięśniach jej karku. – My nie możemy zrozumieć. Musimy tylko iść naprzód i mieć nadzieję, że znajdziemy wyjaśnienie w Xak Tsaroth.

Pokiwała głową, przetarła oczy, odetchnęła głęboko i wytarła nos w chusteczkę, którą jej podał Tasslehoff.

– Masz rację – powiedziała, przetykając łzy. – Mój ojciec wstydziłby się mnie. Muszę pamiętać – jestem córką wodza.

– Nie – głęboki głos Riverwinda dochodził z miejsca, gdzie stał w mroku drzew za jej plecami. – Jesteś wodzem.

Z ust Goldmoon wyrwał się cichy okrzyk. Wstała, obracając się, i popatrzyła szeroko rozwartymi oczami na Riverwinda. – Być może jestem – głos jej się załamał – lecz to bez znaczenia. Nasz lud zginął...

– Widziałem ślady – odrzekł Riverwind. – Niektórzy zdołali zbiec. Prawdopodobnie udali się w góry. Wróć, a ty będziesz ich władczynią.

– Nasz lud... wciąż żyje! – Twarz Goldmoon rozpromieniła się.

– Niewielu przeżyło. Teraz może już nikt. To będzie zależało od tego, czy smokowcy poszli ich tropem w góry. – Riverwind wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, jesteś teraz ich władcą – w jego głosie pobrzmiwała gorycz – a ja będę mężem wodza.

Goldmoon skuliła się, jakby ją uderzył. Mrugnęła szybko, a potem potrząsnęła głową. – Nie, Riverwindzie – powiedziała cicho. – Ja... już rozmawialiśmy...

– Doprawdy? – przerwał jej. – Rozmyślałem o tym zeszłej nocy. Nie było mnie tyle lat. Myślałem o tobie – jak o kobiecie. Nie zdawałem sobie sprawy... – przełknął ślinę, a potem odetchnął głęboko. – Zostawiłem Goldmoon. Wróciłem, by zastać córkę wodza.

– A jaki miałam wybór? – krzyknęła w gniewie Goldmoon. – Mój ojciec był

niezdrow. Musiałam rządzić, bo inaczej Mędrzec zawładnąłby plemieniem. Czy ty wiesz, jak to jest – być córką wodza? Zastanawiać się przy każdym posiłku, czy to ten kęs jest zatruty? Zmagać się każdego dnia z brakiem pieniędzy w skarbcu, aby opłacić żołnierzy, by Mędrzec nie miał powodu sięgnąć po władzę! I przez cały czas być zmuszoną do odgrywania roli córki wodza, podczas gdy mój ojciec bełkocze i ślini się. – Łzy zdławiły jej głos.

Riverwind słuchał z twarzą surową i niewzruszoną. Spoglądał w przestrzeń ponad jej głową. – Powinniśmy wyruszać – powiedział chłodno. – Już niemal świt.

Przyjaciele przebyli zaledwie kilka kilometrów starą, zniszczoną drogą, nim grunt dosłownie o mało co nie usunął im się spod nóg i nie wylądowali na bagnie. Zauważyli już wcześniej, że podłoże zaczyna się uginać, a wysokie, krzepkie drzewa

na górskich przełęczach przeredziły się. Przed nimi wznosiły się osobliwe, powykrzywiane drzewa. Mgła zasnuła słońce, a powietrze nabrało niemilej woni. Raistlin zaczął pokaszliwać i zasłaniał usta chusteczką. Drużyna trzymała się porozbijanych kamieni starego traktu, starając się nie schodzić na wilgotny, bagnisty grunt obok niego.

Flint szedł na przedzie wraz z Tasslehoffem, gdy nagle krasnolud wrzasnął i zniknął w błocie. Widać było tylko jego głowę.

– Na pomoc! Krasnolud! – krzyknął Tas i pozostali podbiegli.

– Wciąża mnie coraz bardziej! – Flint miotał się w czarnej, rzadkiej mazi, ogarnięty paniką.

– Nie ruszaj się – ostrzegł Riverwind. – Wpadłeś w topiel. Nie idź po niego! – ostrzegł Sturma, który skoczył naprzód. – Obaj zginiecie. Podajcie gałąź.

Caramon chwycił młode drzewko, zaczerpnął głęboko tchu, sapnął i pociągnął. Rozległ się trzask pękających korzeni drzewa, które ogromny wojownik wyrwał z ziemi. Riverwind położył się na płask i wyciągnął gałąź do krasnoluda. Flint, pogrążony w oślizłym błocie po nos, szarpał się, aż wreszcie chwycił drzewko. Wojownik wyciągnął je z topieli wraz z uczepionym doń krasnoludem.

– Tanisie! – kender złapał półelfa i pokazał coś. Wąż, gruby jak ramię Caramona, wśliznął się w błoto, w którym jeszcze przed chwilą tonął krasnolud.

– Tędy nie przejdziemy! – Tanis wskazał na trzęsawisko. – Może powinniśmy zawrócić.

– Nie ma czasu – szepnął Raistlin, a jego oczy w kształcie klepsydr zabłyśły.

– I nie ma innej drogi – rzekł Riverwind. – Jego głos brzmiał dziwnie. – Ale przejdziemy – ja znam drogę.

– Co takiego? – Tanis odwrócił się ku niemu. – Wydawało mi się, że powiedziałaś...

– Byłem tu – rzekł mieszkaniec równin zduszonym głosem. – Nie pamiętam kiedy, ale ja tu już byłem. Znam drogę przez bagno. I prowadzi ona do... – Obliznął wargi.

– Prowadzi do zrujnowanego miasta zła? – zapytał ponuro Tanis, gdy mieszkaniec równin nie dokończył zdania.

– Xak Tsaroth! – zasyczał Raistlin.

– Oczywiście – rzekł cicho Tanis. – To ma sens. Dokąd powinniśmy się udać po wyjaśnienia dotyczące laski, jeśli nie do miejsca, gdzie ci ją powierzono?

– I musimy wyruszyć natychmiast! – rzekł z naciskiem Raistlin. – Musimy tam być przed północą!

Mieszkaniec równin wysunął się na czoło pochodu. Znalazł twarde grunty wokół czarnej wody i każąc im iść gębiego, sprowadził z traktu na moczary. Drzewa, które nazywał żelazopazurami, wyrastały wprost z wody, a ich odsłonięte korzenie wiły się w mule. Z gałęzi zwieszały się pnącza i ciągnęły w poprzek ledwie widocznej ścieżki. Opadła mgła i wkrótce niczego nie było widać na odległość większą niż kilkadziesiąt centymetrów. Przyjaciele zmuszeni byli posuwać się powoli, badając grunt za każdym krokiem. Fałszywy ruch i mogą zapaść się w cuchnące trzęsawisko, które rozciągało się wszędzie wokół, rozsiewając stęchlą woń zgnilizny.

Nagle ścieżka skończyła się, doprowadziwszy ich do brzegu czarnej, bagiennej wody.

– I co teraz? – zapytał ponuro Caramon.

– To – rzekł Riverwind, wskazując ręką. Do drzewa przymocowany był prymitywny most, wykonany z pnączy splecionych w liny. Wisiał nad wodą jak pajęczna sieć.

– Kto go zbudował? – spytał Tanis.

– Nie wiem – odrzekł Riverwind. – Niemniej jednak znajdziesz je wszędzie tam, gdzie inaczej nie można przejść.

– Mówiłem ci, że Xak Tsaroth nie będzie długo stało puste – szepnął Raistlin.

– Cóż, sądzę, że nie powinniśmy wybrzydząć na dar bogów – odparł Tanis. – Przynajmniej nie będziemy musieli pływać!

Podróż na drugą stronę mostu z pnączy nie była przyjemna. Liany porosły śliskim mchem, co czyniło przeprawę niebezpieczną. Konstrukcja chwiała się niepokojąco, a gdy ktoś przechodził, kołysanie stawało się nieregularne. Drużyna przedostała się bezpiecznie na drugą stronę, lecz nie uszła daleko, nim nie była zmuszona skorzystać z następnego mostu. A zawsze pod nimi i wokół nich była ciemna woda, z której śledziły ich głodne spojrzenia dziwnych oczu. Potem dotarli do miejsca, w którym skończył się suchy grunt i nie było już

mostów z pnączy. Przed nimi rozciągała się tylko woda pokryta kożuchem śluzu.

– Nie jest bardzo głęboko – mruknął Riverwind. – Idźcie za mną. Stawajcie tylko tam, gdzie ja stawiam stopy.

Riverwind zrobił krok, potem następny, wymacując drogę, a pozostali szli tuż za nim, wpatrując się w wodę. Spoglądali z niepokojem i wstrętem na nieznajome i niewidoczne stworzenia, które prześlizgiwały się między ich nogami. Kiedy znów wyszli na twarde gruntu, nogi mieli pokryte mułem i wszystkich zatykało od smrodu. Mieli jednak wrażenie, że po ostatniej przeprawie chyba najgorsze było za nimi. Zarośla dżungli nie były już tak gęste, a przez zieloną mgłę nawet prześwitywało blade słońce.

Im dalej posuwali się na północ, tym twardszy stawał się grunt. W południe Tanis ogłosił przerwę w marszu, znalazłszy suchą kępę pod prastarym dębem. Towarzysze usiedli na ziemi, by zjeść obiad, wyrażając nadzieję, że zostawili bagno za sobą. Wszyscy, z wyjątkiem Goldmoon i Riverwinda. Ci nie odzywali się wcale.

Ubranie Flinta ociekało wodą. Krasnolud trząsł się z zimna i zaczął się uskarżać na bóle stawów. Tanis zaniepokoił się. Wiedział, że krasnolud chorował na reumatyzm i przypomniał sobie, jak Flint mówił, że obawia się opóźnić ich w marszu. Tanis postukał kendera po ramieniu i gestem wezwał go na bok.

– Wiem, że w jednej ze swoich sakiewkach masz coś, co rozgrzałoby kości krasnoludowi, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, – powiedział cicho Tanis.

– Och, jasne, Tanisie – odpowiedział Tas i poweselał. Pogrzebał najpierw w jednej, a następnie w drugiej torbie, aż wreszcie znalazł błyszczącą, srebrną flaszkę. – Brandy. Najlepsza Otikowa.

– Przypuszczam, że nie zapłaciłeś za nią? – stwierdził Tanis, śmiejąc się.

– Zapłacę – odparł urażony kender. – Następnym razem, kiedy będę w okolicy.

– Jasne – Tanis poklepał go po ramieniu. – Podziel się z Flintem. Nie za dużo – ostrzegł. – Tylko na rozgrzewkę.

– Tak jest. I pójdziemy na przedzie – my, waleczni wojownicy. – Tas roześmiał się i w podskokach pobiegł do krasnoluda, a Tanis wrócił do pozostałych, którzy w milczeniu pakowali resztki z posiłku i przygotowywali się do wyruszenia w drogę. Wszystkim nam przydałby się łyk najlepszej Otikowej gorzałki, pomyślał. Goldmoon i Riverwind nie odzywali się do siebie przez cały poranek. Ich nastrój rzucił posępny cień na wszystkich pozostałych. Tanisowi nie przychodziło do głowy nic, co mogłoby zakończyć cierpienie tych dwojga. Mógł tylko mieć nadzieję, że czas zaleczy ich rany.

Godzinę po posiłku drużyna szła nadal ścieżką, posuwając się teraz szybciej, bowiem

największy gąszcz dżungli został za nimi. Jednakże, gdy już wydawało im się, że wyszli z trzęsawiska, twardy grunt skończył się raptownie. Znużeni, chorzy od woni zgnilizny i zniechęceni przyjaciele znów zaczęli brodzić w grząskiej mazi.

Tylko Flintowi i Tasslehoffowi nie przeszkadzał powrót na bagna. Wybiegli daleko przed wszystkich. Tasslehoff szybko „zapomniał” o ostrzeżeniu Tanisa, żeby nie pić dużo brandy. Płyn rozgrzał krew i nieco rozproszył ponurą atmosferę, więc flaszką krążyła wiele razy między kenderem i krasnoludem, aż przyjaciele opróżnili ją i wędrowali teraz nieco chwiejnym krokiem, układając żarty o tym, co zrobiliby, gdyby spotkali smokowca.

– Od razu zmienilibym go w kamień – rzekł krasnolud, wymachując toporem na niby.
– Buch! – jaszczura prosto w brzuch.

– Założę się, że Raistlin potrafiłby zamienić takiego w kamień samym spojrzeniem! –
Tas naśladował ponury wyraz

twary maga i jego odpychające spojrzenie. Obaj roześmiali się na głos, a potem ucichli, chichocząc jeszcze i oglądając się niespokojnie, czy Tanis przypadkiem ich nie usłyszał.

– Założę się, że Caramon nabiłby go na widelec i zjadł!

– powiedział Flint.

Tas zakrztusił się ze śmiechu i wytarł łzy z oczu. Krasnolud ryczał. Nagle obaj dotarli do końca grząskiego gruntu. Tasslehoff schwycił krasnoluda w chwili, gdy Flint wpadał głową naprzód do bagiennej sadzawki tak szerokiej, że wiszący most nie zdołałby połączyć jej brzegów. Na wodzie leżało olbrzymie drzewo żelazopazurowe, którego gruby pień tworzył most dość szeroki, by mogło przejść po nim dwóch ludzi obok siebie.

– To jest most jak się patrzy! – rzekł Flint, cofając się o krok i usiłując przyjrzeć się kłodzie mętym wzrokiem. – Nie będziemy już łaźać jak pająki po tych głupich, zielonych pajęczynach. Chodźmy.

– Czy nie powinniśmy poczekać na pozostałych? – zapytał Tasslehoff potulnie. –
Tanis nie życzyłby sobie, żebyśmy się rozdzielili.

– Tanis? Humpf! – sapnął pogardliwie krasnolud. – My mu pokażemy.

– Dobrze – zgodził się niefrasobliwie Tasslehoff. Wskoczył na zwałone drzewo. –
Ostrożnie – powiedział, pośliznąwszy się nieco, a potem z łatwością odzyskując równowagę.

– Tu jest ślisko. – Zrobił kilka szybkich kroków, wyciągając ręce i wyprężając stopy jak linoskoczek, którego widział kiedyś na letnim jarmarku.

Krasnolud wgramolił się za kenderem, niezdarnie stukając ciężkimi butami o kłodę. Głos nie zmaconej jeszcze gorzałką części umysłu powiedział Flintowi, że nie zdołałby tego

dokonać na trzeźwo. Powiedział mu również, że jest durniem, skoro przechodzi przez most bez czekania na pozostałych, lecz zlekceważył go. Zdecydowanie czuł się znowu młody.

Tasslehoff, zachwycony udawaniem, że jest Mirgo Wspaniałym, podniósł wzrok i stwierdził, że rzeczywiście ma widownię – jeden ze smokowców wskoczył na kłodę przed nim.

Widok ten szybko otrzeźwił Tasa. Kender nie wpadł w panikę, lecz był z pewnością zdziwiony. Miał dość przytomności umysłu, by zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, wrzasnął na cały głos – Tanisie, zasadzka! – A następnie uniósł swój hoopak i zamachnął się nim, zataczając szeroki łuk dookoła.

Ruch ten zaskoczył smokowca. Stwór sapnął i zeskoczył z kłody na brzeg. Tas na moment stracił równowagę, lecz szybko ją odzyskał i zastanawiał się, co teraz będzie. Rozejrzał się wokół i na brzegu dostrzegł kolejnego smokowca. Ze zdumieniem zauważył, że nie byli uzbrojeni. Zanim zdążył pomyśleć o tej osobliwości, usłyszał ryk za swymi plecami. Zapomniał o krasnoludzie.

– Co to? – krzyknął Flint.

– Smoko-stworki – powiedział Tas, ściskając mocniej swój hoopak i rozglądając się we mgle. – Dwóch na wprost! Nadchodzą!

– A niech cię, złaż mi z drogi! – warknął Flint. Sięgnął na plecy, żeby wyciągnąć topór.

– Gdzie mam się podziać? – krzyknął dziko Tas.

– Schyl się! – wrzasnął krasnolud.

Kender schylił się, padając na płask na kłodę w chwili, gdy jeden ze smokowców zbliżył się, wyciągając ku niemu szponiaste dłonie. Flint zamachnął się toporem, zadając potężny cios, który z pewnością pozbawiłby smokowca głowy, gdyby tylko trafił gdzieś w jego pobliżu. Na nieszczęście krasnolud źle wymierzył i ostrze świsnęło niegroźnie przed smokowcem, który wymachiwał rękoma i nucił dziwne słowa.

Pęd zamachu krasnoluda sprawił, że Flint obrócił się. Pośliznąwszy się na omszałym pniu, krasnolud poleciał do tyłu z głośnym krzykiem i wpadł do wody.

Tasslehoff, który przebywał z Raistlinem od wielu lat, poznał, że smokowiec rzuca zakłęcie. Leżąc z twarzą przyciśniętą do kłody i ściskając w dłoni hoopak, kender stwierdził, że ma mniej więcej półtorej sekundy na decyzję, co robić. Krasnolud sapnął i prychnął w wodzie na dole. Znajdujący się w pobliżu smokowiec najwyraźniej zbliżał się do oszałamiającej kulminacji swego zaklęcia. Stwierdziwszy, że wszystko lepsze od bycia zaczarowanym, Tas nabrał głęboko powietrza do płuc i dał nurka z kłody.

– Tanisie! Zasadzka!

– Do wszystkich diabłów! – zaklął Caramon, usłyszawszy głos kendera dobiegający z mgły gdzieś przed nimi.

Wszyscy zaczęli biec w tym kierunku, przeklinając pnącza i gałęzie drzew, które zagradzały im drogę. Z łoskotem wybiegłszy z lasu, ujrzeni most ze zwałonego żelazopazura. Z mroku wybiegło czterech smokowców, zagradzając im drogę.

Nagle towarzysze pograżyli się w ciemności zbyt gęstej, by dostrzec swe własne dłonie, a co dopiero przyjaciół.

– Czary! – Tanis posłyszał syk Raistlina. – To magowie. Usuńcie się na bok. Nie zdołacie walczyć z nimi. I wtedy Tanis posłyszał bolesny krzyk czarodzieja.

– Raist! – wrzasnął Caramon. – Gdzie... uch... – Rozległ się jęk, a potem odgłos upadku ciężkiego ciała walącego się na ziemię.

Tanis posłyszał zaśpiew smokowców. Kiedy sięgał już po miecz, nagle został pokryty od stóp do głów gęstą, kleistą substancją, która zalepiła mu usta i nos. Szamocząc się, by się uwolnić, zaplątał się jeszcze bardziej. Posłyszał jeszcze, jak Sturm złości się obok niego, Goldmoon krzyknęła, głos Riverwinda coś zdławiło, a potem ogarnęła go senność. Tanis osunął się na kolana, wciąż szarpiąc się, by uwolnić się z podobnej do pajęczyny substancji, która skrępowała mu ręce u boków. Potem padł na twarz i zapadł w nienaturalny sen.

Rozdział XIV

W niewoli u smokowców

Leżąc na ziemi, zasapany Tasslehoff przyglądał się smokowcom, którzy przygotowywali się do zabrania jego nieprzytomnych przyjaciół. Kender był dobrze ukryty pod krzakiem w pobliżu bagna. Ogłuszony krasnolud leżał wyciągnięty tuż obok. Tas popatrzył na niego z żalem. Nie miał wyboru. Ogarnięty paniką Flint wciągnął kendera pod powierzchnię zimnej wody. Gdyby nie stuknął krasnoluda w głowę swym hoopakiem, żaden z nich nie wypłynąłby żywy. Wyciągnął oszołomionego krasnoluda na brzeg i schował go w krzakach.

Potem Tas przyglądał się bezradnie, jak smokowcy za pomocą czarów krępują jego przyjaciół czymś, co wyglądało, jak mocne pajęczne sieci. Tas dostrzegł, że wszyscy sprawiali wrażenie nieprzytomnych – lub martwych – ponieważ nie szarpali się ani nie stawiali oporu.

Kender czerpał pewnego rodzaju ponurą rozrywkę z przyglądania się temu, jak smokowcy usiłują podnieść laskę Goldmoon. Najwyraźniej rozpoznali ją, bowiem zaskrzeczeli nad nią w swym gardłowym języku i czynili uradowane gesty. Jeden z nich – najprawdopodobniej wódz – wyciągnął rękę, by ją podnieść. Błysnęło błękitne światło. Wrzasnąwszy przeraźliwie, smokowiec wypuścił laskę i zaczął skakać w tę i z powrotem po brzegu, wykrzykując przy tym słowa, które Tas uznał za obelżywe. Wreszcie wodzowi przyszedł do głowy genialny pomysł. Wyciągnąwszy futrzaną pelerynę z plecaka Goldmoon, smokowiec rozłożył ją na ziemi. Następnie wziął kij i wepchnął nim laskę na płaszcz. Potem ostrożnie zawinął laskę w futro i podniósł ją zwycięskim gestem. Smokowcy podnieśli omotane ciała przyjaciół kendera i zabrali je. Pozostali smokowcy ruszyli za nimi objuczeni plecakami i bronią drużyny.

Gdy smokowcy maszerowali ścieżką bardzo blisko ukrytego kendera, Flint nagle jęknął i poruszył się. Tas zatkał krasnoludowi usta dłonią. Wydawało się, że wrogowie niczego nie usłyszeli i poszli dalej. Gdy smokowcy ich mijali, Tas wyraźnie zobaczył swoich przyjaciół w gasnącym świetle popołudnia. Wyglądali na głęboko uśpionych. Caramon nawet chrapał. Kender przypomniał sobie usypiający czar Raistlina i domyślił się, że właśnie tego użyli smokowcy, by obezwładnić jego przyjaciół. Flint znów jęknął. Jeden ze smokowców w pobliżu końca szeregu zatrzymał się i rozejrzał po zaroślach. Tas podniósł hoopak i trzymał go nad głową krasnoluda – na wszelki wypadek. Nie było to jednak potrzebne. Smokowiec wzruszył ramionami i mruknął coś pod nosem, a potem pośpiesznie dołączył do swego oddziału. Wzdychając z ulgą, Tas odsłonił usta krasnoludowi. Flint mrugnął powiekami i

otworzył oczy.

– Co się stało? – Krasnolud jęknął i przyłożył dłoń do głowy.

– Spadłeś z mostu i uderzyłeś głową w kłodę – powiedział niefrasobliwie Tas.

– Doprawdy? – Flint popatrzył podejrzliwie. – Nie przypominam sobie tego. Pamiętam, że jeden z tych smokowców zbliżał się do mnie, i pamiętam, że wpadłem do wody...

– Doprawdy, więc się nie kłóć – powiedział pośpiesznie Tas, wstając. – Możesz chodzić?

– Oczywiście, że mogę – odwarknął krasnolud. Wstał, trzymając się nieco chwiejnie na nogach, za to prosto. – Gdzie są wszyscy?

– Smokowcy pojмали ich i uprowadzili.

– Wszystkich? – Flint otworzył usta ze zdumienia. – Tak po prostu?

– Ci smokowcy byli magami – powiedział zniecierpliwiony Tas, chcąc już wyruszyć. – Sądzę, że użyli jakichś czarów. Nikomu nie stała się krzywda, z wyjątkiem Raistlina. Wydaje mi się, że zrobili mu coś strasznego. Widziałem go, kiedy przechodzili obok. Wyglądał okropnie, ale tylko on jeden. – Pociągnął krasnoluda za mokry rękaw. – Chodźmy już – musimy iść ich śladem.

– Tak, jasne – wybełkotał Flint, rozglądając się dookoła. Potem znów przyłożył rękę do głowy. – Gdzie jest mój hełm? – Na dnie bajora – powiedział rozzłoszczony Tas. – Chcesz tam po niego wrócić?

Krasnolud rzucił przerażone spojrzenie na ciemną, mętną wodę, wzdrygnął się i pośpiesznie odwrócił. Jeszcze raz dotknął głowy i wyczuł wielkiego guza. – Słowo daję, nie przypominam sobie, żebym uderzył się w głowę – mruknął. A potem tknęła go nagła myśl. Pomacał się po plecach rozpaczliwie. – Mój topór! – krzyknął.

– Cicho! – ofuknął go Tas. – Przynajmniej żyjesz. Teraz musimy uratować pozostałych.

– A jak proponujesz to zrobić, nie mając innej broni poza tą przerośniętą procą? – mruczał Flint, człapiąc za szybkim kenderem.

– Wymyślimy coś – rzekł rezolutnie Tas, chociaż tak mu poszło w pięty, iż miał wrażenie, że serce płacze mu się gdzieś pod nogami.

Kender bez trudu odnalazł trop smokowców. Widać było, że jest to stary i często używany szlak, bowiem odnosiło się wrażenie, że wydeptały go setki stóp smokowców. Badając ślady, Tasslehoff nagle uświadomił sobie, że mogą wejść wprost do dużego obozu potworów. Wzruszył ramionami. Nie ma potrzeby martwić się o tak nieistotne szczegóły.

Na nieszczęście Flint nie podzielał jego zdania. – Tam jest całe cholerne wojsko! – sapnął krasnolud, chwytając kendera za ramię.

– No, cóż... – Tas zatrzymał się, żeby zastanowić się nad sytuacją. Rozpromienił się. – Tym lepiej. Im ich więcej, tym mniejsze szansę, że nas zobaczą. – I znów ruszył. Flint zmarszczył czoło. W tym rozumowaniu tkwił jakiś błąd, lecz w tej chwili nie potrafił określić jaki, a był zbyt przemoczony i zziębnięty, by się wyklócać. Poza tym myślał o tym samym, co kender: jedynym innym wyjściem było uciec samemu na trzęsawisko i zostawić przyjaciół w rękach nieprzyjaciół. A to nie było żadne wyjście.

Szli następne pół godziny. Słońce schowało się w oparach, barwiąc je krwistą czerwienią, a później na posępnych moczarach zapadła noc. Wkrótce ujrzeli światło majaczące przed nimi. Zeszli ze ścieżki i zanurzyli się w zarośla. Kender poruszał się cicho jak myszka; krasnolud następował na patyki, które trzaskały mu pod nogami, wpadał na drzewa i szeleścił w gąszczu. Szczęściem smokowcy świętowali w obozie i najpewniej nie usłyszeliby zbliżania się nawet całej armii krasnoludów. Flint i Tas przyklekli tuż poza kręgiem światła rzucanego przez ognisko i rozglądali się. Krasnolud nagle chwycił kendera tak gwałtownie, że nieomal przewrócił go.

– Wielki Reorxie! – zaklął Flint, wskazując ręką. – Smok!

Tas był zbyt oszołomiony, by cokolwiek powiedzieć. Wraz z krasnoludem przyglądali się ze zdumieniem i przerażeniem smokowcom, którzy tańczyli i padali na twarz przed olbrzymim czarnym smokiem. Potwór czaił się w połówce skorupy, która pozostała z rozsypującej się, zrujnowanej budowli zwieńczonej kopułą. Jego głowa wznosiła się ponad czubki drzew, a rozpiętość jego skrzydeł była olbrzymia. Jeden ze smokowców, odziany w szaty, skłonił się przed smokiem, wskazując laskę leżącą na ziemi wraz z bronią zabraną jeńcom.

– Ten smok jest jakiś dziwny – szepnął Tas, obserwując go przez kilka chwil.

– Chodzi ci o to, że ponoć smoki nie istnieją?

– Właśnie – powiedział Tas. – Spójrz na niego. Ten stwór nie rusza się ani nie reaguje na nic. Po prostu siedzi. Zawsze sądziłem, że smoki będą nieco bardziej żwawe, jak myślisz?

– To idź go połaskotać wpięte! – zaproponował drwiąco Flint. – Wtedy zobaczysz, jaki jest żwawy!

– Chyba to zrobię – powiedział kender. Zanim krasnolud zdążył odezwać się słowem, Tasslehoff wyczołgał się z krzaków i pomknął w stronę obozowiska, zakradając się od jednego cienia do drugiego. Flint gotów był wyrwać sobie brodę z rozpaczy, lecz teraz próba zatrzymania Tasa zakończyłaby się katastrofą. Krasnolud nie mógł uczynić nic innego, jak

pójść w jego ślady.

– Tanisie!

Półelf usłyszał, że ktoś go woła z drugiej strony wielkiej przepaści. Próbował odpowiedzieć, lecz usta miał zatkane lepką mazią. Potrząsnął głową. Wtedy poczuł, że ktoś go podtrzymuje i pomaga mu usiąść. Otworzył oczy. Była noc. Sądząc po migotliwym świetle, gdzieś w pobliżu płonęło jasno wielkie ognisko. Tuż przy swojej twarzy dostrzegł zatroskaną twarz Sturm. Tanis westchnął i wyciągnął rękę, by ucisnąć ramię rycerza. Usiłował odezwać się, ale zmuszony był pozrywać strzępki kleistej substancji, która przylepiła mu się do twarzy i ust jak pajęczyna.

– Nic mi nie jest – powiedział Tanis, kiedy już mógł mówić. – Gdzie jesteśmy? – Rozejrzał się wokół. – Czy wszyscy są tutaj? Nikt nie jest ranny?

– Jesteśmy w obozie smokowców – rzekł Sturm, pomagając półelfowi wstać. – Nie ma Tasslehoffa i Flinta, a Raistlin jest ranny.

– Ciężko? – zapytał Tanis, zaniepokojony poważnym wyrazem twarzy Sturm.

– Jest niedobrze – odrzekł rycerz.

– Zatruta strzałka – powiedział Riverwind. Tanis odwrócił się ku mieszkańcowi równin i po raz pierwszy zobaczył wyraźnie ich więzienie. Znaleźli się w klatce zrobionej z bambusa. Na zewnątrz stali na straży smokowcy, trzymając w pogotowiu długie, zakrzywione miecze. Dalej za klatką setki smokowców kręciły się wokół ogniska. A nad ogniskiem...

– Tak – rzekł Sturm, widząc zaskoczenie na twarzy Tanisa. – To smok. Kolejna historyjka dla dzieci. Raistlin nie posiadałby się z zadowolenia.

– Raistlin... – Tanis podszedł do maga, który leżał w kącie klatki, nakryty własnym płaszczem. Młody czarodziej miał gorączkę i drżał, wstrząsany dreszczami. Goldmoon klęczała obok niego, przykładając dłoń do jego czoła i łagodnie odsuwając białe włosy. Mag był nieprzytomny. Niespokojnie ruszał głową i szeptał dziwne słowa, czasami wykrzykując niezrozumiałe rozkazy. Caramon, niemal równie blady jak brat, siedział obok niego. Goldmoon dostrzegła pytające spojrzenie Tanisa i ze smutkiem potrząsnęła głową. W jej rozszerzonych oczach odbijał się blask ognia. Riverwind podszedł i stanął obok Tanisa.

– Znalazła to w jego szyi – powiedział, ostrożnie podnosząc opierzoną strzałkę, którą trzymał między kciukiem a palcem wskazującym. Spojrzał na czarodzieja niezbyt przyjaźnie, lecz z pewnym współczuciem. – Kto może powiedzieć, jaka trucizna płonie w jego krwi?

– Gdybyśmy mieli łaskę... – powiedziała Goldmoon.

– Właśnie – powiedział Tanis. – Gdzie ona jest?

– Tam – rzekł Sturm, wykrzywiając usta w gorzkim grymasie. Wskazał ręką. Tanis

spojrzał i wśród setek smokowców dojrzał laskę leżącą na futrzanym okryciu Goldmoon przed czarnym smokiem.

Wyciągnąwszy rękę, Tanis chwycił pręt klatki. – Moglibyśmy wydostać się – powiedział do Sturma. – Caramon zdołałby połamać te patyki.

– Tasslehoff zdołałby połamać te patyki, gdyby tu był – powiedział Sturm. – Oczywiście, potem zostałoby nam tylko rozprawienie się z kilkoma setkami tych stworów – nie wspominając o smoku.

– W porządku. Nie dokuczaj mi już przypominaniem o tym. – Tanis westchnął. – Masz pojęcie, co się stało z Flintem i Tasem?

– Riverwind powiedział, że słyszał plusk tuż po tym, jak Tas wrzasnął, że wpadliśmy w zasadzkę. Jeśli mieli szczęście, zeskoczyli z kłody i uciekli z mokradła. Jeśli nie... – Sturm nie dokończył.

Tanis zamknął oczy, by nie widzieć blasku ognia. Czuł się zmęczony – zmęczony walką, zabijaniem, brnięciem przez błoto. Z tęsknotą pomyślał o położeniu się i ponownym zapadnięciu w sen. Zamiast tego otworzył oczy, podszedł do kraty i załomotał jej prętami. Strażnik odwrócił się i wznosił miecz.

– Znasz wspólną mowę? – zapytał Tanis w najprymitywniejszej, najpodlejszej odmianie wspólnej mowy używanej na Krynnie.

– Znam. Najwyraźniej lepiej od ciebie, elfi wyrzutku – szydził smokowiec. – Czego chcesz?

– Jedna osoba w naszej drużynie jest ranna. Chcielibyśmy ją opatrzyć. Dajcie nam odtrutkę na truciznę strzałki.

– Trucizna? – Smokowiec zajrzał do wnętrza klatki. – Ach, tak, czarodziej. – Stwór zagulgotał gardłowo i dźwięk ów zapewne miał wyrażać śmiech. – Chory, nieprawdaż? Tak, trucizna działa szybko. Nie możemy pozwolić, żeby w pobliżu kręcił się czarodziej. Nawet za kratkami są groźni. Ale nie martw się. Nie będzie samotny – reszta was przyłączy się do niego już wkrótce. Szczerze mówiąc, powinniście mu zazdrościć. Wasza śmierć nie będzie tak szybka.

Smokowiec odwrócił się i powiedział coś do swojego kolegi, wskazując szponiastym kciukiem w stronę klatki. Obaj zarechotali gulgoczącym śmiechem. Tanis, czując wzbierającą odrazę i wściekłość, obejrzał się na Raistlina.

Stan czarodzieja szybko się pogarszał. Goldmoon przytknęła dłoń do szyi Raistlina, szukając pulsu, a później pokręciła głową. Caramon zawył. A potem jego spojrzenie padło na dwóch smokowców, którzy rozmawiali i śmiali się na zewnątrz.

– Zatrzymaj się, Caramonie! – zawołał Tanis, ale było już za późno.

Rycząc jak ranny zwierz, olbrzymi wojownik rzucił się w stronę smokowców. Bambusowe pręty pękły pod jego naciskiem, a potrzaskane odłamki pokaleczyły mu skórę. W swej obłąkańczej żądzy zabijania Caramon nawet tego nie zauważył. Gdy wojownik przebiegał obok, Tanis skoczył mu na plecy, lecz Caramon strząsnął go z taką łatwością, z jaką niedźwiedź strząsa dokuczliwą muchę.

– Caramon, ty głupcze... – wysapał Sturm, rzucając się na wojownika wraz z Riverwindem. Jednakże wściekłość pchała Caramona dalej.

Odwróciwszy się, jeden ze smokowców wznosił miecz, lecz Caramon wytrącił mu broń z ręki. Stwór upadł na ziemię, ogłuszony ciosem pięści potężnego mężczyzny. Po kilku sekundach wojownika otaczało już sześciu smokowców trzymających w rękach łuki i strzały. Sturm i Riverwind powalili Caramona na ziemię. Sturm usiadł na nim i przytrzymał go twarzą w błocie, dopóki nie poczuł, że Caramon przestał się szarpać pod nim i póki nie usłyszał jego zdławionego szlochu.

W tej samej chwili rozległ się wysoki, przenikliwy głos, słyszalny w całym obozowisku. – Przyprawdźcie wojownika do mnie! – rzekł smok.

Tanis poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Smokowcy opuścili broń i odwrócili się ku smokowi, przypatrując mu się ze zdumieniem i mamrocząc coś do siebie. Riverwind i Sturm wstali. Caramon leżał na ziemi zanosząc się od szlochu. Smokowcy popatrzyli na siebie niepewnie, podczas gdy ci, którzy stali w pobliżu smoka, cofnęli się pośpiesznie i utworzyli olbrzymi półokrąg wokół niego.

Jeden ze stworów – Tanis wnioskował z odznak na zbroi, że był on kimś w rodzaju przywódcy – podszedł do odzianego w szatę smokowca, który z otwartym pyskiem gapił się na czarnego smoka.

– Co tu się dzieje? – zapytał dowódca. Smokowiec mówił we wspólnej mowie. Nasłuchując uważnie, Tanis zdał sobie sprawę, że należeli oni do odmiennych gatunków – smokowcy noszący szaty najwyraźniej byli czarodziejami i kapłanami. Prawdopodobnie nie mogli porozumieć się w swoich własnych językach. Zbrojny smokowiec był wyraźnie zdenerwowany.

– Gdzie jest ten twój bozacki kapłan? Musi powiedzieć nam, co mamy robić!

– Przełożonego mego zakonu nie ma tutaj. – Odziany w szatę smokowiec szybko odzyskał panowanie nad sobą. – Jeden z nich przyleciał tutaj i zabrał go na rozmowę z Panem Verminaardem na temat laski.

– Ale smok nigdy nie przemawia, kiedy nie ma kapłana. – Kapitan ściszył głos. –

Moim chłopcom to się nie podoba. Lepiej zrób coś szybko!

– Cóż to za zwłoka? – głos smoka świszczał jak wycie wiatru. – Przyrowadźcie mi wojownika!

– Róbcie, co smok wam każe. – Smokowiec w szacie wykonał szybki gest szponiastą dłonią. Kilku smokowców podbiegło pośpiesznie, wepchnęło Tanisa, Sturm i Riverwinda z powrotem do roztrzaskanej klatki i podniosło zakrwawionego Caramona za ręce. Zaciągnęli go przed oblicze smoka, gdzie stanął plecami do płonącego jasno ogniska. W pobliżu leżała laska z błękitnego kryształu, laska Raistlina, ich oręż i plecaki.

Caramon podniósł głowę, by spojrzeć prosto na potwora, choć oczy miał zamglone łzami i zalane krwią z wielu skaleczeń na twarzy zadanych bambusowymi drzazgami. Smok górował nad nim, ledwo widoczny przez dym, który wznosił się znad ogniska.

– Wymierzamy sprawiedliwość szybko i nieuchronnie, ludzkie ścierwo – zasyczał smok. Mówiąc to, załopotał olbrzymimi skrzydłami, wachlując nimi powoli. Smokowcy jęknęli i zaczęli się cofać, niektórzy nawet wpadając na siebie i potykając w popłochu, by jak najprędzej zejść potworowi z drogi. Najwyraźniej wiedzieli, co się szykuje.

Caramon spojrział na smoka bez lęku. – Mój brat umiera, – krzyknął. – Rób ze mną, co chcesz. Proszę tylko o jedno. Daj mi miecz, abym mógł zginąć w walce!

Smok roześmiał się przenikliwie; smokowcy zawtórowali mu swym strasznym gulgotaniem i skrzeczeniem. Wymachując skrzydłami, smok zaczął się kołysać w przód i w tył, najwyraźniej przygotowując się do skoku na wojownika, aby go pożreć.

– To będzie zabawne. Pozwólcie mu wziąć broń – rozkazał smok. Jego łopoczące skrzydła wywołały wiatr, który szalał po obozie i rozsiewał iskry z ogniska.

Caramon odepchnął strażników na bok. Wycierając dłonią oczy, podszedł do sterty broni i wyciągnął swój miecz. Potem zwrócił się ku smokowi, a na jego obliczu malowała się rezygnacja i smutek. Wzniósł miecz.

– Nie możemy mu pozwolić zginąć tam samemu! – powiedział surowo Sturm i zrobił krok naprzód, przygotowany na to, by wyrwać się z klatki.

Nagle, z ciemności za nimi dobiegł ich czyjś głos.

– Hsst... Tanisie!

Półelf odwrócił się gwałtownie. – Flint! – wykrzyknął, a potem obejrzał się z obawą na strażników, lecz smokowcy byli zbyt zajęci obserwowaniem widowiska z udziałem Caramona i smoka. Tanis pospieszył na tyły bambusowej klatki, gdzie stał krasnolud.

– Uciekaj stąd! – rozkazał półelf. – Nic tu nie możesz zrobić. Raistlin umiera, a smok...

– Jest Tasslehoffem – rzekł zwięźle Flint.

– Co? – Tanis wbił wściekły wzrok w krasnoluda. – Mów do rzeczy.

– Smok jest Tasslehoffem – powtórzył cierpliwie Flint. Tanisowi odjęło mowę na jakiś czas. Spoglądał uważnie na krasnoluda.

– Smok jest zrobiony z wikliny – szepnął pośpiesznie krasnolud. – Tasslehoff zakradł się tam od tyłu i zajrzał do środka. Tam jest cały mechanizm! Każdy, kto siedzi we wnętrzu smoka, może machać jego skrzydłami i przemawiać przez pustą tubę. Przypuszczam, że w ten sposób kapłani utrzymują tu porządek. W każdym razie to Tasslehoff łopocze skrzydłami i grozi Caramonowi, że go zje.

Tanis westchnął. – Ale co mamy robić? Wciąż otacza nas stu smokowców. Prędzej czy później zorientują się, co się naprawdę dzieje.

– Idźcie do Caramona, ty, Riverwind i Sturm. Łapcie broń, plecaki i laskę. Ja pomogę Goldmoon zanieść Raistlina do lasu. Tasslehoff ma jakiś pomysł. Bądźcie tylko gotowi.

Tanis jęknął.

– Mnie to się też nie podoba – burknął krasnolud. – Zawierzyć swe życie temu pustogłowemu kenderowi. Lecz cóż, w końcu on jest smokiem.

– Z całą pewnością nim jest – rzekł Tanis, spoglądając na smoka, który wrzeszczał, wył, machał skrzydłami i kołysał się w przód i w tył. Zdumieni smokowcy wpatrywali się w niego z otwartymi paszczami. Tanis chwycił Sturma i Riverwinda i razem przykucnęli przy Goldmoon, która nie opuszczała Raistlina. Półelf wyjaśnił, co się dzieje. Sturm popatrzył na niego, jakby był równie niespełna rozumu, co Raistlin. Riverwind potrząsnął głową.

– A macie lepszy plan? – zapytał Tanis. Obaj spojrzeli na smoka, potem znów na Tanisa i wzruszyli ramionami.

– Goldmoon idzie z krasnoludem – rzekł Riverwind. Kobieta chciała zaprotestować. Barbarzyńca popatrzył na nią beznamiętnie i natychmiast umilkła, przełknąwszy słowa.

– Tak – powiedział Tanis. – Zostań, pani, z Raistlinem, proszę. Przyniesiemy ci laskę.

– Pośpieszcie się – rzekła pobielałymi wargami. – On jest bardzo bliski śmierci.

– Będziemy się śpieszyć – obiecał zdecydowanie Tanis.

– Mam wrażenie, że kiedy już się tam zacznie, będziemy się ruszać bardzo szybko! – Poklepał ją po dłoni. – Chodźmy.

– Wstał i zaczerpnął głęboko tchu.

Spojrzenie Riverwinda wciąż spoczywało na Goldmoon. Miał zamiar coś powiedzieć, lecz potem potrząsnął głową z irytacją i odwrócił się bez słowa, by stanąć obok Tanisa. Sturm podszedł do nich. We trzech zakradli się od tyłu do strażników.

Caramon uniósł miecz. Ostrze błysnęło w blasku ognia. Smok rozszalał się okrutnie, a wszyscy smokowcy cofnęli się, rycząc chrapliwie i uderzając mieczami o tarcze. Wiatr wzniecony przez skrzydła smoka roznosił popiół i iskry z ogniska, zapalając kilka pobliskich bambusowych szałasów. Smokowcy nie zauważyli tego, bo ogarnęła ich żądza mordowania. Smok wrzasnął i zawył, a Caramon poczuł suchość w ustach i skurcze mięśni brzucha. Po raz pierwszy szedł do boju bez brata i na myśl o tym serce ścisnęło mu się boleśnie. Miał już rzucić się do ataku, gdy nie wiadomo skąd u jego boku pojawili się Tanis, Sturm i Riverwind.

– Nie pozwolimy, by nasz przyjaciel zginął samotnie! – półelf krzyknął wyzywająco do smoka. Smokowcy wiwatowali radośnie.

– Uciekaj stąd, Tanisie! – Caramon wykrzywił ponuro zaczerwienioną i poznaczoną śladami łez twarz. – To moja walka.

– Zamknij się i posłuchaj! – rozkazał Tanis. – Sturmie, weź swój i mój miecz. Riverwindzie, ty weźmiesz swój oręż, plecaki i wszystką broń smokowców, jaką zdołasz, w zamian za tę, którą straciliśmy. Caramonie, ty weźmiesz obie laski.

Caramon popatrzył na niego. – Co...

– Tasslehoff jest smokiem – rzekł Tanis. – Nie ma czasu na wyjaśnienia. Rób tylko, co ci każę! Weź laskę i zanieś ją do lasu. Goldmoon czeka. – Położył dłoń na ramieniu wojownika, a potem popchnął go. – Idź już! Raistlin jest bliski śmierci! Tylko ty możesz go uratować.

To stwierdzenie wreszcie dotarło do umysłu Caramona. Podbiegł do sterty broni i pochwyił laskę z błękitnego kryształu oraz należącą do Raistlina laskę Magiusa, podczas gdy smokowcy krzyczeli. Sturm i Riverwind uzbroili się, a potem Sturm przyniósł Tanisowi miecz.

– A teraz, przygotujcie się na śmierć, ludzie! – wrzasnął smok. Zamachnął się mocno skrzydłami i nagle poleciał, zawisając w powietrzu. Smokowcy zaskrzeczelili i krzyknęli z przerażenia, niektórzy uciekając do lasu, inni padając na ziemię na płask.

– Teraz! – zawołał Tanis. – Uciekaj, Caramonie!

Olbrzymi wojownik rzucił się pędem w stronę lasu, do miejsca, gdzie widział oczekujących na niego: Goldmoon i Flinta. Na drodze stanął mu smokowiec, lecz Caramon odrzucił go pchnięciem mocarnej ręki. Słyszał za sobą dziką wrzawę, solamnijski okrzyk bojowy Sturma i wycie smokowców. Następni smokowcy rzucili się na Caramona. Użył laski z błękitnego kryształu w ten sam sposób co Goldmoon, ścisnąc ją w wielkiej dłoni i zataczając szeroki krąg. Błysnął niebieski płomień i smokowcy odskoczyli.

Caramon dotarł do lasu i zastał ledwo dyszącego Raistlina leżącego u stóp Goldmoon.

Goldmoon wyrwała Caramonowi laskę i położyła ją na nieruchomym ciele maga. Flint przyglądał się temu i potrząsał głową. – Nie podziiała – mruzczał krasnolud. – Już się zużyła.

– Musi podzielać – rzekła stanowczo Goldmoon. – Proszę – szepnęła – ktokolwiek jest panem tej laski, uzdrów tego człowieka. Proszę. – Nieświadomie powtarzała to cały czas. Caramon przyglądał się przez chwilę, mrugając oczami. A potem puszczył wokół nich rozjaśnił gigantyczny rozbłysk światła.

– W imię otchłani! – szepnął Flint. – Spójrz tylko na to!

Caramon odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak olbrzymi, czarny smok z wikliny wpada głową w płonące ognisko. Zapalone kłody poleciały w górę, obsypując iskrami cały obóz. Bambusowe szałas smokowców, niektóre już płonące, stały w ogniu. Wiklinowy smok wydał ostatni przerażający wrzask, a potem i on się zapalił.

– Tasslehoff! – zaklął Flint. – Ten przeklęty kender – on jest tam w środku! – Zanim Caramon zdołał go powstrzymać, krasnolud wbiegł do płonącego obozowiska smokowców.

– Caramonie... – szepnął Raistlin. Rosły wojownik przyklęknął obok brata. Raistlin wciąż był blady, lecz miał otwarte i przytomne oczy. Usiadł z trudem, wspierając się na ramieniu brata, i spojrzał na szalejący ogień. – Co się dzieje?

– Nie jestem pewien – odrzekł Caramon. – Tasslehoff zmienił się w smoka, a potem wszystko się nieźle pomieszało. Ty tylko odpoczywaj. – Wojownik przebijał wzrokiem zasłonę dymu i czekał z wyciągniętym mieczem, gdyby jakiś smokowiec chciał się na nich rzucić.

Jednak więźniowie nie obchodzili teraz za bardzo smokowców. Ci z mniejszego gatunku wpadli w panikę i uciekli do lasu, gdy ich wielki bóg-smok stanął w płomieniach. Kilku spośród tych odzianych w szaty, większych i najwyraźniej inteligentniejszych od tego drugiego gatunku, rozpaczliwie usiłowało zaprowadzić ład w przerażającym chaosie, jaki zapanował wokół.

Sturm walczył i przedzierał się przez szeregi smokowców, nie napotykając żadnego zorganizowanego oporu. Dotarł właśnie do brzegu polany i był już w pobliżu bambusowej klatki, gdy wyminął go Flint, biegnący z powrotem w stronę obozu!

– Hej! Dokąd... – krzyknął Sturm za krasnoludem.

– Tas – w smoku! – Krasnolud nie zatrzymał się.

Sturm odwrócił się i zobaczył czarnego wiklinowego smoka stojącego w płomieniach, które strzelały wysoko w niebo. Kłęby gęstego dymu zasnuły obóz, bowiem stęchłe, wilgotne powietrze znad bagna nie pozwalało mu wznieść się i rozwiać. Część płonącego smoka wybuchła i zasypała obóz deszczem iskier. Sturm uchylił się i zgasił iskry, które wylądowały

na jego płaszczu, a następnie pobiegł za krasnoludem, bez trudu doganiając krótkonogiego Flinta.

– Flincie – wysapał, chwytając krasnoluda za ramię. – To nie ma sensu. Nikt nie może przeżyć w takim piecu! Musimy wracać do pozostałych...

– Puść mnie! – Flint ryknął tak wściekle, że Sturm wypuścił go ze zdumienia. Krasnolud znów pobiegł w stronę płonącego smoka. Sturm westchnął głęboko i pobiegł za nim, czując, że z podrażnionych dymem oczu zaczynają mu płynąć łzy.

– Tasslehoffie Burrfoot! – wołał Flint. – Ty głupi kenderze! Gdzie jesteś? Nie było odpowiedzi.

– Tasslehoffie! – wrzeszczał Flint. – Jeśli zepsujesz nam ucieczkę, zamorduję cię. Więc pomóż mi... – Po policzkach krasnoluda ciekły łzy spowodowane bezsilnym gniewem, smutkiem i dymem.

Żar był nie do zniesienia. Sturm czuł, że gorąco pali mu płuca i wiedział, że nie będą mogli długo w nim oddychać, bo sami zginą. Chwytał mocno krasnoluda, zamierzając ogłuszyć go, gdyby okazało się to niezbędne, kiedy nagle zobaczył, że coś się porusza na krawędzi pożaru. Przetarł oczy i popatrzył uważniej.

Smok leżał na ziemi, a jego głowę łączyła z płonącym tułowiem długa, wiklinowa szyja. Głowa jeszcze się nie zapaliła, lecz płomienie wgrzyzały się już w plecioną z wikliny szyję. Głowa również wkrótce stanie w ogniu. Sturm znowu zobaczył jakiś ruch.

– Flincie! Spójrz! – Sturm pobiegł w stronę smoka, a krasnolud pocwałował za nim. Ze smoczej paszczy wystawały dwie małe nogi odziane w jaskrawoniebieskie nogawice i fikały niemrawo.

– Tas! – krzyknął Sturm. – Wyjdź stamtąd! Głowa wkrótce się zapali!

– Nie mogę! Ugrzązłem! – dobiegł ich stłumiony głos.

Sturm popatrzył na głowę, rozpaczliwie usiłując znaleźć sposób na uwolnienie kendera, a tymczasem Flint po prostu złapał Tasa za nogi i pociągnął.

– Auuu! Przestań! – wrzasnął Tas.

– Nie da rady – wysapał krasnolud. – Utknął na dobre.

Płomienie lizały już szyję smoka.

Sturm wyciągnął miecz. – Może utnę mu głowę –

mruknął do Flinta – ale to jedyna szansa. – Oceniając wielkość kendera, domyślając się, gdzie może być jego głowa, i mając nadzieję, że Tas nie wyciągnął rąk nad głowę, Sturm uniósł miecz nad smoczym karkiem.

Flint zamknął oczy.

Rycerz zaczerpnął głęboko tchu i z trzaskiem spuścił ostrze miecza na smoczy kark, oddzielając łeb od szyi. Ze środka rozległ się krzyk kendera, lecz Sturm nie potrafił powiedzieć, czy był to okrzyk bólu, czy zdumienia.

– Ciagnij! – krzyknął do krasnoluda.

Flint złapał wiklinowy łeb i odciągnął go od płonącej szyi. Nagle z dymu wyłoniła się wysoka, ciemna postać. Sturm odwrócił się szybko z mieczem w dłoni, lecz wtedy zobaczył, że to Riverwind.

– Co wy tu ro... – Mieszkaniec równin przyjrzał się uważnie smoczej głowie. Może Sturm i Flint postradali zmysły?

– W środku utknął kender! – zawołał Sturm. – Nie jesteśmy w stanie rozerwać tego łba tutaj, otoczeni przez smokowców! Musimy...

Jego słowa zostały zagłuszone przez ryk ognia, lecz Riverwind wreszcie dostrzegł niebieskie nogi wystające ze smoczej paszczy. Chwycił smoczy łeb z jednej strony, wsuwając dłonie w jeden z oczodołów. Sturm chwycił z drugiej strony i razem unieśli głowę – z kenderem w środku – i pobiegli przez obóz. Nieliczni smokowcy, na których się natknęli, rzucili jedno spojrzenie na przerażającą zjawę i uciekli.

– No, Raist – mówił troskliwie Caramon, obejmując brata ramieniem. – Musisz spróbować wstać. Musisz być gotów, żeby opuścić to miejsce. Jak się czujesz?

– A jak ja się zawsze czuję? – szepnął Raistlin zgryźliwie. – Pomóż mi wstać. No, wystarczy! Teraz zostaw mnie w spokoju na chwilę. – Oparł się o drzewo, dygocząc, lecz trzymając się na nogach.

– Jasne, Raist – powiedział Caramon, czując się urażony, i wycofał się. Goldmoon spojrzała na Raistlina z odrazą, przypomniawszy sobie żal Caramona, kiedy myślał, że jego brat umiera. Odwróciła się, żeby zobaczyć, czy nie nadchodzą pozostali, starając się przeniknąć wzrokiem gęstniejącą zasłonę dymu.

Tanis pojawił się pierwszy, biegnąc tak szybko, że zderzył się z Caramonem. Wielki wojownik złapał go w ogromne ramiona, powstrzymując półelfa w pędzie i nie pozwalając mu upaść.

– Dzięki! – wysapał Tanis. Schylił się, wspierając dłonie na kolanach, żeby odetchnąć. – Gdzie są pozostali?

– Nie było ich z tobą? – Caramon zmarszczył brwi.

– Rozdzieliliśmy się. – Tanis łąpał głębokie hausty powietrza, a potem zakaszał, wciągnąwszy dym do płuc.

– *SuTorakh!* – przerwała Goldmoon głosem pełnym nabożnego lęku. Zarówno Tanis,

jak i Caramon z obawą odwrócili się gwałtownie i spojrzeli na pełne dymu obozowisko, aby dostrzec groteskowy widok, który wyłonił się z kłębow dymu. Zbliżał się do nich smoczy łeb z rozdwojonym, niebieskim językiem. Tanis mrugnął z niedowierzania, a potem usłyszał za swoimi plecami odgłos, na dźwięk którego niemal wskoczył na drzewo w panice. Odwrócił się raptownie z sercem w gardle, a mieczem w ręku.

Raistlin śmiał się.

Tanis nigdy przedtem nie słyszał, żeby czarodziej śmiał się – nawet kiedy Raistlin był dzieckiem – i miał nadzieję, że nigdy więcej już tego nie usłyszy. Był to osobliwy, przejmujący, szyderczy śmiech. Caramon spoglądał na swego brata ze zdumieniem. Goldmoon z przerażeniem. Wreszcie śmiech Raistlina zaczął przycichać, aż czarodziej śmiał się bezgłośnie, a w jego złotych oczach odbijał się blask stojącego w płomieniach obozu smokowców.

Tanis wzdrygnął się i odwrócił, dostrzegając, że w rzeczywistości smoczą głowę nieśli Sturm i Riverwind. Flint biegł na przedzie z hełmem smokowca na głowie. Tanis wybiegł im na spotkanie.

– Co to, w imię...

– Kender utkwiał tam w środku! – powiedział Sturm. Wraz z Riverwindem postawili głowę na ziemi i obaj ciężko sapali. – Musimy go jakoś stamtąd wydostać. – Sturm przyjrzał się nieufnie śmiejącemu się Raistlinowi. – Co mu jest? Wciąż jest zatruty?

– Nie, już mu lepiej – powiedział Tanis, oglądając smoczy łeb.

– Szkoda – mruknął Sturm, przyklękając obok półelfa.

– Tas, nic ci nie jest? – zawołał Tanis, unosząc wielką paszczę, żeby zajrzeć do środka.

– Wydaje mi się, że Sturm odrąbał mi kitkę! – krzyknął żałośnie kender.

– Masz szczęście, że to nie była twoja głowa! – parsknął Flint.

– Co go tam trzyma? – Riverwind nachylił się, by zajrzeć do smoczej paszczy.

– Nie jestem pewien – odrzekł Tanis, klnąc cicho. – Nic nie widzę w tym przeklętym dymie. – Wstał, wzdychając z frustracji. – Musimy stąd uciekać! Smokowcy wkrótce się przegrupują. Caramonie, chodź tutaj. Spójrz, czy nie uda ci się oderwać górnej części.

Wielki wojownik zbliżył się i stanął przed łbem wiklinowego smoka. Zaparłszy się, chwycił za oba oczodoły, zacisnął powieki, zaczerpnął głęboko tchu, a następnie sapnął i pociągnął. Przez chwilę nic się nie działo. Tanis patrzył, jak uwypuklają się muskuły ramion ogromnego wojownika, i widział, jak mięśnie ud przejmują napięcie. Krew nabiegła Caramonowi do twarzy. Wtedy rozległ się trzeszczący odgłos pękającego drewna. Górna

część smoczej głowy oderwała się z głośnym chrupnięciem. Caramon zatoczył się do tyłu, gdy górna połowa łba została mu w rękach.

Tanis nachylił się, chwycił Tasa za rękę i wyszarpnął go ze środka. – Nic ci się nie stało? – zapytał. Kender nieco chwiejnie stał na nogach, lecz uśmiech miał szeroki jak zawsze.

– Czuję się doskonale – powiedział wesoło Tas. – Tylko trochę mnie osmaliło. – Potem spochmurniał. – Tanisie – rzekł, marszcząc twarz w grymasie nietypowego zmartwienia. Pomacał swą długą kity. – A moje włosy?

– Są całe – powiedział Tanis, uśmiechając się. Tas westchnął z ulgą. Potem zaczął mówić. – Tanisie, to było coś przewspaniałego – to latanie. A ta mina Caramona...

– Twoja historia będzie musiała poczekać – rzekł stanowczo Tanis. – Musimy stąd uciekać. Caramonie? Dacie sobie z bratem radę?

– W porządku, idźcie już – powiedział Caramon.

Raistlin pokuśtykał naprzód, akceptując oparcie, jakim było silne ramię brata. Mag obejrzał się jeszcze na odrąbaną smoczą głowę i zachrypiał, zanosząc się w milczeniu od ponurego rozbawienia, aż mu się trzęsły chude ramiona.

Rozdział XV

Ucieczka. Studnia. Śmierć na czarnych skrzydłach

Dym płonącego obozowiska smokowców unosił się nad mokradłem, chroniąc drużynę przed oczami niesamowitych, złych stworów. Smużki dymu snuły się po bagnie jak widma, wędrując przez tarczę srebrnego księżyca i przesłaniając gwiazdy. Przyjaciele nie ośmielili się zapalić światła – nawet światła laski Raistlina – bowiem słyszeli zewsząd odgłosy dęcia w rogi, towarzyszące próbom przywrócenia porządku wśród smokowców.

Prowadził ich Riverwind. Chociaż Tanis zawsze był dumny ze swych zdolności leśnego tropiciela, na tym czarnym mglistym mokradle kompletnie stracił poczucie kierunku. Od czasu do czasu, gdy dym się podnosił, przelotnie zauważane gwiazdy mówiły mu, że idą na północ.

Nie zaszli daleko, gdy Riverwind źle stąpnął i zapadł się po kolana w błoto. Po tym, jak Tanis z Caramonem wyciągnęli mieszkańca równin z wody, Tas ostrożnie poszedł naprzód, próbując grunt kijem hoopaka. Za każdym razem zapadał się.

– Nie mamy innego wyjścia, jak brodzić w wodzie – rzekł ponuro Riverwind.

Wybrawszy drogę, gdzie woda wydawała się naj płytsza, towarzysze opuścili twardego grunt i z chlupotem weszli w błoto. Początkowo sięgało zaledwie do kostek, lecz później zapadli się po kolana. Wkrótce zagłębili się jeszcze bardziej. Tanis zmuszony był nieść Tasslehoffa, który trzymał go za szyję, chichocząc przy tym. Flint zawzięcie odmawiał, kiedy proponowano mu pomoc, nawet wtedy gdy zamoczył sobie koniec brody. Nagle zniknął. Caramon, który szedł za nim, wyłowił krasnoluda z wody i przerzucił go sobie przez ramię jak mokry worek. Krasnolud był zbyt zmęczony i przerażony, by marudzić. Raistlin, kaszłając, chwiejnym krokiem brnął przez wodę w szatach, które obciążały go i utrudniały chodzenie. Zmęczony i wciąż chory z powodu trucizny, mag nie mógł już utrzymać się na nogach. Sturm pochwyił go i w pół ciągnął, w pół niósł przez moczary.

Po godzinie brodzenia w lodowatej wodzie wreszcie dotarli na suchy ląd i drżąc z zimna, położyli się na odpoczynek. Drzewa zaczęły skrzypieć i jęczeć, a ich gałęzie uginały się na ostrym wietrze dmącym z północy. Wiatr rozwiał opary, z których zostały tylko przejrzyste strzępy. Leżący na ziemi Raistlin podniósł głowę. Czarodziej nagle jęknął. Usiadł, zdjęty trwogą.

– Czarne chmury. – Zakrztusił się, kaszlnął i przemówił z wysiłkiem. – Nadciągają z północy. Czas upływa. Nie ma czasu! Musimy dotrzeć do Xak Tsaroth. Pośpieszcie się! Nim księżyc zajdzie!

Wszyscy spojrzeli w niebo. Z północy nadciągała narastająca ciemność, która pożerała gwiazdy. Tanisa ogarnęło to samo poczucie pośpiechu, które gnało czarodzieja. Wstał, mimo zmęczenia. Bez słowa reszta grupy wstała i chwiejnym krokiem ruszyła naprzód. Riverwind szedł na czele. Wkrótce czarna, bagienna woda znów zagroziła im drogę.

– O, nie, znowu! – jęknął Flint.

– Nie musimy znów brodzić. Chodźcie zobaczyć – rzekł Riverwind. Podprowadził ich do brzegu. Tam, wśród gruzów sterczących z wilgotnej ziemi, leżał obelisk, który albo sam upadł, albo został przewrócony tak, by utworzyć most wiodący na drugi brzeg mokradła.

– Ja pójdę pierwszy – zgłosił się na ochotnika Tas, żwawo wskakując na podłużny kamień. – Hej, coś tu jest napisane. Jakieś runy.

– Muszę to zobaczyć! – szepnął Raistlin, śpiesząc naprzód. Wypowiedział magiczne słowo *Shirak* i kryształ na czubku laski zapłonął raptownym blaskiem.

– Pośpiesz się! – rzekł przyciszonym głosem Sturm. – Właśnie ogłosiłeś naszą obecność wszystkim w promieniu trzydziestu kilometrów.

Lecz Raistlin nie dawał się popędzać. Trzymał światło nad zawitymi znakami runicznymi, przyglądając im się uważnie. Tanis i pozostali wspięli się na obelisk i podeszli do maga.

Kender nachylił się i prześledził runy swą małą dłonią. – Co tu jest napisane, Raistlinie? Potrafisz to przeczytać? Język wygląda na bardzo stary.

– Bo jest stary – szepnął mag. – Pochodzi sprzed kataklizmu. Runy mówią: „Wielkie miasto Xak Tsaroth, którego piękno otacza cię, głosi dobro swego ludu i jego szczodre postęпки. Bogowie nagrodzili nas łaską naszego domostwa”.

– Jakie to straszne! – Goldmoon wzdrygnęła się, spojrzawszy na ruiny i pustkowie wokół.

– Bogowie rzeczywiście ich nagrodzili – rzekł Raistlin, krzywiąc wargi w cynicznym uśmiechu. Nikt się nie odezwał. Wtedy Raistlin szepnął Dulak i zgasił światło. Nagle wydało się, że noc stała się jeszcze czarniejsza. – Musimy iść dalej

– powiedział czarodziej. – Z pewnością nie tylko ten zniszczony pomnik został po tym, z czego niegdyś słyneło to miejsce. Przeszli po obelisku i zagłębili się w gąszcz dżungli. Początkowo wydawało im się, że nie ma szlaku, lecz potem tropiący pilnie Riverwind znalazł ścieżkę wyciętą wśród pnączy i drzew. Nachylił się, by ją zbadać. Kiedy wstał, miał markotną minę.

– Smokowcy? – zapytał Tanis.

– Tak – odrzekł ponuro. – Ślady wielu szponiastych stóp. Prowadzą na północ, wprost

do miasta.

– Czy to jest to zrujnowane miasto, gdzie otrzymałeś łaskę? – Tanis zapytał po cichu.

– I gdzie śmierć miała czarne skrzydła – dodał Riverwind. Zaniknął oczy, przecierając twarz dłonią. Potem głęboko odetchnął. – Nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć – ale boję się, nie wiedząc czemu.

Tanis położył dłoń na ramieniu Riverwinda. – Elfowie mają takie powiedzenie: „Tylko umarli nie czują strachu”.

Riverwind zaskoczył półelfa, raptownie ściskając jego dłoń.

– Nigdy nie znałem żadnego elfa – powiedział mieszkaniec równin. – Mój lud nie ufał im, twierdząc, że elfów nie obchodzi Krynn ani ludzkość. Wydaje mi się, że moje plemię mogło być w błędzie. Cieszę się, że cię poznałem, Tanisie z Qualinostu. Uważam cię za mego przyjaciela.

Tanis dość dobrze znał obyczaje ludu równin, by wiedzieć, iż tym stwierdzeniem Riverwind ogłosił swą gotowość poświęcenia wszystkiego dla półelfa – nawet swojego życia. Przysięga przyjaźni była czymś bardzo poważnym dla mieszkańców równin. – Ty również jesteś moim przyjacielem, Riverwindzie – powiedział prosto Tanis. – Ty i Goldmoon, oboje jesteście moimi przyjaciółmi.

Riverwind zwrócił oczy ku Goldmoon, która stała w pobliżu, wsparta na lasce, z zamkniętymi oczami i twarzą ściągniętą cierpieniem i znużeniem. Twarz Riverwinda złagodniała ze współczucia, gdy jej się przyglądał. Potem spoważniał, a duma znów przysłoniła jego twarz maską surowości.

– Do Xak Tsaroth już niedaleko – rzekł chłodno. – A ślady są stare.

Poprowadził ich w głąb dżungli. Po krótkim czasie szlak wiodący na północ niespodziewanie zmienił się w brukowaną drogę.

– Ulica! – wykrzyknął Tasslehoff.

– Przedmieścia Xak Tsaroth! – wyszeptał Raistlin.

– Najwyższy czas! – Flint rozglądał się dookoła z odrazą. – Co za śmietnik! Jeśli największy dar dany człowiekowi znajduje się tutaj, musi być dobrze schowany!

Tanis był tego samego zdania. Nie widział jeszcze tak ponurego miejsca. Szeroka ulica, którą szli, doprowadziła ich do otwartego, brukowanego dziedzińca. Po wschodniej stronie wznosiły się cztery wysokie, stojące luzem kolumny, które niczego nie podtrzymywały. Budynek leżał w gruzach wokół nich. Był tam też olbrzymi, nie uszkodzony krąg muru, który wznosił się jakiś metr dwadzieścia nad ziemię. Caramon, który podszedł, by mu się przyjrzeć, oświadczył, że jest to studnia.

– I to głęboka – powiedział. Nachylił się i zjrzał do niej. – Do tego śmierdzi.

Na północ od studni stał jedyny, jak się wydawało, budynek, który uniknął zniszczenia w czasie kataklizmu. Była to piękna budowla z czysto białego kamienia, wsparta na wysokich, wysmukłych kolumnach. Wielkie, podwójne, złote wrota połyskiwały w świetle księżyca.

– To była świątynia dawnych bogów – powiedział Raistlin, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Jednakże Goldmoon, która stała w pobliżu, usłyszała jego cichy szept.

– Świątynia? – powtórzyła, wpatrując się w budynek. – Jakże piękna. – Podeszła do niej, dziwnie zafascynowana.

Tanis i pozostali przeszukali okolicę i nie znaleźli innych nie uszkodzonych budowli. Rozbite fragmenty kanelurowanych kolumn zaścielały ziemię, ułożone w sposób ukazujący ich minione piękno. Posągi były strzaskane i w niektórych przypadkach groteskowo zeszpecone. Wszystko było stare, tak stare, że nawet krasnolud poczuł się młody.

Flint siadł na jednej z kolumn. – No, to jesteśmy na miejscu. – Zmrużył oczy, spoglądając na Raistlina, i ziewnął. – Co teraz, czarodzieju?

Raistlin rozwarł wąskie wargi, lecz zanim zdołał odpowiedzieć, Tasslehoff wrzasnął: – Smokowiec!

Wszyscy odwrócili się gwałtownie z bronią w ręku. Na cembrowinie siedział gotowy do ataku smokowiec i mierzył ich nienawistnym wzrokiem.

– Zatrzymać go! – krzyknął Tanis. – Zawiadomi pozostałych!

Lecz zanim ktokolwiek zdążył dobiec do niego, smokowiec rozpostarł skrzydła i wleciał do studni. Raistlin, którego złote oczy błyszcząły w świetle księżyca, podbiegł do studni i zjrzał do wnętrza. Unosząc dłoń, jakby po to, by rzucić zaklęcie, zawahał się, a następnie opuścił bezwładnie rękę. – Nie mogę – powiedział. – Nie mogę myśleć. Nie potrafię się skupić. Muszę się przespać!

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedział znużonym głosem Tanis. – Jeśli tam na dole ktoś jest, już został zawiadomiony. Nic już nie możemy zrobić. Musimy odpocząć.

– On rzeczywiście poszedł zawiadomić kogoś – szepnął Raistlin. Otulił się płaszczem i rozejrzał wokół rozszerzonymi oczami. – Nie czujecie tego? Nikt z was? Półelfie? Zło wkrótce zbudzi się i wyłoni.

Zapadła cisza.

Potem Tasslehoff wspiął się na kamienny mur i spojrział w dół. – Spójrzcie! Smokowiec opada lekko, zupełnie jak liść. Nie macha skrzydłami...

– Bądź cicho! – huknął Tanis.

Tasslehoff obejrzał się na półelfa z zaskoczeniem – głos Tanisa był pełen napięcia i brzmiał nienaturalnie. Półelf obserwował studnię, zaciskając nerwowo dłonie. Panowała cisza. Zbyt wielka cisza. Na północy gromadziły się ciężkie chmury, lecz tu wiatr nie wiał. Nie zaskrzypiała gałąź, nie drgnął nawet liść. Srebrny i czerwony księżyc rzucały bliźniacze cienie, które sprawiały, że przedmioty widziane kątem oka były nierzeczywiste i zniekształcone.

Wtedy Raistlin powoli odsunął się od studni, wznosząc przed sobą ręce, jakby chcąc odpędzić jakieś straszliwe niebezpieczeństwo.

– Ja też to czuję. – Tanis przełknął ślinę. – Co to jest?

– Tak, co to jest? – Tasslehoff, wychyliwszy się, zaglądał z zapalem do studni. Sprawiała wrażenie równie głębokiej i mrocznej, co klepsydrowe oczy czarodzieja.

– Zabierz go stąd! – krzyknął Raistlin.

Tanis, zarażony lękiem maga i własnym rosnącym przeczuciem, że dzieje się coś straszliwie niedobrego, zaczął biec w stronę Tasa. Jednakże już rozpoczynając bieg, poczuł, że ziemia trzęsie mu się pod nogami. Kender wrzasnął z zaskoczenia, gdy prastara cembrowina popękła i zawałiła się pod nim. Tas poczuł, że obsuwa się w okropną czerń ziejącą pod nim. Skrobał rozpaczliwie dłońmi i stopami, usiłując zaczepić się o rozsypujące się kamienie. Tanis rozpaczliwie rzucił się w jego stronę, lecz był zbyt daleko.

Riverwind ruszył, gdy posłyszał okrzyk Raistlina. Szybkie, długie kroki wysokiego mężczyzny prędko zaniósły go do studni. Chwyciwszy Tasa za kołnierz, mieszkaniec równin zabrał go z muru w chwili, gdy kamienie i zaprawa posypały się w ciemność na dole.

Ziemia znów zadrżała. Tanis usiłował swym odrętwiałym umysłem pojąć, co się dzieje. Wtem ze studni buchnęło zimne powietrze. Wiatr wzbijał na dziedzińcu kłęby kurzu i liści, które kłuły go w twarz i oczy.

– Uciekajcie! – próbował krzyknąć Tanis, lecz zakrztusił się od smrodu, jaki buchnął ze studni.

Kolumny, które nie zawałiły się od czasu kataklizmu, zaczęły drżeć. Drużyna patrzyła z lękiem na studnię. Wtedy Riverwind oderwał od niej wzrok. – Goldmoon... – powiedział, rozglądając się. Opuścił Tasa na ziemię. – Goldmoon! – Zatrzymał się w chwili, gdy z głębi studni rozległ się wysoki wrzask. Dźwięk był tak głośny i przenikliwy, że przeszywał głowę. Riverwind rozpaczliwie szukał Goldmoon, wołając ją po imieniu.

Tanisa ogłuszył hałas. Nie mógł się ruszyć. Ujrzał Sturma, który z dłonią na rękojeści miecza cofał się powoli, oddalając od studni. Ujrzał Raistlina, którego upiorna twarz połyskiwała metalicznie żółto, a złote oczy błyszczały czerwono w blasku czerwonego

księżycu. Mag wrzeszczał coś, czego Tanis nie dosłyszał. Widział Tasslehoffa, który z zafascynowaniem wlepił w studnię spojrzenie szeroko otworzonych oczu. Sturm wbiegł na dziedziniec, chwycił kendera pod pachę i pobiegł dalej, między drzewa. Caramon pośpieszył do swego wyczerpanego brata, pochwycił go i pośpieszył, by gdzieś się schować. Tanis wiedział, że jakieś potworne zło wynurza się ze studni, lecz nie mógł się ruszyć. W jego umyśle rozbrzmiewały głośno słowa „uciekaj, głupcze, uciekaj”.

Również Riverwind został w pobliżu studni, walcząc ze strachem, który go ogarniał: nie mógł odnaleźć Goldmoon! Ratowanie kendera przed wpadnięciem do studni odwróciło jego uwagę, więc nie dostrzegł Goldmoon zbliżającej się do nienaruszonej świątyni. Rozejrzał się rozpaczliwie, starając się utrzymać równowagę, gdy ziemia zatrzęsała mu się pod nogami. Przerażliwy, wysoki wrzask, wraz z dudnieniem i dygotaniem ziemi, przywrócił mu pamięć okropnych, koszmarnych wydarzeń. – Śmierć o czarnych skrzydłach. – Zimny pot wystąpił mu na czoło. Riverwind zaczął drzeć, lecz wtedy pomyślał o Goldmoon. Wiedział że go potrzebuje i tylko on wiedział, że jej pokaz siły maskował lęk, powątpiewanie i niepewność. Z pewnością jest straszliwie przerażona, więc musi ją odnaleźć.

Kiedy kamienie studni zaczęły się osypywać, Riverwind odsunął się i zauważył Tanisa. Półelf krzyczał i wskazywał na świątynię za Riverwindem. Barbarzyńca wiedział, że Tanis mówi coś, lecz nie słyszał niczego w przeraźliwym wrzasku. Wtem zrozumiał! Goldmoon! Riverwind odwrócił się, by pójść do niej, lecz stracił równowagę i upadł na kolana. Zobaczył, że Tanis biegnie ku niemu. Wtedy ze studni wystrzelił koszmarny – koszmarny z jego gorączkowych majaków. Riverwind zamknął oczy i więcej już niczego nie ujrzał.

Był to smok.

Tanis, w pierwszych chwilach gdy krew zdawała się odpływać z jego ciała, tak że stał bezwładny i zmartwiał, spojrzął na smoka wylatującego ze studni i pomyślał: – Jaki piękny...jaki piękny...

Smukła, czarna smoczyca wznosiła się coraz wyżej, ciasno przyciskając lśniące skrzydła do boków pokrytych połyskującą łuską. Jej oczy żarzyły się czarno-czerwonym blaskiem, barwą płynnej skały. Otworzyła w grymasie paszczę, w której błyszczały białe, straszne zęby. Zwinęła długi, czerwony język, oddychając nocnym powietrzem. Wydostawszy się z ciasnej przestrzeni studni, smoczyca rozpostarła skrzydła, zasłaniając gwiazdy, zaćmiewając blask księżyców. Każde skrzydło zakończone było czysto białym szponem, który połyskiwał krwawą czerwienią w świetle Lunitari.

Strach, jakiego Tanis nigdy nawet sobie nie wyobrażał, ścisnął mu żołądek. Serce łomotało mu boleśnie; nie mógł złapać tchu. Był w stanie tylko przypatrywać się z

przeżeniem, osłupieniem i podziwem zabójczej urodzie istoty. Smok kołując, wzbijał się coraz wyżej w czarne niebo. Wtedy, w tej samej chwili gdy Tanis poczuł ustępowanie paralizującego go lęku i gdy po omacku zaczął szukać łuku i strzał, smoczyca przemówiła.

Rzekła jedno słowo – słowo w języku magii – i gęsta, przerażająca ciemność spadła z niebios, oslepiając ich wszystkich. Tanis natychmiast stracił poczucie tego, gdzie się znajduje. Wiedział tylko, że nad nim unosi się smok szykujący się do ataku. Nie mógł nic zrobić, by się bronić. Mógł tylko skulić się, wczołgać między gruzy i rozpaczliwie usiłować ukryć się w nich.

Pozbawiony zmysłu wzroku półelf skupił się na zmyśle słuchu. Przeróżliwy wrzask ucichł wraz z zapadnięciem ciemności. Tanis słyszał powolny, łagodny łopot skórzastych skrzydeł smoczycy i wiedział, że potwór krąży nad nimi, stopniowo wznosząc się. Potem nie słyszał już nawet łopotu; smoczyca przestała wymachiwać skrzydłami. Oczami wyobraźni ujrzał olbrzymiego, czarnego drapieżnego ptaka, który samotnie wisi w powietrzu i czeka.¹

A potem rozległ się bardzo delikatny szelest, niczym szmer liści drżących na wietrze wzbierającym przed burzą. Dźwięk ten narastał, aż stał się hukiem rozszalałej burzy, a potem wyciem huraganu. Tanis przycisnął się całym ciałem do zrujnowanej studni i nakrył głowę rękoma.

Smok zaatakował.

Khisanth nie widziała niczego w ciemności, którą sama rzuciła, lecz była pewna, że intruzi wciąż znajdują się na dziedzińcu w dole. Jej słudzy, smokowcy, donieśli jej o grupie wędrowców, którzy niosą laskę z błękitnego kryształu. Lord Verminaard pragnął tej laski, pragnął, by była bezpieczna przy niej, aby nigdy nie widziano jej w ludzkich krainach. Jednak smoczyca utraciła ją, a lord Verminaard nie był zadowolony. Musiała ją odzyskać. Toteż Khisanth odczekała chwilę przed rzuceniem zaklęcia ciemności, by uważnie się przyjrzeć intruzom i poszukać laski. Nieświadoma, iż upragniony przedmiot znikł już z pola jej widzenia, poczuła zadowolenie. Musiała tylko zabić.

Atakująca smoczyca spadła z nieba, złożywszy skórzaste skrzydła jak ostrze czarnego sztyletu. Zanurkowała wprost na studnię, gdzie poprzednio widziała rozbiegających się w panice intruzów. Wiedząc, że będą sparaliżowani smoczym strachem, Khisanth była pewna, że zdoła zabić ich wszystkich jednym atakiem. Otworzyła zębatą paszczę.

Tanis posłyszał zbliżającą się smoczycę. Niesamowity huk rósł coraz bardziej, a potem na chwilę ucichł. Słyszał skrzypienie olbrzymich ścięgien, które unosiły i rozkładały wielkie skrzydła. Potem usłyszał głośne westchnienie, jakby wciąganie powietrza do ogromnego gardła, a potem osobliwy odgłos, który przypominał mu syk pary wydostającej się

z kipiącego czajnika. Jakaś ciecz chlusnęła obok niego. Usłyszał trzask pękających i wrzących skał i krople cieczy spadły mu na dłoń. Jęknął, poczuwszy palący ból, który go przeszył.

Wtedy Tanis postyszał krzyk. Był to wrzask osoby o głębokim głosie – wrzask mężczyzny – Riverwinda. Tak straszny, tak pełen bólu był ten wrzask, że Tanis wbił paznokcie w dłoń, by nie przyłączyć się do tego przerażającego wycia i nie ujawnić swej kryjówki smokowi. Wydawało się, że wrzaskowi nie ma końca, aż wreszcie krzyk ucichł, przechodząc w jęk. Tanis poczuł świst powietrza wywołany lotem wielkiego ciała, które minęło go w ciemności. Kamienie, do których przyciskał się całym sobą, zatrzęsły się. Potem dudnienie przelotu smoka schodziło coraz niżej w otchłań studni. Wreszcie ziemia znieruchomiła.

Zapadła cisza.

Tanis boleśnie zaczerpnął tchu i otworzył oczy. Ciemność ustąpiła. Błyszczały gwiazdy, księżyc lśnił na niebie. Przez chwilę półelf oddychał tylko i próbował opanować drżenie ciała, bowiem nie był zdolny do niczego innego. Potem wstał i pobiegł ku ciemnej postaci leżącej na kamiennym dziedzińcu.

Tanis pierwszy dotarł do ciała mieszkańca równin. Rzucił jedno spojrzenie, a następnie zakrztusił się i odwrócił.

To, co zostało z Riverwinda, nie przypominało już człowieka. Ciało mężczyzny zostało okropnie spalone. Widać było wyraźnie biel kości w miejscach, gdzie skóra i mięśnie na ramionach stopiły się. Oczy spływały jak galareta po odartych z ciała, trupich policzkach. Usta były rozwarte szeroko w bezgłośnym krzyku. Klatka piersiowa była odsłonięta, a na kościach wisiały strzępy ciała i zwęglonego ubrania. Lecz – co najstraszliwsze – ciało na tułowiu zostało spalone, zostawiając na wierzchu wszystkie organy, pulsujące i krwawe w rażąco czerwonym świetle księżyca.

Tanis osunął się na kolana, wymiotując. Półelf widział ludzi umierających na ostrzu jego miecza. Widział ludzi rozrąbanych na kawały przez trolle. Ale... to było coś makabrycznie innego i Tanis wiedział, że to wspomnienie będzie go prześladować do końca życia. Silna ręka ścisnęła jego ramiona, oferując ciche pocieszenie, współczucie i zrozumienie. Mdłości przeszły. Tanis wyprostował się i odetchnął. Wytarł usta i nos, a potem spróbował zmusić się do przełknięcia śliny, dławiąc się przy tym boleśnie.

– Dobrze się czujesz? – spytał z troską Caramon.

Tanis pokiwał głową, nie mogąc wykrztusić słowa. Potem odwrócił się na dźwięk głosu Sturma.

– Na litość prawdziwych bogów! Tanisie, on jeszcze żyje! Widziałem, jak poruszył ręką! – Słowa utkwiły Sturmowi w gardle. Nie mógł powiedzieć już nic więcej.

Tanis wstał i chwiejnym krokiem podszedł do ciała. Jedna poczerniała, zwęglona ręka podniosła się znad kamieni i okropnie drgała w powietrzu.

– Zakończ to! – wychrypiał Tanis, czując jak pali go gardło podrażnione żółcią. – Zakończ to, Sturmie....

Rycerz wyciągnął już miecz. Ucałowawszy rękojeść, wznosił ostrze ku niebu i stanął nad ciałem Riverwinda. Zamknął oczy i myślami cofnął się do starego świata, gdzie śmierć w boju była chwalebna i piękna. Powoli i uroczyście zaczął recytować starożytną, solamnijską pieśń śmierci. Wypowiadając słowa, które chwytaly duszę wojownika i przenosiły ją do spokojnego królestwa zaświatów, odwrócił ostrze miecza i wznosił je nad piersią Riverwinda.

Przywróć tego męża na łono Humy
Ponad dzikim, obojętnym sklepieniem nieba;
Udziel mu spoczynku wojownika
I uwolnwszy ostatnią iskrę jego spojrzenia
Od ciężkich chmur wojen,
Skieruj ją ku pochodniom gwiazd.
Niech ostatni poryw jego tchnienia
Znajdzie ukojenie w kołysce przestworzy
Ponad marzeniami kruków, gdzie
Tylko jastrzęb pamięta śmierć.
A potem pozwól jego duszy wznieść się do Humy,
Ponad dzikie, obojętne sklepienie nieba.

Głos rycerza ucichł.

Tanis poczuł, że spokój bogów obmywa go, jak chłodna, oczyszczająca woda, łagodząc jego smutek i zatapiając grozę.

Caramon, stojący obok, płakał w milczeniu. Na ostrzu miecza połyskiwało światło księżyca.

Wtedy rozległ się wyraźny głos. – Zatrzymajcie się. Przynieście go do mnie.

Zarówno Tanis, jak i Caramon zerwali się, by zasłonić okaleczone ciało mężczyzny, wiedząc, że trzeba oszczędzić Goldmoon tego okropnego widoku. Sturm, pogrążony w tradycji, drgnął, wrócił do rzeczywistości i powstrzymał morderczy cios. Wysoka, smukła,

ciemna sylwetka Goldmoon rysowała się na tle złotych, zalanych księżycowym blaskiem wrót świątyni. Tanis chciał się odezwać, lecz nagle poczuł, że mag ściska jego ramię chłodną dłonią. Zadrżawszy, odsunął się gwałtownie od Raistlina.

– Rób, co ona ci każe – syknął czarodziej. – Zanieście go do niej.

Twarz Tanisa wykrzywił wściekły grymas na widok pozbawionego wyrazu oblicza Raistlina i jego obojętnego spojrzenia.

– Zanieście go do niej – rzekł chłodno Raistlin. – Nie nam wybierać śmierć dla tego człowieka. O tym zadecydują bogowie.

Rozdział XVI

Gorzki wybór. Największy dar

Tanis spojrział uważnie na Raistlina. Nawet drgnienie powiek nie zdradzało jego uczuć – jeśli mag miał w ogóle jakieś uczucia. Ich spojrzenia zetknęły się i jak zawsze, Tanis miał wrażenie, że czarodziej widzi więcej, niż on mógł dostrzec. Niespodziewanie Tanis znienawidził Raistlina, nienawidził go z siłą, która zaskoczyła jego samego, nienawidził go za to, że nie czuł tego bólu, nienawidził go i zazdrościł mu jednocześnie.

– Musimy coś zrobić! – rzekł ochryple Sturm. – On nie umarł, a smok może wrócić!

– Dobrze – powiedział Tanis, choć słowa ledwo przeciskały mu się przez gardło. – Zawieście go w koc... Ale pozwólcie mi spędzić chwilę na osobności z Goldmoon.

Półelf szedł powoli przez dziedziniec. Jego kroki rozbrzmiewały echem w ciszy nocy, gdy wchodził po marmurowych schodach na szeroki ganek, gdzie Goldmoon stała przed lśniącymi, złotymi drzwiami. Oglądając się za siebie, Tanis zobaczył przyjaciół owijających gałęzie wyciągniętymi z plecaków kocami, by zrobić z nich polowe nosze. Ciało mężczyzny w poświacie księżycowej przypominało zaledwie ciemną, bezkształtną masę.

– Przynies go mnie, Tanisie – powtórzyła Goldmoon, gdy półelf podszedł do niej. Wziął ją za rękę.

– Goldmoon – rzekł Tanis. – Riverwind został bardzo ciężko ranny. On umiera. Nic nie możesz zrobić – nawet laska...

– Sza, Tanisie – powiedziała łagodnie Goldmoon.

Półelf zamilkł, ujrawszy ją wyraźnie po raz pierwszy. Ze zdumieniem dostrzegł, że mieszkanka równin była spokojna, wyciszona i pełna otuchy. Jej twarz w świetle księżyców była twarzą żeglarza, który stoczył bój ze wzburzonym morzem w swej kruchej łódeczce i wpłynął wreszcie na spokojne wody.

– Wejdz do świątyni, mój przyjacielu – powiedziała Goldmoon, wbijając spojrzenie swych pięknych oczu w oczy Tanisa. – Wejdz do środka i przynieś Riverwinda do mnie.

Goldmoon nie usłyszała zbliżającego się smoka, nie zobaczyła, jak zaatakował Riverwinda. Kiedy tylko weszli na zniszczony dziedziniec w Xak Tsaroth, Goldmoon poczuła dziwną i przemożną siłę ciągnącą ją ku świątyni. Przeszła po gruzach i weszła na schody, nie widząc niczego, z wyjątkiem migoczących w srebrnoczerwonym blasku księżyców złotych drzwi. Zbliżyła się do nich i stała przed nimi przez chwilę. Wtedy zdała sobie sprawę, że za jej plecami wybuchło jakieś zamieszanie i usłyszała Riverwinda krzyczącego jej imię. – Goldmoon... – Zatrzymała się, nie chcąc zostawić Riverwinda

i swych przyjaciół, wiedząc, że ze studni wyłania się coś straszliwie złego.

– Wejdz do środka, dziecko – zawołał ją łagodny głos.

Goldmoon uniosła głowę i spojrzała na drzwi. Łzy napłynęły jej do oczu. To był głos jej matki. Tearsong, kapłanka plemienia Que-Shu, umarła dawno temu, kiedy Goldmoon była jeszcze bardzo mała.

– Tearsong? – załkała Goldmoon. – Matko...

– Lata były liczne i smutne dla ciebie, moja córko – nie tyle słyszała głos swej matki, co czuła go w swym sercu – i obawiam się, że twe brzemię nieprędko zmaleje. Zaprawdę, jeśli pójdziesz dalej, opuścisz tę ciemność tylko po to, by pogрузić się w jeszcze większej. Prawda rozjaśni ci drogę, moja córko, choć możesz odkryć, iż jej blask słabo świeci w niezmiernie i straszliwej nocy przed tobą. Niemniej jednak, bez prawdy wszystko ulegnie zagładzie i będzie stracone. Chodź ze mną do świątyni, córko. Znajdziesz tam to, czego szukasz.

– Ale moi przyjaciele, Riverwind. – Goldmoon obejrzała się w stronę studni i zobaczyła Riverwinda potykającego się na dygoczących kamieniach bruku. – Oni nie mogą się mierzyć z tym złem. Zginą beze mnie. Laska mogłaby pomóc. Ja nie mogę odejść! – Chciała już zawrócić, ale wtedy zapadła ciemność. – Nie widzę ich! ...Riverwindzie! ...Matko, pomóż mi! – krzyknęła w udreće.

Lecz odpowiedź nie nadeszła. To nie jest uczciwe! Goldmoon krzyknęła bezgłośnie, zaciskając pięści. My nigdy tego nie chcieliśmy! Chcieliśmy tylko kochać się, a teraz – teraz możemy to utracić! Tak wiele poświęciliśmy i niczego to nie zmieniło. Matko, ja mam trzydzieści lat! Trzydzieści lat i nie mam dzieci. Odebrano mi młodość, odebrano mi mój lud. A ja nie mam nic, czym mogłabym się pochwalić w zamian. Nic – z wyjątkiem tego! Potrząsnęła laską. A teraz znów wymaga się ode mnie, żebym dała z siebie jeszcze więcej.

Jej gniew minął. Riverwind – czy był zagniewany przez te wszystkie lata, kiedy szukał odpowiedzi? Znalazł tylko laskę, a ta tylko zapoczątkowała następne pytania. Nie, on się nie gniewał, pomyślała. Jego wiara jest silna. To ja jestem ta słaba. Riverwind gotów był umrzeć za wiarę. Wydaje się, że ja muszę być gotowa przeżyć – nawet jeśli oznacza to życie bez niego.

Goldmoon przytknęła czoło do złotych wrót, których metalowa powierzchnia była chłodna w dotyku. Niechętnie dokonała gorzkiego wyboru. Pójdę naprzód, matko – choć jeśli Riverwind umrze, me serce również umrze. Proszę tylko o jedno: Jeśli on zginie, przekaż mu jakoś, że ja będę kontynuować jego poszukiwania.

Wspierając się na lasce, wódz Que-Shu pchnęła złote wrota i wkroczyła do świątyni.

Drzwi zatrzasnęły się za nią dokładnie w tej samej chwili, w której czarna smoczyca wyskoczyła ze studni.

Goldmoon pogrążyła się w miękkiej, otulającej ją ciemności. Początkowo nic nie widziała, lecz przez myśl jej przebiegło wspomnienie tego, jak matka trzymała ją blisko przy sobie w swych ciepłych objęciach. Wokół niej zaczynało lśnić blade światło. Goldmoon zobaczyła, że znajduje się pod ogromną kopułą, która wznosi się wysoko nad posadzką wyłożoną misterną, kafelkową mozaiką. Pod kopułą, na środku pomieszczenia, stał marmurowy posąg pełen niezwykłego wdzięku i piękna. Światło w tej sali promieniowało z owego posągu. Goldmoon podeszła do niego jak zauroczona. Posąg przedstawiał kobietę w powiewnych szatach. Na jej marmurowej twarzy malował się wyraz promiennej nadziei, powściągniętej smutkiem. Na jej szyi wisiał dziwny amulet.

– To jest Mishakal, bogini uzdrawiania, której służę – rzekł głos jej matki. – Posłuchaj jej słów, moja córko.

Goldmoon stanęła tuż przed posągiem, nie mogąc wyjść z podziwu na widok jego piękna. Wydawał się jednak niedokończony, niekompletny. Goldmoon zdała sobie sprawę, że brakuje części posągu. Ręce marmurowej kobiety były wygięte, jakby trzymały długi, wysmukły pręt, lecz dłonie były puste. Bez udziału świadomości, popychana tylko potrzebą dokończenia takiego piękna, Goldmoon wsunęła swą laskę w marmurowe dłonie.

Laska zaczęła się jarzyć delikatnym, błękitnym światłem. Zaskoczona Goldmoon cofnęła się. Blask laski zmienił się w oślepiającą jasność. Goldmoon przysłoniła oczy i osunęła się na kolana. Wielka i pełna miłości moc przepełniła jej serce. Gorzko pożałowała swego gniewu.

Nie wstydz się swych wątpliwości, ukochana uczennico. To twoje pytania doprowadziły cię do nas, a gniew doda ci siły w wielu ciężkich próbach, jakie cię czekają. Przybyłaś w poszukiwaniu prawdy, więc otrzymasz ją.

Bogowie nie odwrócili się od człowieka – to człowiek odwrócił się od prawdziwych bogów. Krynn czeka największa próba. Ludziom potrzeba będzie więcej prawdy niż kiedykolwiek. Ty, moja uczennico, musisz przywrócić prawdę i moc prawdziwych bogów ludzkości. Nadszedł czas, by przywrócić równowagę wszechświata. Teraz zło przeważa szale. Bowiemy tak, jak bogowie dobra wrócili do ludzi, tak samo bogowie zła, którzy stale walczą o ludzkie dusze. Królowa Ciemności powróciła, by poszukiwać tego, co pozwoli jej znów swobodnie stąpać po tej ziemi. Smoki, niegdyś wypędzone do otchłani, wróciły na powierzchnię ziemi.

Smoki, pomyślała sennie Goldmoon. Trudno jej było się skupić i zrozumieć znaczenie

słów, które zalewały jej umysł. Dopiero później w pełni pojęła ich przesłanie. A wtedy zapamiętała te słowa na zawsze.

By zdobyć moc do ich pokonania, potrzebna wam będzie prawda bogów – to jest największy dar, o którym wam powiedziano. Pod tą świątynią, w ruinach nawiedzonych przez chwałę minionych wieków, spoczywają dyski Mishakal; okrągłe dyski wykonane z błyszczącej platyny. Znajdź je, a będziesz mogła zawezwać mą moc, bowiem ja jestem Mishakal, bogini uzdrawiania.

Wasza droga nie będzie łatwa. Bogowie zła znają wielką potęgę prawdy i obawiają się jej. Prastara i potężna smoczyca Khisanth, znana ludziom jako Onyks, strzeże dysków. Jej leże znajdują się w ruinach miasta Xak Tsaroth pod nami. Czeką cię niebezpieczeństwo, jeśli zdecydujesz się spróbować odzyskać dyski. Przeto błogosławię tę laskę. Trzymaj ją przed sobą śmiało, nigdy nie wahaj się, a zwyciężysz.

Głos ucichł. Wtedy właśnie Goldmoon postyszała krzyk umierającego Riverwinda.

Tanis wszedł do świątyni i poczuł się, jakby się cofnął we wspomnienia. Słońce przeświecało przez drzewa w Qualinoście. On, Laurana i jej brat, Gilthanas, leżeli na brzegu rzeki, śmiejąc się i dzieląc marzeniami po jakiejś dziecinnej zabawie. Dni szczęśliwego dzieciństwa nie trwały długo dla Tanisa – półelf wcześniej dowiedział się, że jest inny niż wszyscy. Lecz tamten dzień był dniem złotego słońca i serdecznej przyjaźni. Wspomnienie spokoju obmyło go, łagodząc żal i przerażenie.

Zwrócił się do Goldmoon, stojącej obok w milczeniu. – Gdzie jesteśmy?

– To historia, z której opowiedzeniem muszę zaczekać – odrzekła Goldmoon. Kładąc lekko dłoń na ramieniu Tanisa, pociągnęła go za sobą. Przeszli po migoczących płytach posadzki, aż oboje stanęli przed błyszczącym, marmurowym posągami Mishakal. Laska z błękitnego kryształu rzucała jaskrawy blask na całą komnatę.

Jednak w chwili, gdy Tanis otworzył usta ze zdumienia i podziwu, na komnatę padł jakiś cień. Wraz z Goldmoon odwrócił się ku drzwiom. Weszli Caramon i Sturm, niosąc między sobą na zaimprovizowanych noszach ciało Riverwinda. Flint i Tasslehoff stali po obu stronach noszy, jak osobliwa gwardia honorowa. Krasnolud miał wygląd znużonego starca, kender był nietypowo przygaszony. Ponura procesja powoli wkroczyła do świątyni. Za nimi, niczym widmo samej śmierci, szedł Raistlin w kapturze naciągniętym na głowę i z dłońmi ukrytymi w fałdach szaty.

Przeszli po marmurowej posadzce, uważając na ciężar, którym byli obarczeni, i zatrzymali się przed Tanisem i Goldmoon. Tanis, spojrzawszy na ciało leżące u stóp Goldmoon, zaniknął oczy. Krew przesiąkała przez grubą koc, rozplywając się wielkimi,

ciemnymi plamami po materiale.

– Zdejmijcie koc – poleciła Goldmoon. Caramon spojrział błagająco na Tanisa.

– Goldmoon... – zaczął łagodnie Tanis.

Nagle, zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, Raistlin nachylił się i zerwał okrwawiony koc z ciała.

Goldmoon wydała zduszony okrzyk na widok okaleczonego ciała Riverwinda, blednąc tak strasznie, że Tanis wyciągnął rękę, by ją przytrzymać, obawiając się, iż może zemdleć. Lecz Goldmoon była córką silnego, dumnego ludu. Przełknęła ślinę i zaczerpnęła głęboko tchu, drżąc przy tym. Następnie odwróciła się i podeszła do marmurowego posągu. Wsunęła laskę z błękitnego kryształu ostrożnie z rąk bogini, a potem wróciła, by przyklęknąć przy ciele Riverwinda.

– *Kan-tokah* – powiedziała cicho. – Mój ukochany. – Wyciągnąwszy drżącą dłoń, dotknęła czoła konającego mieszkańca równin. Pozbawiona oczu twarz odwróciła się w jej stronę, jakby posłyszał ją. Jedna z poczerniałych dłoni zadygotała słabo, jakby chciał ją dotknąć. Potem gwałtownie zadrżał i znieruchomiał zupełnie. Niepowstrzymane łzy spływały po policzkach Goldmoon, gdy kładła laskę wzdłuż ciała Riverwinda. Delikatne, błękitne światło wypełniło komnatę. Wszyscy, na których padło światło, poczuli się wypoczęci i odświeżeni. Ból i zmęczenie po całodniowym trudzie opuściło ich ciała. Groza ataku smoka rozwiała się w ich umysłach, tak jak mgła wypalona słońcem. Potem poświata laski przygasła i znikła zupełnie. Noc zstąpiła na świątynię, oświetloną ponownie tylko blaskiem promieniującym z marmurowego posągu.

Tanis mrugnął, usiłując znów przyzwyczaić oczy do mroku. Wtedy usłyszał głęboki głos.

– *Kan-tokah neh sirakan.*

Usłyszał, że Goldmoon wykrzyknęła z radości. Tanis spojrział tam, gdzie powinno spoczywać martwe ciało Riverwinda. Zamiast tego, ujrzał jak mieszkaniec równin siada i wyciąga ramiona do Goldmoon. Wtuliła się w jego objęcia, śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

– Tak więc – powiedziała Goldmoon, doszedłszy do końca swej opowieści – musimy znaleźć drogę do zrujnowanego miasta, które znajduje się gdzieś pod świątynią i musimy zabrać dyski ze smoczego leża.

Spożywali skromny obiad, siedząc na posadzce głównej komnaty świątyni. Po szybkim zbadaniu budynku stwierdzono, że jest pusty, chociaż Caramon powiedział, że znalazł ślady smokowców na schodach, jak również ślady jakichś innych stworzeń, których

wojownik nie potrafił zidentyfikować.

Budynek nie był duży. Dwie komnaty, gdzie odbywały się modlitwy, znajdowały się po przeciwległych stronach korytarza prowadzącego do głównego pomieszczenia, w którym stał posąg. Na północ i południe od głównej komnaty odchodziły dwie okrągłe sale. Ozdabiały je freski, teraz pokryte grzybem i wyblakłe, więc nie sposób było poznać, co przedstawiały. Dwie pary złotych drzwi prowadziły na wschód. Caramon doniósł o znalezieniu schodów, które prowadziły na dół do zniszczonego miasta. Słychać było cichy szum fal, przypominający im, że znajdują się na szczycie wielkiego urwiska nad Nowym Morzem.

Każdy z przyjaciół siedział pogrążony we własnych rozmyślaniach i próbował jakoś pogodzić się z nowinami, których dostarczyła im Goldmoon. Tasslehoff jednak wciąż kręcił się po pokojach, zaglądając do wszystkich ciemnych kątów. Nie znalazłszy wiele ciekawego, kender znudził się i wrócił do grupy, trzymając w ręku stary hełm. Był za duży dla niego, a zresztą kenderzy i tak nigdy nie nosili hełmów, uważając je za zbyt niewygodne i zawadzające. Rzucił go krasnoludowi.

– Co to jest? – spytał podejrzliwie Flint, podsuwając hełm pod światło laski Raistlina. Był to hełm starodawnego typu, piękna robota zdolnego płatnerza. Bez wątplenia dzieło krasnoluda, stwierdził Flint, czule gładząc go dłońmi. Hełm zdobiła na czubku długa kita ze zwierzęcego włosia. Flint rzucił na podłogę hełm smokowca, który nosił do tej pory. Następnie nałożył na głowę nowo znaleziony hełm. Pasował idealnie. Uśmiechając się, zdjął go, by jeszcze raz podziwiać robotę. Tanis obserwował to z rozbawieniem.

– To końskie włosie – rzekł, wskazując kitę.

– Nie, nieprawda! – zaprotestował krasnolud, ściągając brwi. Powąchał, marszcząc nos. Nie kichnął i posłał Tanisowi zwycięskie spojrzenie. – To włosie z grzywy gryfa.

Caramon zarechotał. – Gryf! – parsknął. – Tyle jest gryfów na Krynnie, co...

– Smoków – wtrącił spokojnie Raistlin. Rozmowa gwałtownie urwała się.

Sturm kaszlnął. – Połóżmy się lepiej spać – powiedział. – Ja stanę na pierwszej warcie.

– Nikt nie musi wartować tej nocy – rzekła cicho Goldmoon. Siedziała blisko Riverwinda. Wysoki mieszkaniec równin nie mówił wiele od chwili, gdy otarł się o śmierć. Przyglądał się długo posągowi Mishakal, rozpoznając kobietę w błękitnym świetle, która dała mu łaskę, lecz odmawiał odpowiedzi na wszelkie pytania ani też nie chciał o tym rozmawiać.

– Jesteśmy tu bezpieczni – potwierdziła Goldmoon, spoglądając na posąg.

Caramon uniósł brwi. Sturm spochmurniał i przyglądał wąsy. Obaj mężczyźni byli

zbyt uprzejmi, by podawać w wątpliwość wiarę Goldmoon, lecz Tanis wiedział, że ani jeden, ani drugi wojownik nie będzie się czuł bezpieczny, jeśli nie zostaną wystawione warty. Lecz do świtu zostało już niewiele godzin, a wszystkim potrzebny był odpoczynek. Raistlin już spał w ciemnym kącie pokoju, zawinięty w swe szaty.

– Myślę, że Goldmoon ma rację – oświadczył Tasslehoff. – Zaufajmy tym starym bogom, skoro wygląda na to, że ich odnaleźliśmy.

– Elfowie nigdy ich nie zagubili, ani krasnoludowie – zaprotestował Flint z oburzoną miną. – Ja nic z tego nie rozumiem! Podobno Reorx jest jednym ze starych bogów. Czczymy go od czasów jeszcze sprzed kataklizmu.

– Czczycie? – spytał Tanis. – A może wołacie do niego w rozpacz, ponieważ waszemu ludowi odcięto drogę do Królestwa pod Górą. Nie, nie złość się... – Tanis uniósł dłoń, widząc, że krasnolud zaczerwienił się wściekle. – Elfowie nie są lepsi. Wzywaliśmy bogów, gdy pustoszone naszą ojczyznę.

Wiemy o istnieniu bogów i czcimy ich pamięć – tak, jak szanuje się zmarłych. Kapłani elfów znikli dawno temu, tak samo jak kapłani krasnoludów. Ja pamiętam Mishakal – uzdrowicielkę. Pamiętam historie, jakie mi o niej opowiadano, kiedy byłem mały. Pamiętam również, że słuchałem opowieści o smokach. Bajki dla dzieci, jak powiedziała by Raistlin. Wydaje się, że nasze dzieciństwo wróciło, by nas prześladować – a może ocalić nas, sam już nie wiem. Dzisiejszej nocy byłem świadkiem dwóch cudów, złego i dobrego. Muszę uwierzyć w oba, jeśli mam wierzyć swym zmysłom. A jednak... – Półelf westchnął. – Po kolei staniemy na warcie dziś w nocy. Przykro mi, pani. Żałuję, że moja wiara nie jest tak silna, jak twoja.

Sturm stanął pierwszy na warcie. Pozostali owinęli się kocami i położyli na kafelkowej posadzce. Rycerz chodził po spowitej w księżycową poświatę świątyni, sprawdzając ciche pomieszczenia bardziej z przyzwyczajenia, niż dlatego że czuł jakieś zagrożenie. Słyszał, jak na zewnątrz huczy zimny, porywisty wiatr, dmący z północy. A jednak wewnątrz było dziwnie ciepło i przytulnie – zbyt przytulnie.

Siedząc u podstawy posągu, Sturm poczuł, że ogarnia go słodki spokój. Zaskoczony, wyprostował się szybko i ku swojemu przerażeniu stwierdził, że omal nie usnął na warcie. To niewybaczalne! Czyniąc sobie surowe wymówki, rycerz postanowił chodzić przez cały czas swojej zmiany – pełne dwie godziny – za karę. Chciał już wstać, ale powstrzymał się. Usłyszał czyjś śpiew – głos kobiety. Sturm rozejrzał się gwałtownie dookoła, sięgając po miecz. Potem dłoń zsunęła mu się z rękojeści miecza. Poznał głos i piosenkę. To był głos jego matki. Sturm znów był przy niej. Uciekali z Solamnii, wędrując samotnie, z wyjątkiem jednego wiernego sługi – a i on zginął, zanim dotarli do Solace. Piosenka była jedną z tych kołysanek

bez słów, które są starsze niż smoki. Matka Sturma mocno trzymała swe dziecko w objęciach, starając się ukryć przed nim swój strach, nuciła tę łagodną, kojącą pieśń. Sturm zamknął oczy. Sen pobłogosławił go, pobłogosławił całą drużynę.

Światło łaski Raistlina płonęło jasno, odpędzając ciemność.

Rozdział XVII

Ścieżki zmarłych Nowi przyjaciele Raistlina

Odgłos metalu spadającego z łomotem na posadzkę gwałtownie wyrwał Tanisa z głębokiego snu. Zaniepokojony półelf usiadł, po omacku sięgając po miecz.

– Przepraszam – powiedział Caramon, szczerząc zęby w uśmiechu zawstydzenia. – Upuściłem napierśnik.

Tanis zaczerpnął głęboko tchu, co przeszło w ziewnięcie, przeciągnął się i ponownie położył na kocu. Widok Caramona przywdziewającego zbroję – z pomocą Tasslehoffa – przypomniał półelfowi, co ich dziś czeka. Zobaczył, że Sturm również zakłada zbroję, podczas gdy Riverwind polerował miecz, który gdzieś znalazł. Tanis stanowczo przepędził myśl o tym, co może im się dziś przytrafić.

Nie było to łatwe zadanie, szczególnie dla elfiej części duszy Tanisa – elfowie szanują życie i choć wierzą, że śmierć jest zaledwie przeniesieniem na wyższą płaszczyznę istnienia, uważają, że śmierć każdej istoty umniejsza życie na tej płaszczyźnie. Tanis skłonił swą ludzką część osobowości, by zawiadnęła dziś jego duszą. Będzie musiał zabijać i być może będzie zmuszony pogodzić się ze śmiercią niejednej z osób, które pokochał. Przypomniał sobie, jak czuł się wczoraj, kiedy sądził, że utracą Riverwinda. Półelf zmarszczył czoło i raptownie usiadł, jakby zbudził się ze złego snu.

– Czy wszyscy już wstali? – zapytał, drapiąc się po brodzie.

Flint przyczłapał do niego i podał mu kawałek chleba i kilka pasków suszonej dziczyzny. – Wstali i już są po śniadaniu – burknął krasnolud. – Przespałbyś nawet kataklizm, Półelfie.

Tanis odgryzł kawałek mięsa bez apetytu. Potem, zmarszczywszy nos, węszył. – Co to za dziwny zapach?

– Jakiś napar Raistlina. – Krasnolud skrzywił się i usiadł ciężko obok Tanisa. Flint wyciągnął kawałek drewna i zaczął rzeźbić, strugając drewno tak zawzięcie, aż leciały wióry. – Utlukł jakiś proszek w kubku i dodał wody. Zamieszał i wypił, ale przedtem zdążył się już roznieść ten paskudny zapach. Szczęśliwszy jestem, nie wiedząc, co to było.

Tanis był tego samego zdania. Żuł dziczyznę. Raistlin czytał teraz swą księgę, mruczając słowa wielokrotnie, aż utrwalała mu się w pamięci. Tanis ciekaw był, jakie zaklęcie ma Raistlin, które mogłoby się przydać w walce ze smokiem. Z tego, co zapamiętał z tej skromnej wiedzy o smokach, którą wieki temu przekazał mu elfi bard, Quivalen Soth, tylko zaklęcia najpotężniejszych czarodziejów miały szansę podziałać na smoki, które same

potrafiły posługiwać się magią – czego byli świadkami.

Tanis spojrzął na wątego młodzieńca pochłoniętego studiowaniem księgi i potrząsnął głową. Raistlin mógł być potężny na swój wiek i z całą pewnością był przebiegły i chytry. Lecz smoki są prastare. Były już na Krynnie zanim jeszcze pierwsi elfowie – najstarsza z ras – pojawili się na tej ziemi. Oczywiście, jeśli powiedzie się plan, jaki towarzysze omówili poprzedniej nocy, nawet nie natkną się na smoka. Mieli nadzieję po prostu odnaleźć jego leże i zbiec z dyskami. To dobry plan, pomyślał Tanis, i mniej więcej tyle wart, co dym na wietrze. Rozpacz zaczęła go ogarniać niczym wilgotna mgła.

– Ja już jestem gotowy – oświadczył wesoło Caramon. Zwalisty wojownik czuł się nieskończenie lepiej w swojej zbroi. Dziś rano smok wydawał mu się drobną przeszkodą. Falszywie gwizdał starą piosenkę marszową, wpychając swe zabłocone ubranie do plecaka. Sturm, starannie dopasowawszy zbroję, siedział z zamkniętymi oczami z dala od towarzyszy, odprawiając jakiś tajny rytuał rycerzy, przygotowując się duchowo do walki. Tanis wstał, zeszywniały i zziębnięty, i zaczął chodzić, by przywrócić krążenie i rozruszać obolałe mięśnie. Elfowie nie czynili niczego przed bitwą, z wyjątkiem wygłoszenia prośby o przebaczenie za odbieranie życia.

– My również jesteśmy gotowi – powiedziała Goldmoon, ubrana w ciężką, szarą tunikę z miękkiej skóry oblamowanej futrem. Długie, srebrnozłote włosy zaplotła wokół głowy, aby nie posłużyły wrogowi do złapania jej.

– Żebyśmy mieli to już za sobą. – Tanis westchnął, podnosząc długi łuk i kołczan ze strzałami, które Riverwind zabrał z obozu smokowców, i zarzucił je na ramię. Ponadto Tanis był uzbrojony w długi miecz i sztylet. Sturm miał swój dwuręczny miecz. Caramon niósł tarczę, długi miecz i dwa sztylety, znalezione przez Riverwinda. Flint zastąpił utracony topór innym, zabranym z obozowiska smokowców. Tasslehoff miał swój hoopak i mały sztylet, który gdzieś znalazł. Był z niego bardzo dumny i czuł się głęboko urażony, gdy Caramon powiedział, że będzie miał z niego pociechę, gdyby natknęli się na jakieś krwiożercze króliki. Riverwind niósł na plecach długi miecz wciąż miał przy sobie sztylet Tanisa. Goldmoon nie miała żadnej broni z wyjątkiem laski. Jesteśmy dobrze uzbrojeni, pomyślał ponuro Tanis. Nieważne, czy dużo nam to pomoże.

Drużyna opuściła komnatę Mishakal. Goldmoon zamykała pochód. Przechodząc obok posągu bogini, delikatnie dotknęła go dłonią, szepcząc bezgłośnie słowa modlitwy.

Tas prowadził, hasając wesoło, aż mu kitka powiewała. Zobaczy prawdziwego, żywego smoka! Kender nie potrafił sobie wyobrazić czegoś bardziej ekscytującego.

Kierując się wskazówkami Caramona, poszli na wschód, mijając kolejne dwie pary

podwójnych złotych drzwi, aż dotarli do wielkiego, okrągłego pomieszczenia. Na środku stał wysoki, oślizły postument – tak wysoki, że nawet Riverwind nie widział, co się na nim znajdowało, jeśli w ogóle cokolwiek. Tas stanął pod podwyższeniem i popatrzył w górę z żalem.

– Zeszłej nocy próbowałem tam się wspiąć – powiedział – ale było za ślisko. Ciekaw jestem, co tam jest na górze.

– Cóż, cokolwiek to jest, będzie musiało na wieki zostać tajemnicą dla kenderów – rzekł ostro poirytowany Tanis. Zbliżył się do spiralnych schodów, które prowadziły w mrok na dole, chcąc im się przyjrzeć. Schody były uszkodzone i zasłane gnijącymi roślinami oraz pleśnią.

– Ścieżki zmarłych – powiedział nagle Raistlin.

– Co takiego? – Tanis drgnął.

– Ścieżki zmarłych – powtórzył mag. – Tak nazywają się te schody.

– W imię Reorxa, a ty skąd o tym wiesz? – warknął Flint.

– Czytałem co nieco o tym mieście – odparł Raistlin szeptem.

– Po raz pierwszy słyszymy o tym – rzekł chłodno Sturm.

– Co jeszcze wiesz, o czym nam nie powiedziałeś?

– Bardzo wiele rzeczy, rycerzu – odparł Raistlin, patrząc na niego wrogo. – Podczas gdy ty i mój brat bawiliście się drewnianymi mieczykami, ja spędzałem czas na studiowaniu.

– Tak, studiowaniu rzeczy mrocznych i tajemnych – rzekł niechętnie rycerz. – Co rzeczywiście wydarzyło się w Wieżach Wielkiej Magii, Raistlinie? Nie zyskałeś swej cudownej mocy, nie oddając czegoś w zamian. Co poświęciłeś w tej Wieży? Swoje zdrowie – a może swoją duszę!

– Byłem wraz z bratem w Wieży – powiedział Caramon, a na jego zazwyczaj pogodnej twarzy w tej chwili malował się wyraz udręki. – Widziałem, jak toczył bój z potężnymi magami i czarnoksiężnikami przy pomocy zaledwie kilku prostych zaklęć. Pokonał ich, choć zdruzgotali jego ciało. Wyniosłem go konającego z tego okropnego miejsca. Ja... – ogromny mężczyzna zawahał się.

Raistlin szybko wystąpił naprzód i położył chłodną, chudą dłoń na ramieniu brata.

– Uważaj, co mówisz – syknął.

Caramon nerwowo zaczerpnął tchu i przełknął ślinę. – Ja wiem, co on poświęcił – rzekł wojownik ochryłym głosem. Potem wznosił dumnie głowę. – Nie wolno nam o tym mówić. Ale znasz mnie od wielu lat, Sturmie Brightblade, i daję ci słowo honoru – możesz zaufać memu bratu tak, jak ufasz mnie. Jeśli nadejdzie taka chwila, gdy nie będzie to prawdą,

niech moment mej śmierci – i jego – nie będzie daleko w tyle za nią.

Oczy Raistlina zwęziły się, gdy usłyszał tę przysięgę. Przyjrzał się bratu z zamyślonym, pełnym powagi wyrazem twarzy. Potem Tanis ujrzał, jak czarodziej wykrzywia wargi, a powagę zastępuje typowy dla niego cynizm. Zmiana była zaskakująca. Przez chwilę bliźniacy byli niezwykle podobni do siebie. Teraz byli odmienni, jak przeciwne strony monety.

Sturm wystąpił naprzód i wziął Caramona za rękę, ściskając ją mocno bez słowa. Potem odwrócił się do Raistlina, nie mogąc zdobyć się na to, by spojrzeć na niego bez widocznej niechęci.

– Składam przeprosiny, Raistlinie – rzekł sztywno rycerz.

– Powinieneś być wdzięczny, że masz tak lojalnego brata.

– Och, tak, jestem – szepnął Raistlin.

Tanis spojrzął bystro na maga, zastanawiając się, czy tylko wyobraźnia sprawiła, że posłyszał sarkazm w syczącym głosie czarodzieja. Pótełf oblizał suche wargi, poczuwszy niespodzianie gorycz w ustach. – Czy potrafisz przeprowadzić nas przez tę okolicę? – zapytał nagle.

– Potrafiłbym – odrzekł Raistlin – gdybym przybył tu przed kataklizmem. Księgi, które studiowałem, pochodziły sprzed setek lat. W czasie kataklizmu, kiedy ognista góra spadła na Krynn, miasto Xak Tsaroth zostało strącone ze skały. Rozpoznałem te schody, ponieważ wciąż są całe. A co jest dalej...

– Wzruszył ramionami.

– Dokąd prowadzą schody?

– Do miejsca znanego jako sala przodków. Spoczywają tam pochowani w kryptach kapłani i królowie Xak Tsaroth.

– Chodźmy już – mruknął Caramon. – Nie robimy nic innego, tylko napędzamy sobie strachu.

– Racja. – Raistlin pokiwał głową. – Musimy ruszać i to szybko. Mamy czas do zapadnięcia nocy. Jutro miasto zostanie zajęte przez wojska podążające z północy.

– Ba! – Sturm zmarszczył brwi. – Może wiesz wiele, jak twierdzisz, magu, ale tego nie możesz wiedzieć! Niemniej jednak Caramon ma rację – zatrzymaliśmy się tu zbyt długo. Pójdę pierwszy.

Ruszył po schodach, idąc ostrożnie, żeby nie pośliznąć się na oślizłych stopniach. Tanis dostrzegł spojrzenie oczu Raistlina

– wąskich, złotych szczelin pełnych wrogości – śledzących Sturmę schodzącego na

dół.

– Raistlinie, idź z nim i oświetl drogę – polecił Tanis, ignorując gniewne spojrzenie, jakie rzucił mu Sturm. – Caramonie, idź z Goldmoon. Riverwind i ja pójdziemy w straży tylnej.

– A dla nas gdzie miejsce? – mruknął Flint do kendera, ruszywszy w ślad za Goldmoon i Caramonem. – W środku, jak zawsze. Tylko kolejny, bezużyteczny bagaż...

– Tam coś może być na szczycie – powiedział Tas, oglądając się na postument. Najwyraźniej nie słyszał ani słowa z tego, co do niego mówiono. – Magiczna, kryształowa kula dalekowidzenia albo czarodziejski pierścień, taki jak kiedyś miałem. Czy opowiadałem ci kiedyś o moim czarodziejskim

pierścieniu? – Flint jęknął. Tanis słyszał jeszcze paplanie kendera, gdy obaj zniknęli, schodząc w dół.

Półelf zwrócił się do Riverwinda. – Ty tu byłeś... musiałeś tu być. Widzieliśmy boginię, która dała ci łaskę. Czy zszedłeś tam na dół?

– Nie wiem – odrzekł zmęczonym tonem Riverwind. – Nie pamiętam niczego. Niczego – z wyjątkiem smoka.

Tanis umilkł. Smok. Wszystko sprowadzało się do smoka. Potwór przytłaczał myśli każdego z nich. I jakże słaba wydawała się mała drużyna mierząca się z potworem, który wyłonił się w pełni rozmiarów z najmroczniejszych legend Krynnu. Dlaczego my?

– pomyślał z goryczą Tanis. Czy kiedykolwiek istniała grupa bardziej nieprawdopodobnych bohaterów – docinających sobie, narzekających, kłócących się – z których jedna połowa nie ufa drugiej. „Zostaliśmy wybrani”. Ta myśl niewiele przyniosła pociechy. Tanis przypomniał sobie słowa Raistlina: „Kto nas wybrał – i dlaczego!” Półelf zaczął zastanawiać się nad tym.

W milczeniu schodzili stromymi schodami, które prowadziły spiralą coraz dalej w głąb wzgórza. Z początku w czasie wędrówki w dół panowała nieprzenikniona ciemność. Potem na drodze stawało się coraz jaśniej, aż Raistlin mógł zgasić światło swojej laski. Wkrótce Sturm uniósł rękę, zatrzymując pozostałych, którzy szli za nim. Przed nimi rozciągał się krótki korytarz, nie dłuższy, niż na jakieś dwa metry. Prowadził on do wielkiego łuku przejścia, za którym widać było ogromną, pustą przestrzeń. Do korytarza wpadało blade, szare światło, jak też zapach stęchlizny i rozkładu.

Towarzysze stali przez długą chwilę, nasłuchując uważnie. Huk spienionej wody zdawał się dobiegać z dołu i zza tego przejścia, niemal zagłuszając wszelkie inne odgłosy. Mimo to Tanisowi wydawało się, że posłyszał coś jeszcze – ostry trzask – i poczuł bardziej,

niż usłyszał dudnienie i łomotanie w posadzce. Nie trwało to jednak długo, a ostry trzask się nie powtórzył. Potem, co było jeszcze bardziej zaskakujące, rozległo się metalicznie brzmiące skrzypienie, przerywane czasami przez przenikliwy skrzek. Tanis spojrział pytająco na Tasslehoffa.

Kender wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia – powiedział, uważnie nastawiając ucha. – Nigdy czegoś takiego nie słyszałem, Tanisie, z wyjątkiem jednego razu... – przerwał, a potem pokręcił głową. – Czy chcesz, żebym poszedł zobaczyć? – zapytał z zapałem.

– Idź.

Tasslehoff zakradł się na drugą stronę korytarza, przemykając od cienia do cienia. Mysz biegnąca po grubym dywanie nie czyni więcej hałasu od kendera, który chce ujść uwadze wszystkich. Dotarł do drzwi i wyjrzał. Przed nim rozpościerało się obszerne pomieszczenie, które niegdyś musiało być ceremonialną komnatą. Sala przodków, tak ją nazwał Raistlin. Teraz była to sala ruin. Część podłogi od wschodu zawałiła się, a z otworu unosił się cuchnący, biały opar. Tas zauważył, że w podłodze ziały inne ogromne dziury, a wielkie kawałki kamiennych płyt sterczały z posadzki jak nagrobki. Ostrożnie sprawdzając grunt pod stopami, kender wszedł do sali. Przez mgłę było widać ciemne przejście w południowej ścianie... i jeszcze jedno w północnej. Dziwne skrzeczenie dochodziło z północy. Tas odwrócił się i zaczął iść w tym kierunku.

Nagle usłyszał dudnienie i łomot za plecami, znów od północnej strony, i poczuł drżenie podłogi. Kender pośpiesznie pobiegł z powrotem do schodów. Jego przyjaciele usłyszeli dźwięk i przywarli plecami do ściany, ściskając broń w rękach. Dudnienie zmieniło się w głośny świst. Następnie dziesięć czy piętnaście przysadzistych, słabo widocznych postaci przebiegło obok łuku wejściowego. Podłoga zatrzęsa się. Słyszeli ciężkie sapanie i od czasu do czasu wymamrotane słowo. Następnie postaci znikły we mgłę, udając się na południe. Rozległ się kolejny, ostry trzask, a potem zapadła cisza.

– W imię otchłani, a to co było? – huknął Caramon. – Nie byli to smokowcy, chyba że wymyślili jakąś niską, grubą odmianę. I skąd oni się wzięli?

– Przyszli z północnego końca sali – powiedział Tas. – Tam są drzwi, a drugie są na południu. To niesamowite skrzeczenie dochodzi z północy, tam gdzie kierują się te stwory.

– Co jest na wschodzie? – zapytał Tanis.

– Sądząc po odgłosie spadającej wody, który słyszałem, przepaść na jakieś trzysta metrów – odparł kender. – Podłoga zawałiła się. Nie radziłbym tam spacerować.

Flint węszył. – Czuję coś... coś znajomego. Nie potrafię sobie przypomnieć, co.

– Czuję zapach śmierci – powiedziała Goldmoon, drżąc i przyciskając do piersi łaskę.

– Nie, to coś gorszego – mruknął Flint. Potem otworzył szeroko oczy i poczerwieniał na twarzy z gniewu i wściekłości. – Już wiem! – ryknął. – Krasnolud żlebowy! – Wyciągnął z pokrowca topór. – Te żalosne, małe stworzenia to byli właśnie oni. No, długo już nie pobędą krasnoludami żlebowymi. Będą cuchnącymi trupami!

Rzucił się naprzód. Tanis, Sturm i Caramon skoczyli za nim w chwili, gdy dobiegł do końca korytarza, i przyciągnęli go z powrotem.

– Siedź cicho! – Tanis rozkazał pieniaćemu się ze złości krasnoludowi. – Jak pewny jesteś, że to krasnoludowie żlebowi?

Krasnolud gniewnie wyszarpnął się z uścisku Caramona. – Pewny! – zaczął rykiem, a potem ściszył głos do donośnego szeptu. – Czyż nie trzymali mnie w niewoli przez trzy lata?

– Doprawdy? – zapytał zaskoczony Tanis.

– Dlatego nigdy ci nie powiedziałem, gdzie byłem przez te pięć ostatnich lat – rzekł krasnolud, czerwieniąc się z zażenowania. Zabiję każdego żywego krasnoluda żlebowego, na jakiego się natknę.

– Zaczekaj chwilę – przerwał mu Sturm. – Krasnoludowie żlebowi nie są źli – przynajmniej nie tak, jak gobliny. Co oni tu robią, mieszkając razem ze smokowcami?

– Są niewolnikami – odpowiedział chłodno Raistlin. – Bez wątplenia krasnoludowie żlebowi mieszkają tu od wielu lat, prawdopodobnie od czasu, gdy miasto opustoszało. Kiedy smokowcy zostali wysłani, być może, aby pilnować dysków, odkryli krasnoludów i zapędzili ich do niewolniczej pracy.

– W takim razie, może będą mogli nam pomóc – szepnął Tanis.

– Krasnoludowie żlebowi! – wybuchnął Flint. – Zaufałbyś tym brudnym, małym...

– Nie – powiedział Tanis. – Oczywiście, nie możemy im ufać. Ale niemal każdy niewolnik z chęcią zdradzi swego pana, a krasnoludowie żlebowi – jak większość krasnoludów – nie poczuwają się do zbytnej wierności komukolwiek, z wyjątkiem własnych wodzów. Tak długo, jak nie będziemy prosić ich o nic, co mogłoby narazić ich na niebezpieczeństwo, może zdołamy kupić sobie ich pomoc.

– Prędeż się zmienię w zadek ogra! – powiedział Flint z odrazą. Cisnął topór na ziemię, zerwał z ramion plecak i usiadł ciężko na posadzce, opierając się o ścianę i zakładając ręce na piersi. – Proszę bardzo, idźcie sobie. Idźcie prosić swoich nowych przyjaciół, żeby wam pomogli. Mnie z wami nie będzie! O, tak, pomogą wam. Pomogą wam wejść do smoczej paszczy!

Tanis i Sturm wymienili zatroskane spojrzenia, przypomniawszy sobie incydent z łódką. Flint potrafił być niewiarygodnie uparty, a Tanis podejrzewał, że tym razem

krasróluda nie da się przekonać.

– No, nie wiem. – Caramon westchnął i potrząsnął głową. – Szkoda, że krasrólud zostaje. Jeśli nakłonimy krasróludów żlebowych do pomocy, kto przypilnuje tej hałastry?

Zdumiony, że Caramon potrafi być tak subtelny, Tanis uśmiechnął się i ciągnął za wojownika: – Chyba Sturm.

– Sturm! – krasrólud zerwał się na nogi. – Rycerz, który nie dźgnie wroga w plecy? Potrzebny wam ktoś, kto zna te wstrętne potworki...

– Masz rację, Flincie – stwierdził poważnie Tanis. – Chyba będziesz musiał pójść z nami.

– Mowa – fuknął Flint. Chwycił swoje rzeczy i poczłapał w głąb korytarza. Odwrócił się. – Idziecie?

Ukrywając uśmiechy, przyjaciele weszli za krasróludem do sali przodków. Trzymali się blisko ściany, unikając zdradzieckiej podłogi. Kierowali się na południe, za krasróludami żlebowymi i weszli do kiepsko oświetlonego korytarza, który prowadził na południe tylko kilkadziesiąt metrów, a następnie ostro skręcał ku wschodowi. Znowu usłyszeli ostry trzask. Metaliczne zgrzyty ucichły. Nagle posłyszeli za sobą odgłos tupania wielu stóp.

– Krasróludowie żlebowi! – warknął Flint.

– Cofnąć się! – rozkazał Tanis. – Bądźcie gotowi napaść na nich. Nie możemy pozwolić, żeby podnieśli alarm.

Wszyscy przycisnęli się plecami do ściany, trzymając w pogotowiu wyciągnięte miecze. Flint ścisnął swój topór bojowy z wyrazem chciwego wyczekiwania na twarzy. Oglądając się za siebie, do wnętrza wielkiej sali, dostrzegli kolejną grupę niskich, grubych postaci zbliżających się do nich biegiem.

Nagle przywódca krasróludów żlebowych popatrzył w górę i zobaczył ich. Caramon wyskoczył przed małe, biegnące postaci, wznosząc rozkazująco olbrzymią rękę. – Stać! – powiedział. Krasróludowie spojrzeli, zakręcili się wokół niego, a następnie znikli za rogiem od wschodniej strony. Caramon odwrócił się i gapił na nich ze zdumieniem.

– Stójcie... – powiedział z niewyraźną miną.

Krasrólud żlebowy wyrżał zza rogu, popatrzył wściekle na Caramona i przyłożył brudny palec do warg. – Szszsz! – Potem krępa postać znikła. Usłyszeli trzask i rozpoczął się znowu metaliczny zgrzyt.

– Jak myślicie, co tu się dzieje? – spytał cicho Tanis.

– Czy oni wszyscy tak wyglądają? – powiedziała Goldmoon, otwierając szeroko oczy. – Są tacy brudni i obszarpani, a na całym ciele mają wrzody.

– I mają tyle rozumu, co kapuściane głąby – burknął Flint.

Drużyna ostrożnie ominęła róg, nie wypuszczając broni z rąk. Na wschód prowadził długi, wąski korytarz oświetlony pochodniami, które migotały i dymiły w stęchłym powietrzu. Blask ognia odbijał się na ścianach wilgotnych od skroplonej pary. Przed nimi widać było zwieńczone łukami przejścia w ścianach korytarza, lecz za nimi była tylko ciemność.

– Krypty – szepnął Raistlin.

Tanis zadrżał. Z sufitu kapnęła na niego woda. Metaliczne skrzypienie brzmiało coraz głośniejsze i bliżej. Goldmoon dotknęła ramienia półelfa i wskazała na coś. Tanis zobaczył drzwi na końcu korytarza. Za tym przejściem znajdował się następny korytarz, tworzący skrzyżowanie w kształcie litery T. Korytarz pełen był krasnoludów żlebowych.

– Ciekawe, dlaczego ci malcy stoją w kolejce – zastanawiał się Caramon.

– Mamy okazję się dowiedzieć – powiedział Tanis. Chciał już ruszyć, gdy poczuł dłoń maga na ramieniu.

– Zostaw to mnie – szepnął Raistlin.

– Lepiej będzie, jeśli pójdziemy z tobą – oświadczył Sturm – żeby cię ochraniać, oczywiście.

– Oczywiście – rzekł szyderczo Raistlin. – Dobrze, ale nie przeszkadzajcie mi.

Tanis pokiwał głową. – Flincie, ty i Riverwind będziecie pilnować tego końca korytarza – Flint otworzył usta, żeby zaprotestować, a potem skrzywił się gniewnie i cofnął, by stanąć naprzeciwko mieszkańców równin.

– Trzymajcie się daleko za mną – polecił Raistlin, a potem wyruszył korytarzem, szeleszcząc czerwonymi szatami i przy każdym kroku cicho stukając o posadzkę laską Magiusa. Tanis i Sturm poszli za nim, sunąc wzdłuż ociekających wilgocią ścian. Z krypt powiewało chłodne powietrze. Zajrzawszy do jednej, Tanis dostrzegł ciemny zarys sarkofagu połyskującego w świetle skwierczącej pochodni. Trumna była rzeźbiona starannie i zdobiona złotem, które już nie lśniło. Nad kryptami unosiła się przygnębiająca atmosfera. Niektóre grobowce sprawiały wrażenie splądrowanych i obrabowanych. Tanis dostrzegł czaszkę szczerzącą zęby w mroku. Zastanawiał się, czy ci starzy zmarli nie planowali przypadkiem zemsty za zakłócenie im spokoju. Tanis zmusił się do powrotu do rzeczywistości. Była wystarczająco ponura.

Po dojściu do końca korytarza, Raistlin zatrzymał się. Krasnoludowie żlebowi przyglądali mu się uważnie, nie zwracając uwagi na pozostałych. Mag nie odezwał się. Sięgnął do sakwy przy pasie i wyciągnął kilka złotych monet. Krasnoludom rozbłysły oczy.

Jeden czy dwóch z początku szeregu podsunęło się bliżej do Raistlina, by lepiej popatrzeć. Czarodziej uniósł monetę, żeby wszyscy mogli ją zobaczyć. Potem podrzucił ją wysoko w powietrze i... moneta znikła!

Krasnoludowie źlebowi jęknęli z wrażenia. Raistlin otworzył dłoń wyszukany gestem i pokazał znajdującą się w niej monetę. Tu i tam rozległy się oklaski. Krasnoludowie zakradli się bliżej, otworzywszy usta z podziwu.

Krasnoludowie źlebowi – lub Agharowie, jak nazywano ich rasę – stanowili doprawdy żalosny widok. Tę najniższą spośród kast społeczeństwa krasnoludów można było znaleźć wszędzie na Krynnie, mieszkającą w brudzie i nędzy w miejscach, które opuścili ludzie i większość innych żywych istot, łącznie ze zwierzętami. Jak wszyscy krasnoludowie, żyli w klanach, a w jednym miejscu często mieszkało razem kilka klanów, podporządkowanych władzy swoich własnych wodzów lub jednego, szczególnie potężnego wodza klanu. W Xak Tsaroth zamieszkiwały trzy klany – Słudowie, Bulpowie i Glupowie. Członkowie wszystkich trzech klanów otaczali teraz Raistlina. Wśród nich byli mężczyźni i kobiety, chociaż niełatwo było ich odróżnić od siebie. Kobiety nie miały zarostu na brodach, lecz miały go na policzkach. Ubrane były w obszarpane, przewiązane w pasie sznurkiem spódnice, które sięgały im do kościstych kolan. Poza tym, były równie brzydkie, jak ich mężczyźni. Pomimo nędznego wyglądu, krasnoludowie źlebowi z reguły wiedli wesołe życie.

Moneta tańczyła po knykciach niewiarygodnie zwinnych dłoni Raistlina, znikła i pojawiała się między jego palcami. Potem mag sprawił, że zniknęła i pojawiła się w uchu jakiegoś zaskoczonego krasnoluda, który wpatrywał się w czarodzieja ze zdumieniem. Ostatnia sztuczka wywołała chwilową przerwę w występie, ponieważ przyjaciele Aghara złapali go i zajrzeli mu uważnie do ucha, a jeden nawet podłubał mu w uchu palcem, żeby sprawdzić, czy nie posypią się kolejne monety. Ta interesująca działalność została jednakże przerwana, gdy Raistlin sięgnął do kolejnej sakwy i wyjął z niej niewielki zwój pergaminu. Rozwijając go swymi długimi, chudymi palcami, czarodziej rozpoczął czytać z niego, nucąc cicho: *Suh tangus moipar, ast akular kalipar*. Krasnoludowie przyglądali się kompletnie zafascynowani.

Kiedy czarodziej skończył czytać, pajęczki słów na zwoju zaczęły się palić. Buchnął ogień, a następnie słowa znikły, zostawiając smużki zielonego dymu.

– Co to było? – zapytał podejrzliwie Sturm.

– Są teraz oczarowani – odrzekł Raistlin. – Rzuciłem na nich zakęcie przyjaźni.

Krasnoludowie źlebowi byli zauroczeni i Tanis zauważył, że wyraz ich twarzy zmienił się z zainteresowania w nie skrywane, niepoahamowane uwielbienie dla maga. Wyciągali ręce

i klepali go brudnymi dłońmi, mamrocząc coś zawzięcie w swym nieforemnym języku. Sturm popatrzył na Tanisa z niepokojem. Tanis wiedział, o czym myśli rycerz: Raistlin mógł rzucić ten czar na każdego z nich w dowolnej chwili.

Posłyszawszy tupot biegnących stóp, Tanis obejrzał się szybko w kierunku stojącego na straży Riverwinda. Mieszkaniec równin wskazał na krasnoludów i podniósł obie dłonie, rozsuwając palce. Następnym dziesięciu zbliżało się do nich. Wkrótce nowi Agharowie pojawili się w polu widzenia, przebiegając truchtem obok Riverwinda i nawet nie spoglądając na niego. Zatrzymali się na widok zbiegowiska wokół czarodzieja.

– Co się dzieje? – zapytał jeden, wpatrując się w Raistlina. Zaczarowani krasnoludowie źlebowi tłoczyli się wokół maga, szarpiąc go za szaty i ciągnąc w głąb korytarza.

– Przyjaciel. On nasz przyjaciel – wszyscy trajkotali jak najęci w prymitywnej wersji wspólnej mowy.

– Tak – rzekł Raistlin cichym i łagodnym głosem, tak miłym i urzekającym, że Tanis był przez chwilę zdumiony. – Wszyscy jesteście moimi przyjaciółmi – ciągnął mag. – Teraz powiedzcie mi, moi przyjaciele, dokąd prowadzi ten korytarz? – Raistlin wskazał na wschód. Natychmiast posypały się odpowiedzi.

– Korytarz iść tędy – powiedział jeden, pokazując na wschód.

– Nie, iść w tędy – stwierdził drugi, wskazując na zachód.

Wybuchła sprzeczka i krasnoludowie źlebowi zaczęli się szarpać i popychać. Wkrótce poszły w ruch pięści, a potem jeden krasnolud przewrócił drugiego na ziemię, kopał go i wrzeszczał – Tędy! Tędy! – co sił w płucach.

Sturm zwrócił się do Tanisa. – To śmieszne! Sprowadzą nam na głowę wszystkich smokowców w okolicy. Nie wiem, czego dokonał ten szalony czarodziej, ale musisz go powstrzymać.

Zanim jednakże Tanis zdążył się wtrącić, pewna krasnoludka wzięła sprawy w swoje ręce. Rzuciwszy się w wir walki, pochwyciła obu walczących, stuknęła ich mocno głowami o siebie i spuściła na podłogę. Reszta, która zachęcała ich okrzykami, natychmiast ucichła, a nowo przybyła osóbką odwróciła się do Raistlina. Miała spory, bulwiasty nos i zmierzwione dziko włosy na głowie. Ubrana była w połataną i obszarpaną sukienkę, grube buciory i pończochy, które opadały jej do kostek. Wyglądało jednak, że jest ważną osobą wśród krasnoludów źlebowych, bowiem wszyscy spoglądali na nią z szacunkiem. Być może dlatego, iż przez ramię miała, przewieszoną ogromną, ciężką torbę. Torba ciągnęła się za nią po ziemi, czasami płącząc się jej pod nogami. Jednakże najwyraźniej torba ta miała dla niej wielkie

znaczenie. Kiedy jeden z krasnoludów spróbował jej dotknąć, odwróciła się szybko i wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Korytarz iść do dużych szefów – powiedziała, kiwając głową w kierunku wschodu.

– Dziękuję ci, moja droga – rzekł Raistlin, głaszcząc ją po policzku. Powiedział kilka słów. *Tan-tago, musalah.*

Krasnoludka przyglądała się z zafascynowaniem czarodziejowi. Potem westchnęła i posłała mu spojrzenie pełne adoracji.

– Powiedz mi, moja mała – rzekł Raistlin – ilu szefów? Krasnoludka zmarszczyła brwi w skupieniu. Podniosła umorusaną rękę. – Jeden – powiedziała, pokazując jeden palec.

– I jeden, i jeden, i jeden. – Triumfująco spoglądając w górę na Raistlina, pokazała cztery palce i stwierdziła: – Dwa.

– Zaczynam się zgadzać z Flintem – mruknął Sturm.

– Szz – szepnął Tanis. W tym właśnie momencie przenikliwy zgrzyt ucichł. Krasnoludowie żlebowi popatrzyli niepewnie w głąb korytarza, gdy w ciszy rozległ się ponownie ostry odgłos trzaśnięcia.

– Co to za hałas? – zapytał Raistlin swą zaczarowaną wielbicielkę.

– Bat – powiedziała beznamiętnie krasnoludka. Wysunąwszy umorusaną rękę, chwyciła Raistlina za poję szaty i zaczęła ciągnąć go w stronę wschodniego krańca korytarza. – Szefowie wściekają się. Idziemy.

– Co robicie dla szefów? – zapytał Raistlin, opierając się.

– Idziemy. Zobaczysz. – Krasnoludka znów pociągnęła go. – Idziemy na dół. Oni na górę. Góra. Dół. Góra. Chodź. Pójdziecie. Podwieziemy was na dół.

Raistlin, niesiony przez falę Agharów, obejrzał się na Tanisa, dając mu znak dłonią. Tanis dał znak Riverwindowi i Flintowi, a potem wszyscy wyruszyli przez salę za krasnoludami żlebowymi. Ci, których Raistlin zaczarował, tłoczyli się wokół niego, starając się trzymać jak najbliżej, podczas gdy reszta pobiegła korytarzem, gdy tylko znów rozległ się trzask bicia. Drużyna poszła śladami Raistlina i krasnoludów aż do rogu, gdzie znów odezwało się przenikliwe skrzypienie, tym razem znacznie głośniejsze.

Krasnoludka poweselała, słysząc ten dźwięk. Zatrzymała się wraz z resztą krasnoludów żlebowych. Niektórzy przykucnęli pod oślizłymi murami, inni padli na podłogę jak worki. Krasnoludka nie opuszczała Raistlina, trzymając w małej rączce brzeg jego rękawa. – Co się stało? – zapytał. – Dlaczego zatrzymaliśmy się?

– Czekamy. Jeszcze nie nasza kolej – poinformowała go.

– Co zrobimy, kiedy nadejdzie nasza kolej? – spytał cierpliwie.

– Zjedziemy na dół – powiedziała, spoglądając na niego czule.

Raistlin popatrzył na Tanisa i pokręcił głową. Czarodziej zdecydował się spróbować nowego podejścia.

– Jak ci na imię, maleńka? – zapytał.

– Bupu.

Caramon parsknął i szybko zasłonił usta dłonią.

– Posłuchaj mnie, Bupu – rzekł Raistlin słodkim tonem – czy wiesz, gdzie są leże smoka?

– Smoka? – powtórzyła zdumiona Bupu. – Chcesz smoka?

– Nie – powiedział pośpiesznie Raistlin – nie potrzebujemy smoka – tylko leże smoka, tam gdzie smok mieszka.

– Och, ja tego nie wiedzieć. – Bupu potrząsnęła głową. Potem, widząc rozczarowanie na twarzy Raistlina, chwyciła go za rękę. – Ale ja cię zabrać do wielkiego Najwyższego Bulpa. On wie wszystko.

Raistlin uniósł brwi. – A jak się dostaniemy do Najwyższego Bulpa?

– Na dół! – powiedziała, uśmiechając się szeroko i radośnie. Zgrzytliwy dźwięk ucichł. Rozległ się trzask bicza. – Teraz nasza kolej iść na dół. Chodź. Chodź zaraz. Idź zobaczyć Najwyższego Bulpa.

– Chwileczkę. – Raistlin wyplątał się z uścisku krasnoludki. – Muszę porozmawiać z przyjaciółmi. – Podeszedł do Tanisa i Sturm. – Ten Najwyższy Bulp jest prawdopodobnie głową klanu, może głową kilku klanów.

– Jeśli jest tak samo inteligentny jak cała reszta, nie będzie wiedział, gdzie jest jego własna miska do mycia, a co dopiero smok – mruknął Sturm.

– Najprawdopodobniej będzie wiedział – przyznał niechętnie Flint. – Krasnoludowie żlebowi nie są bystrzy, lecz pamiętają wszystko, co widzą lub słyszą, jeśli tylko uda się nakłonić ich do powiedzenia tego słowami zawierającymi więcej niż jedną sylabę.

– W takim razie lepiej chodźmy do tego Najwyższego Bulpa – rzekł Tanis żałośnie. – Gdybyśmy jeszcze zdołali dowiedzieć się, o co chodzi z tym „góra-dół” i co to za zgrzytanie...

– Ja wiem! – rozległ się czyjś głos.

Tanis obejrzał się. Kompletnie zapomniał o Tasslehoffie. Kender wybiegał właśnie zza rogu, potrząsając kitką. Oczy mu błyszczały z radości. – To jest winda, Tanisie – powiedział. – Taka, jak w kopalniach krasnoludów. Byłem kiedyś w takiej kopalni. Było to coś wspaniałego. Mieli tam windę, którą wożono skały na górę i na dół. Ta jest zupełnie taka

sama. No, prawie taka sama. Widzisz... – Nagle wybuchł niepohamowanym chichotem i nie mógł dalej opowiadać. Pozostali zmierzili go wrogimi spojrzeniami, a kender rozpaczliwie usiłował się opanować.

– Używają ogromnego kotła do wytapiania smalcu! Krasnoludowie, którzy stali w kolejce, biegną, kiedy jeden z tych smoko-szmoko-stworków trzaska z wielkiego bata. Wszyscy wskakują do wielkiego gara, który jest zawieszony na ogromnym łańcuchu owiniętym wokół przekładni, której zęby pasują do ogniw łańcucha – to właśnie tak skrzypi! Koło obraca się, oni jadą na dół i wkrótce wyjeżdża drugi gar...

– Duży szefowie. Garnek pełny dużych szefów – stwierdziła Bupu.

– Pełny smokowców! – powtórzył zaniepokojony Tanis.

– Nie przychodzą tutaj – powiedziała Bupu. – Iść tam... – machnęła ręką w bliżej nie określonym kierunku.

Tanisa nadal nie opuszczał niepokój. – Więc to są szefowie. Ilu smokowców jest w kotle?

– Dwa – powiedziała Bupu, mocno trzymając Raistlina za rękaw. – Nie więcej niż dwa.

– Tak naprawdę, jest ich tam czterech – rzekł Tas, spoglądając przepaszająco za to, że zaprzecza krasnoludce. – To są ci mali, nie ci, którzy rzucają zaklęcia.

– Czterech. – Caramon napiął muskuły swych olbrzymich ramion. – Damy sobie radę z czterema.

– Tak, ale musimy tak zgrać akcję, żeby nie przybyło tymczasem piętnastu następnych – zauważył Tanis. Znów trzasnął bat.

– Chodź! – Bupu zawzięcie ciągnęła Raistlina za rękaw. – Idziemy. Szefowie się złością.

– Równie dobrze możemy pójść teraz – rzeki Sturm i wzruszył ramionami. – Niech krasnoludowie pobiegną, jak zwykle. My pójdziemy za nimi i pokonamy szefów podczas zamieszania. Jeśli jeden kocioł czeka na zapełnienie krasnoludami, drugi musi znajdować się na poziomie ziemi.

– Chyba tak – stwierdził Tanis. Odwrócił się ku krasnoludom żlebowym. – Kiedy dobiegniecie do windy, ee... garnka, nie wskakujcie do niego. Odsuńcie się tylko na bok i nie wchodźcie w drogę. Dobrze?

Krasnoludowie popatrzyli na Tanisa z głęboką podejrzliwością. Półelf westchnął i spojrzał na Raistlina. Uśmiechając się lekko, mag powtórzył polecenia Tanisa. Krasnoludowie żlebowi natychmiast zaczęli uśmiechać się i entuzjastycznie kiwać głowami.

Znów rozległ się trzask bicia i przyjaciele usłyszeli ochryply głos. – Dość obijania się, wy szmaty, bo obetniemy wam te paskudne nożyska i damy powód do spóźniania się!

– Jeszcze zobaczymy, kto komu obetnie nożyska – powiedział Caramon.

– Ale heca! – powiedział z namaszczeniem jeden z krasnoludów. Agharowie popędzili w głąb korytarza.

Rozdział XVIII

Walka przy windzie. Lekarstwo Bupu na kaszel

Z dwóch ogromnych otworów w podłodze unosiła się gorąca mgła, przesłaniając wszystko, co było w pobliżu. Pomiedzy otworami znajdowało się wielkie koło, na którym owinięty był gigantyczny łańcuch. Olbrzymich rozmiarów czarny, żelazny kocioł wisiał na łańcuchu nad jednym z otworów. Drugi koniec łańcucha nikał w następnej dziurze. Wokół garnka stało czterech smokowców w pancerzach, w tym dwóch uzbrojonych w zakrzywione miecze i wymachujących skórzanymi biczami. Tylko przez chwilę było ich widać, a potem znów znikli w oparach. Tanis posłyszał trzaśnięcie z bata i gardłowy głos.

– Wy zawżone karle robactwo! Dlaczego się chowacie? – Włazić do gara, zanim nie obłupię was z tej brudnej skóry do gołych kości! Już ja... ulp!

Smokowiec przerwał w pół zdania i wybałuszył gadzie oczy na widok Caramona wyłaniającego się z oparów i ryczącego swój okrzyk bojowy. Smokowiec wydał wrzask, który zmienił się w zdławiony gulgot, gdy Caramon chwycił stwora za chudą szyję, podniósł go i rzucił nim o ścianę. Krasnoludowie żlebowi rozbiegli się, gdy ciało uderzyło o mur z chrzęstem gruchotanych kości.

W chwili gdy Caramon ruszył do ataku, Sturm – wymachując swym wielkim, dwuręcznym mieczem – wykrzyknął rycerski salut dla wroga i odciął głowę smokowcowi, który nawet nie zauważył jego zbliżania się. Odcięta głowa potoczyła się po posadzce ze stukotem, zmieniając się w kamień.

W odróżnieniu od goblinów, którzy atakują wszystko, co się rusza, bez żadnej strategii czy zastanowienia, smokowcy są inteligentni i szybko myślą. Ci dwaj, którzy zostali przy kotle, nie mieli zamiaru mierzyć się z pięcioma sprawnymi i dobrze uzbrojonymi wojownikami. Jeden natychmiast wskoczył do garnka, wykrzykując polecenia dla towarzysza w swym gardłowym języku. Drugi Smokowiec podbiegł do koła i uwolnił mechanizm. Kocioł zaczął znikać w otworze.

– Zatrzymać go! – wrzasnął Tanis. – Jedzie po posiłki!

– Mylisz się – odkrzyknął Tasslehoff, zajrzawszy do dziury. – Posiłki już jadą na górę w drugim kotle. Musi ich tam być ze dwudziestu!

Caramon pobiegł, żeby zatrzymać smokowca uruchamiającego windę, lecz było już za późno. Stwór zostawił uruchomiony mechanizm i popędził w stronę kotła. Jednym wielkim susem wskoczył do środka za swym towarzyszem. Caramon, posłuszny zasadzie „nie daj wrogowi uciec”, wskoczył do kotła tuż za nim! Krasnoludowie żlebowi wiwatowali i gwizdali

radośnie, a niektórzy podbiegli do krawędzi, żeby mieć lepszy widok.

– Ależ to wielki idiota! – zaklął Sturm. Odepchnąwszy na bok krasnoludów, spojrzął w dół i zobaczył połyskujące zbroje i wzniesione pięści Caramona i smokowców, którymi się okładali. Dodatkowy ciężar Caramona sprawiał, że kocioł spadał szybciej.

– Porąbią tego głupiego osiłka na strzepy – mruknął Sturm. – Idę, za nim – zawołał do Tanisa. Skoczywszy w przepaść, chwycił za łańcuch i zsunął się po nim wprost do garnka.

– Teraz straciliśmy ich obu! – jęknął Tanis. – Flicie, chodź ze mną. Riverwindzie, zostaniesz na górze z Raistlinem i Goldmoon. Zobacz, czy uda ci się zawrócić to przekłete koło! Nie, Tas, nie ty!

Za późno. Wrzeszcząc z entuzjazmem, kender wskoczył na łańcuch i zaczął spuszczać się po nim na dół. Tanis i Flint również wskoczyli do otworu. Tanis trzymał się łańcucha rękoma i nogami, wisząc tuż nad kenderem, lecz Flint nie trafił i wpadł do kotła głową naprzód. Caramon oczywiście natychmiast nadepnął go.

Smokowcy przycisnęli wojownika do ściany kotła. Caramon wymierzył jednemu cios, po którym ten wpadł na przeciwległą ścianę, i wyciągnął sztylet na drugiego, który sięgał niezdarnie po miecz. Dźgnął go, zanim smokowiec zdążył wyszarpnąć miecz z pochwy, lecz sztylet Caramona ześliznął się po pancerzu stwora i wypadł ze zdrętwiałych palców wojownika. Smokowiec rzucił mu się do twarzy, próbując wydrapać oczy pazurami. Pochwyciwszy nadgarstki smokowca w miażdżącym uścisku, Caramonowi udało się odsunąć jego dłonie od swej twarzy. Dwie potężne istoty – człowiek i smokowiec – zmagaly się pod ścianą kotła.

Drugi smokowiec otrzeźwiał po ciosie Caramona i chwycił za miecz. Jednak zatrzymał się gwałtownie w skoku na wojownika, gdy Sturm, ześlizgując się po łańcuchu, mocno kopnął go w twarz ciężkim butem. Smokowiec zatoczył się do tyłu, wypuszczając broń z ręki. Sturm zeskoczył i próbował uderzyć stwora płazem miecza, lecz smokowiec odtrącił ostrze rękoma.

– Zejdź ze mnie! – ryczał Flint na dnie garnka. Caramon swymi wielkimi stopami powoli rozdeptywał oślepionego przez hełm krasnoluda. W przypiływie straszliwej wściekłości Flint poprawił hełm, a następnie podniósł się, sprawiając tym samym, że Caramon stracił równowagę i poleciał głową naprzód wprost na smokowca. Stwór uchylił się, a Caramon wpadł na wielki łańcuch. Smokowiec zamachnął się mieczem na oślep. Caramon przykucnął i miecz zadźwięczał niegroźnie o łańcuch, wyszczerbiając ostrze. Flint rzucił się na smokowca, trafiając go głową prosto w żołądek. Obaj wpadli na ścianę.

Cuchnące opary kłębiły się wokół kotła, który nabierał coraz większej szybkości.

Nie tracąc z oczu akcji na dole, Tanis zaczął się spuszczać po łańcuchu. – Ty nie ruszaj się z miejsca! – warknął do Tasslehoffa. Rozluźniwszy dłonie, Tanis spadł w sam środek walki. Tas, czując rozczarowanie, lecz nie chcąc okazać Tanisowi nieposłuszeństwa, zawisł na jednej ręce, a drugą wyciągnął z sakwy kamień, gotów spuścić go – miał nadzieję, że na głowę wrogowi.

Kocioł zaczął się kołysać, ponieważ walczący wpadali na jego ściany w trakcie zmagania, a tymczasem spadał coraz niżej, podczas gdy drugi kocioł, pełen wrzeszczących i klnących smokowców, wznosił się coraz wyżej.

Riverwind, który stał przy dziurze z krasnoludami żlebowymi, widział bardzo niewiele przez mgłę. Słyszał jednakże łomoty, przekleństwa i jęki dochodzące z garnka, w którym byli jego przyjaciele. Wtem z mgły wyłonił się drugi kocioł. Stali w nim smokowcy z mieczami w dłoniach i przyglądali się im, otwierając paszcze i wywalając długie, czerwone języki, jakby nie mogli się już doczekać. Za chwilę on, Goldmoon, Raistlin i piętnaścioro krasnoludów żlebowych będzie miało do czynienia z dwudziestoma rozwścieczonymi smokowcami!

Riverwind odwrócił się raptownie, potknął o krasnoluda żlebowego, złapał równowagę i pobiegł do mechanizmu. Musiał w jakiś sposób powstrzymać wznoszenie się tego drugiego kotła. Olbrzymie koło obracało się powoli, łańcuch zgrzytał o jego zęby. Riverwind przyglądał się mu z zamiarem pochwycenia łańcucha gołymi rękoma. Smuga czerwieni odepchnęła go na bok. Raistlin przyjrzał się zębacie przez chwilę, wyliczając czas jej obrotu, a następnie wetknął łaskę Magiusa pomiędzy koło a posadzkę. Łaska zadrżała przez moment i Riverwind wstrzymał oddech, obawiając się, że łaska pęknie. Wytrzymała jednak! Mechanizm zadygotał i zatrzymał się.

– Riverwindzie! – zawołała Goldmoon z miejsca, w którym stała przy dziurze. Mieszkaniec równin podbiegł do krawędzi, a za nim Raistlin. Krasnoludowie żlebowi, otaczający kołem otwór, bawili się doskonale, obserwując z ogromną radością jedno z najciekawszych wydarzeń, jakie przytrafiło się w ich życiu. Tylko Bupu odsunęła się od krawędzi – biegła truchcikiem za Raistlinem, trzymając go za szatę, kiedy tylko mogła.

– *Khark-umat!* – szepnął Riverwind, spojrzawszy w dół, w kłębiącą się mgłę.

Caramon wyrzucił z kotła smokowca, z którym się zmagał. Stwór spadał w mgłę z przeraźliwym wrzaskiem. Wielki wojownik miał na twarzy ślady pazurów i draśnięcie mieczem na prawym ramieniu. Sturm, Tanis i Flint toczyli walkę z drugim smokowcem, który zamierzał zabijać bez względu na konsekwencje. Kiedy wreszcie stało się całkiem jasne, że uderzenie go nie wystarczy, Tanis dźgnął go sztyletem. Stwór padł, natychmiast

zmieniając się w kamień, w którym utkwiała broń Tanisa.

Wtedy kocioł zatrzymał się raptownie, aż wszyscy się zachwiali.

– Uwaga! Sąsiedzi! – wrzasnął Tasslehoff, zeskakując z łańcucha. Tanis obejrzał się i zobaczył drugi gar, pełen smokowców, nie dalej jak sześć metrów od nich. Uzbrojeni po zęby smokowcy planowali abordaż. Dwaj wgramolili się na brzeg, gotowi przeskoczyć mglistą przepaść. Caramon wychylił się przez krawędź i wściekle zamachnął się mieczem na oślepa, próbując trafić któregoś z napastników. Nie trafił, a pęd ciosu zakręcił kotłem wokół jego osi.

Caramon stracił równowagę i poleciał do przodu, niebezpiecznie przechylając kocioł swym wielkim ciężarem. Stwierdził, że spogląda wprost na ziemię daleko pod nim. Sturm chwycił Caramona za kołnierz i odciągnął go od krawędzi, przez co garnek zakołysał się niepokojąco. Tanis pośliznął się i wylądował na czworakach na dnie kotła, gdzie stwierdził, że smokowiec rozsypał się w proch, co umożliwi mu odzyskanie sztyletu.

– Już nadchodzą! – krzyknął Flint, stawiając Tanisa na nogi.

Jeden ze smokowców skoczył w ich kierunku i złapał za brzeg garnka szponiastymi dłońmi. Kocioł znów się przechylił niepokojąco.

– Chodź tutaj! – Tanis popchnął Caramona w przeciwnym kierunku, mając nadzieję, że waga wojownika utrzyma gar w równowadze.

Sturm ciął smokowca po dłoniach, próbując zmusić go do wypuszczenia krawędzi. Potem przyleciał następny smokowiec, wyliczywszy odległość lepiej od pierwszego. Wylądował w kotle obok Sturma.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął Tanis do Caramona, gdy potężny wojownik odruchowo rzucił się do boju. Kocioł przechylił się. Ogromny mężczyzna zajął poprzednią pozycję. Garniec wrócił do równowagi. Smokowiec, który wczepiał się w jego brzeg palcami ociekającymi zieloną cieczą, wypuścił go, rozłożył skrzydła i poszybował w mgłę na dole.

Tanis odwrócił się szybko, by bić się ze smokowcem, który wylądował wewnątrz kotła, lecz wpadł na Flinta i znów przewrócił go. Półelf zatoczył się i wpadł na ścianę. Spojrzał w dół w chwili, gdy kocioł zatrząsł się. Mgły się rozwiały i ujrzał daleko w dole miasto Xak Tsaroth. Kiedy odsunął się, zdezorientowany i ogarnięty mdłościami, zobaczył Tasslehoffa walczącego ze smokowcem. Mały kender wlaź stworowi na plecy i bił go po głowie kamieniem. Na dnie garnka Flint podniósł sztylet, który upuścił Caramon, i dźgnął tego samego stwora w nogę. Smokowiec wrzasnął, poczuwszy wbite głęboko ostrze. Wiedząc, że następne stwory przylecą za chwilę, Tanis rozejrzał się wokół z rozpaczą. Rozpacz zmieniła się jednak w nadzieję, gdy ujrzał Riverwinda i Goldmoon spoglądających na nich przez mgłę.

– Wciągnijcie nas z powrotem! – krzyknął rozpaczliwie Tanis i wtedy coś go uderzyło w głowę. Przeszył go dotkliwy ból. Poczuł, że spada, spada, spada....

Raistlin nie dosłyszał wołania Tanisa – czarodziej już ruszył do dzieła.

– Chodźcie tu, moi przyjaciele – rzekł szybko Raistlin. Zaczarowani krasnoludowie żlebowi chętnie zgromadzili się wokół niego. – Ci szefowie na dole chcą mnie skrzywdzić – powiedział cicho.

Krasnoludowie mruknęli. Kilku zrobiło wrogie miny. Niektórzy pogrozili pięściami smokowcom w garnku.

– Ale wy możecie pomóc – powiedział Raistlin. – Możecie ich powstrzymać.

Krasnoludowie żlebowi popatrzyli na maga z powątpiewaniem. W końcu przyjaźń gdzieś się kończy.

– Musicie tylko pobiec i wskoczyć na ten łańcuch – powiedział cierpliwie Raistlin. Wskazał łańcuch przymocowany do kotła smokowców. Twarze krasnoludów rozpromieniły się. To nie brzmiało źle. Prawdę mówiąc, było to coś, co robili niemal codziennie, kiedy nie zdążyli wskoczyć do garnka.

Raistlin machnął ręką. – Idźcie! – rozkazał.

Krasnoludowie żlebowi – z wyjątkiem Bupu – popatrzyli na siebie, a potem pobiegli pędem do krawędzi otworu i z dzikim wrzaskiem wskoczyli na łańcuch nad smokowcami, łapiąc go z zaskakującą zręcznością.

Czarodziej podbiegł do koła zębatego, a Bupu podreptała za nim. Chwyciwszy laskę Magiusa, uwolnił ją szarpnięciem. Koło zadygotało i znów zaczęło się ruszać, obracając coraz szybciej i szybciej. Ciężar krasnoludów sprawił, że kocioł smokowców pomknął w zasnutą mgłą otchłań.

Kilku smokowców, którzy siedzieli na krawędzi przygotowani do skoku do drugiego kotła, zaskoczyło to nagłe szarpnięcie. Stracili równowagę i spadli. Choć ich skrzydła powstrzymały upadek, w locie wrzeszczeli z wściekłości, a ich krzyki stanowiły osobliwy kontrast dla radosnych okrzyków krasnoludów żlebowych.

Riverwind wychylił się przez krawędź i złapał brzeg kotła przyjaciół, gdy tylko dotarł do koła zębatego.

– Nic wam się nie stało? – zapytała zaniepokojona Goldmoon, nachylając się, by pomóc Caramonowi wyjść.

– Tanis jest ranny – powiedział Caramon, podtrzymując półelfa.

– To tylko guz – zaprotestował oszołomiony Tanis. Wymacał wielki guz rosnący z tyłu głowy. – Wydawało mi się, że wypadłem. – Wzdrygnął się na samo wspomnienie.

– Tamtędy nie zejdziemy! – powiedział Sturm, wychodząc z kotła. – I nie możemy też tu zostać. Uruchomienie windy nie zajmie im dużo czasu, a wtedy będą nas ścigać. Będziemy musieli wrócić.

– Nie! Nie odchodź! – Bupu przywarła do Raistlina. – Znam drogę do Najwyższego Bulpa! – Szarpnęła go za rękaw, pokazując na północ. – Dobra droga! Tajna droga! Nie ma szefów – powiedziała cicho, głaszcząc jego dłoń. – Nie dam cię szefom. Jesteś śliczny.

– Nie mamy chyba innego wyboru. Musimy tam się dostać – powiedział Tanis, krzywiąc się, gdy laska Goldmoon dotknęła go. Potem uzdrawiająca moc przenikła jego ciało. Gdy ból ustąpił, rozluźnił się i westchnął. – Tak, jak mówiłeś, oni tu mieszkają od lat.

Flint mruknął niechętnie i potrząsnął głową na widok Bupu wyruszającej korytarzem na północ.

– Stop! Posłuchajcie! – zawołał cicho Tasslehoff. Usłyszeli zbliżający się odgłos kroków szponiastych stóp.

– Smokowcy! – rzekł Sturm. – Musimy stąd iść! Zawracamy na zachód.

– Wiedziałem – burknął Flint, robiąc ponurą minę. – Zaprowadziła nas wprost do jaszczurów!

– Zaczekaj! – Goldmoon chwyciła Tanisa za ramię. – Spójrz na nią!

Półelf odwrócił się i ujrzał, jak Bupu wyjmuje coś miękkiego i bezkształtnego z torby, którą nosiła na ramieniu. Podchodząc do muru, machnęła tym czymś przed kamienną płytą i wymamrotała kilka słów. Ściana zadrżała i po kilku sekundach pojawiło się przejście prowadzące w mrok.

Towarzysze wymienili niepewne spojrzenia. – Nie ma wyboru – mruknął Tanis. Wyraźnie słychać było zgrzyt i brzęk zbroi smokowców, którzy maszerowali korytarzem w ich kierunku. – Raistlinie, światło – rozkazał.

Mag powiedział jedno słowo i kryształ na jego lasce zapłonął. Wraz z Bupu i Tanisem szybko przestąpił próg tajnego przejścia. Reszta poszła w ich ślady i drzwi zasunęły się za nimi. Blask laski czarodzieja oświetlił małe, kwadratowe pomieszczenie ozdobione płaskorzeźbami tak pokrytymi zielonym śluzem, że nie sposób było ich rozpoznać. Stali w milczeniu, słysząc smokowców przechodzących obok korytarzem.

– Musieli usłyszeć odgłosy walki – szepnął Sturm. – Wkrótce uruchomią windę, a wtedy będziemy mieli na karku cały oddział smokowców!

– Znam drogę na dół. – Bupu machnęła ręką pogardliwie. – Nie ma obawy.

– Jak otworzyłaś drzwi, maleńka? – zapytał zaciekawiony Raistlin, klękając obok Bupu.

– Czary – powiedziała nieśmiało i wyciągnęła przed siebie rękę. Na brudnej dłoni krasnoludki leżał zdechły szczur szczerzący zęby w zastygłym grymasie. Raistlin uniósł brwi, a wtedy Tasslehoff dotknął jego ramienia.

– To nie czary, Raistlinie – szepnął kender. – To prosty, ukryty w posadzce zamek. Zobaczyłem go, gdy wskazała ścianę i miałem zamiar powiedzieć o tym, gdy rozpoczęła te swoje czarodziejskie banialuki. Nadeptuje na spust, kiedy zbliża się do drzwi i wymachuje tym paskudztwem. – Kender zachichotał. – Pewno przez przypadek otworzyła je kiedyś, niosąc szczura.

Bupu rzuciła kenderowi piorunujące spojrzenie. – Czary! – oświadczyła, przybierając obrażoną minę i głaszcząc czule szczura. Wrzuciła go z powrotem do torby i powiedziała: – Chodźcie, idziemy. – Poprowadziła ich na północ, przez zrujnowane, zapleśniałe pomieszczenia. Wreszcie zatrzymała się w pokoju pełnym gruzów i kamiennego pyłu. Część sufitu zawaliła się, a podłoga zasłana była porozbijanymi kafelkami. Mamrocząc pod nosem, krasnoludka pokazała coś w północno-wschodnim końcu pomieszczenia.

– Iść na dół! – powiedziała.

Tanis i Raistlin podeszli tam, żeby sprawdzić, co to jest. Znaleźli szeroką na metr dwadzieścia rurę, której jeden koniec wystawał z potrzaskanej podłogi. Najwyraźniej wpadła przez sufit, powodując zarwanie się całej północno-wschodniej części pomieszczenia. Raistlin wsunął koniec swojej laski do rury i zajrzał do środka.

– Chodźcie, idziemy! – powiedziała Bupu, pokazując rurę i ponagląjąco ciągnąc Raistlina za rękaw. – Szefowie nie mogą wejść za nami.

– Pewnie ma rację – powiedział Tanis. – Pomyślcie o ich skrzydłach.

– Ale tam nie ma dość miejsca, żeby się zamachnąć mieczem – stwierdził Sturm, marszcząc brwi. – Nie podoba mi się to...

Nagle wszyscy ucichli. Usłyszeli skrzypienie koła i zgrzyt łańcucha. Przyjaciele spojrzeli na siebie nawzajem.

– Ja pierwszy! – powiedział wesoło Tasslehoff. Wsadzwszy głowę do otworu, wczołgał się do środka na czworakach.

– Jesteś pewien, że ja się zmieszczę? – spytał Caramon, mierząc otwór spojrzeniem pełnym obaw.

– Nie martw się – z wnętrza dobiegł głos Tasa. – Tu jest tak ślisko od pleśni, że prześlizniesz się, jak wysmarowana smalcem świnia.

To rubaszne stwierdzenie nie zdawało się robić wrażenia na Caramonie. Nadal przyglądał się rurze ponuro, a Raistlin, prowadzony przez Bupu, zgarnął poły swej szaty i

wśliznął się do wnętrza, oświetlając drogę laską. Flint wgramolił się następny. Za nim poszła Goldmoon, krzywiąc się z odrazą, gdy jej dłonie pośliznęły się na gęstym, zielonym śluzie. Riverwind zsunął się za nią.

– To szaleństwo – mam nadzieję, że wiesz o tym! – mruknął Sturm z obrzydzeniem.

Tanis nie odpowiedział. Klepnął Caramona po plecach. – Kolej na ciebie – rzekł, nasłuchując dźwięku poruszającego się coraz szybciej łańcucha.

Caramon jęknął. Ogromny wojownik na czworakach wczołgał się do otworu rury. Rękojeść jego miecza zaczepiła o krawędź. Cofnąwszy się, niegrabnie poprawił broń, a potem spróbował wejść jeszcze raz. Tym razem za bardzo wypiął tyłek, tak że plecami szorował o sklepienie. Tanis przyłożył stopę do zadka wojownika i pchnął mocno.

– Schyl się! – rozkazał półelf.

Caramon padł jak mokry worek, znów jęcząc. Wgramolił się do środka głową naprzód, pchając tarczę przed sobą i szorując zbroją o metalową powierzchnię rury. Zgrzytał nią tak przeraźliwie, aż Tanisowi cierpły zęby.

Półelf uchwycił górny brzeg rury. Wsuwając nogi naprzód, zaczął ześlizgiwać się po cuchnącym szlamie. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Sturma, który szedł ostatni.

– Obłąd zaczął się, kiedy poszliśmy za Tiką do kuchni gospody Ostatni Dom – powiedział.

– Szczera prawda – zgodził się rycerz z westchnieniem.

Tasslehoff, zafascynowany nowym doświadczeniem, jakim dla niego było czołganie się w głąb rury, dostrzegł nagle jakieś niewyraźne postaci na dolnym jej końcu. Szukając pośpiesznie uchwytu dla dłoni, zatrzymał poślizg.

– Raistlinie! – szepnął kender. – Coś idzie rurą pod górę!

– Co to jest? – zaczął pytać mag, lecz stęchłe, wilgotne powietrze podrażniło mu gardło i wywołało kaszel. Usiłując złapać oddech, skierował światło laski w głąb rury, by zobaczyć, kto się zbliża.

Bupu spojrzała raz i parsknęła. – Gulpy-pulpy! – mruknęła. Machając ręką, krzyknęła. – Wracać! Wracać!

– Idziemy na górę – my jechać windą! Duzi szefowie bardzo źli! – wrzasnął jeden.

– My iść na dół. Zobaczyć Najwyższego Bulpa! – oświadczyła Bupu z wielką powagą. Słyszając to, krasnoludowie źlebowi zaczęli się wycofywać, mamrocząc przy tym i klnąc.

Jednakże Raistlin przez chwilę nie był w stanie się ruszyć. Przyciskał dłoń do piersi i zanosił się od suchego, dojmującego kaszlu, którego echo rozbrzmiewało niepokojąco w ciszy

panującej w wąskiej rurze. Bupu popatrzyła na niego z z troskaniem, a potem wsunęła rączkę do swojej torby, pogrzebała w niej przez kilka chwil i wydobyła z niej jakiś przedmiot, który przysunęła do światła. Zmrużyła oczy, a potem westchnęła i potrząsnęła głową. – To nie to, czego chciałam – mruknęła.

Tasslehoff, zauważywszy jaskrawy, barwny błysk, podpełzł bliżej. – Co to jest? – zapytał, chociaż znał odpowiedź. Raistlin również wpatrywał się w przedmiot błyszczącymi, rozszerzonymi oczyma.

Bupu wzruszyła ramionami. – Ładny kamyk – powiedziała obojętnie, znów przeszukując torbę.

– Szmaragd! – wychrypiął Raistlin. Bupu podniosła spojrzenie. – Podoba ci się? – spytała Raistlina.

– Bardzo! – westchnął czarodziej.

– To masz – Bupu położyła klejnot na dłoni czarodzieja. Potem, z okrzykiem triumfu, wyciągnęła to, czego szukała. Tas, który nachylał się, żeby zobaczyć nowe cudo, cofnął się z odrazą. Była to nieżywa – bardzo nieżywa – jaszczurka. Do sztywnego ogona jaszczurki przywiązany był kawałek nieco przeżutego rzemienia. Bupu podsunęła ją Raistlinowi. – Noś to na szyi – powiedziała. – Leczy kaszel.

Mag, przyzwyczajony do posługiwania się znacznie bardziej nieprzyjemnymi przedmiotami, uśmiechnął się do Bupu i podziękował jej, ale odmówił przyjęcia lekarstwa, zapewniając, że czuje się już dużo lepiej. Spojrzała na niego z powątpiewaniem, lecz rzeczywiście, wyglądał dużo lepiej – atak kaszlu minął. Po chwili wzruszyła ramionami i schowała jaszczurkę z powrotem do torby. Przyjrzawszy się szmaragdowi okiem znawcy, Raistlin wbił chłodny wzrok w Tasslehoffa. Kender westchnął, odwrócił się plecami i ponownie zaczął się ześlizgiwać. Raistlin schował kamień do jednej ze swych tajnych, wewnętrznych kieszeni, wszytych w szatę.

Kiedy dotarli do miejsca, w którym ich rura łączyła się z następnymi, Tas spojrzął pytająco na krasnoludkę. Bupu z wahaniem pokazała na południe, na nową rurę. Tas wszedł do niej powoli. – Tu jest stro... – jęknął, ześlizgując się szybko w dół. Próbował powstrzymać spadek, lecz szlam był zbyt gęsty. Donośne przekleństwo Caramona, rozlegające się echem w rurze za nim, obwieściło kenderowi, że jego towarzysze mają ten sam problem. Nagle Tas zobaczył przed sobą światło. Tunel kończył się – ale gdzie? Tas wyraźnie zobaczył oczyma wyobraźni, jak wylatuje sto pięćdziesiąt metrów nad przepaścią. Nie mógł jednak nic zrobić, żeby się zatrzymać. Światło stało się jeszcze jaśniejsze i Tas wypadł z rury z niegłośnym piskiem.

Raistlin wysliznął się z rury, niemal wpadając na Bupu. Czarodziej, rozejrzawszy się, pomyślał przez chwilę, że stoczył się w ogień. Pomieszczenie wypełniały wielkie, białe, kłębiące się obłoki. Raistlin zaczął kaszleć i dusić się.

– Coo...! – Flint wyleciał z końca rury, lądując na czworakach. Rozejrzał się w otaczających go kłębach. – Trucizna? – wysapał, podczołgując się do czarodzieja. Raistlin pokręcił głową, lecz nie mógł odpowiedzieć. Bupu trzymała maga i ciągnęła go w stronę drzwi. Goldmoon wysunęła się, lądując na brzuchu, aż zabrakło jej tchu. Riverwind wytoczył się następny, tak wykręcając, żeby nie wpaść na Goldmoon. Rozległ się donośny brzęk i z rury wypadła tarcza Caramona. Najeżona kolcami zbroja Caramona i masywne cielsko spowolniło jego spadek na tyle, że mógł wyczołgać się z rury. Był jednak posiniaczony, podrapany i pokryty zielonym paskudztwem. Do czasu przybycia Tanisa, wszyscy już dusili się w zapyłonej atmosferze.

– Co to, w imię otchłani? – zapytał zdumiony Tanis, a następnie natychmiast zakrztusił się, wciągając do płuc biały pył. – Wyjdźmy stąd – wychrypiął. – Gdzie jest ta krasnoludka?

Bupu pojawiła się w drzwiach. Wyprowadziła Raistlina z pomieszczenia i gestem wzywała teraz pozostałych. Z poczuciem ulgi wyszli na czyste powietrze i usiedli, by odpocząć na zrujnowanej ulicy. Tanis miał nadzieję, że nie czekają na przybycie armii smokowców. Nagle podniósł głowę. – Gdzie jest Tas?

– zapytał zaniepokojony, wstając z trudem.

– Tu jestem – odezwał się zduszony i żalony głos.

Tanis odwrócił się gwałtownie.

Tasslehoff – a przynajmniej Tanis zakładał, że jest to Tasslehoff – stał przed nim. Od stóp do czubka kity kender był pokryty gęstą, białą, lepką mazią. Jedyne, co można było zobaczyć, to para brązowych oczu mrugających w białej masce.

– Co się stało? – zapytał półelf. Nigdy nie widział nikogo tak żałośnie wyglądającego, jak biedny kender.

Tasslehoff nie odpowiedział. Wskazał tylko za siebie, w głąb pomieszczenia.

Obawiając się czegoś katastrofalnego, Tanis pobiegł tam i zajrzał ostrożnie przez rozsypujące się wejście. Biała chmura rozproszyła się, tak że mógł rozejrzeć się po sali. W jednym kącie – dokładnie naprzeciwko otworu rury – stało kilka wielkich, pękatych worków. Dwa z nich były rozprute, a z ich wnętrza wysypywała się na posadzkę biała zawartość. Wtedy Tanis zrozumiał. Zasłonił twarz dłonią, żeby ukryć uśmiech.

– Mąka – szepnął.

Rozdział XIX

Zrujnowane miasto. Najwyższy Bulp Phudge I Wielki

Noc kataklizmu była nocą straszliwej grozy dla miasta Xak Tsaroth. Kiedy ognista góra spadła na Krynn, ziemia się rozstała. Prastare, piękne miasto Xak Tsaroth zsunęło się z urwiska do ogromnej jamy, którą utworzyły olbrzymie dziury w ziemi. Tak oto znalazłszy się pod ziemią, miasto znikło z oczu ludzi, którzy w większości byli przekonani, że przepadło ono na zawsze, pochłonięte przez fale Nowego Morza. Jednak miasto istniało nadal, uczone szorstkich ścian jaskini lub rozpostarte na podłożu groty, bowiem ruiny budowli znajdowały się na rozlicznych poziomach. Budynek, do którego wpadła drużyna – jak przypuszczał Tanis, była to piekarnia – znajdował się na środkowym poziomie, gdzie zatrzymał się na skałach i przyczepił do stromej skalnej ściany. Woda z podziemnych strumieni spływała po skale i płynęła ulicą, pluszcząc wśród gruzów.

Tanis śledził wzrokiem tę strugę. Spływała środkiem ulicy pokrytej spękaniem brukiem, mijała sklepiki i domy, gdzie niegdyś ludzie mieszkali i handlowali. Kiedy miasto upadło, wysokie budynki, które stały po obu stronach ulicy, powpadały na siebie, tworząc coś w rodzaju łuków z porozbijanych marmurowych płyt. Wszędzie ziały puste drzwi i wybite okna sklepów. Panował spokój i cisza, zakłócana tylko dźwiękiem kapiącej wody. W powietrzu unosił się ciężki zaduch stęchlizny. Wywierało to przygnębiające wrażenie. A chociaż powietrze było cieplejsze pod powierzchnią ziemi niż na górze, ponura atmosfera przenikała zimnem do szpiku kości. Nikt się nie odezwał. Przyjaciele zmyli śluz z siebie (i mąkę z Tasa) najlepiej jak potrafili, a następnie napełnili wodą bukłaki. Sturm i Caramon przeszukali okolicę, lecz nie znaleźli smokowców. Po kilku chwilach odpoczynku drużyna wstała i ruszyła przed siebie.

Bupu prowadziła ich na południe, prosto ulicą pod łukami zrujnowanych domów. Ulicą doszli do placu – a tam woda zmieniła się w rzekę płynącą na zachód.

– Idźcie za rzeką – pokazała Bupu.

Tanis zmarszczył czoło, usłyszawszy przez szum rzeki inny odgłos – huk i ryk wielkiego wodospadu. Lecz Bupu nalegała, więc bohaterowie obeszlą ostrożnie rzekę na placu, czasami wpadając do wody po kostki. Dotarłszy do krańca ulicy, drużyna zobaczyła wodospad. Ulica kończyła się urwiskiem, a pomiędzy zdruzgotanych kolumn woda spływała na dno jaskini znajdujące się niemal sto pięćdziesiąt metrów poniżej. Tam spoczywały resztki ruin miasta Xak Tsaroth.

W słabym świetle słońca wpadającego przez szczeliny w sklepieniu groty wysoko nad

głowami widzieli, że serce starodawnego miasta leżało strzaskane na dnie jaskini i znajdowało się w różnych stopniach rozkładu. Niektóre budynki były niemal kompletnie nietknięte. Inne, jednakże, przypominały sterty gruzu. Nad miastem unosiła się chłodna mgła, wytworzona przez wiele wodospadów spadających do groty. Większość ulic zmieniła się w rzeki, które łączyły się ze sobą i wpadały do głębokiej przepaści na północy. Spoglądając w mgłę, drużyna zobaczyła olbrzymi łańcuch, wiszący zaledwie kilkadziesiąt metrów od nich, nieco na północ od ich obecnej pozycji. Zdali sobie sprawę, że winda unosi i spuszcza ludzi na głębokość przynajmniej trzystu metrów.

– Gdzie mieszka Najwyższy Bulp? – zapytał Tanis, rzucając spojrzenie na martwe miasto w dole.

– Bupu mówi, że mieszka tam – pokazał Raistlin – w tych budynkach po zachodniej stronie jaskini.

– A kto mieszka w odbudowanych domach tuż pod nami? – zapytał Tanis.

– Szefowie – odparła Bupu, robiąc kwaśną minę.

– Ilu szefów?

– Jeden i jeden, i jeden – Bupu liczyła tak długo, aż zabrakło jej palców. – Dwa – stwierdziła. – Nie więcej, jak dwa.

– To może znaczyć każdą liczbę od dwóch setek do dwóch tysięcy – mruknął Sturm. – Jak tam się dostaniemy, żeby zobaczyć się z Najwyższym Bupem?

– Najwyższym Bulpem! – Bupu zmierzyła go wściekłym spojrzeniem. – Najwyższy Bulp Phudge I Wielki.

– Jak dostaniemy się do niego, żeby nie złapali nas szefowie?

W odpowiedzi Bupu pokazała na górę, na kocioł pełny jadących na górę smokowców. Tanis popatrzył nic nie rozumiejącym wzrokiem i spojrzął na Sturma, który wzruszył ramionami z niesmakiem. Zdesperowana Bupu westchnęła i zwróciła się do Raistlina, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że inni nie są w stanie jej zrozumieć. – Szefowie na górę. My na dół – powiedziała.

Raistlin popatrzył na windę spowitą w mgłę. Potem pokiwał głową gestem zrozumienia. – Smokowcy prawdopodobnie są przekonani, że uwięźliśmy na górze bez szans zejścia na dół do miasta. Jeśli większość smokowców jest na górze, będziemy mogli bezpiecznie działać na dole.

– W porządku – rzekł Sturm. – Ale jak, w imię Istar, zejdziemy na dół? Większość z nas nie potrafi latać!

Bupu rozłożyła ręce. – Pnącza! – powiedziała. Widząc brak zrozumienia na twarzach

przyjaciół, krasnoludka poczłapała do krawędzi wodospadu i wskazała na dół. Grube, zielone pnącza wisiały nad krawędzią przepaści jak olbrzymie węże. Liście pnączy były porwane, postrzępione, a w niektórych miejscach całkiem poobrywane, lecz same liany wyglądały na mocne i wytrzymałe, choć śliskie.

Goldmoon, bardzo blada, podeszła do krawędzi, wyjrzała przez nią i pośpiesznie się cofnęła. Pod nią znajdował się stu pięćdziesięciometrowy spadek prosto na usianą kamieniami ulicę. Riverwind objął ją ramieniem uspokajająco.

– Schodziłem już po gorszym – stwierdził z błogą obojętnością Caramon.

– Mi się to nie podoba – rzekł Flint. – Ale wszystko już lepsze od ześlizgiwania się rynsztokiem. – Chwyciwszy lianę, zeskoczył ze skalnego występu i pomału zaczął się spuszczać ręka za ręką. – Nie jest źle – krzyknął na górę.

Tasslehoff ześlizgiwał się po pnączu za Flintem, sunąc szybko i z taką wprawą, że Bupu nagrodziła jego wyczyn pochwalnym pomrukiem.

Krasnoludka odwróciła się, żeby popatrzeć na Raistlina, wskazała na jego długie, powłóczyste szaty i zmarszczyła brwi. Mag uśmiechnął się do niej pocieszająco. Stając na krawędzi urwiska, rzekł cicho – *Piórkospadanie*. – Kryształowa kula na czubku jego laski rozjarzyła się i Raistlin zeskoczył do przepaści, znikając we mgle. Bupu pisnęła. Tanis pochwycił ją, bojąc się, że wielbiąca maga krasnoludka może skoczyć za nim.

– Nic mu nie będzie – zapewnił ją półelf, czując przebłysk współczucia na widok szczerego cierpienia na jej twarzy. – On jest czarodziejem – powiedział. – Czary. Wiesz.

Bupu najwyraźniej nie wiedziała, ponieważ przyglądała się Tanisowi podejrzliwie, zarzuciła sobie torbę na szyję, złapała lianę i zaczęła schodzić na dół po śliskiej skale. Reszta drużyny gotowała się do zejścia, kiedy Goldmoon wyszeptała załamującym się głosem – Ja nie mogę.

Riverwind wziął ją za rękę. – *Kan-toka* – powiedział cicho – wszystko będzie dobrze. Słyszałaś, co powiedziała krasnoludka. Tylko nie patrz w dół.

Goldmoon pokręciła głową, a jej podbródek drżał. – Musi być jakaś inna droga – powiedziała uparcie. – Poszukamy jej.

– W czym problem? – spytał Tanis. – Powinniśmy się pośpieszyć...

– Ona boi się wysokości – rzekł Riverwind. Goldmoon odepchnęła go. – Jak śmiesz mówić mu o tym!

– krzyknęła, czerwieniąc się z gniewu.

Riverwind spojrzał na nią chłodno. – Dlaczego nie? – powiedział zgrzytliwym tonem. – On nie jest twoim poddanym. Możesz pozwolić mu dowiedzieć się, że jesteś człowiekiem,

że masz ludzkie słabości. Został ci tylko jeden poddany, któremu możesz imponować, córko wodza, i ja nim jestem!

Gdyby Riverwind dźgnął ją nożem, nie mógłby zadać jej dotkliwszego bólu. Kolor spłynął z warg Goldmoon. Jej oczy szeroko rozwarły się i znieruchomiały, jak oczy nieboszczyka.

– Proszę, przymocuj dobrze laskę na moich plecach – powiedziała do Tanisa.

– Goldmoon, on nie chciał... – zaczął.

– Rób, co ci każe! – rozkazała krótko, a jej błękitne oczy błysnęły gniewem.

Westchnąwszy, Tanis przymocował laskę do jej pleców kawałkiem liny. Goldmoon nawet nie spojrzała na Riverwinda. Kiedy laska była już mocno przywiązana, kobieta ruszyła w stronę krawędzi urwiska. Sturm szybko zastąpił jej drogę.

– Pozwól mi schodzić po pnączu przed sobą – powiedział. – Gdybyś pośliznęła się...

– Gdybym pośliznęła się i spadła, spadłbyś ze mną. Osiągnęlibyśmy tylko tyle, że zginęlibyśmy razem – odparła uszczypliwie. Nachylając się, złapała mocno pnącze i zsunęła się za krawędź przepaści. Niemal natychmiast liana wysliznęła się z jej spoconych dłoni. Tanis poczuł, że zaparło mu dech w piersi. Sturm rzucił się naprzód, choć wiedział, że nic nie może zrobić. Riverwind stał, przyglądając się temu bez cienia emocji na twarzy. Goldmoon rozpaczliwie starała się uchwycić pnącza i gęste liście. Złapała wreszcie i przywarła do nich mocno, nie będąc w stanie zaczerpnąć tchu, bojąc się ruszyć. Przycisnęła twarz do mokrych liści i dygotała, zamknąwszy oczy, żeby nie widzieć przerażającej przepaści. Sturm zsunął się przez krawędź i zszedł do niej.

– Zostaw mnie w spokoju – powiedziała do niego Goldmoon przez zaciśnięte zęby. Drżąc, zaczerpnęła tchu, rzuciła dumne, wyzywające spojrzenie Riverwindowi i zaczęła spuszczać się po lianie.

Sturm cały czas czuwał przy niej, zwinnie schodząc po skalnej ścianie. Tanis, który stał obok Riverwinda, chciał coś powiedzieć mieszkańcowi równin, lecz obawiał się wyrządzić jeszcze większą szkodę. Nie rzekłszy więc nic, zsunął się w przepaść. Riverwind poszedł w jego ślady bez słowa.

Dla półelfa wspinaczka była łatwa, choć ześliznął się ostatnie półtora metra i wylądował w wodzie po kostki. Zauważył, że Raistlin dygotał z zimna, a jego kaszel pogorszył się w wilgotnym powietrzu. Kilku krasnoludów źlebowych otaczało maga, przyglądając mu się pełnymi podziwu oczami. Tanis był ciekaw, jak długo potrwa ten urok.

Drżąca Goldmoon oparła się o mur. Nie spojrzała na Riverwinda, który dotarłszy na dół, odsunął się od niej, wciąż z obojętną twarzą.

– Gdzie jesteśmy? – krzyknął Tanis przez huk wodospadu. Mgła była tak gęsta, że nie widział nic, oprócz zdruzgotanych kolumn, porośniętych pnączami i pleśnią.

– Tędy do Wielkiego Placu. – Bupu z naciskiem pokazała brudnym palcem na zachód.
– Chodźcie. Wy iść za mną. Iść zobaczyć Najwyższego Bulpa!

Ruszyła w drogę. Tanis wyciągnął rękę i złapał ją, zatrzymując w ten sposób. Popatrzyła na niego wściekle, głęboko obrażona. Półelf cofnął rękę. – Proszę. Posłuchaj przez chwilę! Co ze smokiem? Gdzie jest smok?

Bupu otworzyła szeroko oczy. – Ty chcesz smoka? – zapytała.

– Nie! – wrzasnął Tanis. – Nie chcemy smoka. Musimy jednak wiedzieć, czy smok bywa w tej części miasta... – Poczul dłoń Sturma na ramieniu i zrezygnował. – Daruj sobie. Nieważne – powiedział znużonym tonem. – Idź już.

Bupu posłała Raistlinowi spojrzenie pełne głębokiego współczucia z powodu tego, iż musi zadawać się z takimi wariatami, a następnie wzięła czarodzieja za rękę i pobiegła truchcikiem ulicą prowadzącą na zachód. Za nimi pośpieszyła świta pozostałych krasnoludów źlebowych. Na wpół ogłuszona grzmotem wodospadu drużyna zaczęła brodzić w wodzie, niespokojnie rozglądając się dookoła – ciemne okna ziały nad ich głowami, ciemne bramy groźnie stały otworem. W każdej chwili spodziewali się pojawienia łuskowatych, opancerzonych smokowców. Nie wyglądało jednak na to, żeby krasnoludowie źlebowi przejmowali się tym. Brnęli z pluskiem przez kałuże, trzymając się najbliższej Raistlina, jak tylko mogli, i szwargotali coś w swej barbarzyńskiej mowie.

Wreszcie odgłos wodospadu ucichł w oddali. Lecz mgła wciąż ich spowijała, a cisza martwego miasta sprawiała przygnębiające wrażenie. Ciemna woda chlupotała im pod nogami, płynąc strugami po brukowanym dnie. Nagle budynki skończyły się i przed nimi rozciągał się olbrzymi, okrągły plac. Na resztkach płyt, jakimi go wybrukowano, przez wodę widać było skomplikowany wzór przedstawiający promieniste słońce. Pośrodku placu do rzeki wpadał inny strumień, płynący z północy. Niewielki wir utworzył się w miejscu, gdzie spienione nurty spotykały się, by razem płynąć dalej na zachód pomiędzy kolejną grupą zwalonych budynków.

Tutaj strumienie światła padały na plac przez szparę w sklepieniu jaskini, które znajdowało się dziesiątki metrów nad głowami drużyny. Oświetlały upiorne pasma mgły i tańczyły na powierzchni wody, kiedy tylko się rozwiewała.

– Druga strona Wielkiego Placu – wskazała Bupu.

Przyjaciele zatrzymali się w cieniu zrujnowanego budynku. Wszystkim przychodziło na myśl to samo: Plac ma ponad trzydzieści metrów szerokości i żadnego miejsca do

schowania się. Kiedy już wkroczą na niego, nie będzie gdzie się skryć.

Bupu, drepcząca beztrosko, nagle zdała sobie sprawę, że nikt za nią nie idzie, z wyjątkiem krasnoludów żlebowych. Obejrzała się poirytowana opóźnieniem. – Chodźcie – tędy do Najwyższego Bulpa.

– Spójrz! – Goldmoon ścisnęła Tanisa za ramię.

Po drugiej stronie wielkiego, brukowanego placu znajdowały się masywne, wysokie kolumny z marmuru, które podtrzymywały kamienny dach. Kolumny popękały i potrzaskały się tak, że dach się zapadł. Opary się rozwiały i Tanis ujrzał dziedziniec prześwietlający między kolumnami. Za dziedzińcem widoczne były mroczne zarysy wysokich budynków zwieńczonych kopułami. Potem mgła znów ich otoczyła. Choć obecnie zdewastowany i zrujnowany, niegdyś budynek ten musiał być najwspanialszym w Xak Tsaroth.

– Pałac królewski – potwierdził Raistlin, pokaszłując.

– Szszsz! – Goldmoon potrząsnęła Tanisa za ramię. – Widzisz? Nie, poczekaj...

Przed kolumnami snuły się pasma mgły. Przez chwilę towarzysze nic nie widzieli, ale potem opary się rozwiały. Drużyna schowała się w ciemnej bramie. Krasnoludowie żlebowi z poślizgiem zatrzymali się na placu i zawróciwszy, pogalopowali z powrotem, żeby skulić się za plecami Raistlina.

Bupu popatrzyła na Tanisa spod rękawa czarodzieja. – Smok – stwierdziła. – Ty chcieć?

To był smok.

Zwinąwszy skórzaste skrzydła, wysmukła i lśniaco czarna Khisanth wypełzła spod sklepienia, schylając głowę, by zmieścić się pod wałą się kamienną fasadą. Jej szponiaste przednie łapy zastukały na marmurowych schodach, gdy zatrzymała się i przesyła snującą się mgłę spojrzeniem jaskrawoczerwonych oczu. Tylnich nóg i mocarnego, gadziego ogona nie było widać, bowiem jeszcze dobre dziesięć metrów ciała smoka niknęło w głębi dziedzińca. Obok niej szedł skulony pokornie smokowiec i wszystko wskazywało, iż pogrążeni są w rozmowie.

Khisanth była rozgniewana. Smokowiec przyniósł jej niepokojące wieści – to niemożliwe, aby któryś z intruzów przeżył jej atak przy studni! Lecz teraz kapitan jej straży donosi o pojawieniu się obcych w mieście! Obcych, którzy sprawnie i śmiało zaatakowali jej oddziały, obcych niosących brązową laskę, której wygląd znany był każdemu smokowcowi służącemu w tej części kontynentu ansalońskiego.

– Nie mogę uwierzyć w ten raport! Żaden nie mógł mi się wymknąć. – Głos Khisanth był cichy, niemal mruczący, a jednak smokowiec dygotał, słysząc go. – Laski nie było przy

nich. Wyczułabym jej obecność. Mówisz, że ci intruzi są wciąż na górze, w górnych komnatach? Jesteś tego pewien?

Smokowiec przełknął ślinę i pokiwał głową. – Najjaśniejsza pani, na dół nie ma innej drogi, jak tylko windą.

– Są inne drogi, ty jaszczurko – rzekła urągliwie Khisanth. – Te żałosne krasnoludy źlebowe pełzają wszędzie jak robactwo. Intruzi mają laskę i próbują zejść na dół, do miasta. To oznacza tylko jedno – chcą zdobyć dyski! Jak mogli się o nich dowiedzieć? – Smoczyca odwróciła łeb wężowym ruchem, uniosła go i opuściła, jakby mogła zobaczyć przez zasłaniającą wszystko mgłę tych, którzy zagrażali jej planom. Mgła jednak kłębiła się nadal i była coraz gęstsza.

Khisanth warknęła z irytacją. – Laska! Ta żałosna laska! Verminaard powinien był przewidzieć taki obrót rzeczy dzięki swoim zdolnościom kapłańskim, którymi tak się pyszni, a wtedy laska byłaby już zniszczona. Ale nie, on jest zbyt zajęty swoją wojną, podczas gdy ja muszę gnąć w tym mieście, niczym w wilgotnym grobowcu. – Khisanth przygryzała pazur w zamyśleniu.

– Mogłabyś zniszczyć dyski – zasugerował smokowiec, zebrawszy się na wielką śmiałość.

– Głupcze, czy myślisz, że nie próbowaliśmy? – mruknęła Khisanth. Podniosła głowę. – Nie, zbyt niebezpiecznie jest zostać tu dłużej. Jeśli ci intruzi znają sekret, inni muszą również go znać. Dyski należy przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Zawiadom lorda Verminaarda, że opuszczam Xak Tsaroth. Spotkam się z nim w Pax Tharkas i przyprowadzę z sobą intruzów na przesłuchanie.

– Zawiadomić lorda Verminaarda? – zapytał zaszokowany smokowiec.

– Dobrze – odrzekła sarkastycznie Khisanth. – Skoro tak się upierasz przy kontynuowaniu tej maskarady, poproś lorda o pozwolenie. Przypuszczam, że posłałeś większość wojsk na górę?

– Tak, najjaśniejsza pani. – Smokowiec skłonił się.

Khisanth zastanowiła się chwilę. – Być może nie jesteś aż takim idiotą – rozmyślała na głos. – Dam sobie radę w podziemiach. Skoncentruj poszukiwania w górnych partiach miasta. Kiedy odnajdziecie intruzów, przyprowadźcie ich natychmiast do mnie. Nie wyrządzajcie im krzywdy bardziej, niż będzie to niezbędne do ich pokonania. I uważajcie na tę laskę! Smokowiec padł na kolana przed smoczycą, która parsknęła pogardliwie i wpełzła ponownie w głęboki cień, z którego się wysunęła.

Smokowiec zbiegł spieszenie po schodach, na których już czekało na niego kilku

kompanów, którzy wyszli z mgły. Po krótkiej, przyciszzonej wymianie zdań w ich własnym języku smokowcy ruszyli ulicą prowadzącą na północ. Szli beztrąsko, śmiejąc się z jakiegoś żartu i wkrótce znikli w oparach.

– Nie przejęli się za bardzo, prawda? – powiedział Sturm.

– Nie – przyznał ponuro Tanis. – Są przekonani, że już nas mają.

– Spójrzmy prawdzie w oczy, Tanisie. Oni mają rację – rzekł Sturm. – Plan, nad którym dyskutowaliśmy ma jedną, poważną wadę. Jeśli zakradniemy się tak, żeby smok się o tym nie dowiedział, i jeśli zdobędziemy dyski – wciąż musimy jeszcze wydostać się z tego zapomnianego przez bogów miasta, w którym roi się od smokowców na górnych poziomach.

– Pytałem was przedtem i zapytam jeszcze teraz – powiedział Tanis. – Macie lepszy plan?

– Ja mam lepszy plan – burknął Caramon. – Nie obraż się, Tanisie, ale wszyscy wiemy, jakie zdanie mają elfowie o walce. – Zwalisty mężczyzna wskazał pałac. – Smok najwyraźniej tam mieszka. Wywabmy go tak, jak było zaplanowane, tylko tym razem będziemy z nim walczyć, a nie zakradać się do jego leża jak złodzieje. Kiedy pozbedziemy się smoka, będziemy mogli zabrać dyski.

– Mój drogi bracie – szepnął Raistlin – twa siła leży w krzepkim ramieniu, a nie umyśle. Tanis jest mądry, jak powiedział rycerz, gdy rozpoczynaliśmy tę małą przygodę. Dobrze byś zrobił, słuchając go. Co ty wiesz o smokach, mój bracie? Widziałeś skutki jego zabójczego oddechu. – Raistlin wpadł w atak kaszlu. Wyciągnął miękką szmatkę z rękawa szaty. Tanis zobaczył, że szmatka była poplamiona krwią.

Po chwili Raistlin kontynuował. – Może potrafiłbyś się przed tym obronić, a także przed ostrymi pazurami i kłami oraz smagającym jak bat ogonem, który jest w stanie zwalić te kolumny. Lecz czego użyjesz, drogi bracie, przeciwko jej magii? Smoki są najstarszymi spośród czarodziejów. Smoczyca mogłaby zauroczyć cię równie łatwo, jak ja z czarowałem moją małą przyjaciółkę. Potrafiłaby uspić cię jednym słowem, a potem zamordować cię we śnie.

– W porządku – mruknął z żalem Caramon. – Nie wiedziałem o tym. Do diabła, kto wie cokolwiek o tych stworach!

– Wiele wiadomo o smokach w Solamni – rzekł cicho Sturm.

Tanis zdał sobie sprawę, że on też chce walczyć ze smokiem. On myśli o Humie, rycerzu bez skazy, zwanym pogromcą smoków.

Bupu ciągnęła Raistlina za poję. – Chodź. Wy iść. Nie ma więcej szefów. Nie ma więcej smoka. – Wraz z pozostałymi krasnoludami zlebowymi pobiegła przez plac,

rozpryskując wodę z kałuż.

– No i co? – powiedział Tanis, spoglądając na dwóch wojowników.

– Wygląda na to, że nie mamy wyboru – rzekł sucho Sturm. – Nie stajemy do walki z wrogiem, a chowamy się za plecami krasnoludów źlebowych! Prędzej czy później musi nadejść chwila, gdy zmierzmy się z tymi potworami! – Odwrócił się na pięcie, nastroszył wąsy i odszedł sztywno wyprostowany. Drużyna poszła za nim.

– Może martwimy się niepotrzebnie. – Tanis podrapał się po brodzie, oglądając się na pałac, zasłonięty obecnie przez mgłę. – Może to jedyny smok, jaki został na Krynnie, jedyny, który przeżył z czasów wieku snów.

Raistlin wykrzywił wargi. – Pamiętaj o gwiazdach, Tanisie – szepnął. – Królowa Ciemności powróciła. Przypomnij sobie słowa kantyczki: „rój jej wrzeszczących zastępów”. Jej zastępy, wedle starożytnych, to smoki. Ona powróciła, a wraz z nią jej zastępy.

– Tędy! – Bupu ciągnęła Raistlina, wskazując ulicę, która odchodziła w bok na północ. – Ten dom!

– Przynajmniej jest suchy – mruknął Flint. Skręciwszy w prawo, zostawili rzekę za sobą. Kiedy weszli w kolejne gniazdo ruin, ponownie otoczyła ich mgła. Ta część miasta musiała być uboższą dzielnicą Xak Tsaroth nawet za czasów jego świetności – tutejsze budowle znajdowały się w ostatnim etapie rozpadu i rozkładu. Krasnoludowie źlebowi zaczęli biec ulicą z radosnym krzykiem i wrzaskiem. Sturm spojrzął na Tanisa zaniepokojony hałasem.

– Czy nie możesz nakazać im uciszyć się? – Tanis zapytał Bupu. – Żeby smokowcy... ee... szefowie nie znaleźli nas.

Krasnoludka sapnęła pogardliwie i wzruszyła ramionami. – Nie ma szefów. Oni nie przychodzić tutaj. Bać się wielkiego Najwyższego Bulpa.

Tanis miał co do tego wątpliwości, lecz rozejrzawszy się dookoła, nie dostrzegł śladów po smokowcach. Z tego, co zauważył, jaszczurokształtni ludzie zdawali się prowadzić uporządkowany, wojskowy tryb życia. Natomiast ulice w tej części miasta były zaśmiecone i strasznie brudne. W podejrzanych ruderach roiło się od krasnoludów źlebowych. Mężczyźni, kobiety

i brudne, obdarte dzieci gapiły się z ciekawością na drużynę idącą ulicą. Bupu i inni zaczarowani krasnoludowie kręcili się wokół Raistlina, praktycznie niosąc go.

Smokowcy byli bez wątpienia bystrzy, pomyślał Tanis. Pozwalali swoim niewolnikom prowadzić prywatne życie w spokoju – tak długo, jak nie sprawiali kłopotów. Dobry pomysł, biorąc pod uwagę, że krasnoludowie źlebowi przeważali liczebnie nad smokowcami jak

dziesięć do jednego. Choć w gruncie rzeczy byli tchórzami, krasnoludowie źlebowi mieli opinię paskudnych przeciwników, kiedy przyparto ich do muru.

Bupu zatrzymała grupę przed jednym z najciemniejszych, najbardziej odrapanych i najbrudniejszych zaułków, jakie kiedykolwiek Tanis widział. Roznosiły się z niego cuchnące wyziewy. Domy stały przechylone, czepiając się jeden drugiego, jak pijacy wytaczający się z karczmy. Na oczach Tanisa z zaułku wysmyknęły małe, ciemne kształty, za którymi rzuciły się w pogoń dzieci krasnoludów źlebowych.

– Obiad! – wrzasnęło jedno, młaszcząc.

– To są szczury! – krzyknęła Goldmoon z przerażeniem.

– Czy musimy tam wejść? – warknął Sturm, spoglądając na walące się rudery.

– Sam zapach wystarczy, żeby zabić trolla – dodał Caramon. – Wolałbym już zginąć pod szponami smoka, niż żeby miała mi się na głowę zawalić chałupa krasnoludów źlebowych.

Bupu machnęła ręką w głąb zaułka. – Najwyższy Bulp! – powiedziała, pokazując najbardziej rozsypujący się budynek.

– Zostań tutaj na straży, jeśli chcesz – powiedział Tanis do Sturma. – Ja pójdę porozmawiać z Najwyższym Bulpem.

– Nie. – Rycerz zmarszczył brwi i gestem wezwał pół-elfa do zaułka. – Jestem zawsze przy tobie.

Zaułek biegł kilkadziesiąt metrów na wschód, a następnie skręcał na północ i raptownie kończył się ślepo. Przed nimi był tylko mur ze zmurszałej cegły i żadnego wyjścia. Drogę odwrotną odcinali krasnoludowie źlebowi, którzy wbiegli za nimi.

– Zasadzka! – syknął Sturm i wyciągnął miecz. Caramon zaczął wydawać głęboki, gardłowy pomruk. Krasnoludowie wpadli w panikę na widok błysku zimnej stali. Potykając się o swoje nogi i o siebie nawzajem, zawrócili i uciekli w głąb zaułka.

Bupu zmierzyła Sturma i Caramona wrogim spojrzeniem pełnym odrazy. Wskazała na Raistlina. – Ty każ im przestać!

– zażądała, wskazując na wojowników. – Albo ja nie zaprowadzić do Najwyższego Bulpa.

– Odłóż miecz, rycerzu – zasyczał Raistlin – chyba że znalazłeś przeciwnika godnego uwagi.

Sturm spojrział wściekle na Raistlina i przez chwilę Tanis myślał, że zaatakuje maga, lecz rycerz schował miecz. – Chciałbym wiedzieć, co knujesz, czarodzieju – rzekł chłodno Sturm.

– Tak bardzo chciałeś przybyć do tego miasta, zanim jeszcze dowiedzieliśmy się o dyskach. Dlaczego? Czego szukasz?

Raistlin nie odpowiedział. Wbił w rycerza złowrogie spojrzenie dziwnych, złotych oczu, a potem zwrócił się do Bupu.

– Nie będą ci już sprawiać kłopotów, maleńka – szepnął.

Bupu rozejrzała się, żeby upewnić się, że zostali odpowiednio zastraszeni, a następnie podeszła do ściany i dwukrotnie zapukała w nią brudną piąstką. – Tajne drzwi – powiedziała z poczuciem ważności.

Na pukanie Bupu odpowiedziały dwa stuknięcia.

– To znak – powiedziała. – Trzy puki. Teraz oni wpuścić.

– Ale ona zastukała tylko dwa razy... – zaczął Tas, chichocząc.

Bupu zmierzyła go wściekłym spojrzeniem.

– Szszsz! – Tanis szturchnął łokciem kendera.

Nic się nie wydarzyło. Zmarszczywszy czoło, Bupu zastukała jeszcze dwa razy. Odpowiedziały jej dwa stuknięcia. Zaczekała. Caramon, cały czas obserwujący wylot zaułka, zaczął niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Bupu znów zastukała dwukrotnie. Odpowiedziały jej dwa puknięcia.

Wreszcie Bupu wrzasnęła do ściany. – Ja zapukać tajnym stukiem. Ty wpuść!

– Tajny stuk to pięć puków – odpowiedział stłumiony głos.

– Ja zapukać pięć puków! – oświadczyła gniewnie Bupu. – Ty wpuść!

– Ty pukać sześć puków.

– Ja naliczyć osiem puków – sprzeciwił się inny głos.

Bupu nagle naparła na ścianę obiema rękoma. Drzwi otworzyły się bez trudu. Zajrzała do środka. – Ja zapukać cztery puki. Ty wpuść! – powiedziała, podnosząc zaciśniętą pięść.

– W porządku – mruknął czyjś głos.

Bupu zatrasnęła drzwi i zastukała dwa razy. Tanis, mając nadzieję, że uniknie następnych incydentów i opóźnień, zmierzył wściekłym spojrzeniem kendera, który wił się z tłumionego śmiechu.

Drzwi ponownie się otworzyły. – Wejdźcie – powiedział kwaśno strażnik. – Ale to nie cztery puki – szepnął głośno do Bupu. Zlekceważyła go, pogardliwie przechodząc obok i ciągnąc po podłodze swoją torbę.

– My widzieć Najwyższego Bulpa – oświadczyła.

– Zabierasz tę bandę do Najwyższego Bulpa? – wyjęczał jeden ze strażników, wpatrując się w olbrzymiego Caramona i wysokiego Riverwinda szeroko rozwartymi oczami.

Jego towarzysz zaczął się cofać.

– Widzieć Najwyższego Bulpa – rzekła dumnie Bupu.

Strażnik, nie spuszczać z oczu imponująco wyglądającej grupy, wycofał się do śmierdzącego, brudnego korytarza, a potem rzucił się pędem przed siebie. Zaczął krzyczeć co tchu w płucach. – Wojsko! Wojsko się włamało! – Echo jego wrzasków słychać było w całym korytarzu.

Bupu wydała pogardliwe parsknięcie. – Glupowskie nasienie! Chodźcie. Zobaczyc Najwyższego Bulpa.

Poszła pierwsza, przyciskając do piersi torbę. Drużyna wciąż słyszała echa wrzasków krasnoluda dobiegające z głębi korytarza. – Wojsko! Wojsko olbrzymów! Ratować Najwyższego Bulpa!

Wielki Najwyższy Bulp, Phudge I, był wyjątkowym krasnoludem pośród krasnoludów żlebowych. Był niemal inteligentny, ponoć bajecznie bogaty i słynął z tchórzostwa. Bulpowie od dawna stanowili elitarny klan w Xak Tsaroth – czyli „Th”, jak je nazywali – od czasu, gdy Nulph Bulp w pijanym widzie pewnej nocy wpadł do szybu i odkrył miasto. Wytrzeźwiawszy następnego dnia, zagarnął je dla swego klanu. Bulpowie natychmiast wprowadzili się i w późniejszych latach łaskawie zezwolili też klanom Sludów i Glupów zamieszkać obok siebie. W zrujnowanym mieście żyło się dobrze – przynajmniej według standardów krasnoludów żlebowych. Świat zewnętrzny zostawił ich w spokoju (jako że nikt na zewnątrz nie miał najmniejszego pojęcia o ich istnieniu, a nawet gdyby miał, nikogo by to nie obchodziło). Bulpowie nie mieli trudności z utrzymaniem przewagi nad innymi klanami, głównie dzięki temu, że to pewien Bulp (Glunggu) z żyłką do majsterkowania (niektórzy zazdrośni członkowie klanu Sludów szeptali, że jego matka była gnomką) opracował windę, robiąc użytek z dwóch olbrzymich kotłów, służących poprzednim mieszkańcom miasta do wytapiania smalcu. Winda umożliwiła krasnoludom poszerzenie terenu zbieractwa o dżunglę ponad zapadniętym miastem – co ogromnie podwyższyło ich stopę życiową. Glunggu Bulp stał się bohaterem i jednogłośnie obwołano go Najwyższym Bulpem. Od tej pory przywództwo nad klanami pozostawało w rękach rodziny Bulpów.

Mijały lata i wtem, niespodzianie, wielki świat zainteresował się Xak Tsaroth. Przybycie smoka i smokowców narzuciło żałosne ograniczenia na egzystencję krasnoludów żlebowych. Początkowo smokowcy zamierzali unicestwić małych brudasów, którzy sprawiali tyle kłopotów, lecz krasnoludowie żlebowi – pod przywództwem wielkiego Phudga – tak płaszczyli się, skomleli, łasili się, płakali służalczo i padali na twarz, że smokowcy ulitowali się i po prostu wzięli ich do niewoli.

Tak oto krasnoludowie źlebowi – po raz pierwszy od kilkuset lat, w czasie których mieszkali w Xak Tsaroth – zostali zmuszeni do pracy. Smokowcy naprawili budynki, zaprowadzili wojskowy porządek i, ogólnie rzecz biorąc, uprzykrzyli życie krasnoludom, którzy musieli gotować, sprzątać i naprawiać wszystko.

Nie trzeba mówić, że wielki Phudge nie był zadowolony z takiego stanu rzeczy. Wiele godzin spędził na obmyślaniu sposobów, jakby tu się pozbyć smoka. Oczywiście znał położenie smoczego legowiska, a nawet odkrył tajne przejście prowadzące do niego. Raz nawet zakradł się tam, kiedy smoka nie było. Phudge był oszołomiony niezmierną ilością ładnych kamyków i błyszczących monet zgromadzonych w wielkiej podziemnej komnacie. Wielki Najwyższy Bulp podróżował nieco w czasach swej szalonej młodości i wiedział, że ludzie ze świata zewnętrznego szaleją za tymi pięknymi kamykami i w zamian dadzą mnóstwo kolorowego i jaskrawego materiału (Phudge miał słabość do ładnych ubrań). Najwyższy Bulp narysował od razu mapę, aby nie zapomnieć, jak wrócić po skarb. Miał nawet dość przytomności umysłu, żeby zwinąć kilka mniejszych kamyków.

Phudgowi śniło się to bogactwo później przez wiele miesięcy, lecz nigdy nie znalazł okazji, żeby wrócić. Były po temu dwa powody: po pierwsze, smok nigdy więcej nie opuszczał leża, a po drugie, Phudge ani w ząb nie rozumiał swojej mapy.

Gdyby tylko smok opuścił legowisko na stałe, myślał sobie, albo gdyby przybył jakiś bohater i uczynił mu przysługę, przebijając smoka swoim mieczem! To były najmilsze marzenia Najwyższego Bulpa i tak właśnie wyglądała sytuacja, gdy wielki Phudge usłyszał, jak jego strażnicy ogłaszają, że napadła ich jakaś armia.

I tak oto – kiedy Bupu wreszcie wyciągnęła wielkiego Phudga spod jego łóżka i przekonała go, że nie napadnie na niego armia olbrzymów – Najwyższy Bulp Phudge I zaczął wierzyć, że jego marzenia mogą się spełnić.

– A więc przybyliście tu, żeby zabić smoka – powiedział wielki Najwyższy Bulp, Phudge I, do Tanisa Półelfa.

– Nie – rzekł cierpliwie Tanis – nie po to.

Drużyna znajdowała się na dworze Agharów przed tronem krasnołuda, którego Bupu przedstawiła jako wielkiego Najwyższego Bulpa. Bupu uważnie przyglądała się towarzyszącej, kiedy wchodzili do sali tronowej, niecierpliwie czekając na ich miny wyrażające oszołomienie i podziw. Bupu nie zawiodła się. Wyraz twarzy członków drużyny w momencie wejścia do sali można było opisać jako oszołomienie.

Xak Tsaroth zostało obrabowane z dzieł sztuki przez pierwszych Bulpów, którzy ozdobili nimi salę tronową swego władcy. Wyznając filozofię, że skoro jeden metr

złotogłowiowi jest dobry, jeszcze lepsze jest czterdzieści, i będąc całkowicie pozbawionymi zahamowań spowodowanych dobrym smakiem, krasnoludowie żlebowi zmienili salę tronową Najwyższego Bulpa w arcydzieło pomieszczenia z poplątaniem. Każdy dostępny centymetr ściany pokrywały draperie z ciężkiego, postrzępionego złotogłowiowi. Ogromne gobeliny zwisały z sufitu (niektóre do góry nogami). Na przepięknych bez wątpienia niegdyś gobelinach delikatnie barwione nitki układały się we wzory przedstawiające sceny z życia miasta lub historie i legendy z przeszłości. Jednak krasnoludowie żlebowi, chcąc je ubarwić, pomalowali tkaniny na jaskrawe, gryzące się kolory. Tak więc Sturm poczuł się wstrząśnięty do głębi duszy, widząc jaskrawoczerwonego Humę toczącego bój ze smokiem w fioletowe kropki pod szmaragdowozielonym nieboskłonem.

Salę ozdabiały również pełne wdzięku nagie posągi, stojące we wszystkich niewłaściwych miejscach. Również i je krasnoludowie upiększyli, uważając czystobiałe marmur za mdły i przygnębiający. Pomalowali posągi z takim realizmem i zwróceniem uwagi na szczegóły, że Caramon – spojrzawszy z zażenowaniem na Goldmoon – zaczerwienił się mocno i spuścił oczy.

Prawdę mówiąc, cała drużyna miała trudności z zachowaniem powagi, kiedy wprowadzono ich do tej galerii artystycznej grozy. Jednej osobie całkowicie się nie powiodło: Tasslehoff natychmiast zaczął tak strasznie chichotać, że Tanis zmuszony był odesłać go do poczekalni przed dworem, aby spróbował się opanować. Reszta grupy skłoniła się uroczyście przed wielkim Phudgem – z wyjątkiem Flinta, który stał sztywno, jakby połknął kij. Gładził swój topór bojowy, a na jego starej twarzy nie było ani śladu uśmiechu.

Krasnolud położył dłoń na ramieniu Tanisa, zanim weszli na dwór Najwyższego Bulpa. – Nie daj się zwieść tej błazenadzie, Tanisie – ostrzegł Flint. – Te kreatury potrafią być zdradzieckie.

Kiedy weszli, najwyższy Bulp nieco stracił głowę, szczególnie na widok wysokich wojowników. Raistlin jednak poczynił kilka dobrze dobranych uwag, które znacznie ułagodziły i uspokoiły (choć rozczarowały) Najwyższego Bulpa.

Czarodziej w przerwach między napadami kaszlu wyjaśnił, że nie chcą sprawiać kłopotów, po prostu zamierzają zabrać pewien przedmiot o znaczeniu religijnym ze smoczego łoża i odejść, najlepiej bez zakłócania smokowi spokoju.

To, oczywiście, nie było w zgodzie z planami Phudga. Wobec czego założył, że źle usłyszał. Spowity w krzykliwe szaty krasnolud żlebowy rozparł się na wyszczerbionym, pozłacanym tronie i powtórzył spokojnie: – Wy tutaj. Macie miecze. Zabić smoka.

– Nie – powiedział ponownie Tanis. – Jak już wyjaśnił nasz przyjaciel Raistlin, smok

strzeże przedmiotu, który należy do naszych bogów. Chcemy zabrać ten przedmiot i uciec z miasta, zanim smok uświadomi sobie jego brak.

Najwyższy Bulp zmarszczył czoło. – Skąd mi wiedzieć, że wy nie zabracie całego skarbu, zostawicie Najwyższemu Bulpowi tylko jeden rozgniewany smok? Tam być duży skarb – ładne kamyki.

Raistlin raptownie podniósł głowę z błyskiem w oku. Sturm, nerwowo gładzący rękojeść miecza, spojrzął na czarodzieja z niesmakiem.

– Przyniesiemy ci te ładne kamyki – Tanis zapewnił Najwyższego Bulpa. – Pomóż nam, a dostaniesz cały skarb. My chcemy znaleźć tylko przedmiot należący do naszych bogów.

Najwyższy Bulp już nie miał wątpliwości, że ma do czynienia ze złodziejami i kłamcami, a nie bohaterami, których się spodziewał. Ta grupa najwyraźniej tak samo bała się smoka, jak on sam, i to podsunęło Najwyższemu Bulpowi pomysł. – Czego wy chcecie od Najwyższego Bulpa? – zapytał, starając się ukryć radość i sprawiać wrażenie subtelny.

Tanis westchnął z ulgą. Nareszcie wyglądało, że do czegoś doszli. – Bupu – wskazał na krasnoludkę uczeploną rękawa Raistlina – powiedziała nam, że jesteś jedyną osobą w mieście, która może zaprowadzić nas do smoczego legowiska.

– Zaprowadzić! – Wielki Phudge na moment kompletnie wpadł w panikę i chwycił za fałdy swej szaty. – Nie zaprowadzić! Wielki Najwyższy Bulp nie jest na straty! Lud mnie potrzebuje!

– Nie, nie. Nie miałem na myśli tego, żebyś nas zaprowadził – poprawił się szybko Tanis. – Gdybyś miał mapę, albo mógł wysłać kogoś, kto pokaże nam drogę...

– Mapa! – Phudge wytarł pot z czoła rękawem szaty. – Trzeba tak mówić od razu. Mapa. Tak. Ja posłać po mapę. Tymczasem wy jeść. Goście Najwyższego Bulpa. Straże zaprowadzić do jadalni.

– Nie, dziękuję – rzekł uprzejmie Tanis, nie będąc w stanie spojrzeć na pozostałych. Minęli jadalnię krasnoludów żlebowych w drodze na spotkanie z Najwyższym Bulpem. Sam zapach wystarczył, żeby odebrać apetyt nawet Caramonowi.

– Mamy własne jedzenie – ciągnął Tanis. – Wolelibyśmy mieć trochę czasu dla siebie, aby odpocząć i omówić dalsze plany.

– Oczywiście. – Najwyższy Bulp przesunął się na brzeg swego tronu. Dwaj jego strażnicy podeszli, żeby mu pomóc, ponieważ nie sięgał nogami do posadzki. – Wracać do poczekalni. Siedzieć. Jeść. Rozmawiać. Ja przysłać mapę. Może wy powiedziecie Phudgowi plany?

Tanis spojrział szybko na krasnoluda i zobaczył chytry błysk w zezowatych oczkach Najwyższego Bulpa. Półelfowi zrobiło

się zimno, bowiem nagle uświadomił sobie, że ten krasnolud żlebowy wcale nie jest błaznem. Tanis zaczął żałować, że nie porozmawiał więcej z Flintem. – Nasze plany nie są jeszcze ukształtowane, wasza wysokość – powiedział półelf.

Wielki Najwyższy Bulp wiedział, że to nieprawda. Dawno temu kazał wywiercić otwór w ścianie pomieszczenia zwanego poczekalnią, żeby mógł podsłuchiwać swoich poddanych, którzy oczekiwali na audiencję u niego. Dowiadywał się z wyprzedzeniem, czym zamierzają zaprzętać mu głowę. Stąd wiedział już dość dużo o planach drużyny, toteż więcej nie wracał do sprawy. Użycie określenia „wasza wysokość” mogło mieć coś z tym wspólnego. Najwyższy Bulp nigdy przedtem nie słyszał czegoś równie odpowiedniego.

– Wasza wysokość – powtórzył Phudge, wzdychając z rozkoszy. Stuknął jednego ze strażników w plecy. – Ty pamiętać. Od tej pory mówisz „Wasza Wysokość”.

– Ttak, wwasza, ee... wysokość – wyjąkał krasnolud. Wielki Phudge łaskawie machnął brudną dłonią i towarzysze wyszli, skłoniwszy się najpierw. Najwyższy Bulp, Phudge I, stał przez chwilę obok swego tronu i dopóki goście nie wyszli, uśmiechał się w sposób, który uważał za czarujący. Wtedy jego mina zmieniła się, przechodząc w uśmiech tak przebiegły i przewrotny, że strażnicy zgromadzili się wokół niego, nie mogąc się już doczekać.

– Ty – rzekł do jednego. – Idź do komnat. Przynieś mapę. Daj tym głupcom w pomieszczeniu obok.

Strażnik zasalutował i wybiegł. Drugi strażnik pozostał w pobliżu z otwartymi ustami w pozie oczekiwania. Phudge rozejrzał się dookoła, a potem przyciągnął strażnika jeszcze bliżej, zastanawiając się nad dokładnym sformułowaniem następnego polecenia. Potrzebni mu byli bohaterowie i jeśli musiał stworzyć ich sobie z takich szumowin, jakie mu się nawinęły pod rękę, gotów był to zrobić. Jeśli zginą, niewielka strata. Jeśli uda im się zabić smoka, tym lepiej. Krasnoludowie żlebowi uzyskają to, co – dla nich – było cenniejsze od wszystkich ładnych kamyków na Krynnie: powrót słodkich, niezmaconych czasów wolności! A więc, koniec z tym bzdurnym zakradaniem się po cichu.

Phudge nachylił się i szepnął swemu strażnikowi do ucha. – Ty pójść do smoczycy. Ty przekazać jej najlepsze pozdrowienia od jego wysokości, Najwyższego Bulpa, Phudga I, i powiedzieć jej...

Rozdział XX

Mapa Najwyższego Bulpa. Księga z zaklęciami Fistantilusa

Nie ufam temu małemu łajdakowi bardziej, niż mogę znieść jego smród – warknął Caramon.

– Zgadzam się – rzekł cicho Tanis. – Ale jaki mamy wybór? Zgodziliśmy się przynieść mu skarb. Ma wszystko do stracenia i nic do zyskania, jeśli nas zdradzi.

Siedzieli na podłodze poczekalni, brudnego przedsionka przed salą tronową. Dekoracje w tym pomieszczeniu były równie wulgarne, co we dworze. Przyjaciele byli zdenerwowani i spięci, mówili mało i niechętnie jedli.

Raistlin w ogóle nie chciał jeść. Skulony na posadzce z dala od pozostałych, przygotował i wypił dziwną miksturę ziołową, która łagodziła jego kaszel. Potem owinął się w swe szaty, zamknął oczy i wyciągnął się na podłodze. Bupu siedziała skulona obok niego, żując coś, co wyciągnęła z torby. Caramon, który podszedł, żeby sprawdzić, jak czuje się brat, z przerażeniem zobaczył ogon znikający z młaśnięciem w jej ustach.

Riverwind siedział sam na uboczu. Nie brał udziału w prowadzonej przyciszonymi głosami ponownej dyskusji nad planem. Mieszkaniec równin posepnie wbijał wzrok w podłogę. Kiedy poczuł, że ktoś lekko dotknął jego ramienia, nawet nie uniósł głowy. Goldmoon z pobladłą twarzą uklękła obok niego. Próbowwała coś powiedzieć, zamilkła, a potem kaszlnęła.

– Musimy porozmawiać – rzekła zdecydowanym tonem w ich języku.

– Czy to rozkaz? – zapytał z goryczą.

Kobieta przełknęła ślinę. – Tak – odrzekła ledwo słyszalnym głosem.

Riverwind wstał i podszedł do gobelinu w krzykliwych kolorach. Nie spojrzął na Goldmoon ani nawet nie odezwał się do niej. Ściągnięte rysy jego twarzy przypominały surową maskę, lecz pod spodem Goldmoon wyczuwała dotkliwy ból raniący jego duszę. Łagodnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Wybacz mi – powiedziała cicho.

Riverwind popatrzył na nią ze zdumieniem. Stała przed nim ze spuszczoną głową, z nieomal dziecinnym wyrazem zawstydenia na twarzy. Wyciągnął dłoń, by pogłodzić srebrnozłote włosy tej, którą kochał bardziej niż samo życie. Poczuł, że Goldmoon zadrżała od jego dotyku i serce zabolalo go z miłości. Przesunawszy dłoń z jej głowy na szyję, bardzo czule i delikatnie przytulił ukochaną do piersi, a potem nagle mocno wziął ją w objęcia.

– Nigdy przedtem nie słyszałem, abyś mówiła te słowa – powiedział, uśmiechając się do siebie, wiedząc, że nie mogła go zobaczyć.

– Nigdy ich nie mówiłam – załkała, przyciskając policzek do jego skórzanej koszuli. – Och, mój najdroższy, słowa nie oddadzą tego, jak jest mi przykro, że wróciłeś do córki wodza, a nie Goldmoon. Lecz tak się bałam...

– Nie – szepnął. – To ja powinienem prosić o wybaczenie. – Podniósł dłoń, by wytrzeć jej łzy. – Nie zdawałem sobie sprawy, przez co przesłaś. Myślałem tylko o sobie i o niebezpieczeństwach, jakich ja doświadczyłem. Szkoda, że nie powiedziałaś mi o tym, najmiłsza memu sercu.

– Szkoda, że nie zapytałeś – odparła, spoglądając na niego z przejęciem. – Od tak dawna jestem córką wodza, że tylko nią potrafię być. To moja siła. Daje mi odwagę, kiedy jestem przerażona. Nie sądzę, abym potrafiła przestać.

– Nie chcę, żebyś przestawała. – Uśmiechnął się do niej, odgarniając niepokorne pasemka włosów z jej twarzy. – Zakochałem się w córce wodza, kiedy po raz pierwszy cię ujrzałem. Pamiętasz? Na igrzyskach zorganizowanych na twoją cześć.

– Nie chciałeś się skłonić przede mną, żeby otrzymać błogosławieństwo – powiedziała. – Uznawałeś władzę mojego ojca, lecz zaprzeczałeś, że jestem boginią. Powiedziałaś, że ludzie nie mogą czynić bogów z innych ludzi. – Jej oczy spoglądały tak wiele lat wstecz. – Jakże wysoki, dumny i przystojny wtedy byłeś, mówiąc o prastarych bogach, którzy wtedy dla mnie nie istnieli.

– I jaka wściekła wtedy byłaś – przypomniał – i jaka piękna! Sama twoja uroda była dla mnie błogosławieństwem. Nie potrzebowałem innego. Chciałaś wtedy, żeby wykluczono mnie z igrzysk.

Goldmoon uśmiechnęła się smutno. – Sądziłeś, że gniewałam się, ponieważ zawstydziłeś mnie przed ludźmi, lecz nie to było przyczyną.

– Nie? A więc, co to było, córko wodza?

Zarumieniła się na kolor ciemnej róży, lecz podniosła przejrzyste, błękitne oczy i spojrzała wprost na niego. – Rozgniewałam się, ponieważ kiedy ujrzałam cię stojącego i odmawiającego ukłęknięcia przede mną, wiedziałam, że utraciłam część siebie samej, i że dopóki nie przyjmiesz jej, nie będę już nigdy sobą.

W odpowiedzi mieszkaniec równin przycisnął ją do siebie, łagodnie całując jej włosy.

– Riverwindzie – rzekła, przełykając łzy. – Córka wodza wciąż tu jest. Nie sądzę, aby kiedykolwiek mogła odejść. Lecz musisz wiedzieć, że w głębi jest Goldmoon, i jeśli ta podróż skończy się kiedyś i zaznamy spokoju, wtedy Goldmoon będzie twoja na zawsze i przepędzimy córkę wodza na cztery wiatry.

Łomot przy drzwiach Najwyższego Bulpa sprawił, że wszyscy drgnęli nerwowo. Do

sali wpadł krasnolud źlebowy, zataczając się przy tym. – Mapa – powiedział, podtykając Tanisowi zgnieciony kawałek papieru.

– Dziękuję – rzekł półelf z powagą. – Przekaż, proszę, nasze podziękowania Najwyższemu Bulpowi.

– Jego Wysokości, Najwyższemu Bulpowi – poprawił strażnik, spoglądając z obawą na ścianę zasłoniętą gobelinem. Kołysząc się niezgrabnie, wycofał się do komnat Najwyższego Bulpa.

Tanis rozprostował mapę. Wszyscy zgromadzili się wokół niej, nawet Flint. Jednak rzuciwszy na nią okiem, krasnolud parsknął ze wzgardą i wrócił na swoją kanapę.

Tanis zaśmiał się gorzko. – Mogliśmy się tego spodziewać. Ciekawe, czy wielki Phudge pamięta, gdzie jest ta „wielka, tajna sala”?

– Oczywiście, że nie. – Raistlin usiadł, otwierając dziwne, złote oczy i spoglądając na nich spod półprzymkniętych powiek. – Dlatego nigdy nie wrócił po skarb. Niemniej jednak jest wśród nas ktoś, kto wie, gdzie znajduje się smoczy skarb. – Wszyscy poszli za spojrzeniem maga.

Bupu popatrzyła na nich niechętnie i wyzywająco. – Ty mieć racja. Ja wiem – powiedziała nadąsana. – Ja znam tajne miejsce. Ja chodzić tam, znajdować ładne kamyki. Ale nie mówić Najwyższemu Bulpowi!

– Czy nam powiesz? – zapytał Tanis. Bupu obejrzała się na Raistlina. Pokiwał głową.

– Ja powiem – wymamrotała. – Dać mapa. Raistlin, widząc, że inni pochłonięci są studiowaniem mapy, wezwał gestem brata.

– Czy plan jest wciąż ten sam? – szepnął czarodziej.

– Tak – Caramon zmarszczył brwi. – I mi się to nie podoba. Powinienem pójść z tobą.

– Nonsens – zasyczał Raistlin. – Przeszkadzałbyś mi tylko! – Potem dodał nieco serdeczniej: – Nic mi nie będzie groziło, zapewniam cię. – Położył dłoń na ramieniu bliźniaczego brata i przyciągnął go bliżej. – Poza tym – czarodziej rozejrzał się – musisz coś dla mnie zrobić, mój bracie. Musisz mi coś przynieść ze smoczego leża.

Dłoń Raistlina była nadzwyczaj gorąca, a jego oczy płonęły. Zaniepokojony Caramon chciał się cofnąć, dojrawszy w oczach brata coś, czego nie widział od czasów Wież Wielkiej Magii, lecz Raistlin przytrzymał go.

– Co to jest? – zapytał niechętnie Caramon.

– Księga z zaklęciami! – szepnął Raistlin.

– Dlatego chciałeś przybyć do Xak Tsaroth! – powiedział Caramon. – Wiedziateś, że tam będzie księga.

– Czytałem o niej dawno temu. Wiedziałem, że znajdowała się w Xak Tsaroth przed kataklizmem, wszyscy w naszym zakonie wiedzieli o tym, lecz zakładaliśmy, że uległa zniszczeniu wraz z całym miastem. Kiedy dowiedziałem się, że Xak Tsaroth uniknęło zagłady, uświadomiłem sobie, że istnieje szansa, iż księga przetrwała!

– Skąd wiesz, że jest w smoczym leżu?

– Nie wiem. Po prostu tak przypuszczam. Dla czarodziejów księga ta jest największym skarbem w Xak Tsaroth. Możesz być pewien, że jeśli smoczyca znalazła ją, używa jej!

– I chcesz, żebym ci ją przyniósł – rzekł powoli Caramon. – Jak ona wygląda?

– Jak moja księga zaklęć, oczywiście, tyle że biały jak kość pergamin jest oprawiony w skórę niebieską jak nocne niebo, ze srebrnymi runami wyciśniętymi na okładce. W dotyku będzie śmiertelnie zimna.

– Co mówią te runy?

– Lepiej nie pytaj... – szepnął Raistlin.

– Czyja to księga? – zapytał podejrzliwie Caramon.

Raistlin zamilkł, a w jego złotych oczach była pustka, jakby szukał czegoś w swym wnętrzu, próbował przypomnieć sobie coś zapomnianego. – Nigdy o nim nie słyszałeś, mój bracie – powiedział wreszcie szeptem, który zmusił Caramona do nachylenia się bliżej. – A jednak zaliczał się on do największych spośród mego zakonu. Jego imię brzmiało Fistandantilus.

– Z twego opisu księgi... – Caramon zawahał się, obawiając się tego, co Raistlin odpowie. Przełknął ślinę i zaczął raz jeszcze. – Ten Fistandantilus – czy on przypadkiem nie nosił czarnych szat? – Nie potrafił spojrzeć w przeszywające go oczy brata.

– Nie pytaj mnie więcej! – syknął Raistlin. – Nie jesteś lepszy od nich! Jak ktokolwiek z was może mnie zrozumieć! – Widząc wyraz udręki na twarzy swego brata bliźniaka, mag westchnął. – Zaufaj mi, Caramonie. To nie jest szczególnie potężna księga czarów, prawdę mówiąc, to jedna z pierwszych ksiąg tego czarodzieja. Miał ją, kiedy był bardzo młody, doprawdy bardzo młody – szepnął Raistlin, wpatrując się w dal. Potem mrugnął oczami i rzekł bardziej stanowczo: – Leczą dla mnie i tak będzie bardzo cenna. Musisz ją zdobyć! Musisz... – Zaczął kaszleć.

– Jasne, Raist – obiecał Caramon, uspokajając brata. – Nie denerwuj się tak. Znajdę ją.

– Dobry Caramon. Wspaniały Caramon – szepnął Raistlin, kiedy już odzyskał mowę. Znów wsunął się w kąt i zamknął oczy. – Teraz daj mi odpocząć. Muszę być przygotowany.

Caramon wstał, spoglądał na brata przez chwilę, a potem odwrócił się i nieomal

przewrócił Bupu, która stała za nim, przyglądając mu się podejrzliwie szeroko otwartymi oczami.

– O co tam chodziło? – zapytał szorstko Sturm, gdy Caramon wrócił do grupy.

– Och, nic wielkiego – wymamrotał ogromny mężczyzna, czerwieniąc się jak winowajca.

Sturm posłał zaniepokojone spojrzenie Tanisowi.

– Co tam, Caramonie? – zapytał Tanis, chowając zwiniętą mapę za pasek i odwracając się do wojownika. – Coś się stało?

– N-nie... – wyjąkał Caramon. – Nic takiego. Próbowałem – eee – namówić Raistlina, żeby pozwolił mi iść z nim. Powiedział, że tylko przeszkadzałbym mu.

Tanis przyjrzał się uważnie Caramonowi. Wiedział, że wielki mężczyzna mówi prawdę, ale jednocześnie wiedział, że wojownik nie powiedział całej prawdy. Caramon z radością przelałby ostatnią kroplę krwi za każdego członka drużyny, lecz Tanis podejrzewał, że zdradziłby ich wszystkich na polecenie Raistlina.

Olbrzym popatrzył na Tanisa, w milczeniu błagając go, by nie zadawał więcej pytań.

– Wiesz, że on ma rację, Caramonie – powiedział wreszcie Tanis, klepiąc zwałistego wojownika po ramieniu. – Raistlinowi nic nie grozi. Bupu będzie z nim. Przyprowdzi go tu z powrotem, żeby się ukrył. Jego zadaniem będzie tylko wyczarować fajerwerki, żeby odwrócić uwagę smoka od legowiska. Kiedy smok tam dotrze, jego dawno już nie będzie.

– Jasne, wiem o tym – powiedział Caramon z wymuszonym śmiechem. – Poza tym, jestem potrzebny wam.

– Tak, to prawda – rzekł z powagą Tanis. – Czy teraz wszyscy są gotowi?

Wszyscy wstali w ponurym milczeniu. Raistlin podniósł się i wystąpił naprzód z kapturem nasuniętym na twarz i dłońmi ukrytymi w rękawach. Czarodzieja otaczała jakaś atmosfera, nieuchwytna, a jednak budząca lęk – atmosfera mocy zaczerpniętej z wnętrza i tam zrodzonej. Tanis zakasłał.

– Będziemy liczyć do pięciuset – powiedział Tanis do Raistlina. – Potem ruszymy. „Tajne miejsce” zaznaczone na mapie to, według twojej małej przyjaciółki, kłapa w podłodze w jednym z pobliskich budynków. Droga stamtąd prowadzi pod

miastem do tunelu, który kończy się pod smoczym leżem, w pobliżu miejsca, gdzie widzieliśmy go dzisiaj. Zrobisz zamieszanie na placu, a potem wrócisz tutaj. Spotkamy się tutaj, oddamy Najwyższemu Bulpowi skarb i przeczekamy po cichu do nocy. Uciekniemy po zapadnięciu zmroku.

– Rozumiem – rzekł spokojnie Raistlin.

Też bym chciał, pomyślał gorzko Tanis. Chciałbym zrozumieć, co się dzieje w twoim umyśle, czarodzieju. Lecz półelf nic nie powiedział.

– My iść teraz? – zapytała Bupu, spoglądając z niepokojem na Tanisa.

– Idziemy teraz – powiedział Tanis.

Raistlin wysunął się z ciemnego zaułka i szybko przemknął ulicą idącą na południe. Nie dostrzegł oznak życia. Odnosiło się wrażenie, jakby wszystkich krasnoludów żlebowych pochłoneła mgła. Zaniepokojony tą myślą, nie wychylał się z cienia. Wątki czarodziej potrafił chodzić po cichu, jeśli istniała taka potrzeba. Miał tylko nadzieję, że uda mu się opanować kaszel. Ból i duszność w piersi ustępowały po wypiciu ziołowej mikstury, której przepis dał mu Par-Salian – było to coś w rodzaju zadośćuczynienia wielkiego czarodzieja za wstrząs, jaki przeżył młody mag. Efekt mikstury jednakże wkrótce mijał.

Bupu wyrzała zza szat czarodzieja i mrużąc paciorkowate, czarne ślepka, rozejrzała się po ulicy idącej na wschód do Wielkiego Placu. – Nie ma nikogo – powiedziała i szarpnęła maga za poję. – My iść teraz.

Nikogo – pomyślał Raistlin z obawą. To nie miało sensu. Gdzie są tłumy krasnoludów? Miał uczucie, że stało się coś złego, lecz nie było już czasu, by zawracać – Tanis i pozostali byli w drodze do tajnego tunelu. Czarodziej uśmiechnął się gorzko. Cóż za bezsensownym zadaniem stawiała się ta wyprawa. Prawdopodobnie wszyscy zginą w tym nieszczęsnym mieście.

Bupu znów pociągnęła go za szatę. Wzruszywszy ramionami, narzucił na głowę kaptur i razem z krasnoludka znikli w zamglonej ulicy.

Dwie opancerzone postaci wychynęły z ciemnej bramy i zaczęły się szybko skradać za Raistlinem i Bupu.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział cicho Tanis. Otwierając zmurszałe drzwi, zajrzał do środka. – Ciemno tam. Będzie nam potrzebne światło.

Rozległ się stuk krzesiwa o metal, a potem rozbłysło światełko, gdy Caramon zapalił jedną z pochodni, jakie pożyczili od Najwyższego Bulpa. Wojownik podał jedną Tanisowi, a potem zapalił następną dla siebie i Riverwinda. Tanis wszedł do budynku i natychmiast poczuł, że stoi po kostki w wodzie. Trzymając pochodnię wysoko, dostrzegł, że po ścianach ponurego pomieszczenia ściekają strugi wody, która wirowała pośrodku podłogi, a potem wypływała przez szczeliny wokół krawędzi. Tanis dotarł z pluskiem na środek i przysunął pochodnię blisko do powierzchni wody.

– Tu jest. Już widzę – powiedział, gdy pozostali weszli do wnętrza. Wskazał na klapę w podłodze. Pośrodku znajdował się ledwo widoczny żelazny pierścień.

– Caramonie? – Tanis cofnął się.

– Też mi coś – parsknął Flint. – Jeśli krasnolud źlebowy może to otworzyć, ja też mogę. Odsuńcie się. – Krasnolud łokciami odepchnął wszystkich na bok, zanurzył rękę w wodzie i pociągnął. Przez moment panowała cisza. Flint sapnął i zaczerwienił się. Przerwał, wyprostował się z westchnieniem, a następnie znów się schylił i spróbował jeszcze raz. Nawet nie zaskrzypiało. Kłapa była wciąż zamknięta.

Tanis położył dłoń na ramieniu krasnoluda. – Flincie, Bupu mówi, że schodzi tam tylko w czasie pory suchej. Próbujesz podnieść połowę Nowego Morza wraz z tą kłapą.

– Cóż – wysapał krasnolud – dlaczego nie powiedziałeś tak od razu? Niech teraz ten wielki wół spróbuje szczęścia.

Caramon wystąpił naprzód. Włożył ręce do wody i pociągnął. Muskuly na jego ramionach napięły się, a na karku wystąpiły żyły. Rozległo się cmoknięcie, a potem zassana kłapa puściła tak gwałtownie, że wielki mężczyzna omal nie przewrócił się do tyłu. Gdy Caramon całkiem otworzył drewniane drzwi, cała woda z pomieszczenia spłynęła na dół. Tanis poświecił pochodnią, żeby zobaczyć, co jest na dole. W podłodze ział otwór szerokiego na metr dwadzieścia, kwadratowego szybu, w głąb którego prowadziła wąska, żelazna drabinka.

– Do ilu doliczyłeś? – spytał Tanis, czując suchość w gardle.

– Czteryście trzy – odrzekł głęboki głos Sturm. – Czteryście cztery.

Drużyna stała wokół klapy, dygocząc na chłodzie i nie słysząc niczego, poza pluskiem wody spływającej do szybu.

– Czteryście pięćdziesiąt jeden – zauważył spokojnie rycerz.

Tanis podrapał się po brodzie. Caramon zakaszłał dwukrotnie, jakby przypominając im o nieobecnym bracie. Flint kręcił się i upuścił topór do wody. Tas w roztargnieniu przygryzał koniec swojej kity, a Goldmoon, blada lecz opanowana, przysunęła się bliżej Riverwinda, ściskając w dłoni burobrazową laskę. Mężczyzna objął ją ramieniem. Najgorsze było czekanie.

– Pięćset – powiedział wreszcie Sturm.

– Najwyższy czas! – Tasslehoff wskoczył na drabinę. Tanis poszedł następny, trzymając pochodnię tak, by oświetlić drogę Goldmoon, która stała za nim. Pozostali poszli w ich ślady, powoli schodząc studzienką do systemu kanałów ściekowych pod miastem. Studzienka prowadziła około sześciu metrów prosto w dół, a następnie dochodziła do szerokiego na półtora metra tunelu biegnącego na północ i południe.

– Sprawdź głębokość wody – Tanis ostrzegł kendera, gdy Tas chciał zejść z drabinki.

Uczepiony jedną ręką ostatniego szczebla, kender zanurzył swój hoopak w ciemnej, spienionej wodzie poniżej. Kij zagłębił się mniej więcej do połowy.

– Jakież pół metra – oświadczył wesoło Tas. Wskoczył z pluskiem do wody, która sięgnęła mu do ud. Popatrzył w górę pytająco na Tanisa.

– Tędy – wskazał Tanis. – Na południe. Trzymając laskę w powietrzu, Tasslehoff pozwolił unieść się prądowi.

– Co z tą akcją dywersyjną? – zapytał Sturm, a jego głos zadudnił echem.

Tanis sam się nad tym zastanawiał. – I tak pewnie niczego nie usłyszelibyśmy w podziemiach. – Miał nadzieję, że to prawda.

– Raist poradzi sobie. Nie martwcie się – powiedział stanowczo Caramon.

– Tanisie! – Tasslehoff wpadł na półelfa. – Tam coś jest! Czuję, jak przepływa koło moich nóg.

– Idź dalej – mruknął Tanis – i miej nadzieję, że to coś nie jest głodne...

Szli dalej w milczeniu, a światło pochodni migoczące na ścianach podsuwało wyobraźni nie istniejące obrazy. Niejeden raz Tanis widział, jak coś już wyciąga po niego ręce, zanim zdał sobie sprawę, że to cień rzucony przez hełm Caramona albo hoopak Tasa.

Tunel prowadził prosto na południe przez jakieś sześćdziesiąt metrów, a następnie skręcał na wschód. Drużyna zatrzymała się. We wschodniej odnodze kanału przeświecała kolumna słabego światła przedostająca się z góry. Zgodnie z tym, co mówiła Bupu, tu było leże smoka.

– Zgaście pochodnie! – syknął Tanis, zanurzając swoją w wodzie. Dotykając oślizłej ściany, Tanis poszedł za kenderem w głąb tunelu. Swym elfim wzrokiem wyraźnie dostrzegał czerwony zarys Tasa. Słyszał, jak za jego plecami Flint uskarża się na wpływ wody na swój reumatyzm.

– Cicho – szepnął Tanis, kiedy zbliżyli się do światła. Usiłując zachować ciszę pomimo brzęku zbroi, wkrótce stanęli przed wątą drabinką, która wiodła do żelaznej kraty.

– Nikt nie zadaje sobie trudu zamykania na kłódkę krat w podłodze. – Tas przyciągnął Tanisa bliżej, żeby szepnąć mu do ucha. – Ale jestem pewien, że poradzę sobie z otwarciem tej, gdyby była zamknięta.

Tanis pokiwał głową. Nie dodał, że Bupu również potrafi ją otwierać. Sztuka otwierania zamków wytrychem była w równym stopniu kwestią dumy dla kendera, co wąsy rycerza dla

Sturma. Stojąc po kolana w wodzie, przyglądali się, jak Tas wspina się po drabinie.

– Nadal nic nie słyszę na zewnątrz – mruknął Sturm.

– Cisza! – warknął opryskliwie Caramon.

Przy kracie był zamek prostego typu, który Tas otworzył w ciągu kilku chwil. Następnie po cichu uniósł kratę i wyjrzał na zewnątrz. Niespodziewanie spadła na niego ciemność, tak gęsta i nieprzenikniona, że wydało mu się, iż uderzyła go jak ołowiany odważnik. Prawie spadł z drabiny. Pośpiesznie spuścił kratę na miejsce, nie czyniąc najmniejszego hałasu, po czym zsunął się na dół, wpadając na Tanisa.

– Tas? – Półelf złapał go. – Czy to ty? Nic nie widzę. Co się dzieje?

– Nie wiem. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno.

– Co masz na myśli mówiąc, że nic nie widzisz? – szepnął do Tanisa Sturm. – A twój elfi talent?

– Znikł – odparł ponuro Tanis – zupełnie jak w Mrocznej Puszczy – i przy studni...

Stali zbici w grupkę w tunelu, nic nie mówiąc. Słyszeć było tylko odgłos ich własnych oddechów i plusk wody spływającej po ścianach.

Na górze był smok – i czekał na nich.

Rozdział XXI

Ofiara. Dwukrotnie umarłe miasto

Tanisa oślepiła czarna rozpacz, mroczniejsza od ciemności. To był mój plan, tylko w ten sposób mieliśmy szansę ująć z życiem, pomyślał. To był dobry plan – powinno było się udać! Co zawiodło? Raistlin – czyżby nas zdradził? Nie! Tanis zacisnął pięść. Nie, do diabła. Prawda, czarodziej trzymał się na uboczu, był niesympatyczny i nieprzenikniony, lecz był im wierny. Tanis mógł przysiąc. Więc gdzie był Raistlin? Może nie żył. To już nieważne. Wszyscy wkrótce zginą.

– Tanisie – półelf poczuł, że czyjaś mocna dłoń chwyta go za ramię, i rozpoznał głęboki głos Sturm – wiem, o czym myślisz. Nie mamy wyboru. Czas upływa. To nasza jedyna szansa odzyskania dysków. Nie będzie już następnej.

– Pójdę się rozejrzeć – rzekł Tanis. Wspiął się na górę, wymijając kendera, i zajrzał przez kratę. Panowała tam ciemność, magiczna ciemność. Tanis wsparł głowę na rękach i starał się pomyśleć. Sturm miał rację: czas upływa. Jak mógł jednak zaufać jego osądowi! Sturm chciał walczyć ze smokiem! Tanis zsunął się po drabinie. – Idziemy – powiedział. Nagle zapragnął tylko mieć to już za sobą, żeby potem mogli wrócić do domu. Do Solace. – Nie, Tas. – Złapał kendera i ściągnął go z drabiny. – Pierwsi idą wojownicy, Sturm i Caramon. Potem reszta.

Lecz rycerz już wymijał go zapalczywie, pobrzękując mieczem, który uderzał o jego udo.

– My zawsze jesteśmy na końcu! – poskarżył się Tas, popychając przed sobą krasnoluda. Flint wspinał się powoli i słychać było, jak mu chrupie w stawach. – Pośpieszcie się!

– powiedział Tas. – Mam nadzieję, że nic się nie wydarzy, zanim nie dostaniemy się na górę. Jeszcze nigdy nie rozmawiałem ze smokiem.

– Założę się, że smok również nigdy nie rozmawiał z kenderem! – parsknął krasnolud. – Zdajesz sobie chyba sprawę, głąbie jeden, że najprawdopodobniej wszyscy zginjemy. Tanis wie o tym, poznałem to po jego głosie.

Tas zatrzymał się na szczeblu, podczas gdy Sturm powoli podnosił kratę. – Wiesz, Flincie – stwierdził poważnie kender – mój lud nie obawia się śmierci. W pewien sposób nawet oczekujemy na nią z niecierpliwością – jako na ostatnią, wielką przygodę. Sądzę jednak, że czułbym się nieswojo, mając porzucić to życie. Brakowałyby mi moich rzeczy – poklepał swoje sakwy – i moich map, i ciebie, i Tanisa. Chyba że po śmierci wszyscy trafimy

do tego samego miejsca – dodał radośnie. Flint nagle wyobraził sobie, jak beztroski kender leży zimny i martwy. Poczł bolesne ściskanie w piersi i rad był, że skrywa go mrok. Chrząknąwszy, powiedział zachrypniętym głosem: – Jeśli wydaje ci się, że będę dzielił życie pozagrobowe z bandą kenderów, to jesteś bardziej stuknięty niż Raistlin! Chodź już! Sturm ostrożnie podniósł kratę i odsunął ją na bok. Zaciśnął zęby słysząc, jak zazgrzytała o podłogę. Z łatwością podciągnął się na górę. Odwrócił się i nachylił, by pomóc Caramonowi, który miał kłopoty z przecięciem przez szyb swej tuszy i pobrzękującego arsenału.

– W imię Istar, bądź cicho! – zasyczał Sturm.

– Próbuję – mruknął Caramon, wygramoliwszy się wreszcie. Sturm podał rękę Goldmoon. Ostatni wszedł Tas, zadowolony, że nikt w czasie jego nieobecności nie zrobił niczego niezwykłego.

– Musimy mieć światło – rzekł Sturm.

– Światło? – odparł głos tak zimny i ciemny, jak zimowa noc. – Tak, zapalmy światło.

Ciemność natychmiast ustąpiła. Drużyna zobaczyła, że znajduje się w wielkiej komnacie, której kopulaste sklepienie wznosi się dziesiątki metrów nad ich głowami. Przez szczelinę w suficie sączyło się szare, zimne światło, które padało na ogromny ołtarz pośrodku okrągłego pomieszczenia. Podłoga wokół ołtarza była zaścielona masą klejnotów, monet i innych skarbów martwego miasta. Klejnoty nie świeciły. Złoto nie błyszczało. Nikły blask nie oświetlał niczego – z wyjątkiem czarnego smoka przyczajonego na piedestale niczym ogromna, drapieżna bestia.

– Czujecie się zdradzeni? – zapytała smoczyca uprzejmym tonem.

– Czarodziej nas zdradził! Gdzie on jest? Jest na twoich usługach? – krzyknął gwałtownie Sturm, wyciągając miecz i posuwając się krok naprzód.

– Odsuń się, podły rycerzu solamnijski. Odsuń się, albo wasz czarodziej już nigdy nie użyje swych czarów! – Smoczyca spuściła łeb węzowym ruchem i spojrzała na nich świecącymi, czerwonymi oczami. Potem, powoli i delikatnie, podniosła szponiastą łapę. Pod nią na ołtarzu leżał Raistlin.

– Raist! – ryknął Caramon i rzucił się w jego stronę.

– Stój, głupcze! – zasyczała smoczyca. Jednym ostrym szponem dotknęła lekko brzucha czarodzieja. Z wielkim wysiłkiem Raistlin poruszył głowę, żeby spojrzeć na brata dziwnymi, złotymi oczami. Wykonał nieznaczny gest i Caramon zatrzymał się. Tanis dostrzegł, że coś rusza się na podłodze pod ołtarzem. To była Bupu, która kulila się wśród skarbów, zbyt wystraszona, by nawet pisnąć. Laska Magiusa spoczywała obok niej.

– Podejdź jeszcze krok, a przebiję szponem tego wyschniętego człowieka.

Twarz Caramona nabrała brzydkiego odcienia głębokiej czerwieni. – Puść go! – wykrzyknął. – Walcz ze mną.

– Nie będę walczyć z żadnym z was – powiedziała smoczyca, leniwie poruszając skrzydłami. Raistlin skrzywił się, gdy smoczyca przesunęła łapę, wbijając lekko szpony w jego ciało, jakby bawiąc się z nim. Metaliczna skóra maga błyszczała od potu. Z trudem zaczerpnął głęboko tchu. – Nie śmieję nawet drgnąć, czarodzieju – rzekła urągliwie smoczyca. – Mówimy tym samym językiem, pamiętasz? Jedno słowo zaklęcia, a ścierwa twoich przyjaciół rzucę na pożarcie krasnoludom żlebowym!

Raistlin zamknął oczy, jakby z wyczerpania. Tanis dostrzegł jednak, że czarodziej zaciska i otwiera dłonie, i wiedział, że Raistlin przygotowuje ostatnie zaklęcie. Będzie to ostatni czar w jego życiu – zanim skończy go rzucać, smoczyca zabije go. Może jednak dać Riverwindowi szansę zdobycia dysków i ujęcia z życiem wraz z Goldmoon. Tanis przysunął się bliżej - do mieszkańców równin.

– Jak już mówiłam – ciągnęła uprzejmie smoczyca – nie zamierzam walczyć z żadnym z was. Nie wyobrażam sobie, jak do tej pory udało wam się ujść przed moim gniewem. Cóż, już tu jesteście. I zwracacie mi to, co mi ukradziono. Tak, pani z Que-Shu, wiem, że trzymasz laskę z błękitnego kryształu. Przynieś mi ją.

Tanis syknął krótko do Goldmoon. – Graj na zwłokę! – Jednakże, spojrzawszy na jej chłodną twarz, jakby wykutą

z marmuru, nie był pewien, czy go usłyszała, czy nawet usłyszała smoka. Zdawała się słuchać innych słów, innych głosów.

– Bądź mi posłuszna – smoczyca groźnie spuściła głowę. – Bądź mi posłuszna, bo czarodziej zginie. A po nim – rycerz. Potem półelf. I tak dalej, jeden po drugim, aż ty, pani z Que-Shu, zostaniesz przy życiu ostatnia. Wtedy przyniesiesz mi laskę i będziesz błagać mnie o litość.

Goldmoon spuściła głowę w geście poddania się. Łagodnie odpychając dłonią Riverwinda, odwróciła się do Tanisa i objęła go czule. – Żegnaj, przyjacielu – powiedziała głośno, przyciskając swój policzek do jego. Jej głos przeszedł w szept. – Wiem, co muszę zrobić. Mam zamiar zanieść laskę smoczycy i...

– Nie! – powiedział zdecydowanie Tanis. – To niczego nie zmieni. Smok i tak ma zamiar nas zabić.

– Posłuchaj mnie! – Goldmoon wbiła paznokcie w ramię Tanisa. – Zostań z Riverwindem. Nie pozwól, żeby próbował mnie zatrzymać.

– A gdybym ja próbował cię zatrzymać? – zapytał łagodnie Tanis, mocno trzymając

Goldmoon w swych ramionach.

– Nie zrobisz tego – rzekła ze słodkim, smutnym uśmiechem. – Wiesz, że każde z nas musi spełnić swe przeznaczenie – jak powiedziała Pani Lasu. Riverwind będzie cię potrzebował. Żegnaj, mój przyjacielu.

Goldmoon cofnęła się nieco i skierowała spojrzenie przejrzystych, błękitnych oczu na Riverwinda, jakby chciała utrwalić w pamięci każdy szczegół, by zachować go przy sobie przez wieczność. Uświadomiwszy sobie, że to jej pożegnanie, mężczyzna chciał podejść do niej.

– Riverwindzie – powiedział cicho Tanis. – Zaufaj jej. Ona ufała ci przez wszystkie te lata. Czekala, gdy ty toczyłeś boje. Teraz ty musisz poczekać. To jej bitwa.

Riverwind zadrzał, a potem znieruchomiał. Tanis widział, jak zaciska szczęki, i jak nabrzmiewają mu żyły na karku. Półelf chwycił mieszkańca równin za ramię. Wysoki mężczyzna nawet nie spojrzał na niego. Patrzył na Goldmoon.

– Cóż to za zwłoka? – spytała smoczyca. – Zaczyna mi się nudzić. Podejdź!

Goldmoon odwróciła się od Riverwinda. Minęła Flinta i Tasslehoffa. Krasnolud spuścił głowę. Tas z niezwykłą powagą przyglądał się jej szeroko rozwartymi oczami. Mimo wszystko nie było to tak ekscytujące, jak się spodziewał. Po raz pierwszy w życiu kender poczuł się mały, bezbronny i samotny. Było to okropne, niemiłe uczucie i podejrzewał, że śmierć byłaby już lepsza.

Goldmoon zatrzymała się przy Caramonie i położyła dłoń na jego ramieniu. – Nie martw się – powiedziała do ogromnego wojownika, który przyglądał się bratu w udreće – nic mu się nie stanie. – Caramon zdusił szloch i pokiwał głową. Potem Goldmoon podeszła do Sturmia. Niespodziewanie osunęła się bezwładnie, jakby strach przed smokiem okazał się zbyt przytłaczający. Rycerz pochwycił ją i podtrzymał.

– Chodź ze mną, Sturmie – szepnęła Goldmoon, gdy otoczył ją ramieniem. – Musisz przysiąc, że postąpisz tak, jak ci rozkażę, niezależnie od tego, co się będzie działo. Przysięgnij na swój honor rycerza solamnijskiego.

Sturm wahał się. Goldmoon spojrzała mu w oczy. Jej spojrzenie było spokojne i jasne. – Przysięgnij – zażądała – bo inaczej pójdę sama.

– Przysięgam, o pani – rzekł rycerz z szacunkiem. – Będę posłuszny.

Goldmoon westchnęła z ulgą. – Chodź ze mną. Nie wykonuj żadnych groźnych ruchów.

Barbarzyńska kobieta z równin i rycerz razem podeszli do smoka.

Z zamkniętymi oczami Raistlin leżał pod łapą smoka i przygotowywał się w duchu do

zaklęcia, które będzie jego ostatnim. Lecz słowa zaklęcia nie chciały się wyłonić z zamętu, jaki panował w jego umyśle. Starał się usilnie odzyskać panowanie. Poświęcam swe życie – i po co?, zastanawiał się Raistlin z goryczą. Żeby wyciągnąć tych głupców z tarapatów, w jakie sami wpadli. Nie zaatakują z obawy o mnie – mimo iż się mnie boją i gardzą mną. To nie ma sensu – tak jak moja ofiara nie ma sensu. Dlaczego umieram za nich, jeśli zasługuję na życie bardziej niż oni?

Nie dla nich to czynisz, odpowiedział mu czyjś głos. Raistlin drgnął, próbując się skupić i umiejscowić głos. Był prawdziwy, znał go, lecz nie potrafił sobie przypomnieć, do kogo należał, ani też gdzie go słyszał. Wiedział tylko, że przemawiał doń w najtrudniejszych chwilach. Im bliżej był śmierci, tym głos głośniejsz rozbrzmiewał.

Nie dla nich się poświęcasz – powtórzył głos. – Czynisz to dlatego, że nie możesz znieść klęski! Nic jeszcze cię nie pokonało, nawet sama śmierć...

Raistlin zaczerpnął głęboko tchu i odprężył się. Nie w pełni rozumiał słowa, podobnie jak nie mógł sobie przypomnieć głosu. Lecz teraz słowa czaru bez trudu nasunęły mu się na myśl. – *Astol arakhh urn...* – szepnął, czując, jak magia zaczyna przenikać jego wątłe ciało. Wtedy inny głos przerwał jego skupienie, a był to żywy głos przemawiający do jego umysłu. Otworzył oczy, powoli odwrócił głowę i spojrzał na towarzyszy po drugiej stronie komnaty.

Głos należał do kobiety – barbarzyńskiej księżniczki umarłego plemienia. Raistlin patrzył na Goldmoon, która zbliżała się do niego, wsparta na ramieniu Sturm. Słowa w jej umyśle zabrzmiały w myślach Raistlina. Przyjrzał się tej kobiecie chłodno, z dystansem. Jego zniekształcony sposób widzenia na zawsze zabił wszelkie pożądanie, jakie mógłby czuć, spoglądając na ludzkie ciało. Nie widział piękna, które tak zauroczyło Tanisa i jego brata. Swymi klepsydrowymi oczami widział, jak Goldmoon więdnie i umiera. Nie była mu bliska, ani nie czuł współczucia dla niej. Wiedział, że ona lituje się nad nim – i nienawidził jej za to – lecz również boi się go. Dlaczego więc przemawiała do niego?

Mówiła, żeby zaczekał.

Raistlin zrozumiał. Wiedziała, co on zamierza, i mówiła mu, że to niepotrzebne. To ona została wybrana. To ona miała się poświęcić. Swymi dziwnymi, złotymi oczami obserwował zbliżającą się Goldmoon, a ona patrzyła na smoka. Widział, jak obok niej idzie z powagą Sturm, wyglądający równie staro i szlachetnie jak sam Huma. Jakże doskonałym pionkiem był Sturm, idealnym uczestnikiem ofiary Goldmoon. Tylko dlaczego Riverwind pozwolił jej pójść? Czyżby tego nie widział? Raistlin szybko spojrzał na Riverwinda. Ach, oczywiście! U jego boku stał półelf ze zboląłą i zasmuconą miną, bez wątplenia ociekając słowami mądrości niczym krwią. Ten barbarzyńca staje się równie łatwowierny co Caramon.

Raistlin znów przeniósł spojrzenie na Goldmoon.

Stała już przed smoczą, blada i zdecydowana. Obok niej stał Sturm, poważny i udęczony, nękany jakimś wewnętrznym konfliktem. Goldmoon zapewne wymusiła na nim przysięgę ścisłego posłuszeństwa, do której wypełnienia zobowiązywał go honor rycerza. Raistlin wykrzywił wargi w grymasie pogardy. Gdy smoczą odezwała się, czarodziej spiął się, gotów do działania.

– Połóż laskę pośród innych pozostałości ludzkiego szaleństwa – rozkazała smoczą, schylając pokrytą błyszczącymi łuskami głowę nad stertą skarbów pod ołtarzem.

Ogarnięta smoczym strachem Goldmoon nie poruszyła się. Była w stanie tylko wpatrywać się w potworną istotę i drżeć. Sturm, który stał obok niej, wzrokiem przeszukiwał skarbiec, by znaleźć dyski Mishakal. Starał się opanować swój strach przed smokiem. Nigdy nie myślał, że może czegoś tak bardzo się bać. Powtarzał wciąż słowa kodeksu: „Honor to Życie” i wiedział, że tylko duma powstrzymuje go od ucieczki.

Goldmoon dostrzegła, że Sturmowi drżą ręce, i zobaczyła twarz rycerza błyszczącą od kropli potu. Dobra bogini, krzyknęła w duchu, dodaj mi odwagi! Sturm dał jej znak, trącając ręką. Zdała sobie sprawę, że powinna coś powiedzieć. Zbyt długo milczała.

– Co nam dasz w zamian za cudowną laskę? – spytała Goldmoon, starając się mówić spokojnie, choć czuła suchość w gardle i obrzmienie języka. Smoczą zaśmiała się przenikliwym, niemiłym śmiechem. – Co wam dam? – Spuściła wężowym ruchem głowę, by spojrzeć z bliska na Goldmoon. – Nic! Zupełnie nic. Nie targuję się ze złodziejami. Mimo to... – Smoczą znów podniosła łeb i zmrużyła czerwone ślepia w szparki. Od niechcienia wbiła szpon w ciało Raistlina. Mag skrzywił się, lecz zniósł ból bez szmeru.

Smoczą cofnęła łapę i uniosła ją wystarczająco wysoko, by wszyscy zobaczyli krew kapiącą ze szponów. – Nie jest wykluczone, iż lord Verminaard – Najwyższy Smoczy Władca – może przychylnie spojrzeć na fakt, że zwróciłaś laskę. Może nawet skłonny będzie okazać miłosierdzie – jest kapłanem, a ci mają dziwne zasady. Wiedz jednak, Pani z Que-Shu, że lord Verminaard nie potrzebuje twych przyjaciół. Oddaj mi teraz laskę, a zostaną oszczędzeni. Zmusz mnie do odebrania jej, a zginą! Czarodziej pierwszy!

Goldmoon osunęła się, przyjmując porażkę, sprawiając wrażenie załamanej. Sturm przysunął się blisko do niej, tak że wyglądało, jakby ją pocieszał.

– Znalazłem dyski – szepnął ochryple. Chwycił ją za ramię i poczuł, że drży ze strachu. – Pani, czy jesteś zdecydowana doprowadzić to do końca? – spytał cicho.

Goldmoon zwiesiła głowę. Była śmiertelnie blada, lecz opanowana i spokojna. Pasemka jej delikatnych, srebrnozłotych włosów wysunęły się spod opaski i zasłoniły jej

twarz przed wzrokiem smoka. Wydawała się pokonana, lecz spojrzała na Sturm z uśmiechem. W jej uśmiechu był zarówno spokój, jak i smutek, zupełnie jak w uśmiechu marmurowej bogini. Nic nie powiedziała, lecz Sturm otrzymał odpowiedź. Skłonił się, poddając jej woli.

– Oby moja odwaga dorównała twojej, o pani – rzekł.

– Nie zawiodę cię.

– Żegnaj, rycerzu. Powiedz Riverwindowi... – Goldmoon przerwała i zmrużyła oczy, które wypełniły się łzami. Obawiając się, że jeszcze może ją zawieść odwaga, zdławiła słowa i odwróciła się ku smokowi, gdy w odpowiedzi na modły przepełnił ją głos Mishakal. *Unieś śmiało laskę!* Goldmoon, przepełniona wewnętrzną mocą, podniosła laskę z błękitnego kryształu.

– Nie poddamy się! – krzyknęła, a jej głos rozbrzmiał echem w komnacie. Szybko, nim smoczyca zdążyła zareagować, córka wodza zamachnęła się laską po raz ostatni i uderzyła nią w łapę wiszącą nad Raistlinem.

Zderzywszy się ze smokiem, laska wydała niski brzęk – i roztrzaskała się. Z pękniętego drzewca trysnęło czyste, promiennie błękitne światło. Stawało się coraz mocniejsze i rozprzestrzeniało się koncentrycznymi falami, pochłaniając smoka.

Khisanth wrzasnęła z gniewu. Smoczyca została straszliwie, śmiertelnie zraniona. Uderzała ogonem, rzucała łbem, starała się uciec przed palącym, błękitnym płomieniem. Pragnęła tylko zabić tych, którzy ośmielili się zadać jej taki ból, lecz straszliwy, niebieski ogień spalał ją – tak samo jak Goldmoon.

Córka wodza nie wypuściła laski w chwili jej strzaskania. Trzymała odłamany koniec jak najbliżej smoczycy i patrzyła w rosnącą jasność. Kiedy błękitny blask dotknął jej dłoni, poczuła silny, palący ból. Zachwiała się i upadła na kolana, wciąż nie wypuszczając laski z rąk. Słyszała nad głową ryk smoczycy, a potem już nic, z wyjątkiem dźwięczenia laski. Ból stał się tak straszny, że nie stanowił już części jej samej. Ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Usnę, pomyślała, a kiedy się zbudzę, będę tam, gdzie jest naprawdę moje miejsce.

Sturm ujrzał, jak błękitne światło powoli unicestwia smoka, a następnie rozprzestrzenia się po lasce ku Goldmoon. Dzwonienie laski tak się nasiliło, że zagłuszało nawet krzyk umierającej smoczycy. Sturm ruszył w stronę Goldmoon, chcąc wyrwać jej z rąk złamaną laskę i odciągnąć od zabójczego, niebieskiego blasku, lecz zbliżając się, już wiedział, że jej nie ocali.

Na wpół oślepiiony błękitnym blaskiem i ogłuszony brzękiem, rycerz uświadomił sobie, że musi użyć wszystkich sił i zebrać całą swą odwagę, by dotrzymać przysięgi –

odzyskać dyski. Oderwał wzrok od Goldmoon, której twarz wykrzywiało cierpienie, a ciało spalał ogień. Zaciskając zęby z powodu bólu głowy, Sturm zbliżył się chwiejnym krokiem do sterty skarbów, gdzie widział dyski – setki cienkich płatków platyny, spiętych u góry jednym pierścieniem. Nachylił się i podniósł je, dziwiąc się, że są tak lekkie. I wtedy na moment serce mu zamarło, gdy ze stosu skarbów wynurzyła się zakrwawiona ręka i chwyciła go za nadgarstek.

– Pomóż mi!

Usłyszał nie tyle głos, co myśl. Chwyciwszy Raistlina za rękę, pomógł mu wstać. Na czerwonej szacie maga widać było krew, lecz Raistlin nie sprawiał wrażenia poważnie rannego - przynajmniej mógł stać. Lecz czy mógł chodzić? Sturmowi potrzebna była pomoc. Zastanawiał się, gdzie są pozostali, bowiem nie widział ich w tej jasności. Nagle u jego boku pojawił się Caramon w błyszczącej niebieskim blaskiem zbroi.

Raistlin uczeplił się go. – Pomóż mi znaleźć księgę zaklęć! – zasyczał.

– Kogo to obchodzi? – ryknął Caramon, wyciągając ręce do brata. – Wydostanę cię stąd.

Twarc Raistlina wykrzywiał grymas frustracji. Czarodziej był tak wściekły, że aż zaniemówił. Przykląkł i zaczął gorączkowo rozgrzebywać sterty skarbów. Caramon próbował go odciągnąć, lecz Raistlin odepchnął go smukłą ręką. Wciąż słyszeli przenikliwe dzwonięcie. Sturm czuł, że z bólu płyną mu łzy po policzkach. Nagle na posadzkę przed rycerzem coś spadło. Walił się sufit komnaty! Cały budynek trząsł się w posadach, a od brzęku drżały słupy i pękały ściany.

Wreszcie dźwięk się skończył – a wraz z nim życie smoczycy. Khisanth znikła i nie zostało po niej nic, z wyjątkiem stosu dymiącego popiołu.

Sturm odetchnął z ulgą, ale nie na długo. Kiedy tylko ucichło dzwonięcie, usłyszał, że pałac się wali. Słyszał trzask sklepienia, łoskot i huk eksplozji wielkich kamiennych płyt, które spadały na posadzkę. Nagle spośród kłębow kurzu wyłonił się przy nim Tanis. Z rozciętego policzka półelfa sączyła się krew. Sturm złapał przyjaciela i pociągnął w stronę ołtarza w chwili, gdy w pobliżu spadł kolejny fragment sufitu.

– Całe miasto się wali! – krzyknął Sturm. – Jak się stąd wydostaniemy?

Tanis potrząsnął głową. – Jedyne miejsce, jaką znam, to ta, którą przyszliśmy, przez tunel – odkrzyknął. Uchylił się przed następnym kawałkiem sufitu, który z hukiem spadł na ołtarz.

– To byłaby śmiertelna pułapka! Musi być inna droga!

– Znajdziemy ją – powiedział zdecydowanie Tanis. Spojrzał w głąb kłębow kurzu. –

Gdzie są pozostali? – zapytał. Potem, odwróciwszy się, dojrzał Raistlina i Caramona. Tanis spoglądał z grozą i niesmakiem na czarodzieja grzebiącego w skarbach. Potem zobaczył małą postać ciągnącą Raistlina za rękaw. Bupu! Tanis rzucił się w jej stronę, nieomal przyprawiając krasnoludkę o utratę zmysłów ze strachu. Przywarła do Raistlina z krzykiem przerażenia.

– Musimy się stąd wydostać! – wrzasnął Tanis. Złapał Raistlina za poję szaty i szarpnięciem postawił wąłęgo młodzieńca na nogi. – Przestań rabować i kaź tej swojej krasnoludce pokazać nam, jak się stąd wydostać, albo, bóg mi świadkiem, zabiję cię własnymi rękoma!

Wąskie wargi Raistlina wykrzywiły się w upiornym uśmiechu, a Tanis pchnął go z powrotem na ołtarz. Bupu wrzasnęła. – Chodź! My iść! Ja znam droga!

– Raist – błagał Caramon – nie znajdziesz jej! Zginiesz, jeśli nie wydostaniemy się stąd!

– Zgoda – warknął czarodziej. Podniósł laskę Magiusa z ołtarza i wstał, wyciągając rękę do brata po pomoc. – Bupu, pokaź nam drogę – rozkazał.

– Raistlinie, poświęć nam swą laskę, żebyśmy mogli pójść za tobą – polecił Tanis. – Ja pójde poszukać pozostałych.

– Tam – powiedział ponuro Caramon. – Będziesz potrzebował pomocy przy mieszkańcu równin.

Tanis zasłonił twarz ramieniem, gdy posypały się kolejne kamienie, a następnie przeskoczył przez gruzy. Znalazł Riverwinda leżącego tam, gdzie stała przedtem Goldmoon. Flint i Tasslehoff próbowali nakłonić mieszkańca równin do wstania.

W miejscu tym nie było nic, poza dużym obszarem poczerniałego kamienia. Goldmoon całkowicie spłonęła w ogniu.

– Czy on żyje? – krzyknął Tanis.

– Tak! – odparł Tas, którego przenikliwy głos niósł się ponad hukiem. – Ale nie chce się ruszyć z miejsca!

– Porozmawiam z nim – powiedział Tanis. – Idź z pozostałymi. Przyjdziemy za chwilę. Idź już!

Tasslehoff wahał się, lecz Flint, rzuciwszy jedno spojrzenie na twarz Tanisa, wziął kendera za rękę. Pociągając nosem, Tas odwrócił się i pobiegł przez rumowisko razem z krasnoludem.

Tanis przykląkł obok Riverwinda, a potem obejrzał się, gdy z mroku wyłonił się Sturm. – Idź już – rzekł Tanis. – Teraz ty dowodzisz.

Sturm zawahał się. Obok nich przewróciła się kolumna, obsypując ich kamiennym pyłem. Tanis zasłonił Riverwinda własnym ciałem. – Idź wreszcie! – wrzasnął do Sturma. – Odpowiadasz teraz za nich! – Sturm zaczerpnął głęboko tchu, poklepał Tanisa po ramieniu, a potem pobiegł w stronę światła rzucanego przez łaskę Raistlina.

Rycerz zastał pozostałych zbitych w gromadkę w wąskim korytarzu. Łukowe sklepienie nad ich głowami wydawało się trzymać mocno, lecz Sturm słyszał już dudnienie dochodzące z góry. Ziemia trzęsła im się pod nogami, a przez nowe pęknięcia w ścianach zaczęły się sączyć strużki wody.

– Gdzie jest Tanis? – zapytał Caramon.

– Wkrótce dołączy do nas – powiedział ochryłym głosem Sturm. – Zaczekamy... przynajmniej kilka chwil. – Nie wspomniał, że on będzie czekać, dopóki śmierć nie wyzwoli go z wyczekiwania.

Rozległ się ogłuszający trzask. Przez ścianę chlusnęła woda, zalewając podłogę. Sturm miał zamiar rozkazać wszystkim wyjść, gdy w walącym się przejściu pokazała się postać. Był to Riverwind, niosący na rękach bezwładne ciało Tanisa.

– Co się stało? – Sturm rzucił się do niego, czując ucisk w gardle. – On chyba nie...

– Został ze mną – powiedział cicho Riverwind. – Mówiłem mu, żeby mnie zostawił. Chciałem umrzeć – tam, razem z nią. Wtedy... kamienna płyta. Nawet jej nie zauważył...

– Będę go niósł – powiedział Caramon,

– Nie! – Riverwind zmierzył ogromnego wojownika wściekłym spojrzeniem. Przycisnął mocniej ciało Tanisa do piersi. – Ja go zaniosę. Musimy już iść.

– Tak! Tędy! Iść zaraz! – popędzała krasnoludka żlebowa. Wyprowadzała ich z miasta, które umierało po raz drugi. Wyszli ze smoczego legowiska na plac szybko tonący pod falami Nowego Morza, które wpływało do walącej się jaskini. Drużyna brnęła przez wodę, trzymając się siebie nawzajem, żeby nie dać się porwać zdradliwemu nurtowi. Wszędzie roiło się od wrzeszczących w przeraźliwej panice krasnoludów żlebowych. Niektórych porwał prąd, inni wspinali się na najwyższe piętra trzęsących się budynków, jeszcze inni biegali po ulicach.

Sturmowi przychodziła na myśl tylko jedna droga ucieczki. – Idźcie na wschód! – krzyknął, wskazując szeroką ulicę, która prowadziła do wodospadu. Spojrzał z obawą na Riverwinda. Oszołomiony mieszkaniec równin jakby nie zauważał zamieszania panującego wokół. Tanis był nieprzytomny – może martwy. Strach zmroził krew w żyłach Sturma, lecz rycerz zdusił wszystkie emocje. Pobiegł naprzód, doganiając bliźniaków.

– Naszą jedyną szansą jest winda! – krzyknął. Caramon powoli pokiwał głową. – To

oznacza walkę.

– Tak, i do diabła z tym – rzekł zrozpaczony Sturm, wyobrażając sobie wszystkich smokowców usiłujących opuścić ginące miasto. – Tak, oznacza walkę! Masz jakiś lepszy pomysł?

Caramon pokręcił głową przecząco.

Na rogu Sturm czekał, żeby zapędzić swoją słaniającą się, wyczerpaną gromadkę we właściwym kierunku. Spoglądając przez pył i mgłę, dostrzegł tuż przed nimi windę. Tak, jak przewidywał, otoczona była ciemną, kłębiącą się masą smokowców. Na szczęście, wszyscy myśleli tylko o ucieczce. Sturm wiedział, że muszą uderzyć szybko, żeby zaskoczyć stwory. Zgranie akcji było sprawą najwyższej wagi. Złapał przemykającego obok kendera.

– Tas! – krzyknął. – Jedziemy na górę windą!

Tasslehoff pokiwał głową, żeby pokazać, że zrozumiał, potem zrobił minę, udając smokowca, i przesunął dłonią po gardle.

– Kiedy podejmiemy bliżej – zawołał Sturm – zakradniesz się do miejsca, w którym będziesz mógł dostrzec zjeżdżający na dół kocioł. Kiedy zaczniesz jechać na dół, dasz mi znak. Zaatakujemy, gdy dotrze do ziemi.

Kita Tasslehoffa zakołysała się.

– Powiedz Flintowi! – dokończył Sturm, niemal zupełnie zachrypnięty od krzyku. Tas pokiwał głową i popędził znaleźć krasnoluda. Sturm z westchnieniem rozprostował obolałe plecy i ruszył dalej ulicą. Widział mniej więcej dwudziestu czy dwudziestu pięciu smokowców zgromadzonych na dziedzińcu, czekających na przyjazd garnka, który zabierze ich w bezpieczne miejsce. Sturm wyobraził sobie zamieszanie panujące na górze – smokowców zapędzających przerażonych krasnoludów żlebowych do windy batem i groźbami. Miał nadzieję, że zamęt potrwa jeszcze jakiś czas.

Sturm zobaczył braci w cieniu na obrzeżu dziedzińca. Podeszedł do nich, spoglądając w górę nerwowo, gdy kamienny blok spadł z hukiem za jego plecami. Kiedy z kurzu i mgły wyszedł chwiejnym krokiem Riverwind, Sturm chciał już podejść, żeby mu pomóc, lecz mieszkaniec równin spojrział na rycerza tak, jakby nigdy przedtem nie widział go w swym życiu.

– Przynieś Tanisa tutaj – rzekł Sturm. – Możesz go położyć i odpocząć chwilę. Pojedziemy na górę windą i za chwilę czeka nas walka. Zaczekaj tutaj. Kiedy damy znak...

– Rób, co musisz – przerwał mu oziębłe Riverwind. Położył ciało Tanisa ostrożnie na ziemi i usiadł ciężko obok niego, chowając twarz w dłoniach.

Sturm wahał się. Chciał już uklęknąć przy Tanisie, kiedy wszedł Flint i stanął obok

niego.

– Idź. Ja zostanę przy nim – zaproponował krasnolud.

Sturm pokiwał głową z wdzięcznością. Zauważył, jak Tasslehoff przemyka przez dziedziniec i chowa się w bramie. Oglądając się na winde, zobaczył smokowców klnących i wrzeszczących we mgłę, jakby mogli przyspieszyć opadanie kotła.

Flint szturchnął Sturm w żebra. – Jak będziemy walczyć z nimi wszystkimi na raz? – krzyknął.

– Nie my. Ty zostaniesz tutaj z Riverwindem i Tanisem – rzekł Sturm. – Caramon i ja sami damy sobie radę – dodał, bardzo chcąc w to uwierzyć.

– I ja – szepnął czarodziej. – Wciąż mam swe zaklęcia. – Rycerz nie odpowiedział. Nie ufał czarom i nie ufał Raistlinowi. Nie miał jednak innego wyjścia – Caramon nie będzie walczyć bez brata u swego boku. Szarpiąc wąsy, Sturm nerwowo poluzował miecz w pochwie. Caramon pogimnastykował ramiona, zaciskając i otwierając olbrzymie dłonie. Raistlin, zamknąwszy oczy, pogrążył się w skupieniu. Bupu, która schowała się w ściennej niszy za nim, przyglądała się wszystkiemu oczami wielkimi ze strachu.

W polu widzenia pojawił się kocioł obwieszony krasnoludami żlebowymi. Tak, jak Sturm przypuszczał, smokowcy na ziemi zaczęli bić się między sobą, bowiem żaden nie chciał zostać na dole. Panika wzmogła się w momencie, gdy w chodniku otworzyły się biegnące w ich stronę rozpadliny. Pęknięcia zaczęły się wypełniać wodą. Miasto Xak Tsaroth wkrótce znajdzie się na dnie Nowego Morza.

Kiedy garnek dotarł na dół, krasnoludowie zleźli z jego boków i rozpierzchli się. Do środka wleźli smokowcy, bijąc się przy tym i popychając.

– Teraz! – zawołał rycerz.

– Zejdz mi z drogi! – syknął czarodziej. Wyciągając garść piasku z jednej ze swych sakiewek, rozsypał go po ziemi, szepcząc – *Ast tasarak sinuralan krynawi* – zatoczył prawą ręką krąg w stronę smokowców. Najpierw jeden, a potem jeszcze kilku zmrużyło oczy i we śnie osunęło się na ziemię, lecz pozostali nie upadli i rozglądali się z niepokojem. Czarodziej schował się ponownie do bramy, a smokowcy, niczego nie zauważywszy, wrócili do windy, depcząc w rozpaczliwym pośpiechu po ciałach śpiących kolegów. Raistlin oparł się o ścianę, zamykając oczy ze znużenia.

– Ilu? – zapytał.

– Tylko około sześciu. – Caramon wyciągnął miecz z pochwy.

– Idź już wreszcie do tego przeklętego garnka! – krzyknął Sturm. – Wrócimy po Tanisa po skończonej walce!

Pod osłoną mgły dwaj wojownicy z obnażonymi mieczami przebyli odległość dzielącą ich od smokowców w czasie kilku uderzeń serca. Chwiejący się na nogach Raistlin szedł za nimi. Sturm wykrzyknął swoje zawołanie bojowe. Na ten dźwięk smokowcy odwrócili się ze strachem.

A Riverwind podniósł głowę.

Odgłosy bitwy przenikły mgłę rozpaczy, w jakiej pogrążył się Riverwind. Mieszkaniec równin widział przed sobą Goldmoon, która ginęła w błękitnych płomieniach. Martwy wyraz jego twarzy ustąpił miejsca szalowi tak dzikiemu i przerażającemu, że Bupu, wciąż schowana w bramie, pisnęła ze strachu. Riverwind zerwał się na równe nogi. Nawet nie sięgnął po miecz, lecz rzucił się do ataku z gołymi rękoma. Wpadł między szeregi pierzchających smokowców niczym wygłodniała pantera i zaczął mordować. Zabijał gołymi rękoma, skręcając karki, dusząc, rwąc paznokciami. Smokowcy dźgali go mieczami i wkrótce jego skórzany kaftan nasiąkł krwią. Jednak barbarzyńca nie zatrzymał się ani na chwilę, nie zaprzestał mordowania. Jego twarz była obliczem szaleńca. Smokowcy znajdujący się na drodze Riverwinda widzieli śmierć w jego oczach i dostrzegli również, że ich broń nie wywiera skutku. Jeden wpadł w panikę i uciekł, a wkrótce potem następny.

Sturm, uporawszy się z przeciwnikiem, rozejrzał się posępnie, przygotowany na ujrzanie sześciu następnych rzucających się na niego. Zobaczył natomiast wrogów uciekających w popłochu i znikających we mgle. Zalany krwią Riverwind upadł na ziemię.

– Winda! – pokazał czarodziej. Wisiała około pół metra nad ziemią i zaczynała się wznosić. Górnym garnkiem zjeżdżały na dół krasnoludy żlebowe.

– Zatrzymaj ją! – zawołał Sturm. Tasslehoff wybiegł ze swojej kryjówki i popędził do kotła. Skoczył i zawisł na jego krawędzi, wymachując nogami w powietrzu, rozpaczliwie próbując zatrzymać wznoszący się garnek. – Caramonie! Przytrzymaj go! – Sturm rozkazał wojownikowi. – Ja idę po Tanisa!

– Mogę przytrzymać, ale nie na długo – mruknął ogromny mężczyzna, chwytając krawędź garnka i zapierając się nogami. Pociągnął i zatrzymał windę. Tasslehoff wdrapał się do środka, mając nadzieję, że jego małe ciało przysporzy balastu.

Sturm pobiegł szybko do Tanisa. Flint stał przy nim z toporem w rękach.

– On żyje! – krzyknął krasnolud na widok zbliżającego się rycerza.

Sturm zatrzymał się na chwilę, by podziękować znajdującemu się gdzieś jakiemuś bogu, a potem wraz z Flintem dźwignęli nieprzytomnego półelfa i zanieśli do kotła. Położyli go w środku i wrócili po Riverwinda. Musieli we cztery wciągnąć jego zakrwawione ciało do garnka. Tas próbował, bez większych rezultatów, opatrzyć mu rany jedną ze swoich chu-

steczek.

– Pośpieszcie się! – wysapał Caramon. Pomimo wszelkich jego wysiłków, kocioł powoli się podnosił.

– Wsiadaj! – rozkazał Raistlinowi Sturm.

Czarodziej spojrział na niego chłodno i znikł z powrotem we mgle. Po chwili znów się pojawił, niosąc na rękach Bupu. Rycerz chwycił roztrzęsioną krasnoludkę i wrzucił ją do windy. Popłakując, Bupu skuliła się na dnie, wciąż przyciskając torbę do piersi. Raistlin wszedł do środka. Kocioł nadal podnosił się, nieomal wyrrywając Caramonowi ramiona ze stawów.

– Wchodź! – Sturm rozkazał Caramonowi, bowiem rycerz, jak zawsze, ostatni opuszczał pole walki. Caramon wiedział, że lepiej się z nim nie sprzeczać. Podciągnął się do krawędzi, omal nie przewracając kotła. Flint i Raistlin wciągnęli go do wnętrza. Kiedy Caramon puścił go, kocioł poleciał szybko do góry. Sturm schwycił go obiema rękoma i zawisł na zewnątrz wznoszącego się w powietrze garnka. Po dwóch, czy trzech próbach udało mu się przerzucić nogę przez krawędź i wspiąć się do środka przy pomocy Caramona. Rycerz przykląkł przy Tanisie i z niewysłowioną ulgą dostrzegł, iż półelf poruszył się i jęknął. Sturm mocno przycisnęła półelfa do piersi. – Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, że znów jesteś wśród nas! – powiedział rycerz niskim, zachrypniętym głosem.

– Riverwind... – szepnął oszołomiony Tanis.

– Jest tutaj. Ocalił ci życie. Ocalił nam wszystkim życie.

– Sturm mówił szybko, niemal niezrozumiale. – Znajdujemy się w windzie, jedziemy na górę. Miasto umarło. Gdzie jesteś ranny?

– Mam połamane zebra, przynajmniej takie mam wrażenie.

– Krzywiąc się z bólu, Tanis obejrzał się na Riverwinda, który wciąż był przytomny mimo ran. – Biedak – rzekł cicho Tanis. – Goldmoon. Widziałem, jak zginęła, Sturmie. Nic nie mogłem zrobić.

Sturm pomógł półelfowi wstać. – Mamy dyski – powiedział stanowczym tonem rycerz. – Tego właśnie pragnęła, o to walczyła. Są w moim plecaku. Czy jesteś pewien, że możesz utrzymać się na nogach?

– Tak – powiedział Tanis. Odetchnął z wysiłkiem, czując przy tym ból. – Mamy dyski, choć nie wiem, co dobrego nam z tego przyjdzie.

Przerwały im przeraźliwe wrzaski dochodzące z drugiego kotła, który przeleciał obok nich, obwieszony krasnoludami źlebowymi jak chorągiewkami. Krasnoludy wygrażały pięściami i przeklinały drużynę. Bupu roześmiała się, a następnie wstała, spoglądając z troską

na Raistlina. Zmęczony czarodziej opierał się o ścianę kotła i bezgłośnie poruszał wargami, przywołując kolejne zaklęcie.

Sturm rozejrzył się we mgle. – Ciekawe, ilu będzie na górze? – zapytał.

Tanis również podniósł głowę. – Mam nadzieję, że większość uciekła – stwierdził. Westchnął raptownie i chwycił się za zebra.

Nagle szarpnęło nimi. Kocioł opadł kilkadziesiąt centymetrów, zatrzymał się z gwałtownym wstrząsem, a następnie znów ruszył w górę. Zaniepokojeni przyjaciele popatrzyli na siebie nawzajem.

– Mechanizm...

– Albo zaczyna się rozpadać, albo smokowcy poznali nas i chcą go zniszczyć – powiedział Tanis.

– Nic nie możemy zrobić – rzekł Sturm z gorzkim poczuciem bezsilności. Spojrzył na plecak zawierający dyski, który leżał u jego stóp. – Chyba tylko pomodlić się do tych bogów...

Garnek znów drgnął i opadł nieco. Przez chwilę wisiał, kołysząc się wśród kłębow mgły. Potem zaczął się wznosić powoli, dygocząc przy tym. Drużyna widziała krawędź skalnej półki i otwór nad swymi głowami. Kocioł wznosił się ze zgrzytem centymetr po centymetrze, a wszyscy w jego wnętrzu duchem podtrzymywali każde ogniwo łańcucha, który wynosił ich ku górze, do...

– Smokowcy! – wrzasnął przenikliwie Tas, wskazując na górę.

Dwaj smokowcy gapili się na nich. Kiedy kocioł zbliżył się, Tanis dostrzegł, że smokowcy schylają się, gotowi do skoku.

– Mają zamiar zeskoczyć do nas! Garnek tego nie wytrzyma! – wymamrotał Flint. – Rozbijemy się!

– Taki może być ich zamiar – rzekł Tanis. – Oni mają skrzydła.

– Odsuńcie się – powiedział Raistlin, wstając z wysiłkiem.

– Raist, nie! – Jego brat pochwycił go. – Jesteś zbyt słaby.

– Mam dość siły na jeszcze jedno zaklęcie – szepnął mag. – Lecz może nie podziałać. Jeśli zobaczą, że jestem czarodziejem, może uda im się odeprzeć moje czary.

– Schowaj się za tarczą Caramona – powiedział szybko Tanis. Wielki mężczyzna zasłonił brata swym ciałem i swą tarczą.

Spowijała ich mgła, zasłaniając przed oczami smokowców, lecz jednocześnie uniemożliwiając im dojrzenie ich. Garnek wznosił się centymetr po centymetrze, ze skrzypieniem i dygotaniem łańcucha. Raistlin stał przygotowany za tarczą Caramona, patrząc

uważnie dziwnymi oczami, czekając, aż mgła się rozwieje. Powiew chłodnego powietrza musnął policzek Tanisa. Wiatr na krótką chwilę rozpędził opary. Przeciwnicy byli tak blisko, że niemal mogli ich dotknąć! Smokowcy zobaczyli ich w tym samym momencie. Jeden rozłożył skrzydła i z mieczem w ręku zeskoczył do kotła, skrzecząc triumfalnie.

Raistlin przemówił. Caramon zabrał tarczę i czarodziej rozsunał chude palce. Z jego dłoni wystrzeliła biała kula, trafiając smokowca prosto w pierś. Kula eksplodowała, pokrywając stwora lepką siecią. Jego triumfalny okrzyk zmienił się w przerażający wrzask, gdy pajęczyna oplótła mu skrzydła. Spadł jak kamień w zamgloną otchłań, uderzając ciałem w krawędź żelaznego garnka. Kocioł zaczął się kołysać i trząść.

– Tam jest jeszcze jeden! – westchnął Raistlin, osuwając się na kolana. – Podtrzymaj mnie, Caramonie, pomóż mi wstać! – Czarodziej zaczął gwałtownie kaszleć i z ust pociekła mu krew.

– Raist! – błagał jego brat, rzuciwszy tarczę i łapiąc mdlejącego bliźniaka. – Przestań! Nic już nie możesz zrobić! Zabijesz się!

Wystarczyło jedno rozkazujące spojrzenie. Wojownik podtrzymał brata, który znów zaczął mówić w dziwnie brzmiącym języku magii.

Drugi smokowiec zawahał się, wciąż jeszcze słysząc wrzask spadającego towarzysza. Wiedział, że ten człowiek jest czarodziejem. Wiedział również, że prawdopodobnie uda mu się odeprzeć jego zaklęcie. Ale ten człowiek, z którym miał do czynienia, nie przypominał żadnego maga, z jakim miał do tej pory styczność. Ciało tego człowieka sprawiało wrażenie tak słabego, że praktycznie rzecz biorąc, stał on na krawędzi śmierci, a jednak otaczała go atmosfera mocy.

Czarodziej uniósł dłoń i wskazał na stwora. Smokowiec rzucił ostatnie, pełne nienawiści spojrzenie na drużynę, a potem zawrócił i uciekł. Nieprzytomny Raistlin osunął się w ramiona brata w chwili, gdy kocioł zakończył swą podróż na powierzchnię.

Rozdział XXII

Dar Bupu. Złowieszczy widok

W chwili gdy wyciągali Riverwinda z windy, podłoga sali przodków zadygotała gwałtownie. Ciągnąc ze sobą Riverwinda, drużyna cofnęła się pośpiesznie, zanim posadzka pękła. Podłoga zawałała się i poleciała w dół, pociągając w mglistą otchłań wielkie koło i żelazne kotły.

– Tu się wszystko wali! – krzyknął przełęczniony Caramon, trzymając brata na rękach.

– Biegnijcie! Z powrotem do świątyni Mishakal. – Tanis westchnął z bólu.

– Znów ufasz bogom, co? – rzekł Flint. Tanis nie był w stanie odpowiedzieć.

Sturm chwycił Riverwinda za ręce i chciał go podnieść, lecz mieszkaniec równin potrząsnął głową i odepchnął go. – Nie jestem ciężko ranny. Dam sobie radę. Zostaw mnie. – Nadal siedział zgarbiony na popękanej posadzce. Tanis spojrzał pytająco na Sturm. Rycerz wzruszył ramionami. Rycerze solamnijscy uważali samobójstwo za rzecz godną i honorową. Dla elfów było to bluźnierstwo.

Półelf chwycił mieszkańca równin za długie, ciemne włosy i szarpnięciem odciągnął mu głowę do tyłu, tak że zaskoczony mężczyzna musiał spojrzeć Tanisowi w oczy. – W porządku! Kładź się i zdychaj! – wycedził Tanis przez zaciśnięte zęby. – Przynies wstyd swojemu wodzowi! Ona przynajmniej miała dość odwagi, by walczyć!

W oczach Riverwinda zapłonął ogień. Barbarzyńca złapał Tanisa za przegub i odepchnął półelfa z taką siłą, że Tanis zatoczył się i wpadł na ścianę, jęcząc z bólu. Mieszkaniec równin wstał, wbijając w Tanisa wzrok przepełniony nienawiścią. Potem odwrócił się i spuściwszy głowę, poszedł chwiejnym krokiem w głąb dygoczącego korytarza.

Sturm pomógł Tanisowi wstać, bowiem półelfowi zakręciło się w głowie z bólu. Poszli za pozostałymi najszybciej, jak było to możliwe. Podłoga przechylała się obłąkańczo. Kiedy Sturm pośliznął się, wpadli na ścianę. Na korytarz wysunął się sarkofag, z którego wysypała się makabryczna zawartość. Czaszka potoczyła się pod nogi Tanisa, który tak się spłoszył, że upadł na kolana. Obawiał się, że może zemdleć z bólu.

– Idź – próbował powiedzieć Sturmowi, lecz nie mógł mówić. Rycerz wziął go pod rękę i chwiejąc się, szli razem przez wypełniony pyłem korytarz. U podnóża schodów, zwanych ścieżkami umarłych, zastali czekającego Tasslehoffa.

– A gdzie pozostali? – wysapał Sturm, zanosząc się kaszlem z powodu pyłu.

– Już poszli na górę do świątyni – powiedział Tasslehoff. – Caramon kazał mi poczekać tu na was. Flint mówi, że w świątyni jest bezpiecznie, wiesz, robota krasnoludzkich

kamieniarzy. Raistlin oprzytomniał. On również twierdzi, że tam jest bezpiecznie. Coś mówił o tym, że jesteśmy trzymeni w dłoni bogini. Riverwind też jest tam. Patrzył na mnie tak wściekle. Myślę, że byłby w stanie mnie zabić! Ale jakoś wszedł po schodach...

– W porządku! – powiedział Tanis, żeby przerwać tę paplaninę. – Dość już! Zostaw mnie, Sturmie. Muszę odpocząć chwilę, bo inaczej zemdleję. Zabierz Tasa i spotkamy się na górze. Idź już, do wszystkich diabłów!

Sturm złapał Tasa za kołnierz i pociągnął go po schodach. Tanis osunął się na posadzkę. Zlany był zimnym potem, a każdy oddech był udręką. Nagle pozostała część podłogi sali przodków zapadła się z głośnym trzaskiem. Świątynia Mishakał zatrzęsała się i zadygotała. Tanis z wysiłkiem podniósł się na nogi, a potem zatrzymał na chwilę. Gdzieś z tyłu dochodził go słabo słyszalny, niski grzmot wzbierającej fali. Nowe Morze zagarnęło Xak Tsaroth. Miasto, które umarło, zostało teraz również pochowane.

Tanis powoli zszedł ze schodów do okrągłego pomieszczenia na szczycie. Wspinaczka była koszmarem, każdy nowy stopień cudem. W komnacie panowała błogosławiona cisza i spokój, a jedynym dźwiękiem były chrapliwe oddechy przyjaciół, którzy dotarli tu i padli. On również nie miał sił iść dalej.

Półelf rozejrzał się, by upewnić się, że nikomu nic się nie stało. Sturm zdjął plecak z dyskami i siedział zgarbiony pod ścianą. Raistlin leżał na ławie z zamkniętymi oczami. Jego oddech był szybki i płytki. Oczywiście, Caramon siedział obok niego, z twarzą markotną z troski. Tasslehoff siedział u stóp piedestału i wpatrywał się w jego szczyt. Flint stał oparty o drzwi, zbyt zmęczony, by marudzić.

– Gdzie jest Riverwind? – zapytał Tanis. Zobaczył, że Caramon i Sturm spoglądają na siebie nawzajem, a potem spuszczają oczy. Tanis wstał z wysiłkiem. Gniew zwyciężył ból. Sturm podniósł się i zagroził mu drogę.

– To jego decyzja, Tanisie. To zwyczaj jego narodu, tak jak i mojego.

Tanis odepchnął rycerza i podszedł do podwójnych drzwi. Flint nie ruszył się.

– Zejdź mi z drogi – rzekł półelf drżącym głosem. Flint popatrzył w górę. Zmarszczki żalu i smutku, wryte przez setkę lat życia, złagodziły srogi wyraz twarzy krasnoluda. Tanis dostrzegł w oczach Flinta tę zgromadzoną mądrość, która zachęciła nieszczęśliwego półczłowieczego, półelfiego chłopca do dziwnej i długotrwałej przyjaźni z krasnoludem.

– Usiądź, chłopcze – rzekł Flint łagodnym głosem, jakby on również przypomniał sobie początki ich znajomości. – Jeśli nie może tego pojąć twój elfi rozum, posłuchaj choć raz swego ludzkiego serca.

Tanis zamknął oczy, czując piekące łzy pod powiekami. Wtedy posłyszał głośny

krzyk dobiegający ze świątyni – krzyk Riverwinda. Tanis odsunął krasnoluda na bok i pchnięciem otworzył wielkie, złote wrota. Idąc szybko i nie zważając na cierpienie, rozwarł następne drzwi i wszedł do komnaty Mishakal. I znów poczuł, jak ogarnia go spokój i poczucie harmonii, lecz tym razem uczucia te tylko podsyciły jego gniew wywołany tym, co się wydarzyło.

– Nie mogę w was uwierzyć! – krzyknął Tanis. – Jakimi to bogami jesteście, że domagacie się ludzkiej ofiary! Jesteście tymi samymi bogami, którzy sprowadzili na ludzkość kataklizm. Dobrze więc – jesteście potężni! A teraz zostawcie nas w spokoju! Nie potrzebujemy was! – Półelf płakał. Przez łąy ujrzał Riverwinda, który klęczał z mieczem w ręku przed posągiem. Tanis ruszył naprzód chwiejnym krokiem, pragnąc zapobiec samobójstwu. Okrążył podstawę posągu i zatrzymał się jak wryty. Przez chwilę nie mógł uwierzyć własnym oczom. Być może żal i cierpienie mamią okrutnie jego zmysły. Uniósł oczy ku pięknej, spokojnej twarzy posągu i ukoił roztrzęsione nerwy. Spojrzał jeszcze raz.

Leżała tam Goldmoon, pogrążona w głębokim śnie, a jej pierś unosiła się i opadała w rytm jej cichego oddechu. Srebrnozłote włosy wysunęły się ze splotów warkocza i unosiły się wokół jej twarzy na łagodnym wietrze, który wypełnił komnatę zapachem wiosny. Laska znów stanowiła część marmurowego posągu, lecz Tanis dostrzegł na szyi Goldmoon naszyjnik, który przedtem ozdabiał posąg.

– Jestem teraz prawdziwą kapłanką – rzekła cicho Goldmoon. – Jestem wyznawczynią Mishakal i choć wiele jeszcze muszę się nauczyć, mam moc mej wiary. Przede wszystkim jestem uzdrowicielką. Przynoszę znów światu dar uzdrawiania.

Wyciągnąwszy rękę, Goldmoon dotknęła czoła Tanisa, szepcząc modlitwę do Mishakal. Półelf poczuł spokój i siłę płynącą przez jego ciało, oczyszczającą duszę i leczącą rany.

– Mamy teraz kapłankę – powiedział Flint – a to się przyda. Z tego jednak, co słyszeliśmy, ten lord Verminaard też jest kapłanem, i to ponoć potężnym. Może odnaleźliśmy prastarych bogów dobra, lecz on znalazł prastarych bogów zła dużo wcześniej. Nie pojmuję, w jaki sposób dyski pomogą nam w walce z hordami smoków.

– Masz rację – powiedziała cicho Goldmoon. – Nie jestem wojowniczką. Jestem uzdrowicielką. Nie mam mocy, by zjednoczyć narody naszego świata do walki ze złem i do przywrócenia równowagi. Moim obowiązkiem jest znaleźć osobę, która ma dość siły i mądrości, by podjąć się tego zadania. Mam oddać dyski Mishakal tej osobie.

Towarzysze milczeli przez długi czas. A potem...

– Musimy opuścić to miejsce, Tanisie – zasyczał Raistlin z mroku świątyni, gdzie stał,

wyglądając przez drzwi na dziedziniec. – Posłuchajcie.

Rogi. Wszyscy słyszeli przenikliwy dźwięk grania wielu, wielu rogów, niesiony przez północny wiatr.

– To armie – powiedział cicho Tanis. – Rozpoczęła się wojna.

Drużyna opuściła Xak Tsaroth o zmierzchu. Udała się na zachód, w stronę gór. W powietrzu czuć było już kąśliwy chłód wczesnej zimy. Zimny wiatr dał im w twarz, niosąc suche, martwe liście. Postanowili iść do Solace, mając zamiar zaopatrzyć się tam w prowiant i dowiedzieć czego się da przed ustaleniem, dokąd mają udać się na poszukiwanie przywódcy. Tanis wyobrażał sobie kłótnie z tego powodu. Sturm już mówił o Solamnii. Goldmoon wspomniała Haven, a sam Tanis był przekonany, że dyski Mishakał będą najbezpieczniejsze w królestwie elfów.

Dyskutując o mglistych jeszcze planach, wędrowali do późna w nocy. Nie widzieli smokowców i podejrzewali, że ci, którym udało się zbiec z Xak Tsaroth, udali się na północ, by przyłączyć się do wojsk lorda Verminaarda, Najwyższego Smoczego Władcy. Wstał srebrny księżyc, a potem czerwony. Drużyna wspięła się wysoko w góry, bowiem mimo wyczerpania dźwięk rogów popędzał ich nadal. Rozbili obóz na szczycie góry. Po spożyciu posępnej wieczerzy, nie ośmieliwszy się nawet rozpaścić ogniska, postawili strażę, a potem poszli spać.

Raistlin obudził się o szarym, zimnym poranku, jeszcze przed świtem. Usłyszał coś. Czyżby śniło mu się? Nie, znów to usłyszał – odgłos czyjegoś szlochania. Goldmoon, pomyślał zirytowany czarodziej i chciał się już znów położyć. Wtedy dostrzegł Bupu, zwiniętą w jeden kłębek nieszczęścia, łkającą i smarkającą w koc. Raistlin rozejrzył się dookoła. Wszyscy pozostali byli pogrążeni we śnie, z wyjątkiem Flinta, który stał na warcie po drugiej stronie obozu. Krasnolud najwyraźniej niczego nie usłyszał i nie patrzył w stronę Raistlina. Mag wstał i podszedł po cichu. Uklękawszy obok krasnoludki, położył dłoń na jej ramieniu.

– Co się stało, maleńka?

Bupu obróciła się twarzą do niego. Miała zaczerwienione oczy i zapuchnięty nos. Po jej umorusanej twarzy płynęły łzy. Zasmarkała i wytarła nos dłonią. – Nie chcę cię zostawiać. Chcę pójść z tobą – powiedziała łkając – ale, och, będę tęsknić za moim plemieniem! – Znów wybuchnęła szlochem i schowała twarz w dłoniach.

Wyraz nieskończonej czułości odmalował się na twarzy Raistlina, wyraz, jakiego nikt na tym świecie nie ujrzy. Wyciągnął rękę i pogłaskał Bupu po szorstkich włosach, wiedząc, co to znaczy być słabym i żalonym, być obiektem drwin i politowania.

– Bupu – powiedział – byłeś dla mnie dobrą i wierną przyjaciółką. Ocaliłeś życie mnie i tym, na których mi zależy. Teraz zrobisz dla mnie jeszcze jedną, ostatnią rzecz, moja maleńka. Wrócisz do siebie. Ja muszę wędrować drogami, które będą mroczne i niebezpieczne, nim dotrę do kresu mej długiej podróży. Nie mogę żądać od ciebie, żebyś poszła ze mną.

Bupu podniosła głowę i oczy jej poweselały. A potem cień smutku znów padł na jej twarz. – Ale ty będziesz nieszczęśliwy beze mnie.

– Nie – rzekł Raistlin, uśmiechając się – moje szczęście będzie polegało na świadomości, że jesteś bezpieczna wśród swego ludu.

– Jesteś pewny? – zapytała niespokojna Bupu.

– Jestem pewny – odparł Raistlin.

– To pójdę. – Bupu wstała. – Ale najpierw weźmiesz podarek. – Zaczęła grzebać w torbie.

– Nie, maleńka – zaczął Raistlin, przypominając sobie zdechłą jaszczurkę – to zbyt cenne... – Słowa stanęły mu w gardle, gdy zobaczył, jak Bupu wyciąga z torby... książkę! Przyglądał się ze zdumieniem, widząc, jak blade światło chłodnego poranka pada na srebrne runy na okładce ze skóry niebieskiej jak noc.

Raistlin wyciągnął drżącą dłoń. – Księga czarów Fistandantilusa! – szepnął.

– Podoba ci się? – zapytała nieśmiało Bupu.

– Tak, maleńka! – Raistlin wziął w dłonie bezcenny przedmiot i trzymał go z czułością, głaszcząc skórzaną okładkę. – Gdzie...

– Wziąć od smoka – powiedziała Bupu – kiedy świeciło niebieskie światło. Cieszę się, że ci się podoba. Teraz pójdę. Znaleźć Najwyższego Bulpa, Phudga I Wielkiego. – Zarzuciła torbę na ramię. Potem zatrzymała się i odwróciła. – Ten kaszel – pewny jesteś, że nie chcesz lekarstwa z jaszczurki?

– Nie, dziękuję, moja maleńka – powiedział Raistlin, wstając.

Bupu popatrzyła na niego smutno, a potem – zdobywszy się na wielką śmiałość – złapała go za rękę i szybko ją ucałowała. Odwróciła się, spuściła głowę i gorzko zaszlochała.

Raistlin zrobił krok naprzód. Położył dłoń na jej głowie. Jeśli mam w ogóle jakąś moc, Najwyższy, powiedział do siebie, moc, jaka jeszcze nie została mi wyjawiona, spraw, aby to maleństwo przeszło przez swe życie szczęśliwie i bezpiecznie.

– Żegnaj, Bupu – powiedział cicho.

Krasnoludka spojrzała na niego wielkimi, pełnymi uwielbienia oczami, a potem odwróciła się i pobiegła tak szybko, jak jej na to pozwalały rozdeptane pantofle.

– Co tam się stało? – zapytał Flint, przychłapawszy z drugiej strony obozowiska. –

Aha – dodał, ujrawszy pędzącą Bupu. – Pozbyłeś się wreszcie swojej oswojonej krasnoludki.

Raistlin nie odpowiedział, tylko po prostu zmierzył Flinta tak złowrogim spojrzeniem, że krasnolud zadygotał i szybko oddalił się. Czarodziej trzymał w dłoniach księgę czarów i podziwiał ją. Bardzo chciał otworzyć ją i rozkoszować się jej skarbami, lecz wiedział, że czekają go długie tygodnie studiów, zanim będzie mógł przeczytać nowe zaklęcia, a co dopiero przyswoić je sobie. Ale wraz z zaklęciami przybędzie mu mocy! Westchnął w ekstazie i przycisnął księgę do chudej piersi. Potem szybko wsunął ją do swego plecaka wraz z własną księgą zaklęć. Pozostali wkrótce zaczną się budzić – niech się zastanawiają, jak zdobył księgę.

Raistlin wstał i spojrzał na zachód, w stronę swej ojczyzny, gdzie nieboskłon rozjaśniał się blaskiem wczesnego poranka. Nagle zeszywniał. Potem upuścił plecak, pobiegł przez obozowisko i przykląkł obok półelfa.

– Tanisie! – zasyczał Raistlin. – Obudź się! Tanis zbudził się i chwycił sztylet. – Co się... Raistlin wskazał na zachód.

Tanis mrugnął, usiłując skupić spojrzenie sklejonych snem oczu. Ze szczytu góry, na której nocowali, rozciągał się wspaniały widok. Widział wysokie drzewa ustępujące porośniętym trawą równinom. A za równinami wznosiły się w niebo...

– Nie! – wykrztusił Tanis. Pochwycił czarodzieja. – Nie, to nie może być prawda!

– Tak – szepnął Raistlin. – Solace płonie.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział I

Noc Smoków.

Tika wyżeła szmatę nad wiadrem i tępo przyglądała się, jak woda robi się czarna. Cisnęła szmatę na szynkwias i chciała podnieść wiadro, by zanieść je do kuchni i zaczerpnąć świeżej wody. A potem pomyślała, po co ma zadawać sobie tyle trudu! Podniósłszy szmatę, zaczęła znów zmywać stoły. Kiedy wydawało jej się, że Otik nie widzi, otarła oczy fartuchem.

Ale Otik zobaczył. Położył pulchne dłonie na barkach Tiki i łagodnie odwrócił ją. Tika zatkała i oparła głowę na jego ramieniu.

– Przepraszam – szlochała Tika – ale nie potrafię tego wyczyścić!

Otik oczywiście wiedział, że nie z tego powodu dziewczyna płacze, lecz było to dość bliskie prawdy. Poklepał ją czule po plecach. – Wiem, wiem, moje dziecko. Nie płacz. Rozumiem.

– To przez tę przekłętą sadzę! – zawodziła Tika. – Pokrywa wszystko czarną warstwą i choć każdego dnia wszystko szoruję, nazajutrz znów jest brudno. Wciąż palą i palą!

– Nie przejmuj się, Tiko – powiedział Otik, gładząc ją po włosach. – Bądź wdzięczna, że gospoda jest cała....

– Mam być wdzięczna! – Tika odsunęła się od niego z zaczerwienioną twarzą. – Nie! Żałuję, że nie spłonęła, jak wszystko inne w Solace, bo wtedy oni nie przychodziliby tu! Żałuję, że nie spłonęła! Żałuję, że nie spłonęła! – Tika usiadła przy stole, wybuchając niepohamowanym płaczem. Otik kręcił się wokół niej.

– Wiem, moja droga, wiem – powtarzał, wygładzając bufiaste rękawy bluzki, o której biel i świeżość Tika zawsze dbała z taką dumą. Teraz bluzka była brudna i pokryta sadzą, jak wszystko w spustoszonej wiosce.

Atak na Solace nastąpił bez ostrzeżenia. Nawet kiedy pierwsi żalosni uciekinierzy zaczęli napływać do wioski z północy, opowiadając przerażające historie o olbrzymich, skrzydlatych potworach, Hederick, Najwyższy Teokrata, zapewniał mieszkańców Solace, że są bezpieczni, że ich miasto zostanie oszczędzone. A ludzie uwierzyli mu, bowiem chcieli mu wierzyć.

I wtedy nadeszła noc smoków.

Tego wieczoru w gospodzie było mnóstwo ludzi, bowiem było to jedno z niewielu miejsc, gdzie można było pójść i nie pamiętać o ciężkich chmurach, które wisały nisko na północnym nieboskłonie. Ogień palił się jasno, piwo było mocne, a przyprawione korzeniami

ziemniaki przepyszne. Jednakże nawet tutaj wdzierał się świat zewnętrzny: wszyscy mówili głośno i bojaźliwie o wojnie.

Słowa Hedericka kołły ich wylęknione serca. – My nie jesteśmy tacy, jak ci porywcy głupcy z północy, którzy uczynili błąd, sprzeciwiając się potędze smoczycich władców – zawołał, stając na krześle, aby go słyszano. – Lord Verminaard osobiście zapewnił radę szlachetnych poszukiwaczy w Haven, że pragnie jedynie pokoju. Prosi o pozwolenie na przeprowadzenie swych wojsk przez nasze miasto, aby mógł podbić ziemie elfów na południu. A ja życzę mu z całego serca powodzenia!

Hederick zaczął na pojedyncze oklaski i wiwaty. – Za długo tolerowaliśmy elfów w Qualinesti. Niech Verminaard przepędzi ich z powrotem do Silvanostu, czy skąd oni tam przyszli! Prawdę mówiąc – rozpędził się Hederick – niektórzy z tutejszych młodych ludzi mogliby zastanowić się nad wstąpieniem w szeregi armii tak wielkiego pana. A doprawdy jest on wielkim panem! Spotkałem go! Jest prawdziwym kapłanem! Byłem świadkiem cudów, jakich dokonał! Pod jego przywództwem wkroczymy w nową erę! Przepędzimy elfów, krasnoludów i inne obce nacje z naszej ziemi i...

Rozległ się niski, głuchy ryk, niczym zgromadzonej wody potężnego oceanu. Nagle zapadła cisza. Wszyscy słuchali w zadziwieniu, usiłując domyślić się, cóż może być przyczyną takiego hałasu. Hederick, świadom, że publiczność już go nie słucha, rozejrzał się z irytacją. Ryk stawał się coraz głośniejszy i zbliżał się. Nagle gospoda pograżyła się w gęstej, dusznej ciemności. Kilku ludzi zaczęło krzyczeć. Większość podbiegła do okien i usiłowała wyrzeć przez nieliczne przejrzyste szybki, jakie wprawiono między kolorowymi.

– Zejdź na dół i dowiedz się, co tam się dzieje – ktoś powiedział.

– Jest tak cholernie ciemno, że nie widzę schodów – ktoś odmruknął.

A potem już nie było ciemno.

Na zewnątrz strzeliły płomienie. Fala gorąca uderzyła w budynek z siłą wystarczającą, by potrząsać okna, zasypując szkłem wszystkich we wnętrzu. Potężne drzewo vallen – którego nigdy nawet nie poruszyła żadna burza na Krynnie – zakołysało się i zachwiało od tego uderzenia. Gospoda przechyliła się. Stoły poleciały na boki, ławy zsunęły się po podłodze i uderzyły w ścianę. Hederick stracił równowagę i spadł z krzesła. Żarzące się węgliki posypały się z kominka, a lampki oliwne pod powałą i świece stojące na stołach spowodowały lokalne pożary.

Wśród wrzawy i zamieszania rozległ się przenikliwy krzyk – wrzask jakiejś żywej istoty – wrzask przepełniony nienawiścią i okrucieństwem. Ryk przeleciał nad gospodą. Słychać było podmuch wiatru, a potem ciemność ustąpiła, gdy na południu wystrzeliła w górę

ściana ognia.

Tika upuściła na podłogę tacę z kuflami, rozpaczliwie chwytając się kontuaru, żeby nie upaść. Wokół niej ludzie wołali i krzyczeli, niektórzy z bólu, inni z przerażenia.

Solace płonęło.

Upiorny, pomarańczowy blask rozświetlił salę. Przez rozbite okna wpadały kłęby czarnego dymu. Nozdrza Tiki wypełnił zapach płonącego drewna, wraz ze straszniejszą wonią, wonią spalonego ciała. Tika zakrztusiła się i podniósłszy głowę, zobaczyła płomyki liżące wielkie konary drzewa vallen, które podtrzymywało strop. Odgłosy skwierczenia puchnącej od gorąca politory mieszały się z wrzaskami rannych.

– Gaście pożary! – wrzeszczał co sił Otik.

– Kuchnia! – krzyczała kucharka, wybiegając zza kołyszących się na zawiasach drzwi. Kopcilo się na niej ubranie, a za jej plecami widać było jednolitą ścianę ognia. Tika chwyciła dzban piwa stojący na szynkwasiu i wylała go na sukienkę kucharki, a następnie przytrzymała ją, żeby dokładnie zmoczyć jej ubranie. Rhea osunęła się na krzesło, płacząc histerycznie.

– Uciekajcie! Wszystko zaraz spłonie! – ktoś krzyknął.

Hederick, przepychając się wśród rannych, pierwszy dopadł drzwi. Wybiegł na ganek od frontu gospody, a potem zatrzymał się jak ogłuszony i chwycił za barierkę, żeby nie upaść. Spoglądając na północ, widział płonący las, a w niesamowitym blasku płomieni widać było setki maszerujących stworów, na których błoniastych skrzydłach połyskiwało upiorne światło ognia. Piechota smokowców. Z przerażeniem przyglądał się, jak pierwsze szeregi wkraczają do Solace, świadom, że za nimi muszą być tysiące następnych. A nad nimi leciały stworzenia z bajek dla dzieci.

Smoki.

Pięć czerwonych smoków krążyło na rozświetlonym ogniem niebie. Po kolei nurkowały i paliły części miasteczka swym ognistym oddechem, rzuciwszy magiczną, nieprzeniknioną ciemność. Nie można było walczyć z nimi – wojownicy nie widzieli dość wyraźnie, by napiąć celnie łuki czy zadać cios mieczem.

Wspomnienie reszty nocy zatarło się w pamięci Tiki. Wciąż sobie powtarzała, że musi opuścić płonąca gospodę, lecz przecież to był jej dom, tu czuła się bezpieczna, a więc została tak długo, aż żar z płonącej kuchni nasilił się tak bardzo, że nie mogła oddychać bez bólu. W chwili gdy płomienie rozprzestrzeniły się do głównej sali, kuchnia zawaliła się i spadła na ziemię. Otik i barmanki wylewali kubły piwa na ogień w głównym pomieszczeniu, aż wreszcie ugasili pożar.

Kiedy przestało się palić, Tika zajęła się rannymi. Otik padł w kącie, trzęsąc się i

szlochając. Tika posłała jedną z barmanek, żeby się nim zajęła, a sama zaczęła opatrywać rannych. Pracowała przez wiele godzin, uparcie odmawiając wyjrzenia przez okno, nie dopuszczając do siebie dochodzących z zewnątrz okropnych odgłosów zagłady i zniszczeń.

Nagle zdała sobie sprawę, że napływowi rannych nie ma końca, że więcej ludzi leży na podłodze, niż było w gospodzie w chwili napaści. Podniosła głowę w otępieniu i dostrzegła stale napływających do środka ludzi. Żony pomagały mężom. Mężowie wnosili żony. Matki niosły na rękach umierające dzieci.

– Co tu się dzieje? – Tika zapytała strażnika poszukiwaczy, który wszedł, słaniając się i ściskając przeszyte strzałą ramię. Inni wpychali się za nim. – Co się dzieje? Dlaczego ci ludzie tu przychodzą?

Strażnik spojrział na nią otępiętymi, pełnymi cierpienia oczami. – To jedyny budynek – wymamrotał. – Wszystko się pali. Wszystko...

– Nie! – Tika była tak wstrząśnięta, aż nogi się pod nią ugięły. W tym momencie strażnik stracił przytomność w jej ramionach i musiała się opanować. Ostatnie, co zobaczyła, gdy wciągała mężczyznę do środka, to Hederick stojący na ganku i wpatrujący się w płonące miasto szklanymi oczami. Niepowstrzymane łzy spływały po jego wybrudzonej sadzą twarzy.

– To jakaś pomyłka – zawodził, załamując ręce. – Gdzieś musiała zajść pomyłka.

To było tydzień temu. Jak się okazało, gospoda nie była jedynym budynkiem, który ocalał. Smokowcy wiedzieli, które domy są im niezbędne, i zniszczyli te, które nie były. Gospodę, kuźnię Therosa Ironfelda i sklep oszczędzono. Kuźnia zawsze znajdowała się na ziemi, ponieważ nie byłoby mądrze mieć rozżarzone palenisko na drzewie, lecz resztę trzeba było spuścić na dół, ponieważ smokowcom niewygodnie było chodzić po drzewach.

Lord Verminaard polecił smokom zdjąć budynki. Kiedy wypalono czystą przestrzeń, jeden z olbrzymich, czerwonych potworów wbił szpony w gospodę i podniósł ją. Przy wtórze radosnych okrzyków smokowców, smok spuścił ją niezbyt łagodnie na zwęgloną trawę. Małomistrz Toede, zarządzający obecnie miastem, rozkazał Otikowi natychmiast naprawić gospodę. Smokowcy mieli jedną wielką słabość – upodobanie do mocnych napojów. Gospodę otworzono trzy dni po zajęciu miasteczka.

– Nic mi już nie jest – powiedziała Otikowi Tika. Wyprostowała się i osuszyła oczy, wycierając nos w fartuch. – Ani razu nie płakałam od tamtej nocy – powiedziała, bardziej do siebie niż do niego. Zaciśnęła wargi w wąską kreskę. – I nigdy więcej już nie zapłacę! – przysięgła, wstając od stołu.

Otik, nie rozumiejąc, lecz czując ulgę, że Tika opanowała się, nim przyszli klienci, ponownie zaczął krzątać się za szynkwasem. – Niemal już czas otworzyć – rzekł, starając się,

by zabrzmiało to wesoło. – Może dziś będziemy mieli ładny tłum.

– Jak możesz brać ich pieniądze! – wybuchła Tika.

Obawiając się kolejnego wybuchu, Otik spojrzał na nią błagalnie. – Ich pieniądze są równie dobre jak innych. W dzisiejszych czasach nawet lepsze niż większości – stwierdził.

– Też coś! – parsknęła Tika. Potrząsnęła gęstymi, rudymi lokami, maszerując gniewnie. Znając jej temperament, Otik odsunął się. Nie pomogło. Złapała go. Stuknęła go palcem w tłusty brzuch. – Jak możesz śmiać się z ich grubiańskich żartów i spełniać ich wszystkie zachcianki? – zapytała gniewnie. – Nienawidzę ich smrodu! Nienawidzę ich obleśnych min i tych zimnych, łuskowatych rąk dotykających moich dłoni! Któregoś dnia...

– Tiko, proszę! – błagał Otik. – Miej trochę względów dla mnie. Jestem za stary, żeby wywieźli mnie do kopalni! A ty – zabrałiby cię tam jutro, gdybyś tu nie pracowała. Proszę, zachowuj się uprzejmie – bądź grzeczną dziewczynką!

Tika przygryzła wargi z gniewu i frustracji. Wiedziała, że Otik ma rację. Groziło jej nie tylko wysłanie którymś z transportów niewolników, które przejeżdżały przez miasto niemal codziennie – rozgniewany smokowiec zabijał szybko i bezlitośnie. Właśnie kiedy o tym rozmyślała, drzwi otworzyły się z hukiem i zadziornym krokiem weszło sześciu smokowców. Jeden z nich zerwał z drzwi tabliczkę ZAMKNIĘTE i rzucił ją w kąt.

– Macie otwarte – powiedział stwór, padając na krzesło.

– Tak, oczywiście. – Otik uśmiechnął się blade. – Tiko...

– Widzę – powiedziała otepiąła Tika.

Rozdział II

Nieznajomy. Pojmani w niewolę!

Tego wieczoru w gospodzie nie było wielu gości. Odwiedzali ją teraz smokowcy, choć czasami i mieszkańcy Solace przychodzili się napić. Zazwyczaj nie zostawali długo, bowiem towarzystwo było im niemiłe, a wspomnienie dawnych czasów trudne do zniesienia.

Dziś gośćmi była grupa hobgoblinów, nieufnie przyglądająca się smokowcom, i trzech prymitywnie odzianych ludzi z północy. Początkowo siłą wciągnięci do armii lorda Verminaarda, obecnie walczyli dla czystej przyjemności zabijania i rabowania. W kącie kuliło się kilku mieszkańców Solace. Teokraty Hedericka nie było na jego codziennym miejscu. Lord Verminaard wynagrodził usługi Najwyższemu Teokracie, umieszczając go wśród pierwszych niewolników, których wysłano do kopalni.

Tuż o zmierzchu do gospody wszedł nieznajomy i zajął stolik w ciemnym kącie obok wejścia. Tika niewiele mogła o nim powiedzieć – był okutany w ciężką pelerynę i nosił kaptur mocno spuszczonego na twarz. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego, bowiem osunął się na krzesło, jakby już nie mógł utrzymać się na nogach.

– Co sobie życzysz? – zapytała przybysza Tika.

Mężczyzna spuścił głowę, ciągnąc jedną stronę kaptura smukłą dłonią. – Nic, dziękuję – powiedział cichym głosem z obcym akcentem. – Czy mogę posiedzieć i odpocząć? Mam się tu spotkać z kimś.

– Może kubek piwa, dopóki czekasz? – uśmiechnęła się Tika.

Mężczyzna spojrzał w górę i wtedy dostrzegła błysk brązowych oczu w głębi kaptura. – Dobrze – rzekł nieznajomy. – Jestem spragniony. Przynieś mi piwa.

Tika poszła w stronę baru. Kiedy nalewała piwa z beczki, usłyszała kolejnych gości wchodzących do gospody.

– Chwileczkę – zawołała, nie mogąc się odwrócić. – Siadźcie, gdzie macie ochotę. Przyjdę do was, kiedy tylko będę mogła! – Obejrzała się przez ramię na nowo przybyłych i niemal upuściła kufel. Tika jęknęła, a potem opanowała się. Nie zdradź ich!

– Siadajcie, gdzie chcecie, nieznajomi – powiedziała głośno.

Jeden z mężczyzn, wielki typ, miał zamiar coś powiedzieć. Tika wściekle zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową. Przeniosła wzrok na smokowców, którzy siedzieli na środku pokoju. Brodaty mężczyzna przeprowadził grupę obok smokowców, którzy przyjrzeni się przybyszom z wielkim zainteresowaniem.

Ujrzeni czterech mężczyzn i kobietę, krasnoluda i kendera. Mężczyźni mieli

wybłocone peleryny i wysokie buty. Jeden był nadzwyczaj wysoki, drugi nadzwyczaj muskularny. Kobieta, odziana w futra, szła pod rękę z wysokim mężczyzną. Wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych i przygnębionych. Jeden z mężczyzn kaszłał i wspierał się ciężko na dziwnie wyglądającej lasce. Grupa przeszła przez salę i usiadła przy stole w odległym kącie.

– Następni parszywi uciekinierzy – szydził smokowiec.

– Chociaż ludzie wyglądają zdrowo, a wszyscy wiedzą, że krasnoludowie są dobrymi robotnikami. Ciekawe, dlaczego ich jeszcze nie wysłano?

– Wyślą, jak tylko zobaczy ich Małomistrz.

– Może powinniśmy się zająć tą sprawą od razu – powiedział trzeci, patrząc wrogo w kierunku ośmiu przybyszów.

– Co tam, jestem po służbie. Nie uciekną daleko.

Pozostali roześmiali się i wrócili do picia. Przed każdym z nich stało już kilkanaście pustych naczyń.

Tika zaniósła piwo brązowookiemu nieznanemu, szybko postawiła je przed nim, a potem pośpieszyła do nowych gości.

– Co podać? – zapytała chłodno.

Wysoki, brodaty mężczyzna odpowiedział niskim, schrypniętym głosem. – Piwo i coś do jedzenia – powiedział. – I wino dla niego – wskazał głową na mężczyznę, który niemal bez przerwy kaszłał.

Wąły mężczyzna potrząsnął głową. – Gorącej wody – wyszeptał.

Tika pokiwała głową i odeszła. Z przyzwyczajenia ruszyła w stronę, gdzie dawniej znajdowała się stara kuchnia. Potem, przypomniawszy sobie, że jej już tam nie ma, zawróciła i poszła do prowizorycznej kuchni, którą wybudowały hobgobliny pod nadzorem smokowców. Kiedy już była w środku, zaskoczyła kucharkę, łapiąc całą patelnię smażonych ziemniaków z korzennymi przyprawami i niosąc ją do dużej sali.

– Kolejka piwa i kubek gorącej wody! – krzyknęła do Dezry za barem. Tika błogosławiła swą szczęśliwą gwiazdę, że Otik już poszedł do domu. – Itrum, zajmij się tamtym stolikiem – wskazała na hobgoblinów, śpiesząc z powrotem do nowo przybyłych. Postawiła z hukiem patelnię na stole, oglądając się na smokowców. Widząc, że zajęci są pić, nagle zarzuciła ramiona ogromnemu mężczyźnie na szyję i ucałowała go, aż się zaczerwienił.

– Och, Caramonie – szepnęła pośpiesznie – wiedziałam, że wrócisz po mnie! Zabierz mnie ze sobą! Proszę, proszę!

– Zaraz, zaraz, spokojnie – powiedział Caramon, poklepując ją niezdarnie po plecach i patrząc błagalnym wzrokiem na Tanisa. Pótlef szybko zainterweniował, nie spuszczać z oczu smokowców.

– Tiko, uspokój się – powiedział do niej. – Mamy widownię.

– Prawda – powiedziała żwawo i wyprostowała się, wygładzając fartuch. Rozdawszy talerze, zaczęła nakładać przyprawione ziemniaki, podczas gdy Dezra przyniosła piwo i gorącą wodę.

– Powiedz nam, co się wydarzyło w Solace – powiedział Tanis zduszonym głosem.

Tika szybko szeptem relacjonowała historię, napełniając wszystkim talerze, a Caramonowi nakładając podwójną porcję. Towarzysze słuchali w posępnej ciszy.

– I tak więc – zakończyła Tika – co tydzień wyruszają do Pax Tharkas transporty niewolników, tylko że zabrali już niemal wszystkich – zostawiając tylko wykwalifikowanych ludzi, jak Theros Ironfeld. Obawiam się o niego. – Zniżyła głos. – Zaklinał mi się zeszłego wieczoru, że nie będzie już dla nich pracował. Wszystko zaczęło się od tej grupy elfów, którą pojmano...

– Elfowie? Co robią tutaj elfowie? – spytał Tanis, odzywając się zbyt głośno ze zdumienia. Smokowcy odwrócili się i zmierzli go spojrzeniem. Zakapturzony przybysz w kącie uniósł głowę. Tanis zgarbił się i zaczekał, aż smokowcy znów wrócili do picia. Potem chciał zadać Tice jeszcze kilka pytań na temat elfów. Wtedy jeden ze smokowców wrzasnął, żeby przynieść mu piwa.

Tika westchnęła. – Lepiej pójdę już. – Odstawiła patelnię. – Zostawię to tutaj. Skończcie je.

Towarzysze jedli niechętnie, a jedzenie smakowało jak popiół. Raistlin zmieszał swój dziwny napar ziołowy i wypił go. Niemal natychmiast odczuł ulgę w kaszlu. Jedząc, Caramon obserwował Tikę w zamyśleniu. Wciąż jeszcze czuł ciepło jej ciała, gdy go obejmowała, i miękkość jej warg. Ogarnęło go przyjemne uczucie i zastanowił się, czy to, co opowiadano o Tice, jest prawdą. Myśl ta jednocześnie zasmuciła go i zezłościła.

Jeden ze smokowców odezwał się głośno. – Może nie jesteśmy mężczyznami, do jakich jesteś przyzwyczajona, kochanie – powiedział zapitym głosem, niespodziewanie obejmując Tikę w talii łuskowatą ręką. – Co nie znaczy, że nie znaleźlibyśmy sposobu, żeby cię uszczęśliwić.

Caramon wydał pomruk z głębi piersi. Posłyszawszy to, Sturm spojrzał groźnie i sięgnął po miecz. Chwyciwszy rycerza za rękę, Tanis szepnął z naciskiem – Przestańcie, obaj! Jesteśmy w okupowanym mieście! Bądź rozsądny. To nie czas na rycerskie zachowanie! Ty

też, Caramonie! Tika sama potrafi dać sobie radę.

I rzeczywiście, Tika zręcznie wymknęła się z łap smokowca i wściekle pomaszzerowała do kuchni.

– No i co teraz zrobimy? – mruknął Flint. – Wróciliśmy do Solace po zapasy, a znaleźliśmy tylko smokowców. Z mojego domu zostały ledwie zgliszcza. Tanis nie ma nawet drzewa vallen, a co dopiero mówić o domu. Mamy tylko platynowe dyski jakiejś starożytnej bogini i chorego czarodzieja z kilkoma nowymi zaklęciami. – Zignorował wściekle spojrzenie Raistlina. – Nie możemy zjeść dysków, a czarodziej nie nauczył się jeszcze wyczarowywać jedzenia z powietrza, więc nawet gdybyśmy wiedzieli, dokąd się udać, umarlibyśmy z głodu przed dotarciem na miejsce!

– Czy nadal powinniśmy iść do Haven? – spytała Goldmoon, spoglądając na Tanisa. – A jeśli tam jest równie źle? Skąd możemy wiedzieć, że rada szlachetnych poszukiwaczy jeszcze istnieje?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć – rzekł Tanis, wzdychając. Przetarł oczy dłonią. – Uważam jednak, że powinniśmy spróbować dotrzeć do Qualinesti.

Tasslehoff, znudzony rozmową, ziewnął i wyciągnął się na krześle. Nie obchodziło go, dokąd pójda. Przyjrzawszy się gospodzie z wielkim zainteresowaniem, chciał wstać i zajrzeć tam, gdzie spłonęła kuchnia, lecz przed wejściem Tanis ostrzegł go, żeby nie szukał kłopotów. Kender zadowolił się przyglądaniem innym klientom.

Natychmiast zauważył zakapturzonego i otulonego w płaszcz nieznanego, który siedział we frontowej części gospody i obserwował bardzo uważnie ich ożywioną dyskusję. Tanis podniósł głos i znów zabrzmiało słowo „Qualinesti”. Nieznajomy odstawił kufel z głuchym stukiem. Tas właśnie zamierzał zwrócić Tanisowi na to uwagę, kiedy z kuchni wyszła Tika i z rozmachem postawiła jedzenie przed smokowcami, zręcznie wymykając się ich szponiastym łapom. Potem podeszła znów do drużyny.

– Czy mógłbym dostać jeszcze ziemniaków? – zapytał Caramon.

– Oczywiście. – Tika uśmiechnęła się i wzięła patelnię, żeby zanieść ją do kuchni. Caramon poczuł na sobie wzrok Raistlina. Zaczerwienił się i zaczął się bawić widelcem.

– W Qualinest... – powtórzył Tanis głośno, spierając się ze Sturmem, który chciał udać się na północ.

Tas zobaczył, że obcy w kącie wstaje i rusza w ich stronę. – Tanisie, mamy towarzystwo – rzekł cicho kender.

Rozmowa ucichła. Spuściwszy wzrok na swe kufle, wyczuwali i słyszeli zbliżanie się nieznanego. Tanis przeklinał siebie za to, że nie zauważył go wcześniej.

Jednakże smokowcy zauważyli przybysza. Kiedy doszedł do stolika stworów, jeden ze smokowców podstawił mu nogę. Nieznajomy potknął się o nią i padł głową naprzód na najbliższy stolik. Stwory wybuchnęły głośnym śmiechem. Wtedy jeden ze smokowców dostrzegł twarz nieznanego.

– Elf! – syknął smokowiec, ściągając mu kaptur i odsłaniając migdałowe oczy, szpiczaste uszy i delikatne, męskie rysy elfiego pana.

– Pozwólcie mi przejść – rzekł elf, cofając się z podniesionymi rękoma. – Chciałem tylko przywitać się z tymi wędrowcami.

– Zaraz przywitasz się z Małomistrzem Toede, elfie – warknął smokowiec. Wstał skokiem i chwyciwszy przybysza za kołnierz płaszcza, pchnął go na kontuar. Pozostałe dwa stwory zaśmiały się głośno.

Wracająca z patelnią do kuchni Tika zbliżyła się do smokowców. – Przestańcie! – krzyknęła, chwytając jednego z nich za ramię. – Zostawcie go w spokoju. Jest klientem, który płaci. Tak samo, jak wy.

– Zajmij się swoimi sprawami, dziewczyno! – Smokowiec odepchnął Tikę na bok, a potem złapał elfa szponiastą dłonią i uderzył go w twarz dwa razy. Połała się krew. Kiedy smokowiec wypuścił go, elf zachwiał się i potrząsnął głową w oszołomieniu.

– No, zabij go – krzyknął jeden z ludzi z północy. – Niech skrzeczy jak tamci!

– Wydłubię mu te skośne oczy, ot, co zrobię! – Smokowiec wyciągnął miecz.

– Nie pozwolę dalej na to! – Sturm rzucił się pierwszy, a reszta za nim, choć wszyscy obawiali się, że nie ma już wielkiej nadziei na uratowanie elfa – byli zbyt daleko od niego. Lecz pomoc była bliżej. Z przeraźliwym krzykiem wściekłości, Tika spuściła ciężką patelnię na łeb smokowca. Rozległ się głośny łomot. Smokowiec spoglądał głupio na Tikę przez moment, a potem osunął się na podłogę. Wyciągając nóż, elf skoczył naprzód w chwili, gdy dwóch innych smokowców rzuciło się na Tikę. Sturm dobiegł do niej i uderzył jednego z nich płazem miecza. Caramon chwycił drugiego w potężne ramiona i wrzucił za bar.

– Riverwindzie! Nie wypuszczaj ich na zewnątrz! – krzyknął Tanis, widząc zrywające się hobgobliny. Mieszkaniec równin złapał jednego hobgoblina w chwili, gdy ten dotykał klamki, lecz drugi wymknął mu się. Usłyszeli, jak wzywa strażę.

Tika, wymachując nadal patelnią, stuknęła goblina w głowę. Jednak następny hobgoblin, ujrawszy nadbiegającego Caramona, wyskoczył przez okno.

Goldmoon wstała. – Użyj czarów! – rzekła do Raistlina, chwytając go za rękę. – Zrób coś!

Czarodziej spojrzał na kobietę chłodnym wzrokiem. – To beznadziejne – szepnął. –

Nie będę marnował sił.

Goldmoon zmierzyła go wściekłym spojrzeniem, lecz mag zajął się znów spokojnie pić swojego naparu. Przygryzając wargi, pobiegła do Riverwinda, trzymając w rękach sakwę z cennymi dyskami Mishakał. Słyszała dzikie granie rogów na ulicach.

– Musimy stąd uciekać! – powiedział Tanis, lecz w tej chwili jeden z ludzkich wojowników zacisnął ręce na jego szyi i pociągnął go na podłogę. Tasslehoff z dzikim okrzykiem wskoczył na kontuar i zaczął rzucać kuflami w napastnika, przy okazji o mało co nie trafiając półelfa.

Flint stał pośrodku zamieszania i przyglądał się nieznajomemu elfowi. – Ja cię znam! – wrzasnął nagle. – Tanisie, czy to nie jest...

Kufel uderzył krasnoluda w głowę, pozbawiając go przytomności.

– Ojoj! – powiedział Tas.

Tanis przydusił napastnika i zostawił nieprzytomnego pod stołem. Ściągnął Tasa z baru, postawił na podłodze i ukląkł obok Flinta, który jęczał i usiłował podnieść się.

– Tanisie, ten elf... – Flint zmrużył oczy, jeszcze oszołomiony, i zapytał: – Kto mnie uderzył?

– Ten duży gość pod stołem! – pokazał Tas.

Tanis wstał i spojrzał na elfa, którego wskazywał Flint. – Gilthanas?

Elf przyjrzał mu się. – Tanthalas – rzekł chłodno. – Nigdy bym cię nie poznał. Ta broda...

Znów rozległy się rogi, tym razem bliżej.

– Wielki Reorxie! – jęknął krasnolud, wstając z trudem. – Musimy stąd uciekać! Chodźcie! Od zaplecza!

– Tu nie ma zaplecza! – krzyknęła rozpaczliwie Tika, nie wypuszczając patelni z rąk.

– Tak – rzekł czyjś głos od drzwi. – Nie ma zaplecza. Jesteście moimi jeńcami.

W pomieszczeniu rozbłysły pochodnie. Towarzysze zasłonili oczy, dostrzegając sylwetki hobgoblinów za krępą postacią w drzwiach. Słyszeli dochodzące z zewnątrz odgłosy tupania klapiących stóp, a potem chyba z setka goblinów gapiła się przez okna i zaglądała przez drzwi. Hobgobliny, które jeszcze żyły lub były przytomne, pozbierały się i wyciągnęwszy broń, przyglądały się drużynie wygłodniałym wzrokiem.

– Sturmie, nie bądź głupcem! – krzyknął Tanis, zatrzymując rycerza, który gotów był rzucić się do ataku na skłębioną masę goblinów, tworzących powoli stalowy pierścień wokół nich. – Poddajemy się – zawołał półelf.

Sturm gniewnie spojrzał na półelfa i przez chwilę Tanis myślał, że może go nie

posłuchać.

– Proszę, Sturmie – rzekł cicho Tanis. – Zaufaj mi. Jeszcze nie nasza pora umrzeć.

Sturm zawahał się i spojrzał na goblinów stłoczonych w gospodzie. Nie podchodzili, bojąc się jego miecza i jego umiejętności, lecz wiedział, że zaatakują w masie, jeśli choćby drgnie. „Nie nasza pora umrzeć”. Cóż za dziwne słowa. Dlaczego Tanis je powiedział? Czy istnieje dla człowieka „pora, by umrzeć”? Jeśli tak, Sturm uświadomił sobie, że jeszcze nie nadeszła – w każdym razie, jeśli tylko mógł coś w tej sprawie zrobić. Śmierć w gospodzie, pod cuchnącymi, klapiastymi stopami goblinów nie była chwalebna.

Widząc, iż rycerz odłożył broń, postać w drzwiach doszła do wniosku, że może już bezpiecznie wejść. Otaczała go przecież bez mała setka wiernych żołnierzy. Przyjaciele dostrzegli szarą, plamiastą skórę i czerwone, zmrużone, świńskie oczka Małomistrza Toede.

Tasslehoff przełknął ślinę i szybko przysunął się do Tanisa.

– Z pewnością nas nie pozna – szepnął Tas. – Był już zmierzch, kiedy zatrzymano nas i pytano o laskę.

Najwyraźniej Toede nie poznał ich. Wiele wydarzyło się w ciągu tygodnia, a i bez tego Małomistrz Toede miał na głowie masę ważnych rzeczy. Wbił czerwone ślepią w odznaki rycerskie pod płaszczem Sturma. – Następni parszywi uciekinierzy z Solamnii – stwierdził Toede.

– Tak – skłamał szybko Tanis. Wątpił, czy Toede wie o zagładzie Xak Tsaroth. Domyślał się, że istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że taki pośledni dowódca będzie wiedzieć coś o dyskach Mishakal. Lecz lord Verminaard wiedział o dyskach i wkrótce dowie się o śmierci smoka. Nawet krasnolud z rozpadlin potrafiłby połączyć jedno z drugim. Nikt nie może się dowiedzieć, że przybyli ze wschodu. – Mamy za sobą wiele dni drogi z północy. Nie zamierzaliśmy sprawiać kłopotów. Zaczęli ci smokowcy...

– Tak, tak – rzekł zniecierpliwiony Toede. – Słyszałem to już przedtem. – Zmrużył nagle zezowate oczka. – Hej, ty! – krzyknął, wskazując na Raistlina. – Co tam się tak chowasz! Sprowadzić mi go, chłopcy! – Hobgoblin uczynił niespokojnie krok w stronę drzwi, mierząc Raistlina ostrożnym spojrzeniem. Kilku goblinów pobiegło na tyły gospody, wywracając stoły i ławy, by dotrzeć do wątego młodzieńca. Caramonowi wyrwał się z piersi głęboki pomruk. Tanis ostrzegł gestem wojownika, by nie tracił panowania nad sobą.

– Jazda, wstawaj! – warknął jeden z goblinów, szturchając Raistlina włócznią.

Raistlin powoli wstał i starannie pozbierał swoje sakwy. Gdy sięgnął po laskę, goblin złapał czarodzieja za chude ramię. – Nie dotykaj mnie! – zasyczał Raistlin, wyrывая się. – Jestem magiem!

Goblin zawahał się i obejrzał na Toede.

– Brać go! – wrzasnął Małomistrz, chowając się za plecami bardzo dużego goblina. – Przeprowadźcie go tutaj wraz z pozostałymi. Gdyby każdy człowiek noszący czerwone szaty był magiem, w tym kraju byłoby mnóstwo królików! Jeśli będzie stawiał opór, zadźgać go!

– Może i tak go zadźgam – zaskrzeczał goblin. Stwór przycisnął grot włóczni do gardła czarodzieja, gulgocząc ze śmiechu.

I znów Tanis powstrzymał Caramona. – Twój brat potrafi zatroszczyć się o siebie – szepnął szybko.

Raistlin uniósł ręce, rozkładając palce, jakby chciał się poddać. Nagle wypowiedział słowa *Kalith karan, tobanis-kar!* i wskazał na goblina. Małe, jaskrawo płonące strzałki z czystobiałego światła wystrzeliły z czubków palców maga, pomknęły w powietrzu i utkwily głęboko w piersi goblina. Stwór przewrócił się z wrzaskiem i leżał w konwulsjach na podłodze.

Gdy zapach spalonego ciała i włosów rozniósł się po pomieszczeniu, pozostałe gobliny skoczyły naprzód, wyjąc z wściekłości.

– Nie zabijajcie go, idioci! – wrzasnął Toede. Małomistrz wycofał się za drzwi, zasłaniając się wciąż dużym goblinem. – Lord Verminaard wypłaca niezłą nagrodę za czarodziejów. Ale... – Toede wpadł na pomysł – nasz lord nie płaci za żywych kenderów – tylko za ich języki! Zrobisz to jeszcze raz, czarodzieju, a kender zginie!

– A czymże dla mnie jest kender? – warknął Raistlin.

W sali zapadła długa cisza na jedno uderzenie serca. Tanis poczuł, że oblewa go zimny pot. Raistlin rzeczywiście potrafił zatroszczyć się o siebie! Przeklęty niech będzie ten czarodziej! Z pewnością nie takiej odpowiedzi spodziewał się również Toede, toteż nie wiedział zupełnie, co ma począć – tym bardziej, że ci wysocy wojownicy wciąż byli uzbrojeni. Spojrzał na Raistlina niemal błagalnie. Czarodziej jakby wzruszył ramionami.

– Pójdę nie stawiając oporu – szepnął Raistlin, a jego złote oczy rozbłyły. – Tylko nie dotykajcie mnie.

– Nie, oczywiście, że nie – wymamrotał Toede. – Przeprowadzić go.

Posławszy swemu dowódcy zaniepokojone spojrzenia, goblinowie pozwolili magowi stanąć obok brata.

– Czy to już wszyscy? – zapytał poirytowany Toede. – W takim razie, zabierzcie im broń i plecaki.

Tanis, mając nadzieję uniknąć dalszych kłopotów, zdjął łuk z ramienia i wraz z kołczanem położył go na ubrudzonej sadzą podłodze gospody. Tasslehoff szybko położył

swój hoopak, a krasnolud – mrużąc niechętnie – dołożył swój topór bojowy. Pozostali poszli za przykładem Tanisa, z wyjątkiem Sturma, który stał z rękoma założonymi na piersi i...

– Proszę, pozwólcie mi zatrzymać plecak – powiedziała Goldmoon. – Nie mam w nim broni ani niczego, co miałyby dla was wartość. Przysięgam!

Towarzysze odwrócili się ku niej – każdy pamiętał o bezcennych dyskach, które były w jej posiadaniu. Zapadła wymuszona, niespokojna cisza. Riverwind stanął przed Goldmoon. Odłożył łuk, lecz zachował miecz, tak samo jak rycerz.

Nagle wtrącił się Raistlin. Czarodziej odłożył laskę, sakiewki ze składnikami zaklęć i cenną torbę, w której nosił księgi magiczne. Nie martwił się o nie – na księgi rzucono ochronne zaklęcia, które powodowały, że każdy, z wyjątkiem ich właściciela, kto próbowałby je przeczytać, oszalałby, a laska Magiusa całkiem dobrze potrafiła sama się o siebie zatroszczyć. Raistlin wyciągnął ręce do Goldmoon.

– Daj im plecak – powiedział łagodnie. – Inaczej zabiją nas.

– Posłuchaj go, moja droga – zawołał pośpiesznie Toede. – To inteligentny człowiek.

– To zdrajca! – krzyknęła Goldmoon, ściskając mocno plecak.

– Daj im plecak – powtórzył hipnotycznie Raistlin.

Goldmoon poczuła, że słabnie, jakby jego dziwna moc przełamywała jej opór. – Nie! – wykrztusiła. – To nasza nadzieja...

– Wszystko będzie dobrze – szepnął Raistlin, spoglądając uważnie w jej przejrzyste, błękitne oczy. – Pamiętasz laskę? Pamiętasz, jak jej dotknąłem?

Goldmoon zmrużyła oczy. – Tak – szepnęła. – Poraziła cię...

– Szsz – ostrzegł szybko Raistlin. – Daj im torbę. Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Bogowie chronią, co do nich należy.

Goldmoon popatrzyła na czarodzieja, a następnie niechętnie pokiwała głową. Raistlin wyciągnął chude ręce, by wziąć od niej plecak. Toede przyglądał mu się chciwie, zastanawiając się, co też w nim jest. Dowie się, ale nie przy tych wszystkich goblinach.

Wreszcie została tylko jedna osoba, która nie usłuchała rozkazu. Sturm stał nieporuszony. W jego bladej twarzy gorączkowo błyszcząły oczy. Mocno ścisnął stary, dwuręczny miecz swego ojca. Nagle Sturm odwrócił się z drgnieniem, czując palący dotyk palców Raistlina na swym ramieniu.

– Zagwarantuję jego bezpieczeństwo – szepnął mag.

– Jak? – zapytał rycerz, cofając się przed Raistlinem, jak przed jadowitym wężem.

– Nie zamierzam ci tego wyjaśniać – zasyczał Raistlin. – Możesz mi zaufać lub nie, jak chcesz. Sturm zawahał się.

– To śmieszne! – zaskrzeczał Toede. – Zabić rycerza! Zabić ich wszystkich, jeśli dalej będą sprawiać kłopoty. Spać przez nich nie można!

– Dobrze – rzekł Sturm zduszonym głosem. Podszedł i z szacunkiem położył miecz na stercie broni. Jego starożytna, srebrna pochwa ozdobiona znakiem zimorodka i róży połyskiwała w świetle.

– Ach, prawdziwie piękna broń – powiedział Toede. Nagle wyobraził sobie, jak wchodzi na audiencję u lorda Verminaarda z mieczem solamnijskiego rycerza u boku. – Może powinienem sam się nim zaopiekować. Przynieście go...

Zanim zdążył dokończyć, Raistlin prędko wystąpił naprzód i ukląkł obok sterty broni. Z dłoni czarodzieja wystrzelił jaskrawy błysk. Raistlin zamknął oczy i zaczął szeptać dziwne słowa, trzymając wyciągnięte dłonie nad orężem i torbami.

– Powstrzymajcie go! – krzyknął Toede. Ale nikt się na to nie odważył.

Wreszcie Raistlin przestał mówić i spuścił głowę ze zmęczenia. Brat pośpieszył mu z pomocą.

Raistlin wstał. – Wiedźcie o tym! – rzekł czarodziej, rozglądając się po sali złotymi oczami. – Rzuciłem czar na nasze rzeczy. Każdego, kto dotknie ich, pożre powoli wielki robak Catyrrpelius, który wypełźnie z otchłani i wysysie wam krew z żył, aż będziecie niczym suche łupiny.

– Wielki robak Catyrrpelius? – jęknął Tasslehoff, któremu rozbłyły oczy. – To niewiarygodne. Nigdy nie słyszałem o...

Tanis zatkał kenderowi usta dłonią. Gobliny odsunęły się od sterty broni, która wydawała się nieomal jarzyć zieloną poświatą.

– Niech ktoś weźmie tę broń! – rozkazał Toede, wpadając w furję.

– Weź se sam – mruknął goblin.

Nikt się nie ruszył. Toede nie wiedział, co ma zrobić. Chociaż nie miał zbyt bujnej wyobraźni, jaskrawy obraz wielkiego robaka Catyrrpeliusa utkwiał mu w głowie. – Dobrze – burknął – zabierzcie jeńców! Załadować ich do klatek. I macie zabrać też tę broń, bo inaczej pożałujecie, że ten robak, jak mu tam, nie wyssał wam krwi! – Toede wymaszerował w gniewie.

Gobliny zaczęły popychać więźniów w stronę drzwi, szturchając ich w plecy mieczami. Żaden jednakże nie dotknął Raistlina.

– To wspaniałe zaklęcie, Raist – rzekł Caramon przyciszonym głosem. – Jak jest potężne? Czy mogłoby...

– Jest mniej więcej równie potężne, co siła twego rozumu! – szepnął Raistlin i

podniósł prawą dłoń. Widząc zdradzieckie, czarne ślady proszku rozblyskowego, Caramon uśmiechnął się ponuro, nagle wszystko zrozumiał.

Tanis ostatni opuścił gospodę. Po raz ostatni rozejrzał się. Pod sufitem wisiała jedna lampa. Stoły były przewrócone, krzesła połamane. Belki pod powałą były osmalone od pożaru, a w niektórych miejscach całkiem przepalone. Okna pokrywała czarna, tłusta sadza.

– Niemal szkoda, że nie zginąłem, zanim to ujrzałem.

Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał, kiedy już wychodził, była zaciekle kłótnia dwóch kapitanów hobgoblinów dotycząca tego, kto ma zabrać zaczarowaną broń.

Rozdział III

Karawana niewolników. Dziwny, stary czarodziej

Drużyna spędziła zimną, bezsenną noc zamknięta w żelaznej klatce na kołach na rynku w Solace. Do jednego ze słupów wbitych w ziemię na polanie przykuto łańcuchem trzy klatki. Drewniane słupki poczerniały od ognia i żaru, a ich podstawy były zwęglone i popękane. Na polanie nie było ani roślinki, nawet kamienie były czarne i nadtopione.

Kiedy wstał świt, drużyna ujrziała innych więźniów w klatkach. Ostatni transport niewolników z Solace do Pax Tharkas miał osobiście odprowadzić Małomistrz Toede, bowiem hobgoblin postanowił zaimponować lordowi Verminaardowi, który mieszkał w Pax Tharkas.

Pod osłoną nocy Caramon raz spróbował wygiąć pręty klatki i musiał zrezygnować.

Wczesnym porankiem podniosła się zimna mgła, skrywając zniszczone miasto przed oczami towarzyszy. Tanis spojrzał na Goldmoon i Riverwinda. Teraz ich rozumiem, pomyślał Tanis. Teraz znam tę zimną pustkę wewnątrz, która boli bardziej niż rana od miecza. Nie mam już domu.

Popatrzył na Gilthanasę skulonego w kącie. Elf nie odezwał się do nikogo tej nocy, wymawiając się, że boli go głowa i jest zmęczony. Lecz Tanis, który czuwał przez całą noc, zauważył, że Gilthanas nie spał, a nawet nie udawał, że śpi. Przygryzał dolną wargę i wpatrywał się w mrok. Ten widok przypominał Tanisowi, że miał – gdyby zechciał się do niego przyznać – jeszcze jedno miejsce, które mógł uważać za dom: Qualinesti.

Nie, pomyślał Tanis, opierając się o pręty klatki, Qualinesti nigdy nie było domem. To tylko miejsce, gdzie mieszkałem...

Z mgły wyłonił się Małomistrz Toede, zacierając tłuste dłonie i uśmiechając się dumnie od ucha do ucha na widok transportu niewolników. Może czeka go awans. Piękna zdobycz, biorąc pod uwagę, że nie bardzo było już z czego wybierać w tym wypalonym miasteczku. Lord Verminaard powinien być zadowolony, szczególnie z tej ostatniej partii. Przede wszystkim z tego ogromnego wojownika – wspaniały okaz. Zapewne będzie mógł pracować za trzech w kopalni. Ten wysoki barbarzyńca również świetnie się nada. Natomiast prawdopodobnie trzeba będzie zabić rycerza – Solamniczycy słyną z niechęci do współpracy. Za to lord Verminaard z pewnością ucieszy się z tych dwóch kobiet – bardzo odmiennych, lecz w równym stopniu urodziwych. Samemu Toede zawsze podobała się rudowłosa barmanka o powabnych, zielonych oczach, ubrana w wydekoltowaną, białą bluzkę celowo odslaniającą wystarczający obszar lekko piegowatej skóry, by kusić mężczyznę myślą o tym,

co jest dalej.

Rozmyślenia Małomistrza przerwał szcęk oręza i ochryple krzyki niesamowicie brzmiące we mgle. Krzyki przybrały na sile. Wkrótce nieomal wszyscy w karawanie niewolników obudzili się i usiłowali przeniknąć wzrokiem mgłę. Toede rzucił zaniepokojone spojrzenie na jeńców i pożałował, że nie ma pod ręką jeszcze kilku strażników. Gobliny, widząc poruszenie wśród więźniów, skoczyły na równe nogi i wymierzyły z łuków w stronę klatek.

– Co tam się dzieje? – burknął głośno Toede. – Czy ci kretyni nie potrafią nawet wziąć jednego jeńca, żeby nie podnosić takiej wrzawy?

Nagle wśród zgiełku rozległ się głośny wrzask. Był to krzyk człowieka cierpiącego, lecz którego wściekłość przewyższała wszystko inne.

Gilthanas wstał, pobladł na twarzy. – Znam ten głos – rzekł. – Theros Ironfeld. Obawiałem się tego. Od czasu masakry pomagał elfom w ucieczce. Ten Verminaard poprzysiągł zagładę wszystkim elfom... – Gilthanas obserwował reakcję Tanisa – nie wiedziałeś o tym?

– Nie! – odrzekł wstrząśnięty Tanis. – Nie wiedziałem. Skądże mógłbym?

Gilthanas umilkł i przyglądał się Tanisowi przez chwilę. – Wybacz mi – powiedział w końcu. – Wydaje się, że źle cię osądziłem. Sądziłem, że z tego powodu zapuściłeś brodę.

– Ależ skąd! – Tanis wstał jednym skokiem. – Jak śmiesz oskarżać mnie...

– Tanisie – ostrzegł Sturm.

Półelf odwrócił się i dostrzegł goblinów stłoczonych w pobliżu, celujących z łuków prosto w jego serce. Podnosząc ręce, cofnął się na swoje poprzednie miejsce. W tym samym czasie oddział hobgoblinów przyciągnął w zasięg ich wzroku wysokiego, potężnie zbudowanego mężczyznę.

– Słyszałem, że Therosa ktoś zdradził – powiedział cicho Gilthanas. – Wróciłem, żeby go ostrzec. Gdyby nie on, nigdy nie uszedłbym żywy z Solace. Miałem spotkać się z nim wczoraj wieczorem w gospodzie. Kiedy nie przyszedł, obawiałem się...

Małomistrz Toede otworzył drzwi klatki towarzyszy, wrzeszcząc i poganiając hobgoblinów, by przyprowadziły jeńca. Goblinowie pilnowali pozostałych więźniów, podczas gdy hobgoblinowie wrzucili Therosa do klatki.

Małomistrz Toede szybko zatrzasnął drzwi. – To wszystko! – zawołał. – Zaprzęgać. Wyruszamy.

Oddziały goblinów wpędziły ogromne jelenie na polanę i zaczęły zaprzęgać je do wozów. Tanis ledwo zauważał ich wrzaski i całe to zamieszanie. Wstrząśnięty, przez chwilę

całą uwagę skupił na kowalu.

Theros Ironfeld leżał nieprzytomny na przykrytej słomą podłodze klatki. Tam, gdzie powinno znajdować się jego krzepkie prawe ramię, był zmasakrowany kikut. Odrąbano mu, najwyraźniej jakimś tępym narzędziem, rękę tuż poniżej barku. Ze straszliwej rany chlustała krew i rozlewała się kałużą po podłodze klatki.

– Niech to będzie nauczka dla wszystkich, którzy pomagają elfom! – Toede zajrzał do klatki, mrużąc świńskie oczka niknące w fałdach tłuszczu. – On już nigdy nie wykuje niczego – chyba że sobie nową rękę! Ja, auu... – Wielki jeleni nadepnął na Małomistrza, zmuszając go do pośpiesznej ucieczki. Toede zwrócił się do istoty prowadzącej jelenia. – Sestun! Ty kretynie! – Toede powalił mniejsze stworzenie na ziemię.

Tasslehoff przyjrzał się stworkowi, biorąc go za bardzo małego goblina. Potem zobaczył, że jest to krasnolud żlebowy, ubrany w goblinią zbroję. Krasnolud pozbierał się, odsunął za duży hełm, który spadł mu na oczy, i popatrzył ze złością na Toede, który poczłapał na przód kolumny. Robiąc wściekłe miny, zaczął kopać błoto w jego kierunku. Najwyraźniej od tego ulżyło mu na duszy, bowiem wkrótce przestał i popędził jelenia do szeregu.

– Mój wierny przyjacielu – szepnął Gilthanas, nachylając się nad Therosem i biorąc kowala za silną, czarną dłoń.

– Przypłaciłeś swoją wierność życiem.

Theros popatrzył na niego pustymi oczami, najwyraźniej nie słysząc głosu elfa. Gilthanas usiłował opatrzyć okropną ranę, lecz krew wciąż lała się na podłogę wozu. Na ich oczach z kowala uchodziło życie.

– Nie – powiedziała Goldmoon, podchodząc i przyklękając przy kowalu. – On nie musi umrzeć. Jestem uzdrowicielką.

– Pani – rzekł zniecierpliwiony Gilthanas – nie ma takiego uzdrowiciela na Krynnie, który pomógłby temu człowiekowi. Stracił więcej krwi niż krasnolud ma w całym ciele! Jego puls jest tak słaby, że ledwo go wyczuwam. Najlepiej byłoby pozwolić mu umrzeć w spokoju, bez tych twoich barbarzyńskich obrzędów!

Goldmoon zignorowała go. Kładąc dłoń na czole Therosa, zamknęła oczy.

– Mishaka! – modliła się – umiłowana bogini uzdrawiania, udziel temu człowiekowi łaski swego błogosławieństwa. Jeśli jego przeznaczenie jeszcze się nie wypełniło, ulecz go, by mógł żyć i służyć sprawie prawdy.

Gilthanas znów zaczął protestować, chciał nawet odciągnąć Goldmoon siłą. Nagle zatrzymał się i spojrzął ze zdumieniem. Krew przestała płynąć z rany kowala, a sama rana

zaczęła się goić na oczach przyglądającego się temu elfa. Ciemna skóra Therosa ociepliła się, oddech uspokoił i wyrównał, i wydawało się, że kowal zapadł w spokojny, zdrowy sen. Rozległy się szepty i szmery zdumienia wśród innych więźniów z pobliskich klatek. Tanis rozejrzał się w obawie, że goblinowie i smokowcy mogli coś zauważyć, lecz najwyraźniej wszyscy byli zbyt zajęci zaprzęganiem opornych jeleni do wozów. Gilthanas zaszył się ponownie w swoim kącie i z zamyśleniem przyglądał się Goldmoon.

– Tasslehoffie, zbierz trochę słomy – polecił Tanis. – Caramonie, ty i Sturm pomożecie mi przenieść go w kąt.

– Proszę – Riverwind podał swój płaszcz. – Weź to i okryj go przed chłodem.

Goldmoon upewniła się, że Therosowi jest wygodnie, po czym wróciła na swe miejsce obok Riverwinda. Jej twarz promieniała odwiecznym i bezmiernym spokojem, który sprawiał, że to gadokszałtne stwory na zewnątrz wydawały się prawdziwymi więźniami.

Było już niemal południe, nim kolumna ruszyła. Goblinowie przyszli i wrzucili jedzenie do klatek – ochłapy mięsa i chleb. Nikt, nawet Caramon, nie mógł zjeść nadpsutego, cuchnącego mięsa, więc je wyrzucono. Przyjaciele pochłonęli jednak żarłocznie chleb, bowiem nie jedli niczego od zapadnięcia zmroku. Wkrótce Toede opanował sytuację i wyjeżdżając na swym kosmatym kucu, wydał kolumnie rozkaz wyruszenia. Sestun, krasnolud źlebowy, dreptał za Toede. Ujrzawszy ochłap mięsa leżący w błocie i brudzie przed klatką, zatrzymał się, chwycił go chciwie i wpakował do ust.

Każdą klatkę na kołach ciągnęły cztery jelenie. Dwaj hobgoblinowie siedzieli wysoko na prymitywnych, drewnianych podwyższeniach – jeden trzymał lejce jelenia, drugi bat i miecz. Toede zajął miejsce na przedzie kolumny, a za nim szło około pięćdziesięciu opancerzonych i ciężkozbrojnych smokowców. Kolejny oddział, liczący mniej więcej dwa razy tyle hobgoblinów, zamykał pochód, maszerując za klatkami.

Po masie zamieszania i licznych przekleństwach, kolumna wreszcie wyruszyła. Paru mieszkańców Solace, którzy jeszcze zostali, odprowadzało ją wzrokiem. Jeśli nawet znali kogoś wśród jeńców, nie pożegnali się słowem ani gestem. Twarze, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz klatek, były obliczami ludzi, którzy już nie potrafią odczuwać cierpienia. Jak Tika, przysięgli, że już nigdy nie zapłaczą.

Karawana udała się na południe od Solace, jadąc starą drogą przez przełęcz Gateway. Hobgoblinowie i smokowcy skarżyli się na podróżowanie w upale dnia, lecz poweseleli i przyspieszyli kroku, gdy wmaszerowali w cień wysokich ścian przełęczy. Chociaż jeńcom było zimno w wąwozie, mieli swoje powody, by czuć wdzięczność – nie musieli już spoglądać na swą spustoszoną ziemię ojczystą.

Był już wieczór, gdy kolumna opuściła kręte drogi wąwozu i dotarła do Gateway. Więźniowie wychylali się przez pręty, by dojrzeć kwitnące miasto handlowe. Teraz tylko dwa niskie kamienne mury, stopione i poczerniałe, stały tam, gdzie niegdyś było miasto. Nie widać było śladu żywej istoty. Jeńcy skulili się żałośnie.

Kiedy znów znaleźli się na otwartej przestrzeni, smokowcy oświadczyli, że wolą podróżować nocą, unikając słonecznego blasku. W związku z tym kolumna zatrzymywała się przed świtem tylko na krótko. Nie sposób było spać w brudnych klatkach, które trzęsły się i podskakiwały na każdym wyboju. Więźniowie cierpieli z pragnienia i głodu. Ci, którym udało się wmusić jedzenie, jakie dostali od smokowców, wkrótce je zwymiotowali. Dostawali tylko po małym kubku wody dwa lub trzy razy dziennie.

Goldmoon cały czas przebywała w pobliżu rannego kowala. Chociaż Therosowi Ironfeldowi nie groziła już śmierć, nadal był bardzo chory. Dostał wysokiej gorączki i majaczył o spustoszeniu Solace. Theros mówił o smokowcach, których ciała po śmierci zmieniały się w kałuże kwasu palącego ciała ofiar, i o smokowcach, których kości wybuchały, niszcząc wszystko w szerokim promieniu. Tanis słuchał kowala przeżywającego jeden koszmar za drugim, aż poczuł się niedobrze. Po raz pierwszy Tanis zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Jak mogli się ludzić, że mogą walczyć ze smokami, których oddech zabija i których magia przewyższa mocą zaklęcia wszystkich czarodziejów, z wyjątkiem najpotężniejszych spośród żywych? Jak mogą pokonać niezmierzone armie tych smokowców, skoro nawet ich martwe ciała miały moc zabijania?

Mamy tylko dyski Mishakał, pomyślał z goryczą Tanis – i co nam z nich przyjdzie? Zbadał je dokładnie w czasie wędrówki z Xak Tsaroth do Solace. Niemniej jednak niewiele zdołał z nich wyczytać. Chociaż Goldmoon potrafiła zrozumieć słowa dotyczące sztuki uzdrawiania, odcyfrowała niewiele więcej.

– Wszystko zostanie objawione przywódcy ludu – powiedziała z niewzruszoną wiarą.
– Moim powołaniem jest odnaleźć go.

Tanis chciałby móc dzielić jej wiarę, lecz w czasie podróży przez spustoszone ziemie, zaczął wątpić, czy jakikolwiek przywódca zdoła pokonać potęgę lorda Verminaarda.

Te obawy stanowiły zaledwie dodatek do innych problemów półelfa. Raistlin, pozbawiony swego lekarstwa, kaszlał tak bardzo, aż znalazł się w niemal równie złym stanie jak Theros. Goldmoon miała już dwóch pacjentów na głowie. Na szczęście, Tika pomagała mieszkance równin opiekować się magiem. Tika, której ojciec był na swój sposób czarodziejem, darzyła ogromnym podziwem i szacunkiem każdego, kto umiał władać magią.

W rzeczywistości to ojciec Tiki niechcący zapoznał Raistlina z jego powołaniem.

Ojciec Raistlina zabrał kiedyś małych bliźniaków i swą pasierbicę, Kitiarę, na miejscowy jarmark z okazji święta końca lata, gdzie dzieci obejrzały występ iluzjonisty Waylana Wspaniałego. Ośmioletni Caramon wkrótce zaczął się nudzić i chętnie zgodził się pójść z kilkunastoletnią przyrodną siostrą na widowisko, które jej się podobało – na popis szermierki. Raistlin, już wtedy wątpliwy i słabowity, nie przepadał za takimi czynnymi sportami. Cały dzień spędził na przyglądaniu się iluzjoniście Waylanowi. Kiedy rodzina wróciła wieczorem do domu, Raistlin zdumiał wszystkich umiejętnością bezbłędnego naśladowania każdej sztuczki. Następnego dnia ojciec zaprowadził chłopca do jednego z największych mistrzów sztuk magicznych i powierzył mu jego naukę.

Tika zawsze podziwiała Raistlina i ogromne wrażenie robiła na niej opowieść o jego tajemniczej wyprawie do osławionych Wież Wielkiej Magii. Teraz pomagała opiekować się czarodziejem z szacunku dla niego i z własnej, wewnętrznej potrzeby pomagania słabszym od siebie. Troszczyła się o niego również dlatego (jak przyznawała po cichu), że swym postępowaniem zasługiwała na uśmiech wdzięczności i życzliwości przystojnego brata Raistlina.

Tanis nie wiedział, czym się bardziej martwić – pogarszającym się stanem czarodzieja czy rozwijającym się romansem starszego, doświadczonego żołnierza i młodzianki oraz – jak Tanis przypuszczał wbrew wszelkim plotkom – niedoświadczonej, wrażliwej barmanki.

Miał również inny kłopot. Sturm, upokorzony wzięciem do niewoli i wleczeniem po okolicy jak zwierzę na rzeź, popadł w głęboką depresję i Tanis obawiał się, że już się z niej nie wydobydzie. Sturm albo cały dzień siedział, spoglądając przez kraty, albo – co chyba jeszcze gorsze – zapadał w okresy głębokiego snu, z którego nie można było go obudzić.

Wreszcie Tanis musiał poradzić sobie jakoś z wewnętrznym konfliktem, którego materialnym przejawem był elf siedzący w kącie klatki. Za każdym razem, gdy Tanis spoglądał na Gilthanasę, prześladowały go wspomnienia domu w Qualinesti. W miarę zbliżania się do ojczyzny, wyłaniały się wspomnienia, które wydawały mu się już dawno zapomniane i pogrzebane. Ich dotyk był równie mroźny, co dotyk upiorów z Mroczej Puszczy.

Gilthanas, przyjaciel z dzieciństwa – więcej niż przyjaciel, brat. Wychowani w tym samym domu i bliscy wiekiem, bawili się razem, bili się i śmiali. Kiedy siostrzyczka Gilthanasę była już wystarczająco duża, chłopcy pozwolili urocemu, jasnowłosemu dziecku przyłączyć się do ich zabaw. Jedną z najulubieńszych rozrywek tej trójki było płatanie figli starszemu bratu, Porthiosowi, silnemu i poważnemu młodzieńcowi, który w młodym wieku wziął na swe barki odpowiedzialność i smutki swego narodu. Gilthanas, Laurana i Porthios

byli dziećmi Mówcy Słońc, władcy elfów Qualinesti, które to stanowisko Porthios miał odziedziczyć po śmierci ojca.

Niektórym w królestwie elfów wydawało się dziwne, iż Mówca zechciał przygarnąć pod swój dach bękartą żony swego nieżyjącego brata po tym, jak została zgwałcona przez ludzkiego wojownika. Zmarła z żalu zaledwie kilka miesięcy po urodzeniu swego dziecka półkrwi. Jednakże Mówca, który bardzo poważnie traktował odpowiedzialność, przygarnął dziecko bez wahania. Dopiero w późniejszych latach, gdy z rosnącym niepokojem przyglądał się rozwijającemu się związkowi swej ukochanej córki z półelfim bękartem, zaczął żałować tej decyzji. Sytuacja wprawiała w zakłopotanie również Tanisa. Będąc w połowie człowiekiem, młodzieniec osiągnął dojrzałość, jakiej nie mogła zrozumieć wolniej rozwijająca się elfia panienska. Tanis dostrzegł nieszczęście, jakie musi sprowadzić ich związek na rodzinę, którą kochał. Dotknął go również wewnętrzny niepokój, który będzie go dręczył w późniejszych latach: stały konflikt pomiędzy tym, co było w nim z elfa, i tym, co z człowieka. W wieku lat osiemdziesięciu – około dwudziestu ludzkich lat – Tanis opuścił Qualinost. Mówcy nie było żal, że Tanis odchodzi. Próbował ukrywać swe uczucia przed młodym półelfem, lecz obaj wiedzieli o tym.

Gilthanas nie był tak taktowny. Z powodu Laurany w rozmowie między nimi padły gorzkie słowa. Upłynęły lata, nim słowa te przestały być tak bolesne, a Tanis nie był pewny, czy rzeczywiście zapomniał o nich ani czy je wybaczył. Najwyraźniej Gilthanas nie uczynił tego również.

Podróż tym dwóm bardzo się dłużyła. Tanis kilkakrotnie usiłował rozpocząć bez ładu i składu rozmowę, lecz natychmiast odkrył, że Gilthanas się zmienił. Młody elfi pan był zawsze otwarty i uczciwy, wesoły i pogodny. Nie zazdrościł starszemu bratu odpowiedzialności, jaką pociągała za sobą rola następcy tronu. Gilthanas był uczonym, amatorem sztuki czarodziejskiej, choć nigdy nie traktował jej tak poważnie, jak Raistlin. Był doskonałym wojownikiem, choć jak wszyscy elfowie, nie lubił walki. Bardzo był przywiązany do swej rodziny, szczególnie do siostry. Teraz siedział milczący i posepny, co było niezwykle, jak na elfa. Jedyny moment, gdy wykazał zainteresowanie czymkolwiek, nastąpił, kiedy Caramon zaczął układać plan ucieczki. Gilthanas ostro nakazał mu zapomnieć o tym, bo wszystko zaprzepaści. Gdy zażądano od niego wyjaśnień, elf zamilkł, mrużąc coś tylko o „niedogodnych szansach”.

O wschodzie słońca trzeciego dnia armia smokowców zaczęła się ociągać po długim nocnym marszu i z niecierpliwością oczekiwała na odpoczynek. Po kolejnej bezsennej nocy towarzyszy nie czekało nic, poza następnym zimnym i ponurym dniem. Jednakże

niespodziewanie klatki zatrzymały się. Tanis podniósł głowę, zdziwiony zmianą w codziennym planie. Pozostali więźniowie pobudzili się i wyrzeli przez pręty klatek.

Zobaczyli starego mężczyznę, ubranego w długie szaty, które niegdyś mogły być białe, i w zgnieciony, szpiczasty kapelusz. Wyglądało na to, że starzec rozmawia z drzewem.

– Słyszysz mnie, mówię do ciebie! – starzec pogroził wytartą laską dębowi. – Powiedziałem, żebyś poszedł stąd, i mówiłem na serio! Siedziałem sobie na tym kamieniu – pokazał na głąz – i grzałem na porannym słończku swe stare kości, kiedy miałeś czelność rzucić nań cień i wyziębic mnie! Precz stąd i to natychmiast!

Drzewo nie odpowiedziało. Nie ruszyło się również.

– Dość mam twojej bezczelności! – Starzec zaczął okładać drzewo laską. – Precz, bo... bo...

– Niech ktoś zamknie tego wariata do klatki! – krzyknął Małomistrz Toede, nadjeżdżając galopem z czoła kolumny.

– Precz ode mnie z łapami! – wrzasnął starzec do smokowców, który podbiegli i szarpnęli go. Bił ich niezdarnie laską, dopóki mu jej nie odebrali. – Aresztujcie to drzewo! – domagał się. – Pod zarzutem zasłaniania słońca!

Smokowcy bezceremonialnie wepchnęli starca do klatki towarzyszy. Potknąwszy się o własne szaty, starzec upadł.

– Nic ci nie jest, starcze? – zapytał Riverwind, pomagając mu usiąść.

Goldmoon odeszła na chwilę od Therosa. – Proszę, dziadku

– powiedziała cicho. – Nie jesteś ranny? Jestem kapłanką...

– Mishakal! – powiedział, patrząc na amulet, który miała na szyi. – Wielce interesujące. Ohoho. – Popatrzył na nią ze zdumieniem. – Nie wyglądasz na trzysta lat!

Goldmoon mrugnęła oczami, nie wiedząc, jak zareagować.

– Skąd wiedziałaś? Czy poznałaś... Nie mam trzystu lat... – Była coraz bardziej zdezorientowana.

– Oczywiście, że nie. Przepraszam moja droga. – Staruszek poklepał ją po dłoni. – W towarzystwie nie mówi się o wieku damy. Wybacz mi. To się więcej nie powtórzy. Taki nasz mały sekret – rzekł przenikliwym szeptem. Tas i Tika zaczęły chichotać. Starzec rozejrzał się. – Miło z waszej strony, że zatrzymaliście się, żeby mnie podwieźć. Daleka jest droga do Qualinostu.

– Nie jedziemy do Qualinostu – rzekł ostro Gilthanas.

– Jesteśmy jeńcami i jedziemy do kopalni w Pax Tharkas.

– Taak? – Starzec rozejrzał się niezbyt przytomnym wzrokiem. – Czyżby więc miała

wkrótce jechać jakaś inna grupa? Mógłbym przysiąc, że to właśnie ta.

– Jak ci na imię, dziadku? – spytała Tika.

– Moje imię? – Staruszek zawahał się i zmarszczył czoło. – Fizban? Tak, właśnie.

Fizban.

– Fizban! – powtórzył Tasslehoff, gdy klatka drgnęła i ponownie ruszyła. – To nie jest imię!

– Nie? – spytał z żalem stary mężczyzna. – Wielka szkoda. Tak je lubiłem.

– Sądzę, że to wspaniałe imię – powiedziała Tika, mierząc gniewnym spojrzeniem Tasa. Kender cofnął się do kąta, spoglądając na sakwy wiszące na ramieniu staruszka.

Nagle Raistlin zaczął kaszleć i uwaga wszystkich skupiła się na nim. Jego ataki kaszlu stawały się coraz gorsze. Był wyczerpany i widać było, że cierpi. Jego skóra płonęła w dotyku. Goldmoon nie potrafiła mu pomóc. Coś spalało maga od wewnątrz i kapłanka nie mogła tego wyleczyć. Caramon przykląkł przy bracie i wytarł krople krwawej śliny z jego warg.

– Musi dostać tę miksturę, którą zwykle pije! – Caramon podniósł głowę i popatrzył żałośnie. – Nigdy nie widziałem go w tak złym stanie. Jeśli nie posłuchają głosu rozsądku... – zwalisty mężczyzna spojrzął wściekle – rozbiję im łby! Nie obchodzi mnie, ilu ich tam jest!

– Porozmawiamy z nimi, kiedy zatrzymamy się na noc – obiecał Tanis, choć domyślał się, jaka będzie odpowiedź Małomistrza.

– Wybaczcie mi – powiedział staruszek. – Czy mogę?

– Fizban usiadł przy Raistlinie. Położył dłoń na czole maga i rzekł kilka słów srogim tonem. Caramon, który nasłuchiwał uważnie, usłyszał „Fistandan...” i „jeszcze nie czas”. Z pewnością nie była to modlitwa o uzdrowienie, jakiej próbowała Goldmoon, lecz ogromny mężczyzna zobaczył, że jego brat zareagował! Jednakże reakcja była zdumiewająca. Powieki Raistlina zadrżały i uniosły się. Mag popatrzył na starca z dzikim przerażeniem i chudą, wątlą dłonią chwycił Fizbana za nadgarstek. Przez chwilę wydawało się, że Raistlin zna starca, a potem Fizban przesunął dłonią przed oczami maga. Wyraz przerażenia ustąpił, zastąpiony dezorientowaniem.

– Się ma – uśmiechnął się szeroko Fizban. – Nazywam się... ee... Fizban. – Posłał wyzywające spojrzenie Tasslehoffowi, jakby czekał, czy kender odważy się zaśmiać.

– Jesteś... czarodziejem! – szepnął Raistlin. Kaszel ustąpił.

– No, tak jakby, chyba jestem.

– Je też jestem czarodziejem! – powiedział Raistlin, podnosząc się do pozycji siedzącej.

– Bez żartów! – Fizban sprawiał wrażenie ogromnie ucieszonego. – Jaki ten Krynny mały. Będę musiał nauczyć cię kilku moich zaklęć. Mam takie jedno... kula ognista... zaraz, jak to szło?

Starzec głądził jeszcze długo po tym, jak karawana zatrzymała się o wschodzie słońca.

Rozdział IV

Ocaleni! Czary Fizbana.

Raistlin cierpiał na ciele, Sturm cierpiał męki duchowe, lecz najprawdopodobniej czterodniowa niewola była największą udręką dla Tasslehoffa.

Najokrutniejszą torturą, jaką można zadać kenderowi, jest zamknięcie go. Oczywiście, powszechnie również uważa się, że najokrutniejszą męczarnią, jaką można zadać każdemu innemu rodzajowi istot, jest zamknięcie ich z kenderem. Po trzech dniach nieprzerwanej gadaniny Tasslehoffa, jego psot i dokuczliwych figli, towarzysze z radością zamieniliby towarzystwo kendera na miłą godzinkę łamania kołem – przynajmniej tak stwierdził Flint. Wreszcie, kiedy nawet Goldmoon nie wytrzymała nerwowo i omal go nie spoliczkowała, Tanis odesłał Tasa na tył wozu. Spuściwszy nogi na zewnątrz, kender przycisnął twarz do żelaznych prętów i pomyślał, że umrze z żalości. Nigdy jeszcze w ciągu swego życia nie nudził się tak strasznie.

Sytuacja zrobiła się ciekawsza po odkryciu Fizbana, lecz wartość rozrywkowa staruszka zmalowała, kiedy Tanis polecił Tasowi zwrócić sakiewki staremu czarodziejowi. Tak więc, doprowadzony do desperacji Tasslehoff znalazł sobie nową rozrywkę. Był nią Sestun, krasnolud żlebowy.

Drużyna, ogólnie rzecz biorąc, odnosiła się do Sestuna z pełnym rozbawieniem i politowaniem. Krasnolud był obiektem drwin Toede i jego popychadłem. Przez całą noc biegał na posyłki dla Małomistrza. Nosił wiadomości od Toede na początku kolumny do kapitana hobgoblinów na końcu, dźwigał Małomistrzowi jedzenie z wozu zaopatrzeniowego, karmił i poił kuca Małomistrza i wykonywał wszystkie najpodlejsze prace, jakie Małomistrzowi wpadły do głowy. Toede przewracał go kopniakami przynajmniej trzy razy dziennie, smokowcy dokuczali mu, a hobgobliny kradły mu jedzenie. Nawet jelenie kopały go za każdym razem, gdy truchcikiem przebiegał obok nich. Krasnolud znosił to wszystko z taką zawziętością i niezłomnością ducha, że wzbudził w towarzyszach sympatię.

Sestun zaczął przebywać w towarzystwie drużyny, kiedy tylko nie był zajęty. Tanis, który chciał dowiedzieć się czegoś o Pax Tharkas, wypytywał go o jego ojczyznę, i jak to się stało, że zaczął pracować dla Małomistrza. Opowiadanie zajęło Sestunowi jeden dzień, a drugi dzień drużyna spędziła na składaniu tej opowieści w jedną całość, jako że krasnolud rozpoczął od środka, a następnie popędził na złamanie karku ku początkowi. Jednakże to, co wreszcie wywnioskowali z tej opowieści, okazało się niewiele warte. Sestun należał do dużej grupy krasnoludów żlebowych, która zamieszkiwała wzgórza w pobliżu Pax Tharkas, kiedy

lord Verminaard i jego smokowcy zajęli kopalnie żelaza, niezbędne mu do wyrobu stali na broń dla swych wojsk.

– Duży ogień – cały dzień, cała noc. Wstrętnie cuchnie. – Sestun skrzywił nos. – Tłuc kamienie. Cały dzień, cała noc. Ja dostać dobra praca w kuchni – na moment jego twarz rozpromieniła się – robić gorąca zupa. Bardzo gorąca. – Znów spochmurniał. – Ja wylać zupa. Gorąca zupa nagrzewa zbroja bardzo szybko. Lord Verminaard spać na plecach przez tydzień. – Westchnął. – Ja pojechać z Małomistrzem. Na ochotnika.

– Może udałoby się nam zamknąć kopalnię – zasugerował Caramon.

– To jest myśl – zastanawiał się Tanis. – Ilu smokowców lord Verminaard postawił na straży kopalni?

– Dwa! – powiedział Sestun, pokazując dziesięć brudnych palców.

Tanis westchnął, przypomniawszy sobie, gdzie już to słyszał.

Sestun popatrzył na niego z nadzieją. – Tam też być tylko dwa smoka.

– Dwa smoki! – rzekł z niedowierzaniem Tanis.

– Nie więcej niż dwa.

Caramon jęknął i wycofał się. Od czasu Xak Tsaroth wojownik na serio zaczął rozmyślać o walce ze smokami. Razem ze Sturmem omówili każdą opowieść o Humie, jedynym znanym pogromcy smoków, o którym rycerz pamiętał. Na nieszczęście, nigdy przedtem nikt nie traktował poważnie legendy o Humie (z wyjątkiem rycerzy solamnijskich, za co drwiono z nich), tak więc duża część opowieści o Humie uległa zniekształceniu przez czas lub zapomnieniu.

– Rycerz prawy i mocny, który wezwał samych bogów i wykuł potężną Smoczą Lancę – szepnął Caramon, spoglądając na Sturma, który pogrążony we śnie leżał na zasłanej słomą podłodze ich więzienia.

– Smocza Lanca? – wymamrotał Fizban i chrapnąwszy, zbudził się. – Smocza Lanca? Ktoś tu mówił o Smoczej Lancy?

– Mój brat – szepnął Raistlin, uśmiechając się gorzko.

– Cytuje kantyczkę. Wygląda na to, że wraz z rycerzem upodobali sobie dziecinne opowieści, które teraz ich prześladowają.

– To dobra opowieść, ta o Humie i Smoczej Lancy – powiedział staruszek, gładząc się po brodzie.

– No właśnie, to tylko opowieść. – Caramon ziewnął i podrapał się po piersi. – Kto to może wiedzieć, czy jest prawdziwa, czy Smocza Lanca była prawdziwa, i czy nawet Huma żył naprawdę.

– Wiemy, że smoki są prawdą – szepnął Raistlin.

– Huma żył naprawdę – rzekł cicho Fizban. – Smocza Lanca też jest prawdą. – Starzec posmutniał.

– Doprawdy? – Caramon podniósł się do pozycji siedzącej. – Potrafisz ją opisać?

– Oczywiście! – Fizban parsknął wyniośle. Teraz już wszyscy przysłuchiwali się. Prawdę mówiąc, publiczność nieco wprawiła Fizbana w zakłopotanie.

– Była to broń podobna do – nie, nie tak. W rzeczy samej była – nie, taka też nie była. Bliższa była... niemal... prawie całkiem, zupełnie jakby – lanca, tak właśnie! Lanca! – Pokiwał głową z przejęciem. – I była całkiem dobra na smoki.

– To ja się zdrzemnę – mruknął Caramon.

Tanis uśmiechnął się i potrząsnął głową. Opierając się plecami o prety, przymknął znużone oczy. Wkrótce wszyscy, z wyjątkiem Raistlina i Tasslehoffa, zapadli w niespokojny sen. Kender, bynajmniej nie śpiący i bardzo znużony, spojrzął z nadzieją na Raistlina. Czasami, kiedy Raistlin był w dobrym humorze, opowiadał historie o czarodziejach z dawnych czasów. Jednakże zawinięty w swe czerwone szaty mag spoglądał jakoś dziwnie na Fizbana. Staruszek siedział na ławie i pochrapywał delikatnie, a głowa kiwała mu się w takt podskakiwania wozu na wybojach. Raistlin zmrużył złote oczy w połyskliwe szparki, jakby nasunęła mu się jakaś nowa i niepokojąca myśl. Po chwili naciągnął na głowę kaptur i oparł się o ścianę, chowając twarz w cieniu.

Tasslehoff westchnął. Potem obejrzał się i zauważył Sestuna wędrującego obok klatki. Kender poweselał. Był pewien, że oto słuchacz, który doceni jego opowieści.

Zawoławszy go, Tasslehoff zaczął opowiadać jedną ze swych ulubionych historyjek. Oba księżyce zaszyły. Więźniowie spali. Hobgobliny snuły się sennie za kolumną, rozmawiając o rozbiciu wkrótce obozowiska. Małomistrz Toede jechał na czele karawany, marząc o awansie. Za plecami Małomistrza smokowcy mamrotali coś w swym chrapliwym języku, posyłając Toede złowrogie spojrzenia, kiedy nie patrzył na nich.

Tasslehoff siedział, machając nogami spuszczoneymi na zewnątrz klatki, i rozmawiał z Sestunem. Nie zwracając na siebie uwagi kender zauważył, że Gilthanas tylko udaje, że śpi. Tas zobaczył, że elf otwiera oczy i szybko rozgląda się, kiedy wydaje mu się, że nikt go nie widzi. Ogromnie to zaintrygowało Tasa. Odnosiło się niemal wrażenie, jakby Gilthanas czuwał albo wyczekiwał na coś. Kender zgubił wątek swojej opowieści.

– No więc... eee... wyciągnąłem kamyk z torby, rzuciłem go i... bęc, trafiłem czarodzieja prosto w czoło – zakończył szybko Tas. – Demon złapał czarodzieja za nogę i zaciągnął go na dno otchłani.

– Ale najpierw demon tobie podziękować – podsunął Sestun, który słyszał już tę historię dwukrotnie w różnych odmianach. – Ty zapomnieć.

– Doprawdy? – zapytał Tas, nie spuszczając Gilthanasa z oczu. – No, tak, demon podziękował mi i zabrał magiczny pierścień, który mi dał. Gdyby nie było ciemno, zobaczyłbyś ślad, jaki pierścień wypalił na moim palcu.

– Słońce górzy. Rano być szybko. Wtedy ja zobaczyć – rzekł z przejęciem krasnolud.

Wciąż panował jeszcze mrok, lecz blade światło na wschodzie dawało znać, iż wkrótce wstanie ranek czwartego dnia ich podróży. Nagle Tas posłyszał głos ptaka w lesie. Odpowiedziało mu kilka innych. Cóż za dziwnie brzmiące ptaki, pomyślał Tas. Nigdy nie słyszał podobnych. Ale też nigdy nie był tak daleko na południe. Orientował się, gdzie są, dzięki jednej ze swoich licznych map. Minęli jedyny most na rzece Białego Gniewu i jechali prosto na południe do Pax Tharkas, które było zaznaczone na mapie kendera jako miejsce słynnych tharkadańskich kopalni żelaza. Okolica stała się górzysta, a na zachodzie pojawiły się gęste osikowe lasy. Smokowcy i hobgoblinowie przyglądali się zaroślom niespokojnie i przyspieszyli kroku. W głębi tych lasów kryło się Qualinesti, prastara kraina elfów.

Znów rozległ się ptasi krzyk, tym razem bliżej. Potem Tasslehoffowi włosy stanęły dęba na karku, gdy ten sam ptasi okrzyk usłyszał tuż za swymi plecami. Kender odwrócił się i zobaczył Gilthanasa, który wstał, przyłożył palce do warg i świsnął przenikliwie.

– Tanisie! – zawołał Tas, lecz półelf już nie spał. Podobnie wszyscy pozostali w wozie.

Fizban podniósł się, ziewnął i rozejrzał dookoła. – O, świetnie – rzekł pogodnie – są już elfowie.

– Jacy elfowie – gdzie? – Tanis podniósł się do pozycji siedzącej.

Nagle rozległo się furkotanie, jakby stadko przepiórek zerwało się do lotu. Ktoś krzyknął od strony wozu zaopatrzeniowego, a następnie rozległ się trzask, gdy wóz, pozbawiony już woźnicy, wjechał w koleinę i przewrócił się. Powożący ich klatką szarpnął mocno za lejce, zatrzymując jelenia nim wjechał na rozbity wóz. Klatka przechyliła się niebezpiecznie, więźniowie upadli na podłogę. Woźnica znów popędził jelenia i objechał przeszkodę.

Nagle woźnica klatki wrzasnął i złapał się za szyję, w której utkwił pierzasty bełt strzały, widoczny na tle ledwo rozświetlonego porannego nieba. Ciało stoczyło się z kozła. Drugi strażnik wstał z wyciągniętym mieczem, lecz i on poleciał naprzód ze strzałą w piersi. Jeleń, poczuwszy puszczone luzem wodze, zwolnił kroku, aż wreszcie klatka zatrzymała się. Wzdłuż i wszerz kolumny słychać było wrzaski i krzyki, a w powietrzu świszczą strzały.

Towarzysze padli na podłogę klatki twarzami do ziemi, żeby się skryć przed pociskami.

– Co się stało? Co się dzieje? – Tanis zapytał Gilthanasa.

Jednakże elf nie zwracał na niego uwagi i spoglądał w stronę lasu pogrążonego w porannym mroku. – Porthiosie! – zawołał.

– Tanisie, co się tu dzieje? – Sturm podniósł się, odzywając się po raz pierwszy od czterech dni.

– Porthios jest bratem Gilthanasa. Zdaje się, że to ma być ratunek – rzekł Tanis. Strzała świsnęła obok i utkwiała w drewnianej ścianie wozu, o mało co nie trafiając rycerza.

– Niewiele nam przyjdzie z takiego ratunku, jeśli nas pozabiją! – Sturm rzucił się na podłogę. – Sądziłem, że elfowie są wspaniałymi łucznikami!

– Nie podnoście się – rozkazał Gilthanas. – Strzały służą tylko do odwrócenia uwagi od naszej ucieczki. To tylko lotny napad. Moi ludzie nie są w stanie zaatakować bezpośrednio dużego oddziału. Musimy być gotowi do ucieczki w las.

– A jak się wydostaniemy z klatek? – zapytał Sturm.

– Nie możemy zrobić za was wszystkiego! – odparł Gilthanas chłodno. – Macie czarodziejów.

– Nie mogę nic zdziałać bez składników zaklęć! – zasyczał Raistlin spod ławy. – Nie podnoś się, dziadku – powiedział do Fizbana, który podniósł głowę i rozglądał się z ciekawością.

– Może potrafiłbym pomóc – stwierdził stary czarodziej i rozpromieniły mu się oczy. – Niech no tylko pomyślę...

– W imię otchłani, co tu się dzieje? – ryknął czyjś głos z ciemności. Małomistrz Toede przygłospował na swym kucu. – Dlaczego zatrzymaliśmy się?

– Napadnięto na nas! – wrzasnął Sestun, wyczołgując się spod klatki, gdzie się schował.

– Napad? *Blyxtshok!* Ruszać mi zaraz tym wozem! – krzyknął Toede. W siodle Małomistrza utkwiała strzała. Toede otworzył czerwone oczka i popatrzył z przestachem na las. – Napadnięto na nas! Elfowie! Chcą uwolnić więźniów!

– Woźnica i strażnik nieżywi! – krzyknął Sestun, płaszcząc się pod ścianą klatki, gdy kolejna strzała o mało co go nie trafiła. – Co robić?

Strzała świsnęła nad głową Toede. Schylając się, musiał chwycić kuca za kark, żeby nie spaść. – Sprowadzę nowego woźnicę – powiedział pośpiesznie. – Ty zostaniesz tutaj.

Strzeż tych więźniów. Odpowiadasz za nich życiem! Pociągnę cię do

odpowiedzialności, jeśli uciekną.

Małomistrz dźgnął kuca ostrogami i oszalałe z przerażenia zwierzę skoczyło przed siebie. – Moje straże! Hobgobliny! Do mnie! – wrzasnął Małomistrz, galopując na tyły kolumny. Jego krzyki rozbrzmiewały echem. – Setki elfów! Jesteśmy otoczeni. Szarżować na północ! Muszę donieść o tym lordowi Verminaardowi. – Toede ściągnął wodze kuca na widok kapitana smokowców. – Wy, smokowcy, zajmiecie się więźniami! – Popędził konia ostrogami, wciąż krzycząc, i setka hobgoblinów ruszyła ławą za swym walecznym dowódcą w kierunku przeciwnym do tego, w którym toczyła się bitwa. Wkrótce znikli z oczu.

– Cóż, przynajmniej mamy spokój z hobgoblinami – rzekł Sturm i uśmiechnął się, rozluźniwszy nieco. – Teraz musimy martwić się tylko o jakichś pięćdziesięciu smokowców. Tak przy okazji, nie sędzę, żeby tam w lesie była setka elfów, czy się nie mylę?

Gilthanas pokręcił głową. – Raczej dwudziestu.

Tika, która leżała na płask na podłodze, ostrożnie uniosła głowę i spojrzała na południe. W bladym porannym świetle dostrzegła niezgrabne postaci smokowców jakieś półtora kilometra przed nimi. Schowali się w zaroślach po obu stronach drogi, gdy elfi łucznicy zaczęli szyc z łuków w ich szeregi. Dotknęła ramienia Tanisa i wskazała na nich.

– Musimy się wydostać z klatki – rzekł Tanis, odwracając się. – Smokowcy nie zadadzą sobie trudu, żeby zabierać nas do Pax Tharkas, kiedy Małomistrz uciekł. Wymordują nas po prostu w klatkach. Caramonie?

– Spróbuję – mruknął wojownik. Wstał i chwycił pręty klatki w swe potężne dłonie. Zamknąwszy oczy, zaczerpnął głęboko tchu i spróbował rozgiąć pręty. Twarz mu nabiegła krwią, muskuły na ramionach' nabrzmiały, kostki palców na wielgachnych dłoniach zbieleły. Nic z tego. Sapiąc i dysząc, Caramon zwałił się na podłogę.

– Sestunie! – krzyknął Tasslehoff. – Twój topór! Rozbij kłódkę!

Krasnolud żlebowy wybałuszył oczy. Popatrzył na towarzyszy, a potem na drogę, gdzie zniknął Małomistrz. Twarz wykrzywiała mu udręka niezdecydowania.

– Sestunie... – zaczął Tasslehoff. Obok kendera przemknęła ze świstem strzała. Smokowcy posuwali się naprzód, strzelając do wnętrza klatek. Tas rozpląszczył się na podłodze.

– Sestunie – znów zaczął – pomóż nam uwolnić się, a będziesz mógł pójść z nami!

Twarz Sestuna przybrała zdecydowany wyraz stanowczości. Krasnolud sięgnął po siekiere, którą miał przytroczoną na plecach. Przygryzając z frustracji paznokcie, przyjaciele przyglądali się, jak Sestun klepie się po plecach, szukając siekiery, która była umieszczona dokładnie pomiędzy jego łopatkami. Wreszcie jedną dłonią natrafił na drzewce i wyciągnął ją.

W szarym świetle poranka błysnęło ostrze.

Flint ujrzał je i jęknął. – Ten topór jest starszy ode mnie! Pochodzi chyba z czasów kataklizmu! Pewno nie zdołałby rozbić pustej głowy kendera, a co dopiero ten zamek!

– Cicho! – polecił Tanis, choć i on zwątpił na widok broni krasnoluda żlebowego. Nie był to nawet topór bojowy, a po prostu poobijana, zardzewiała siekierka, którą krasnolud gdzieś znalazł i wziął sobie, myśląc, że to broń. Sestun wsadził siekierę między kolana i splunął w dłoń.

Strzały zagrzecotały o pręty klatki. Jedna stuknęła o tarczę Caramona. Inna drasnęła Tikę w ramię, przyszpilając jej bluzkę do ściany klatki. Tika nigdy w życiu nie czuła się tak przerażona – nawet tej nocy, gdy smoki napadły na Solace. Chciała krzyczeć, chciała, żeby Caramon objął ją. Ale Caramon nie odważył się ruszyć z miejsca.

Tika dostrzegła, że Goldmoon, blada, lecz opanowana, osłania rannego Therosa własnym ciałem. Tika zacisnęła wargi i odetchnęła głęboko. Zdecydowanie wyszarpnęła strzałę z drewna i rzuciła ją na podłogę, ignorując szczypiący ból w ręce. Oglądając się na południe, zobaczyła, że smokowcy, chwilowo rozproszeni niespodziewanym atakiem i zniknięciem Toede, przegrupowali się i zbliżali biegiem do klatek. W powietrzu świszczą od ich strzał. Napierśniki smokowców połyskiwały w słabym, szarym świetle poranka, tak samo jak jasna stal ich długich mieczy, które podczas biegu trzymali w paszczach.

– Zbliżają się smokowcy – zawiadomiła Tanisa, starając się opanować drżenie głosu.

– Pośpiesz się, Sestunie! – krzyknął Tanis.

Krasnolud żlebowy chwycił siekierę, zamachnął się z całych sił i zamiast w zamek, trafił w pręty klatki. Cios nieomal wytrącił mu narzędzie z rąk. Wzruszając przepaszając ramionami, Sestun zamachnął się jeszcze raz. Tym razem trafił w cel.

– Nawet nie wgniótł go – stwierdził Sturm.

– Tanisie – Tika zadrżała, pokazując coś. Kilku smokowców było już w odległości trzech metrów od nich i choć chwilowo powstrzymywał ich ostrzał elfich łuczników, wydawało się, że przyjaciele nie mają szans na ucieczkę.

Sestun znów uderzył w zamek. – Wyszczерbił go – rzekł poirytowany Sturm. – W tym tempie wydostaniemy się za jakieś trzy dni! Co tam robią ci elfowie? Dlaczego nie przestaną się wreszcie kryć i nie przejdą do ataku?

– Nie mamy dość ludzi, by zaatakować oddział tej wielkości! – odparł gniewnie Gilthanas, przykucając przy rycerzu. – Dotrą do nas, kiedy będą mogli! Jesteśmy na początku kolumny. Spójrz, reszta ucieka.

Elf wskazał na dwa wozy za nimi. Elfowie wyłamali zamki i więźniowie rzucili się do

ucieczki w las, osłaniany przez elfów, którzy wyskakiwali spomiędzy drzew, by wypuścić morderczy grad strzał. Jednak gdy tylko więźniowie znaleźli się w bezpiecznym miejscu, elfowie cofali się między drzewa.

Smokowcy nie zamierzali udawać się w pościg w głąb elfiego lasu. Spojrzeli na ostatnią klatkę i wóz, na którym były rzeczy należące do jeńców. Towarzysze słyszeli okrzyki przywódców. Ich sens był jasny: „Zabić jeńców. Podzielić łupy”.

Wszyscy widzieli, że smokowcy dotrą do nich dużo wcześniej niż elfowie. Tanis zaklął z frustracji. Wszystko wydawało się takie bezcelowe. Poczul, że ktoś kręci się u jego boku. Stary czarodziej Fizban zaczął się podnosić.

– Nie, staruszkule! – Raistlin złapał Fizbana za szatę. – Nie wychylaj się!

Świsnęła strzała i utknęła w wymiętym i obszarpanym kapeluszu starca. Fizban, mamroczący coś do siebie, zdawał się tego nie zauważać. W szarym blasku poranka widać go było jak na dłoni. Strzały smokowców przelatywały wokół niego jak osy i zdawały się odnosić równie mizerny skutek, choć czarodziej sprawiał wrażenie lekko rozzłoszczonego, gdy jedna z nich przebiła sakiewkę, którą w tym momencie trzymał w dłoni.

– Na ziemię! – ryknął Caramon. – Ściągasz na siebie strzały!

Fizban przyklęknął na chwilę, lecz tylko po to, by zamienić kilka słów z Raistlinem. – Powiedz no, mój chłopcze – rzekł w chwili, gdy strzała przeleciała obok, dokładnie w miejscu, gdzie stał przed chwilą. – Nie masz przypadkiem przy sobie trochę guana nietoperza? Mnie się skończyło.

– Nie, staruszkule – szepnął rozpaczliwie Raistlin. – Schyl się!

– Nie? Szkoda. Cóż, będę musiał coś wykombinować. – Stary czarodziej wstał, zaparł się mocno stopami w podłogę i podciągnął rękawy szaty. Zamknął oczy, wskazał na drzwi klatki i zaczął mamrotać dziwne słowa.

– Jakie zaklęcie on rzuca? – Tanis zapytał Raistlina. – Rozumiesz je?

Młody czarodziej słuchał uważnie, marszcząc czoło. Nagle Raistlin otworzył szeroko oczy. – NIE! – wrzasnął, usiłując szarpnąć starego czarodzieja za szatę, by wytrącić go ze skupienia. Było już jednak za późno. Fizban wypowiedział ostatnie słowo i wskazał palcem na zamek w tylnych drzwiach klatki.

– Kryć się! – Raistlin skoczył pod ławę. Sestun widząc, że stary mag wyciąga rękę w kierunku drzwi klatki – i niego po drugiej ich stronie – padł plackiem na ziemię. Dotarli do drzwi klatki, trzej smokowcy, którzy trzymali ociekającą śliną broń, stanęli jak wryci, zdjęci trwogą.

– Co to jest? – zawołał Tanis.

– Kula ognista! – jęknął Raistlin i w tym momencie olbrzymia kula żółto-pomarańczowego ognia wystrzeliła z czubków palców starego maga i trafiła w drzwi klatki z donośnym hukiem. Tanis zasłonił twarz dłońmi, a wokół niego zakłębiły się i zatrzeszczały płomienie. Omyła go fala żaru, który palił jego płuca. Usłyszał przeraźliwy wrzask smokowców i poczuł zapach palonego gadziego ciała. Potem wciągnął dym do płuc.

– Podłoga się pali! – wrzasnął Caramon.

Tanis otworzył oczy i chwiejnie stanął na nogach. Spodziewał się zobaczyć zamiast starego czarodzieja tylko kupkę czarnego popiołu, jak po ciałach smokowców, leżących za wozem. Jednakże Fizban stał, przyglądając się żelaznym drzwiom, i z konsternacją gładził nadpaloną brodę. Drzwi były nadal zamknięte.

– To naprawdę powinno było podziałać – stwierdził.

– Co z tym zamkiem? – zawołał Tanis, usiłując zobaczyć coś w dymie. Żelazne pręty klatki już rozżarzyły się do czerwoności.

– Nie puść! – krzyknął Sturm. Próbował zbliżyć się do drzwi, by otworzyć je kopniakiem, lecz uniemożliwiał to żar promieniujący od prętów. – Zamek może być wystarczająco rozgrzany, żeby pęknąć! – Zakrztusił się od dymu.

– Sestunie! – Przenikliwy głos Tasslehoffa niósł się ponad trzaskiem płomieni. – Spróbuj jeszcze raz! Pospiesz się!

Krasnolud podniósł się chwiejnie, zamachnął siekierą, nie trafił, zamachnął ponownie i uderzył w zamek. Przegrzany metal roztrzaskał się, zamek puścił i drzwi klatki otworzyły się.

– Tanisie, pomóż nam! – krzyknęła Goldmoon, usiłując wraz z Riverwindem wyciągnąć rannego Therosa z dymiącego posłania.

– Sturmie, pozostali! – zawołał Tanis, a potem zakaszłał od dymu. Słaniając się, poszedł na przód klatki, podczas gdy reszta wyskoczyła na zewnątrz. Sturm chwycił Fizbana, który wciąż smutno spoglądał na drzwi.

– Chodź już, starcze! – krzyknął, biorąc Fizbana za ramię. Jego łagodne postępowanie przeczyło szorstkim słowom.

Caramon, Raistlin i Tika złapali Fizbana, który wyskoczył z płonących szczątków klatki. Tanis i Riverwind podnieśli Therosa za ramiona i wyciągnęli go, a Goldmoon szła za nimi chwiejnym krokiem. Ona i Sturm wyskoczyli z wozu w chwili, gdy zawalił się dach.

– Caramonie! Zabierz naszą broń z taboru! – krzyknął Tanis. – Idź z nim, Sturmie. Flint i Tasslehoff pójda po plecaki. Raistlin...

– Sam wezmę swój plecak – rzekł czarodziej, krztusząc się dymem. – I swoją laskę.

Nikomemu innemu nie wolno ich dotykać.

– W porządku – rzekł Tanis, szybko myśląc. – Gilthanasie...

– Nie masz prawa rozkazywać mi, Tanthalasie – rzekł oschle elf i pobiegł do lasu, nie obejrzawszy się nawet.

Zanim Tanis zdołał odpowiedzieć, Sturm i Caramon przybiegli z powrotem. Caramon miał rozcięte i krwawiące kostki pięści. Dwóch smokowców rabowało tabor.

– Prędej! – krzyknął Sturm. – Zbliżają się następni! Gdzie jest twój przyjaciel elf? – zapytał podejrzliwie Tanisa.

– Pobiegł pierwszy do lasu – rzekł Tanis. – Pamiętaj, że on i jego naród uratowali nas.

– Doprawdy? – powiedział Sturm, zmrużywszy oczy. – Wygląda na to, że dzięki staraniom elfów i tego staruszka znaleźliśmy się bliżej śmierci niż kiedykolwiek, wyłączwszy spotkanie ze smokiem!

W tej samej chwili sześciu smokowców wypadło z kłębow dymu i zatrzymało się raptownie na widok wojowników.

– Uciekajcie do lasu! – wrzasnął Tanis, schylając się, by pomóc Riverwindowi podnieść Therosa. Zanieśli kowala w osłonięte miejsce, a Caramon i Sturm osłaniali ich, stojąc ramię w ramię. Obaj natychmiast zauważyli, że stwory, z jakimi mają do czynienia, nie przypominają smokowców, z którymi walczyli uprzednio. Ich zbroje i ubarwienie były inne, poza tym uzbrojeni byli w łuki i długie miecze, które ociekały jakimś okropnym śluzem. Obaj mężczyźni przypomnieli sobie historie o smokowcach, którzy zmieniają się w kwas, i o tych, których kości eksplodują.

Caramon zaszarżował pierwszy, rycząc jak rozwścieczone zwierzę i zataczając mieczem łuk. Dwaj smokowcy padli, nim zorientowali się, co się dzieje. Sturm zsalutował mieczem czterem pozostałym smokowcom i następnym ciosem ściał jednemu głowę. Rzucił się ku następny, lecz ci trzymali się z dala i szczyrzyli zęby, najwyraźniej na coś czekając.

Sturm i Caramon spoglądali z obawą, zastanawiając się, co się dzieje. Wtedy zrozumieli. Ciała zabitych smokowców obok nich zaczęły się rozpływać. Ciało pieniało się i topiło jak smalec na patelni. Żółtawy opar podniósł się znad nich i zmieszał z rzednącym dymem dogasającej klatki. Obaj mężczyźni zakrztusili się, gdy otoczyły ich kłęby żółtej mgły. Zakręciło im się w głowie i wiedzieli już, że opary są trujące.

– Chodźcie! Wracajcie! – wołał Tanis z lasu.

Dwaj wojownicy wycofali się chwiejnym krokiem, uciekając w ulewie strzał. Tymczasem oddział czterdziestu czy pięćdziesięciu smokowców wybiegł zza klatki, wrzeszcząc ze złości przenikliwymi głosami. Smokowcy rzucili się w pościg, lecz zatrzymali

się na dźwięk czystego głosu, który zawołał: – *Hai! Ulsain!* – i z lasu wybiegło dziesięciu elfów pod dowództwem Gilthanasa.

– *Quen talas uvenelei!* – krzyknął Gilthanas. Caramon i Sturm przebiegli obok niego, ledwo trzymając się na nogach. Elfowie osłaniali ich odwrót, a następnie sami wycofali się.

– Chodźcie za mną – rzekł Gilthanas do drużyny, przechodząc na szlachetną mowę wspólną. Na znak Gilthanas a czterech elfich wojowników podniosło Therosa i zaniósło go do lasu.

Tanis obejrzał się w stronę klatki. Smokowcy zatrzymali się i przyglądali zaroślom z obawą.

– Pośpieszcie się! – popędzał Gilthanas. – Moi ludzie będą was osłaniać.

Z głębi lasu rozległy się głosy elfów, rzucających wyzwania zbliżającym się smokowcom, by skusić ich w zasięg swych strzał. Przyjaciele popatrzyli na siebie z wahaniem.

– Nie chcę wchodzić do Lasu Elfów – powiedział krótko Riverwind.

– Wszystko będzie w porządku – powiedział Tanis, kładąc dłoń na ramieniu Riverwinda. – Masz moje słowo. – Riverwind przyglądał mu się przez moment, a potem zagłębił się w las wraz z resztą drużyny. Ostatni szli Caramon i Raistlin, pomagając Fizbanowi. Starzec obejrzał się na klatkę, z której została teraz tylko sterta popiołu i trochę pogiętego żelastwa.

– Wspaniałe zaklęcie. I czy ktoś chociaż mi podziękował? – zapytał, rozżalony.

Elfowie wiedli ich szybko przez puszcę. Bez ich przewodnictwa, drużyna wkrótce zgubiłaby się beznadziejnie. Odgłosy bitwy za ich plecami przygłuchły, jakby zabrakło chęci do dalszej walki.

– Smokowcy wiedzą, że lepiej nie wchodzić za nami do lasu – rzekł Gilthanas, uśmiechając się ponuro. Tanis, widząc uzbrojonych elfich wojowników skrytych w listowiu, nie obawiał się pościgu. Wkrótce ucichły wszelkie odgłosy walki.

Ziemię pokrywał gruby kobierzec suchych liści. Nagie konary drzew skrzypiały na chłodnym wietrze wczesnego poranka. Po kilku dniach jazdy w ciasnej klatce, towarzysze poruszali się powoli i sztywno, wdzięczni za odrobinę ruchu, która rozgrzała ich krew. Gdy blade, poranne słońce wstało nad lasem, Gilthanas wyprowadził ich na rozległą polanę.

Na polanie tłoczyli się uwolnieni więźniowie. Tasslehoff rozglądał się uważnie, a potem potrząsnął smutno głową.

– Ciekaw jestem, co się stało z Sestunem – powiedział do Tanisa. – Wydawało mi się, że widziałem, jak ucieka.

– Nie martw się. – Półelf poklepał go po ramieniu. – Nic mu się nie stanie. Elfowie nie kochają krasnoludów zlebowych, ale nie zabiją go.

Tasslehoff potrząsnął głową. Nie elfowie martwili go.

Wchodząc na polanę, towarzysze zobaczyli nadzwyczaj wysokiego i potężnie zbudowanego elfa, który przemawiał do grupy uciekinierów. Miał chłodny głos i surowy, poważny sposób bycia.

– Jesteście wolni, jeśli ktokolwiek jest wolny w tej krainie. Słyszeliśmy, że ziemie na południe od Pax Tharkas nie są pod panowaniem smoczego władcy. W związku z tym proponuję, byście udali się na południe. Idźcie dziś najdalej i najszybciej, jak zdołacie. Damy wam tyle prowiantu i ekwipunku na drogę, ile będziemy mogli. Nie jesteśmy w stanie zrobić dla was dużo więcej.

Uchodźcy z Solace, oszołomieni nagłą wolnością, rozglądali się bezradnie i żałośnie. Byli to wieśniacy z okolic Solace, którzy musieli patrzeć, jak płoną ich domostwa, a plony zostają zagrabione, by wyżywić wojska smoczego władcy. Większość z nich nigdy nie była dalej od Solace jak w Haven. Smoki i elfowie byli istotami z legend. Teraz dziecinne opowieści zjawily się, by ich prześladować.

Przejrzyste, błękitne oczy Goldmoon rozbłyły. Wiedziała, jak oni się czują. – Jak możecie być tacy okrutni? – zawołała gniewnie do wysokiego elfa. – Spójrz na tych ludzi. Nigdy przedtem nie opuszczali Solace, a ty spokojnie każesz im iść przez kraj opanowany przez wroga...

– A co byś chciała, żebym zrobił, kobieto? – przerwał jej elf. – Mam ich sam poprowadzić na południe? Wystarczy, że uwolniliśmy ich. Mój lud ma własne kłopoty. Nie mogę zajmować się ludzkimi problemami. – Przeniósł wzrok na grupę uciekinierów. – Ostrzegam was. Czas upływa. Ruszajcie w drogę!

Goldmoon zwróciła się do Tanisa, szukając u niego wsparcia, lecz półelf tylko potrząsnął głową, posępny i zmartwiony.

Jeden z ludzi, spojrzawszy smętnie na elfów, ruszył niepewnym krokiem krętą ścieżką, która prowadziła na południe przez puszcę. Pozostali mężczyźni zarzucili na ramiona prymitywną broń, kobiety wzięły dzieci na ręce i rodziny udały się w drogę.

Goldmoon podeszła śmiało do elfa. – Jak możesz mieć tak mało serca dla...

– Ludzi? – Elf zmierzył ją zimnym wzrokiem. – To ludzie ściągnęli na nas kataklizm. To oni wzywali bogów, domagając się w swej pysze mocy, jaka została udzielona Humie w pokorze. To вина ludzi, że bogowie odwrócili swe oblicza od nas...

– Nieprawda! – krzyknęła Goldmoon. – Bogowie są pośród nas!

Porthiosowi oczy rozbłysły z gniewu. Chciał już się odwrócić, gdy Gilthanas podszedł do brata i szybko powiedział coś do niego w mowie elfów.

– Co oni mówią? – Riverwind zapytał podejrzliwie Tanisa.

– Gilthanas opowiada, jak Goldmoon uleczyła Therosa – powiedział powoli Tanis. Wiele, wiele lat upłynęło od chwili, gdy słyszał czy wypowiedział choć kilka słów w mowie elfów. Zapomniał, jak piękny jest to język, tak piękny, że zdawał się ranić jego duszę, zostawiając w niej krwawiące rany. Widział, jak Porthios otwiera szeroko oczy z niedowierzania.

Potem Gilthanas wskazał na Tanisa. Obaj bracia odwrócili się ku niemu, a na ich wyrazistych elfich twarzach odmalowała się niechęć. Riverwind posłał spojrzenie Tanisowi i dostrzegł, że półelf pobladał, lecz spokojnie znosił to badawcze spojrzenie.

– Powróciłeś do rodzinnego kraju, nieprawdaż? – zapytał Riverwind. – Wydaje się, że nie jesteś w nim mile widziany.

– Tak – rzekł posepnie Tanis, świadom tego, o czym myślał mieszkaniec równin. Wiedział, że Riverwind nie wtrąca się w osobiste sprawy ze wścibstwa. Pod wieloma względami groziło im teraz znacznie większe niebezpieczeństwo niż z rąk Małomistrza.

– Zabiorą nas do Qualinostu – powiedział powoli Tanis. Widać było, że słowa sprawiają mu głęboki ból. – Nie byłem tam od wielu lat. Flint jest świadkiem, że mnie nie wypędzono, lecz niewielu żałowało mojego odejścia. Jak kiedyś powiedziałeś, Riverwindzie – dla ludzi jestem półelfem. Dla elfów byłem półczłowiekiem.

– Więc chodźmy stąd i udajmy się na południe z pozostałymi – powiedział Riverwind.

– Nigdy nie wydostałbyś się stąd żywy – mruknął Flint. Tanis pokiwał głową. – Rozejrzyj się wokół – powiedział.

Riverwind obejrzał się i zauważył elfich wojowników migających jak cienie między drzewami. Brązowy kolor ich ubrań zlewał się z puszcza, która była im domem. W chwili gdy dwaj elfowie zakończyli rozmowę, Porthios przeniósł spojrzenie z Tanisa znów na Goldmoon.

– Mój brat przynosi dziwne wieści, które wymagają zbadania. Dlatego też ofiarowuję wam to, czego elfowie nie ofiarowali żademu człowiekowi od lat – naszą gościnność. Jesteście naszymi szacownymi gośćmi. Proszę iść za mną.

Porthios dał znak ręką. Z lasu wyłoniły się niemal dwa tuziny elfich wojowników i otoczyły drużynę.

– Raczej szacownymi więźniami. Będzie ci ciężko, mój chłopcze – Flint rzekł do Tanisa cichym, łagodnym głosem.

– Wiem, stary przyjacielu. – Tanis położył dłoń na ramieniu krasnoluda. – Wiem.

Rozdział V

Mówca Słońce

– Nigdy nie wyobrażałam sobie, że może istnieć coś tak pięknego – powiedziała cicho Goldmoon. Całodzienny marsz był uciążliwy, lecz na końcu czekała ich nagroda, jakiej nie potrafiliby sobie wyśnić. Drużyna stanęła na wysokim urwisku nad legendarnym miastem Qualinost.

Cztery smukłe wieże wznosiły się z czterech rogów miasta niczym błyszczące czółenka. Olśniewająco biały kamień przecinały smużki lśniącego srebra, tworzące marmurowy wzór. W przestworzach wznosiły się pełne wdzięku łuki, łączące jedną wieżę z drugą. Wykute przez starożytnych kowali krasnoludzkich, były dość silne, by unieść ciężar armii, lecz wydawały się tak delikatne, że ptak, który na nich przysiadł, mógłby zachwiać ich równowagę. Te błyszczące łuki były jedynymi granicami miasta; wokół Qualinostu nie wzniesiono murów. Elfie miasto czule otwierało ramiona na powitanie puszczy.

Budowle Qualinostu podkreślały raczej naturę, niż ją skrywały. Wszelkie konstrukcje wyciosano z kwarcu koloru róży. Wysokie i smukłe jak osiki, wznosiły się niewiarygodnymi spiralami nad wyłożonymi kwarcem alejkami. Pośrodku stała wielka wieża z polerowanego złota, przyciągająca blask słońca i odbijająca go migotliwymi, roziskrzonymi wzorami, które dawały wieży życie. Spoglądając z wysokości na miasto, wydawało się, że niezmiennie od niezliczonych wieków piękno i spokój musi zamieszkiwać w Qualinost, jeśli znajduje się gdziekolwiek na Krynnie.

– Odpocznijcie tutaj – polecił im Gilthanas, zostawiając ich w osikowym zagajniku. – Podróż była długa i za to przepraszam. Wiem, że jesteście zmęczeni i głodni...

Caramon podniósł głowę z nadzieją.

– Lecz muszę poprosić was jeszcze o chwilę wyrozumiałości. Proszę mi wybaczyć. – Gilthanas skłonił się, a następnie podszedł do swego brata. Westchnąwszy, Caramon zaczął przetrząsać swój plecak po raz piąty, w płonnej nadziei, że może przeoczył jakiś kasek. Raistlin czytał swą magiczną księgę, powtarzając bezgłośnie trudniejsze słowa i próbując pojąć ich znaczenie, odkryć właściwy akcent i wymowę, od których zawrze mu krew i w ten sposób da mu znać, iż opanował już zaklęcie.

Pozostali rozglądali się dookoła, podziwiając piękno miasta w dole i atmosferę prastarego spokoju, jaka je spowijała. Zdawało się, że poruszyło nawet Riverwinda, bowiem złagodniał na twarzy i przycisnął Goldmoon do piersi. Przez chwilę poczuli ulgę w smutku i zmartwieniach i znaleźli pociechę w swej bliskości. Tika siedziała na uboczu i przyglądała im

się z żalem.

Tasslehoff próbował narysować mapę drogi z Gateway do Qualinostu, chociaż Tanis cztery razy mówił, że droga jest tajna i elfowie nie pozwolą mu zabrać tej mapy. Stary czarodziej, Fizban, spał. Sturm i Flint obserwowali Tanisa z z troskaniem – Flint, ponieważ on jeden wiedział, co półelf musi cierpieć; Sturm, ponieważ wiedział, co to znaczy wrócić do domu, w którym nie jesteś mile widziany.

Rycerz położył dłoń na ramieniu Tanisa. – Powrót do domu nie jest łatwy, nieprawdaż, mój przyjacielu? – powiedział.

– To prawda – odparł cicho Tanis. – Myślałem, że to zostało za mną dawno temu, lecz teraz wiem, że tak naprawdę nigdy nie odszedłem. Qualinesti jest częścią mnie, niezależnie od tego, jak bardzo chcę temu zaprzeczyć.

– Ssz... Gilthanas – ostrzegł Flint.

Elf zbliżył się do Tanisa. – Wysłaliśmy naprzód zwiadowców, którzy właśnie powrócili – rzekł w języku elfów. – Mój ojciec pragnie zobaczyć was – wszystkich – natychmiast w Wieży Słońca. Nie mogę dać wam czasu na pokrzepienie się. Pod tym względem możemy wydawać się nieokrzesani i nieuprzejmi...

– Gilthanasie – przerwał mu Tanis w mowie powszechnej. – Moi przyjaciele i ja przebyliśmy niewyobrażalne niebezpieczeństwa. Podróżowaliśmy ścieżkami, którymi – dosłownie – kroczyli umarli. Nie zemdlejemy z głodu – spojrzał na Caramona – przynajmniej niektórzy z nas.

Wojownik, usłyszawszy słowa Tanisa, westchnął i zacisnął pas.

– Dziękuję – rzekł sztywno Gilthanas. – Rad jestem, iż zrozumieliście. Proszę teraz udać się za mną najszybciej, jak możecie.

Przyjaciele szybko zebrali swoje rzeczy i obudzili Fizbana. Wstając, potknął się o korzeń drzewa. – Co za łamaga! – burknął, bijąc go laską. – Widziałeś coś takiego? Próbował podstawić mi nogę! – powiedział do Raistlina.

Czarodziej schował swą cenną książkę z powrotem do sakwy. – Tak, staruszk. – Raistlin uśmiechnął się i pomógł

Fizbanowi wstać. Stary mag wspierał się na ramieniu młodego, idąc na samym końcu. Tanis przyglądał im się w zamyśleniu. Stary czarodziej sprawiał wrażenie całkiem zdziadziatego. A jednak Tanis pamiętał wyraz czystego przerażenia na twarzy Raistlina, kiedy zbudził się i ujrzał Fizbana pochylającego się nad nim. Co zobaczył? Co wiedział o tym starcu? Tanis zanotował sobie w pamięci, żeby zapytać później. Teraz jednak zaprzętały go inne, ważniejsze sprawy. Poszedł naprzód i dogonił elfa.

– Powiedz mi, Gilthanasie – rzekł Tanis w mowie elfów, której nieznajome słowa przychodziły mu z trudem. – Co tu się dzieje? Mam prawo wiedzieć.

– Czyżby? – zapytał oschle Gilthanas, spoglądając na Tanisa kątem migdałowych oczu. – Czy obchodzi cię jeszcze to, co się dzieje z elfami? Ledwo posługujesz się naszą mową!

– Oczywiście, że mnie obchodzi – odrzekł gniewnie Tanis. – Jesteście również moim ludem!

– W takim razie dlaczego obnosisz się ze swym ludzkim pochodzeniem? – Gilthanas wskazał zarośniętą twarz Tanisa. – Sądziłem, że będziesz czuł się zawstydzony... – Przerwał, przygryzając wargę i czerwieniąc się.

Tanis ponuro pokiwał głową. – Tak, wstydziłem się, i dlatego odszedłem. Lecz jeśli czułem się zawstydzony – kto mnie do tego zmusił?

– Wybacz, Tanthalasie – powiedział Gilthanas, potrząsając głową. – To, co powiedziałem, było okrutne i doprawdy nie to miałem na myśli. Chodzi tylko o to... gdybyś tylko rozumiał, jakie grozi nam niebezpieczeństwo!

– Powiedz mi więc! – Tanis praktycznie krzyknął z frustracji. – Chcę zrozumieć!

– Opuuszczamy Qualinesti – rzekł Gilthanas.

Tanis zatrzymał się i popatrzył na elfa. – Opuuszczacie Qualinesti? – powtórzył tak wstrząśnięty, że przeszedł na mowę powszechną. Towarzysze usłyszeli go i szybko wymienili spojrzenia. Stary czarodziej sposepniał i szarpnął się za brodę.

– Chyba nie mówisz tego poważnie! – rzekł cicho Tanis.

– Opuuszczacie Qualinesti? Dlaczego? Z pewnością nie jest aż tak źle...

– Jest jeszcze gorzej – powiedział ze smutkiem Gilthanas. – Rozejrzyj się, Tanthalasie. Widzisz ostatnie dni Qualinostu.

Weszli już na ulice miasta. Na pierwszy rzut oka Tanisowi wydawało się, że wszystko wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, gdy opuścił je pięćdziesiąt lat temu. Nie zmieniły się ani ulice wysypane błyszczącym tłuczniem, ani osiki, które rosły wzdłuż nich. Czyste ulice migotały jasno w słońcu, osiki może urosły, a może nie. Ich liście połyskiwały w świetle późnego poranka, wysadzone złotem i srebrem gałęzie szeleściły i śpiewały. Domy stojące wzdłuż ulic nie zmieniły się. Ozdobione były kwarcem i lśniły w słońcu, rzucając małe tęcze barw wszędzie, gdzie tylko spoczęło oko. Wydawało się, że wszystko jest takie, jakie lubią elfowie – piękne, uporządkowane, niezmiennie...

Nie, to nieprawda, uświadomił sobie Tanis. Pieśń drzew była teraz smutna i płaczliwa, nie spokojna i radosna, jaką pamiętał Tanis. Qualinost zmieniło się rzeczywiście i sama ta

zmiana była zmianą. Próbował jakoś pojąć ją, zrozumieć, mimo iż poczucie straty dławilo jego duszę. Zmiana była nie w domach, nie w drzewach ani w słońcu, które przeświecało przez liście. Zmiana wisiała w powietrzu. Naładowane było napięciem, jak przed burzą. Idąc ulicami Qualinostu, Tanis dostrzegł coś, czego nigdy przedtem nie widział w swej ojczyźnie. Zobaczył nierozwagę. Zobaczył pośpiech. Zobaczył niezdecydowanie. Zobaczył panikę, desperację i rozpacz.

Spotykając przyjaciół, kobiety obejmowały ich i płakały, po czym rozstawały się i śpieszyły każda w swoją stronę. Dzieci siedziały przygnębione, nie rozumiejąc, co się dzieje, wiedząc tylko, że zabawa byłaby niestosowna. Mężczyźni gromadzili się w grupy i nie spuszczać dłoni z mieczy, obserwowali czujnie swe rodziny. Tu i tam płonęły ogniska, bowiem wszystko, co było im drogie, a czego nie mogli zabrać ze sobą, elfowie woleli zniszczyć niż pozwolić pochłonąć nadchodzącej ciemności.

Tanisa zasmuciło zniszczenie Solace, lecz widok tego, co się działo w Qualinoście, ranił jego duszę, jak ostrze tępego noża. Nie zdawał sobie sprawy, że tak wiele dla niego znaczyło. W głębi serca wiedział, że nawet jeśli nigdy tu nie wróci, Qualinesti będzie zawsze istnieć. Ale nie, traci nawet to. Qualinesti zginie.

Tanis usłyszał dziwny odgłos, odwrócił się i zobaczył, że stary mag płacze.

– Jakie plany poczyniliście? Dokąd się udacie? Czy zdołacie uciec? – Tanis pytał smutno Gilthanasa.

– Otrzymasz odpowiedź na to pytanie, i wiele innych, aż za wcześnie, za wcześnie – szepnął Gilthanas.

Wieża Słońca wznosiła się wysoko ponad wszystkie inne budynki Qualinostu. Blask słońca odbity od złotej powierzchni tworzył iluzję wirującego ruchu. Drużyna weszła do wieży w milczeniu, przytłoczona pięknem i majestatem prastarej budowli. Tylko Raistlin rozglądał się, jakby wcale mu to nie zaimponowało. Jego oczy nie widziały tu piękna, tylko śmierć.

Gilthanas zaprowadził towarzyszy do małej alkowy. – Ten pokój znajduje się tuż przy głównej komnacie – rzekł. – Mój ojciec jest teraz na spotkaniu z głowami domostw, gdzie planowana jest ewakuacja. Mój brat poszedł już zawiadomić go o naszym przybyciu. Kiedy narada zakończy się, zostaniemy wezwani. – Na jego gest weszli elfowie, niosąc dzbanki i misy z zimną wodą. – Proszę, odświeżcie się, póki czas pozwala.

Towarzysze napili się, a następnie zmyli kurz podróży z twarzy i rąk. Sturm zdjął pelerynę i jedną z chusteczek Tasslehoffa starannie wypolerował swą zbroję najlepiej jak potrafił. Goldmoon rozczesała swe lśniące włosy, lecz została w płaszczu zapiętym pod szyję.

Wraz z Tanisem doszli do wniosku, że lepiej będzie, jeśli medalion pozostanie schowany, aż nadejdzie odpowiednia chwila, by go ujawnić, bowiem niektórzy mogliby go rozpoznać. Fizban próbował bez większego skutku wyprostować swój pognieciony i niekształtny kapelusz. Caramon rozglądał się za czymś do jedzenia. Gilthanas stał w pewnej odległości od nich, z twarzą bladą i ściągniętą.

Po kilku chwilach w łuku drzwi pojawił się Porthios. – Jesteście wezwani – powiedział surowo.

Drużyna weszła do komnaty Mówcy Słońc. Ludzie nie widzieli wnętrza tego budynku od stuleci. Żaden kender nigdy go nie widział. Ostatni krasnoludowie, którzy je widzieli, byli obecni przy jego budowaniu, setki lat temu.

– Ach, to jest robota – rzekł cicho Flint ze łzami w oczach.

Komnata była okrągła i sprawiała wrażenie znacznie większej, niż pozornie mogła pomieścić wysmukła wieża. Cała wykonana z białego marmuru, nie zawierała żadnych kolumn ani belek podporowych. Pomieszczenie wznosiło się na dziesiątki metrów, zanim na szczycie wieży nie kończyło się sklepieniem w kształcie kopuły, którą pokrywała przepiękna mozaika z błyszczących płytek, przedstawiająca niebieskie niebo i słońce na jednej połowie, a srebrny księżyc, czerwony księżyc i gwiazdy na drugiej. Połowy rozdzielała tęcza.

W komnacie nie było lamp. Kunsztownie zbudowane okna i lustra skupiały światło słoneczne we wnętrzu pomieszczenia, niezależnie od położenia słońca na nieboskłonie. Strumienie słońca zlewały się na środku komnaty, oświetlając mównicę.

W wieży nie było miejsc siedzących. Elfowie stali – mężczyźni i kobiety razem; tylko ci, których wyznaczono na głowy domostw mieli prawo uczestniczyć w zebraniu. Kobiet było więcej niż kiedykolwiek za pamięci Tanisa; wiele odzianych w głęboką purpurę, kolor żałoby. Elfowie pobierają się na całe życie i jeśli jedno z małżonków umiera, nie biorą po wtórnie ślubu. Tak więc wdowa piastuje stanowisko głowy domostwa aż do śmierci.

Drużynę zaprowadzono na przód komnaty. Elfowie uczynili dla nich miejsce w pełnej szacunku ciszy, lecz rzucali im dziwne, niechętnie spojrzenia – szczególnie krasnoludowi, kenderowi i parze barbarzyńców, którzy wydawali się groteskowi w swych dziwacznych futrach. Rozległy się zdumione szepty na widok dumnego i szlachetnego rycerza solamijskiego. Tu i ówdzie podniosły się szmery na widok Raistlina w czerwonych szatach. Elfi czarodzieje nosili białe szaty dobra, nie czerwone, głoszące neutralność. Według elfów, tylko krok dzieli ją od czerni. Gdy zgromadzenie uspokoiło się, Mówca Słońc zbliżył się do podwyższenia.

Wiele lat upłynęło od czasu, gdy Tanis widział po raz ostatni Mówcę – swego

przybranego ojca. Tu również dostrzegł zmianę. Mąż ów wciąż był wysoki, wyższy nawet od swego syna Porthiosa. Odziany był w urzędową, połyskliwą szatę ze złotogłowiu. Jego twarz była sroga i nieustępliwa, maniery dostojne i surowe. Był Mówcą Słońc, zwanym Mówcą, a zwano go tak od ponad wieku. Ci, którzy znali jego imię, nigdy go nie wymawiali – łącznie z jego dziećmi. Tanis jednakże dostrzegł, że jego włosy są przyprószone srebrem, którego przedtem nie było, a twarz nietkniętą uprzednio przez czas pożyłoby zmarszczki troski i smutku.

Porthios zbliżył się do brata, gdy weszła drużyna prowadzona przez elfów. Mówca wyciągnął ramiona i zawołał ich po imieniu. Poszli w objęcia ojca.

– Moi synowie – rzekł Mówca drżącym głosem, aż Tanis poczuł się wstrząśnięty tym niezwykłym przejawem emocji.

– Nie spodziewałem się już ujrzeć żadnego z was w tym życiu. Opowiedz mi o napadzie... – zwrócił się do Gilthanasa.

– W odpowiednim czasie, Mówco – odparł Gilthanas.

– Upraszam, byś najpierw powitał naszych gości.

– Tak, przepraszam. – Mówca przesunął drżącą dłonią po twarzy i Tanisowi wydało się, że postarzał się na ich oczach.

– Wybaczcie mi, goście. Witam was, którzy weszliście do królestwa, do którego od wielu lat nikt nie miał dostępu.

Gilthanas powiedział kilka słów i Mówca spojrzał przenikliwie na Tanisa, a następnie gestem kazał półelfowi podejść. Jego słowa były chłodne, a sposób zachowania uprzejmy, nawet jeśli była to wymuszona uprzejmość. – Czy to rzeczywiście ty, Tanthalasie, synu żony mego brata? Minęło wiele lat i wszyscy ciekawi byliśmy twego losu. Witamy cię znów w ojczyźnie, choć obawiam się, że wróciłeś tylko po to, by ujrzeć jej ostatnie dni. Szczególnie moja córka ucieszy się z twego powrotu. Tęskniła za swym towarzyszem zabaw dziecinnych.

Słyszając to, Gilthanas zeszywniał i spojrzał nieprzychylnie na Tanisa. Półelf poczuł, że się czerwieni. Skłonił się nisko przed Mówcą, nie mogąc wykrztusić słowa.

– Witam resztę was i mam nadzieję, że później poznam was lepiej. Nie zatrzymamy was długo, lecz godzi się, abyście w tej sali dowiedzieli się, co się dzieje na świecie. Potem będziecie mogli odpocząć i pokrzepić się. A teraz, mój synu – Mówca zwrócił się do Gilthanasa, najwyraźniej rad, mogąc zakończyć formalności – jak tam przebiegł napad na Pax Tharkas?

Gilthanas wystąpił naprzód ze zwieszoną głową. – Poniosłem klęskę, Mówco Słońc.

Wśród elfów rozszedł się szmer, niczym wiatr w osikach. Twarz Mówcy nie miała

żadnego wyrazu. Po prostu westchnął i nie widzącym wzrokiem spojrzął w wysokie okno. – Opowiedz, jak to się stało – rzekł cicho.

Gilthanas przełknął ślinę, a następnie przemówił głosem tak cichym, że wielu na końcu sali nachyliło się, by coś usłyszeć.

– Udałem się potajemnie na południe z moimi wojownikami, jak było w planach. Wszystko szło dobrze. Spotkaliśmy grupę ludzi, bojowników ruchu oporu zbiegłych z Gateway, którzy przyłączyli się do nas, zwiększając naszą liczebność. Wtedy, okrutnym zbiegiem okoliczności, natknęliśmy się na zwiad smoczey armii. Walczyliśmy dzielnie, razem elfowie i ludzie, lecz na nic się to zdało. Uderzono mnie w głowę i nie pamiętam już nic więcej. Kiedy przyszedłem do siebie, leżałem w wąwozie otoczony ciałami moich towarzyszy.

Najwyraźniej plugawi smokowcy zepchnęli rannych z urwiska, sądząc, że jesteśmy nieżywi. – Gilthanas przerwał i zakaszał. – Druidzi w lasach opatrzyli mi rany. Od nich dowiedziałem się, że wielu moich wojowników przeżyło i zostało wziętych do niewoli. Powierzywszy druidom zadanie pochowania umarłych, wyruszyłem tropem smoczey armii i wreszcie dotarłem do Solace.

Gilthanas urwał. Twarz lśniła mu od potu, a dłonie drżały nerwowo. Zakaszał jeszcze raz, chciał się odezwać, lecz nie zdołał. Ojciec spoglądał na niego z coraz większym zatroskaniem.

Gilthanas odezwał się. – Solace obrócono w perzynę. Słuchacze westchnęli żałośnie.

– Potężne drzewa vallen ścięto i spalono – teraz zostało ich niewiele.

Elfowie załkali i wykrzyknęli z rozpacz i gniewu. Mówca uniósł dłoń, by zaprowadzić spokój. – To smutne nowiny – powiedział surowo. – Opłakujemy odejście drzew starych nawet dla nas. Lecz kontynuuj – co z naszymi ludźmi?

– Znalazłem swych druhów przywiązanych do pali na środku rynku, razem z ludźmi, którzy nam pomogli – rzekł Gilthanas załamującym się głosem. – Otaczały ich straż smokowców. Łudziłem się nadzieją, że zdołam ich uwolnić po nastaniu zmroku. Wtedy... – Zabrakło mu całkiem słów i spuścił głowę, a jego starszy brat podszedł i położył dłoń na jego ramieniu. Gilthanas wyprostował się. – Czerwony smok pojawił się na niebie...

Wśród zgromadzonych elfów rozległy się wstrząśnięte i przerażone głosy. Mówca potrząsnął głową ze smutku.

– Tak, Mówco – powiedział Gilthanas głośno, nienaturalnie głośno i drażniąco. – To prawda. Te potwory wróciły na Krynn. Czerwony smok kołował nad Solace i wszyscy, którzy go ujrzeli, rozpierzchli się w popłochu. Zniżył lot, a wreszcie wylądował na miejskim placu. Jego olbrzymie, połyskliwe czerwone, gadzie cielsko zajęło całą przestrzeń, skrzydła siały

zniszczenie, ogon obalał drzewa. Żółte kły błyszcząły w masywnej paszczy, z której kapąła zielona ślina, potężne pazury rozrywały ziemię... a na jego grzbiecie jechał człowiek.

Był muskularny i odziany w czarne szaty kapłana Królowej Ciemności. Wokół niego łopotała czarnozłota peleryna. Twarz miał zasłoniętą okropną, czarno-złotą maską z rogami, którą wykonano na kształt smoczego pyska. Smokoludzie padli nabożnie na twarz przed lądującym smokiem. Goblinowie i hobgoblinowie oraz podli ludzie, którzy walczą w szeregach smokoludzi, skulili się zdjęci przerażeniem. Tylko przykład mych druhów dał mi dość odwagi, bym nie umknął.

Teraz, gdy Gilthanas rozpoczął już opowiadać, szło mu łatwiej. – Niektórzy z uwięzanych do pali ludzi oszaleli ze strachu i krzyczeli żałośnie. Lecz moi wojownicy byli niewzruszeni i dumni, choć na wszystkich podziałał strach promieniujący od smoka. Smoczemu jeźdźcowi nie spodobało się to. Przyjrzał im się wściekłym wzrokiem, a potem odezwał się głosem wydobywającym się z czeluści otchłani. Jego słowa wciąż płoną w mych wspomnieniach.

„Jam jest Verminaard, Smoczy Władca Północy. Stoczyłem bój, by uwolnić tę krainę i ten lud od fałszywej wiary głoszonej przez tych, którzy zwa się poszukiwaczami. Wielu przyszło, by pracować dla mnie, radzi, że mogą działać na rzecz wielkiej sprawy smoczych władców. Okazałem im łaskę i zaszczyłem ich błogosławieństwami, jakich udzieliła mi moja bogini. Moje są zaklęcia uzdrawiania, jakich nie dano nikomu w tej krainie, i wiedziecie przeto, że jam jest przedstawiciel prawdziwych bogów. Lecz wy, którzy stoicie przede mną, sprzeciwiście się mojej woli. Postanowiliście walczyć ze mną, więc wasza kara posłuży za przykład dla tych, którzy wynoszą głupotę ponad mądrość.

Potem zwrócił się do elfów i powiedział. „Niech czyn ten ogłosi wszem i wobec, że ja, Verminaard, dokładnie wytepię waszą rasę, jak głosi nakaz mojej bogini. Ludzi można nauczyć, by przyznali się do błędów swego postępowania, lecz elfów – nigdy! – Głos mężczyzny brzmiał coraz głośniejszy, aż przewyższał siłą huk wiatru. – Niech to będzie ostatecznym dla was ostrzeżeniem – dla wszystkich, którzy to widzą! Żarze, zgładź ich!”

Usłyszawszy to, olbrzymi smok zionął ogniem na jeńców przywiązanych do pali. Wili się bezradnie, spalając się na śmierć w straszliwych mękach...

W komnacie nie było słyhać najmniejszego dźwięku. Wstrząs i groza były zbyt wielkie, by wyrazić je słowami.

– Ogarnął mnie obłęd – ciągnął Gilthanas, a oczy błyszcząły mu gorączkowo, jakby odbijało się w nich to, co ujrzał. – Chciałem wybiec, umrzeć z moimi ludźmi, gdy pochwyciła mnie czyjaś wielka dłoń i odciągnęła do tyłu. Był

to Theros Ironfeld, kowal z Solace. „Nie czas teraz umierać, elfie – rzekł. – Czas zemścić się”. Ja... ja wtedy zemdlałem, a on zabrał mnie do swego domu, choć ryzykował własnym życiem. I zapłaciłby nim za swą dobroć, gdyby ta kobieta nie uzdrowiła go!

Gilthanas wskazał Goldmoon, która stała z tyłu grupy, zasłaniając twarz futrzaną peleryną. Mówca odwrócił się ku niej, tak samo jak inni elfowie w sali, którzy szemrali nieprzyjaźnie i złowieszczo.

– Theros to ten mężczyzna, którego dziś tu przyniesiono, Mówco – rzekł Porthios. – Człowiek o jednej tylko ręce. Nasi udrowiciele twierdzą, że będzie żył. Mówią jednakże, że to cud, iż przeżył, tak okropne były jego rany.

– Podejdź, kobieto z równin – rozkazał Mówca srogo.

Goldmoon uczyniła krok w stronę mównicy. Riverwind jej nie opuścił. Dwaj elfi strażnicy natychmiast zagrodzili mu drogę. Zmierzył ich wściekłym spojrzeniem, lecz pozostał na swym miejscu.

Córka wodza wystąpiła naprzód, wznosząc dumnie głowę. Kiedy zdjęła kaptur, słońce zapłonęło na jej złotosrebrnych włosach spływających kaskadą na jej plecy. Elfów zdumiała jej uroda.

– Twierdzisz, że uzdrowiłaś tego człowieka – Therosa Ironfelda? – zapytał z pogardą Mówca.

– Nie twierdzą niczego – odparła oziębłe Goldmoon. – Twój syn był świadkiem jego uzdrowienia. Powątpiewasz w jego słowa?

– Nie, niemniej jednak był przemęczony, chory i zbity z tropu. Mógł wziąć czarną magię za uzdrawianie.

– Spójrz na to – rzekła łagodnie Goldmoon i rozwiązała pelerynę, która zsunęła się z jej ramion. Medalion zaśnił w blasku słońca.

Mówca opuścił swą ambonę i zbliżył się, otworzywszy szeroko oczy z niedowierzania. Potem jego twarz wykrzywił grymas wściekłości. – To bluźnierstwo! – krzyknął. Wyciągnął rękę, by zerwać medalion z szyi Goldmoon.

Błysnęło niebieskie światło. Mówca upadł na posadzkę z okrzykiem bólu. Na widok elfów, którzy krzyknawszy z obawy, chwycili za broń, towarzysze również wyciągnęli miecze. Elfi wojownicy szybko ich otoczyli.

– Przerwijcie już tę bzdurę! – rzekł stary czarodziej mocnym, surowym głosem. Fizban przykuśtykał do mównicy, z całym spokojem odsuwając ostrza mieczy, jakby to były wiotkie gałązki osikowe. Elfowie przyglądali mu się zdumieni, najwyraźniej nie mogąc go powstrzymać. Mruczając coś pod nosem, Fizban podszedł do Mówcy, który leżał ogłuszony na

podłódze. Staruszek pomógł elfowi wstać.

– Wiesz, że sam się o to prosiłeś – strofował go Fizban, otrzepując szaty Mówcy, który przyglądał mu się z osłupieniem.

– Kim jesteś? – wyjęczał Mówca.

– Hmm. Jak mi to było na imię? – Stary czarodziej obejrzał się na Tasslehoffa.

– Fizban – odpowiedział kender.

– Tak, Fizban. Tak właśnie się nazywam. – Czarodziej pogłaskał się po siwej brodzie.

– No, Solostaranie, proponuję, byś odwołał swych gwardzistów i polecił wszystkim ochłonąć. Ja, na przykład, chciałbym usłyszeć historię przygód tej młodej kobiety, a i ty dobrze byś zrobił, gdybyś jej posłuchał. Nie zaszkodziłoby również, gdybyś przeprosił.

Gdy Fizban wygrażał palcem Mówcy, zmięty kapelusz zsunął mu się na czoło i zasłonił oczy. – Na pomoc! Oślepiłem! – Raistlin szybko podbiegł do niego, rzuciwszy nieufne spojrzenie na elfich strażników. Wziął starca pod ramię i poprawił mu kapelusz.

– Ach, dzięki niech będą prawdziwym bogom – rzekł mag, mrugając, i oddalił się, powłócząc nogami. Mówca przyglądał się staremu czarodziejowi z niewyraźną miną. Następnie, jak przez sen, odwrócił się do Goldmoon.

– Przepraszam z całego serca, czcigodna pani z równin – powiedział cicho. – Minęło trzysta lat z okładem, jak zniknęli kapłani elfów, trzysta lat, odkąd nie widziano znaku Mishakal na tej ziemi. Serce mi krwawiło na widok tego, co, jak myślałem, było profanacją amuletu. Wybacz mi. Od tak dawna jesteśmy pogrążeni w rozpacz, iż nie dostrzeżliśmy przybycia nadziei. Proszę, jeśli nie jesteś znużona, opowiedz nam o sobie.

Goldmoon opowiedziała historię medalionu, mówiąc o Riverwindzie i ukamienowaniu, o spotkaniu przyjaciół w gospodzie i podróży do Xak Tsaroth. Opowiedziała o śmierci smoka i o tym, jak dostała medalion Mishakal. Nie wspomniała jednakże o dyskach.

Promienie słońca wydłużyły się w trakcie jej opowieści, zmieniając kolor w miarę zbliżania się zmierzchu. Kiedy jej historia zakończyła się, Mówca milczał przez kilka chwil.

– Muszę zastanowić się nad tym wszystkim i tym, co to oznacza dla nas – oświadczył wreszcie. Zwrócił się do drużyny. – Jesteście wyczerpani. Widzę, że niektórzy z was trzymają się na nogach tylko dzięki dzielności. W rzeczy samej

– uśmiechnął się, spoglądając na Fizbana, który opierał się o kolumnę i chrapał cicho – niektórzy z was już usnęli na stojąco. Moja córka Laurana zaprowadzi was do miejsca, gdzie będziecie mogli zapomnieć o swych obawach. Dziś wieczór wydamy bankiet na waszą cześć, bowiem przynosicie nam nadzieję. Niech pokój prawdziwych bogów towarzyszy wam.

Elfowie rozstąpili się i pomiędzy ich szeregów wystąpiła naprzód elfia panna, która

stanęła obok Mówcy. Na jej widok Caramon stanął z otwartymi ustami. Oczy Riverwinda rozszerzyły się. Nawet Raistlin przypatrywał jej się, po raz pierwszy widząc piękno swymi oczami, bowiem na młodej elfiej panience nie znać było żadnego piętna rozkładu. Jej włosy przypominały miód lejący się z dzbana. Spływały po jej ramionach na plecy, sięgając poniżej talii, i dotykały jej nadgarstków, gdy stała ze spuszczonymi rękoma. Miała cerę gładką i brązową, jak leśna istota. Jej twarz miała delikatne, subtelne rysy elfów, lecz towarzyszyły one ustom o pełnych, jakby nadaśnanych wargach i wielkim, błyszczącym oczom, które zmieniały kolor jak liście w migotliwym słońcu.

– Na mą cześć rycerską – rzekł Sturm i głos mu zadrżał.

– Nie widziałem jeszcze tak cudnej niewiasty.

– I nie ujrysz na tym świecie – szepnął Tanis.

Wszyscy w drużynie spojrzeli przenikliwie na Tanisa, w chwili gdy to powiedział, lecz półelf tego nie dostrzegł. Widział tylko elfią pannę. Sturm uniósł brwi i spojrzął na Caramona, który szturchnął brata. Flint pokręcił głową i wydał westchnienie, które zdawało się wydobywać gdzieś z okolic jego palców u stóp.

– Teraz wiele się wyjaśniło – powiedziała Goldmoon do Riverwinda.

– Mnie się tam nie przejaśniło – stwierdził Tasslehoff. – Tiko, czy ty wiesz, o co tu chodzi?

Tika wiedziała tylko tyle, że patrząc na Lauranę, poczuła się nagle przysadzista i niekompletnie ubrana, piegowata i ruda. Podciągnęła bluzkę wyżej na obfity biust, życząc sobie w duchu, by dekolt mniej pokazywał, albo żeby ona miała mniej do pokazywania.

– Powiedzcie mi, co tu się dzieje – szepnął Tasslehoff na widok pełnych zrozumienia spojrzeń, jakie posyłali sobie pozostali.

– Nie wiem! – ofuknęła go Tika. – Wiem tylko, że Caramon robi z siebie durnia. Spójrz tylko na tego wielkiego gamonia. Można by pomyśleć, że nigdy w życiu nie widział kobiety.

– Ona jest ładna – stwierdził Tas. – Odmienna od ciebie, Tiko. Jest smukła i stąpa jak drzewo gnące się na wietrze i....

– Och, zamknij się! – krzyknęła na niego wściekle Tika, szturchając go tak, że nieomal upadł.

Tasslehoff posłał jej urażone spojrzenie, a potem podszedł do Tanisa ze szczerym zamiarem nieoddalania się od półelfa, dopóki nie dowie się, o co tu chodzi.

– Witam was w progach Qualinostu, czcigodni goście – powiedziała nieśmiało Laurana, a jej głos przypominał czysty strumyk falujący wśród drzew. – Proszę, chodźcie za

mną. To niedaleko, a na końcu czeka na was jadło, napoje i wytchnienie.

Idąc z wdziękiem dziecka, weszła pomiędzy towarzyszy, którzy rozstąpili się przed nią, jak uprzednio elfowie. Wszyscy przyglądali się jej z podziwem. Laurana spuściła oczy z dziewczęcej skromności oraz nieśmiałości i zarumieniła się. Tylko raz podniosła wejrzenie i to wtedy, gdy mijała Tanisa – posłała mu ulotne spojrzenie, które dostrzegł tylko on. Tanis spochmurniał i oczy mu sposepniały.

Drużyna opuściła Wieżę Słońca, budząc Fizbana przed wyjściem.

Rozdział VI

Tanis i Laurana

Laurana zaprowadziła ich do upstrzonego plamkami słońca zagajnika osiczyny w samym środku miasta. Tu, choć otoczeni przez domy i ulice, poczuli się jak w sercu lasu. Ciszę zakłócał tylko szmer pobliskiego strumyka. Wskazując drzewa owocowe pomiędzy osikami, Laurana powiedziała drużynie, by zrywali i jedli, ile będą mieli ochotę. Elfie panny przyniosły kosze świeżego, pachnącego chleba. Przyjaciele obmyli się w strumyku, a potem wrócili, by wyciągnąć się na miękkim mchu i rozkoszować ciszą i spokojem, jaki panował wokół.

Wszyscy, oprócz Tanisa. Odmówiwszy jedzenia, półelf krążył po zagajniku, pochłonięty własnymi myślami. Tasslehoff obserwował go uważnie, żywcem pożerany przez ciekawość.

Laurana była doskonałą, uroczą gospodynią. Upewniwszy się, że wszyscy siedzą wygodnie, z każdym zamieniła kilka słów.

– Flint Fireforge, nieprawdaż? – powiedziała. Krasnolud zaczerwienił się z radości. – Mam jeszcze niektóre z tych cudownych zabawek, które zrobiłeś dla mnie. Tęskniliśmy za tobą przez te wszystkie lata.

Nie mogąc wykrztusić słowa z przejęcia, Flint siadł ciężko na trawie i wychylił duszkiem wielki kubek wody.

– A ty jesteś Tika? – spytała Laurana, zatrzymując się przy barmance.

– Tika Waylan – odpowiedziała zduszonym głosem dziewczyna.

– Tika, cóż za ładne imię. I masz takie piękne włosy – powiedziała Laurana, dotykając z podziwem puszystych, rudych loków.

– Naprawdę tak myślisz? – powiedziała Tika i zaczerwieniła się, widząc, że Caramon patrzy na nią.

– Oczywiście! Są koloru płomieni. Musisz mieć równie ognisty temperament. Słyszałam, że uratowałaś życie mojemu bratu w gospodzie. Mam wobec ciebie ogromny dług.

– Dziękuję – odrzekła cicho Tika. – Ty też masz prześliczne włosy.

Laurana uśmiechnęła się i ruszyła dalej. Tasslehoff jednakże zauważył, że cały czas jej spojrzenie wędrowało ku Tanisowi. Kiedy półelf nagle cisnął jabłko i znikł wśród drzew, Laurana przeprosiła swych gości pośpiesznie i poszła za nim.

– No, teraz się dowiem, o co tu chodzi! – powiedział do siebie Tas. Rozejrzawszy się ukradkiem wokół, smyknął za Tanisem.

Tas zakradał się krętą ścieżką pośród drzew, gdy nagle natknął się na półelfa stojącego samotnie nad spienionym strumieniem i wrzucającego do wody zwiędłe liście. Widząc, że coś się rusza z lewej strony, Tas szybko zaszył się w krzakach, w chwili gdy inną ścieżką nadeszła Laurana.

– *Tanthalas Quisif nan-Pah!* – zawołała.

Gdy Tanis obejrzał się na dźwięk swego elfiego imienia, zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go. – Uch – powiedziała żartem, odrywając się od niego. – Zgoliłbyś tę wstrętną brodę. Drapie mnie! I wcale już nie przypominasz Tanthalasa.

Tanis objął ją w pasie i łagodnie odsunął od siebie. – Laurano... – zaczął.

– Nie, nie złość się z powodu brody. Polubię ją, jeśli tak się upierasz – błagała Laurana, dając się. – Pocałuj mnie. Nie? To ja będę cię całować tak długo, aż nie będziesz mógł się oprzeć. – Znów pocałowała go, aż w końcu Tanis wyrwał się z jej ramion.

– Przestań, Laurano – powiedział oschle, odwracając się.

– Czemu, co się stało? – zapytała, chwytając go za rękę. – Nie było cię przez tyle lat. A teraz wreszcie wróciłeś. Nie bądź taki oziębły i ponury. Jesteś moim narzeczoną, pamiętasz? Wypada, żeby dziewczyna całowała swego narzeczonego.

– To było dawno temu – rzekł Tanis. – Byliśmy wtedy dziećmi, które się bawiły i nic więcej. Takie to romantyczne, mieć wspólny sekret. Wiesz, co by się stało, gdyby twój ojciec dowiedział się. Gilthanas dowiedział się, prawda?

– Oczywiście! Powiedziałam mu – rzekła Laurana, zwieszając głowę i spoglądając na Tanisa spod długich rzęs. – Wiesz przecież, że mówię Gilthanasowi o wszystkim. Nie sądziłam, że tak zareaguje! Wiem, co ci powiedział. Później opowiedział mi. Było mu przykro.

– Pewnie, że było. – Tanis złapał ją za nadgarstki i przytrzymał jej rękę. – To, co powiedział, było prawdą, Laurano! Jestem bękartem i mieszańcem. Twój ojciec miałby wszelkie prawo zabić mnie! Jak mogłem przynieść mu wstyd po tym, co zrobił dla matki i dla mnie? To był jeden z powodów, dla jakich odszedłem – to oraz konieczność dowiedzenia się, kim jestem i gdzie jest moje miejsce.

– Jesteś Tanthalas, mój ukochany, a twoje miejsce jest tutaj! – wykrzyknęła Laurana. Wyrwała się z jego uścisku i sama złapała go za rękę. – Spójrz! Wciąż nosisz mój pierścienek. Wiem, dlaczego odszedłeś. Dlatego, że obawiałeś się pokochać mnie, ale już nie musisz się bać, już nie. Wszystko się zmieniło. Ojciec ma teraz na głowie tyle innych zmartwień, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Poza tym jesteś teraz bohaterem. Proszę, pobierzmy się. Czy nie po to wróciłeś?

– Laurano – Tanis odezwał się łagodnie, lecz stanowczo

– wróciłem tu przez przypadek...

– Nie! – krzyknęła, odpychając go. – Nie wierzę ci.

– Słyszałaś z pewnością, co mówił Gilthanas. Gdyby Porthios nas nie uratował, bylibyśmy teraz w Pax Tharkas!

– On to zmyślił! Nie chciał mi powiedzieć prawdy. Przyszedłeś, bo mnie kochasz. Nie będę słuchała niczego innego.

– Nie chciałem ci mówić, ale widzę, że jestem zmuszony

– stwierdził doprowadzony do ostateczności Tanis. – Laurano, kocham kogoś innego – ludzką kobietę. Nazywa się Kitiara. To nie znaczy, że nie kocham również ciebie. Kocham...

– Tanisowi zabrakło słów.

Laurana patrzyła na niego i cała krew spłynęła jej z twarzy.

– Kocham cię, Laurano. Ale widzisz, nie mogę cię poślubić, ponieważ ją też kocham. Moje serce jest podzielone, zupełnie jak moja krew. – Zdjął pierścień ze złotych liści bluszczu i podał go jej. – Zwalniam cię z przyrzeczenia, jakie mi dałaś, Laurano. I proszę cię, abys i ty mnie zwolniła.

Laurana wzięła pierścionek, nie mogąc wyrzec ani słowa. Spojrzała błagalnie na Tanisa, a potem widząc na jego twarzy tylko litość, wrzasnęła i wyrzuciła pierścionek daleko od siebie. Upadł u stóp Tasa. Kender podniósł go i schował do swojej sakwy.

– Laurano – powiedział z żalem Tanis i wziął ją w ramiona, gdy zaczęła szaleńczo szlochać. – Tak mi przykro. Nigdy nie miałem zamiaru...

W tym momencie Tasslehoff wysliznął się z krzaków i poszedł ścieżką z powrotem. *

– Cóż – powiedział do siebie kender, wzdychając z zadowolenia – przynajmniej teraz wiem, o co tu chodzi.

Tanis zbudził się raptownie i zastał Gilthanasa stojącego nad nim. – Laurana? – zapytał, wstając.

– Nic jej nie jest – zapewnił go cicho Gilthanas. – Służące przyprowadziły ją do domu. Powtórzyła mi, co jej powiedziałaś. Chcę tylko, żebyś wiedział, że cię rozumiem. Tego się właśnie przez cały czas obawiałem. Ludzka część twojej natury ciągnie cię do innych ludzi. Próbowałem powiedzieć jej o tym, mając nadzieję, że uniknie udreki. Teraz posłucha mnie. Dziękuję, Tanthalasie. Wiem, że to nie mogło być łatwe.

– Nie było – powiedział Tanis, dławiąc żal. – Powiem szczerze, Gilthanasie – kocham ją, naprawdę ją kocham. Tylko że...

– Proszę, nie mów nic więcej. Zostawmy to tak, jak jest, a być może, skoro nie możemy być przyjaciółmi, będziemy szanować się nawzajem. – Blask zachodzącego słońca

padał na bladą i zasmuconą twarz Gilthanasa. – Ty i twoi przyjaciele musicie się przygotować. Kiedy wstanie srebrny księżyc, rozpocznie się uczta, a następnie odbędzie się zebranie rady najwyższej. Nadszedł czas, gdy trzeba podjąć decyzje.

Potem oddalił się. Tanis odprowadzał go wzrokiem przez jakiś czas, a potem westchnął i poszedł obudzić pozostałych.

Rozdział VII

Pożegnanie. Decyzja drużyny.

Uczta wydana w Qualinoście przypominała Goldmoon stypę po pogrzebie jej matki. Podobnie jak uczta, pogrzeb miał być radosną okazją – w końcu Tearsong stała się boginią. Ludziom jednak trudno było pogodzić się ze śmiercią pięknej kobiety. Tak więc Que-Shu po jej śmierci pogrążeni byli w żalu, który bliski był bluźnierstwu.

Stypa urządzona na cześć Tearsong była najhuczniejszą, jaką wydano za pamięci plemienia Que-Shu. Jej pogrążony w żałobie mąż nie szczędził wydatków. Podobnie jak na bankiecie dzisiejszej nocy w Qualinoście, podano masę jedzenia, którego prawie nikt nie tknął. Bez przekonania próbowano prowadzić konwersację, choć nikt nie miał ochoty do rozmowy. Czasami ktoś, nie mogąc już opanować smutku, zmuszony był odejść od stołu.

Tak żywe było to wspomnienie, że Goldmoon nie mogła prawie nic przełknąć. Jedzenie miało w jej ustach smak popiołu. Riverwind obserwował ją z troską. Ich dłonie spotkały się pod stołem. Goldmoon uściśnęła jego rękę, uśmiechając się i czując jego siłę przepływającą do jej ciała.

Uczta elfów odbywała się na dziedzińcu tuż na południe od złotej wieży. Nie było murów wokół podwyższenia z kryształu i marmuru, które wznosiło się na szczycie najwyższego wzgórza w Qualinoście, skąd rozpościerał się niczym nie przesłonięty widok na migotliwe miasto w dole, mroczny las za nim i nawet ciemnofioletowy grzbiet gór Tharkadan daleko na południu. Jednakże uroda tego widoku nie docierała do uczestników bankietu, a nawet jeśli, świadomość, iż wkrótce zginie ona na zawsze, czyniła ją tym boleśniejszą.

Goldmoon siedziała po prawej ręce Mówcy, który próbował ciągnąć uprzejmą rozmowę, lecz w końcu zmartwienia i troski wzięły górę i umilkł. Po lewej stronie Mówcy siedziała jego córka, Laurana. Nie udawała nawet, że je, i siedziała ze spuszczoną głową, zasłaniając twarz długimi włosami. Kiedy podnosiła wzrok, to tylko po to, by spojrzeć na Tanisa. Z jej oczu można było wyczytać wszystko, co kryło się w jej sercu.

Półelf, aż nadto świadom jej żalosego spojrzenia, a także tego, że Gilthanas przygląda mu się chłodno, jadł bez apetytu, nie podnosząc wzroku znad talerza. Sturm, który siedział obok niego, układał w myślach plan obrony Qualinesti.

Flint czuł się obco i nieswojo, jak zawsze czują się krasnoludowie wśród elfów. Elfie jedzenie i tak mu nie smakowało, więc nie tknął niczego. Raistlin skubał swoje danie od niechcenia, śledząc Fizbana złotymi oczami. Tika, która czuła się niezgrabna i onieśmielona wśród pełnych wdzięku elfich kobiet,

nie mogła przełknąć nawet kęsa. Caramon doszedł do wniosku, że już wie, czemu elfowie są tacy smukli: jedzenie składało się z owoców i jarzyn, gotowanych w delikatnych sosach i podawanych z pieczywem i serami oraz bardzo lekkim, korzennym winem. Po czterodniowej głodówce w klatce, takie jedzenie w niewielkim stopniu zaspokoilo głód ogromnego wojownika.

Jedynymi dwiema osobami w całym Qualinoście, które bawiły się dobrze na ucztach, były Tasslehoff i Fizban. Stary czarodziej toczył jednostronny spór z osiką, podczas gdy Tasslehoff cieszył się z wszystkiego, odkrywając później – ku swemu zdumieniu – że dwie złote łyżeczki, srebrny nóż oraz maselniczka wykonana z morskiej muszli, zawędrowały do jednej z jego sakiewek.

Czerwony księżyc nie był widoczny. Solinari, wąski pasek srebra na niebie, zaczął zachodzić. Kiedy zabłyśły pierwsze gwiazdy, Mówca Słońce skinął smutno głową do swego syna. Gilthanas wstał i stanął obok krzesła swego ojca.

Gilthanas zaczął śpiewać. Elfie słowa układały się w melodię delikatną i piękną. Podczas śpiewu Gilthanas trzymał w obu dłoniach małą, kryształową lampkę, a płomyk świecy wewnątrz niej oświetlał jego marmurowe rysy. Tanis, przysłuchując się pieśni, zamknął oczy i wsparł głowę na rękach.

– Co to? Co znaczą te słowa? – zapytał cicho Sturm.

Tanis podniósł głowę. Drżącym głosem szepnął:

Słońce,
Wspaniałe oko
Naszego nieboskłonu,
Chyli się spieszenie ku brzegowi dnia

I zostawia Drzemiące niebo,
Usiane świętojańskimi robaczkami,
W zapadającym mroku szarości.

Elfowie przy stole wstali cicho i podnosząc własne lampki, przyłączyli się do śpiewu. Ich głosy zlały się, splatając w przejmującą pieśń pełną nieskończonego smutku.

Teraz sen,
Nasz najstarszy przyjaciel,

Cichnie wśród drzew

I woła

Nas do siebie.

Liście

Płoną chłodnym ogniem,

Spopielają się w płomieniach

Pod koniec roku.

A ptaki

Krążą na wietrze

I zawracają na północ,

Gdy kończy się jesień.

Dzień mrocznieje,

Nadchodzi pora pustki,

Lecz my

Czekamy na słoneczny

Zielony ogień na

Drzewach.

Punkciki migotliwego światła lampek promieniowały z dziedzińca niczym kręgi na nieruchomej tafli spokojnego stawu, przez ulice do lasu i jeszcze dalej. A przy każdym zapaleniu lampki, kolejny głos podejmował pieśń, aż wydawało się, że otaczający ich las śpiewa żalśnie.

Wicher

Spada przez dni.

Co minie pora roku, co księżyc zgaśnie

Powstają wielkie królestwa.

Tchnienie

Robaczka świętojańskiego, ptaka

Drzew, ludzkości

Gaśnie w słowie.

Teraz sen,
Nasz najstarszy przyjaciel,
Cichnie wśród drzew
I woła Nas do siebie.

Wiek,
Tysiąc żywotów
Ludzi i ich historii
Odchodzi do grobów.
Lecz my,
długo
W wierszach i chwale
Gaśniemy, odchodząc z pieśni.

Głos Gilthanasa ucichł. Łagodnym dmuchnięciem elf zgasił płomyk lampki. Jeden po drugim, tak jak zaczęli, pozostali wokół stołu zakończyli pieśń i zdmuchnęli swoje świece. W całym Qualinoście głosy cichły i gaszono płomyki, aż wydawało się, że cisza i ciemność zstąpiły na ziemię. Na samym końcu tylko odległe góry powtórzyły ostatnie akordy pieśni, niczym szept liści spadających na ziemię.

Mówca wstał. – A teraz – rzekł stroskanym głosem – czas na spotkanie rady najwyższej. Odbędzie się w sali niebios, Tanthalasie, gdybyś zechciał zaprowadzić tam swoich towarzyszy.

Sala niebios, jak się dowiedzieli, była ogromnym placem, oświetlonym pochodniami. Nad nim wznosiła się gigantyczna, usiana gwiazdami kopuła nieba. Lecz na północy, gdzie na horyzoncie migotały błyskawice, panowała ciemność. Mówca dał znak Tanisowi, by przyprowadził towarzyszy, którzy stanęli obok niego, a następnie wszyscy mieszkańcy Qualinostu zbrali się wokół nich. Nie trzeba było prosić o ciszę. Nawet wiatr ucichł, gdy odezwał się Mówca.

– Tu widzicie naszą sytuację. – Wskazał na ziemię. Drużyna ujrzała olbrzymią mapę pod swymi stopami. Tasslehoff, który stał pośrodku równin Abanasinii, westchnął głęboko. Nie przypominał sobie, aby przedtem widział coś równie cudownego.

– Tam jest Solace! – krzyknął podekscytowany i wskazał.

– Tak, kenderze – odparł Mówca. – Właśnie tam gromadzą się smocze armie. W Solace – dotknął miejsca na mapie swą laską – i w Haven. Lord Verminaard nie kryje się ze swymi planami podbicia Qualinesti. Czeką tylko, by zebrać swe oddziały i zabezpieczyć trasy zaopatrzeniowe. Nie mamy szans oprzeć się tak licznym zastępom.

– Z pewnością Qualinesti można łatwo obronić – odezwał się Sturm. – Nie istnieje bezpośrednia trasa lądem. Mijaliśmy mosty nad przepaściami, których nie przebędzie żadna armia na świecie, jeśli zostaną zerwane. Dlaczego nie sprzeciwiacie im się?

– Gdyby to było tylko wojsko, bronilibyśmy Qualinesti – odparł Mówca. – Lecz cóż możemy począć przeciwko smokom? – Mówca rozłożył bezradnie ręce. – Nic! Według tego, co mówią legendy, tylko dzięki Smoczej Lancy wielki Huma pokonał je. Teraz nie ma nikogo – a przynajmniej nic nam o tym nie wiadomo – kto pamiętałby sekret tej potężnej broni.

Fizban chciał się wtrącić, lecz Raistlin uciszył go.

– Nie – ciągnął Mówca – musimy opuścić to miasto i te lasy. Mamy zamiar udać się na zachód, ku tamtejszym nieznanym ziemiom w nadziei znalezienia nowego domu dla naszego ludu – a być może nawet powrócimy do Silvanesti, prastarej ojczyzny elfów. Jeszcze tydzień temu nasze plany rozwijały się pomyślnie. Trzy dni forsownego marszu zajmie smoczemu władcy przesunięcie swych wojsk na stanowiska do ataku, a szpiedzy doniosą nam, kiedy wojsko wyruszy z Solace. Będziemy mieli dość czasu na ucieczkę na zachód. Lecz wtedy dowiedzieliśmy się o trzeciej smoczej armii w Pax Tharkas, mniej niż dzień drogi stąd. Jeśli nie zostanie powstrzymana, jesteśmy zgubieni.

– Znasz sposób na powstrzymanie tej armii? – spytał Tanis.

– Tak. – Mówca spojrzał na swego najmłodszego syna.

– Jak wiecie, mężczyźni z Gateway, Solace i okolicznych osad są uwięzieni w fortecy Pax Tharkas, gdzie pracują jako niewolnicy smoczego władcy. Verminaard jest przebiegły. Ażeby więźniowie nie zbuntowali się, trzyma kobiety i dzieci tych mężczyzn jako zakładników, gwarancję ich dobrego zachowania. Sądzymy, że gdyby uwolnić tych jeńców, mężczyźni zwróciliby się przeciwko swym panom i zgładziliby ich. Misja Gilthanasą miała właśnie polegać na uwolnieniu zakładników i poprowadzeniu powstania. Miał zabrać ludzi na południe, odciągając w ten sposób trzecią smoczą armię i dając nam czas na ucieczkę.

– A co z ludźmi? – spytał oschle Riverwind. – Mam wrażenie, że rzucacie ich smoczym armiom, jak zrozpaczony człowiek rzuca ochłapy mięsa ścigającym go wilkom.

– Obawiamy się, że Lord Verminaard nie będzie ich długo trzymał przy życiu. Ruda już niemal się wyczerpała. Gdy wydobędzie wszystko do ostatka, niewolnicy nie będą mu więcej potrzebni. W górach są wąwozy, grotty, w których ludzie mogą mieszkać i bronić się

przed smoczymi armiami. Z łatwością obronią przed nimi górskie przełęcze, szczególnie teraz, gdy zbliża się zima. Przyznaję, że niektórzy mogą zginąć, lecz jest to cena, jaką trzeba zapłacić. Gdybyś miał wybór, męzu z równin, czy wolałbyś umrzeć jako niewolnik, czy zginąć z bronią w ręku?

Riverwind nie odpowiedział i ponuro wpatrywał się w mapę.

– Misja Gilthanasa nie powiodła się – powiedział Tanis

– a teraz chcesz, żebyśmy to my spróbowali wszcząć powstanie?

– Tak, Tanthalasie – odparł Mówca. – Gilthanas zna drogę do Pax Tharkas – Sla-Mori. Może was zaprowadzić do fortecy. Macie nie tylko szansę wyzwolić swoich współplemieńców, lecz także dać elfom szansę ucieczki – głos Mówcy nabrął szorstkiego brzmienia – szansę przeżycia, jakiej nie dano wielu elfom, gdy ludzie ściągnęli na nas kataklizm!

Riverwind podniósł głowę i zmierzył go nieprzyjaznym spojrzeniem. Nawet Sturm spochmurniał. Mówca odetchnął głęboko, po czym westchnął. – Proszę, wybaczone mi – rzekł. – Nie chciałem chłostać was biczem przeszłości. Nie jest nam obojętny los ludzi. Posyłam z wami bez żalu mego syna, Gilthanasa, wiedząc, iż – jeśli się rozstaniemy – możemy się już nigdy więcej nie zobaczyć. Czynię tę ofiarę, by mój lud – i wasz – mógł przeżyć.

– Musimy mieć czas na zastanowienie – rzekł Tanis, choć wiedział, jaką decyzję musi podjąć. Mówca skinął głową i elfi wojownicy uczynili przejście w tłumie, wyprowadzając drużynę do zagajnika. Tam zostawili ich samych.

Przyjaciele Tanisa stali przed nim, a ich poważne twarze przypominały maski światła i cieni w blasku gwiazd. Przez cały czas, pomyślał, walczyłem, żebyśmy byli razem. Teraz widzę, że musimy się rozstać. Nie możemy ryzykować zabrania dysków do Pax Tharkas, a Goldmoon ich nie zostawi.

– Pójdę do Pax Tharkas – powiedział cicho Tanis. – Uważam jednak, że nadszedł czas, żebyśmy się rozstali, moi przyjaciele. Zanim coś powiecie, posłuchajcie. Posłałbym Tikę, Goldmoon, Riverwinda, Caramona, Raistlina i ciebie, Fizbanie, wraz z elfami, abyście zanieśli dyski w bezpieczne miejsce. Dyski są zbyt cenne, by ryzykować ich utratę w czasie napadu na Pax Tharkas.

– Może to i prawda, Półelfie – szepnął Raistlin z głębi swego kaptura – lecz nie pośród ludu Qualinesti Goldmoon odnajdzie tego, kogo szuka.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał zaskoczony Tanis.

– On nic nie wie, Tanisie – przerwał z goryczą Sturm. – Czcza gadanina...

– Raistlinie? – powtórzył Tanis, ignorując Sturma.

– Słyszałeś, co powiedział rycerz! – syknął mag. – Ja nic nie wiem!

Tanis westchnął, porzucił temat i rozejrzał się wokół. – Nazwaliście mnie przywódcą...

– W rzeczy samej, chłopcze – powiedział niespodziewanie Flint. – Lecz decyzja ta płynie z twojej głowy – nie serca. W głębi duszy nie jesteś przekonany, że powinniśmy się rozdzielić.

– Ja na pewno nie zostanę z tymi elfami – oświadczyła Tika, zakładając ręce na piersi. – Idę z tobą, Tanisie. Mam zamiar zostać wojowniczką, jak Kitiara.

Tanis skrzywił się. Dźwięk imienia Kitiary był dla niego jak rzeczywisty cios.

– Nie będę się chował z elfami – powiedział Riverwind – szczególnie jeśli ma to oznaczać porzucenie mych współplemieńców, którzy mają się bić za mnie.

– On i ja to jedno – powiedziała Goldmoon, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Poza tym – dodała ciszej – coś mi mówi, że czarodziej ma rację – przywódcy nie ma wśród elfów. Oni pragną uciec od tego świata, a nie walczyć o niego.

– Wszyscy idziemy, Tanisie – powiedział stanowczo Flint.

Półelf spojrzał bezradnie na grupę, a następnie uśmiechnął się i pokręcił głową. – Masz rację. Nie byłem szczerze przekonany o tym, że powinniśmy się rozdzielić. Oczywiście to rozsądny, logiczny postępek, dlatego też nie uczynimy tego.

– Teraz może wreszcie pośpimy trochę – ziewnął Fizban.

– Chwileczkę, dziadku – rzekł surowo Tanis. – Ty nie jesteś jednym z nas. Ty z całą pewnością pójdziesz z elfami.

– Czyżby? – spytał cicho stary czarodziej, a z jego oczu znikł zwykły rozkojarzony wyraz. Spojrzał na Tanisa tak przenikliwym – niemal groźnym – spojrzeniem, że półelf cofnął się mimo woli o krok, poczuwszy niemal namacalną atmosferę mocy otaczającą starca. Jego głos był cichy i dojmujący. – Idę tam, gdzie mam ochotę na tym świecie, a mam ochotę pójść z tobą, Tanisie Półelfie.

Raistlin spojrzał na Tanisa, jakby mówiąc: teraz rozumiesz! Tanis, pełen niezdecydowania, odpowiedział spjrzaniem.

Żałował, że odkładał dyskusję z Raistlinem na ten temat, i zastanawiał się, jak porozmawiać teraz, skoro starzec nie chciał ich opuścić.

– Słuchaj no, Raistlin – powiedział nagle Tanis, używając mowy obozowej, zniekształconej wersji wspólnej mowy, jaka powstała w wielorasowym środowisku najemników na Krynnie. Bliźniacy w swoim czasie pracowali trochę jako najemnicy – jak niemal wszyscy w drużynie – żeby zarobić na chleb. Tanis wiedział, że Raistlin zrozumie. Był

natomiast niemal pewny, że staruszek jej nie pojmie.

– Możemy pogadać, jak chcesz – odpowiedział Raistlin w tym samym języku – ale mało wiem.

– Strachasz się. Czemu?

Raistlin spojrział gdzieś w dal dziwnymi oczami i odpowiedział powoli. – Nie wiem, Tanis. Ale masz rację. Dziadek ma wielką moc. Czuję wielką moc. Mam stracha. – Oczy mu rozbłysły. – I czuję głód! – Czarodziej westchnął i zdawało się, że powrócił z oddali, w której przebywał. – On ma rację. Próbować go powstrzymać? Bardzo wielkie niebezpieczeństwo.

– Jakbyśmy nie mieli ich już pod dostatkiem – rzekł z goryczą Tanis, przechodząc na wspólną mowę. – Zabierzemy jedno ze sobą w postaci zdziadziałego maga.

– Są inni, równie groźni, być może – powiedział Raistlin, rzuciwszy znaczące spojrzenie na swego brata. Czarodziej przeszedł na wspólną mowę. – Jestem zmęczony. Muszę się przespać. Zostajesz, bracie?

– Tak – odpowiedział Caramon, wymieniając spojrzenia ze Sturmem. – Mamy zamiar porozmawiać z Tanisem.

Raistlin pokiwał głową i podał ramię Fizbanowi. Stary czarodziej odszedł wraz z młodym, okładając laską drzewo i oskarżając je o to, że próbowało zająć go zniecka.

– Jakby nie wystarczył jeden pomyłony czarodziej – mruknął Flint. – Idę spać.

Pozostali odeszli po kolei, aż Tanis został tylko z Caramonem i Sturmem. Znużony, odwrócił się twarzą do nich. Miał wrażenie, że wie, o czym będzie mowa. Caramon był zaczerwieniony i wbijał wzrok w ziemię. Sturm gładził wąsy i spoglądał na Tanisa w zamyśleniu.

– Więc? – spytał Tanis.

– Chodzi o Gilthanasa – odrzekł Sturm. Tanis zmarszczył czoło i podrapał się po brodzie. – To moja sprawa, nie wasza – powiedział zwięźle.

– To jest nasza sprawa – Sturm nie ustępował – jeśli on będzie prowadził nas do Pax Tharkas. Nie chcemy być natrętni, lecz nie sposób nie domyślać się, że macie rachunki do wyrównania. Widziałem, w jaki sposób on patrzy na ciebie, Tanisie, i na twoim miejscu nie szedłbym nigdzie bez przyjaciela strzegącego mych pleców.

Caramon popatrzył na Tanisa szczerze i zmarszczył czoło. – Wiem, że on jest elfem i w ogóle – powiedział powoli zwalisty mężczyzna. – Lecz, jak Sturm powiedział, czasami jakoś dziwnie mu z oczu patrzy. Czy ty nie znasz drogi do tego Sla-Mori? Nie moglibyśmy znaleźć go sami? Nie ufam mu. Tak samo Sturm i Raist.

– Posłuchaj, Tanisie – rzekł Sturm, widząc, że twarz półelfa posepnieje z gniewu. –

Gdyby Gilthanasowi groziło takie niebezpieczeństwo w Solace, jak twierdził, dlaczego tak beztrąsko siedział sobie w gospodzie? A potem cała ta jego historia o tym, jak jego wojownicy „przypadkiem” wpadli na całą przeklętą armię! Tanisie – nie potrząsaj głową tak szybko. On może nie być zły, tylko sprowadzony na złą drogę. A jeśli Verminaard ma coś na niego? Może smoczy władca przekonał go, że oszczędzi jego lud, jeśli w zamian zdradzi nas! Może właśnie dlatego był w Solace, czekał na nas.

– To śmieszne! – wybuchł Tanis. – Skąd miałby wiedzieć, że nadchodzimy?

– Trudno byłoby powiedzieć, że utrzymywaliśmy nasz powrót z Xak Tsaroth do Solace w tajemnicy – odparł chłodno Sturm. – Przez całą drogę widzieliśmy smokowców, a ci, którzy zbiegli z Xak Tsaroth, musieli domyśleć się, że przybyliśmy po dyski. Verminaard prawdopodobnie lepiej zna nasz wygląd niż swej własnej matki.

– Nie! Ja w to nie wierzę! – rzekł rozgniewany Tanis, wbijając wściekłe spojrzenie w Sturma i Caramona. – To wy dwaj mylicie się! Gotów jestem dać za to głowę. Wychowałem się z Gilthanasem, znam go! Rzeczywiście, mamy rachunki do wyrównania, lecz rozmawialiśmy już o tym i sprawa jest zamknięta. Nie prędzej uwierzę, że jest zdrajcą swego ludu, niżbym uwierzył, że ty; czy Caramon, jesteście zdrajcami. I nie, nie znam drogi do Pax Tharkas. Nigdy tam nie byłem. I jeszcze jedno – Tanis teraz krzyczał, ogarnięty furią – jeśli komuś nie ufam w tej grupie, to twojemu bratu i temu starcowi! – Skierował oskarżycielskie spojrzenie na Caramona.

Ogromny mężczyzna zbladł i spuścił wzrok. Zaczął już się odwracać. Tanis opamiętał się, nagle zdawszy sobie sprawę, co powiedział. – Tak mi przykro, Caramonie. – Dotknął ramienia wojownika. – Nie miałem tego na myśli. Raistlin nie raz uratował nam życie w czasie tej obłąkańczej podróży. Po prostu nie mogę uwierzyć, że Gilthanas jest zdrajcą!

– Wiemy, Tanisie – powiedział cicho Sturm. – I ufamy twojemu osądowi. Ale, jak powiadają w mojej ojczyźnie – za ciemna to noc, by iść z zamkniętymi oczami.

Tanis westchnął i pokiwał głową. Położył drugą dłoń na ramieniu Sturma. Rycerz uściskał go i trzech mężczyźni stali przez chwilę w milczeniu, a potem opuścili zagajnik i wrócili do sali nieba. Nadal słychać było głos Mówcy przemawiającego do swych wojowników.

– Co znaczy Sla-Mori? – zapytał Caramon.

– Tajna droga – odparł Tanis.

Tanis obudził się gwałtownie, sięgając po sztylet u pasa. Czyjaś postać nachylała się nad nim w ciemności, zasłaniając sobą gwiazdy na niebie. Szybko pochwycił ją i szarpnął, pociągając na siebie i przykładając sztylet do obnażonego gardła.

– Tanthalasie! – rozległ się cichy krzyk na widok stali błyszczącej w świetle gwiazd. – Laurano! – jęknął Tanis. Jej ciało przywarło do jego ciała. Czuł jej drzenie i teraz, gdy był już w pełni przebudzony, widział jej długie włosy rozsypane na ramionach. Ubrana była tylko w powiewną koszulę nocną. Peleryna zsunęła się z niej w trakcie krótkiej szamotaniny.

Pod wpływem impulsu Laurana wstała z łóżka i wymknęła się w noc, zarzuciwszy na ramiona płaszcz, by ochronił ją przed chłodem. Teraz leżała na piersi Tanisa, zbyt wylękniona, by poruszyć się. Oto Tanis, jakiego nigdy się nie spodziewała. Uświadomiła sobie, że gdyby była wrogiem, już by nie żyła – leżałaby z poderżniętym gardłem.

– Laurano... – powtórzył Tanis, drżącą dłonią wsuwając sztylet z powrotem za pasek. Odsunął ją od siebie i usiadł, wściekły na siebie, że ją przestraszył, i wściekły na nią, że obudziła coś w jego wnętrzu. Przez chwilę, kiedy leżała na nim, dotkliwie był świadom woni jej włosów, ciepła jej smukłego ciała, drżenia mięśni jej ud, miękkości jej małych piersi. Laurana była dziewczynką, kiedy odchodził. Powrócił, by zastać kobietę – bardzo piękną, godną pożądania kobietę.

– W imię otchłani, co ty tu robisz o tej porze?

– Tanthalasie – załkała, otulając się peleryną. – Przyszłam prosić cię, żebyś zmienił zdanie. Niech twoi przyjaciele idą uwalniać ludzi z Pax Tharkas. Ty musisz pójść z nami! Nie marnuj swego życia. Mój ojciec jest w rozpacz. Nie wierzy, żeby to mogło się powieść – wiem, że to prawda. Jednakże nie ma wyboru! Już opłakuje Gilthanasa, jakby nie żył. Stracę brata. Nie mogę stracić również ciebie! – Zaczęła szlochać. Tanis rozejrzał się spieszenie. Niemal na pewno w pobliżu byli strażnicy. Gdyby elfowie przyłapali go w tej kompromitującej sytuacji...

– Laurano – rzekł, chwytając ją za barki i potrząsając nią. – Nie jesteś już dzieckiem. Musisz dorosnąć, i to szybko. Nie pozwolę moim przyjaciołom stawić czoła niebezpieczeństwu beze mnie! Wiem, czym to grozi; nie jestem ślepy! Lecz jeśli uda nam się uwolnić ludzi z niewoli Verminaarda i zapewnić tobie i twojemu ludowi czas na ucieczkę, jest to ryzyko, jakie musimy podjąć! Laurano, nadchodzi kiedyś taki czas, gdy trzeba zaryzykować życiem w obronie tego, w co się wierzy – czegoś, co jest więcej warte niż samo życie. Czy rozumiesz to?

Spojrzała na niego przez kosmyki złotych włosów. Przestała łkać i dygotać. Spojrzała na niego bardzo uważnie.

– Czy rozumiesz to, Laurano? – powtórzył.

– Tak, Tanthalasie – odrzekła cicho. – Rozumiem.

– Doskonale! – Westchnął. – Teraz wracaj do łóżka. Szybko. Narażasz mnie na

niebezpieczeństwo. Gdyby Gilthanas zastał nas teraz...

Laurana wstała i wyszła szybko z zagajnika, mknąc wzdłuż ulic i budynków, jak wiatr wśród osik. Przekradnięcie się obok posterunków straży z powrotem do domu ojca nie było trudne

– Gilthanas i ona robili to od dzieciństwa. Wracając po cichu do swego pokoju, zatrzymała się pod drzwiami komnaty swych rodziców i nastawiła ucha. Wewnątrz paliło się światło. Słyszała szelest pergaminu i czuła jakąś gryzącą woń. Ojciec palił dokumenty. Słyszała cichy szept matki, wołającej ojca do łóżka. Laurana zamknęła oczy na chwilę, zdjęta cichym cierpieniem, a potem stanowczo zacisnęła wargi i pobiegła zimnym, ciemnym korytarzem do swej sypialni.

Rozdział VIII

Wątpliwości. Zasadzka! Nowy przyjaciel.

Elfowie zbudzili przyjaciół przed świtem. Ciemne chmury wisiały nad północnym horyzontem, wyciągając chciwe palce w stronę Qualinesti. Gilthanas przyszedł po śniadaniu ubrany w tunikę z błękitnego sukna i kolczugę.

– Mamy prowiant – rzekł, wskazując wojowników trzymających w rękach pakunki. – Możemy również dać wam broń lub zbroje, jeśli ich potrzebujecie.

– Tice potrzebna jest zbroja, tarcza i miecz – powiedział Caramon.

– Dostarczymy, co będziemy mogli – rzekł Gilthanas – choć wątpię, czy mamy pełną zbroję wystarczająco małych rozmiarów.

– Jak się dziś czuje Theros Ironfeld? – spytała Goldmoon.

– Wypoczywa wygodnie, kapłanko Mishaka! – Gilthanas skłonił się z szacunkiem przed Goldmoon. – Mój lud oczywiście zabierze go ze sobą, kiedy odejdziemy stąd. Możesz pożegnać się z nim.

Elfowie wkrótce przynieśli dla Tiki przeróżne zbroje i lekki miecz, ceniony przez kobiety elfów. Tice zaświeciły się oczy na widok hełmu i tarczy. Oba przedmioty były wykonane według elfiego wzoru, grawerowane i ozdobione klejnotami.

Gilthanas wziął hełm i tarczę z rąk elfa. – Jeszcze ci nie podziękowałem za uratowanie mi życia w gospodzie – powiedział do Tiki. – Przyjmij je. Należą one do ceremonialnej zbroi mojej matki i pochodzą jeszcze z czasów wojny bratobójczej. Normalnie przeszłyby na własność mojej siostry, lecz oboje z Lauraną uważamy, że należą się tobie.

– Jakie piękne – szepnęła Tika, czerwieniąc się. Przyjęła hełm, a potem spojrzała na resztę zbroi z zakłopotaniem. – Nie wiem, jak to założyć – przyznała się.

– Ja pomogę! – zaproponował radośnie Caramon.

– Ja się tym zajmę – powiedziała stanowczo Goldmoon. Zabierając pancerz, zaprowadziła Tikę do zagajnika.

– Co ona może wiedzieć na temat zbroi? – mruczał Caramon.

Riverwind spojrzał na wojownika i uśmiechnął się, a nieczęsto widziało się uśmiech łagodzący wyraz jego surowej twarzy. – Zapominasz – rzekł – że ona jest córką wodza. Jej obowiązkiem było pod nieobecność ojca prowadzić plemię na wojnę. Dużo wie o zbroi, wojowniku – a jeszcze więcej o sercu, które bije pod nią.

Caramon zaczerwienił się. Nerwowo podniósł pakunek z prowiantem i zajrzał do środka. – Co to za śmieci? – zapytał.

– Quith-pa – rzekł Gilthanas. – Żelazne racje, w waszej mowie. Starczą na wiele tygodni, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– Wygląda na suszone owoce! – powiedział ze wstrętem Caramon.

– Bo też to są owoce – odparł ze śmiechem Tanis. Caramon jęknął.

Świt ledwie zabarwił smugi ciemnych chmur zimnym, bladym blaskiem, gdy Gilthanas stanął na czele drużyny opuszczającej Qualinesti. Tanis patrzył przed siebie, uparcie odmawiając oglądania się wstecz. Żałował, że jego ostatnia wizyta tutaj nie mogła być szczęśliwsza. Przez cały poranek nie widział Laurany i choć czuł ulgę, że uniknął łzawego pożegnania, po cichu zastanawiał się, czemu nie przyszła odprowadzić go.

Szlak wiódł na południe, schodząc w dół powoli, lecz stale. Niegdyś był gęsto zarośnięty krzewami, lecz grupa wojowników, którą uprzednio prowadził Gilthanas, wycięła w nich drogę, więc marsz był stosunkowo lekki. Caramon szedł obok Tiki odzianej we wspianiałą, choć skompletowaną z różnych części zbroję i pouczał ją, jak należy władać mieczem. Na nieszczęście, nauczycielowi nie szło najlepiej.

Goldmoon rozcięła czerwoną spódnicę Tiki aż do uda, żeby dziewczyna miała swobodę ruchów. Przez rozcięcia podniecająco prześwitywał biały puszek oblamowanego futrem spodniego odzienia Tiki. W czasie marszu widać było całe jej nogi, a ich wygląd w pełni pokrywał się z wyobrażeniami Caramona – były kształtne i zgrabne. Tak więc Caramonowi było dość trudno skupić się na lekcji. Zajęty swą uczennicą, nawet nie zauważył zniknięcia brata.

– Gdzie jest ten młody czarodziej? – zapytał oschle Gilthanas.

– Może coś mu się stało – powiedział zatroskany Caramon, zły na siebie, że zapomniał o bracie. Wojownik wyciągnął miecz i chciał zawrócić.

– Bzdury! – Gilthanas zatrzymał go. – Co mu się mogło przydarzyć? W promieniu kilometrów nie ma wrogów. Musiał gdzieś odejść – celowo.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Caramon z nieprzyjazną miną.

– Może odszedł, żeby...

– Żeby zebrać to, co jest mi potrzebne do rzucania czarów, elfie – szepnął Raistlin, wynurzając się z zarośli. – I żeby odnowić zapas ziół, które leczą mój kaszel.

– Raist! – Caramon niemal uściskał go z poczucia ulgi. – Nie powinieneś się sam oddalać – to niebezpieczne.

– Materialne składniki mych zaklęć są tajemnicą – szepnął poirytowany Raistlin, odpychając brata. Wspierając się na lasce Magiusa, czarodziej dołączył do Fizbana w szeregu.

Gilthanas posłał szybkie spojrzenie Tanisowi, który wzruszył ramionami i potrząsnął

głową. W miarę marszu szlak stawał się coraz bardziej stromy, wyprowadzając drużynę z gajów osikowych ku nizinnym, sosnowym lasom. Doprowadził ich do czystego strumyka, który wkrótce zmienił się w spieniony potok płynący dalej na południe.

Kiedy zatrzymali się na krótki posiłek, Fizban podszedł do Tanisa i przysiadł obok niego. – Ktoś nas śledzi – powiedział przenikliwym szeptem.

– Co takiego? – zapytał Tanis, raptownie odwracając głowę i spoglądając na starca z niedowierzaniem.

– A tak, tak – stary czarodziej z namaszczeniem pokiwał głową. – Widziałem go – migał wśród drzew.

Sturm zauważył zaniepokojenie Tanisa. – Co się stało?

– Staruszek twierdzi, że ktoś nas śledzi.

– Też coś! – Gilthanas wyrzucił z niesmakiem resztki swojego quith-pa i wstał. – To szaleństwo. Chodźmy już. Do Sla-Mori wciąż wiele kilometrów, a musimy tam dotrzeć przed zmierzchem.

– Pójdę w straży tylnej – Sturm powiedział cicho do Tanisa.

Szli wśród strzępiastych sosen jeszcze przez kilka godzin. Słońce zniżyło się na nieboskłonie, rzucając na szlak wydłużone cienie, gdy drużyna niespodziewanie wyszła na polanę.

– Hsst! – ostrzegł zaniepokojony Tanis, cofając się. Caramon natychmiast nabrawł czujności, wyciągnął miecz a drugą ręką dał znak Sturmowi i bratu.

– Co tam jest? – pisnął Tasslehoff. – Nic nie widzę!

– Szszsz! – Tanis zmierzył kendera piorunującym spojrzeniem, aż Tas sam zasłonił sobie usta dłonią, żeby oszczędzić Tanisowi kłopotu.

Na polanie przed nimi widoczne było pobojowisko po niedawnej, krwawej bitwie. Trupy ludzi i hobgoblinów leżały porzucane wszędzie w obscenicznym pozach brutalnej śmierci. Przyjaciele rozglądali się z przestrawieniem i nasłuchiwali długie chwile, lecz nic nie usłyszeli wśród huku wody.

– Nigdzie w pobliżu nie ma nieprzyjaciół! – Sturm spojrzął z niechęcią na Gilthanasę i chciał wejść na polanę.

– Zaczekaj! – powiedział Tanis. – Wydawało mi się, że widziałem, jak coś się porusza!

– Może któryś z nich jeszcze żyje – rzekł chłodno Sturm i ruszył przed siebie. Pozostali poszli wolniej. Usłyszeli cichy jęk dochodzący spod ciał dwóch hobgoblinów. Wojownicy szli przez pobojowisko z mieczami w dłoniach.

– Caramonie... – wskazał Tanis. Zwalisty wojownik zepchnął trupy na bok. Po nimi leżała jęcząca postać.

– Człowiek – stwierdził Caramon. – Zalany krwią. Myślę, że nieprzytomny.

Pozostali podeszli, żeby się przyjrzeć człowiekowi leżącemu na ziemi. Goldmoon chciała przykłęknąć, lecz Caramon powstrzymał ją.

– Nie, pani – powiedział łagodnie. – Bezsensownie postąpilibyśmy, lecząc go, jeśli potem będziemy musieli go zabić. Pamiętaj – w Solace ludzie walczyli po stronie smoczego władcy.

Drużyna zebrała się wokół mężczyzny, żeby mu się przyjrzeć. Odziany był w kolczą zbroję dobrej roboty, choć dość zmatowiałą. Ubranie miał bogate, choć tkanina miejscami była wytarta. Z wyglądu można było mu dać niecałe czterdzieści lat. Miał bujne, czarne włosy, mocno zarysowany podbródek i regularne rysy. Nieznajomy otworzył oczy i niezbyt przytomnie popatrzył na towarzyszy.

– Dzięki niech będą bogom poszukiwaczy! – wychrypiał. – Moi przyjaciele... czy wszyscy zginęli?

– Martw się najpierw o siebie – rzekł szorstko Sturm. – Powiedz nam, kto był twoimi przyjaciółmi – ludzie czy hobgobliny?

– Ludzie – ci, którzy walczyli ze smokoludźmi. – Mężczyzna umilkł i szeroko rozwarł oczy. – Gilthanas?

– Eben – cicho rzekł zaskoczony Gilthanas. – Jak ci się udało przeżyć bitwę w wąwozie?

– A jak tobie, skoro już o tym mówimy? – Mężczyzna nazwany Ebenem spróbował stanąć na nogi. Caramon wyciągnął rękę, żeby mu pomóc, kiedy Eben nagle pokazał. – Uważajcie! Smoko...

Caramon odwrócił się gwałtownie, sprawiając, że Eben upadł z jękiem. Pozostali obejrzel się i dostrzegli dwunastu smokowców stojących z obnażoną bronią na skraju polany.

– Wszyscy obcy na tej ziemi mają być zaprowadzeni do najwyższego smoczego władcy na przesłuchanie – zawołał jeden z nich. – Nakazujemy wam udać się z nami dobrowolnie.

– Nikt nie miał wiedzieć o tej drodze do Sla-Mori – Sturm szepnął do Tanisa, rzucając znaczące spojrzenie na Gilthanasę. – To znaczy, według słów tego elfa!

– Nie słuchamy rozkazów lorda Verminaarda – krzyknął Tanis, ignorując słowa Sturma.

– Już wkrótce będziecie – rzekł smokowiec i machnął ręką. Stwory ruszyły do ataku.

Fizban, który stał blisko skraju lasu, wyciągnął coś ze swojej sakwy i zaczął mamrotać jakieś słowa.

– Tylko nie kula ognista! – zasyczał Raistlin, łapiąc starca za ramię. – Spalisz wszystkich w okolicy!

– Och, doprawdy? Chyba masz rację. – Stary mag westchnął z rozczarowania, a potem poweselał. – Poczekaj, wymyślę coś innego.

– Tylko siedź tutaj i nie wychylaj się! – rozkazał Raistlin. – Idę do brata.

– Jak szło to zaklęcie „pajęczyna”? – głowił się staruszek.

Tika, trzymając swój nowy miecz wzniesiony do ciosu, drżała ze strachu i podniecenia. Jeden ze smokowców rzucił się na nią, więc zamachnęła się z całych sił. Ostrze minęło smokowca o kilometr, ale głowę Caramona o kilka centymetrów. Wciągnąwszy Tikę za siebie, wojownik powalił smokowca płazem swego miecza. Zanim stwór zdążył wstać, nastąpił mu na gardło, miażdżąc kark.

– Stań za mną – powiedział do Tiki, a potem spojrzął na miecz, którym wciąż dziko wymachiwała. – Albo wiesz co – poprawił się Caramon nerwowo – biegnij tam między drzewa, do staruszka i Goldmoon. Bądź grzeczną dziewczynką.

– Nie będę! – stwierdziła urażona Tika. – Ja mu pokażę – mruknęła, czując, że rękojeść miecza ślizga jej się w spoconych dłoniach. Następnym dwóch smokowców zaatakowało Caramona, lecz u jego boku był teraz brat. We dwóch skutecznie łączyli magię i stal, by unicestwić wroga. Tika wiedziała, że tylko by im przeszkadzała, a gniewu Raistlina bała się bardziej niż smokowców. Rozejrzała się, czy nikt nie potrzebuje jej pomocy. Sturm i Tanis walczyli ramię w ramię. Gilthanas z Flintem utworzyli niezwykły zespół, a Tasslehoff, wbiwszy mocno w ziemię swój hoopak, zasypywał pole walki morderczym gradem kamieni. Goldmoon stała pod drzewami, a Riverwind przy niej. Stary czarodziej wyciągnął swą księgę zaklęć i przewracał strony.

– Pajęczyna... pajęczyna... jak to było? – mamrotał.

– Aaarrrghh! – Wrzask za plecami Tiki sprawił, że niemal połknęła język. Odwróciła się gwałtownie i ze strachu opuściła miecz, ujrawszy śmiejącego się ohydnie smokowca, który wzbił się w powietrze i leciał prosto na nią. Ogarnięta paniką Tika chwyciła tarczę w obie dłonie i uderzyła smokowca we wstrętny, gadzi pysk. Siła zderzenia niemal wytrąciła jej tarczę z rąk, lecz stwór padł nieprzytomnie na grzbiet. Tika podniosła miecz i krzywiąc się ze wstrętu, wbiła go stworowi

w serce. Jego zwłoki natychmiast skamieniały, więżąc jej miecz. Tika szarpnęła zań, lecz klinga utknęła na dobre.

– Tika, na lewo! – wrzasnął przenikliwie Tas.

Tika odwróciła się niezgrabnie i zobaczyła kolejnego smokowca. Zamachnąwszy się tarczą, sparowała cios jego miecza. Potem, z siłą zrodzoną z przerażenia, zaczęła walić stwora tarczą, świadoma tylko tego, że musi go zabić. Tłukła go tak długo, aż poczuła dłoń na swym ramieniu. Odwróciła się raptownie z zakrwawioną tarczą wzniesioną do ciosu i dostrzegła Caramona.

– Już dobrze! – uspokoił ją ogromny wojownik. – Już po wszystkim, Tiko. Wszyscy zginęli. Świetnie się spisałaś, po prostu świetnie.

Tika zmrużyła oczy. Przez chwilę nie poznawała wojownika. A potem zadrżała i opuściła tarczę.

– Nie radziłam sobie najlepiej z mieczem – powiedziała i zaczęła dygotać. Była to reakcja na strach i wspomnienie straszliwego stwora skaczącego prosto na nią.

Caramon dostrzegł jej drzenie. Wziął ją w ramiona i pogładził wilgotne od potu rude loki.

– Byłaś dzielniejsza niż wielu mężczyzn, jakich znałem – doświadczonych wojowników – rzekł potężny mężczyzna głębokim głosem.

Tika spojrzała Caramonowi w oczy. Przerażenie rozplynęło się, zastąpione przez uniesienie. Przywarła do Caramona. Dotyk jego twardych mięśni i zapach potu zmieszany z wonią skóry zwiększył jej podniecenie. Tika zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go z taką gwałtownością, że przygryzła mu wargę. Poczuła w ustach smak krwi.

Zdumiony Caramon poczuł ukłucie bólu, które stanowiło dziwny kontrast z miękkością jej warg, i dał się ogarnąć żądzy. Pragnął tej kobiety bardziej niż jakiegokolwiek innej w swym życiu – a wiele ich było. Zapomniał, gdzie jest i kto go otacza. Jego umysł płonął, krew wrzała, przeszywał go ból pożądania. Miażdżąc Tikę w ramionach, pocałował ją z taką siłą, że zostawił sińce.

Ból jego uścisku był dla Tiki rozkoszny. Pragnęła, by stał się jeszcze większy i ogarnął ją całą, lecz jednocześnie nagle poczuła chłód i strach. Przypomniała sobie, co inne barmanki opowiadały o strasznych, cudownych rzeczach, jakie dzieją się między mężczyzną a kobietą, i wpadła w panikę.

Caramon całkiem stracił poczucie rzeczywistości. Chwycił Tikę na ręce z dzikim zamiarem zanieśienia jej do lasu, lecz wtedy poczuł na ramieniu dotyk zimnej, znajomej dłoni.

Zwalisty mężczyzna, spojrzawszy na brata, westchnął i odzyskał rozum. Łagodnie postawił Tikę na ziemi. Oszołomiona i zdezorientowana, otworzyła oczy i ujrzała Raistlina,

który stał obok swego bliźniaka i przyglądał jej się dziwnym, błyszczącym wzrokiem.

Tika poczuła, że twarz ją pali. Cofnęła się, potknęła o ciało smokowca, a potem podniosła swoją tarczę i uciekła.

Caramon przełknął ślinę, chrząknął i chciał coś powiedzieć, lecz Raistlin po prostu spojrzał na niego z niesmakiem i oddalił się w stronę Fizbana. Drżąc jak nowo narodzone źrebę, Caramon westchnął i podszedł do miejsca, gdzie Sturm, Tanis i Gilthanas rozmawiali z Ebenem.

– Nie, nic mi nie jest – zapewniał ich mężczyzna. – Po prostu zrobiło mi się trochę słabo na widok tych stworów, to wszystko. Doprawdy jest wśród was kapłanka? To cudownie, ale nie marnujcie jej mocy uzdrowicielskich dla mnie. To tylko draśnięcie. Więcej ich krwi, niż mojej. Wraz ze swą drużyną tropiłem smokowców w lesie, gdy napadło nas co najmniej czterdziestu hobgoblinów.

– I tylko ty przeżyłeś, by dać temu świadectwo – powiedział Gilthanas.

– Tak – odrzekł Eben, patrząc w oczy podejrzliwie spoglądającemu elfowi. – Jestem doskonałym szermierzem – jak wiesz. Zabiłem tych... – wskazał trupy sześciu hobgoblinów, leżące wokół niego – lecz padłem pod naporem przeważających sił wroga. Pozostali musieli uznać, że nie żyję, i zostawili mnie. Dość już jednak o moich bohaterskich czynach. Sami nieźle machacie mieczami. Dokąd prowadzi was droga?

– Do jakiegoś Sla... – zaczął Caramon, lecz Gilthanas przerwał mu.

– Nasza podróż jest tajemnicą – rzekł Gilthanas. Potem dodał z wahaniem. – Przydałby nam się dobry szermierz.

– Dopóki będziecie walczyć ze smokowcami, będę walczył wraz z wami – rzekł wesoło Eben. Wyciągnął plecak spod zwłok hobgoblina i zarzucił go sobie na ramię.

– Nazywam się Eben Shatterstone. Pochodzę z Gateway. Pewnie słyszeliście o mojej rodzinie – powiedział. – Mielśmy jeden z najwspanialszych dworów na zachód od...

– Właśnie! – krzyknął Fizban. – Przypomniałem sobie! Nagle powietrze wypełniło się pasemkami lepkiej, opadającej powoli pajęczyny.

O zachodzie słońca drużyna dotarła do rozległej równiny obrzeżonej wysokimi szczytami gór. Gigantyczna forteca zwana Pax Tharkas, która strzegła przejścia przez góry, rywalizowała z ich szczytami o dominację nad przestrzenią rozciągającą się przed nią. Przyjaciele przyglądali jej się w ciszy pełnej podziwu i lęku.

Tika otworzyła szeroko oczy na widok masywnych, bliźniaczych wież wznoszących się w niebo. – Nigdy nie widziałam czegoś tak wielkiego! Kto ją zbudował? To musieli być potężni ludzie.

– To nie ludzie – rzekł ze smutkiem Flint. Spoglądającemu z żalem na Pax Tharkas krasnoludowi zadrżała broda. – Zbudowali ją razem elfowie i krasnoludowie. Niegdyś, dawno temu, kiedy panował pokój.

– Krasnolud mówi prawdę – powiedział Gilthanas. – Dawno temu Kith-Kanan złamał serce swemu ojcu i opuścił pradawną ojczyznę Silvanesti. Wraz ze swymi zwolennikami przybył do pięknych lasów, które dał im cesarz Ergom po spisaniu pergaminu zwanego rozejmem mieczowym, który zakończył bratobójczą wojnę. Elfowie żyli w Qualinesti długie wieki po śmierci Kith-Kanana. Jednakże jego największym osiągnięciem było wybudowanie Pax Tharkas. Tę stojącą na granicy

królestw elfów i krasnoludów twierdzą zbudowały obie rasy w duchu przyjaźni, jaki zaginął już na Krynnie. Ze smutkiem widzę w niej teraz bastion potężnej maszyny wojennej.

Nie przebrzmiały jeszcze "słowa Gilthanas, a drużyna ujrzała otwierające się olbrzymie wrota do Pax Tharkas. Wymaszerowało stamtąd na równinę wojsko – długie szeregi smokowców, hobgoblinów i goblinów. Ochrypty dźwięk rogów wracał odbity echem od górskich szczytów. Z góry przyglądał im się ogromny czerwony smok. Przyjaciele zaszyli się bojaźliwie wśród drzew i krzaków. Choć znajdowali się zbyt daleko, by smok ich dostrzegł, nawet z tej odległości poraził ich smoczy strach.

– Wymaszerowują na Qualinesti – rzekł Gilthanas drżącym głosem. – Musimy dostać się do wnętrza i uwolnić więźniów. Wtedy Verminaard będzie zmuszony odwołać swe wojska.

– Chcecie wejść do Pax Tharkas? – jęknął Eben. – Tak – odrzekł niechętnie Gilthanas, najwyraźniej żałując, że powiedział tak wiele.

– Uff! – Eben sapnął głośno. – Trzeba przyznać, nie brak wam odwagi. No, więc w jaki sposób dostaniemy się do środka? Poczekamy, aż armia wyjdzie? Prawdopodobnie zostanie tylko kilku strażników przy głównej bramie. Bez trudu damy sobie z nimi radę, prawda, olbrzymie? – stuknął łokciem Caramona.

– Jasne – wyszczerzył się w uśmiechu Caramon.

– Mamy inny plan – rzekł chłodno Gilthanas. Elf wskazał wąską dolinę prowadzącą w góry, ledwie widoczną w szybko gasnącym blasku słońca. – Tam jest nasza droga. Prze-dostaniemy się pod osłoną nocy.

Wstał i odszedł.

Tanis pośpieszył naprzód, by go dogonić. – Co wiesz o tym Ebenie? – zapytał półelf w mowie elfów, oglądając się na mężczyznę przyjaźnie rozmawiającego z Tiką.

Gilthanas wzruszył ramionami. – Należał do grupy ludzi, którzy walczyli wraz z nami

w wąwozie. Niedobitków zabrano

do Solace, gdzie zginęli. Sądzę, że mógł uciec. W końcu, mnie się udało – stwierdził Gilthanas, spoglądając z ukosa na Tanisa. – On pochodzi z Gateway, gdzie jego ojciec i jego ojciec przed nim byli bogatymi kupcami. Inni powiedzieli mi na uboczu, kiedy nie mógł podsłuchać, że jego rodzina straciła cały majątek i od tej pory zarabia na swoje utrzymanie mieczem.

– Tego się domyśliłem – powiedział Tanis. – Nosi bogate ubranie, które jednakże widziało lepsze czasy. Dobrze zrobisz, zabierając go z nami.

– Nie odważyłbym się zostawić go za plecami – odparł ponuro Gilthanas. – Jeden z nas powinien go obserwować.

– Tak – Tanis umilkł.

– I mnie też, myślisz sobie – rzekł Gilthanas spiętym głosem. – Wiem, co inni mówią – szczególnie rycerz. Lecz przysięgam ci, Tanisie, nie jestem zdrajcą! Pragnę tylko jednego! – Oczy elfa błyszczały gorączkowo w gasnącym blasku dnia. – Chcę zabić tego Verminaarda. Gdybyś mógł zobaczyć go, gdy jego smok zabijał moich ludzi! Z radością oddałbym swe życie... – Gilthanas nagle przerwał.

– I nasze także? – spytał Tanis.

Gdy Gilthanas odwrócił się twarzą do niego, jego migdałowe oczy nie wyrażały żadnych uczuć. – Jeśli musisz wiedzieć, Tanthalasie, twoje życie tyle znaczy – strzelił palcami. – Ale życie mojego ludu jest dla mnie wszystkim. Tylko to mnie teraz obchodzi. – Ruszył naprzód, w chwili gdy dogonił ich Sturm.

– Tanisie – rzekł. – Staruszek miał rację. Ktoś nas śledzi.

Rozdział IX

Podejrzenia rosną. Sla-Mori.

Wąska ścieżka pięła się stromo w górę ku zalesionej dolinie wśród wzgórz. Otuleni cieniem zmierzchu przyjaciele szli w góry brzegiem strumyka. Jednakże nie uszli daleko, jak Gilthanas zszedł ze szlaku i znikł w zaroślach. Przyjaciele zatrzymali się i popatrzyli na siebie z powątpiewaniem.

– To obłąd – Eben szepnął do Tanisa. – Tę dolinę zamieszkują trolle – jak myślisz, kto wydeptał tę ścieżkę? –

Ciemnowłosa mężczyzna wziął Tanisa za ramię z chłodną poufałością, która zaniepokoiła półelfa. – Przyznaję, że jestem tu nowy, jak to się mówi, i bogowie wiedzą, że nie macie powodów, żeby mi ufać, lecz jak dobrze znasz tego Gilthanasasa?

– Wiem, że... – zaczął Tanis, lecz Eben zlekceważył go.

– Niektórzy spośród nas nie byli przekonani, że armia smokowców wpadła na nas przez przypadek, rozumiesz, co mam na myśli. Moi chłopcy i ja ukrywaliśmy się na wzgórzach i walczyliśmy ze smoczymi armiami od chwili, gdy najechały Gateway. W zeszłym tygodniu nie wiadomo skąd pojawili się ci elfowie. Powiedzieli nam, że zamierzają napaść na jedną z fortec smoczego władcy i czy nie zechcielibyśmy przyjść im z pomocą? Powiedzieliśmy, że jasne, dlaczego nie – wszystko, żeby tylko stanąć kością w gardle smoczemu panu.

W czasie wędrówki zaczęło się robić nieprzyjemnie. Wszędzie była masa śladów smokowców! Ale to nie martwiło elfów. Gilthanas powiedział, że tropy są stare. Tej nocy rozbiliśmy obozowisko i wystawiliśmy straż. Niewiele nam to dało, jakieś dwadzieścia sekund ostrzeżenia, zanim smokowcy nie zaatakowali. – Eben rozejrzał się i przysunął jeszcze bliżej. – A kiedy budziliśmy się i chwytałyśmy za broń, by walczyć z tymi obrzydłymi stworami, usłyszałem głosy elfów wołających, jakby ktoś się zgubił. Jak myślisz, kogo wołali?

Eben z naciskiem przyglądał się Tanisowi. Półelf zmarszczył brwi i potrząsnął głową, poirytowany całym tym przedstawieniem.

– Gilthanas! – zasyczał Eben. – Znikł gdzieś! Cały czas wołali go – wołali swego wodza! – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy wreszcie pojawił się, czy nie. Wzięto mnie do niewoli. Zabrano nas do Solace, gdzie udało mi się zbiec. W każdym razie, zastanowiłbym się dwa razy, nim poszedłbym za tym elfem. Może umiałby wytłumaczyć swą nieobecność podczas napaści smokowców, lecz...

– Znam Gilthanasa od dawna – przerwał oschle Tanis, zaniepokojony wieściami bardziej, niż chciał przyznać.

– Jasne. Pomyślałem tylko, że powinieneś o tym wiedzieć

– rzekł Eben, uśmiechając się współczująco. Poklepał Tanisa po plecach i zawrócił, by stanąć obok Tiki.

Tanis nie musiał oglądać się, by wiedzieć, że Caramon i Sturm słyszeli każde słowo. Niemniej jednak żaden nic nie powiedział, a zanim Tanis zdołał porozmawiać z nimi, spomiędzy drzew wyłonił się nagle Gilthanas.

– Już niedaleko – powiedział elf. – Zarośla przerzedzają się przed nami i łatwiej będzie iść.

– Według mnie powinniśmy po prostu podejść do frontowej bramy – oświadczył Eben.

– Zgadzam się – powiedział Caramon. Wielki mężczyzna obejrzał się na brata, który siedział bezwładnie pod drzewem. Goldmoon była blada z wycieńczenia. Nawet Tasslehoff zwiesił głowę znużonym gestem.

– Moglibyśmy tu przenocować i wejść frontową bramą o świcie – zasugerował Sturm.

– Będziemy się trzymać pierwotnego planu – rzekł stanowczo Tanis. – Rozbijemy obóz po dotarciu do Sla-Mori.

Wtedy odezwał się Flint. – Możesz zadzwonić do drzwi i poprosić, żeby Verminaard cię wpuścił, Sturmie Brightblade, jeśli chcesz. Jestem pewien, że uczyni to z przyjemnością. Idziemy stąd, Tanisie. – Krasnolud poczłapał ścieżką przed siebie.

– Przynajmniej – Tanis powiedział ściszym głosem do Sturma – może zmyli to tego, kto idzie naszym śladem.

– Kimkolwiek czy czymkolwiek jest – odrzekł Sturm.

– Muszę jednak przyznać, że umie się czaić w lesie. Za każdym razem, gdy zauważałem go i zaczynałem się cofać, żeby mu się lepiej przyjrzeć, znikał. Myślałem o urządzeniu zasadki na niego, lecz nie było czasu.

Drużyna z ulgą wyszła z zarośli i znalazła się u podnóża olbrzymiego zbocza granitowej góry. Gilthanas przez kilkadziesiąt metrów szedł wzdłuż skalnej ściany, obmacując ręką jej powierzchnię, jakby czegoś szukał. Nagle zatrzymał się.

– Jesteśmy na miejscu – szepnął. Sięgnawszy za pazuchę, wy dobył mały klejnot, który zaczął jarzyć się delikatnym, żółtym blaskiem. Przesuwając dłonią po skale, elf znalazł to, czego szukał – niewielką niszę w granicie. Umieścił w niej klejnot i zaczął recytować prastare słowa i rysować w powietrzu niewidzialne symbole.

– Bardzo efektowne – szepnął Fizban. – Nie wiedziałem, że on jest jednym z nas – powiedział do Raistlina.

– Amator, nic więcej – odparł mag. Niemniej jednak, wsparty ciężko na swej lasce, przyglądał się Gilthanasowi z wielką uwagą.

Nagle wielki blok skalny oddzielił się bezgłośnie od zbocza i powoli zaczął się odsuwać na bok. Drużyna cofnęła się, czując podmuch zimnego, stęchłego powietrza dochodzący z otworu ziejącego w skale.

– Co tam jest? – zapytał podejrzliwie Caramon.

– Nie wiem, co tam jest teraz – odparł Gilthanas. – Nigdy tam nie wchodziłem. Znam to miejsce tylko z przekazów mego ludu.

– W porządku – burknął Caramon. – Co tam było kiedyś?

Gilthanas milczał przez chwilę, a potem powiedział. – Komnata grobowcowa Kith-Kanana.

– Znowu duchy – mruknął Flint, zaglądając w ciemność.

– Poślijcie najpierw czarodzieja, żeby ostrzegł je przed nami.

– Wrzućcie najpierw krasnoluda – odciął się Raistlin.

– Są przyzwyczajeni do życia w ciemnych, zatęchłych jaskiniach.

– Mówisz o górskich krasnoludach! – powiedział Flint, jeżąc brodę. – Krasnoludowie podgórcy od dawna nie mieszkają pod ziemią w królestwie Thorbardinu.

– Tylko dlatego, że was stamtąd wyrzuciono! – zasyczał Raistlin.

– Przestańcie, obaj! – rzekł poirytowany Tanis. – Raistlinie, co wyczuwasz w tej okolicy?

– Zło. Wielkie zło – odrzekł mag.

– A ja wyczuwam również wielkie dobro – wtrącił się niespodzianie Fizban. – Tam wewnątrz nigdy naprawdę nie zapomniano o elfach, choć na ich miejscu panują teraz złe istoty.

– To szaleństwo – krzyknął Eben. Dźwięk rozszedł się niesamowitym echem wśród skał i pozostali obejrżeli się w jego kierunku, zaskoczeni i przestraszeni. – Przepraszam – powiedział ciszej. – Nie mogę uwierzyć, że zamierzacie tam wejść! Nie trzeba być czarodziejem, żeby powiedzieć, że za tym otworem czai się zło. Ja to potrafię wyczuć! Wracajcie do frontowego wejścia – nalegał. – Oczywiście, zastaniemy tam jednego, czy dwóch strażników, ale to nic w porównaniu z tym, co kryje się w tej ciemności!

– On ma rację, Tanisie – powiedział Caramon. – Nie można walczyć z umarłymi. Tego nauczyliśmy się w Mrocznej Puszczy.

– To jedyna droga! – rzekł gniewnie Gilthanas. – Jeśli jesteście takimi tchórzami...

– Istnieje różnica pomiędzy ostrożnością a tchórzostwem, Gilthanasie – oświadczył spokojnym i opanowanym głosem Tanis. Półelf zastanowił się chwilę. – Może udałoby nam się rozprawić ze strażami w bramie, lecz przedtem zdołaliby zawiadomić innych. Uważam, że powinniśmy wejść i przynajmniej zbadać tę drogę. Flincie, ty prowadzisz. Raistlinie, potrzebne nam twoje światło.

– *Shirak* – rzekł cicho czarodziej i kryształ na jego lasce rozjarzył się. Wraz z Flintem zanurzyli się w mrok grotu, a pozostali szli tuż za nimi. Tunel, do którego weszli, był niewątpliwie bardzo stary, lecz czy to dzieło rąk ludzkich, czy natury, nie sposób było powiedzieć.

– A co z tym, który nas ściga? – spytał przyciszonym głosem Sturm. – Zostawimy wejście otwarte?

– Pułapka – przytaknął cicho Tanis. – Zostaw je otwarte tylko odrobinę, Gilthanasie, dość by ten, kto nas śledzi, domyślił się, że tu weszliśmy, i sam mógł wejść, lecz nie na tyle, by wyglądało to na pułapkę.

Gilthanas wydobył klejnot, włożył go do niszy po wewnętrznej stronie wejścia i wypowiedział kilka słów. Kamienna płyta zaczęła bezgłośnie przesuwac się na miejsce. W ostatniej chwili, gdy zaledwie jakieś dwadzieścia centymetrów dzieliło

ją od ściany, Gilthanas szybko wyjął klejnot. Kamień zadygotał i zatrzymał się, a rycerz, elf i półelf dołączyli do przyjaciół stojących w wejściu do Sla-Mori.

– Strasznie dużo tu kurzu – oświadczył Raistlin, pokaszłując – lecz nie ma żadnych śladów, przynajmniej w tej części grotu.

– Około czterdziestu metrów dalej znajduje się skrzyżowanie – dodał Flint. – Znaleźliśmy tam ślady stóp, lecz nie potrafiliśmy ich rozpoznać. Nie przypominają śladów smokowców ani hobgoblinów i nie prowadzą w tę stronę. Czarodziej mówi, że zło napływa z drogi wiodącej na prawo.

– Tu zatrzymamy się na noc – powiedział Tanis – w pobliżu wejścia. Wystawimy podwójne straże – jedną przy drzwiach, drugą w głębi korytarza. Sturm, ty i Caramon będziecie pierwsi. Gilthanas i ja, Eben i Riverwind, Flint i Tasslehoff.

– I ja – powiedziała stanowczo Tika, choć nigdy przedtem w swym życiu nie była tak zmęczona. – Ja też chcę stać na warcie.

Tanis rad był, że ciemność skryła jego uśmiech. – Zgoda – powiedział. – Staniesz z Flintem i Tasslehoffem.

– Świetnie! – odrzekła Tika. Otworzywszy plecak, wytrząsnęła koc i położyła się, cały czas świadoma tego, że Caramon nie spuszcza jej z oczu. Zauważyła, że Eben też jej się

przygląda. Nie miała nic przeciwko temu. Przyzwyczajona była, że mężczyźni gapią się na nią z podziwem, a Eben był jeszcze przystojniejszy niż Caramon. Z całą pewnością był dowcipniejszy i bardziej szarmancki od ogromnego wojownika. Mimo to samo wspomnienie otaczających ją ramion Caramona sprawiało, iż przechodził ją dreszcz rozkosznego lęku. Stanowczo przepędziła tę myśl z głowy i starała się wygodnie umościć. Kolczuga była zimna i kłuła przez bluzkę. Dziewczyna zauważyła jednak, że nikt nie zdejmował pancerza. Poza tym była tak zmęczona, że mogłaby usnąć nawet w pełnej zbroi płytowej. Przed zapadnięciem w sen Tika pomyślała jeszcze, że całe szczęście, iż nie jest sama z Caramonem.

Goldmoon dostrzegła spojrzenie wojownika wbite w Tikę. Szepnąwszy coś do Riverwinda – który pokiwał głową, uśmiechając się – zostawiła go i podeszła do Caramona. Dotykając jego ramienia, odciągnęła go w mrok korytarza.

– Tanis mówił mi, że masz starszą siostrę – stwierdziła.

– Tak – odparł zaskoczony Caramon. – Nazywa się Kitiara. Ale to moja przyrodnia siostra.

Goldmoon uśmiechnęła się i łagodnie położyła dłoń na jego ramieniu. – Zamierzam porozmawiać z tobą jak starsza siostra.

Caramon uśmiechnął się szeroko. – Ale nie jak Kitiara, pani z Que-Shu. Kit nauczyła mnie znaczenia każdego przekleństwa, jakie kiedykolwiek usłyszałem, plus kilku, których jeszcze nie znałem. Nauczyła mnie władać mieczem i walczyć honorowo na turnieju, ale nauczyła mnie też jak kopnąć mężczyznę w krocze, kiedy sędziowie nie widzą. Nie, pani, ty nie przypominasz mojej starszej siostry.

Goldmoon rozwarła oczy, zdumiona takim opisem kobiety, w której, jak podejrzewała, półelf był zakochany. – A ja myślałam, że ona i Tanis, to znaczy oni...

Caramon puścił do niej oko. – Z całą pewnością tak! – powiedział.

Goldmoon zaczerpnęła głęboko tchu. Nie zamierzała odchodzić od tematu rozmowy, lecz wątek sam doprowadził ją do kwestii, jaką chciała poruszyć. – W pewnym sensie o tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Tylko że dotyczy to Tiki.

– Tika? – Caramon zaczerwienił się. – To duża dziewczyna. Za przeproszeniem, nie widzę powodów, dla których miałabyś się wtrącać w to, co robimy.

– Ona jest dziewczyną, Caramonie – powiedziała łagodnie Goldmoon. – Nie rozumiesz?

Caramon popatrzył głupio. Wiedział, że Tika jest dziewczyną. Co Goldmoon chciała przez to powiedzieć? Potem mrugnął oczami, nagle rozumiejąc, i jęknął. – Nie, chyba nie...

– Tak – westchnęła Goldmoon. – To prawda. Nigdy przedtem nie była z mężczyzną.

Powiedziała mi o tym, kiedy zakładałyśmy jej zbroję w zagajniku. Ona jest wystraszona, Caramonie. Słyszała różne rzeczy. Nie poganiaj jej. Rozpaczliwie potrzebuje twojej akceptacji i gotowa jest zrobić wszystko, żeby ją zdobyć. Nie pozwól jednak, żeby stało się to powodem zrobienia czegoś, czego później pożałuje. Jeśli naprawdę ją kochasz, czas to potwierdzi i zwiększy słodycz owej chwili.

– Ty chyba o tym wiesz, co nie? – powiedział Caramon, przyglądając się Goldmoon.

– Tak – rzekła cicho, spoglądając na Riverwinda. – Czekamy od dawna i czasami męka jest nie do zniesienia. Jednak prawo mego ludu jest surowe. Nie sądzę, żeby teraz miało to jakieś znaczenie – szepnęła bardziej do siebie, niż do Caramona – ponieważ zostaliśmy tylko my dwoje. Choć na swój sposób przez to jest jeszcze ważniejsze. Dopiero kiedy złożymy przysięgę, będziemy żyć ze sobą jak mąż i żona. Nie wcześniej.

– Rozumiem. Dziękuję, że powiedziałaś mi o Tice – rzekł Caramon. Niezgrabnie poklepał Goldmoon po ramieniu i wrócił na swój posterunek.

Noc minęła spokojnie, a ścigający nie zjawił się. Kiedy zmieniły się warty, Tanis porozmawiał z Gilthanasem o tym, co powiedział mu Eben i otrzymał niezadowolającą odpowiedź. Tak, to co powiedział, było zgodne z prawdą. Gilthanasa nie było w obozie, gdy smokowcy zaatakowali. Próbował w tym czasie nakłonić druidów, by im pomogli. Powrócił, gdy usłyszał wrzawę bitwy i wtedy uderzono go w głowę. Opowiedział o tym wszystkim Tanisowi gorzkim, przyciszonym głosem.

Drużyna zbudziła się następnego dnia o świcie, gdy blade światło wkradło się przez drzwi. Po szybkim śniadaniu zebrali swe rzeczy i udali się w głąb Sla-Mori.

Dotarli do rozdroża, zbadali oba korytarze, prawy i lewy. Riverwind przykląkł, by obejrzeć ślady, a potem wstał z niewyraźną miną.

– To są ślady ludzi – powiedział – lecz jakby nieludzkie. Oprócz tego są również tropy zwierząt – prawdopodobnie szczurów. Krasnolud miał rację. Nie widzę żadnych śladów smokowców ani goblinów. Dziwi mnie jednakże to, że ślady zwierząt kończą się dokładnie tu, gdzie przecinają się

szlaki. Nie prowadzą do korytarza na prawo. Te drugie dziwne ślady nie idą na lewo.

– A my w którą stronę powinniśmy iść? – spytał Tanis.

– Według mnie, w żadną! – stwierdził Eben. – Wejście jest wciąż otwarte. Wracajmy.

– Powrót jest już wykluczony – oświadczył chłodno Tanis. – Pozwoliłbym ci wrócić samemu, tylko że...

– Tylko że mi nie ufasz – dokończył Eben. – Nie mam ci tego za złe, Tanisie Półelfie. W porządku, powiedziałem, że pomogę, i mówiłem serio. Którędy – w prawo czy w lewo?

– Zło dochodzi z prawej strony – szepnął Raistlin.

– Gilthanasie? – zapytał Tanis. – Czy masz jakieś pojęcie o tym, gdzie jesteśmy?

– Nie, Tanthalasie – odrzekł elf. – Legenda mówi, że było wiele wejść z Sla-Mori do Pax Tharkas – wszystkie tajne. Tylko elfim kapłanom wolno było tam wchodzić, by oddawać cześć zmarłym. Każda droga jest równie dobra.

– Albo równie zła – szepnął Tasslehoff do Tiki. Dziewczyna przelknęła ślinę i przysunęła się bliżej do Caramona.

– Pójdziemy w lewo – rzekł Tanis – ponieważ Raistlina niepokoi prawa strona.

Wędrując w świetle laski maga, przyjaciele przeszli zakurzonym, usłanym kamieniami korytarzem kilkadziesiąt metrów, a następnie dotarli do prastarego muru, w którym ziała wielka dziura, za którą widać było tylko ciemność. Wąty blask laski Raistlina słabo oświetlał odległe ściany wielkiej sali.

Wojownicy weszli pierwsi, osłaniając z obu stron maga, który podniósł wysoko laskę. Olbrzymia sala niegdyś musiała być wspaniała, lecz obecnie była w stanie takiego rozkładu, że wyblakły przepych sprawiał wrażenie żałosne i przerażające przez kontrast. Wzdłuż sali ciągnęły się dwa rzędy siedmiu kolumn, choć niektóre leżały w kawałkach na posadzce. Część przeciwległej ściany zawaliła się, dając świadectwo niszycielskiej sile kataklizmu. Na samym końcu sali widoczne były dwie pary podwójnych, spiżowych wrót.

Raistlin zbliżył się do nich, a pozostali rozeszli się po sali z mieczami w dłoniach. Wtem Caramon, który był na przedzie, wydał zdławiony okrzyk. Czarodziej pośpieszył tam i oświetlił miejsce, które Caramon wskazywał drżącą dłonią.

Przed nimi wznosił się masywny tron, pięknie wyciosany w granicie. Po jego obu stronach stały olbrzymie marmurowe posągi, których ślepe oczy spoglądały w ciemność. Tron, którego strzegły, nie był pusty. Spoczywał na nim szkielet mężczyzny – choć nie sposób było ustalić jakiej rasy, bowiem śmierć zrównuje wszystkich. Szczątki postaci odziane były w królewskie szaty, które choć wyblakłe i postrzępione, wciąż dawały świadectwo przepychu. Wyschnięte ramiona okrywał płaszcz. Na pozbawionej ciała czaszce połyskiwała korona. Kościste dłonie, których palce po śmierci układały się z wdziękiem, spoczywały na schowanym do pochwy mieczu.

Gilthanas padł na kolana. – Kith-Kanan – rzekł szeptem. – Znajdujemy się w sali starożytnych, w jego grobowcu. Nikt go nie widział od czasu, gdy kapłani elfów znikli podczas kataklizmu.

Tanis spoglądał na tron, aż powoli, obezwładniony uczuciami, których w pełni nie pojmował, półelf osunął się na kolana. – *Fealan thalos, Im murquanethi. Sai Kith-Kananoth*

Murtari Larion – szepnął składając hołd największemu z królów elfów.

– Jaki piękny miecz – powiedział Tasslehoff, a jego przenikliwy głos przerwał nabożną ciszę. Tanis zmierzył go surowym spojrzeniem. – Nie zamierzam go zabrać! – zaprotestował kender z urażoną miną. – Tylko wspomniałem, że warto zwrócić na niego uwagę.

Tanis wstał. – Nie dotykaj go – rzekł srogo do kendera, a potem poszedł rozejrzeć się po reszcie pomieszczenia.

Kiedy Tas zbliżył się, by przyrzeć się mieczowi z bliska, towarzyszył mu Raistlin. Mag zaczął szeptać – *Tsaran korilath ith hakon* – i szybko narysował chudą ręką przepisowe wzory nad mieczem. Miecz zaczął emanować słaby, czerwony blask. Raistlin uśmiechnął się i rzekł cicho. – Jest zaczarowany.

Tas westchnął. – To dobry czar? A może zły?

– Skąd mam wiedzieć – szepnął czarodziej. – Lecz skoro tak długo leżał nietknięty, ja z całą pewnością nie poważyłbym się wziąć go do ręki!

Odwrócił się i zostawił Tasa, który zastanawiał się nad tym, czy ośmieli się nie posłuchać Tanisa i zaryzykuje zmianę w coś paskudnego.

W czasie gdy kender zmagał się z pokusą, pozostali szukali w pomieszczeniu tajnych przejść. Flint pomagał, udzielając uczonych i długich wywodów na temat tajnych drzwi, budowanych przez krasnoludów. Gilthanas podszedł do ściany naprzeciwko tronu Kith-Kanana, gdzie znajdowały się dwie pary olbrzymich, spiżowych drzwi. Jedne, z płaskorzeźbą przedstawiającą mapę Pax Tharkas, były nieco uchylone. Zawoławszy o światło, wraz z Raistlinem przyjrzeni się mapie.

Caramon po raz ostatni obejrzał się na szkielet dawno umarłego króla i zabrał do szukania ukrytych przejść w ścianach wraz ze Sturmem i Flintem. Wreszcie Flint zawołał – Tasslehoff, ty nicponiu kenderski, przecież to twoja specjalność. Stale się przechwalasz, jak znalazłeś zapomniane od stu lat drzwi, które prowadziły do wielkiego klejnotu skądśtam.

– To było właśnie w takim miejscu, jak to – powiedział Tas, natychmiast zapomniawszy o mieczu. Biegł w podskokach, żeby pomóc, gdy nagle zatrzymał się.

– Co to? – zapytał, przechylając głowę.

– Co? – zapytał zaprzątnięty czym innym Flint, ostukując ściany.

– Jakieś chrobotanie – powiedział zdumiony kender. – Dochodzi zza tych drzwi.

Tanis podniósł głowę, dawno już nauczywszy się szacunku dla słuchu Tasslehoffa. Podszedł do drzwi, przy których Gilthanas i Raistlin studiowali mapę. Nagle Raistlin cofnął się o krok. Przez otwarte drzwi wionęło smrodem. Teraz już wszyscy słyszeli skrobanie i cichy, mlaszczący odgłos.

– Zamknijcie drzwi! – nalegał szeptem Raistlin.

– Caramonie! – krzyknął Tanis. – Sturmie! – Obaj mężczyźni wraz z Ebenem biegli już w stronę drzwi. Razem

naparli na nie, lecz zostali odrzuceni przez spiżowe wrota, które rozwarły się raptownie, uderzając w ściany z głuchym, donośnym łomotem. Do sali wśliznął się potwór.

– Pomóż nam, Mishaka! – Goldmoon wyszeptała imię bogini, przywierając plecami do ściany. Monstrum szybko wsunęło się do komnaty pomimo swych olbrzymich rozmiarów. Zgrzyt, jaki słyszeli, był spowodowany przesuwaniem jego wielkiego, rozdętego cielska po posadzce.

– Ślimak! – powiedział Tas, podbiegając bliżej, by przyjrzeć mu się z ciekawością. – Spójrzcie tylko na jego rozmiary! Jak myślicie, jak on mógł urosnąć taki duży? Ciekawe, co on je...

– Nas, bęcwale! – krzyknął Flint, łapiąc kendera i przewracając go na ziemię w chwili, gdy olbrzymi ślimak splunął strugą śliny. Jego oczy, umieszczone na szczycie wysmukłych, ruchomych czułek na czubku głowy niewiele mu pomagały, lecz nie były mu też potrzebne. Ślimak potrafił znajdować i pożerać szczury w ciemności, posługując się jedynie zmysłem węchu. Teraz wyczuł znacznie większą zdobycz i splunął paralizującą śliną w ogólnym kierunku żywego mięsa, na jakie miał chrapkę.

Zabójcza ciecz nie trafiła do celu, bowiem kender wraz z krasnoludem odturlali się na bok. Sturm i Caramon ruszyli do ataku, tnąc potwora mieczami. Miecz Caramona nawet nie przebił grubej, gumistej skóry. Dwuręczny miecz Sturma zranił ślimaka, który podniósł głowę i cofnął się z bólu. Tanis skoczył naprzód w chwili, gdy ślimak odwrócił łeb w stronę rycerza...

– Tanthalasie!

Krzyk przerwał skupienie Tanisa, który usłyszawszy go, zatrzymał się i obejrzał ze zdumieniem na wejście do sali.

– Laurano!

W tej samej chwili ślimak, wyczuwszy półelfa, plunął w niego żrącą cieczą. Ślina trafiła w miecz, który zasyczał i zadymił, a następnie rozpułynał się w jego dłoni. Paląca ciecz spłynęła po jego ręce, parząc go. Tanis wrzasnął z bólu i osunął się na kolana.

– Tanthalasie! – znów krzyknęła Laurana, biegnąc ku niemu.

– Zatrzymajcie ją! – jęknął skulony z bólu Tanis, ściskając poczerniałą i bezwładną prawą rękę.

Wyczuwszy zwycięstwo, ślimak podpełzł bliżej, wysuwając swe pulsujące, szare

cielsko zza drzwi. Goldmoon obrzuciła ogromnego potwora bojaźliwym spojrzeniem, po czym podbiegła do Tanisa. Riverwind stanął nad nimi opiekuńczo.

– Uciekaj stąd! – wycedził Tanis przez zaciśnięte zęby.

Goldmoon wzięła go za zranioną rękę i pomodliła się do swej bogini. Riverwind założył strzałę na cięciwę łuku i strzelił do ślimaka. Strzała trafiła stwora w kark, nie wyrządzając wielkiej szkody, lecz odwracając jego uwagę od Tanisa. Półelf widział, że Goldmoon dotyka jego dłoni, lecz nie czuł nic poza cierpieniem. Potem ból ustąpił i wróciło czucie w rękę. Uśmiechnął się do Goldmoon, pełen podziwu dla jej mocy uzdrawiania i podniósł głowę, by zobaczyć, co się dzieje. Pozostali atakowali potwora ze zdwojoną furją, próbując odciągnąć go od Tanisa, lecz równie dobrze mogliby wbijać swój oręż w grubą, gumiąstą ścianę.

Tanis stanął na drżących nogach. Jego ręka została uleczona, lecz z miecza pozostała tylko stopiona gruda metalu na posadzce. Ujrawszy wczołgującego się do komnaty ślimaka, wycofał się, pociągając za sobą Goldmoon, bowiem poza długim łukiem nie miał broni.

Raistlin podbiegł do Fizbana. – Teraz jest odpowiednia pora na rzucenie kuli ognistej, staruszkule – wysapał.

– Naprawdę? – Twarz Fizbana rozpromieniła radość. – Wspaniale! Jak to było?

– Nie pamiętasz! – Raistlin nieomal wrzasnął, wciągając maga za kolumnę, gdy ślimak plunął na podłogę kolejną strugą żrącej śliny.

– Kiedyś wiedziałem... zaraz sprawdzę. – Fizban zmarszczył czoło w skupieniu. – Nie mógłbyś sam tego zrobić?

– Nie mam jeszcze wystarczającej mocy, starcze! To zaklęcie jest wciąż poza granicami moich możliwości! – Raistlin zamknął oczy i skupił się na tych czarach, jakie były mu znane.

– Wycofujcie się! Uciekajcie stąd! – krzyczał Tanis, zasłaniając Lauranę i Goldmoon najlepiej jak mógł, jednocześnie usiłując wyciągnąć długi łuk i strzały.

– On tylko pójdzie za nami! – zawołał Sturm, ponownie zadając celny cios mieczem. Jednakże wraz z Caramonem udało im się jedynie rozwścieczyć potwora jeszcze bardziej.

Nagle Raistlin wznosił rękę. – *Kalith karan, tobanis-kar!* – wykrzyknął i płonące pociski wystrzeliły z jego palców, trafiając potwora w głowę. Ślimak uniósł cielsko w bezgłośnie udręce i potrząsnął łbem, lecz nie zaprzestał łowów. Niespodziewanie skoczył wprost przed siebie, wyczuwając ofiary na końcu sali, gdzie Tanis usiłował ochronić Goldmoon i Lauranę. Oszałały z bólu, i rozwścieczony zapachem krwi ślimak zaatakował z niewiarygodną szybkością. Strzała Tanisa odbiła się od grubej skóry potwora, który natarł na

niego z otwartą paszczą. Półelf upuścił bezużyteczny łuk i cofnął się chwiejnym krokiem, nieomal przewracając się na stopniach wiodących do tronu Kith-Kanana.

– Schowajcie się za tron! – krzyknął, przygotowując się do ściągnięcia uwagi potwora na siebie, podczas gdy Goldmoon i Laurana miały pobiec do bezpiecznego miejsca. Wyciągnął rękę, szukając dużego kamienia – czegokolwiek, by rzucić w bestię – gdy jego palce zacisnęły się na metalowej rękojeści miecza. Tanis wypuścił broń ze zdumienia. Metal był tak zimny, że niemal sparzył go. Ostrze mocno błyszczało w migotliwym świetle laski czarodzieja. Jednakże nie był to odpowiedni czas na zadawanie pytań. Tanis wbił klingę w ziejącą paszczę ślimaka w chwili, gdy potwór już nachylał się, by go pożreć.

– Uciekajcie! – wrzasnął Tanis. Chwyciwszy Lauranę za rękę, pociągnął ją w stronę dziury. Przepchnąwszy ją na drugą stronę, odwrócił się, gotów powstrzymać ślimaka dopóki pozostali nie uciekną. Lecz ślimak stracił już apetyt. Wijąc się żałośnie, powoli zawrócił i odpełził do swego leża. Z jego ran sączyła się przejrzysta, lepka ciecz.

Przyjaciele stłoczyli się na korytarzu, zatrzymując na chwilę, by odetchnąć głęboko i uspokoić bijące serca. Raistlin rzeził, wsparty na ramieniu brata. Tanis rozejrzał się. – Gdzie jest Tasslehoff? – zapytał z poczuciem bezsilnej złości. Odwracając się gwałtownie z zamiarem wrócenia do komnaty, omal nie przewrócił się, wpadłszy na kendera.

– Przyniosłem ci pochwę – powiedział Tas, podnosząc ją. – Do miecza.

– Wracamy w głąb tunelu – rzekł stanowczo Tanis, powstrzymując nasuwające się wszystkim pytania.

Dotarłszy do skrzyżowania i siadając na zakurzonej posadzce, żeby odetchnąć, Tanis zwrócił się do elfiej dziewczyny.

– W imię otchłani, co ty tu robisz, Laurano? Czy coś się stało w Qualinoście?

– Nic się nie stało – powiedziała Laurana, wciąż roztrzęsiona po spotkaniu ze ślimakiem. – Ja... ja... po prostu przyszłam.

– W takim razie natychmiast wrócisz! – wykrzyknął rozgniewany Gilthanas, chwytając Lauranę. Wyrwała mu się z rąk.

– Nigdzie nie wrócę – stwierdziła nadąsana. – Idę z tobą i Tanisem, i... całą resztą.

– Laurano, to szaleństwo – rzucił ostro Tanis. – Nie idziemy na wycieczkę. To nie jest zabawa. Widziałas, co tu się stało – omal nie zginęliśmy!

– Wiem, Tanthalasie – powiedziała błagalnie Laurana. Głos jej zadrżał i załamał się zupełnie. – Powiedziałeś mi, że nadchodzi taki czas, gdy trzeba zaryzykować swym życiem w walce o to, w co się wierzy. To ja was śledziłam.

– Mogłaś zginąć... – zaczął Gilthanas.

– Ale nie zginęłam! – krzyknęła krnąbrnie Laurana. – Uczyłam się sztuki walki – jak wszystkie kobiety elfów na pamiątkę czasów, gdy walczyłyśmy u boku naszych mężczyzn w obronie ojczyzny.

– To nie jest poważna nauka... – zaczął rozgniewany Tanis.

– Ale śledziłam was, prawda? – domagała się odpowiedzi Laurana, rzucając spojrzenie na Sturma. – Umiejętnie?

– zapytała rycerza.

– Tak – przyznał.

– To jeszcze nie oznacza...

Raistlin przerwał mu. – Tracimy czas – szepnął czarodziej. – Ja na przykład nie mam zamiaru spędzić więcej czasu w tym wilgotnym i zatęchłym korytarzu, niż jest to konieczne.

– Rzęził i ledwo mógł oddychać. – Dziewczyna podjęła już decyzję. Nie możemy sobie pozwolić na posłanie kogoś, by ją odprowadził, ani też nie możemy ufać, że wróci sama. Ktoś ją może po drodze złapać i dowiedzieć się od niej o naszych planach. Musimy ją zabrać.

Tanis obrzucił wrogim spojrzeniem maga, nienawidząc go za jego zimną, nieczułą logikę i za to, że ma rację. Półelf wstał, szarpnięciem podnosząc również Lauranę. Był bardzo bliski znienawidzenia również jej, nie wiedząc nawet w pełni, dlaczego. Wiedział tylko, że przez nią ciężkie zadanie staje się dużo trudniejsze.

– Musisz sama troszczyć się o siebie – powiedział do niej cicho, gdy pozostali wstali i zaczęli zbierać swoje rzeczy.

– Nie mogę być zawsze w pobliżu i ochraniać cię. Gilthanas też nie może. Zachowałeś się jak rozpuszczone dziecko. Raz już ci powiedziałem – wydorósłej. Jeśli teraz tego nie uczynisz, zginiesz – i najprawdopodobniej przyczynisz się również do śmierci nas wszystkich!

– Przykro mi, Tanthalasie – powiedziała Laurana, starając się nie patrzeć w jego rozgniewane oczy. – Ale nie mogłam cię utracić, nie po raz drugi. Kocham cię. – Zaciśnęła wargi i powiedziała cicho. – Będziesz jeszcze ze mnie dumny.

Tanis odwrócił się i odszedł. Zacerwienił się, zauważywszy szczerzącego zęby Caramona i rozchichotaną Tikę. Zignorował ich i podszedł do Sturma i Gilthanas. – Wydaje się, że zmuszeni jesteśmy skrócić w prawo, niezależnie od tego, czy złe przeczucia Raistlina są prawdziwe, czy nie. – Przypasał swój nowy miecz w pochwie i zauważył wzrok Raistlina spoczywający na broni.

– Co znowu? – zapytał poirytowany.

– Miecz jest zaczarowany – rzekł cicho Raistlin, pokaszlując. – Jak go zdobyłeś?

Tanis drgnął. Spojrzał na oręż, odsuwając rękę, jakby mógł zamienić się w węża. Zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie. – Byłem blisko szczątków króla elfów i szukałem czegoś, czym mógłbym cisnąć w ślimaka, gdy nagle miecz znalazł się w moim ręku. Był wyjęty z pochwy i... – Tanis umilkł i przełknął ślinę.

– Tak? – dopytywał się Raistlin, któremu oczy błyszczały z podniecenia.

– On mi go dał – powiedział cicho Tanis. – Pamiętam, jego dłoń dotknęła mojej. On wyciągnął go z pochwy.

– Kto? – spytał Gilthanas. – Nikogo z nas tam nie było.

– Kith-Kanan...

Rozdział X

Królewska straż. Sala łańcuchowa.

Być może była to tylko wyobraźnia, lecz ciemność zdawała się zagęszczać, gdy wkroczyli do drugiego korytarza, a powietrze się ochłodziło. Krasnolud nikomu nie musiał wyjaśniać, że nie było to normalne w jaskini, gdzie temperatura powinna być stała. Dotarli do rozgałęzienia, lecz nikt nie miał ochoty pójść w lewo, która to droga mogła zaprowadzić ich z powrotem do sali starożytnych – i do zranionego ślimaka.

– Przez tego elfa ślimak niemal nas zabił – powiedział oskarżycielskim tonem Eben. – Ciekawe, co tam jeszcze na nas czeka?

Nikt nie odpowiedział. Teraz już wszyscy odczuwali narastające zło, przed którym ostrzegął Raistlin. Zwolnili kroku i tylko dzięki zbiorowemu wysiłkowi woli posuwali się naprzód. Laurana czuła lęk konwulsyjnie wstrząsający jej kończynami, aż musiała się oprzeć o ścianę, by nie upaść. Pragnęła, by Tanis pocieszył ją i ochronił, jak wtedy, gdy byli młodszy i zmagali się z wymyślonymi wrogami, lecz on szedł z jej bratem na przedzie kolumny. Każdy z nich musiał sam bić się ze swym strachem. Wtedy Laurana postanowiła, że prędzej umrze, niż poprosi ich o pomoc. W tym momencie przyszło jej do głowy, że mówiła całkiem serio, twierdząc, że pragnie, by Tanis był z niej dumny. Odsuwając się od ściany rozsypującego się tunelu, zacisnęła zęby i ruszyła naprzód.

Tunel zakończył się niespodziewanie. Pod czarną dziurą w kamiennej ścianie leżała sterta gruzu. Niemal można było poczuć straszliwe zło promieniujące z ciemności po drugiej stronie otworu, muskające ciało jak dotyk niewidzialnych palców. Przyjaciele zatrzymali się i nikt – nawet nieustraszony kender – nie śmiał wejść.

– Nie chodzi o to, że się boję – Tas zwierzył się szeptem Flintowi. – Po prostu wolałbym być gdzie indziej.

Zapadła przytłaczająca cisza. Wszyscy słyszeli bicie swego serca i oddechy towarzyszy. Światło migotało i drżało w trzęsącej się dłoni czarodzieja.

– Cóż, nie możemy tu stać wiecznie – rzekł ochryple Eben. – Niech elf tam wejdzie. To on nas tu przyprowadził!

– Pójdę – odrzekł Gilthanas. – Ale potrzebuję światła.

– Nikomu nie wolno dotknąć laski, oprócz mnie – zasyczał Raistlin. Zamilkł, a następnie dodał niechętnie. – Pójdę z tobą.

– Raist... – zaczął Caramon, lecz brat zmierzył go chłodnym spojrzeniem. – Ja też pójdę – wymamrotał ogromny mężczyzna. .

– Nie – rzekł Tanis. – Ty zostaniesz tu i będziesz strzec pozostałych. Gilthanas, Raistlin i ja wejdziemy tam.

Gilthanas wszedł przez dziurę w ścianie, za nim czarodziej i Tanis. Półelf pomagał iść Raistlinowi. Blask oświetlił wąską komnatę, niknącą w mroku poza zasięgiem światła laski. Po obu stronach widniały rzędy wielkich, kamiennych drzwi zawieszonych na ogromnych, żelaznych zawiasach, które wbito bezpośrednio w skałę. Raistlin podniósł wysoko laskę, oświetlając nią ciemną komnatę. Każdy z nich wiedział, że zło skupia się tutaj.

– Na drzwiach jest jakiś relief – szepnął Tanis. Blask laski podkreślał kształty kamiennych wzorów głębokimi cieniami.

Gilthanas przyjrzał im się uważnie. – To godło królewskie! – powiedział zduszonym głosem.

– Co to znaczy? – spytał Tanis, czując, że strach elfa jest zaraźliwy.

– To są krypty królewskiej straży – szepnął Gilthanas.

– Złożyli przysięgę, że będą spełniać swe obowiązki nawet po śmierci i będą strzec króla – przynajmniej tak twierdzą legendy.

– I tak legendy ożywają! – szepnął Raistlin, chwytając Tanisa za ramię. Tanis postyszał zgrzyt odsuwających się olbrzymich bloków skalnych i skrzypienie zardzewiałych, żelaznych zawiasów. Odwracając głowę, zobaczył, że wszystkie kamienne drzwi zaczynają się otwierać na oścież! Korytarz wypełnił chłód tak straszliwy, że Tanis poczuł, jak drętwieją mu palce. Za kamiennymi drzwiami coś się poruszało.

– Królewska straż! To oni zostawili ślady! – szepnął gorączkowo Raistlin. – Ludzkie, a jednak nieludzkie. Nie ma ucieczki! – rzekł, mocniej ściskając Tanisa. – W odróżnieniu od widm z Mrocznej Puszczy, ci mają tylko jedno na myśli

– zabić wszystkich, którzy popełnili świętokradztwo, zakłócając spoczynek króla!

– Musimy spróbować! – powiedział Tanis, odginając zaciśnięte palce czarodzieja, które wbijały się w jego ramię.

Potyając się, cofnął się do wyjścia, gdzie natknął się na dwie postaci, które je blokowały.

– Wracajcie! – wysapał Tanis. – Uciekajcie! Kto – Fizban? Nie, ty stary wariacie! Musimy uciekać! Umarli strażnicy...

– Och, uspokój się – mruknął staruszek. – Ach, ci młodzi ludzie. Z byle powodu podnoszą alarm. – Odwrócił się i pomógł komuś wejść. To była Goldmoon, której włosy załśniły w blasku laski.

– Wszystko w porządku, Tanisie – zawołała cicho. – Spójrz! – Odsunęła płaszcz:

medalion, który nosiła, jarzył się niebiesko. – Fizban powiedział, że pozwolą nam przejść, jeśli go zobaczą. I kiedy to powiedział, medalion zaczął się świecić!

– Nie! – Tanis chciał nakazać jej powrócić na tyły, lecz Fizban długim, kościstym palcem postukał go w pierś.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Tanisie Półelfie – cicho rzekł stary czarodziej – ale za dużo się martwisz. Teraz uspokój się i pozwól nam odesłać te biedne dusze w ponowny sen. Bądź tak dobry i sprowadź pozostałych.

Tanis, tak zaskoczony, że zabrakło mu słów, cofnął się, pozwalając przejść Goldmoon, Fizbanowi i idącemu za nimi Riverwindowi. Tanis przyglądał się, jak przechodzą między rzędami ziejących otworem kamiennych drzwi. W chwili, gdy przechodzili obok, za każdymi drzwiami ustawał ruch. Nawet z tej odległości poczuł, że zawzięte zło wygasa.

Gdy pozostali zbliżyli się do walącego się wejścia, pomógł im przechodzić, odpowiadając wzruszeniem ramion na pytania zadawane szeptem. Wchodząc, Laurana nie rzekła nawet słowa do niego. Miała zimną dłoń i, ku swemu zdumieniu, Tanis dostrzegł krew na jej wardze. Wiedząc, że musiała przygryźć ją, by powstrzymać krzyk, poczuł wyrzuty sumienia i chciał coś powiedzieć. Lecz elfia dziewczyna trzymała głowę wysoko i nie chciała patrzeć na niego.

Reszta drużyna pośpieszyła za Goldmoon, lecz Tasslehoff, zatrzymawszy się, by zajrzeć do jednej z krypt, ujrzał w niej spoczywającą na kamiennych marach wysoką postać odzianą

w majestatyczną, lśniącą zbroję. Dłonie szkieletu zaciskały się na rękojeści długiego miecza położonego wzdłuż ciała. Tas z ciekawością popatrzył na królewskie godło, usiłując przeczytać na głos słowa.

– *Sothi Nuinqua Tsalarioth* – powiedział Tanis, podchodząc z tyłu do kendera.

– Co to znaczy? – spytał Tas.

– Wierni nawet po śmierci – rzekł cicho Tanis.

Na zachodnim końcu ciągu krypt odkryli podwójne, spiżowe wrota. Goldmoon otworzyła je bez trudu pchnięciem i zaprowadziła ich do trójkątnego przejścia, z którego droga prowadziła do ogromnej sali. W tej komnacie zetknęli się tylko z jednym problemem – jak wydostać z niej krasnoluda. Sala zachowała się w stanie idealnym – jak do tej pory, było to jedyne pomieszczenie w Sla-Mori, które przetrwało kataklizm w stanie nienaruszonym. Przyczyną tego, jak Flint wyjaśniał wszystkim, którzy chcieli go słuchać, była wspaniała robota krasnoludów – szczególnie dwadzieścia trzy kolumny podpierające strop.

Jedyne wyjście stanowiły dwie pary identycznych, spiżowych drzwi na drugim końcu

komnaty. Prowadziły one na zachód. Flint oderwał się od kolumn i zbadawszy wrota, burknął, że nie ma pojęcia, co się za nimi kryje ani też dokąd prowadzą. Po krótkiej dyskusji Tanis postanowił, że pójdą drzwiami na prawo.

Za drzwiami odkryli czysty, wąski korytarz, który po jakichś dziesięciu metrach doprowadził ich do kolejnych, tym razem pojedynczych, spiżowych drzwi. Jednakże te drzwi były zamknięte. Caramon pchał, szarpał, podważał je – bezskutecznie.

– Nic z tego – mruknął wielki mężczyzna. – Nie chcą się otworzyć.

Flint przyglądał się Caramonowi przez kilka minut, a następnie przyczłapał do niego. Obejrzał drzwi, parsknął i potrząsnął głową. – To fałszywe drzwi!

– Mnie się wydają prawdziwe! – powiedział Caramon, obrzucając drzwi podejrzliwym wzrokiem. – Mają nawet zawiasy!

– Oczywiście – parsknął Flint. – Nie budujemy fałszywych drzwi, żeby wyglądały na fałszywe – nawet krasnolud źlebowy wie o tym.

– Więc to ślepy zaułek! – powiedział ponuro Eben.

– Cofnijcie się – szepnął Raistlin, starannie opierając laskę o ścianę. Położył obie dłonie na drzwiach, dotykając ich tylko czubkami palców, a następnie powiedział: – *Khetsaram pakliol!* – Błysnęło pomarańczowe światło, lecz nie z drzwi - ze ściany!

– Z drogi! – Raistlin złapał brata i odciągnął go szarpnięciem w chwili, gdy cała ściana wraz ze spiżowymi drzwiami zaczęła się obracać wokół swej osi.

– Szybko, zanim się zamknie – powiedział Tanis i wszyscy pośpieszyli za drzwi. Caramon pochwycił ślaniającego się brata.

– Nic ci nie jest? – spytał Caramon, gdy ściana zatrzasnęła się za nimi z łoskotem.

– Nie, słabość minie – wyszeptał Raistlin. – To pierwsze zaklęcie, jakie rzuciłem z księgi Fistantilusa. Czar otwierania poskutkował, lecz nie przypuszczałem, że tak mnie wyczerpie.

Drzwi zaprowadziły ich do następnego korytarza, który przez jakieś dwanaście metrów wiódł prosto na zachód, skręcał ostro na południe, następnie na wschód i znów prowadził na południe. Wreszcie drogę zagrodziły im pojedyncze drzwi z brązu.

Raistlin potrząsnął głową. – Mogę użyć zaklęcia tylko raz. Już ulotniło się z mej pamięci.

– Kula ognista otworzyłaby drzwi – powiedział Fizban.

– Wydaje mi się, że już sobie przypomniałem...

– Nie, staruszku – powiedział pośpiesznie Tanis. – W tym wąskim korytarzu upieklibyśmy się wszyscy. Tas...

Dobiegając do drzwi, kender pchnął je. – Buu, otwarte – powiedział, rozczerowany, że nie musi używać wytrycha. Zajrzał do środka. – Tylko kolejna komnata.

Weszli ostrożnie. Raistlin oświetlił pomieszczenie światłem laski. Komnata była doskonale okrągła i miała mniej więcej

trzydzieści metrów średnicy. Dokładnie naprzeciwko nich, na południu, znajdowały się spiżowe wrota, a pośrodku sali...

– Krzywa kolumna – stwierdził Tas z chichotem. – Spójrz, Flincie. Krasnoludowie zbudowali krzywą kolumnę!

– Widocznie mieli bardzo dobry powód – warknął krasnolud, odpychając kendera na bok, by przyjrzeć się wysokiej, cienkiej kolumnie. Była zdecydowanie nachylona.

– Hmm – mruknął zdumiony Flint. – To wcale nie jest kolumna, głąbie jeden! – wybuchł. – To olbrzymi, ogromny łańcuch! Spójrz, widać, że jest przyczepiony do żelaznego uchwyty w podłodze.

– W takim razie znajdujemy się w sali łańcuchowej! – powiedział podekscytowany Gilthanas. – To osławiony mechanizm obronny Pax Tharkas. Musimy być już niemal wewnątrz fortecy.

Przyjaciele zebrali się wokół niego, patrząc z podziwem na monstrualnych rozmiarów łańcuch. Każde ogniwo było wysokości Caramona i grube jak pień dębu.

– Do czego służy ten mechanizm? – spytał Tasslehoff, którego kusiło, by wspiąć się na łańcuch. – Dokąd on prowadzi?

– Łańcuch prowadzi do samego mechanizmu – odparł Gilthanas. – A co do tego, jak działa, musisz spytać krasnoluda, bo mnie maszyny są obce. Lecz jeśli ten łańcuch zostanie uwolniony z uchwyty – wskazał na żelazną klamrę w podłodze – masywne bloki granitu posypią się za bramy fortecy. Wtedy żadna siła na Krynnie nie zdoła ich otworzyć.

Zostawiwszy kendera, który wpatrywał się w pełen cieni mrok, daremnie próbując dostrzec cudowny mechanizm, Gilthanas przyłączył się do przeszukiwania komnaty.

– Spójrzcie na to! – zawołał wreszcie, wskazując na ledwo dostrzegalny obrys drzwi na kamieniach północnej ściany. – Tajne drzwi! To musi być wejście!

– Tu jest spust. – Tasslehoff odwrócił się od łańcucha i pokazał na odłupany kawałek kamienia na samym dole. – Krasnoludowie spartaczyli robotę – powiedział, uśmiechając się złośliwie do Flinta. – To są fałszywe drzwi, które wyglądają jak fałszywe.

– I dlatego nie wolno im ufać – stwierdził zdecydowanie Flint.

– Ba, krasnoludowie mają złe dni, jak wszyscy inni – rzekł Eben, nachylając się, by pociągnąć za spust.

– Nie otwieraj ich! – powiedział nagle Raistlin.

– Dlaczego nie? – zapytał Sturm. – Ponieważ chcesz kogoś zawiadomić, zanim znajdziemy drogę do Pax Tharkas?

– Gdybym chciał cię zdradzić, rycerzu, mógłbym to zrobić tysiąc razy przedtem! – zasyczał Raistlin, wpatrując się w tajne drzwi. – Wyczuwam za tymi drzwiami moc, jakiej nie czułem od czasów... – Przerwał, dygocząc.

– Od kiedy? – łagodnie zachęcił go brat.

– Wieź Wielkiej Magii! – wyszeptał Raistlin. – Ostrzegam was, nie otwierajcie tych drzwi!

– Zobacz, dokąd prowadzą drzwi na południu – Tanis polecił krasnoludowi.

Flint poczłapał do spiżowych drzwi w południowej ścianie i otworzył je pchnięciem. – O ile się nie mylę, dalej znajduje się kolejne przejście, dokładnie takie samo, jak wszystkie inne

– stwierdził z kwaśną miną.

– Droga do Pax Tharkas wiedzie przez tajne drzwi – powtórzył Gilthanas. Zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, nachylił się i pociągnął wyszczerbiony kamień. Drzwi zadrzały i zaczęły bezgłośnie otwierać się do wnętrza.

– Pożalujecie tego! – wykrztusił Raistlin.

Drzwi odsunęły się, odsłaniając wielką salę, niemal w całości wypełnioną złotymi przedmiotami przypominającymi cegły. Przez grubą warstwę kurzu przeświecał żółtawy kolor.

– Skarbiec! – krzyknął Eben. – Znaleźliśmy skarb Kith-Kanana!

– Wszystko w złocie – rzekł chłodno Sturm. – Bezwartościowy w dzisiejszych czasach, gdy ceni się tylko stal ...

– Umilkł i oczy rozszerzyły mu się z przerażenia.

– Co to? – krzyknął Caramon, wyciągając* miecz.

– Nie wiem! – powiedział Sturm, a był to bardziej jęk niż słowa.

– Ja wiem! – wyszeptał Raistlin, gdy istota zaczęła nabierać kształtów. – To duch czarnego elfa! Ostrzegałem was przed otwarciem tych drzwi.

– Zrób coś! – rzekł Eben, cofając się na chwiejnych nogach.

– Odłóżcie broń, głupcy! – powiedział Raistlin przeszywającym szeptem. – Nie możecie z nią walczyć! Jej dotyk niesie śmierć, a jeśli krzyknie, zanim nie opuścimy tych murów, jesteście zgubieni. Sam jej przeraźliwy głos zabija. Uciekajcie, wszyscy! Szybko! Przez południowe drzwi!

W chwili gdy już cofali się, ciemność w skarbcu zaczęła się materializować, tworząc zniekształcone, pełne zimnej piękności rysy kobiety *drow* – złego elfa z zamierzchłych czasów, którą skazano na śmierć za niewyobrażalne zbrodnie. Następnie potężni elfi magowie uwięzili jej duszę, zmuszając do wiecznego pilnowania królewskiego skarbcza. Na widok żywych istot wyciągnęła ręce, pożądamc ciepła żyjącego ciała, i otworzyła usta, by wrzaskiem wyrazić swój żal i nienawiść do wszystkich żyjących stworzeń.

Przyjaciele zawrócili i pierzchli, wpadając na siebie w pośpiesznej ucieczce przez spiżowe drzwi. Caramon wpadł na brata, wytrącając mu laskę z dłoni. Laska ze stukiem upadła na posadzkę, lecz nie zgasła, bowiem tylko ogień smoka mógłby zniszczyć magiczny kryształ. Niemniej jednak teraz jej blask oświetlał tylko podłogę, pogrążając resztę pomieszczenia w ciemności.

Ujrzawszy uciekającą zdobycz, zjawa wleciała do sali łańcuchowej, muskając wyciągniętą dłonią policzek Ebena. Mężczyzna wrzasnął od palącego chłodem dotyku i padł zemdlny. Sturm chwycił go i wyciągnął za drzwi w chwili, gdy Raistlin złapał swą laskę i razem z Caramonem przeskoczyli próg.

– Czy to już wszyscy? – spytał Tanis, ociągając się z zatrzaśnięciem drzwi. Wtedy usłyszał niski, zawodzący jęk, tak przerażający, że na moment serce przestało mu bić. Ogarnął go strach. Nie mógł oddychać. Krzyk umilkł i serce załomotało mu gwałtownie i boleśnie. Zjawa zaczerpnęła tchu do następnego wrzasku.

– Nie ma czasu na rozglądanie się! – wysapał Raistlin.

– Zamknij drzwi, bracie!

Caramon całym ciężarem ciała naparł na drzwi z brązu. Zatrzasnęły się z łoskotem, który zadudnił echem w sali.

– To jej nie powstrzyma! – krzyknął ogarnięty paniką Eben.

– Nie – rzekł cicho Raistlin. – Jej magia jest potężna, potężniejsza od mojej. Mogę rzucić czar na drzwi, lecz bardzo mnie to osłabi. Sugeruję wam, żebyście uciekali, póki możecie. Jeśli mi się nie uda, być może zdołam ją zatrzymać na jakiś czas.

– Riverwindzie, poprowadź pozostałych – polecił Tanis.

– Sturm i ja zostaniemy z Raistlinem i Caramonem.

Reszta grupy oddaliła się mrocznym korytarzem, oglądając się za siebie z makabryczną fascynacją. Raistlin nie zważał na nich i podał laskę bratu. Światło rozjarzonego kryształu rozbłysło od obcego dotyku.

Czarodziej położył obie ręce na drzwiach, przyciskając do nich dłonie na płask. Zamknawszy oczy, wysiłkiem woli zapomniał o wszystkim poza magią. – *Kalis-an*

budmmin... – Przerazający chłód wyrwał go ze skupienia.

Czarny elf! Zjawa rozpoznała zaklęcie i usiłowała pokonać go! Przypomniały mu się sceny bitwy z innym czarnym elfem w Wieżach Wielkiej Magii. Ze wszystkich sił starał się zatrzeć straszne wspomnienie bitwy, która zdruzgotała jego ciało i nieomal zniszczyła jego umysł, lecz poczuł, że traci panowanie. Zapomniał słów! Drzwi zadrżały. Elf przechodził przez nie!

Wtem, gdzieś z wnętrza duszy czarodzieja napłynęła siła, którą odkrył w sobie tylko dwa razy przedtem – w wieży i na ołtarzu czarnego smoka w Xak Tsaroth. Znajomy głos, który słyszał wyraźnie w myślach, a którego nie potrafił rozpoznać, przemówił do niego, powtarzając słowa zaklęcia. Raistlin wykrzyknął je silnym, donośnym głosem, który nie należał do niego. – *Kalis-an budrunin kara-emarath!*

Zza drzwi dobiegło wycie pełne rozczarowania i poczucia klęski. Drzwi wytrzymały. Czarodziej osunął się na posadzkę.

Caramon podał laskę Ebenowi, wziął brata na ręce i ruszył w ślad za pozostałymi, którzy szli po omacku ciemnym korytarzem. Kolejne tajne drzwi bez trudu otworzyły się przed Flintem, odsłaniając drogę do serii krótkich, zasłanych gruzem tuneli. Dygocząc ze strachu, znużeni przyjaciele przebyli te przeszkody. Wreszcie weszli do otwartego, obszernego pomieszczenia wypełnionego po sufit stertami drewnianych skrzyń. Riverwind zapalił pochodnię na ścianie. Skrzynie były zabite gwoździami. Na niektórych widniały napisy SOLACE, na innych GATEWAY.

– To tu. Jesteśmy wewnątrz fortecy – stwierdził Gilthanas tonem posępnego zwycięstwa. – Stoimy w piwnicach Pax Tharkas.

– Dzięki niech będą prawdziwym bogom! – westchnął Tanis i osunął się na podłogę. Inni poszli w jego ślady. Dopiero wtedy zauważyli brak Fizbana i Tasslehoffa.

Rozdział XI

Zagubieni. Plan. Zdrada!

Tasslehoff nigdy później nie mógł sobie dobrze przypomnieć ostatnich, pełnych paniki chwil w sali łańcuchowej. Pamiętał, że powiedział, „Czarny elf? Gdzie?” i stanął na palcach, rozpaczliwie chcąc go zobaczyć, gdy niespodziewanie świecąca laska upadła na podłogę. Usłyszał, że Tanis krzyczy, a wśród tego wszystkiego posłyszał jakieś zawodzenie, które sprawiło, że kender stracił zupełnie poczucie tego, gdzie jest i co robi. Wtedy silne dłonie chwyciły go w pasie i podniosły do góry.

– Wspinaj się! – usłyszał krzyk z dołu.

Tasslehoff wyciągnął ręce, poczuł zimny metal łańcucha i zaczął wspinaczkę. Daleko w dole rozległ się łomot zatraskujących się drzwi, a potem znów porażające chłodem wycie elfa. Tym razem nie było mordercze, raczej przypominało krzyk wściekłości i gniewu. Tas miał nadzieję, że to oznacza, iż jego przyjaciele uciekli.

– Ciekawe, jak ja ich potem znajdę – po cichu zadał sobie pytanie, czując się przez chwilę przygnębiony. Potem usłyszał mamroczonego do siebie Fizbana i poweselał. Nie był sam.

Gęsta, nieprzenikniona ciemność spowijała kendera. Kierując się podczas wspinaczki wyłącznie dotykiem, zaczynał już czuć ogromne zmęczenie, gdy podmuch chłodnego powietrza musnął jego prawy policzek. Wyczuł raczej, niż zobaczył, że musi zbliżać się do miejsca, gdzie znajduje się kolejne ogniwo mechanizmu obronnego (Tas był dość dumny z tej gry słów). Gdyby tylko mógł coś zobaczyć! Wtedy przypomniał sobie. W końcu towarzyszy mu czarodziej!

– Dobrze byłoby, gdyby było tu jaśniej! – zawołał Tas.

– Wrzaśnij? A po co? – Fizban omal nie wypuścił łańcucha z rąk.

– Nie wrzaśnij, tylko jaśniej! Światło! – powtórzył cierpliwie Tas, trzymając się mocno ogniwa. – Wydaje mi się, że jesteśmy blisko szczytu i naprawdę powinniśmy się rozejrzeć.

– Och, oczywiście. Zobaczmy, światło... – Tas usłyszał, jak czarodziej szpera w swoich torbach. Najwyraźniej znalazł, czego szukał, bowiem wkrótce zapał triumfalnie po cichu, wypowiedział kilka słów i wyczarował kulkę niebieskavo-żółtego płomienia, która zawisła nad jego kapeluszem.

Świecąca kulka śmignęła do Tasslehoffa, zatańczyła wokół kendera, jakby go oglądała, po czym wróciła do dumnego czarodzieja. Tas był oczarowany. Cisnęła mu się

masa pytań dotyczących cudownej, płomiennej kulki, lecz ręce mu się trzęsły, a i stary mag był już niemal kompletnie wyczerpany. Wiedział, że powinni znaleźć jakiś sposób, żeby zejść z łańcucha.

Spojrząwszy w górę, zobaczył, że zgodnie z jego domysłami, znajdują się na szczycie fortecy. Łańcuch był nawinięty na olbrzymie, drewniane koło zębate, zawieszona na żelaznej osi, którą zakotwiczone w litej skale. Ogniwa łańcucha wsuwały się w zęby wielkości pni drzew, a następnie łańcuch ciągnął się przez cały szeroki szyb, by zniknąć w tunelu na prawo od kendera.

– Możemy wspiąć się na tę zębatkę i podczołgać wzdłuż łańcucha do tunelu – powiedział kender, wyciągając rękę. – Możesz posłać tam światełko?

– Światełko, na koło! – rozkazał Fizban. Ognik chwiał się w powietrzu przez chwilę, po czym zatańczył w tę i z powrotem, zdecydowanie pokazując, że nie pójdzie. Fizban zmarszczył brwi. – Światełko, na koło! – powtórzył z naciskiem.

Kulka płomienia śmignęła i schowała się za kapeluszem czarodzieja. Usiłując ją złapać dzikim susem, Fizban omal się nie przewrócił i chwycił w obie dłonie łańcuch. Świetlista kuleczka tańczyła przed nim w powietrzu, jakby podobała jej się ta zabawa.

– Mimo wszystko, chyba nie potrzeba nam więcej światła – powiedział Tas.

– Żadnej dyscypliny wśród młodszego pokolenia – burczał Fizban. – Jego ojciec – o, to dopiero był ognik... – Głos starego czarodzieja ucichł, gdy mag wznowił wspinaczkę. Światełko wisiało w pobliżu czubka jego zgniecionego kapelusza.

Tas wkrótce dotarł do pierwszego zęba na kole. Odkrywszy, że zęby mają chropowatą, ułatwiającą wspinaczkę powierzchnię, Tas przedostał się z jednego na drugi, aż na samą górę. Fizban podkasał szaty do kolan i poszedł w jego ślady ze zdumiewającą zwinnością.

– Czy mógłbyś poprosić światełko, żeby oświetliło tunel? – spytał Tas.

– Światełko, do tunelu! – rozkazał Fizban, ściskając kościstymi nogami ogniwo łańcucha.

Świetlista kulka zdawała się rozważać polecenie. Wolno podleciała do krawędzi tunelu, a potem zatrzymała się.

– Do tunelu! – rozkazał czarodziej. Świetlik odmówił.

– Wydaje mi się, że boi się ciemności – powiedział Fizban przeproszającym tonem.

– Ojej, jakie to niezwykle! – stwierdził szczerze zdumiony kender. – Cóż – zastanowił się przez chwilę – gdyby został tam, gdzie jest, sądzę, że będzie dość jasno, bym mógł przejść po łańcuchu. Wydaje mi się, że do tunelu nie ma dalej jak pięć metrów. – A pod spodem nic, tylko kilkadziesiąt metrów ciemności i powietrza, nie wspominając o kamiennej posadzce na

dole, pomyślał Tas.

– Ktoś powinien tu przyjść i naoliwić toto – stwierdził Fizban, przyglądając się osce krytycznym wzrokiem. – Sami partacze w dzisiejszych czasach.

– Ja tam jestem wdzięczny, że nie przychodzą – powiedział cichutko Tas, czołgając się po łańcuchu. Mniej więcej w połowie drogi nad przepaścią, kender zastanowił się, jakby to było, spaść z tej wysokości, koziołkować coraz niżej i niżej, aż wreszcie zderzyć się z posadzką. Ciekawe, jakie to uczucie, rozbryznąć się po całej podłodze...

– Ruszaj się! – krzyknął Fizban, wdrapując się na łańcuch za kenderem

Tas podczołgał się szybko do otworu tunelu, gdzie czekało światelko i zeskoczył na kamienną podłogę jakieś półtora metra w dole. Płonąca kulka skoczyła za nim, a wreszcie i Fizban dotarł do tunelu. W ostatnim momencie spadł, lecz Tas złapał go za poję szaty i wciągnął na górę.

Siedzieli na podłodze i odpoczywali, gdy niespodziewanie staruszek szybko podniósł głowę.

– Moja laska – powiedział.

– Co z nią? – ziewnął Tas, zastanawiając się, która jest godzina.

Starzec wstał z trudem. – Zostawiłem ją na dole – wymamrotał, zmierzając w stronę łańcucha.

– Zaczekaj! Nie możesz wrócić! – podskoczył zaniepokojony Tasslehoff.

– Kto tak twierdzi? – zapytał krnąbrnie staruszek, strosząc brodę.

– Ttt...to znaczy... – wyjąkał Tas – to byłoby zbyt niebezpieczne. Ale wiem, co czujesz – mój hoopak też został na dole.

– Hmmm – zamruczał Fizban, siadając, niepocieszony.

– Czy była magiczna? – spytał po chwili Tas.

– Nigdy nie byłem do końca pewien – rzekł z żalem Fizban.

– W takim razie, cóż – stwierdził rzeczowo Tas – może kiedy skończymy tę przygodę, będziemy mogli wrócić po nią. Teraz poszukajmy jakiegoś miejsca na odpoczynek.

Rozglądnął się po tunelu. Od sklepienia do podłogi miał jakieś dwa metry. Górą biegł olbrzymi łańcuch, do którego przyłączone były liczne mniejsze, ciągnące się po podłodze tunelu do ogromnej, czarnej przepaści, która rozwierała się za nim. Zaglądając do otchłani, Tas zobaczył zarysy gigantycznych głazów.

– Jak myślisz, która godzina? – spytał Tas.

– Obiadowa – powiedział starzec. – Poza tym, równie dobrze możemy odpocząć tutaj. Tu jest tak samo bezpiecznie, jak gdzie indziej. – Klapnął na podłogę. Wyciągnąwszy garść

quith-pa, zaczął przeżuwać je hałaśliwie. Świetlista kulka przysunęła się i usadowiła na rondzie kapelusza maga.

Tas usiadł obok czarodzieja i zaczął skubać swoją porcję suszonych owoców. Nagle zawęszył. W powietrzu unosił się bardzo szczególny zapach, jakby ktoś palił stare skarpetki. Podniósłszy głowę, westchnął i szarpnął czarodzieja za poję.

– Fizbanie – powiedział. – Kapelusz ci się pali.

– Flincie – rzekł surowo Tanis – mówię po raz ostatni

– mnie też jest przykro, że zgubiliśmy Tasa, ale nie możemy wrócić! Jest z Fizbanem i – znając ich obu – jestem pewien, że potrafią wywinąć się z tarapatów, w jakich się znaleźli.

– Jeśli przy okazji nie zawałą nam na głowę całej fortecy

– mruknął Sturm.

Krasnolud wytarł dłonią oczy, obrzucił Tanisa ponurym spojrzeniem, a następnie odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kąt, gdzie usiadł nadąsany na podłodze.

Tanis także usiadł. Wiedział, co czuje Flint. To dziwne – tyle razy bywało, że z radością zadusiłby kendera, a teraz, kiedy go zabrakło, Tanis zatęsknił za nim – dokładnie z tych samych powodów. Tasslehoff obdarzony był wrodzoną, niezawodną wesołością, która czyniła z niego nieocenionego towarzysza. Żadne niebezpieczeństwo nigdy nie przerażało kendera, w związku z czym Tas nigdy nie rezygnował. Nigdy nie brakło mu pomysłów, co robić w razie nieprzewidzianego wypadku. Może nie zawsze robił to, co należało uczynić, lecz przynajmniej gotów był działać. Tanis uśmiechnął się smutno. Mam tylko nadzieję, że ten nieprzewidziany wypadek nie okaże się jego ostatnim, pomyślał.

Drużyna odpoczywała przez godzinę, jedząc quith-pa i pijąc świeżą wodę z głębokiej studni, którą odkryli. Raistlin odzyskał przytomność, ale nie mógł nic jeść. Wypił kilka łyków wody, a potem znów położył się bezwładnie. Caramon niepewnie przekazał mu wiadomość o Fizbanie, obawiając się, że jego brat może źle znieść zniknięcie starego maga. Lecz Raistlin tylko wzruszył ramionami, zamknął oczy i zapadł w głęboki sen.

Gdy Tanis poczuł, że siły mu wróciły, wstał i podszedł do Gilthanasa, zauważając, iż elf uważnie studiował mapę. Mijając siedzącą samotnie Lauranę, uśmiechnął się do niej. Udawała, że go nie dostrzegła. Tanis westchnął. Już zaczął żałować, że tak ją zbeształ przy wejściu do Sla-Mori. Musiał przyznać, że zachowywała podziwu godny spokój w tak przerażających okolicznościach. Polecenia wykonywała szybko i bez kwestionowania ich. Tanis przypuszczał, że będzie musiał ją przeprosić, lecz wpierw musi porozmawiać z Gilthanasem.

– Co planujesz? – spytał, siadając na skrzyni.

– Gdzie jesteście? – zapytał Sturm.

Wkrótce niemal wszyscy stoczyli się wokół mapy, z wyjątkiem Raistlina, który sprawiał wrażenie śpiącego, choć Tanisowi wydało się, iż dostrzegł błyszczącą złoto szparkę w pozornie zamkniętych powiekach czarodzieja.

Gilthanas rozłożył mapę.

– Tu jest forteca Pax Tharkas i okoliczne kopalnie – powiedział, wskazując ręką. – Znajdujemy się w piwnicach, tutaj, na najniższym poziomie. W głębi tego korytarza, jakieś piętnaście metrów stąd, są pomieszczenia, w których uwięziono kobiety. Tu jest pomieszczenie straży, naprzeciw celi kobiet, a to – postukał lekko palcem w mapę – jest leże jednego z czerwonych smoków, tego, którego Verminaard nazwał Żarem. Smok oczywiście jest tak wielki, że leże sięga ponad parter, łączy się z komnatami Verminaarda na pierwszym piętrze, a następnie przez galerię na drugim piętrze wychodzi na otwartą przestrzeń nieba.

Gilthanas uśmiechnął się gorzko. – Na pierwszym piętrze, za komnatami Verminaarda, znajduje się cela dzieci. Smoczy władca jest mądry. Trzyma zakładników osobno, wiedząc, że kobiety nigdy nie pomyślą o ucieczce bez dzieci, a mężczyźni nie zostawiają swych rodzin. Dzieci strzeże drugi czerwony smok w tym pomieszczeniu. Mężczyźni – około trzech setek – pracują w kopalniach w górskich jaskiniach. Oprócz nich w kopalni pracuje kilkuset krasnoludów żlebowych.

– Wygląda na to, że dużo wiesz o Pax Tharkas – powiedział Eben.

Gilthanas szybko podniósł głowę. – Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nic – odparł Eben. – Tylko że bardzo wiele wiesz o tym miejscu, jak na osobę, która nigdy tu nie była! I czy to nie ciekawe, że wciąż wpadamy na stwory, które niemal zabiły nas w Sla-Mori.

– Ebenie – rzekł bardzo spokojnie Tanis – mamy dość już twoich podejrzeń. Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas był zdrajcą. Jak już Raistlin powiedział, zdrajca mógł wydać każdego z nas dawno temu. Jaki sens miałoby czekanie tak długo?

– Żeby przyprowadzić mnie i dyski do lorda Verminaarda – rzekła cicho Goldmoon. – On wie, że ja tu jestem, Tanisie. Jesteśmy złączeni naszą wiarą.

– To śmieszne! – parsknął Sturm.

– Nie, nieprawda – powiedziała Goldmoon. – Pamiętaj, dwa gwiazdozbiory znikły z nieboskłonu. Jeden to Królowa Ciemności. Z tego, co udało mi się odczytać z dysków Mishakał, królowa była również jednym z starożytnych bogów. Bogom dobra odpowiadają bogowie zła, a bogowie neutralności starają się zachować równowagę. Verminaard czi

Królową Ciemności, tak jak ja czczę Mishakal – to miała na myśli Mishakal, mówiąc, że mamy przywrócić równowagę. Obietnica dobra, jaką niosę, jest jedyną rzeczą, której się obawia, toteż wyteża całą swą wolę, by mnie odnaleźć. Im dłużej tu zostaję... – Zamilkła.

– Kolejny powód, żeby zaprzestać kłótni – stwierdził Tanis, przenosząc spojrzenie na Ebena.

Wojownik wzruszył ramionami. – Dość już powiedziano. Jestem z wami.

– Jaki masz plan, Gilthanasie – spytał Tanis, dostrzegając z irytacją, że Sturm, Caramon i Eben spoglądają szybko na siebie – trzech ludzie trzymają spółkę przeciwko elfom, pomyślał odruchowo. Może ja jestem taki sam, wierząc Gilthanasowi tylko dlatego, że jest elfem.

Gilthanas również dostrzegł ich spojrzenia. Przez chwilę przyglądał im się uważnie, bez zmruczenia oczu, po czym zaczął mówić wyważonym tonem, dobierając uważnie słowa, jakby nie chcąc ujawnić nic, co nie było absolutnie konieczne.

– Każdego wieczoru dziesięciu lub dwunastu kobietom wolno opuścić cele i zanieść jedzenie mężczyznom w kopalni. W ten sposób smoczy władca pozwala mężczyznom przekonać się, że dotrzymuje swojej części umowy. Kobiety mogą odwiedzać dzieci raz dziennie z tego samego powodu. Moi wojownicy i ja zamierzaliśmy przebrać się za kobiety, pójść do mężczyzn w kopalni, powiadomić o planie uwolnienia zakładników i powiedzieć, by byli przygotowani do ataku. O niczym dalej nie myśleliśmy, szczególnie w kwestii uwolnienia dzieci. Nasi szpiegowie donieśli, że w zachowaniu smoka pilnującego dzieci jest coś dziwnego, lecz nie udało się ustalić, co.

– Jacy szp... – zaczął Caramon, a potem zauważył wzrok

Tanisa i zrezygnował z pytania. Natomiast zapytał: – Kiedy uderzymy? I co ze smokiem, tym Żarem?

– Ruszymy do ataku jutro rano. Verminaard i Żar z pewnością przyłączą się do armii, która jutro dotrze do granic Qua-linesti. Od dawna przygotowywał tę inwazję. Nie sądzę, by przegapił taki moment.

Drużyna dyskutowała o planie jeszcze przez kilka minut, poszerzając go i udoskonalając, doszedłszy do ogólnego wniosku, że powinien zapewnić powodzenie. Potem zebrali swe rzeczy, a Caramon obudził brata. Sturm i Eben pchnięciem otworzyli drzwi wiodące na korytarz. Wydawał się pusty, choć z komnaty dokładnie naprzeciwko dobiegały przyciszone odgłosy ochryplego, pijanego śmiechu. Smokowcy. Po cichu przyjaciele wymknęli się na ciemny i brudny korytarz.

Tasslehoff stał pośrodku czegoś, co nazwał maszynownią, i rozglądał się po tunelu

oświetlonym słabym blaskiem świecącej kulki. Kender zaczynał się czuć zniechęcony. Było to uczucie, jakiego nieczęsto doświadczał i przypominało mu dzień, kiedy zjadł cały placek z zielonymi pomidorami, który zwinął sąsiadowi. Po dziś dzień, zniechęcenie i placek z zielonymi pomidorami przyprawiły go o mdłości.

– Stąd musi być jakieś wyjście – powiedział kender. – Przecież muszą przychodzić co jakiś czas sprawdzać mechanizm albo go podziwiać, albo oprowadzać wycieczki, czy coś w tym rodzaju!

Razem z Fizbanem od godziny chodzili po tunelu w tę i z powrotem, czołgając się wśród niezliczonych łańcuchów. Niczego nie znaleźli. Tunel był pusty, zimny i zakurzony. – Skoro mówimy o świetle – rzekł nagle stary czarodziej, chociaż nie było to zgodne z prawdą – spójrz tutaj.

Tasslehoff rzucił okiem. Wąska smużka światła wpadała przez szparę na dole ściany, przy samym wejściu do wąskiego tunelu. Posłyszeli głosy i blask stał się jaśniejszy, jakby w pomieszczeniu na dole zapalono pochodnie.

– Może to jest wyjście – rzekł starzec. •

Pobiegłszy zwinnie w głąb tunelu, Tas przykląkł i zajrzał przez szczelinę. – Chodź tutaj!

Przez szparę zobaczyli wielką komnatę urządzonej z przepychem, jaki można było sobie tylko wymarzyć. Wszystko, co pięknego, wdzięcznego, delikatnego lub cennego można było znaleźć na ziemiach pod panowaniem Verminaarda, sprowadzono, by ozdobić prywatne komnaty smoczego władcy. W jednym końcu pokoju znajdował się ozdobny tron. Na ścianach wisały rzadkie i bezcenne srebrne zwierciadła, tak przemyślnie rozmieszczone, że gdziekolwiek spojrzaliby drżący jeniec, ujrzałby tylko odbicie groteskowego, rogatego hełmu smoczego władcy mierzącego go groźnym wzrokiem.

– To musi być on! – Tas szepnął do Fizbana. – To musi być lord Verminaard! – Kender westchnął z podziwem zmieszonym ze zgrozą. – To musi być jego smok – Żar. Ten, o którym opowiadał Gilthanas, ten, który zabił wszystkich elfów w Solace.

Żar, albo Pyto (jego prawdziwe imię było sekretem znanym tylko smokowcom albo innym smokom – lecz nie pospolitym śmiertelnikom), był bardzo starym i ogromnym czerwonym smokiem. Pyros został подарowany lordowi Verminaardowi niby jako nagroda od Królowej Ciemności dla jej kapłana. W rzeczywistości Pyrosa wysłano, by miał pilne baczenie na Verminaarda, którego ogarnął dziwny, obłądny strach dotyczący odkrycia prawdziwych bogów. Niemniej jednak, wszyscy smoczy władcy na Krynnie mieli smoki – choć, być może, nie tak potężne i inteligentne jak Pyros. Bowiem Pyros miał jeszcze jedną,

jeszcze ważniejszą misję do spełnienia, która była tajemnicą nawet dla samego smoczego władcy – misję przydzieloną mu przez Królową Ciemności i znaną tylko jej i jej złym smokom.

Pyros miał za zadanie przeszukać tę część Ansalonu w celu znalezienia jednego człowieka o wielu imionach. Królowa Ciemności nazywała go wiecznym człowiekiem. Smoki zwały go człowiekiem z zielonym klejnotem. Jego ludzkie imię brzmiało Berem. Właśnie z powodu tych niekończących się poszukiwań człowieka imieniem Berem, Pyros znajdował się w komnacie Verminaarda tego popołudnia, podczas gdy zdecydowanie wolałby drzemać w swym leżu.

Pyros otrzymał wiadomość, że Małomistrz Toede sprowadza więźniów na przesłuchanie. Zawsze istniała możliwość, że Berem znajduje się wśród nich. W związku z tym smok był zawsze obecny podczas przesłuchań, choć często sprawiał wrażenie niezmiernie znudzonego. Jedyny moment, gdy przesłuchanie stawało się interesujące – z punktu widzenia Pyrosa – następował w chwili, gdy Verminaard rozkazywał jeńcowi „nakarmić smoka”.

Pyros spoczywał wyciągnięty pod ścianą olbrzymiej sali tronowej, kompletnie ją wypełniając. Zwinął skrzydła i przycisnął je do boków, które podnosiły się i opadały przy każdym oddechu, jak jakaś wielka maszyna gnomów. Chrapnął przez sen i poruszył się lekko. Bezczenna waza przewróciła się i rozbiła o posadzkę. Verminaard podniósł spojrzenie znad biurka, przy którym studiował mapę Qualinesti.

– Zmień postać, zanim zdemolujesz całe mieszkanie – warknął wściekle.

Pyros otworzył jedno oko, zmierzył Verminaarda zimnym spojrzeniem, a następnie niechętnie wymamrotał krótkie, magiczne słowo.

Olbrzymi, czerwony smok zaczął migotać niczym miraż i potworny, smoczy kształt skondensował się w postać smukłego mężczyzny o czarnych włosach, szczupłej twarzy i skośnych, czerwonych oczach. Spowity w czerwone szaty Pyros, już w postaci człowieka, podszedł do biurka, które stało obok tronu Verminaarda. Usiadłszy na nim, założył ręce i spoglądał na szerokie, umięśnione plecy Verminaarda z nie ukrywaną nienawiścią i wstrętem.

Ktoś zaskrobał do drzwi.

– Wejść – rozkazał Verminaard z roztargnieniem.

Smokowiec otworzył drzwi na oścież, wpuszczając Małomistrza Toede i jego więźniów, po czym wycofał się, zatraskując wielkie drzwi z brązu i złota. Verminaard kazał Małomistrzowi czekać przez kilka długich chwil, zanim nie zakończył studiowania planu bitwy. Następnie, zaszczyciwszy Toede pobłażliwym spojrzeniem, odszedł od biurka i wszedł

po stopniach wiodących do tronu. Tron był wymyślnie rzeźbiony na kształt ziejącej paszczy smoka.

Verminaard stanowił imponujący widok. Wysoki i masywnie zbudowany, nosił granatową zbroję ze smoczych łusek koloru nocnego nieba, wykończoną złoceniami na brzegach. Straszna maska smoczego władcy zasłaniała mu twarz. Poruszając się z wdziękiem godnym podziwu u tak zwalistego mężczyzny, rozparł się wygodnie na tronie i dłoń w skórzanej rękawicy od niechcenia gładził czarny, zdobiony złotem buzdygan wiszący u jego boku.

Verminaard obrzucił Toede i jego dwóch więźniów poirytowanym wzrokiem, wiedząc aż za dobrze, że Toede wyszukał tych dwóch, próbując zadośćuczynić za katastrofalną utratę kapłanki. Kiedy Verminaard dowiedział się od smokowców, że kobieta, której wygląd pasował do opisu kapłanki, znajdowała się wśród jeńców zabranych z Solace i że pozwolono jej zbiec, wpadł w przerażającą furję. Toede niemal zapłacił życiem za swój błąd, lecz hobgoblin był mistrzem w płaszczeniu się i służalczości. Wiedząc o tym, Verminaard zastanawiał się, czy w ogóle warto wpuszczać dziś Toede, lecz miał dziwne, dokuczliwe przeczucie, że coś złego się dzieje w jego królestwie.

To ta przeklęta kapłanka! pomyślał Verminaard. Wyczuwał jej moc coraz bardziej, co przyprawiało go o zdenerwowanie i niepokój. Uważnie przyjrzał się dwóm jeńcom, których Toede wprowadził do komnaty. Potem, ujrawszy, że żaden nie odpowiada opisom tych, którzy najechali Xak Tsaroth, Verminaard skrzywił się posepnie za osłoną maski.

Pyros zareagował inaczej na widok więźniów. Smok w zmienionej postaci nieomal wstał, zaciskając szczupłe dłonie na hebanowym blacie biurka z taką zaciętością, że palce zostawiły wgłębienia w drewnie. Drżąc z podniecenia, musiał zdobyć się na wielki wysiłek woli, by usiąść ponownie i zachować pozory spokoju. Tylko jego oczy, płonące nienasyconym ogniem, zdradzały wewnętrzne uniesienie, jakie go ogarnęło na widok więźniów.

Jednym z jeńców był krasnolud źlebowy – dokładniej rzecz biorąc, Sestun. Skuto mu łańcuchami ręce i nogi (Toede wołał nie ryzykować), tak że ledwo mógł iść. Potykając się, podszedł i upadł na kolana przed smoczym władcą, zdjęty przerażeniem. Drugi więzień – ten, którego Pyros nie spuszczał z oczu – był mężczyzną odzianym w łachmany. Człowiek wbijał wzrok w podłogę.

– Dlaczego zawracasz mi głowę tymi nędznikami, Małomistrzu? – warknął Verminaard.

Toede, trzęsąc się jak galareta, przełknął ślinę i natychmiast zaczął przemawiać. – Ten

więzień – hobgoblin kopnął Sestuna – uwolnił jeńców z Solace, a tego – wskazał mężczyznę, który podniósłszy głowę, pokazał oblicze pełne niezrozumienia i zakłopotania – znaleziono wędrującego w okolicach Gateway, które, jak ci wiadomo, panie, są strefą zakazaną dla wszystkich cywilów.

– Więc dlaczego sprowadziłeś ich do mnie? – zapytał poirytowany Verminaard. – Wrzuć ich do kopalni wraz z całą resztą tej bandy.

Toede zająknął się. – Mmyślałem, że ten człowiek mmmoże być szszpiegiem...

Smoczy władca uważnie przyjrzał się człowiekowi. Mężczyzna był wysoki i miał około pięćdziesięciu lat. Miał siwe włosy, a jego gładko ogolona twarz była brązowa, spalona słońcem i pobrużdżona wiekiem. Odziany był jak żebrak, którym najprawdopodobniej jest, pomyślał z odrazą Verminaard. Nie wyróżniało go nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem oczu, błyszczących i młodzieńczych. Również jego dłonie należały do mężczyzny w sile wieku. Prawdopodobnie elfia krew...

– Ten człowiek jest niespełna rozumu – powiedział wreszcie Verminaard. – Spójrz na niego – otworzył usta jak ryba wyrzucona na brzeg.

– Wwydaje mi się, że on jest, ee, głuchoniemy, czcigodny panie – powiedział spocony Toede.

Verminaard skrzywił nos. Smród pocącego się hobgoblina docierał nawet przez smoczy hełm. – Więc złapałeś krasnoluda żlebowego i szpiega, który jest głuchym niemową – rzekł zgryźliwie Verminaard. – Świetnie się spisałeś, Toede. Może teraz wyszedłbyś nazrywać mi kwiatków.

– Jeśli tego życzy sobie jego dostojność – odrzekł z namaszczaniem Toede i skłonił się.

Verminaard zaczął się śmiać za zasłoną hełmu, rozbawiony mimo woli. Toede jest takim śmiesznym stworem – szkoda tylko, że nie można go nauczyć mycia się. Verminaard machnął ręką. – Zabierz ich – i swoją osobę.

– Co mam zrobić z więźniami, o panie?

– Niech krasnolud żlebowy nakarmi dziś wieczór Żara. I zabierz swego szpiega do kopalni. Tylko pilnuj go dobrze – wygląda na bardzo niebezpiecznego osobnika! – Smoczy władca roześmiał się.

Pyros zazgrzytał zębami i przeklął głupotę Verminaarda.

Toede znów złożył pokłon. – Chodź już! – warknął, szarpiąc za kajdany, i mężczyzna poszedł za nim. – Ty też! – pchnął Sestuna stopą. Nic to nie dało. Krasnolud żlebowy, usłyszawszy, że ma nakarmić smoka, zemdlał. Wezwano smokowca, żeby go wyniósł.

Verminaard wstał z tronu i podszedł do biurka. Zwinął swe mapy w wielki rulon. – Wyślij Wyverna z rozkazami – polecił Pyrosowi. – Jutro rano polecimy zniszczyć Qualinesti. Bądź gotowy, gdy cię wezwę.

Gdy spiżowe i złote drzwi zamknęły się za smoczym władcą, Pyros, wciąż w ludzkiej postaci, wstał zza biurka i zaczął nerwowo krążyć w tę i z powrotem po pokoju. Zza drzwi dobiegło skrobanie.

– Lord Verminaard udał się do swych komnat! – zawołał Pyros, rozdrażniony, że mu przeszkadzają. Drzwi otworzyły się nieznacznie.

– To z tobą pragnę się widzieć, o najjaśniejszy panie – szepnął smokowiec.

– Wejdz – powiedział Żar. – Lecz mów szybko.

– Zdrajcy powiodło się, najjaśniejszy panie – rzekł cicho smokowiec. – Udało mu się wymknąć tylko na krótką chwilę, aby niczego nie zaczęli podejrzewać. Ale przyprowadził kapłankę...

– A niech otchłań porwie kapłankę! – warknął Pyros. – Ta wieść interesuje tylko Verminaarda. Zanieś mu ją. Nie, poczekaj. – Smok przerwał.

– Zgodnie z twym poleceniem, przyszedłem wpierw do ciebie – powiedział smokowiec przeproszającym tonem, przygotowując się do pośpiesznego wycofania.

– Nie odchodź – rozkazał smok, podnosząc dłoń. – W końcu ta wiadomość ma dla mnie wartość. Nie chodzi o kapłankę. Tu stawką jest coś znacznie ważniejszego... Muszę spotkać się z naszym zdradzieckim przyjacielem. Przyprowadź go do mnie dziś wieczorem, do mojego legowiska. Nie zawiadamiaj lorda Verminaarda – jeszcze nie. Może się wtrącać. – Pyros szybko rozmyślał, snując plany. – Verminaard powinien być teraz zajęty Qualinesti.

Gdy smokowiec skłonił się i wyszedł z sali tronowej, Pyros znów zaczął krążyć w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, zacierając dłonie i uśmiechając się.

Rozdział XII

Przypowieść o klejnocie. Zdrajca ujawniony. Dylemat Tasa.

Ach przestań, zuchwały mężu! – wdziękzył się Caramon, bijąc Ebena po łapach, gdy wojownik ukradkiem wsadził rękę Caramonowi pod spódnicę.

Kobiety w celi śmiały się tak serdecznie z błazeństw dwóch wojowników, że Tanis spojrział nerwowo na drzwi, bojąc się wzbudzić podejrzliwość strażników.

Maritta dostrzegła jego zaniepokojone spojrzenie. – Nie martw się o strażę! – powiedziała, wzruszając ramionami. –

Na tym piętrze jest ich tylko dwóch i niemal bez przerwy są pijani, szczególnie teraz, gdy wojsko wyszło z twierdzy. – Oderwała się od szycia i popatrzyła na pozostałe kobiety, kręcąc głową. – Lżej mi na sercu, kiedy słyszę śmiech tych biedactw – powiedziała cicho. – Ostatnimi czasy nie miały wielu powodów do śmiechu.

Trzydzieści cztery kobiety sfłoczono w jednej celi – Maritta mówiła, że w pobliskiej mieszkało sześćdziesiąt – w warunkach tak ciężkich, że nawet zahartowani wędrowcy byli wstrząśnięci. Podłogę pokrywały byle jakie słomiane maty. Kobiety nie miały żadnych własnych rzeczy, z wyjątkiem kilku ubrań. Każdego poranka pozwalano im wychodzić na powietrze na krótki spacer. Przez resztę czasu musiały szyć mundury dla smokowców. Choć przebywały w niewoli zaledwie kilka tygodni, miały blade i mizerne twarze, a ciała wychudzone z braku pożywnej jedzenia.

Tanis odprężył się. Choć znał Marittę zaledwie od kilku godzin, już polegał na jej osądach. To ona uspokoiła przerażone kobiety, gdy drużyna wdarła się do ich celi. To ona wysłuchiwała ich i zgodziła się, że plan ten miał pewne szanse powodzenia.

– Nasi mężczyźni pójdą za wami – powiedziała Tanisowi. – To poszukiwacze będą wam sprawiać kłopoty.

– Rada szlachetnych poszukiwaczy? – spytał zdumiony Tanis. – Oni są tutaj? W niewoli?

Maritta posępnie pokiwała głową. – Taka czekała ich nagroda za danie wiary temu czarnemu kapłanowi. Nie będą chcieli jednak uciekać, bo i dlaczego mieliby chcieć? Nie są zmuszani do pracy w kopalniach – już smoczy władca zatroszczył się o to! Ale my jesteśmy po waszej stronie. – Spojrzała na pozostałe kobiety, które zdecydowanie pokiwały głowami. – Pod jednym warunkiem: nie narazicie dzieci na niebezpieczeństwo.

– Tego nie mogę zagwarantować – rzekł Tanis. – Nie chciałbym, aby zabrzmiało to bezwzględnie, lecz możemy być zmuszeni bić się ze smokiem, żeby dotrzeć do nich, i...

– Bić się ze smokiem? Z Płomienną ? – Maritta obrzuciła go zdumionym wzrokiem. – Och, nie ma potrzeby bić się z tym biednym stworzeniem. Prawdę mówiąc, gdybyście chcieli zrobić jej krzywdę, połowa dzieci gotowa byłaby rozedrzeć was na strzępy, tak ją kochają.

– Smoczyce? – spytała Goldmoon. – Co ona zrobiła, zaczarowała je?

– Nie. Wątpię, czy Płomienna zdołałaby jeszcze zaczarować kogokolwiek. – Maritta uśmiechnęła się ze smutkiem. – To biedne stworzenie jest na wpół obłąkane. Jej własne dzieci zginęły w jakiejś wielkiej wojnie i teraz wbiła sobie do głowy, że nasze dzieci są jej dziećmi. Nie wiem, skąd ją wytrzasnął nasz czcigodny pan, ale paskudnie postąpił i mam nadzieję, że kiedyś za to zapłaci! – Przerwała nitkę ze złością.

– Nietrudno będzie uwolnić dzieci – dodała, widząc zaniepokojoną minę Tanisa. – Płomienna zawsze sypia do późna, Dajemy dzieciom śniadanie, wyprowadzamy je na spacer, a ona nawet nie drgnie. Biedactwo, nawet nie dowie się, że ich nie ma, póki się nie zbudzi.

Po raz pierwszy pełne nadziei, kobiety zaczęły przerabiać stare ubrania, żeby pasowały na mężczyzn. Wszystko szło gładko do chwili, gdy nadeszła pora, by je przymierzyć.

– Ogolić się! – Sturm ryknął z taką furją, że kobiety bojaźliwie odskoczyły od rycerza. Sturmowi bardzo nie podobał się cały ten pomysł z przebieraniem, lecz wyraził nań zgodę. Wydawało się, że jest to najlepszy sposób przebycia rozległego dziedzince między fortecą a kopalniami. Oświadczył jednak, że wolałby raczej tysiąc razy ponieść śmierć z rąk smoczego władcy, niż zgolić włosy. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy Tanis zasugerował zasłonięcie twarzy szalem.

Ledwo uporano się z jednym problemem, pojawił się następny. Riverwind oświadczył, że się nie przebierze za kobietę, i żadne argumenty nie docierały do niego. Goldmoon wreszcie wzięła Tanisa na bok i wyjaśniła, że w ich plemieniu wojownik, który zhańbił się tchórzostwem w bitwie, zmuszony był nosić kobiece szaty tak długo, póki nie zmazał hańby. Tanis poczuł się zbity z tropu. A Maritta i tak nie była pewna, czy zdołają przebrać tak wysokiego mężczyznę.

Po długiej dyskusji ustalono, że Riverwind zawinie się w długą pelerynę i będzie szedł zgarbiony, podpierając się laską jak stara kobieta. Potem wszystko już poszło gładko – przynajmniej do czasu.

Laurana podeszła do kąta, gdzie Tanis owijał chustą swoją twarz. – Dlaczego ty się nie ogolisz? – spytała Laurana, patrząc na brodę Tanisa. – A może rzeczywiście sprawia ci przyjemność obnoszenie się ze swym człowieczeństwem, jak powiedział Gilthanas?

– Nie obnoszę się z nim – odrzekł spokojnie Tanis. – Po prostu znudziły mi się już

próby zaprzeczania temu, i nic więcej. – Zaczerpnął głęboko tchu. – Laurano, doprawdy przykro mi z powodu tego, co ci powiedziałem wtedy w Sla-Mori. Nie miałem prawa...

– Miałaś wszelkie prawo – przerwała mu Laurana. – To, co uczyniłam, było postępkem niedorzecznie zakochanej, małej dziewczynki. W głupi sposób naraziłam wasze życie na niebezpieczeństwo. – Głos jej zadrżał, lecz odzyskała panowanie nad sobą. – To się więcej nie powtórzy. Udowodnię, że potrafię się przydać w drużynie.

Dokładnie nie była pewna, jak to zrobi. Choć gładko mówiła o swych umiejętnościach bojowych, nigdy nie zabiła nawet królika. Teraz była tak przestraszona, że musiała zacisnąć dłonie za plecami, żeby Tanis nie zauważył, jak się trzęsie. Obawiała się, że gdyby straciła nad sobą panowanie, uległaby słabości i szukała pociechy w jego ramionach. Odeszła więc, podchodząc do Gilthanasa, żeby mu pomóc przebrać się.

Tanis powiedział sobie, że jest zadowolony, iż Laurana wreszcie wykazuje oznaki dojrzałości. Uparcie nie chciał przyznać, że dusza w nim zamiera, ilekroć spojrzy w jej ogromne, świetliste oczy.

Popołudnie upłynęło szybko i wkrótce nadszedł wieczór. Czas, by kobiety zaniósł kolację do kopalni. Przyjaciele czekali na strażników w pełnej napięcia ciszy, zapomniawszy o śmiechu. Mieli jeszcze jeden kłopot. Raistlin, kaszląc aż do wyczerpania, stwierdził, że jest zbyt słaby, by im towarzyszyć.

Kiedy brat zaproponował, że zostanie z nim, Raistlin zmierzył go piorunującym spojrzeniem i powiedział, żeby nie był głupi.

– Nie potrzebujecie mnie dzisiejszej nocy – szepnął czarodziej. – Zostawcie mnie w spokoju. Muszę się przespać.

– Nie podoba mi się, że go tu zostawiamy... – zaczął Gilthanas, lecz zanim zdążył dokończyć, na zewnątrz celi rozległy się kroki pazurzastych stóp i stuk garnków. Drzwi celi otworzyły się i dwaj strażnicy, obaj mocno cuchnący stęchłym winem, weszli do środka. Jeden zatoczył się nieco, spoglądając mętym wzrokiem na kobiety.

– Wyłazić – rzekł ochryple.

Kiedy „kobiety” wyszły pojedynczo na zewnątrz, ujrzały sześciu krasnoludów żlebowych, którzy stali na korytarzu i dźwigali wielkie gary wypełnione jakimś podejrzanym gulaszem. Caramon węszył łakomie, a potem skrzywił się ze wstrętem. Smokowcy zatrzasnęli za nimi drzwi celi. Oglądając się, Caramon zobaczył swego bliźniaka, który leżał w kącie zawinięty w koce.

Fizban klasnął w dłonie. – Świetna robota, chłopcze! – wykrzyknął podekscytowany czarodziej, gdy część ściany maszynowni rozsunęła się.

– Dzięki – odparł skromnie Tas. – Tak naprawdę, to trudniej było znaleźć ukryte drzwi, niż je otworzyć. Nie wiem, jak zdołałeś tego dokonać. Wydawało mi się, że zaglądałem wszędzie.

Zaczął przelazic przez otwór i nagle zatrzymał się, tknięty jakąś myślą. – Fizbanie, czy mógłbyś nakłonić jakoś to swoje światełko, żeby zostało za nami? Przynajmniej dopóki nie zorientujemy się, czy nikogo tu nie ma. W przeciwnym razie będzie mnie widać jak na dłoni, a nie jesteśmy daleko od komnat Verminaarda.

– Obawiam się, że nie – potrząsnął głową Fizban. – Ono nie lubi zostawać samo w ciemnościach.

Tasslehoff pokiwał głową – spodziewał się takiej odpowiedzi. No cóż, nie ma sensu martwić się tym teraz. Rozlane mleko wypije kot, jak mawiała jego mama. Na szczęście wąski korytarz, w którym się znalazł, wydawał się pusty. Ognik wisiał tuż nad jego ramieniem. Kender pomógł przejść Fizbanowi, a potem zbadał otoczenie. Znajdowali się w małym przejściu, które nie dalej niż dwanaście metrów od nich kończyło się raptownie schodami prowadzącymi w ciemność na dole. Jedyne poza tym wyjście stanowiły podwójne spiżowe drzwi we wschodniej ścianie.

– Aha – szepnął Tas. – Jesteśmy nad salą tronową. Te schody pewnie prowadzą właśnie do niej. Przypuszczam, że strzeże jej milion smokowców! Więc to odpada. – Przyłożył ucho do drzwi. – Nic nie słyhać. Rozejrzyjmy się. – Pchnął delikatnie i z łatwością otworzył drzwi. Zatrzymał się na chwilę, by posłuchać, a potem wśliznął się ostrożnie, mając tuż za sobą Fizbana i ognistą kulkę.

– To mi wygląda na galerię sztuki – powiedział, rozglądając się po ogromnym pomieszczeniu. Na ścianach wisiały obrazy pokryte kurzem i brudem. Przez wysokie, wąskie okna Tas dostrzegł gwiazdy i szczyty wyniosłych gór. Orientując się już niezłe, gdzie jest, naszkicował szybko w myślach prostą mapę,

– Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, sala tronowa jest na zachód, a leże smoka na zachód od niej. Tam się przynajmniej udał, kiedy Verminaard wyszedł dziś po południu. Smok musi w jakiś sposób wylatywać z budynku, więc leże nie mogą być przykryte dachem, a to oznacza jakiś szyb i może kolejną szparę, przez którą możemy zobaczyć, co tam się dzieje.

Tak zajęty był Tas swymi planami, że nie zwracał najmniejszej uwagi na Fizbana. Stary czarodziej z przejęciem krążył po sali, przyglądając się każdemu obrazowi tak uważnie, jakby specjalnie szukał któregoś.

– A, tutaj jest – wymamrotał Fizban, po czym odwrócił się i szepnął: – Tasslehoffie!

Kender podniósł głowę i ujrzał obraz, który nagle zaczął jarzyć się delikatnym blaskiem. – Popatrz tylko! – rzekł zauroczony Tasslehoff. – Ależ ten obraz przedstawia smoki – czerwone smoki jak Żar – które atakują Pax Tharkas i...

Kender zamilkł. Ludzie – rycerze solamnijscy dosiadający innych smoków – walczyli z nimi! Smoki, na których lecieli rycerze, były piękne – złote i srebrne – a ludzie trzymali błyszczącą broń, która roztaczała jasny blask. Nagle Tasslehoff zrozumiał! Na świecie istniały dobre smoki i gdyby tylko udało się je znaleźć, pomogłyby one w walce ze złymi smokami, i istniała też...

– Smocza Lanca! – szepnął.

Stary czarodziej pokiwał głową. – Tak, mój mały – rzekł szeptem. – Rozumiesz. Widzisz rozwiązanie. I będziesz pamiętał. Ale nie teraz. Nie teraz. – Wyciągnął rękę i sękatą dłonią potargał kenderowi włosy.

– Smoki. Co ja mówiłem? – Tas nie mógł sobie przypomnieć. Co on tu robi, przyglądając się malowidłu tak pokrytemu kurzem, że nic na nim nie widać? Kender potrząsnął głową. Najwyraźniej to wpływ Fizbana. – Och, tak. Legowisko smoka. Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, jest tutaj. – Odszedł na bok.

Stary czarodziej poczłapał za nim, uśmiechając się.

Wyprawa do kopalni przebiegła bez zakłóceń. Przyjaciele dostrzegli tylko kilku strażników, a i ci smokowcy sprawiali wrażenie na wpół śpiących z nudy. Nikt nie zwrócił uwagi na przechodzące obok kobiety. Drużyna minęła rozżarzone palenisko w kuźni, gdzie bez przerwy uwijali się wyczerpani krasnoludowie żlebowi, którzy podsycali ogień.

Pośpiesznie mijając tę żalostną scenę, przyjaciele weszli do kopalni, gdzie smokowcy w ogromnych grotach zamykali mężczyzn na noc, a potem wracali, by przypilnować krasnoludów. Według Verminaarda strzeżenie mężczyzn było stratą czasu – ludzie nigdzie się nie wybierali.

Przez chwilę Tanis odnosił wrażenie, że może się to okazać straszliwą prawdą. Mężczyźni nie mieli zamiaru nigdzie się wybierać. Przyglądali się bez przekonania Goldmoon, która przemawiała do nich. W końcu była dzikuską – miała dziwny akcent, a jej strój był jeszcze dziwniejszy. Opowiedziała im o czymś, co wydało im się bajką dla dzieci – historię o smoku ginącym w niebieskim ogniu, którą ona przeżyła. A jedyne, co im mogła pokazać na dowód, to pęk błyszczących dysków z platyny.

Hederick, Teokrata z Solace, głośno nazywał kobietę z Que-Shu czarownicą, szarlatanką i bluźnierczynią. Przypominał im scenę w gospodzie, pokazując blizny na ręce jako dowód, jednakże mężczyźni nie zwracali na niego większej uwagi. Bogowie

poszukiwaczy przecież nie ustrzegli Solace przed smokami.

Prawdę mówiąc, wielu zaciekała szansa ucieczki. Niemal wszyscy nosili ślady złego traktowania: szramy od bicia i sińce na twarzach. Źle ich karmiono i zmuszano do życia w brudzie i nędzy, a wszyscy wiedzieli, że kiedy skończy się żelazo na wzgórzach, nie bada już potrzebni Verminaardowi. Jednakże szlachetni poszukiwacze – wciąż sprawujący rządy, nawet w więzieniu – byli przeciwni tak szalonemu planowi.

Wybuchły kłótnie. Mężczyźni zaczęli się przekrzykiwać. Tanis pośpiesznie postawił Caramona, Flinta, Ebena, Sturma i Gilthanasę na straży przy drzwiach, obawiając się, że smokowcy mogą posłyszeć wrzawę i wrócić. Pótlef nie spodziewał się tego – spór może się ciągnąć przez kilka dni! Zdeprymowana Goldmoon siedziała przed mężczyznami i sprawiała wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Tak była przejęta swym nowo odkrytym powołaniem, tak bardzo pragnęła zanieść swą wiedzę w świat, że zapadła się w otchłań rozpacz, gdy zwątpiono w jej wiarę.

– Ci ludzie są głupi! – rzekła cicho Laurana, podchodząc do Tanisa.

– Nie – odparł Tanis z westchnieniem. – Gdyby byli głupi, poszłoby nam łatwiej. Nie obiecujemy im niczego namacalnego, a wymagamy od nich, żeby narażali jedyne, co im pozostało – swe życie. I po co? Żeby uciec na wzgórza, walcząc przez cały czas. Przynajmniej tu nie stracą życia – na razie.

– Ależ jak takie życie może być coś warte? – spytała Laurana.

– To bardzo dobre pytanie, młoda kobieto – rozległ się słaby głos. Odwrócili się i dostrzegli Marittę klęczącą przy mężczyźnie, który leżał na prymitywnej pryczy w kącie celi. Był to mąż w nieokreślonym wieku, wynędzniały z choroby i niedoli. Usiadł z wysiłkiem, wyciągając chudą, bladą rękę do Tanisa i Laurany., Oddech rzeźił mu w piersi. Maritta próbowała go uciszyć, lecz mężczyzna spojrział na nią poirytowany. – Wiem, że umieram, kobieto! Nie oznacza to jednak, że muszę wprawdzie zanudzić się na śmierć. Przyrowadź do mnie tę barbarzyńską kobietę.

Tanis spojrział na Marittę pytająco. Kobieta wstała i odciągnęła go na bok. – To Elistan – rzekła, jakby Tanis powinien znać to imię. Kiedy Tanis nie zareagował, wyjaśniła. – Elistan – jeden z szlachetnych poszukiwaczy z Haven. Lud darzył go wielkim szacunkiem i miłością. Był jedynym, który sprzeciwił się temu Verminaardowi. Nikt go nie słuchał – bo, oczywiście, ludzie nie chcieli słyszeć.

– Mówisz o nim w czasie przeszłym – powiedział Tanis.

– On jeszcze nie umarł.

– Nie, ale nie zostało mu dużo życia. – Maritta wytarła łzę. – Zetknęłam się już

wcześniej z tą wyniszczającą chorobą. Mój ojciec zmarł na nią. Coś zżera go żywcem od środka. Przez ostatnie dni cierpienie doprowadzało go nieomal do obłędu, lecz teraz już ustąpiło. Koniec jest bardzo bliski.

– Może nie. – Tanis uśmiechnął się. – Goldmoon jest kapłanką. Może go uleczyć.

– Może tak, może nie – stwierdziła sceptycznie Maritta.

– Wolałabym nie ryzykować. Nie powinniśmy wzbudzać w Elistanie fałszywej nadziei. Pozwólmy mu umrzeć w spokoju.

– Goldmoon – rzekł Tanis, gdy córka wodza zbliżyła się. – Ten człowiek chce cię poznać. – Nie zważając na Marittę, półelf zaprowadził Goldmoon do Elistana. Twarz Goldmoon, surowa i chłodna z powodu rozczarowania i frustracji, złagodniała na widok żalosego stanu mężczyzny.

Elistan spojrział na nią. – Młoda kobieto – rzekł srogo, choć jego głos brzmiał słabo – twierdzisz, że niesiesz słowo od starych bogów. Jeśli rzeczywiście to prawda, że to my, ludzie, odwróciliśmy się od nich, a nie bogowie od nas, jak zawsze myśleliśmy, dlaczego tak długo czekali, by ujawnić swą obecność?

Goldmoon w milczeniu przykłęka obok konającego mężczyzny, zastanawiając się, jakimi słowami wyrazić swą odpowiedź. Wreszcie powiedziała: – Wyobraź sobie, że wędrujesz lasem, niosąc najcenniejszą rzecz, jaką posiadasz – rzadki i przepiękny klejnot. Nagle napada cię wściekła bestia. Upuszczasz klejnot i uciekasz. Kiedy zdajesz sobie sprawę, że zgubiłeś cenny kamień, boisz się wrócić do lasu, żeby go poszukać. Wtedy przychodzi ktoś i przynosi inny klejnot. W głębi duszy wiesz, że nie jest on tak cenny, jak ten, który zgubiłeś, lecz wciąż zbyt jesteś przerażony, by wrócić i poszukać tamtego. Czy oznacza to, że klejnot opuścił las, a może wciąż leży on tam, rozsiewając blask pod liśćmi, i czeka na twój powrót?

Elistan zamknął oczy i westchnął, a na jego twarzy odmalowała się udręka. – Oczywiście, że klejnot czeka na nasz powrót. Jacy głupi byliśmy! Żałuję, że nie dane mi będzie poznać nauki twych bogów – rzekł, wyciągając rękę.

Goldmoon westchnęła raptownie i krew odpłynęła z jej twarzy, aż stała się niemal tak blada, jak umierający mężczyzna na posłaniu. – Będziesz miał na to czas – powiedziała cicho, biorąc go za rękę.

Tanis, pochłonięty dramatem, który rozgrywał się na jego oczach, drgnął z niepokoju, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił się, sięgając po miecz, lecz ujrzał stojących za nim Caramona i Sturm.

– Co się stało? – zapytał szybko. – Straże?

– Jeszcze nie – rzekł szorstko Sturm. – Ale możemy się ich spodziewać w każdej

chwili. Zniknęli zarówno Eben, jak i Gilthanas.

Nad Pax Tharkas zapadła noc. W swym leża czerwony smok, Pyros, nie miał miejsca na krążenie w tę i z powrotem, którego to zwyczaju nabrał w ludzkiej postaci. Ledwo miał dość miejsca, by rozłożyć skrzydła, choć była to największa komnata w fortecy, a nawet poszerzono ją, by zrobić mu miejsce. Mimo to pomieszczenie na parterze było tak wąskie, że smok z trudem mógł obrócić swe wielkie ciało. Uspokoiwszy się wysiłkiem woli, smok położył się na podłodze i czekał, wbijając wzrok w drzwi. Nie dostrzegł dwóch głów wyzierających zza balustrady balkonu na trzecim piętrze, wysoko nad nim.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi. Pyros, przepełniony radosnym oczekiwaniem, uniósł łeb, po czym znów go spuścił i warknął, gdy weszły dwa gobliny, ciągnąc między sobą żalosne indywiduum.

– Krasnolud źlebowy! – szydził Pyros, zwracając się do pachółków w mowie wspólnej. – Verminaard chyba postradał zmysły, jeśli sądzi, że zjem krasnoluda źlebowego. Rzućcie go w kąt i idźcie precz! – warknął do goblinów, które pośpiesznie uczyniły, co im nakazał. Sestun kulił się w kącie i skomlał.

– Zamknij się! – rozkazał rozzłoszczony Pyros. – Może powinienem po prostu zionąć na ciebie i uciszyć to smarkanie...

Zza drzwi dobiegł kolejny dźwięk, znajome smokowi ciche pukanie. Oczy rozbłysły mu czerwonym blaskiem. – Wejść!

Do smoczego leża weszła jakaś postać. Odziana była w długą pelerynę, a twarz zasłaniał jej kaptur.

– Przybyłem, jak mi rozkazałeś, Żarze – powiedziała cicho.

– Tak – odrzekł Pyros, zgrzytając pazurami po posadzce. – Zdejmij kaptur. Lubię widzieć twarze tych, z którymi mam do czynienia.

Mężczyzna rzucił kaptur. Wysoko ponad smokiem, na trzecim piętrze rozległo się zduszone, urwane westchnienie. Pyros spojrzął na pogrążony w mroku balkon. Zastanawiał się, czy by nie polecieć i zbadać, co tam się dzieje, lecz postać wyrwała go z zamyślenia.

– Mam tylko chwilę czasu, najjaśniejszy panie. Muszę wrócić, zanim zaczną coś podejrzewać. Muszę również zameldować się u lorda Verminaarda...

– W swoim czasie – warknął poirytowany Pyros. – Co knują ci głupcy, którym towarzyszysz?

– Zamierzają wypuścić niewolników i poprowadzić ich do powstania, zmuszając w ten sposób do odwrotu wojska maszerujące na Qualinesti.

– To wszystko?

– Tak, najjaśniejszy panie. Teraz muszę ostrzec smoczego władcę.

– Też coś! Jakie to ma znaczenie? Ja rozprawię się z niewolnikami, jeśli się zbuntują. Chyba że mają dla mnie jakieś plany?

– Nie, najjaśniejszy panie. Drżą z lęku przed tobą, tak jak wszyscy muszą – dodała postać. – Zaczekają, aż wraz z lordem Verminaardem odleciecie do Qualinesti. Wtedy uwolnią dzieci i uciekną w góry przed waszym powrotem.

– To wygląda na plan godny ich inteligencji. Nie martw się o Verminaarda. Dopilnuję, by dowiedział się o tym, gdy będę uważał to za stosowne. Rozstrzygają się znacznie większe sprawy. Znacznie większe. Posłuchaj uważnie. Ten imbecyl, Toede, sprowadził dziś więźnia... – Pyros urwał, a oczy mu się świeciły. Zniżył głos do syczącego szeptu. – To on! Ten, którego szukamy!

Postać wbiła w niego zdumiony wzrok. – Jesteś pewien?

– Oczywiście! – warknął wściekle Pyros. – Widzę tego człowieka w snach! Jest tutaj – w zasięgu moich łap! Kiedy szuka go cały Krynn – ja go znalazłem!

– Zawiadomisz Jej Mroczny Majestat?

– Nie. Nie śmiem zaufać posłańcowi. Muszę dostarczyć tego człowieka osobiście, ale teraz nie mogę się ruszyć. Verminaard nie poradzi sobie sam z Qualinesti. Nawet jeśli ta wojna to podstęp, musimy podtrzymywać złudzenia, a poza tym, świat i tak będzie lepszy bez elfów. Zaprowadzę wiecznego człowieka do królowej, gdy czas mi na to pozwoli.

– Więc czemu mi o tym mówisz? – spytała postać z cieniem lęku w głosie.

– Ponieważ musisz przypilnować jego bezpieczeństwa! –

Pyros poruszył swym wielkim ciałem, przybierając wygodniejszą pozycję. Jego plany teraz szybko nabierały kształtu. – To przejaw mocy Jej Mrocznego Majestatu, że kapłanka Mishakal i człowiek z zielonym klejnotem jednocześnie pojawiają się w mym zasięgu! Jutro dam Verminaardowi przyjemność rozprawienia się z kapłanką i jej przyjaciółmi. Prawdę mówiąc... – oczy Pyrosa rozblęły – to jeszcze może wyjść nam na dobre! Możemy zabrać człowieka z zielonym klejnotem w czasie zamieszania i Verminaard o niczym się nie dowie! Kiedy niewolnicy ruszą do ataku, musisz odnaleźć człowieka z zielonym klejnotem. Przyrowadź go tu i ukryj w komnatach na dole. Kiedy wybijemy wszystkich ludzi, a wojska zrównają z ziemią Qualinesti, odprowadzimy go do mojej królowej mroku.

– Zrozumiałem. – Postać znów się skłoniła. – A moja nagroda?

– Będzie taka, na jaką zasłużyłeś. Teraz odejdz już.

Mężczyzna naciągnął kaptur i wycofał się. Pyros złożył skrzydła, zwinął się w kłębek i nakrywszy nos ogromnym ogonem, leżał i spoglądał w ciemność. Jedyнным słyszalnym

dźwiękiem był żałosny płacz Sestuna.

– Nic ci nie jest? – Fizban spytał łagodnie Tasslehoffa, kiedy siedzieli razem skuleni na balkonie, nie śmiejąc nawet się ruszyć. Wokół panowała absolutna ciemność, bowiem Fizban nakrył niezmiernie obrażonego świetlika wazonem.

– Nie – powiedział otępiały Tas. – Przepraszam, że tak sapnąłem. Nie mogłem się powstrzymać. Mimo że spodziewałem się tego – w pewnym sensie – nadal trudno wyobrazić sobie, że ktoś znajomy może cię zdradzić. Czy sądzisz, że smok usłyszał mnie?

– Nie mam pojęcia. – Fizban westchnął. – Pytanie brzmi, co teraz zrobimy?

– Nie wiem – powiedział żałośnie Tas. – To nie ja jestem od myślenia. Ja tylko szukam wrażeń. Nie możemy ostrzec Tanisa i pozostałych, ponieważ nie wiemy, gdzie są. A jeśli zaczniemy się kręcić i szukać ich, możemy wpaść w ręce nieprzyjaciela i tylko pogorszyć sytuację! – Wsparł podbródek na dłoni. – Wiesz co – rzekł z niezwykłą powagą – zapytałem kiedyś mojego ojca, dlaczego kendrzy są tacy mali, dlaczego nie jesteśmy duzi jak ludzie i elfowie. Naprawdę chciałem być duży – powiedział cicho i przez chwilę milczał.

– I co powiedział twój ojciec? – spytał łagodnie Fizban. – Powiedział, że kendrzy są mali, ponieważ są stworzeni do małych rzeczy. „Jeśli przyjrzyj się z bliska wszystkim dużym rzeczom na świecie”, powiedział, „zobaczysz, że w rzeczywistości składają się z małych rzeczy, połączonych ze sobą”. Ten wielki smok na dole, być może, to nic więcej, jak maleńkie krople krwi. Wszystko zależy właśnie od małych rzeczy.

– Bardzo mądry był ten twój ojciec.

– Tak. – Tas wytarł dłonią oczy. – Nie widziałem go od bardzo dawna. – Kender wysunął naprzód ostry podbródek i zacisnął wargi. Jego ojciec, gdyby go teraz zobaczył, w tej małej, stanowczej osóbcie nie poznałby swego syna.

– Zostawimy duże rzeczy innym – oświadczył wreszcie Tas. – Oni mają Tanisa, Sturma i Goldmoon. Dadzą sobie radę. My dokonamy niewielkiej rzeczy, nawet jeśli wydaje się niezbyt ważna. Uratujemy Sestuna.

Rozdział XIII

Pytania. Brak odpowiedzi. Kapelusznik Fizbana.

Usłyszałem coś, Tanisie, i poszedłem to zbadać – powiedział Eben, zaciskając stanowczo wargi. – Wyjrzałem za drzwi celi, której pilnowałem, i dostrzegłem tam skulonego smokowca, który podsłuchiwał. Zakradłem się i chwyciłem go za gardło, ale wtedy drugi rzucił się na mnie. Zadźgałem go, a potem pobiegłem za pierwszym. Dogoniłem go i powaliłem, po czym pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli tu wrócę.

Po powrocie do cel drużyna zastała tam Ebena i Gilthanasę, którzy na nich czekali. Tanis wydał polecenie, żeby Maritta zabrała kobiety do odległego kąta, podczas gdy on będzie wypytywał tych dwóch o ich nieobecność. Historia Ebena wyglądała na prawdziwą – wracając do więzienia, Tanis zauważył ciała smokowców – a Eben z całą pewnością stoczył walkę. Miał podarte ubranie, a z rozcięcia na policzku sączyła się krew.

Tika wzięła stosunkowo czystą szmatkę od jednej z kobiet i zaczęła przemywać skaleczenie. – On ocalił nam życie, Tanisie – powiedziała oschle. – Moim zdaniem powinieneś być mu wdzięczny, a nie patrzeć na niego wilkiem, jakby zadźgał twego najlepszego przyjaciela.

– Nie, Tiko – rzekł wyrozumiale Eben. – Tanis ma prawo pytać. Przyznaję, że to wyglądało podejrzanie. Nie mam jednak nic do ukrycia. – Wziąwszy ją za dłoń, ucałował czubki jej palców. Tika zarumieniła się i zamoczyła szmatkę w wodzie, znów przykładając ją do jego policzka. Caramon przyglądał się temu z nie ukrywaną niechęcią.

– A ty, Gilthanasie? – zapytał niespodziewanie wojownik. – Dlaczego ty odszedłeś?

– Nie pytaj mnie – rzekł ponuro elf. – Nie musisz wiedzieć.

– O czym wiedzieć? – spytał oschle Tanis. – Dlaczego odszedłeś?

– Zostawcie go w spokoju! – krzyknęła Laurana, stając u boku brata.

Migdałowe oczy Gilthanasę rozbłysły w bladym i posępnym obliczu.

– To ważne, Laurano – rzekł Tanis. – Dokąd poszedłeś, Gilthanasie?

– Pamiętaj, ostrzegałem cię. – Gilthanas przeniósł spojrzenie na Raistlina. – Wróciłem, żeby zobaczyć, czy nasz mag rzeczywiście jest tak wyczerpany, jak twierdził. Najwyraźniej nie. Nie zastałem go.

Caramon wstał z twarzą wykrzywioną gniewem i zacisnął pięści. Sturm złapał go i odepchnął do tyłu, a naprzeciwko Gilthanasę stanął Riverwind.

– Wszyscy mają prawo mówić i wszyscy mają prawo przemawiać w swojej obronie – rzekł mieszkaniec równin swym głębokim głosem. – Elf powiedział już swoje. Posłuchajmy,

co powie twój brat.

– Czemu miałbym coś mówić? – wyszeptał ochryple Raistlin głosem cichym i ziejącym śmiertelną nienawiścią. – Nikt z was nie ufa mi, więc dlaczego miałibyście mi uwierzyć? Odmawiam odpowiedzi i możecie sobie myśleć, co chcecie. Skoro sądzą, że jestem zdrajcą – zabijcie mnie od razu! Nie powstrzymam was... – Zaniósł się od kaszlu.

– Będziecie musieli zabić i mnie – powiedział Caramon zdławionym głosem. Odprowadził swego brata na posłanie. Tanisowi zrobiło się niedobrze.

– Podwójne warty przez całą noc. Nie, nie ty, Ebenie. Sturmie, ty pierwszy z Flintem, Riverwind i ja staniemy na drugiej.

– Tanis ciężko usiadł na podłodze, wspierając głowę na ramionach. Zostaliśmy zdradzeni, pomyślał. Jeden z tych trzech jest zdrajcą i był nim od samego początku. W każdej chwili mogą przyjść strażnicy. A może Verminaard jest subtelniejszy i szykuje jakąś pułapkę, żeby złapać nas wszystkich...

Wtedy Tanis ujrzał wszystko z przerażającą jasnością. Oczywiście! Verminaard wykorzystała bunt niewolników jako pretekst do zamordowania zakładników i kapłanki. Zawsze może zdobyć następnych niewolników, którzy będą mieli przed oczami okropny przykład na to, co się dzieje z nieposłusznymi. Ten plan

– plan Gilthanasa – dokładnie tego mu potrzeba!

Powinniśmy porzucić go, pomyślał w panice Tanis, a potem wysiłkiem woli opanował się. Nie, ludzie są zbyt podnieceni. Po tym, jak Elistan w cudowny sposób powrócił do zdrowia i zgłosił chęć studiowania nauk starych bogów, ludziom wróciła nadzieja. Uwierzyli, że bogowie rzeczywiście do nich wrócili. Niemniej jednak Tanis dostrzegł pełen zazdrości wzrok, jakim inni szlachetni poszukiwacze mierzyli Elistana. Wiedział, że choć z pozoru popierali nowego przywódcę, jeśli będą mieli dość czasu, spróbują go obalić. Może już teraz krążą wśród ludzi i zasiewają ziarno zwątpienia.

Gdybyśmy się teraz wycofali, nigdy już nam nie zaufają, pomyślał Tanis. Musimy iść naprzód – niezależnie od rozmiarów ryzyka. Poza tym, może się myli. Może nie ma zdrajcy. Z taką nadzieją zapadł w sen.

Noc upłynęła w ciszy.

Poranne światło sączyło się przez dziurę ziejącą w murach wieży. Tas zmrużył powieki, a następnie wstał, przecierając oczy i głowiąc się nad tym, gdzie się znajduje. Jestem w dużym pomieszczeniu, pomyślał, spoglądając na odległe sklepienie, w którym wycięto otwór, umożliwiający smokowi wydostawanie się na zewnątrz. Są jeszcze dwie pary drzwi,

poza tymi, przez które Fizban i ja weszliśmy wczoraj wieczorem.

Fizban! Smok!

Tas jęknął, przypominając sobie. Nie miał zamiaru zasnąć! Razem z Fizbanem czekali, aż smok uśnie, żeby uratować Sestuna. Teraz już świtało! Może już za późno! Przepętniony obawą kender podczołgał się do balkonu i wyjrzał. Nie! Westchnął z ulgą. Smok spał. Sestun również usnął, zmęczony strachem.

Teraz nadeszła ich szansa! Tasslehoff podczołgał się znów do czarodzieja.

– Staruszkule! – szepnął. – Obudź się! – Potrząsnął nim,

– Co? Kto? Pożar? – Czarodziej zerwał się i rozglądał mętym wzrokiem. – Gdzie? Bieć do wyjścia! – Nie, nie ma żadnego pożaru. – Tas westchnął. – Już rano. Masz swój kapelusz... – Podał go magowi, który szukał go po omacku. – Gdzie się podział ogień?

– Humpf! – sapnął Fizban. – Odesłałem go. Nie mogłem spać, tak mi świecił w oczy.

– Mieliśmy nie spać, pamiętasz? – rzekł Tas doprowadzony do rozpaczki. – Mieliśmy ratować Sestuna przed smokiem.

– Jak to zrobimy? – spytał z zapalem Fizban.

– To ty miałeś plan!

– Doprawdy? Ojej, jej. – Stary czarodziej mrugnął. – A dobry był?

– Nie powiedziałeś mi nic! – Tas niemal krzyknął, a potem uspokoił się. – Powiedziałeś tylko, że musimy uratować Sestuna przed śniadaniem, bo krasnolud żelkowy może zacząć wyglądać smakowicie dla smoka, który nie jadł od dwunastu godzin.

– To ma sens – przyznał Fizban. – Jesteś pewien, że ja to powiedziałem?

– Posłuchaj – rzekł cierpliwie Tasslehoff – potrzebna nam jest tylko długa lina, którą mu zrzucimy. Nie mógłbyś jej wyczarować?

– Lina! – Fizban obrzucił go oburzonym spojrzeniem.

– Ja miałbym się tak poniżać! To obraza dla kogoś o moich kwalifikacjach. Pomóż mi wstać.

Tas pomógł wstać magowi. – Nie miałem zamiaru cię obrażać – powiedział kender – i wiem, że lina to nic wielkiego, i że jesteś bardzo utalentowany... Tylko że – och, w porządku! – Tas machnął ręką w stronę balkonu. – Idź pierwszy. Mam tylko nadzieję, że wszyscy przeżyjemy – mruknął pod nosem.

– Nie zawiodę cię – ani Sestuna, jeśli o to chodzi – obiecał rozpromieniony Fizban. Obaj wyjrzelili za barierkę balkonu. Wszystko było tak, jak przedtem. Sestun leżał w kącie. Smok spał mocno. Fizban zamknął oczy. Skupiwszy się, wyszeptał niesamowite słowa, po czym wyciągnął chudą rękę przez balustradę i zaczął wykonywać unoszące gesty.

Przyglądający się temu Tasslehoff poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. – Stop! – wybełkotał. – Złapałeś nie tego!

Fizban otworzył oczy i ujrzał czerwonego smoka, Pyrosa, który powoli wznosił się znad podłogi, wciąż skulony we śnie.

– Ojej! – jęknął czarodziej i szybko wypowiedziawszy inne słowa, odwrócił działanie zaklęcia, opuszczając smoka na ziemię. – Nie wcelowałem – powiedział mag. – Teraz utrafiłem. Spróbujmy jeszcze raz.

Tas znów postyszał przedziwne słowa. Tym razem Sestun oderwał się od podłogi i pomału, oddech po oddechu, wznosił się na wysokość balkonu. Fizban poczerwieniał na twarzy z wysiłku.

– Już jest niemal na miejscu! Jeszcze trochę! – powiedział Tas, podskakując z podniecenia. Kierowany dłonią Fizbana Sestun przeleciał spokojnie nad barierką. Spoczął na zakurzonej posadzce, nawet nie zbudziwszy się.

– Sestunie! – szepnął Tas, zatykając dłonią usta krasnoludowi, żeby nie wrzeszczał. – Sestunie! To ja, Tasslehoff. Obudź się.

Krasnolud żlebowy otworzył oczy. Pierwszą jego myślą było, iż Verminaard postanowił rzucić go na pożarcie wściekłemu kenderowi, zamiast smokowi. Potem krasnolud poznał przyjaciela i z poczucia ulgi zrobił się bezwładny.

– Jesteś bezpieczny, ale nic nie mów – ostrzegł kender. – Smok wciąż nas może usłyszeć... – Przerwał mu donośny łomot dochodzący z dołu. Krasnolud żlebowy usiadł, zdjęty strachem.

– Szszsz – uciszył go Tas – to pewno tylko drzwi do smoczego leża. – Pośpieszył na balkon, gdzie Fizban wyglądał przez balustradę. – Co tam?

– Smoczy władca – Fizban wskazał na drugi poziom, gdzie Verminaard stał na galerii nad smokiem.

– Żarze, zbudź się! – Verminaard krzyknął do śpiącego smoka. – Doniesiono mi o intruzach! Przybyła kapłanka i nakłania niewolników do buntu!

Pyros drgnął i powoli otworzył oczy, budząc się z niepokojącego snu, w którym widział latającego krasnoluda żlebowego. Potrząsając olbrzymim łbem, by przepędzić resztki snu, usłyszał Verminaarda bredzącego coś o kapłanach. Ziewnął. A więc smoczy władca dowiedział się o obecności kapłanki w fortecy. Pyros podejrzewał, że mimo wszystko będzie musiał poradzić sobie z tym już teraz.

– Nie kłopotz się tym, dostojny panie... – zaczął Pyros, a następnie przerwał raptownie, przyglądając się czemuś bardzo dziwnemu.

– Kłopotać się! – pinił się Verminaard. – Ależ ja... – On również ucichł. Przedmiot, któremu obaj się przyglądali, spadał leciutko jak piórko.

Był to kapelusz Fizbana.

Tanis zbudził wszystkich o najciemniejszej godzinie przed świtem.

– No więc – rzekł Sturm – idziemy?

– Nie mamy wyboru – powiedział posepnie Tanis, mierząc grupę wzrokiem. – Jeśli ktoś z was nas zdradził, musi żyć ze świadomością, iż spowodował śmierć wielu niewinnych. Verminaard zabije nie tylko nas, lecz również zakładników. Modlę się, by okazało się, że nie ma zdrajcy, i wobec tego postąpimy zgodnie z planem.

Nikt nic nie rzekł, lecz każdy spojrzął z ukosa na pozostałych, trawiony podejrzliwością. Kiedy kobiety się zbudziły, Tanis jeszcze raz omówił plan.

– Moi przyjaciele i ja zakradniemy się do pokoju dzieci wraz z Marittą, przebrani za kobiety, które zwykle noszą dzieciom śniadanie. Wyprowadzimy je na dziedziniec – mówił cicho Tanis. – Wy musicie zachowywać się tak, jak każdego dnia rano. Kiedy pozwolą wam wyjść na spacer, bierzcie dzieci i natychmiast idźcie w stronę kopalni. Wasi mężczyźni zajmą się tamtejszymi strażnikami i bezpiecznie uciekniecie w góry na południu. Zrozumieliście?

Kobiety pokiwały głowami w milczeniu, słysząc zbliżających się strażników.

– Nadszedł czas – rzekł cicho Tanis. – Wracajcie do pracy.

Kobiety rozproszyły się. Tanis wezwał Tikę i Lauranę. – Jeśli nas zdradzono, grozi wam wielkie niebezpieczeństwo, ponieważ będziecie pilnować kobiet... – zaczął.

– Wszystkim nam będzie groziło niebezpieczeństwo – poprawiła chłodno Laurana. Nie spała przez całą noc. Wiedziała, że gdyby rozluźniła ciasne obręcze, jakimi spoiła swą duszę, zawładnęłaby nią trwoga.

Tanis nie dostrzegł tej wewnętrznej walki. Pomyślał, że Laurana wygląda dziwnie blado i niezwykle pięknie. Sam będąc starym wiarusem, w wirze przygotowań zapomniał o lęku przed pierwszą bitwą.

Kaszlnąwszy, rzekł schrypniętym głosem: – Tiko, posłuchaj mojej rady. Nie wyciągaj miecza z pochwy. W ten sposób stanowisz mniejsze zagrożenie. – Tika zachichotała i nerwowo pokiwała głową. – Idź pożegnać się z Caramonem – polecił jej Tanis.

Tika oblała się jaskrawym rumieńcem i wybiegła, posławszy Tanisowi i Lauranie znaczące spojrzenie.

Tanis przez chwilę uważnie przyglądał się Lauranie – i po raz pierwszy dostrzegł, że tak mocno zaciskała szczęki, że widać było naprężone ścięgna na karku. Wyciągnął ręce, żeby ją objąć, lecz była sztywna i chłodna jak trup smokowca.

– Nie musisz tego robić – powiedział Tanis, wypuszczając ją. – To nie twoja bitwa. Idź do kopalni z innymi kobietami.

Laurana potrząsnęła głową, zaczekawszy, aż nabrała pewności, że panuje nad swym głosem. – Tika nie uczyła się walczyć. Ja tak. I nieważne, czy była to „ceremonialna” sztuka walki. – Uśmiechnęła się gorzko na widok niewyraźnej miny Tanisa. – Zrobię, co do mnie należy, Tanisie. – Jego ludzkie imię zabrzmiało niezręcznie w jej ustach. – Inaczej możesz pomyśleć, że jestem zdrajcą.

– Laurano, proszę, uwierz mi! – westchnął Tanis. – Nie podejrzewam Gilthanasa o zdradę bardziej niż ty! Tylko że – do diabła, Laurano, stawką jest życie tylu ludzi! Nie zdajesz sobie z tego sprawy? Czując, jak trzęsą mu się dłonie wsparte na jej ramionach, spojrzała mu w twarz i ujrzała cierpienie i strach malujący się na niej – lustrzane odbicie lęku, jaki czuła w swym wnętrzu. Ale jego strach nie był obawą o siebie, lecz o innych.

Zaczerpnęła głęboko tchu. – Przepraszam, Tanisie – powiedziała. – Masz rację. Spójrz. Są już strażnicy. Czas iść.

Odwróciła się i odeszła, nie oglądając się wstecz. Dopiero kiedy było za późno, uświadomiła sobie, że może Tanis sam bezgłośnie prosił o pocieszenie.

Maritta i Goldmoon poprowadziły drużynę wąskimi schodami na pierwsze piętro. Smokowcy nie towarzyszyli im, wspominając coś o „specjalnej służbie”. Tanis spytał Marittę, czy to normalne, a ona zaniepokoiła się i pokręciła głową. Nie mieli jednak innego wyjścia, jak iść dalej. Za nimi wlokło się sześciu krasnoludów źlebowych, taszcząc ciężkie gary wypełnione czymś, co pachniało jak owsianka. Nie zwracali większej uwagi na kobiety, dopóki Caramon nie zaplątał się na schodach w spódnice i nie upadł na kolana, klnąc przy tym, bynajmniej nie jak dama. Krasnoludowie wybałuszili oczy.

– Nie śmiecie nawet pisnąć! – powiedział Flint, odwracając się gwałtownie do nich. W jego dłoni błysnął nóż.

Krasnoludowie źlebowi skulili się pod ścianą, trzęsąc rozpaczliwie głowami i podzwaniając garnkami.

Przyjaciele dotarli do szczytu schodów i zatrzymali się.

– Przejdziemy przez korytarz do tych drzwi... – pokazała Maritta. – Och, nie! – Chwyciła Tanisa za ramię. – Przy drzwiach stoi strażnik. Nigdy ich nie strzegli!

– Spokojnie, to może być zbieg okoliczności – rzekł pocieszająco Tanis, chociaż wiedział, że to nieprawda. – Idziemy tak, jak było zaplanowane. – Maritta bojaźliwie pokiwała głową i przeszła na drugą stronę korytarza.

– Straże! – Tanis zwrócił się do Sturma. – Przygotuj się. Pamiętaj – szybko i

bezlitośnie. Żadnych hałasów!

Według mapy Gilthanasa, pokój zabaw dzieliły od sypialni dzieci dwa pomieszczenia. Pierwszym był skład, w którym, według słów Maritty, znajdowały się półki pełne zabawek, ubrań i innych rzeczy. Przez ten pokój biegł tunel prowadzący do następnego pomieszczenia, w którym mieszkała smoczyca Płomienna.

– Biedactwo – powiedziała Maritta, omawiając plan z Tanisem. – Jest w równym stopniu więźniem, co my. Smoczy władca nigdy jej nie wypuszcza. Myślę, że boi się, żeby nie uciekła. Wybudowali nawet tunel przez skład, za mały, żeby się w nim zmieściła. Nie przypuszczam zresztą, żeby miała zamiar uciec, ale myślę, że pewno chciałyby zobaczyć bawiące się dzieci.

Tanis spojrział na Marittę z powątpiewaniem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie natkną się na smoka zupełnie nie przypominającego obłąkanego i słabowitego stworzenia, jakie opisywała.

Za legowiskiem smoczycy znajdował się pokój, w którym dzieci spały. To była komnata, do której muszą wejść, żeby zbudzić dzieci i wyprowadzić je na zewnątrz. Z pokoju zabaw wiodła bezpośrednia droga na dziedziniec przez ogromne drzwi zamknięte wielką, dębową kłodą.

– Bardziej po to, by nie wypuścić smoka niż nas – stwierdziła Maritta.

Świt musi być blisko, pomyślał Tanis, kiedy wyszli z klatki schodowej i zbliżyli się do pokoju zabaw. W świetle pochodni ich cienie padały przed nimi. W Pax Tharkas panowała cisza, śmiertelna cisza. Zbyt wielka, jak na fortecę gotującą się do wojny. Czterech smokowców stało na straży przed pokojem zabaw. Stali zgarbieni na progu komnaty i rozmawiali. Na widok zbliżających się kobiet ucichli.

Goldmoon i Maritta szły na przedzie. Goldmoon zrzuciła kaptur, odsłaniając włosy połyskujące w blasku pochodni. Tuż za Goldmoon podążał Riverwind. Zgięty wpół i wspierający się na lasce mieszkaniec równin szedł praktycznie na kolanach. Dalej szedł Caramon z Raistlinem, który nie oddalał się od swego brata, a za nimi Gilthanas i Eben. Wszyscy zdrajcy razem, jak zauważył sarkastycznie Raistlin. Flint zamykał pochód, co jakiś czas odwracając się i mierząc groźnym wzrokiem strwożonych krasnoludów źlebowych.

– Wcześniej dziś przyszyście – warknął strażnik. Kobiety zbiły się w stadko niczym kury i stanęły półokręgiem przed strażnikami, potulnie czekając na wpuszczenie.

– Pachnie burzą – powiedziała ostro Maritta. – Chcę, żeby dzieci wyszły na spacer zanim rozpocznie się ulewa. A wy co tu robicie? Te drzwi nigdy nie były strzeżone. Przestraszycie dzieci.

Jeden ze smokowców poczynił jakieś spostrzeżenie w swym chrapliwym języku, a dwaj pozostali uśmiechnęli się, pokazując rzędy szpiczastych zębów. Mówiący tylko warknął.

– Rozkaz lorda Verminaarda. Wraz z Żarem odlecieli dziś rano wykończyć elfów. Mamy rozkaz przeszukać was zanim wejdziecie. – Smokowiec wbił łakomy wzrok w Goldmoon.

– Powiedziałbym, że to sama przyjemność.

– Może dla ciebie – mruknął inny strażnik, przyglądając się Sturmowi z niesmakiem. – Nigdy w życiu nie widziałem tak brzydkiej kobiety... ugh... – Potwór przewrócił się ze sztyletem utkwionym między żebrami. Pozostali trzej smokowcy zginęli w ciągu następnych sekund. Caramon zacisnął dłoń na karku jednego z przeciwników. Eben pchnął swojego w brzuch, a Flint odciął padającemu potworowi głowę. Tanis wbił przywódcy miecz w serce. Chciał wypuścić broń, spodziewając się, że ugrzęźnie w skamieniałym ciele stwora. Ku jego zdumieniu, nowy miecz wysliznął się z kamienia tak łatwo, jakby był to trup goblina.

Nie miał czasu, by zastanawiać się nad tym dziwnym wydarzeniem. Krasnoludy żłebowe, ujrawszy błysk stali, rzuciły garnki i uciekły w popłochu w głąb korytarza.

– Nie zwracaj na nich uwagi! – Tanis warknął do Flinta.

– Do bawialni! Szybko! – Przystąpiwszy ciała zabitych, otworzył drzwi na oścież.

– Jeśli ktoś natknie się na te trupy, to już po nas – powiedział Caramon.

– Było już po nas, zanim wyruszyliśmy! – mruknął gniewnie Sturm. – Zdradzono nas, więc to tylko kwestia czasu.

– Prędeż! – rzucił ostro Tanis, zatrzasnął drzwi za nimi.

– Bądźcie bardzo cicho – szepnęła Maritta. – Płomienna zwykle śpi bardzo mocno. Gdyby się obudziła, zachowujcie się jak kobiety. Nie rozpoznasz was. Jest ślepa na jedno oko.

Chłodny blask poranka sączył się przez malutkie okna wysoko pod sufitem, oświetlając posępne pomieszczenie zabaw dzieci. Na podłodze leżało kilka porzucanych, mocno zużytych zabawek. Nie było żadnych mebli. Caramon poszedł obejrzeć wielką, drewnianą sztabę, którą zamknięte były podwójne wrota prowadzące na dziedziniec.

– Dam sobie z nimi radę – powiedział. Zwalisty mężczyzna bez trudu podniósł kłodę, postawił ją pod ścianą i naparł na drzwi. – Nie są zamknięte z zewnątrz – doniósł. – Pewnie nie spodziewali się, że dotrzemy tak daleko.

Albo Verminaard chciał, żebyśmy się tu znaleźli, pomyślał Tanis. Ciekaw był, czy to, co powiedział smokowiec, było prawdą. Czy smoczy władca i jego smok rzeczywiście opuścili twierdzę? A może... – przepełniony gniewem, oderwał się od tych myśli. To nie ma znaczenia, powiedział sobie. Nie mamy wyboru. Musimy iść dalej.

– Flincie, zostaniesz tutaj – powiedział. – Gdyby ktoś się zbliżał, najpierw daj nam znać, a potem walcz.

Flint pokiwał głową i zajął stanowisko tuż za drzwiami prowadzącymi na korytarz, otworzywszy je najpierw odrobinę, by mógł przez nie wyglądać. Ciała smokowców na podłodze zmieniły się w proch.

Maritta wzięła jedną z pochodni na ścianie. Zapaliwszy ją, poprowadziła drużynę przez ciemny łuk do korytarza, który wiódł do smoczego legowiska.

– Fizbanie! Twój kapelusz! – Tas zaryzykował i odezwał się szeptem.

Za późno. Stary czarodziej chciał go pochwycić, ale nie udało mu się.

– Szpiedzy! – wrzasnął rozwścieczony Verminaard, pokazując na balkon. – Złap ich, Żarze! Chcę dostać ich żywych!

Żywych? powtórzył w duchu smok. Nie, nie ma mowy! Pyros przypomniał sobie dziwny odgłos, jaki słyszał zeszłej nocy, i nie miał wątpliwości, że ci szpiedzy podsłuchali, jak mówił o człowieku z zielonym klejnotem! Tylko nieliczne, uprzywilejowane osoby znały ten straszliwy i wielki sekret, sekret, który umożliwi Królowej Ciemności podbój świata. Szpiedzy muszą zginąć, a sekret zginie wraz z nimi.

Pyros rozpostarł skrzydła i wzbił się w powietrze, z niesamowitą szybkością odbijając się od ziemi potężnymi tylnymi nogami. To koniec! pomyślał Tasslehoff. Już po nas. Tym razem nie ma ucieczki.

W chwili gdy już pogodził się z myślą, że zostanie upieczony przez smoka, posłyszał rozkazujący okrzyk czarodzieja i zapadła gęsta, nienaturalna ciemność, która nieomal go przewróciła.

– Uciekaj! – wysapał Fizban, łapiąc kendera za rękę i pociągnięciem stawiając go na nogi.

– Sestun ...

– Mam go! Uciekaj!

Tasslehoff zaczął biec. Wskoczyli za drzwi, wpadając do galerii, a potem już nie miał pojęcia, dokąd biegać. Trzymał się tylko starca i pędził. Posłyszał z tyłu świst powietrza towarzyszący przelotowi smoka, który opuścił leże, a potem rozległ się smoczy głos.

– A więc jesteś czarodziejem, czyż nie tak, szpiegu? – krzyknął Pyros. – Nie można pozwolić, żebyś tak biegał po ciemku. Jeszcze się zgubisz. Pozwól, że oświetlę ci drogę!

Tasslehoff posłyszał szum olbrzymiej ilości powietrza wciąganej do ogromnego cielska, a potem wokół niego wybuchły i zatrzeszczały płomienie. Ciemność znikła, rozwiana

jaskrawym blaskiem ognia, lecz ku zdumieniu Tasa, płomienie nie tknęły go. Kender spojrział na Fizbana, który – pozbawiony kapelusza – biegł obok. Nadal znajdowali się w galerii i kierowali się ku podwójnym drzwiom.

Kender odwrócił głowę. Za nim był ogromny smok, straszniejszy niż wszystko, co sobie wyobrażał, bardziej przerażający od czarnego smoka w Xak Tsaroth. Smok zionął na nich jeszcze raz i Tasa znów spowiły płomienie. Obrazy na ścianach zapaliły się, meble stanęły w ogniu, zasłony płonęły jak pochodnie, całe pomieszczenie było pełne dymu. A mimo to ogień nawet nie dotknął ani jego, ani Sestuna i Fizbana. Tasslehoff popatrzył na maga z podziwem, prawdziwie zafascynowany.

– Jak długo możesz to utrzymać? – krzyknął do Fizbana, gdy wybiegli za róg, widząc już podwójne, spiżowe drzwi. Starzec wlepił w niego spojrzenie szeroko rozwartych oczu.

– Nie mam zielonego pojęcia! – wysapał. – Nawet nie wiedziałem, że w ogóle to potrafię!

Otoczyła ich kolejna chmura ognia. Tym razem Tasslehoff poczuł żar i posłał Fizbanowi zaniepokojone spojrzenie. Czarodziej pokiwał głową. – Już mi się wymyka! – zawołał.

– Trzymaj się – wysapał Tasslehoff. – Jesteśmy już niemal przy drzwiach! On przez nie nie przejdzie.

Cała trójka przecisnęła się przez podwójne drzwi z brązu, które prowadziły z galerii na korytarz, w chwili gdy zakłęcie Fizbana przestało działać. Przed nimi znajdowały się wciąż otwarte, tajne drzwi, prowadzące do maszynowni. Tasslehoff zamknął spiżowe drzwi i zatrzymał się na chwilę, by złapać oddech.

Lecz w chwili, gdy miał zamiar powiedzieć – Udało się!

– jedna ze szponiastych łap smoka przebiła ścianę tuż nad głową kendera!

Sestun, wrzasnąwszy, popędził w stronę schodów.

– Nie! – Tasslehoff złapał go. – Ta droga wiedzie do komnat Verminaarda!

– Wracamy do maszynowni! – zawołał Fizban. Przebiegli przez tajne drzwi tuż zanim cała ściana nie zawaliła się z przeraźliwym hukiem. Lecz drzwi nie dały się zamknąć.

– Najwyraźniej muszę się jeszcze dużo nauczyć o smokach

– wymamrotał Tas. – Ciekawe, czy są jakieś dobre książki na ten temat...

– Widzę, że uciekliście przede mną jak szczury do swej nory, gdzie uwięźliście – zagrzmiął na zewnątrz głos Pyrosa. – Nie macie gdzie uciec, a mnie nie powstrzymają kamienne mury.

Rozległo się okropne skrzypienie i zgrzytanie. Ściany maszynowni zadygotały, a

potem zaczęły pękać.

– Niezle ci poszło – stwierdził żałośnie Tas. – Ten ostatni czar był naprawdę wystrzałowy. Niemal warto dać się zabić smokowi, żeby coś takiego zobaczyć.

– Dać się zabić! – Fizban jakby obudził się. – Smokowi? Nie ma mowy! Nigdy mnie nikt tak nie obraził. Musi być jakieś wyjście... – Oczy mu zabłyśły. – Łłańcuchem w dół!

– Łłańcuchem? – powtórzył Tas, przekonany, że się przesłyszał, o co nie było trudno przy huku pękających ścian, ryku smoka i tym wszystkim.

– Zejdziemy na dół po łańcuchu! Chodź! – Chichocząc z radości, stary czarodziej zawrócił i pomknął w głąb tunelu.

Sestun spojrział na Tasslehoffa z powątpiewaniem, lecz właśnie wtedy ze ściany wyłoniła się ogromna, smocza łapa. Kender i krasnolud żlebowy odwrócili się i pobiegli w ślad za starym czarodziejem.

Kiedy dotarli do wielkiego koła, Fizban już przeczołgał się po łańcuchu wychodzącym z tunelu i wdrapał się na pierwszy olbrzymi występ zębaki. Podkasawszy wysoko szatę, przeskoczył z zęba na pierwsze ogniwo masywnego łańcucha. Kender i krasnolud żlebowy wspięli się na łańcuch za nim. Tas już zaczął brać pod uwagę możliwość, że ujdą z życiem, szczególnie jeśli ten czarny elf na dole wziął sobie wolny dzień, kiedy Pyros niespodziewanie wpadł do szybu, w którym wisiał wielki łańcuch.

Części kamiennego tunelu zawałyły się wokół nich i spadły na ziemię z głuchym, dudniącym łoskotem. Ściany się zatrzęsły, a łańcuch zaczął dygotać. Smok wisiał nad ich głowami. Nic nie mówił, tylko przyglądał im się czerwonymi oczami. Następnie zaczerpnął tchu tak głęboko, że wydawało się, iż zassał powietrze z całej doliny. Tas odruchowo zamknął oczy, a potem otworzył je szeroko. Nigdy jeszcze nie widział smoka ziejącego ogniem i za żadne skarby nie przegapiłby takiej okazji – szczególnie, że prawdopodobnie będzie to jego ostatnia szansa.

Płomienie buchnęły z pyska i nozdrzy smoka. Samo uderzenie fali żaru wystarczyło, by niemal rzucić Tasa z łańcucha. Jednakże ogień znów omiół go, nie uczyniwszy mu krzywdy. Fizban chichotał radośnie.

– Całkiem chytrze, staruszkę – powiedział gniewnie smok – Lecz ja również jestem magiem i czuję, że opadasz z sił. Mam nadzieję, że chytraść umili ci drogę – daleką drogę na dół!

Znów buchnął smoczy ogień, lecz tym razem nie był skierowany na drżące postaci uczeplone łańcucha. Płomienie uderzyły w sam łańcuch, którego żelazne ogniwa rozżarzyły się do czerwoności od pierwszego podmuchu smoczego ognia. Pyros zionął jeszcze raz i

ogniwa zapłonęły białym żarem. Smok zionął po raz trzeci. Ogniwa stopiły się. Masywny łańcuch zadygotał i pękł, lecąc w otchłań ciemności.

Pyros obserwował spadanie łańcucha. Potem, zadowolony, że szpiedzy umilkli raz na zawsze, poleciał z powrotem do swego leża, skąd dobiegały krzyki Verminaarda.

W ciemności, jaka pozostała po smoku, olbrzymie koło zębate – uwolnione od łańcucha, który je przytrzymywał od wieków – wydało jęk i zaczęło się obracać.

Rozdział XIV

Matafleur. Magiczny miecz. Białe piórka.

Blask pochodni Maritty oświetlał duże, puste pomieszczenie bez okien. Nie było w nim sprzętów. W zimnej, kamiennej komnacie znajdowała się tylko wielka misa z wodą, wiadro wypełnione czymś, co czuć było zepsutym mięsem, oraz smok. Tanisowi zaparło dech w piersi. Sądził, że czarny smok w Xak Tsaroth był ogromny. Prawdziwie zdumiały go olbrzymie rozmiary tej czerwonej smoczy. Jej leże było wielkie, prawdopodobnie miało ponad trzydzieści metrów, a smoczyca, wyciągnięta wzdłuż całej jego długości, końcem ogona dotykała przeciwległej ściany. Przyjaciele stali przez chwilę w osłupieniu, oczami wyobraźni widząc, jak olbrzymi łeb unosi się i spopiela ich płonącym oddechem czerwonego smoka, płomieniem, który zniszczył Solace.

Jednakże Maritta nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej. Zdecydowanym krokiem weszła do pomieszczenia, a po chwili wahania drużyna pośpieszyła za nią. Gdy zbliżyli się do stworzenia, zobaczyli, że Maritta miała rację – smoczyca była bez wątpienia w opłakanym stanie. Wielka głowa, która spoczywała na posadzce z zimnego kamienia, była pomarszczona i pobrużdżona ze starości, a jaskrawoczerwona skóra zszarzała i pokryta plamami. Smoczyca głośno oddychała przez pysk, rozwarłszy paszczę pełną zębów niegdyś ostrych jak miecze, dziś poźółkłych i połamanych. Długie blizny znaczyły jej boki, a jej błoniaste skrzydła były wyschnięte i spękane.

Teraz Tanis zrozumiał Marittę. Widać było, że smoczycę źle traktowano. Półelf zorientował się, że robi mu się jej żal, przez co nie był już tak ostrożny. Uświadomił sobie, jak niebezpieczne może to się okazać, gdy smoczyca – przebudzona blaskiem pochodni – poruszyła się we śnie. Jej szpony są nie mniej ostre, a ogień nie mniej groźny, niż każdego innego czerwonego smoka na Krynnie, upomniął się ostro Tanis.

Smoczyca otworzyła oczy, które miały wygląd połyskliwych, czerwonych szpar błyszczących w blasku pochodni. Drużyna zatrzymała się i sięgnęła po broń.

– Czy już pora na śniadanie, Maritto? – spytała schrypniętym, zaspanym głosem Matafleur (której imię dla pospolitych śmiertelników brzmiało Płomienna).

– Tak, przyszedłszy dziś nieco wcześniej, moja droga – powiedziała uspokajającym głosem Maritta. – Szykuje się burza, więc chciałabym, żeby dzieci wyszły na spacer przed deszczem. Śpij dalej. Dopilnuję, żeby nie zbudziły cię po drodze.

– Nic nie szkodzi. – Smoczyca ziewnęła i otworzyła oczy nieco szerzej. Teraz Tanis dostrzegł, że jedno z nich było zaciągnięte mleczną błoną. Smoczyca była ślepa na to oko.

– Mam nadzieję, że nie będziemy zmuszeni walczyć z nią – szepnął Sturm do Tanisa.
– To byłoby tak, jakbyśmy walczyli z czyjąś babcią.

Tanis wysiłkiem woli przybrał srogą minę. – To niezmiernie groźna babcia, Sturmie. Nie zapominaj o tym.

– Małeństwa spały niespokojnie w nocy – szepnęła smoczyca, najwyraźniej znów zapadając w sen. – Maritto, przypilnuj, żeby nie zmokły, jeśli zacnie padać. Szczególnie uważaj na małego Erika. W zeszłym tygodniu był przeziębiony. – Smoczyca zamknęła oczy.

Odwróciwszy się, Maritta wezwała pozostałych gestem, przykładając palec do warg. Sturm i Tanis szli na końcu, maskując broje i broń licznymi pelerynami i spódnicami. Tanis znajdował się w odległości jakiś dziewięciu metrów od głowy smoczycy, gdy rozległ się dziwny dźwięk. .

Początkowo Tanis sądził, że się przesłyszał, że to w głowie mu brzęczy ze zdenerwowania. Jednakże dźwięk się nasilił tak bardzo, że zaniepokojony Sturm odwrócił się i spojrzał na niego. Dźwięk wzmagął się, aż przypominał brzęczenie roju niezliczonej szarańczy. Teraz i pozostali obejrzeni się – wszyscy patrzyli na niego! Tanis spojrzał bezradnie na swych przyjaciół z niemal komicznym wyrazem zakłopotania na twarzy.

Smoczyca parsknęła i drgnęła ze zdenerwowania, potrząsając głową, jakby dźwięk ranił jej uszy.

Nagle Raistlin oderwał się od grupy i podbiegł do Tanisa.

– To miecz! – zaszczał. Odrzucił połę płaszcza półelfa, odsłaniając oręż.

Tanis popatrzył na miecz ukryty w prastarej pochwie. Czarodziej miał rację. Ostrze brzęczało, jakby było niezmiernie podniecone. Teraz, gdy Raistlin zwrócił na to jego uwagę, półelf wyczuwał wibracje klingi.

– Magia – rzekł cicho czarodziej, uważnie przyglądając się broni.

– Potrafisz to powstrzymać? – zawołał Tanis, przekrzykując niesamowity dźwięk.

– Nie – powiedział Raistlin. – Już sobie przypomniałem. To jest zabójca smoków, słynny magiczny miecz Kith-Kanana. Reaguje na bliskość smoka.

– Nie mogłeś znaleźć gorszej pory, żeby sobie o tym przypomnieć! – rzekł rozwścieczony Tanis.

– Albo lepszej – warknął Sturm.

Smoczyca powoli unosiła łeb, mrugając ślepiami. Z jednego nozdrza sączyła się cienka smużka dymu. Zmrużyła zaspane czerwone oczy, kierując pełen udreki i irytacji wzrok na Tanisa.

– Kogoś tu przyprowadziła, Maritto? – W głosie Matafleur pobrzmiwała groźba. –

Słyszę dźwięk, jakiego nie słyszałam od wieków, czuję wstrętny zapach stali! To nie są kobiety! To wojownicy!

– Nie krzywdźcie jej! – zawołała błagalnie Maritta.

– Może nie będę miał innego wyjścia! – rzucił wściekle Tanis, wyciągając zabójcę smoków z pochwy. – Riverwindzie, ty i Goldmoon zabierzcie stąd Marittę! – Ostrze miecza zapłonęło jaskrawą, białą poświatą, a jego brzęczenie stało się jeszcze głośniejsze i bardziej gniewne. Matafleur cofnęła się. Blask miecza raził boleśnie jej zdrowe oko, a straszny dźwięk przeszywał jej głowę niczym włócznia. Z żalonym jękiem skuliła się najdalej, jak mogła, od Tanisa.

– Biegnijcie po dzieci! – wrzasnął Tanis, uświadamiając sobie, że nie muszą walczyć – przynajmniej jeszcze nie teraz. Trzymając świecący miecz wysoko w górze, posunął się ostrożnie naprzód, zapędzając biedną smoczącą pod ścianę.

Maritta, rzuciwszy jedno bojaźliwe spojrzenie na Tanisa, zaprowadziła Goldmoon do pokoju dzieci. Około setka dzieci stała tam z szeroko rozwartymi oczami, zaniepokojona osobliwymi dźwiękami, które dochodziły z sąsiedniego pokoju. Na ich twarzyczkach odmalowała się ulga, gdy zobaczyły Marittę i Goldmoon, a kilkoro młodszych nawet zachichotało na widok Caramona, który wpadł do komnaty, powiewając spódnicami płaczącymi mu się wokół opancerzonych nóg. Ujrawszy jednak wojowników z obnażoną bronią, dzieci natychmiast spoważniały.

– Co się stało, Maritto? – spytała najstarsza z dziewczynek. – Co się dzieje? Czy znów rozpoczęły się walki?

– Mamy nadzieję, że obejdzie się bez walki, kochanie – powiedziała cicho Maritta. – Ale nie będę was okłamywać – może dojdź do tego. Teraz chciałabym, żebyście zebrali swoje rzeczy, w szczególności ciepłe okrycia, i poszli z nami. Starsi niech wezmą maluchy na ręce, tak jak wtedy, gdy wychodzimy na zewnątrz zażyć ruchu.

Sturm spodziewał się zamieszania, płaczu i żądania wyjaśnień. Dzieci jednak szybko wykonały polecenia, nakładając ciepłe ubranka i pomagając ubrać się młodszymi. Były ciche i spokojne, choć nieco blade. To dzieci wojny, przypomniał sobie Sturm.

– Macie bardzo szybko przejść przez legowisko smoka i wejść do pokoju zabaw. Kiedy już tam będziemy, ten duży mężczyzna – Sturm wskazał na Caramona – zaprowadzi was na podwórko. Tam będą czekać na was wasze matki. Kiedy będziecie już na zewnątrz, natychmiast szukajcie waszych mam i idźcie do nich. Zrozumieliście wszyscy? – Spojrzał z powątpiewaniem na młodsze dzieci, lecz dziewczynka na przedzie szeregu pokiwała głową.

– Rozumiemy, panie – rzekła.

– W porządku. – Sturm odwrócił się. – Caramonie?

Wojownik, który zaczerwienił się z zażenowania na widok setki par oczu utkwionych w nim, poprowadził dzieci do legowiska smoczyca. Goldmoon wzięła na ręce jednego malca, Maritta następnego. Starsi chłopcy i dziewczynki nieśli małe dzieci na plecach. Dzieci wychodziły pośpiesznie i karnie, nie odezwawszy się ani słowem, dopóki nie zobaczyły Tanisa z błyszczącym mieczem i przerażonej smoczyca.

– Hej, ty! Nie krzywdź naszej smoczyca! – wrzasnął jeden z małych chłopców. Opuściwszy swoje miejsce w szeregu, dziecko podbiegło do Tanisa z zaciśniętymi pięściami i wykrzywioną gniewnie twarzą.

– Dougl! – krzyknęła wstrząśnięta starsza dziewczynka.

– Wracaj natychmiast do szeregu! – Lecz już niektóre pozostałe dzieci zaczęły płakać.

Tanis wciąż stał z wzniesionym mieczem – wiedząc, że tylko to powstrzymuje smoczyca – i krzyknął: – Zabierzcie je stąd!

– Dzieci, proszę! – Córka wodza zaprowadziła porządek, przemawiając surowym i rozkazującym tonem. – Tanis nie skrzywdzi smoczyca, jeśli nie będzie musiał. To dobry człowiek. Musicie już iść. Wasze matki was potrzebują.

W głosie Goldmoon pobrzmiwał strach oraz poczucie konieczności pośpiechu, które dotarło nawet do najmłodszych dzieci. Szybko wróciły do szeregu.

– Żegnaj, Płomienna – zawołało kilkoro dzieci, wychodząc za Caramonem i z żalem machając rękami na pożegnanie. Dougl posłał Tanisowi ostatnie nieprzyjazne spojrzenie, a potem i on powrócił do szeregu, wycierając oczy umorusanymi piąstkami.

– Nie! – krzyknęła Matafleur rozpaczliwym głosem. – Nie! Nie walczcie z moimi dziećmi. Proszę! To ze mną chcecie się bić! Walczcie ze mną! Nie czyńcie krzywdy moim dzieciom!

Tanis zdał sobie sprawę, że smoczyca była myślami w przeszłości, znów przeżywając to straszliwe wydarzenie, w którym zginęły jej dzieci.

Sturm trzymał się blisko Tanisa. – Wiesz, że ona cię zabije, kiedy dzieciom nie będzie już nic groziło.

– Wiem – rzekł ponuro Tanis. Już teraz oczy smoczyca – nawet chore oko – płonęły czerwonym blaskiem. Z olbrzymiej, ziejącej paszczy ciekła ślina, szpony drapały posadzkę.

– Nie moje dzieci! – powiedziała z furją.

– Jestem przy tobie... – zaczął Sturm, wyciągając miecz.

– Zostaw nas, rycerzu – szepnął cicho Raistlin z cienia.

– Twa broń na nic się nie zda. Ja zostanę z Tanisem.

Półelf spojrział na maga ze zdumieniem. Napotkał spojrzenie dziwnych, złotych oczu Raistlina, który wiedział, że Tanis myśli: „Czy mogę mu zaufać?” Raistlin nie pomógł mu, a nawet jakby prowokował go do odmownej odpowiedzi.

– Wyjdź – rzekł Tanis do Sturm.

– Co takiego? – zawołał rycerz. – Oszalałeś? Ufasz temu...

– Wyjdź! – powtórzył Tanis. W tym momencie usłyszał głośny krzyk Flinta. – Idź, Sturmie, jesteś tam potrzebny!

Rycerz stał przez chwilę niezdecydowany, lecz honor nie pozwalał mu zlekceważyć rozkazu osoby, którą uważał za swego dowódcę. Zmierzywszy wrogim spojrzeniem Raistlina, Sturm obrócił się na pięcie i wszedł do tunelu.

– Niewiele jest czarów, których mógłbym użyć przeciw czerwonemu smokowi – szepnął cicho Raistlin.

– Możesz zyskać trochę czasu dla nas? – spytał Tanis.

Na twarzy Raistlina pojawił się uśmiech osoby, która wie, iż śmierć jest tak blisko, że nie odczuwa już przed nią strachu.

– Mogę – szepnął. – Cofnij się w stronę tunelu. Kiedy usłyszysz moje słowa, uciekaj.

Tanis zaczął się wycofywać, wciąż trzymając miecz wzniesiony wysoko. Lecz smoczyca już nie obawiała się jego magii. Wiedziała tylko, że straciła swe dzieci i że musi zgładzić tych, którzy byli za to odpowiedzialni. Natarła bezpośrednio na wojownika z mieczem, który zaczął biec w stronę tunelu. Wtedy spowiła ją ciemność, ciemność tak nieprzenikniona, że Matafleur przez jedną, przerażającą chwilę sądziła, iż utraciła wzrok w drugim oku. Posłyszała wyszeptane magiczne słowa i zorientowała się, że człowiek w szatach rzucił zaklęcie.

– Spalę ich! – zawyła, wyczuwając zapach stali w tunelu. – Nie uciekną – Lecz w chwili, gdy zaczerpnęła głęboko tchu, posłyszała inny dźwięk – głosy swych dzieci. – Nie – uświadomiła sobie z poczuciem bezsilnej wściekłości.

– Nie odważę się na to. Moje dzieci! Mogłabym skrzywdzić moje dzieci... – Opuściła głowę na kamienną, zimną posadzkę.

Tanis i Raistlin biegli tunelem. Półelf ciągnął osłabionego maga. Z tyłu słyszeli żałosny, rozpaczliwy jęk.

– Nie! Moje dzieci! Proszę, walczcie ze mną! Nie krzywdźcie moich dzieci!

Tanis wypadł z tunelu do pokoju zabaw, mrużąc oczy w ostrym świetle, bowiem Caramon rozwarł już wielkie wrota, wpuszczając blask wschodzącego słońca. Dzieci wybiegły przez otwarte drzwi na dziedziniec. Za drzwiami Tanis widział Tikę i Lauranę,

które stały ze wzniesionymi mieczami i spoglądały w ich stronę z lekiem. Na podłodze bawialni leżał rozsypujący się już smokowiec z toporem Flinta sterczącym mu z grzbietu.

– Wszyscy na zewnątrz! – krzyknął Tanis.

Odzyskawszy topór, Flint opuścił pokój zabaw. Ostatni wyszedł półelf. W tym momencie posłyszeli przerażający ryk smoka, lecz był to smok zupełnie inny niż biedna Matafleur. Pyros wykrył szpiegów. Kamienne mury zatrzęsły się – smok wylatywał ze swego legowiska.

– Żar! – zaklął gorzko Tanis. – Nadal tu jest! Krasnolud pokręcił głową. – Założę się o swą brodę – powiedział posępnie – że Tasslehoff maczał w tym palce.

Zerwany łańcuch spadał na podłogę sali łańcuchowej w Sla-Mori, a wraz z nim spadały trzy małe postaci. Tasslehoff, uczepiony bezradnie łańcucha, leciał na łeb, na szyję w mroku i myślał: a więc to takie uczucie, kiedy się umiera. Było to interesujące wrażenie i żałował, że nie może go doświadczać dłużej. Nad sobą słyszał wrzeszczącego ze strachu Sestuna. Z dołu dochodziło go mamrotanie starego czarodzieja, który zapewne usiłował po raz ostatni rzucić zaklęcie. Wtem Fizban powiedział głośno: – *Piórko...* – Słowo urwało się i przeszło we wrzask. Potem rozległ się łomot i chrupnięcie gruchotanych kości, bowiem stary mag zderzył się z posadzką. Tasslehoffowi było go żal, choć wiedział, że sam będzie następny. Kamienna podłoga zbliżała się. Za kilka sekund on również zginie...

I wtedy spadł śnieg.

Tak przynajmniej myślał kender. Potem w osłupieniu uświadomił sobie, że otaczają go niezliczone miliony piórek – jakby eksplodował kurnik! Zapadł się w głęboką, olbrzymią stertę białych piórek, a Sestun wpadł w nią tuż po nim.

– Biedny Fizban – powiedział Tas, wycierając łzy z oczu i brodząc w oceanie białych, kurzych piórek. – Jego ostatnim zaklęciem musiało być *piórkospadanie*, takie, jakiego używa Raistlin. No i kto by pomyślał? Zdażył wyczarować tylko piórka.

Koło zębate nad jego głową obracało się coraz szybciej, a uwolniony łańcuch pędził, jakby cieszył się z odzyskanej swobody.

Na dziedzińcu panował chaos.

– Tutaj! – wołał Tanis, wybiegając pędem za drzwi. Wiedział, że są zgubieni, lecz nie zamierzał się poddawać. Drużyna zebrała się wokół niego, wyciągając broń i patrząc z niepokojem. – Biegnijcie do kopalni! Chowajcie się! Verminaard i czerwony smok nie odlecieli. To pułapka. W każdej chwili mogą nas zaatakować,

Z posępnym wyrazem twarzy pokiwali głowami. Wszyscy wiedzieli, że nie ma nadziei – musieliby przebyć niemal dwieście metrów płaskiej, otwartej przestrzeni, zanim dotarliby do bezpiecznego schronienia. Próbowali zapędzać kobiety i dzieci najszybciej, jak było to możliwe, lecz bez większego skutku. Matki musiały wpierw odszukać swoje dzieci. Potem Tanis spojrział w stronę kopalni i zaklął głośno, bowiem jego plany zostały pokrzyżowane jeszcze bardziej.

Mężczyźni z kopalni, ujrawszy uwolnione rodziny, szybko obezwładnili strażników i zaczęli wybiegać na dziedziniec! Tego nie było w planie! czym myślał Elistan? Za kilka chwil na otwartej przestrzeni, gdzie nie ma mowy o schowaniu się, zacznie się kręcić osiem setek rozgorączkowanych ludzi! Trzeba jakoś nakłonić ich do udania się z powrotem na południe, w stronę gór.

– Gdzie jest Eben? – zawołał do Sturma.

– Kiedy ostatnio go widziałem, biegł w kierunku kopalni. Nie mam pojęcia, dlaczego...

Rycerz i półelf jęknęli, nagle zrozumiałwszy.

– Oczywiście – rzekł Tanis cichym głosem, który został zagłuszony przez ogólną wrzawę. – Wszystko się zgadza.

Biegąc do kopalni, Eben myślał tylko o wykonaniu rozkazu Pyrosa. Wśród tego zamieszania musiał w jakiś sposób odnaleźć człowieka z zielonym klejnotem. Wiedział, co Verminaard i Pyros zamierzają uczynić z tymi biednymi nieszczęśnikami. Przez chwilę Ebenowi było ich żal – w końcu nie był okrutny i zły. Po prostu dawno temu zauważył, która strona musi wygrać, i postanowił choć raz znaleźć się po stronie zwycięzców.

Kiedy skończył się majątek rodowy, Eben mógł sprzedać tylko jedno – siebie samego. Zgrabnie machał mieczem, był inteligentny i tak wierny, jak można się tego spodziewać za pieniądze. Właśnie podczas podróży na północ w poszukiwaniu potencjalnego nabywcy, Eben spotkał Verminaarda. Ebenowi zaimponowała potęga Verminaarda, więc wkradł się w łaski kapłana sił zła. A co ważniejsze, udało mu się przekonać o swej użyteczności Pyrosa. Smok uznał Ebena za osobę czarującą, inteligentną, pomysłową – a po kilku próbach – godną zaufania.

Eben został odesłany do Gateway tuż przed natarciem smoczycich armii. Dogodnym zbiegiem okoliczności udało mu się „uciec” i zaczął organizować grupę powstańców. Natknięcie się na oddział elfów Gilthanasa, którzy po raz pierwszy usiłowali zakraść się do Pax Tharkas, okazało się szczęśliwym trafem, który jeszcze polepszył stosunki Ebena zarówno z Verminaardem, jak i Pyrosem. Kiedy kapłanka sama wpadła mu w ręce, Eben nie

mógł uwierzyć we własne szczęście. Przypuszczał jednak, że to przejaw łaski Królowej Ciemności.

Modlił się, by Królowa Ciemności nadal obdarzała go swą łaską. Odnalezienie człowieka z zielonym klejnotem w tym tłumie będzie wymagało boskiego wsparcia. Dookoła kłębiły się setki mężczyzn. Eben dostrzegł kolejną okazję uczynienia przysługi Verminaardowi. – Tanis chce, żebyście wyszli na dziedziniec – zawołał. – Idźcie do swoich rodzin.

– Nie! Tego nie było w planie! – krzyknął Elistan, próbując ich powstrzymać. Lecz było już za późno. Ujrawszy swe uwolnione rodziny, mężczyźni wybiegli na zewnątrz. Kilka setek krasnoludów żlebowych jeszcze zwiększyło zamieszanie. Krasnoludowie radośnie wybiegli z kopalni, by przyłączyć się do zabawy, sądząc być może, że to jakieś święto.

Eben ze zdenerwowaniem szukał w tłumie człowieka z zielonym klejnotem, a potem postanowił zajrzeć do cel więziennych. Rzeczywiście, znalazł tam siedzącego samotnie mężczyznę, który tępym wzrokiem spoglądał w pustkę celi. Eben szybko ukląkł przy nim, rozpaczliwie usiłując przypomnieć sobie jego imię. Było jakieś osobliwe, staromodne...

– Berem – powiedział po chwili Eben. – Beremie?

Mężczyzna podniósł głowę, a jego twarz ożywiła się, po raz pierwszy od wielu tygodni. Wbrew przypuszczeniom Toede, nie był głuchoniemy. Był natomiast człowiekiem opętanym, całkowicie pochłoniętym własnym, tajnym zadaniem. Niemniej jednak był tylko człowiekiem, a dźwięk jego imienia, wypowiedzianego ludzkim głosem, był niezmiernie kojący dla jego ucha.

– Beremie – rzekł ponownie Eben, oblizując wargi ze zdenerwowania. Teraz, kiedy już go znalazł, nie bardzo wiedział, co ma z nim zrobić. Wiedział, że kiedy tylko smok atakuje, ci biedni nieszczęśnicy natychmiast spróbują szukać schronienia w kopalni. Musiał zabrać stamtąd Berema, zanim przy łapie go Tanis. Ale dokąd go zaprowadzić? Mógłby zabrać go w głąb Pax Tharkas, zgodnie z rozkazem Pyrosa, lecz Ebenowi nie podobał się ten pomysł. Verminaard z pewnością znalazłby ich i nabrawszy podejrzeń, zaczął zadawać pytania, na które Eben nie mógł udzielić odpowiedzi.

Istniało tylko jedno miejsce, do którego Eben mógł zabrać go i czuć się bezpiecznie – poza obręb murów Pax Tharkas. Posiedzą w głuszy, aż wrzawa ucichnie, a następnie w nocy zakradną się ponownie do fortecy. Podjąwszy decyzję, Eben chwycił Berema za ramię i pomógł mu wstać.

– Wkrótce wybuchnie walka – powiedział. – Zabiorę cię stąd i przypilnuję twego bezpieczeństwa, dopóki bitwa się nie skończy. Jestem twoim przyjacielem. Rozumiesz?

Mężczyzna zmierzył go rozumnym spojrzeniem pełnym przenikliwej mądrości. Nie było to pozbawione wieku spojrzenie elfów, lecz wzrok człowieka, który żył w udręce niezliczone lata. Berem westchnął cichutko i pokiwał głową.

Verminaard wymaszerował ze swej komnaty, kipiąc ze złości i szarpnięciami ściągając opancerzone rękawice ze skóry.

Za nim dreptał smokowiec, który niósł buławę swego pana, zwaną zwiastunem nocy. Inni smokowcy, kręcący się wokół, wypełniali rozkazy Verminaarda, który wracał korytarzem do legowiska Pyrosa.

– Nie, głupcy, nie zatrzymujcie wymarszu wojsk! To potrwa tylko chwilę. Qualinesti stanie w płomieniach jeszcze przed zapadnięciem zmierzchu. Żarze! – krzyknął, otwierając z rozmachem drzwi wiodące do legowiska smoka. Wyszedł na gzyms. Zadzierając głowę ku balkonowi, ujrzał dym i płomienie, a z oddali doszedł go ryk smoka.

– Żarze! – Nie było odpowiedzi. – Ile czasu potrzebujesz, by schwytać garstkę szpiegów? – zapytał z wściekłością. Odwrócił się i nieomal upadł, zderzając się z kapitanem wojsk smokowców.

– Czy będziesz korzystał ze smoczego siodła, czcigodny panie?

– Nie ma na to czasu. Poza tym używam go tylko w czasie walki, a tam nie będzie z kim walczyć. To tylko kilka setek niewolników, których należy spalić.

– Ale niewolnicy obezwładnili strażników w kopalni i są ze swymi rodzinami na dziedzińcu.

– Jak silne są wasze oddziały?

– Niewystarczająco silne, czcigodny panie – rzekł dowódca smokowców z błyskiem w oczach. Zawsze uważał, że niemądrze jest zmniejszać liczebność wojsk w garnizonie. – Jest nas czterdziestu, czy pięćdziesięciu, przeciwko trzystu mężczyznom i tyluż kobietom. Bez wątplenia kobiety będą walczyć razem z mężczyznami, czcigodny panie, a jeśli zorganizują się i uciekną w góry...

– Bzdury! Żarze! – zawołał Verminaard. Usłyszał ciężki, metaliczny łoskot, który rozległ się w innej części fortecy. Potem dobiegł go inny dźwięk – odgłos koła zębatego, nie używanego od wieków, które skrzypiało, protestując przeciwko zmuszaniu go do pracy. Verminaard zastanawiał się, co mogą oznaczać te dziwne odgłosy, gdy do leża przyleciał Żar.

Smoczy władca pobiegł wzdłuż gzymsu w chwili, gdy smok zniżył się do jego poziomu. Verminaard zwinnie i szybko wspiął się na grzbiet smoka. Choć dzieliła ich przepaść wzajemnej nieufności, doskonale walczyli razem. Nienawiść do pomniejszych ras, które pragnęli podbić, oraz żądza władzy łączyła ich więzami silniejszymi, niż chcieliby

przyznać.

– Leć! – ryknął Verminaard i Pyros wzbił się w powietrze.

– Nic nie poradysz, mój przyjacielu – rzekł cicho Tanis do Sturm, kładąc dłoń na ramieniu rycerza, gdy Sturm rozpaczliwie usiłował zaprowadzić porządek. – Szkoda płuc. Oszczędzaj siły do walki.

– Nie dojdzie do walki. – Sturm zakaszłał, ochrypnięty od krzyku. – Zginiemy tu jak szczury w pułapce. Dlaczego ci głupcy nie chcą słuchać?

Wraz z Tanisem stał w północnym końcu dziedzińca, jakieś sześć metrów od frontowych bram do Pax Tharkas. Spoglądając na południe, widzieli góry i nadzieję. Za nimi znajdowały się olbrzymie wrota twierdzy, które w każdej chwili mogły się otworzyć i wpuścić niezliczone wojska smokowców, a gdzieś tam we wnętrzu murów był Verminaard i czerwony smok.

Na próżno Elistan próbował uspokoić ludzi i nakłonić ich do pójścia na południe. Mężczyźni uparcie pragnęli odnaleźć swoje kobiety, kobiety zaś swoje dzieci. Kilka rodzin, już razem, zaczęło iść na południe, lecz zbyt późno i zbyt wolno.

Wtem znad fortecy Pax Tharkas wzbił się w niebo niczym krwawa kometa Pyros, przycisnąwszy ciasno do boków połyskliwe skrzydła. Wyciągnął za sobą ogromny ogon, a szponiaste przednie łapy przycisnął mocno do ciała, coraz szybciej wznosząc się w przestworza. Na jego grzbiecie leciał smoczy władca, a złocone rogi jego ohydnej, smoczej maski błyszczały w świetle poranka. Verminaard trzymał się sztywnej grzywy smoka obiema rękami, gdy wylecieli na słoneczne niebo, rzucając cień nocy na dziedziniec w dole.

Strach przed smokiem ogarnął ludzi. Nie mogąc krzyczeć ani uciekać, kulili się jedynie w swych objęciach z trwogi przed straszliwą zjawą, wiedząc, że nie wymkną się śmierci.

Na rozkaz Verminaarda Pyros wylądował na jednej z wież fortecy. Verminaard spoglądał zza rogatej, smoczej maski, w milczeniu wrząc z wściekłości.

Tanis, który przyglądał się temu z poczuciem bezsilności i zawodu, poczuł, że Sturm chwyta go za ramię. – Spójrz!

– Rycerz wskazywał na północ, w stronę wrót.

Tanis niechętnie spuścił z oczu smoczego władcę i dojrzał dwie postaci biegnące ku bramom fortecy. – Eben! – zawołał z niedowierzaniem. – Ale kto jest z nim?

– Nie ucieknie! – krzyknął Sturm. Zanim Tanis zdołał go powstrzymać, rycerz rzucił się biegiem w ślad za tymi dwoma. Ruszywszy za nim, Tanis dostrzegł kątem oka przebłysek czerwieni – to Raistlin i jego bliźniaczy brat.

– Ja również mam rachunki do wyrównania z tym człowiekiem – zasyczał czarodziej. We trzech dogonili Sturma w chwili, gdy rycerz chwycił Ebena za kołnierz i rzucił go na ziemię.

– Zdrajco! – zawołał głośno Sturm. – Choćbym miał dziś zginąć, pošlę cię wpierw do otchłani! – Wyjął miecz i szarpnięciem odciągnął Ebenowi głowę do tyłu. Niespodzianie towarzysz Ebena zawrócił, podbiegł i złapał Sturma za prawe ramię.

Sturm jęknął. Rozluźnił uścisk, w którym trzymał Ebena, i w osłupieniu spoglądał na widok roztaczający się przed jego oczami.

W trakcie szaleńczej ucieczki z kopalni koszula mężczyzny rozerwała się. Pośrodku jego piersi tkwił w ciele jaskrawy, zielony klejnot! Drogocenny kamień wielkości pięści błyszczał w słońcu, rozsiewając oślepiający i straszliwy blask – złowieszczy blask.

– Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem o takich czarach! – szepnął Raistlin z lękiem i podziwem, gdy zatrzymał się wraz z pozostałymi u boku Sturma.

Widząc, iż spojrzenia rozszerzonych oczu wszystkich spoczywają na nim, Berem odruchowo zasłonił pierś koszulą. Następnie, wypuściwszy ramię Sturma, odwrócił się i pobiegł w stronę bram. Eben zerwał się na nogi i pobiegł za nim nieco chwiejnym krokiem.

Sturm rzucił się naprzód, lecz Tanis zatrzymał go.

– Nie – rzekł. – Już za późno. Musimy pomyśleć o innych.

– Tanisie, spójrz! – krzyknął Caramon, pokazując coś nad ogromnymi wrotami.

Część kamiennej ściany twierdzy nad masywną bramą frontową zaczęła się rozwierzać, tworząc olbrzymią, poszerzającą się stale szczelinę. Najpierw powoli, a następnie coraz szybciej, ze szczeliny zaczęły się sypać olbrzymie, granitowe głazy, które spadały na ziemię z takim impetem, że popękały płyty dziedzińca, a w powietrze wzbily się kłęby kurzu. Przez łoskot ledwo słyhać było zgrzyt masywnych łańcuchów zwalniających mechanizm. Głazy zaczęły spadać w chwili, gdy Eben i Berem dotarli do bram. Eben wrzasnął ze strachu, żałości i odruchowo zasłaniając głowę ramieniem. Mężczyzna obok niego spojrział w górę i wydawało się, że westchnął cichutko. Potem obaj zostali pogrzebani pod zwałami ton głazów, którymi prastary mechanizm obronny zamknął bramy Pax Tharkas.

– To wasz ostatni akt nieposłuszeństwa! – ryknął Verminaard. Przemowę przerwała mu lawina skał, co rozwścieczyło go jeszcze bardziej. – Dałem wam szansę pracy dla większej chwały mej królowej. Dbałem o was i wasze rodziny. Lecz wy jesteście uparci i głupi. Zapłacicie za to życiem! – Smoczy władca wysoko wznosił zwiastuna nocy. – Zgładzę mężczyzn. Zgładzę kobiety! Zgładzę dzieci!

Na znak smoczego władcy Pyros rozłożył wielkie skrzydła i wzbił się wysoko w

powietrze. Smok zaczerpnął głęboko tchu, przygotowując się do zanurkowania nad tłum łąkających z przerażenia na otwartym dziedzińcu ludzi, by spalić ich swym ognistym oddechem. Lecz coś zatrzymało morderczy lot smoka.

Wzbiwszy się w niebo znad sterty gruzu, który posypał się przy jej ucieczce z fortecy, Matafleur poleciała wprost ku Pyrosowi. Obłąd prastarej smoczycy jeszcze się pogłębił. Znów przeżywała koszmar utraty dzieci. Widziała rycerzy na złotych i srebrnych smokach i straszne smocze lance błyszczące w słońcu. Na próżno błagała swe dzieci, by nie stawały do beznadziejnej walki, na próżno starała się je przekonać, że koniec wojny już blisko. Były młode i nie chciały jej słuchać. Odleciały, zostawiając ją zapłakaną w pustym leżu. Kiedy oczami wyobraźni widziała ostatnią, krwawą bitwę i swe dzieci ginące od smoczycich lanc, posłyszała głos Verminaarda.

– Zgładzę dzieci!

I tak, jak to uczyniła tyle wieków temu, Matafleur poleciała ich bronić.

Zaskoczony niespodziewanym atakiem, Pyros uchylił się w samą porę, by uniknąć połamanych, lecz wciąż morderczych zębów starej smoczycy, która usiłowała wbić je w jego nie osłonięte boki. Matafleur zadała mu powierzchowny cios, boleśnie rozrywając jeden z potężnych mięśni poruszających olbrzymimi skrzydłami. Koziołkując w powietrzu, Pyros przednią łapą uzbrojoną w straszne pazury uderzył przelatującą Matafleur, rozrywając miękkie podbrzusze smoczycy.

W swym szaleństwie Matafleur nawet nie poczuła bólu, lecz siła ciosu większego i młodsze smoka odrzuciła ją do tyłu.

Przewrót w powietrzu był instynktownym manewrem obronnym smoczego samca. Wzbił się wyżej w przestworza, a jednocześnie zyskał czas na zaplanowanie ataku. Jednakże zapomniał o swym jeźdźcu. Verminaard lecący bez siodła, którego używał tylko podczas walki, wypuścił z rąk grzywę smoka i spadł na dziedziniec. Nie był to daleki spadek, więc nie poniósł żadnego uszczerbku na zdrowiu, poza kilkoma sińcami i chwilowym ogłuszeniem.

Większość ludzi dookoła niego uciekła w przerażeniu, kiedy zobaczyli, że wstaje, lecz rozejrzawszy się pośpiesznie, Verminaard dostrzegł cztery osoby w północnym końcu dziedzińca, które nie uciekły. Odwrócił się ku tym czterem.

Pojawienie się Matafleur i jej niespodziewana napaść na Pyrosa sprawiła, że jeńcy otrząsnęli się z paniki. Fakt, że Verminaard spadł pomiędzy nich niczym jakiś przerażający bóg, dokonał tego, czego nie udało się osiągnąć Elistanowi ani innym. Ludzie otrząsnęli się ze strachu i odzyskawszy rozum, zaczęli uciekać na południe, w stronę bezpiecznych gór. Na ten widok dowódca smokowców posłał swe wojska do walki z tłumem. Wydał także polecenia

następnemu posłańcowi, Wyvernowi, by poleciał zawrócić armię.

Smokowcy wdarli się w tłum uciekinierów, lecz jeśli spodziewali się wywołać panikę, zawiedli się. Ludzie dość już wycierpieli. Raz już pozwolili, by odebrano im wolność w zamian za obietnicę pokoju i bezpieczeństwa. Teraz zrozumieli, że nie może być pokoju, dopóki te potwory stąpają po powierzchni Krynny. Mieszkańcy Solace i Gateway – mężczyźni, kobiety i dzieci – walczyli każdą żalosną bronią, jaką udało im się znaleźć – kamieniami i głazami, gołymi rękoma, zębami i pazurami.

Tłum rozdzielił drużynę. Laurana została odcięta od pozostałych. Gilthanas próbował trzymać się blisko niej, lecz spłoszony tłum porwał go ze sobą. Elfia panna, przerażona jak nigdy w życiu i pragnąca tylko schować się, cofnęła się pod mur z mieczem w dłoni. Gdy ze zgrozą obserwowała bitwę, która wrzała dookoła niej, jakiś człowiek zwałił jej się pod nogi, przyciskając do brzucha ręce czerwone od własnej krwi. Oczy wybałuszone w śmiertelnym grymasie zdawały się wpatrywać w nią, a jego krew rozlewała się kałużą wokół jej stóp. Laurana patrzyła na krew z makabryczną fascynacją, gdy postyszała przed sobą jakiś dźwięk. Drżąc, podniosła głowę i spojrzała prosto w ohydny, gadzią twarz zabójcy owego mężczyzny.

Zobaczywszy przed sobą najwyraźniej sparaliżowaną strachem elfią kobietę, smokowiec pomyślał, że będzie ona łatwą zdobyczą. Oblizując krew z miecza długim językiem, stwór przeskoczył ciało swej ofiary i rzucił się na Lauranę.

Kurczowo trzymając w dłoniach miecz i czując, że ją ściska w gardle ze strachu, Laurana kierowała się czystym odruchem obronnym. Pchnęła mieczem na oślep, kierując ostrze w górę. Smokowiec był kompletnie zaskoczony. Laurana wbiła oręż w ciało smokowca, czując, jak ostra klinga elfiego miecza przebija zbroję i ciało. Postyszała chrupot kości i ostatni charkot stwora. Potwór skamieniał, wydzierając jej broń z ręki. Jednakże Laurana, myśląc z chłodnym wyrachowaniem, które zaskoczyło ją samą, wiedziała, z tego co opowiadali wojownicy, że jeśli poczeka chwilę, kamienne ciało obróci się w proch i uwolni jej miecz.

Wokół rozbrzmiewały odgłosy zmagania, okrzyki, wrzaski konających, głuche łoskoty, jęki i brzęk stali – lecz ona nic nie słyszała.

Zaczekała spokojnie, aż ujrzała, że ciało się rozsypuje. Wtedy nachyliła się i rozgarniając pył dłonią, chwyciła rękojęć miecza i wzniosła go wysoko w powietrze. Słońce błyszczało na zbroczonym krwią ostrzu, martwy wróg leżał u jej stóp. Rozejrzała się dookoła, lecz nie widziała Tanisa. Nie widziała nikogo znajomego. Nie wiedziała nawet, czy żyją. Równie dobrze w każdej chwili ona sama mogła zginąć.

Laurana podniosła oczy ku zalanemu słońcem, błękitnemu niebu. Świat, który może

wkrótce przyjdzie jej opuścić, zdawał się dopiero co stworzony – każdy przedmiot, każdy kamień, każdy liść widziała z bolesną wyrazistością. Zerwał się wonny, ciepły wiatr z południa, przeganiając ciężkie chmury, które wisiały nad jej ojczyzną na północy. Dusza Laurany, uwolniona z więzienia strachu, wzbiła się ponad obłoki, a jej miecz rozbłysł w porannym słońcu.

Rozdział XV

Smoczy władca. Dzieci Matafleur.

Verminaard przyjrzał się czterem mężczyznom, którzy zbliżali się do niego. Zdał sobie sprawę, że to nie byli niewolnicy. Wtedy poznał, że to ci, którzy podróżowali ze złotowłosą kapłanką. A więc to ci, którzy pokonali Onyks w Xak Tsaroth, zbiegli z transportu niewolników i wdarli się do Pax Tharkas. Miał wrażenie, że zna ich – oto rycerz z tego spustoszonego kraju minionej chwały; półelf, który usiłuje podawać się za człowieka; pokraczny, chorowity czarodziej oraz bliźniaczy brat czarodzieja – olbrzymi osiłek o tak zakutym łbie, że nie powinien potrzebować hełmu.

To będzie interesująca walka, pomyślał. Niemal z radością czekał na bitwę, której od dawna nie było mu dane zaznać. Znudziło mu się już dowodzenie armiami z grzbietu smoka. Pomyślawszy o Żarze, spojrział w niebo, zastanawiając się, czy będzie mógł wezwać pomoc.

Wyglądało jednak na to, że czerwony smok ma własne kłopoty. Matafleur toczyła już bitwy, gdy Pyros jeszcze nie wyklął się z jaja. Brak siły fizycznej nadrabiała chytrą i przebiegłością. Przystworza trzaskały od płomieni, smocza krew kapłała niczym czerwony deszcz.

Wzruszając ramionami, Verminaard znów obejrzał się na zbliżających się ostrożnie czterech mężczyzn. Usłyszał, jak czarodziej przypomina towarzyszom, że Verminaard jest kapłanem Królowej Ciemności i jako taki może wezwać jej pomocy. Verminaard wiedział od swych szpiegów, że ów mag, choć młody, posiadał dziwną moc i uważany był za nadzwyczaj groźnego.

Czterej ludzie milczeli. Nie trzeba było słów między nimi, a i wrogowie nie mieli sobie nic do powiedzenia. Obie strony traktowały się z szacunkiem, jakkolwiek niechętnym. A co do szału bojowego, ten był zbędny. Ten bój zostanie stoczony z zimną krwią. Głównym zwycięzcą będzie śmierć.

Tak więc czterech mężczyzn rozsunęło szereg, by zająć przeciwnika z boków, ponieważ nie miał jak osłonić pleców. Przyczajając się nisko, Verminaard zatoczył zwiastunem nocy szeroki łuk, nie dopuszczając ich do siebie i układając plany. Szybko musi wyrównać szansę. Zaciskając zwiastuna nocy w prawej pięści, kapłan zła skoczył, wybijając się z pozycji kucznej całą siłą swych krzepkich nóg. Nagły ruch zaskoczył przeciwników. Kapłan nie wznosił buławy. Wystarczył mu tylko zabójczy dotyk. Ładując przed Raistlinem, wyciągnął rękę i pochwycił maga za ramię, szepcząc przy tym szybko słowa modlitwy do Królowej Ciemności.

Raistlin krzyknął przeraźliwie. Przeszyty przeklętą, niewidzialną bronią czarodziej w męce osunął się na ziemię. Caramon ryknął głośno i rzucił się na Verminaarda, lecz kapłan był przygotowany. Zamachnął się swym buzdyganem, zwiastunem nocy, i lekko uderzył wojownika. – Północ – szepnął Verminaard i głuchy ryk Caramona zmienił się w krzyk przerażenia, bowiem magiczna maczuga oślepiła go.

– Nic nie widzę! Tanisie, pomóż mi! – wołał ogromny wojownik, zataczając się. Verminaard zaśmiał się posepnie i zadał mu potężny cios w głowę. Caramon zwałił się z nóg jak ogłuszony wół.

Kątem oka Verminaard dostrzegł półelfa, który rzucił się na niego, wznosząc do ciosu dwuręczny miecz starodawnej, elfiej roboty. Verminaard odwrócił się szybko i sparował cios Tanisa masywnym, dębowym trzonkiem zwiastuna nocy. Przez chwilę przeciwnicy stali zwarci, lecz Verminaard okazał się silniejszy i obalił Tanisa na ziemię.

Rycerz solamnijski uniósł miecz w geście salutu i był to błąd, który dużo go kosztował. Dał czas Verminaardowi na wyjęcie małej, żelaznej igły z ukrytej kieszeni. Podnosząc ją ku górze, znów wznosił prośbę do Królowej Ciemności, by broniła swego kapłana. Idąc naprzód, Sturm nagle poczuł, że jego ciało staje się coraz cięższe i bezwładne, aż nie może już dalej iść.

Leżąc, Tanis poczuł niewidzialną dłoń, która przyciskała go do ziemi. Nie mógł się poruszyć. Nie mógł odwrócić głowy. Język miał zbyt obrzmiały, by mógł się odezwać. Usłyszał zdławiony udreką krzyk Raistlina. Słyszał, jak Verminaard śmieje się i intonuje hymn ku czci Królowej Ciemności. Przepęlny rozpaczą, mógł tylko przyglądać się smoczemu władcy, który z wzniesioną buławą zbliża się do Sturma, zamierzając zakończyć życie rycerza.

– Baravais, Kharas! – rzekł Verminaard po solamnijsku. Wzniósł buzdygan w makabrycznej parodii rycerskiego salutu, a następnie zamachnął się do ciosu wymierzonego w głowę Sturma, wiedząc, że taka śmierć będzie najstraszniejszą torturą możliwą dla rycerza – zginie bowiem zdany na łaskę wroga.

Nagle czyjaś dłoń zacisnęła się na nadgarstku Verminaarda. Osłupiały kapłan spojrzał na tę dłoń, a była to dłoń kobiety.

Poczuł moc dorównującą jego własnej, świętą moc nie mniejszą od jego przeklętej potęgi. Dotyk wytrącił Verminaarda ze skupienia i modlitwa do Królowej Ciemności została przerwana.

I wtedy to sama Królowa Ciemności podniosła oczy i dostrzegła promiennego boga odzianego w biel i błyszczącą zbroję, który pojawił się na horyzoncie jej planów. Nie była

gotowa do walki z tym bogiem, bowiem nie spodziewała się jego powrotu. Tak więc uciekła, by przemyśleć swe możliwości i inaczej rozplanować bitwę, bowiem po raz pierwszy zobaczyła, że może ponieść klęskę. Królowa Ciemności wycofała się, porzucając swego kapłana na pastwę losu.

Sturm poczuł, że jego ciało wyzwoliło się spod zaklęcia i że znów odzyskał władzę nad swymi mięśniami. Dostrzegł Verminaarda, który wyładowywał swą furję na Goldmoon, bijąc ją zaciekłe. Rycerz skoczył naprzód, widząc, jak połyskuje w słońcu elfi miecz podnoszącego się z ziemi Tanisa.

Obaj mężczyźni pobiegli w stronę Goldmoon, lecz Riverwind był tam przed nimi. Odepchnąwszy kobietę na bok, mieszkaniec równin prawym ramieniem zatrzymał cios maczugi kapłana, którą ten zamierzał strzaskać głowę Goldmoon. Riverwind posłyszał krzyk kapłana: – Północ! – i przed jego oczami zapadła ta sama upiorna ciemność, która spowiła Caramona.

Jednakże wojownik Que-Shu, spodziewając się tego, nie wpadł w panikę. Riverwind wciąż słyszał swego wroga. Zdecydowanie ignorując bolesne obrażenia, przerzucił miecz do lewej ręki i dźgnął w kierunku, z którego dochodził chrapliwy odgłos oddechu przeciwnika. Ostrze ześliznęło się po mocnej zbroi smoczego władcy i wypadło Riverwindowi z dłoni. Riverwind szukał po omacku sztyletu, choć wiedział, że nie ma nadziei i nie uniknie śmierci.

W tym momencie Verminaard uświadomił sobie, że jest sam, pozbawiony duchowego wsparcia. Poczul zimną, trupa rękę rozpaczliwie chwytającą go za gardło i zawołał na pomoc Królową

Mroku. Lecz ona odwróciła się od niego, pochłonięta własnymi zmaganiem.

Verminaard zaczął się pocić pod smoczą maską. Przeklinał ją, bowiem miał wrażenie, że dusi się w hełmie i brak mu tchu. Za późno uświadomił sobie, jak bardzo nie nadaje się do walki z bliska – maska uniemożliwiała mu widzenie kątem oczu. Ujrzał przed sobą wysokiego mieszkańca równin, który był ślepy i ranny – jego może dobić później. Lecz w pobliżu byli jeszcze dwaj wojownicy. Rycerz i półelf wyzwolili się spod działania złego czaru, jaki na nich rzucił, i podchodzili coraz bliżej. Słyszał już ich. Dostrzegając jakieś poruszenie, odwrócił się szybko i zobaczył półelfa, który biegł ku niemu z lśniącym, elfim mieczem. Lecz gdzie jest rycerz? Verminaard odwrócił się i cofnął, odpędzając wrogów wymachami buławy, podczas gdy wolną ręką usiłował zderzyć z głowy smoczego hełm.

Za późno. W chwili gdy Verminaard zasłonił sobie dłonią wizurę, magiczny miecz Kith-Kanana przeszył zbroję i utkwiał w jego plecach. Smoczy władca wrzasnął i odwrócił się z furją, tylko po to by w zaćmionym krwią polu widzenia dostrzec rycerza solamnijskiego.

Prastara klinga miecza należącego do przodków Sturma wbiła mu się w brzuch. Verminaard osunął się na kolana. Nadal usiłował zdjąć hełm – brak mu było tchu i nic nie widział. Poczł jeszcze jedno pchnięcie mieczem i ogarnęła go ciemność.

Wysoko nad ich głowami umierająca Matafleur – osłabiona utratą krwi i wieloma ranami – usłyszała głosy swych dzieci, które ją wołały. Czula się dezorientowana i oszołomiona: miała wrażenie, że Pyros atakuje z wszystkich kierunków naraz. Wtem ujrzała wielkiego, czerwonego smoka przed sobą, tuż przy zboczu góry. Matafleur dostrzegła szansę. Ocali swe dzieci.

Pyros zionął olbrzymią strugą ognia wprost w pysk starej smoczycy. Z zadowoleniem patrzył, jak pęka spalona skóra na jej głowie i wypływają oczy.

Lecz Matafleur nie zważała na płomienie, które wypaliły jej oczy, na zawsze pozbawiając wzroku. Leciała wprost na Pyrosa.

Wielki samiec, któremu ból i wściekłość zmały umysł, był przekonany, że zgładził już wroga. Atak smoczycy był dla niego zaskoczeniem. W chwili gdy po raz drugi zionął swym morderczym ogniem, że zgrozą uświadomił sobie, gdzie się znalazł – pozwolił Matafleur wmanewrować się pomiędzy nią a pionową ścianę skalną. Nie miał dokąd uciec, nie miał dość miejsca, by zawrócić.

Matafleur wpadła na niego z całą siłą swego niegdyś potężnego ciała, uderzając go jak włócznia ciśnięta przez bogów. Oba smoki roztrzaskały się o górę. Szczyt zadygotał i rozpękał się, a zbocze góry wybuchło w płomieniach.

W późniejszych czasach, gdy śmierć Płomiennej przeszła do legendy, niektórzy ludzie twierdzili, że słyszeli głos smoczycy, nieuchwytny jak dym w podmuchu jesiennego wiatru, szepczący: – Moje dzieci...

Wesele

Ostatniego dnia jesieni wstał pogodny i słoneczny poranek. Powietrze było ciepłe, przesycone wonnym wiatrem z południa, który dmuchał nieprzerwanie od czasu, gdy uciekinierzy opuścili Pax Tharkas. Uciekając przed smoczymi armiami, zabrali ze sobą z fortecy tylko to, co zdołali zgarnąć.

Wiele dni zajęło armii smokowców wspięcie się na mury Pax Tharkas, którego bramy zagroziły wielkie głazy i którego wież bronili krasnoludowie żlebowi. Pod dowództwem Sestuna krasnoludowie żlebowi stanęli na murach i zrzucali kamienie, zdechłe szczury, a czasami siebie nawzajem na głowy rozżłoszczonych smokowców. Dzięki temu ludzie zyskali czas na ucieczkę w góry, gdzie mimo kilku potyczek z małymi oddziałami smokowców, nie groziło im poważne niebezpieczeństwo.

Flint zaproponował, że poprowadzi grupę mężczyzn przez góry w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by spędzić zimę. Flint dobrze znał te góry, ponieważ ojczyzna krasnoludów podgórskich znajdowała się w pobliżu, nieco na południe stamtąd. Grupa Flinta odkryła kotlinę wśród wyniosłych, skalistych gór, gdzie zdradzieckie przełęcze zimą zasypywał śnieg. Tych przełęczy będzie można z łatwością bronić przed potęgą smoczyc armii, a jaskinie dadzą schronienie przed wściekłością smoków.

Wędrując niebezpieczną ścieżką, uciekinierzy udali się w góry i dotarli do doliny. Wkrótce lawina zamknęła drogę za nimi i zatarła wszelkie ślady ich przejścia. Nim smokowcy ich odnajdą, upłyną miesiące.

Dolina znajdująca się dużo poniżej szczytów gór była ciepła i osłonięta od surowego, zimowego wichru i śniegu. W lesie pełno było zwierzyny. Z gór spływały czyste strumienie. Ludzie opłakali swych zmarłych, radowali się odzyskaną wolnością, pobudowali domy i wyprawili wesele. Ostatniego dnia jesieni, gdy słońce zachodziło za górami, rozpalając ich ośnieżone szczyty płomieniem koloru umierających smoków, Riverwind i Goldmoon pobrali się.

Kiedy we dwoje przyszli do Elistana poprosić go, by uroczystość udzielił im ślubu, był wielce zaszczycony i poprosił, aby objaśnili mu zwyczaje ich plemienia. Oboje odpowiedzieli zdecydowanie, że ich lud umarł. Que-Shu nie istnieją i ich obyczaje również.

- To będzie nasza uroczystość – powiedział Riverwind.
- Początek czegoś nowego, nie dalszy ciąg tego, co już odeszło.
- Chociaż będziemy czcić pamięć naszego plemienia w sercach – dodała cicho Goldmoon – musimy spoglądać przed siebie, nie wstecz. Uczymy przeszłość, biorąc z niej to,

co dobre i smutne, to, co uczyniło nas takimi, jakimi jesteśmy. Przeszłość jednak nie będzie już nami rządzić.

Zatem Elistan przestudiował dyski Mishakal, by dowiedzieć się, czego dawni bogowie uczyli o małżeństwie. Poprosił Goldmoon i Riverwinda, by ułożyli sami słowa przysięgi małżeńskiej, szukając w sercach prawdziwego znaczenia swej miłości – bowiem przysięga ta zostanie wypowiedziana przed obliczem bogów i będzie trwać aż po grób.

Jeden zwyczaj Que-Shu para młodych zachowała. Zwyczaj ten głosił, że dar panny młodej i pana młodego nie może być kupiony. Ten symbol miłości musi być wykonany rękoma zakochanych. Dary zostaną wymienione przy wypowiedaniu słów przysięgi.

Gdy promienie zachodzącego słońca rozjaśniły niebo, Elistan zajął miejsce na szczycie łagodnego wzgórza. Ludzie zgromadzili się w ciszy u stóp wzniesienia. Ze wschodu nadeszły Tika i Laurana, niosąc pochodnie. Za nimi kroczyła Goldmoon, córka wodza. Jej włosy spływały na ramiona strumieniami płynnego złota zmieszanego ze srebrem. Na głowie miała koronę z jesiennych liści. Ubrana była w prostą, zdobioną frędzlami tunikę ze skóry jelonka, tę samą, którą nosiła przez cały czas wyprawy. Na jej szyi błyszczał medalion Mishakal. Niosła dar panny młodej zawinięty w płótno cienkie jak pajęczyna, bowiem pierwsze muszą go ujrzeć oczy ukochanego.

Tika szła przed nią pełna uroczystej powagi i wzruszenia, a jej młode, dziewczęce serce wypełniały marzenia, bowiem zaczynała być przekonana, iż wielka tajemnica, jaką dzielą mężczyźni i kobiety może nie być przerażającym doświadczeniem, jakiego się obawiała, lecz czymś słodkim i pięknym.

Laurana, która stała obok Tiki, trzymała pochodnię wysoko w górze, rozjaśniając gasnący blask dnia. Ludzie szeptali na widok piękna Goldmoon, lecz umilkli, gdy podeszła Laurana. Goldmoon była człowiekiem, a jej piękno było pięknem drzew, gór i nieba. Uroda Laurany była elfia, nieziemska, tajemnicza.

Dwie kobiety przyprowadziły pannę młodą do Elistana, po czym odwróciły się, spoglądając na zachód i czekając na pana młodego.

Blask pochodni oświetlił drogę Riverwindowi. Tanis i Sturm szli pierwsi, a ich poważne i łagodne twarze miały uroczysty wyraz. Riverwind szedł z tyłu, górując nad wszystkimi pozostałymi. Jego twarz była jak zawsze surowa, lecz oczy pały mu promienną radością jaśniejszą niż blask pochodni. Na czarnych włosach miał wieniec z jesiennych liści, a dar pana młodego przykrywała jedna z chusteczek Tasslehoffa. Za nim szedł Flint i kender. Caramon i Raistlin byli ostatni – czarodziej zamiast pochodni trzymał w ręku laskę Magiusa, której kryształ płonął jasnym światłem.

Mężczyźni odprowadzili pana młodego do Elistana i podeszli do kobiet. Tika stanęła obok Caramona. Nieśmiało wyciągnęła rękę, by dotknąć jego dłoni. Spoglądając na nią z czułym uśmiechem, wojownik wziął jej małą dłoń w swą wielką.

Spoglądając na Riverwinda i Goldmoon, Elistan pomyślał o strasznym żalu, trwodze i niebezpieczeństwie, jakie przeszli w swym surowym życiu. Czy ich przyszłość kryje coś innego? Z przejęcia na chwilę odebrało mu mowę. Para młodych, widząc wzruszenie Elistana i być może rozumiejąc jego smutek, wyciągnęła do niego ręce gestem otuchy. Elistan przygarnął ich oboje do piersi, szepcząc słowa przeznaczone tylko dla nich.

– To wasza miłość i wasza wiara w siebie nawzajem przyniosła nadzieję światu. Każde z was gotowe było poświęcić swe

życie za tę obietnicę nadziei, każde z was ocaliło życie drugiemu. Teraz świeci słońce, lecz jego promienie już przygasają i nadchodzi noc. Tak sarno jest z wami, moi przyjaciele. Jeszcze długo będziecie wędrować w ciemności, nim nadejdzie świt. Lecz wasza miłość będzie wam oświetlać drogę jak pochodnia. Potem Elistan odstąpił o krok i przemówił do wszystkich zgromadzonych. Jego początkowo zachrypnięty głos stawał się coraz silniejszy, bowiem poczuł, że spływa na niego pokój bogów, który potwierdzał ich błogosławieństwo udzielone tej parze.

– Lewa ręka jest ręką serca – rzekł, wkładając lewą dłoń Goldmoon do lewej dłoni Riverwinda i kładąc na nich swoją lewą dłoń. – Łączymy lewe dłonie, aby miłość w sercu tego mężczyzny i tej kobiety mogły połączyć się i utworzyć coś większego, niczym dwa strumienie, które łączą się w potężną rzekę. Rzeka płynie przez kraje, rozgałęzia się na wiele odnóg, odkrywa nowe ścieżki, lecz zawsze dąży do wiecznego morza. Przyjmij ich miłość, Paladine, największy z bogów, pobłogosław ją i obdarz ich spokojem choć w sercach, jeśli nie ma pokoju na tej zdruzgotanej ziemi.

W błogosławionej ciszy mężowie objęli swe żony. Przyjaciele zbliżyli się do siebie, a dzieci ucichły i podkrały się do rodziców. Serca przepelnione żalem zaznały pociechy. Zapanaował pokój.

– Złóżcie teraz przysięgę wierności – rzekł Elistan – i wymieńcie dary swych dłoni i serc.

Goldmoon spojrzała w oczy Riverwinda i zaczęła cicho mówić.

Wojny osiadły na północy
i smoki po niebie latają,
„Teraz jest czas na mądrość”,

mówią mądrzy i rację mają.
„Tu, w sercu bitwy,
bliski jest czas, by służyć ojczyźnie.
Teraz większość rzeczy jest większa,
niż przysięga kobiety dana mężczyźnie”.

Lecz ty i ja, przez płonące równiny,
przez ciemność mogiły,
potwierdzamy ten świat i jego ludy,
i niebiosą, które ich zrodziły,
oddechu tchnienie między nami,
ten ołtarz, co łączy dusze bliźnie,
i wszystko to, co większymi uczyniła
przysięga kobiety dana mężczyźnie.

Potem przemówił Riverwind:

Teraz, w czeluści zimy,
gdy ziemię i niebo szarość obiegną
tu, w sercu śpiącego śniegu,
teraz jest czas, by dusza dostrzegła
zieleń rozległych błoni
i pączkujących walleńów kwiecie,
bowiem te rzeczy są dużo większe,
niż słowo mężczyzny dane kobiecie.

Dzięki obietnicom, którym jesteśmy wierni,
wykutym w otchłani ciemności,
zahartowanym w obecności bohaterów,
w nadziei nastania wiosennej jasności,
dzieci ujrzą księżycę i gwiazdy
tam, gdzie smoków szaleją zamiecie,
i skromne rzeczy, które większymi uczyniło
słowo mężczyzny dane kobiecie.

Kiedy wypowiedziano już słowa przysięgi, młodzi wymienili podarki. Goldmoon nieśmiało podała swój prezent Riverwindowi. Odwinął go drżącymi dłońmi. Był to pierścionek spleciony z jej własnych włosów, spięty pasemkami srebra i złota tak cienkimi jak włosy, które otaczały. Goldmoon dała Flintowi klejnoty swojej matki, a dłonie starego krasnoluda nie straciły jeszcze swej mistrzowskiej sprawności.

W zgliszczach Solace Riverwind znalazł gałąź drzewa vallen, która ocalała przed smoczym ogniem. Nosił ją cały czas w plecaku. Teraz z tej gałęzi wykonał prezent dla Goldmoon – pierścień doskonale gładki i bez żadnych ozdób. Wypolerowane drewno nabrało nasyconego koloru złota poznaczonego smugami i spiralami delikatnego brązu. Trzymając pierścionek w dłoni, Goldmoon przypomniała sobie pierwszy wieczór, gdy ujrzała wielki las vallen, ten wieczór, gdy – zmęczeni i wystraszeni – dotarli do Solace, niosąc laskę z błękitnego kryształu. Zaczęła cicho płakać i wytarła oczy chusteczką Tasa.

– Pobłogosław te dary, Paladine – powiedział Elistan – te symbole miłości i poświęcenia. Spraw, by w porze najgłębszej ciemności tych dwoje mogło spojrzeć na te dary i dojrzeć swą ścieżkę oświetloną miłością. Wielki i jasny boże, boże ludzi i elfów, boże krasnoludów i kenderów, udziel im swego błogosławieństwa, udziel go swym dzieciom. Niech ich dusze pielęgnują miłość, którą dziś zaszczepiają w swych sercach, aby wyrosło z niej drzewo życia dające cień i schronienie wszystkim, którzy szukają go pod jego rozłożystymi gałęziami. Łącząc dłonie, wypowiadając słowa przysięgi i dając sobie podarki, wy dwoje – ty, Riverwindzie, wnuku wędrowca, i ty, Goldmoon, córko wodza – stajecie się jednością – w waszych sercach i w oczach ludzi i bogów.

Riverwind wziął pierścionek od Goldmoon i założył go na jej smukły palec. Goldmoon wzięła swój pierścień od Riverwinda. Ukłąkł przed nią, jak nakazywał zwyczaj Que-Shu. Lecz Goldmoon potrząsnęła głową.

– Wstań, wojowniku – rzekła, uśmiechając się przez łzy.

– Czy to rozkaz? – spytał cicho.

– To ostatni rozkaz córki wodza – szepnęła.

Riverwind wstał. Goldmoon włożyła złoty pierścień na jego palec. Potem Riverwind wziął ją w ramiona. Ona objęła jego. Ich wargi zetknęły się, ciała stopiły w jedno, a dusze połączyły. Ludzie zakrzyknęli głośno i rozbłysły pochodnie. Słońce zaszło za górami, zostawiając niebo skąpane w perłowych odcieniach fioletu i delikatnej czerwieni, które szybko przeszły w szafir nocy.

Rozradowany tłum zniósł młodożeńców ze wzgórze i rozpoczęła się weselna zabawa.

Na trawie ustawiono wielkie stoły wyciosane z sosnowego drzewa, które wycięto w okolicznych lasach. Dzieci, uwolnione wreszcie od powagi uroczystości, biegały i krzyczały, bawiąc się w zabijanie smoków. Dzisiaj myślami były dalekie od smutków i trosk. Mężczyźni odbili wielkie beczki piwa i wina, które wyniesiono z Pax Tharkas i zaczęli pić za zdrowie młodej pary. Kobiety wniosły ogromne półmiski pełne jedzenia – dziczyzny, warzyw i owoców zebranych w lesie oraz przyniesionych z magazynów Pax Tharkas.

– Zejdźcie mi z drogi, nie pchajcie się tak na mnie – burknął Caramon, zasiadając do stołu. Przyjaciele ze śmiechem odsunęli się, by zrobić miejsce dla masywnego mężczyzny. Maritta i dwie inne kobiety postawiły przed ogromnym wojownikiem wielki talerz pełen jeleniego mięsa.

– Prawdziwe żarcie – sapnął wojownik.

– Hej – ryknął Flint, dziabiając widelcem kawałek skwierczącego mięsa na talerzu Caramona – ty to zjesz?

Na to Caramon – nie przerywając jedzenia ani na chwilę – wylał cicho dzban piwa na głowę krasnoluda.

Tanis i Sturm siedzieli obok siebie i rozmawiali przyciszonymi głosami. Tanis co jakiś czas spoglądał na Lauranę. Siedziała przy innym stole i prowadziła ożywioną rozmowę z Elistanem. Myśląc o tym, jak ślicznie wygląda tego wieczoru, Tanis uświadomił sobie, że bardzo się zmieniła. Nie przypominała już tej samowolnej, zakochanej dziewczyny, która uciekła za nim z Qualinesti. Powiedział sobie, że jest zadowolony z tej zmiany, lecz zauważył, że intryguje go, co też ją i Elistana tak zaciekawiło.

Sturm dotknął jego ramienia. Tanis drgnął. Dawno zgubił już wątek rozmowy. Zaczerwienił się i zaczął przeproszać, gdy dostrzegł wyraz twarzy Sturma.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem, na wpół już wstając.

– Cicho, nie ruszaj się – rozkazał Sturm. – Spójrz tylko, tam – siedzi na uboczu.

Zdumiony Tanis spojrział tam, gdzie pokazał Sturm, i zobaczył siedzącego samotnie mężczyznę. Człowiek ten kulił się nad talerzem i jadł z roztargnieniem, jakby w rzeczywistości nie czuł smaku potrawy. Kiedy ktoś zbliżał się, mężczyzna garbił się i spoglądał z niepokojem na intruza, póki ten nie odszedł. Nagle, być może wyczuwszy spojrzenie Tanisa, uniósł głowę i spojrział prosto w ich stronę. Półelf jęknął i upuścił widelec.

– Ależ to niemożliwe! – wykrztusił wreszcie. – Widzieliśmy przecież, jak zginął z Ebenem! Nikt nie mógłby przeżyć...

– A więc nie myliłem się – powiedział posępnie Sturm. – Ty też go poznałeś. Zaczynałem już sądzić, że postradałem zmysły. Chodźmy porozmawiać z nim.

Ale kiedy podeszli, już go nie było. Szybko przeszukali tłum, lecz nigdzie już go nie znaleźli.

Kiedy wzeszedł czerwony i srebrny księżyc, zameżne pary utworzyły krąg wokół młodożeńców i zaczęły śpiewać weselną pieśń. Niezameżne pary tańczyły na zewnątrz kręgu, a dzieci skakały, krzyczały i cieszyły się, że nie muszą iść spać. Ogniska płonęły jasno, noc rozbrzmiewała głosami i muzyką, a poświata srebrnego i czerwonego księżyca rozświetlała niebo. Goldmoon i Riverwind stali objęci, a ich oczy błyszczwały jaśniej niż księżyce czy blask ognia.

Tanis został na uboczu, obserwując przyjaciół. Laurana i Gilthanas wykonywali stary elfi taniec pełen wdzięku i piękna i śpiewali hymn radości. Sturm i Elistan byli pogrążeni w dyskusji na temat planowanej podróży na południe. Zamierzali odszukać legendarny port morski, piękne Tarsis, gdzie mieli nadzieję znaleźć statki, które zabiorą ludzi z tego kraju rozdartego wojną. Tika, którą zmęczyło patrzenie na obzerającego się Caramona, tak długo dręczyła Flinta, aż zgodził się wreszcie zatańczyć z nią, pałając rumieńcem spod siwej brody.

A gdzie jest Raistlin? zastanawiał się Tanis. Półelf pamiętał, że widział go na ucztach. Mag jadł niewiele i pił swoje ziółka. Wydawał się bardzo blady i cichy. Tanis postanowił odszukać go. Towarzystwo cynicznego czarodzieja o mrocznej duszy bardziej mu teraz odpowiadało niż muzyka i śpiew. Tanis zagłębił się w jasną od księżyców ciemność, wiedząc w jakiś sposób, że udaje się we właściwym kierunku. Zastał Raistlina siedzącego na pniaku starego drzewa, którego strzaskane piorunem, poczerniałe resztki leżały rozrzucone dookoła. Półelf usiadł obok milczącego maga.

Mały cień usadowił się wśród drzew za półelfem. Nareszcie Tas usłyszy, o czym ci dwaj rozmawiają!

Raistlin spoglądał swymi dziwnymi oczami na południowe ziemie, które ledwo było widać w prześwicie między wysokimi górami. Wiatr wciąż dął z południa, lecz znów zaczął zmieniać kierunek. Temperatura spadała. Tanis poczuł, że wątłym ciałem Raistlina wstrząsa dreszcz. Przyglądając mu się w świetle księżyców, Tanis był zaskoczony podobieństwem czarodzieja do jego przyrodniej siostry, Kitiary. Było to ulotne wrażenie i znikło niemal natychmiast, lecz wspomnienie o tej kobiecie sprawiło tylko, że Tanis poczuł się jeszcze bardziej niespokojny i wytracony z równowagi. Nerwowo przerzucał z dłoni do dłoni kawałek kory.

– Co widzisz na południu? – spytał nagle Tanis.

Raistlin spojrzał na niego. – A co ja zawsze widzę swymi oczami, Półelfie? – szepnął gorzko mag. – Widzę śmierć, śmierć i zniszczenia. Widzę wojnę. – Wskazał ku górze. –

Gwiazdozbiory nie powróciły. Królowa Ciemności nie została pokonana.

– Może nie wygraliśmy wojny – zaczął Tanis – ale z pewnością odnieśliśmy zwycięstwo w ważnej bitwie... Raistlin kaszlnął i pokręcił głową ze smutkiem.

– Czy nie widzisz nadziei?

– Nadzieja to zaprzeczanie rzeczywistości. To marchewka zawieszona przed nosem konia pociągowego, by nadal człapał w daremnej chęci osiągnięcia jej.

– Czy chcesz powiedzieć, że powinniśmy po prostu zrezygnować? – spytał Tanis, ze złością odrzucając kawałek kory.

– Mówię tylko, że powinniśmy zdjąć marchewkę i iść naprzód z otwartymi oczami – odparł Raistlin. Kaszłąc, owinął się ciasniej szatami. – Jak będziesz walczyć ze smokami, Tanisie? Bowiem będzie ich więcej! Więcej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić! A gdzież teraz jest Huma? Gdzie jest Smocza Lanca? Nie, Półelfie, Nie mów mi o nadziei.

Tanis nie odpowiedział ani też czarodziej nie odezwał się więcej. Obaj siedzieli w milczeniu, jeden wciąż patrząc na południe, drugi spoglądając w górę, w wielkie puste miejsca na błyszczącym od gwiazd niebie.

Tasslehoff usiadł na miękkiej trawie pod sosnami. – Nie ma nadziei! – powtórzył żałośnie kender, żałując, że poszedł za półelfem. – Nie wierzę w to – powiedział, lecz spojrzął na Tanisa, który patrzył w gwiazdy. Tanis w to wierzy, zdał sobie sprawę kender i ta myśl zdjęła go lękiem.

Od czasu śmierci starego czarodzieja, kender zmienił się niedostrzegalnie. Tasslehoff zaczął być przekonany, że ta przygoda jest całkiem na serio, że ma cel, dla którego ludzie oddali swe życie. Zastanowił się, dlaczego on bierze w tym udział, i pomyślał, że być może dał odpowiedź Fizbanowi – małe rzeczy, jakie miał zrobić, w jakiś sposób były ważne w tym wielkim planie rzeczy. Jednakże do tej pory kenderowi nigdy nie przyszło do głowy, że wszystko może pójść na marne, że może nie mieć żadnego wpływu, że mogą cierpieć i utracić ludzi, których kochają, takich jak Fizban, i że smoki w końcu zwyciężą.

– Mimo to – rzekł cicho kender – musimy wciąż próbować i mieć nadzieję. To jest ważne – próbować i mieć nadzieję. Może właśnie to jest najważniejsze.

Coś łagodnie sfrunęło z nieba, muskając nos kendera. Tas wyciągnął rękę i złapał to.

Było to małe, białe, kurze piórko.

Pieśń o Humie była ostatnim – i jak wielu uważa, największym – dziełem elfiego barda Quivalena Sotha. Po kataklizmie przetrwały tylko fragmenty jego dzieła. Powiadają, że ci, którzy poświęcą się uważnej jego lekturze, znajdą tu wskazówki co do przyszłości zmiennego świata.

PIEŚŃ O HUMIE

*Ze wsi, z krytych strzechą, nędznych przysiółków,
Z grobu i bruzdy, bruzdy i grobu,
Gdzie jego miecz po raz pierwszy próbował
Ostatnich, okrutnych tańców dzieciństwa i ocknął się, by ujrzeć wsie.
Wiecznie cofające się, gdzie jego wspaniałością ognik na bagnach,
A lot Zimorodka zawsze nad nim,
Teraz stąpał Huma po Różach,
W niezmiennym Blasku Róży.
Zatrwożony przez Smoki, udał się na skraj świata,
Na krawędź wszelkiego rozsądku i zmysłów,
Na Pustkowie, gdzie Paladine rozkazał mu zawrócić,
I tam, w głośnym tunelu noży
Rósł w nieskalanej przemocy, w tęsknocie,
Aż stał się sobą, wstrząśnięty osuszającym pościgiem głosów.*

*Wtedy to tam właśnie znalazł go Biały Jeleń,
Na końcu podróży zaplanowanej na brzegach Stworzenia,
I wszelki czas zatrzymał się niepewnie na skraju lasu
Gdzie Huma, udręczony i zagłodzony,
Napiął łuk, wznosząc dzięki do bogów za ich hojność i troskę,
A wtedy ujrzał w głębi lasu,
W pierwszej ciszy, symbol oszołomionego serca,
Majestatyczne poroże jelenia.
Opuścił łuk i świat ruszył swym torem.
Po czym Huma poszedł śladem Jelenia, którego splot poroża gaśł
Niczym wspomnienie młodego światła, niczym szpony wzlatujących
ptaków.*

*Góry przyczały się przed nimi. Nic się teraz nie zmienia,
Trzy księżycy zatrzymały się na niebie,
A długa noc pogrążyła się w mroku.*

*Był świt, gdy dotarli do gaju,
Do podnóża góry, gdzie Jeleń odszedł,
A Huma nie udał się za nim, wiedząc, iż koniec tej podróży
To nic innego, jak zieleń i obietnica zieleni, która przetrwała
W oczach kobiety przed nim.*

*I święte były dni, gdy zbliżył się do niej, święte przestworza
Niosące jego czułe słowa, zapomniane pieśni,
I oniemiałe księżycy przyklęły na Wielkiej Górze.
A ona wciąż wymykała mu się, jaśniejąca jak ognik na bagnach,
Bezimienna i piękna, tym piękniejsza, iż bezimienna,
Gdy dowiedzieli się, że świat, oślepiająco jasne rafy przestworzy,
Samo Pustkowie
To rzeczy pospolite i przyziemne w porównaniu, z gąszczem serca.
Pod koniec dni powierzyła mu swój sekret.*

*Albowiem nie była z rodu kobiet, ani też spośród śmiertelników,
Lecz córką i dziedziczką rodu Smoków.
Dla Humy niebo stała się obojętne, zatłoczone księżycami,
Krótkie życie trawy drwiło z niego, drwiło z jego przodków,
A cierniste światło jeżyło się na szybującej Górze.
Lecz bezimienna pielęgnowała nadzieję nie jej powierzoną,
Na którą tylko Paladine mógł odpowiedzieć, iż przez jego cierpliwą
mądrość*

*Ona może wystąpić z wieczności, a w jej srebrnych ramionach
Obietnica gaju może wzejść i zakwitnąć.
O tę mądrość modlił się Huma i Jeleń powrócił,
I ku wschodowi, przez spustoszone pola, przez popiół,
Przez Zgliszcza i krew, pokłósie smoków,
Wędrował Huma, otulony snem o Srebrnym Smoku,
A wieczny Jeleń jak znak przed nim.*

*Wreszcie przed nimi przystań, świątynia tak daleko na wschodzie,
Że leżała tam, gdzie kończy się wschód.*

Tam objawił się Paladine

*W sadzawce gwiazd i chwały, ogłaszając,
Iż ze wszystkich wyborów najstraszliwszy przypadł Humie.
Bowiem Paladine wiedział, że serce to gniazdo tęsknoty,
Że potrafimy wiecznie wędrować ku światłu, stając się
Tym, czym nigdy być nie możemy.*

Bowiem ukochana Humy mogła wyjść w blask żartocznego słońca,

Razem powróciliby do krytych strzechą przysiółków

I zostawili tajemnicę Lancy, świat

Bezludny w otchłani mroku, zaślubiony smokom.

Lub Huma mógł podnieść Smoczą Lanceę, oczyszczając Kryn

Z zagłady, najeźdźców i zielonych ścieżek swej miłości.

Najtrudniejszy to z wyborów i Huma przypomniał sobie,

Jak klasztorna cisza Pustkowiec ochrzciła jego pierwsze myśli

Pod opiekuńczym słońcem, a teraz,

Gdy czarny księżyc wiruje i toczy się, czerpiąc powietrze

I pokarm z Krynny, z wszelkich rzeczy Krynny,

Z gaju, z Góry, z porzuconych przysiółków,

Chciał usnąć, odpędzić wszystko daleko,

Bowiem wszelka decyzja była cierpieniem, a dany mu wybór

Był niczym ciepło na dłoni, gdy odcięto rękę.

Lecz ona przyszła do niego, zapłakana i świetlista,

W krajobrazie snów, gdzie ujrzał

Świat, który wali się i odnawia na błysku Lancy.

W jej pożegnaniu leżał upadek i powstanie.

Z jego skazanych na zatracenie żył chlusnął horyzont.

Podniósł Smoczą Lanceę, podjął wątek historii,

Blade ciepło popłynęło przez jego wzniesione ramię

I słońce i trzy księżycy, w oczekiwaniu na cuda,

Zawisły razem na niebie.

Ku zachodowi pojechał Huma, do Wieży Najwyższego Klerysta,

Na grzbiecie Srebrnego Smoka,

A droga ich lotu wiodła nad spustoszone krajem,

Gdzie tylko umarli chodzą, szepcząc imiona smoków.

A ludzie w Wieży, otoczeni i zasypiani gradem smoków,

Krzykami ginących, rykiem w nienasyconych przestworzach,

Oczekiwali nienazwanej ciszy,

Oczekiwali dużo gorszego w obawie, iż załamanie zmysłów

Zakończy się momentem nicości,

Gdzie umysł układa się z tym, co utracił, i z ciemnością.

Lecz odgłos rogu Humy w oddali

Zatańczył na murach obronnych. Cała Solamnia uniosła

Twarz ku wschodniemu nieboskłonowi, a smoki

Zatoczyły kręgi na najwyższym niebie, przekonane,

Że nadeszła jakaś straszliwa zmiana.

Z ich wrzawy skrzydeł, z chaosu smoków,

Z serca nicości Matka Nocy,

Spowita niebytem kolorów,

Spadła na wschód, w uporczywe spojrzenie słońca,

I niebo rozpadło się w srebro i nicość.

Huma leży na ziemi, u jego boku kobieta,

Której srebrną skórę rozdarło, obietnicę zieleni

Uwolniono z darów jej oczu. Wyszepiała swe imię,

Gdy Królowa Ciemności zawisła na niebie nad Humą.

Zstępowała, Matka Nocy,

A z wyżyn swych murów obronnych ludzie ujrzeli cienie

Wrące na bezbarwnym skłonie jej skrzydeł:

Trzciniowa chałupa ze strzechą, serce Pustkowiec,

Zagubione srebrne światło zbryzgane straszliwym szkarłatem,

A potem ze środka cieni

Wyłoniła się głębia, w której sama ciemność błyszczała,

*Zaprzeczając wszelkiemu przestworzu, wszelkiemu światłu,
wszystkim ceniom.*

*I ciskając swą lancę w pustkę,
Huma padł w słodycz śmierci, w wieczne słońce.
Przez Lancę, przez drogą moc i braterstwo
Tych, którzy muszą iść aż do kresu tchu i zmysłów,
Przepędził smoki z powrotem do jądra nicości,
A rozległe ziemie rozkwitły równowagą i muzyką.*

*Ogłuszeni nową wolnością, ogłuszeni jasnością i barwami,
Stok rozbrzmiewającym błogostawieństwem świętego wiatru,*

*Rycerze zanieśli Humę, zanieśli Smoczą Lancę
Do gaju u podnóża Góry.*

*Kiedy wrócili do gaju z pielgrzymką i hołdem,
Lanca, zbroja i sam Pogromca Smoków*

Znikli z oczu dnia.

*Lecz nocny blask pełni księżyców czerwieni i srebra
Spływa na wzgórze, na postaci mężczyzny i kobiety,
Które błyszczą stalą i srebrem, srebrem i stalą,
Ponad wsią, ponad krytymi strzechą, zacisznymi przysiółkami.*

Posłowie

Książka *Smoki jesiennego zmierzchu*, początek *Kronik Smoczej Lancy*, jest pierwszą na polskim rynku powieścią fantasy osadzoną w realiach świata gier AD&D, których twórcą jest amerykańska firma TSR, Inc. Tak się również składa, że stanowiący tło tego cyklu powieści Krynn – świat Smoczej Lancy – jest najstarszym spośród nadzwyczaj dokładnie opracowanych i spójnych wewnętrznie światów gier, który wyłonił się z nie zróżnicowanego do tej pory, ogólnego świata fantasy gier typu *role-playing* w systemie AD&D.

Oprócz *Dragonlance*, czyli świata Smoczej Lancy, w obrębie AD&D istnieją jeszcze dwa pseudomediewalne światy fantasy, a mianowicie *Forgotten Realms* (Zapomniane królestwa) i *Greyhawk*. Następne światy mają już nieco inny charakter, który pozwala na wprowadzenie nierzadko bardzo osobliwych elementów do gry, zachowując jednakże wszystko to, co gracze lubią najbardziej – magię, walkę na miecze, a od czasu do czasu nawet jakiegoś smoka. Są to: *Ravenloft* – świat gotyckiej powieści grozy; *Spelljammer* – świat wypełnionej flogistonem przestrzeni kosmicznej pomiędzy kryształowymi sferami, które zawierają znane planety, jak Krynn (*Dragonlance*), Oerth (*Greyhawk*), Toril (*Forgotten Realms*), Athas (*Dark Sun*) oraz liczne nie zbadane jeszcze planety i księżyce; wyżej wymieniony *Dark Sun* (Ciemne słońce) – pustynny świat spustoszony przez katastrofę ekologiczną, w którym niemal wszystko, co się rusza, jest obdarzone zdolnościami parapsychofizycznymi; oraz *Al-Qaudim* – świat baśni *Tysiąca i Jednej Nocy*. Świat *Smoczej Lancy* powstał w maju 1983 roku na zamówienie kierownictwa TSR, Inc. jako tło do zupełnie nowego rodzaju gier *role-playing*. Miała to być gra zaplanowana na dłuższy ciąg połączonych ze sobą przygód, a więc po raz pierwszy położono tak duży nacisk na fabułę. Postanowiono również stworzyć postaci bohaterów, których role gracze mogliby odegrać. Postaci te miały przechodzić z jednego modułu gry do następnego, rozwijając swe umiejętności i wzbogacając charakter. W ten oto sposób powstała drużyna bohaterów Lancy. Według klasycznego modelu drużyn, startujących w grach AD&D, składała się ona początkowo z pięciu wojowników, czarodzieja, kapłanki i złodzieja (przepraszam, podbieracza).

Sytuacja uległa zmianie później, gdy po ogromnym sukcesie pierwszych odcinków gry, towarzysząca jej książka mogła być kontynuowana już jako samodzielna powieść, a nie tylko część kampanii reklamowej samej gry. Bez wątpienia odejście od opisywania przygód, jakie uczestnicy gry w roli bohaterów Lancy mogli przeżyć w trakcie zabawy (co ma miejsce w *Smokach jesiennego zmierzchu*) na rzecz pogłębienia psychologicznych wizerunków postaci oraz bardziej powieściowe potraktowanie fabuły w następnych tomach *Kronik*

przyniosło zdecydowanie dobre wyniki. Już pod koniec pierwszego tomu przybywa postaci (Laurana, Gilthanas), które w *Smokach zimowej nocy* staną się pełnoprawnymi bohaterami i odegrają ważne role. Pojawiają się równoległe wątki, a sama akcja komplikuje się na skutek współoddziaływania silnie zarysowanych, pełnych pasji charakterów. Autorzy wreszcie mogli poświęcić więcej uwagi nieco zaniedbanym początkowo, a zapowiadającym się tak interesująco postaciom, jak Tasslehoff Burrfoot czy Sturm Brightblade. Intrygujący, oparty na miłości i nienawiści związek bliźniaków, Caramona i Raistlina, rozwija się przez *Smoki zimowej nocy* i *Smoki wiosennego świtu*, by dojść do imponującego finału w *Legendach Smoczey Lancy*. Ta kolejna trylogia poświęcona jest głównie braciom, jak również w satysfakcjonujący sposób zawiązuje niemal wszystkie luźne wątki dotyczące bohaterów po czasach wojny Lancy.

Z punktu widzenia przekładu należałoby wspomnieć, że wiele nazw, a szczególnie imion w *Kronikach Smoczey Lancy* jest znaczących, podobnie jak na przykład w *Czarnej Kompanii* Glana Cooka (choć nie w takim stopniu). Posługiwanie się jednak odpowiednikami polskimi nie tylko sprawiałoby sporo kłopotów, ale stwarzałoby czasami efekt wręcz humorystyczny, co z pewnością nie było założeniem autorów. Warto jednak znać sens tych imion, jako że stanowią one w pewien sposób opis cech lub przedmiotów kojarzących się z postacią, przez co nadają im dodatkowy wymiar.

Niektóre imiona można przełożyć bez trudu, na przykład Goldmoon to Złoty Księżyc, Riverwind to Rzeczny Wiatr, Flint Fireforge to Krzemień Ognista Kuźnia. Kłopotu nie sprawiają także takie nazwy miejscowości, jak: Solace – Pocieszenie, Haven – Przystań, czy Gateway – Wrota i pojawiające się w następnych tomach: Flotsam – Szczątki Wraku, Godshome – Dom Bogów i Mt. Nevermind – Góra Nieważne. Natomiast podstawą stworzenia innych imion i nazw były bardziej skojarzenia niż konkretne słowa. Tak więc Brightblade to Lśniący Miecz, ale zgodnie z tym, co podają autorzy, imię Sturm wywodzi się od skojarzenia z angielskim słowem *stern*, co znaczy surowy, poważny. Nie jest to jednakże wszystko, bowiem słowo *Sturm* kojarzy się również z angielskim słowem *storm* – burza i niemieckim *Sturm* – burza, szturm, co zaowocowało na zasadzie dalszych skojarzeń nadaniem ojcu Sturma imienia Angriff, co w języku niemieckim oznacza atak, szturm. Imię Tasslehoff można skojarzyć z angielskim słowem *tassel* – kitka, która jest właśnie największą ozdobą kendera. Burrfoot najprawdopodobniej pochodzi od *burr* – rzep i *foot* – stopa. Można by się również pokusić na wywiedzenie etymologii imienia Verminaard od angielskiego słowa *vermin*, które pochodzi z łacińskiego *vermis* – robak, a więc coś budzącego wstręt, aczkolwiek mogło również zostać utworzone na zasadzie skojarzenia z angielskim słowem *wurm*, oznaczającym smoka. Z nazw geograficznych wymienić można: Eastwilde –

Wschodnie Pustkowia, Crystalmir – Kryształowe Jezioro (od *mere* – staw, jezioro), Goodlund – Dobra Ziemia, Hylo – Wyżyna-Nizina (przykład kenderskiego poczucia humoru – High-Low) oraz Nordmaar – Północna Marchia.

Tak ogromny wysiłek, jakim jest stworzenie w stosunkowo krótkim czasie kompletnego, fikcyjnego świata wraz z jego geografią, historią, legendami i panteonem bogów, nie mógł być dziełem jednej ani nawet dwóch osób. Legenda kryńska mówi, że świat Smoczej Lancy powstał, gdy Reorx, Bóg Kowal, uderzył swym młotem w Chaos. Chaos zwolnił swe obroty, a iskry spod młota zmieniły się w gwiazdy. Z ich blasku powstały przeróżne duchy, które dały początek żywym istotom.

W rzeczywistości wyglądało to nieco inaczej. Koncepcja Krynnu powstała w wyobraźni jednego z pracowników TSR, Trący Hickmana. Wraz z Haroldem Johnsonem, kierownikiem działu nowych projektów tejże firmy, ułożył on podstawowy wątek opowieści, która miała mówić o tym, jak grupa bohaterów poszukuje prastarego przedmiotu magicznego – legendarnej Smoczej Lancy, by oczyścić świat ze straszliwego zła, jakim są smoki.

Po zaakceptowaniu pomysłu kierownictwo TSR utworzyło pod kierownictwem Hickmana większy zespół, w skład którego weszli: Jeff Grubb, Michael Williams, Gali Sanchez, Gary Spiegle, Carl Smith. W miarę rozwoju projektu własne pomysły dodali: Doug Niles, Michael Dobson, Bruce Nesmith, Roger Moore, Laura Hickman i oczywiście Margaret Weis. Ogromny wpływ na autorów wywarła twórczość plastyka Lany'ego Elmore, który odpowiedzialny jest za wygląd każdej z głównych postaci. Jego obrazy powstawały w tym samym czasie, co wątek fabularny, i oddziaływały na niego nie mniej, niż same były jego odbiciem. Margaret Weis, która dołączyła do zespołu późną jesienią 1983 roku, jako osoba odpowiedzialna za kształt powieści mającej powstać z gry, w *The Art of the Dragonlance Saga* pod redakcją Mary Kirchoff przyznaje otwarcie, iż pisząc o Tanisie miała przed oczami właśnie tę postać o brodatej, skupionej, poważnej twarzy, jaką namalował Elmore. Mądre, pełne goryczy i cierpienia oblicze Raistlina na pierwszym projekcie Elmore również wywarło wielki wpływ na koncepcję postaci czarodzieja i, jak powiada Weis, uczyniło go jej ulubioną postacią. Inni plastycy, którzy tchnęli życie w pomysły zespołu i nadali im kształt, to: Jeff Easley, Clyde Caldwell, Keith Parkinson i Denis Beauvis – autor ilustracji w *Smokach jesiennego zmięzchu* i *Smokach zimowej nocy*. Margaret Weis i Trący Hickman wyrażają podziękowania również dla przewodniczącego TSR, Inc., Kevina Blume, za entuzjastyczne wsparcie; dla wydawcy, Mike Cooka, za zaufanie; dla Jean Blashfield Black, redaktorki, za przypomnienie o istnieniu świata rzeczywistego; oraz dla wszystkich w TSR, Inc., którzy mieli udział w powstaniu tego projektu.

Margaret Weis urodziła się i wychowała w Independence, w stanie Missouri. W 1970 ukończyła studia na Uniwersytecie Stanu Missouri w Columbi, otrzymując dyplom BA (Bachelor of Arts – niższy od magistra stopień naukowy w Stanach Zjednoczonych) w dziedzinie twórczości literackiej. Weis pracowała dla wydawnictwa Herald Publishing House w Independence przez niemal trzynaście lat. Jej pierwsza książka, biografia Franka i Jesse Jamesów, została opublikowana w 1981 roku. W 1983 przeniosła się do Lake Geneva w stanie Wisconsin, które jest główną siedzibą TSR, Inc., i rozpoczęła pracę na stanowisku redaktora działu książek tej firmy. Tam też spotkała Tracy'ego Hickmana. Margaret Weis obecnie jest niezależną pisarką, autorką wielu poczytnych powieści fantastycznych, z których większość napisała wspólnie z Tracym Hickmanem. Oprócz sześciu powieści i kilku dłuższych noweli z cyklu Smoczej Lancy, stworzyli wspólnie następujące powieści fantasy: *The Darksword Trilogy*, trytomowy cykl *The Rose Of The Prophet* i do tej pory pięć tomów serii *The Death Gate Cycle*. Poza tym sama Weis jest autorką cyklu powieści łączącego elementy space opery i fantasy *Star Of The Guardians*, z którego ukazały się trzy tomy, a pisarka pracuje nad czwartym. Weis mieszka obecnie w stanie Wisconsin, w stodole przerebionej na dom, z córką Elizabeth Baldwin, dwoma owczarkami szkockimi i dwoma kotami, z których jeden nosi wdzięczne imię Nickolai Myszołap, a drugi Motley Tatters (Pstry Oberwaniec).

Tracy Hickman urodził się w 1955 roku w Salt Lake City w stanie Utah. Rodzice zachęcali go do spróbowania wszystkiego, co dobre w życiu. W wieku lat siedemnastu został pilotem szybowcowym, grał i śpiewał w miejscowym zespole folkowym, a następnie, w wieku lat dziewiętnastu, został misjonarzem kościoła mormonów, do którego należy. Dwa lata spędził na pracy misyjnej na Hawajach i Jawie. Po powrocie do domu poślubił swą ukochaną z czasów dzieciństwa, Laurę Curtis, i poświęcił się rodzinie. Jak wielu amerykańskich pisarzy miał się wielu zawodów, w tym wydmuchiwacza szkła, asystenta reżysera telewizyjnego i technika w ciemni fotograficznej. Przez pięć lat układał scenariusze gier dla TSR. Tracy Hickman i jego żona są również współautorami projektu przygody *Ravenloft*. Do niedawna zamieszkiwał w stuletnim, wiktoriańskim domu w Wisconsin, oddając się swym ulubionym zajęciom – czytaniu i pisaniu, z przerwami na jedzenie i spanie. W niedziele zaś przewodniczył śpiewaniu hymnów w miejscowym kościele mormońskim. Obecnie mieszka wraz z żoną i czworgiem dzieci wśród wysokich sosen Ponderosa w północnej Arizonie.

Autorzy o swojej książce

SMOCZA LANCA miała swój początek w grze role-playing. Jest więc prawdopodobnie rzeczą oczywistą, że wiele pomysłów wykorzystanych podczas tworzenia powieści przyszło autorom do głowy w trakcie uczestniczenia w grze! Właśnie w czasie jednej z takich sesji narodziły się niektóre z najciekawszych i najzabawniejszych części książki. Rozgrywaliśmy pierwszą przygodę z serii DRAGON-LANCE pod tytułem *Dragon of Despair* (Smoki rozpaczy). Trący był mistrzem gry i oprowadzał nas po ruinach Xak Tsaroth. Raistlin z naszej książki narodził się niespodziewanie, gdy gracz imieniem Terry Philips wcielił się w maga o cichym, szepczącym głosie, dzięki czemu jego postać natychmiast utrwaliła się w naszych umysłach. W czasie tej samej gry Terry – jako Raistlin – postanowił rzucić urok na krasnoludy żłebowe, powodując, iż jedna z krasnoludek zakochała się w nim! Nie mieliśmy tego w pierwotnej koncepcji powieści, ale później dodaliśmy ten wątek, tworząc Bupu, która jest jedną z naszych ulubionych postaci.

Również inne sceny pochodzą z sesji gry (Flint na kłodzie, Tas w wiklinowym smoku). I znów stało się dla nas jasne, jak cenne mogą być gry z odgrywaniem roli dla rozwoju twórczości i zdolności rozwiązywania problemów (nie wspominając nawet o tym, jak doskonale bawiliśmy się, rozgrywając stworzony przez nas scenariusz!). W związku z tym mamy nadzieję, że dla tych z was, którym spodobała się nasza trylogia, a którzy nie próbowali jeszcze gier role-playing, może posłużyć ona za wstęp. W grach możecie odegrać rolę każdego bohatera, czy bohaterki naszej historii, lub stworzyć własną postać. Przeżyjecie niektóre z tych samych przygód, a może znajdziecie zupełnie nowe. Co w tym wszystkim najwspanialsze, odkryjecie nowy i ekscytujący świat – świat, którego częścią możecie się stać, nawet jeśli tylko na chwilę. Zapraszamy was do wkroczenia w świat sagi o Smoczej Lancy. Mamy nadzieję, że będziecie się tam bawili równie dobrze, co my”.

Cykl gier *Dragonlance* opowiadający o wojnie Lancy składa się z następujących modułów: Tracy Hickman, *Dragons of Despair*, Douglas Niles, *Dragons of Flame*; Tracy Hickman, *Dragons of Hope*; Tracy Hickman i Michael Dobson, *Dragons of Desolation*; Douglas Niles, *Dragons of Ice*; Jeff Grubb, *Dragons of Light*; Tracy Hickman i Laura Hickman, *Dragons of War*, Douglas Niles, *Dragons of Deceif*, Tracy Hickman, *Dragons of Dreams*; Douglas Niles i Tracy Hickman, *Dragons of Glory*; Tracy Hickman, *Dragons of Truth* i Douglas Niles, *Dragons of Triumph*. Cztery pierwsze (odpowiadające pierwszemu

tomowi trylogii) zostały zebrane jako *Dragonlance Classics vol. I* w wersji drugiego wydania AD&D, pozostałe do tej pory są w wersji pierwszego wydania.

Gwoli ścisłości należałoby wspomnieć, że istnieją również następne moduły, już w wersji drugiego wydania AD&D, które absolutnie nie są związane z fabułą powieści Tracy Hickmana i Margaret Weis, podobnie jak ukazało się bardzo wiele książek osadzonych w realiach świata Smoczej Lancy, lecz autorstwa innych pisarzy i mających bardzo luźny związek z oryginalną historią. Niestety, żaden z modułów gry Dragonlance (ani też żaden inny w systemie AD&D) nie ukazał się w języku polskim. Zaciekawionych światem Smoczej Lancy, a także ogólnie grami AD&D można odesłać jedynie do najbliższej grupy miłośników tych gier, których funkcjonuje już wiele w naszym kraju. Ludzie ci z przyjemnością udzielą wszelkich informacji, nie szczędząc wysiłku, by zapoznać wszystkich chętnych z fascynującym światem gier role-playing.

Dorota Żywno